

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 7/358-8/359

1977



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

ST. WITKIEWICZ :

WALLENRODYŹM CZY ZNIKCZEMNIENIE?

L. KOŁAKOWSKI :

EPILOG

W. WOROSZYLSKI : **LIST OTWARTY DO H. BOELLA**

ZB. BYRSKI :

**REWOLUCJA TECHNOLOGICZNA I ZMIANY
MORALNO-OBYCZAJOWE**

K. ŚWIECZEWSKI : **ROZMOWA Z GOMBROWICZEM**

SPIS RZECZY

Stanisław Witkiewicz:	<i>Wallenrodyzm czy znikczemnienie?</i> ..	3
Leszek Kołakowski:	<i>Epilog</i>	25
Jerzy Boniecki:	<i>Co wypełni próżnię?</i>	33
—	<i>Zamierzenia wydawnicze „Biblioteki Kultury”. — Nagrody „Kultury”</i> ..	40
Zbigniew Byrski:	<i>Rewolucja technologiczna i zmiany moralno-obyczajowe</i>	41
Karol Świeczewski:	<i>Rozmowa z Gombrowiczem</i>	59
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	71
Seweryn Kware:	<i>Kto to zrobił? (dok.)</i>	85
BELGRAD A EUROPA WSCHODNIA		
François Fejtő:	<i>Demokracje ludowe. — Ciężkość kontestacji</i>	102
Borys Lewicki:	<i>Obrona praw człowieka w republikach sowieckich</i>	112
K R A J		
—	<i>O przesłuchaniach</i>	125
Zygmunt Merka:	<i>Równia pochyła represji</i>	130
Bolesław Sulik:	<i>Dziki rój</i>	135
Bronisław Kotowicz:	<i>Dwa listy z kraju</i>	145
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	153
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	162
SĄSIEDZI		
Stanisław Swianiewicz:	<i>Idea wspólnoty środkowo-europejskiej</i> ..	168
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	176
E. Zagiell:	<i>Odwiedziny historii</i>	182
POLEMIKI		
Józef Łobodowski:	<i>Falszywa diagnoza</i>	185
◆		
Andrzej Grzegorezyk:	<i>Notatka - Oferta</i>	200
KRONIKA KULTURALNA		
Władimir Maksimow:	<i>Na trzydziestolecie „Kultury”</i>	201
Bohdan Osadczuk:	<i>Wyznania i zeznania ukraińskiego polonofila</i>	202
—	<i>ULB o Mieroszewskim</i>	207
SPRAWY I TROSKI		
Witold Zahorski:	<i>Fundacja Enigma</i>	211
Benedykt Heydenkorn:	<i>Polonijne publikacje w Kanadzie</i> ..	215
WOŁANIE NA PUSZCZY		
Kisiel:	<i>Na dwóch stołkach</i>	217
KSIĄŻKI		
M. Bróński:	<i>Materiał do refleksji</i>	221
Witold Wirpsza:	<i>Poeta okolicznościowy</i>	223
Michał Heller:	<i>Śmierć nadziei</i>	226
E. Zagiell:	<i>Poważna książka z niefortunną mapą</i> ..	230
Jerzy Jankowski:	<i>Kto zna Janusza Piekalkiewicza?</i>	231
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	234
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	236

(c.d. Spisu Rzeczy na str. 272)

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec-Sierpień - Juillet-Août 1977

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Dr Stefan Borton, Point Piper, N.S.W. (Australia), po raz trzeci	F. 500,00
Aleksander I. Bragiński, Pittsburgh, Pa. (USA), po raz 12-ty	F. 50,00
Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA) — dla uczczenia trzydziestolecia <i>Kultury</i>	F. 1.015,00
Andrzej Cisek, Hartsdale, N.Y. (USA), po raz czwarty	F. 110,00
Jan ze Sztokholmu	F. 55,00
Piotr Kalinowski, Paryż	F. 100,00
Henryk Kozłowski, Ottawa — z serdecznym wspomnieniem o śp. Juliuszu Mieroszewskim	F. 42,00
Prof. Karol Krótki, Edmonton, Alta (Kanada), po raz trzeci	F. 340,00
J. Marchwicki, Monachium	F. 40,00
Adam Nasielski, Cooma North, N.S.W. (Australia), po raz piąty	F. 500,00
Tadeusz Wyrwa, Paryż — w siódmą rocznicę śmierci śp. Ojca (po raz siódmy)	F. 115,00
Z. T. Żukotyński, Phoenix, Ariz. (USA), po raz jedenasty	F. 52,00
Bezimiennie z Montrealu, po raz dziewiąty	F. 104,00
Bezimiennie z Panoramy, S.A. (Australia), po raz ósmy	F. 200,00

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA KOMITET OBRONY ROBOTNIKÓW

Bezimiennie z U.S.A.	F. 125,00
COOP. RAIFF BLB. W.A., Hilversum (Holandia) — wpłata ta została nam przekazana przez bank — nie znamy bliższych szczegółów dotyczących nadawców.	F. 2.461,87
Piotr Kalinowski (Paryż)	F. 100,00
Komitet Fundacyjny Tablicy ku Czei Pomordowanych w Kątyńcu w 1940 roku i we Wszystkich Miejscach Zagłady, Roubaix — nadwyżka z pieniędzy zebranych na powyższy cel	F. 1.000,00
Dr med. Scholer, Wesseling — Urfeld (NRF) (w czerwcu omyłkowo odnotowaliśmy dar dr. Scholera w wysokości F. 100,00, podczas gdy czek opiewał — DM 100,00 — za co przepraszamy).	F. 100,00
J. S. Wiland, Toronto, Ont. (Kanada)	F. 50,00
Anonimowo z Wielkiej Brytanii	F. 150,00
Bezimiennie z Panoramy, S.A. (Australia)	F. 100,00

Wallenrodyzm czy znikczemnienie ?*

STANISŁAW WITKIEWICZ

Der freie Mensch ist Krieger.
Nietzsche.

Krzyczeli „Polska! Polska!“... lecz jednego razu Chcąc krzyczeć, zapomnieli na ustach wyrazu; Pewni jednak, że Bóg im prawo krzyku przyzna, Szli i krzyczeli jeszcze: „Ojczyzna, Ojczyzna!“ — Wtem Bóg z Mojżeszowego pokazał się krzaka I przeraził je wszystkie, zapytawszy: „jaka“?

Czy myśl ta przyszła Słowackiemu pod wrażeniem rozbicia emigracji na zjadające się w imię sprzecznych pojęć o Ojczyźnie partye, czy też była błyskawiczną syntezą całych dziejów Polski, rzeczywistym proroctwem tego, co się stać miało w przyszłości — jest ona w każdym razie najdobitniejszym wyrazem chaosu przeciwności, na jaki się rozbiła myśl polska po klęsce 63 roku.

* Artykuł Stanisława Witkiewicza (1851-1915), malarza, pisarza i krytyka literackiego ukazał się w 1917 roku w wychodzącym w Krakowie tygodniku *Kultura Polska*, poświęconym sprawom polityczno-społecznym i literacko-artystycznym. Wydawcą i redaktorem była Helena Radlińska. Artykuł ten, który przedrukujemy *in extenso* z zachowaniem pisowni oryginału zaopatrzonej był przez Redakcję następującą notą: „Ze spuścizny rękopiśmiennej Witkiewicza podajemy studium o duszy polskiej po roku 1863. 'Mam absolutną pewność mego narodowego sumienia', mówi o sobie Witkiewicz i wyznaniem tem najlepiej charakteryzuje znaczenie swej pracy. Wywołało ją oburzenie na wieść o udziale delegacji polskiej w uroczystości odsłonięcia pomnika Katarzyny II w Wilnie. Rzeczą pisaną w r. 1904 jest świeżą i pełną głębokiego znaczenia dla chwili bieżącej. Do dziś trwają skutki niewoli, które analizuje wielki obywatel. Studium Witkiewicza, posiadające doniosłą wartość historyczną — zawiera prawdy wiekuiste i krzepiące“.

Artykuł St. Witkiewicza i dzisiaj, w roku 1977, nie stracił nic ze swojej aktualności i znaczenia. (Redakcja).

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

P. 9786 Chk. Arch

Z tego pogromu Polska wyszła w stanie okropnego wycieńczenia, zniedołężenia, zupełnego upadku wiary w siebie, energii i odwagi do życia; — zwłaszcza ta odwaga, ta zasadnicza siła psychiczna w każdej walce, była najbardziej poderwana. Z kadrów społecznych zostały usunięte tysiące najdzielniejszych jednostek, tych właśnie, w których najpotężniej grała wiara w życie narodu i konieczność swobody i odwaga walczenia o nią — taką bronią, jaka im się wydawała słuszną i właściwą. Przegrali, zginęli na polach bitew, na szubienicach, po więzieniach, po etapach lub po rozmaitych miejscach wygnania.

Reakcja, która nastąpiła po tym wybuchu, miała swoją szczególną treść myśli i uczuć, które w sposób szczególny zaciężyły na pojęciach o życiu narodowym i na ludzkich czynach — i ciążyą dotąd, na pewnych przynajmniej grupach społeczeństwa.

Jeżeli w jakiejś rodzinie stanie się nieszczęście, ktoś przyśpiemy umrze, zginie lub w jakiś inny sposób podlegnie klęsce, ludzie współczujący tej rodzinie, krewni lub przyjaciele starają się pozostałym dodać ducha, obudzić nadzieję, wskazać możliwość życia, współczuć stracie i wspominać jaknajlepiej zmarłych lub tłumaczyć jaknajdelikatniej ich winę, podnieść dobrą wolę, złożyć wszystko na los — starają się najusilniej usunąć pamięć ciężką, bolesną, obojętniającą, obudzić energię do czynu i nadzieję osiągnięcia celu. Otóż reakcja, która ogarnęła umysły po powstaniu, była wprost przeciwną. Nigdy nikt może w sposób bardziej bezwzględny nie zwałił całej winy na własne sumienie, jak to uczyniło polskie społeczeństwo po roku 63. Na własne? Raczej ci, co pozostali, którzy z pogromu ocalili swój byt osobisty, zwalili całą winę na sumienie tych, których cyklon rewolucji rozmiótł po dalekich miejscach wygnania. Nikt nie mówił: nie udało się, źle było przygotowane — ale żyjemy, nie damy się, będziemy żyć i zwyciężyć musimy. Nikt tak nie mówił. Przeciwnie — powstanie, powstańcy, spiskowcy, bojownicy wszelkiej idei, wszyscy idealisci, wszyscy wierzący w lepszą przyszłość — więc marzyciele, byli pogardzeni, wyśmiani, wyrzuceni za progi życia, na śmietnik ludzkich rupieci, rzeczy złych, szkodliwych, zaraźliwych. Społeczeństwo ujrzało się w rozkoszy biczowania siebie, poniewierania, wyśmiewania. Jakiś stan obrzydzenia — jak po przepiciu — opanował dusze. Wtenczas to rozgrzeszyliśmy tych, co zabili dawną Polskę i tych co kopali jej obnażone ciało — biorąc winę na siebie.

Upadek Polski był naszą winą — i naszą winą było to, że Murawiew wieszał w Wilnie a Berg w Warszawie. Byli tacy, którzy rozbiory uznawali za sprostowanie granicy — a w zgnieceniu powstania widzieli tylko konsekwentną przewagę siły większej nad słabszą.

Zawsze trzeba pamiętać, że to, co w danej chwili wyobraża społeczeństwo jest to ta część, która ma największą w tej chwili siłę i możliwość czynu, że poza tem pozostają mniejszości czynne — ogromna większość całkiem bierna i jednostki, które są odradzającym się pokoleniem przyszłości. Poza tymi więc, którzy wyszli na przód sceny historii, kryły się i siły przyszłości i bezwładna masa, zajęta sprawami powszedniego bytu; bezwładna, lecz złożona z jednostek, które z niej z czasem zaczęły się przedostawać do wiru życia.

Ile razy z życia narodów giną wielkie idee, wielkie hasła, wskazujące dalekie i olbrzymie cele do osiągnięcia — tyle razy społeczeństwa rozbijają się na małe grupy działające w obrębie swoich interesów, na drobne związki, dążące do drobnych celów. Ciało narodowe traci spójność, siła przyciągania między jego częściami słabnie — a rozład pojęć, interesów, dążeń i celów wytwarza chaotyczną mieszaninę, którą utrzymuje w pewnej spójności tylko napór sił zewnętrznych, materyalna konieczność zajmowania objętej pewnymi granicami części ziemi — słowem siła bezwładności. Inaczej naród by wyparował w przestrzeni i wsiąkł w pory innych narodów. Tylko wielkie, ciężące nad wiekami i pokoleniami idee utrzymują spójność narodową. Z chwilą, w której one się rozkładają, naród rozbija się na atomy.

Tak było z Polską po 63 roku — dlatego rozpacz owych czasów była tak bezpłodna, a rozpacz po 31 roku tak potężna w przyrost narodowego ducha.

Rok 31, po którym zostało tyle „pół rycerzy żywych”, rzucił w świat tłumy rozbitków polskich, w świat — oświecony słońcem lipca, w dobę wielkiego wrzenia rewolucyjnego, między dwoma wybuchami wulkanicznymi.

Polska rozbita nie tylko nie utonąła w czarnej, beznadziejnej reakcji, lecz wzniosła się do najwyższych szczytów napięcia ludzkiej duszy — i dzięki bezprzykładowemu w historii szczęściu, ponad klęską i hańbą wstała potężna twórczość trzech wielkich poetów, twórczość, którą żyją pokolenia po pokoleniach.

Pozatem rok 31, był jakby najwyższy szczytem, do którego sięgnął duch narodowy w epoce Napoleonowskiej. Wtenczas się wypowiedziały do dna siły odrodzonej Polski i powstały idee, które miały jej życiem kierować dalej. Była to burza, która zniszczyła wiele — która jednak nie zniszczyła najistotniejszej siły narodu i która rzuciła go na dalsze przez siebie zakreślone drogi w przyszłość.

Rok 63 był końcem Napoleonowskiej epoki, był ostatnim występem Polski szlacheckiej, był spalaniem wszystkich materyj

wybuchowych, był zastosowaniem w ogniu życia wszystkich idei, pragnień, marzeń i celów.

Cały ferment dziejowy tej epoki — ferment społeczny, narodowy i polityczny został jakby w olbrzymim przyrządzie doświadczalnym doprowadzony do przejawienia się, do odbycia swego procesu — i w wielkiej klęsce spalił się, zostawiając ruinę materialną i pustkę duchową.

Rzucone znowu w świat tłumy wychodźców nie trafiły w Europie na epokę wielkich ruchów rewolucyjnych, wielkich idei i nadziei. Trafiły na rozkładającą się w meskineryi ideę Napoleońską, na splot szacherek politycznych, na Francję, która miała pozory i na zaczajoną jeszcze w mroku plugawą siłę Prus, która gotowała się do rabunku na dwóch frontach — prostego rabunku, bez żadnych złudzeń, bez żadnych frazesów, żadnych idei, którymi mogą się żywić przyszłe pokolenia ludzkości. Dla wszelkich idealnych celów, dla wszelkich marzeń o wolności i braterstwie ludów, dla żołnierzy sztandaru, na którym wypisane było najcudniejsze, jakie zna historia wojen hasło: „za naszą i waszą wolność” — przychodził dzień ostatni. Zwycięstwo Prus, wystąpienie na widownię czynu tak podle i tak silnej duszy jak Bismarck — było zabiciem wszystkich lepszych dążeń w masach narodowych, było zniszczeniem zdobyczy cywilizacyjnych w stosunkach międzynarodowych, było przejawieniem się tryumfującego nacyonalizmu, opartego o silne państwo, które swoją treścią splugawiło cały ten okres historii Europy.

Rozbitki polskie, jak pył z dalekiego wulkanu przywiany na obce dalekie brzegi, byli tylko szarym pyłem bez treści i mocy życia — i nie mieli nad sobą ani zorzy wielkich idei, ani blasku wielkich geniuszy. Nie mogli promieniować, oświecać ani ogrzewać krzepnącej w krwawym bólu Ojczyzny.

Drudzy, ci co poszli na wschód, na wygnanie, również nie mogli oddziaływać na ducha narodowego, zużywali się w ciężkich warunkach bytu, na który byli skazani, lub wkładali swoją niepomaganą żywotność, swój nadmiar energii w taką czynność, jakiej się chwycić dało. Cywilizowali Syberję, pracowali, uczyli się i uczyli.

W pogromie tym zginęła Polska — ta Polska, która dla Polaka owoczesnego stała się istotą żywą, która wcielała w siebie całą sumę pojęć, wierzeń, uczuć, wzruszeń, która napawała dusze swoją wszechobecnością, skupiała je jakby w jakim kościele, którego była Bogiem.

Każda wielka miłość najoderwaniej idei prowadzi do jej uosobienia. Myśli się i mówi o niej, jak o istocie żywej, kocha się ją, oddaje się jej, poświęca — jak człowiekowi żywemu z krwi, kości i duszy. Taką była Polska dla wszystkich Polaków

do 63 roku. Jeżeli o różne szczegóły jej ustroju społecznego lub politycznego walczone z namiętnością nieraz, niemniej Ona była. Ludzie ją czuli w sobie, dokoła siebie, widzieli ją jako jakieś promienne widmo, które posiadać musieli koniecznie. Nie była Ona teoretycznym określeniem, nie była czemś warunkowem, była całością, jednością, była koniecznością życia, losów, dziejów świata — była jak słońce dla oczu, jak Bóg dla wiary. Jej imię było święte, jej postać była cudna. Posiąść ją, albo zginać — tak czuli ci ludzie, którzy cokolwiek czuli.

W krwawym mroku, który się wznosił nad pokonanem powstaniem, ta Polska zginęła. Pozostali Polacy, ale Polski nie było — i wtenczas to właśnie „Bóg z Mojżeszowego ukazał się krzaka i przeraził je wszystkie, spytawszy: a jaka”. Nikt nie wiedział. Cudowny posąg rozsypał się w kawałki — z myśli ludzkich zginął jego obraz, z ust jego imię. Ludzie znaleźli się w położeniu tłumy, który grzebie w pogorzelisku świątyni i znajduje jej okrucy, jej rumowiska — przepalone żuźle, kupki popiołów i błota. Ogrom tej świątyni, która leży w tem popielisku, przeraża umysły zgnębione. Nikt jej nie może objąć i nikt nie śmie marzyć o jej odbudowaniu. Ale ten tłum żyje i odradza się, żyje, więc czyni to wszystko, co zapewnia życie. Spełnia mnóstwo drobnych, koniecznych funkcji życia i na rumowiskach swojej chwały i wielkości sadzi rzepe — pracuje organicznie. Tłum ten ma nazwę: jest on narodem żydowskim na ruinach świątyni Salomona, jest on narodem polskim na ruinach Polski.

W klęsce 1863 r. zginęła idealna Polska, ta ojczyzna z myśli i uczuć, która ponad wszystkimi materialnymi podziałami, ponad walkami klas i interesów utrzymuje całość narodu i wskazuje jeden punkt zbieżny dla wszystkich dróg życia. Było Księstwo Poznańskie, Galicya, Królestwo, Litwa, Wołyń, Ukraina — wyszły nawet na wierzch pojedyncze gubernie, jako osobne skupienia interesów i dążeń. Był przemysł, handel, rolnictwo, parcelacya, pozytywizm w Warszawie, stańczycy w Krakowie, klerykalizm w Poznaniu, głucha noc w Wilnie — był chaos interesów i ani jednej idei — idei Polski, idei, któraby mogła skupić umysły i wskazać górny, daleki cel dążeń, zamiast patrzeć sobie pod nogi i wyszukiwania ziaren i plew dobrobytu.

Można było zrozpaczyć do dna i zwątpić ostatecznie — gdyby w mrokach tego upadku nie zaczęły się pojawiać jednostki i gdyby nie zaczęły znów zapełniać się cele cyta deli, zwiastując odrodzenie.

Idea Polski, która przedtem dla wszystkich ludów była wcieleniem najszczytniejszych przejawów zbiorowego życia, zmalała, zszarzała, skurczyła się do pojęcia odrębności etnograficznej, do ciasnego, małostkowego, ograniczonego, egoistycznego zasklepienia

się w utrzymaniu byle jakiego bytu. Był to czas, kiedy ludzie o silniejszych i szerszych duszach odrywali się od polskości, czując, że w tem społeczeństwie niema dla nich miejsca, że gdyby ono miało władzę, wytepiło by ich tak samo, jak ich tepił rząd. Każda jednostka silna i przedsiębiorcza odrywała się i szła albo z ruchem rewolucyjnym rosyjskim, albo — jeżeli była egoistyczną, szła w świat na podbój i po zdobycie dobrobytu, pracując zwykle na pożytek — Rosji.

Rozkład wewnętrzny potęgowany był przez mnóstwo zewnętrznych sił działających rozkładowo na naród pozbawiony wiary w swoją wartość, w moc i prawość swojej sprawy. Trzy systemy rządów, trzy różne sploty warunków prawno-politycznych, trzy rodzaje władców ziem polskich, trzy odcienia losu, który się im narzucał, już same zdolne były wywołać nieskończoną ilość odcieni polskości, niezliczoną moc odcieni pojmowania celów istnienia i środków jego zdobycia. Zmiany pojęć umysłowych, społecznych i politycznych, dokonywujące się w całym świecie europejskim, oddziaływały również na umysł polskie, wkraczając na pole polskiej myśli z pojęciami niekiedy nie dającymi pogodzić się z samą ideą istnienia Polski. Przeobrażenia się stosunków społecznych i narodowych na ziemiach Polski, wychodzenie nowych sił plemiennych i klasowych na powierzchnię życia niemniej wywoływało konieczność przeobrażania się i rozkładu idei polskiej, która była fermentem ruchu w roku 63.

Życie społeczeństw jednak pomimo wszystkich analogii z życiem jednostki różni się z niem zasadniczo w tem, że się ono odradza w nowych pokoleniach, że nowi ludzie, wkraczający w życie pomimo całego naporu sfery, którą znajdują, są niemniej pod wpływem mnóstwa jeszcze innych sił, że pokolenia nowe — są młode i psychologia ich nie godzi się z rozpaczą, bezruchem, beznadziejnością i biernem znoszeniem losu. Odrodzenie więc zawsze jest możliwe dla społeczeństw i nowe pokolenia stają do walki bezpośrednio z niemi stojącym pokoleniem doby upadku, szukając pokrzepienia we wszystkich skarbach, które gromadzi nigdy w zupełności nie pokonana energia narodowego ducha. Polska więc się odradzała, gdzieś w głębi, po za jawnem życiem zewnętrznem.

Chwile upadku i reakcyi po klęskach są zawsze chwilą wystąpienia na czoło społeczeństwa rasy ludzi t. zw. trzeźwych. Są oni albo rzeczywiście umysłami trzeźwymi, t. j. rozważającymi dostępne im dane faktów i zjawisk w porównawczem ich zestawieniu i oświeceniu wydobytemi z historii rzekomymi prawami i tacy wobec klęski snują dalej swoje rozumowanie i robią na użytek społeczeństwa wnioskowania, zamieniając je w praktyczne

radę życia. Te wnioski i rady mogą niekiedy być bardzo mądre i słuszne, zwykle jednak mają tę wadę, że stosują się do układu sił i warunków, które daną klęskę wywołały i nie stosują się do tych stosunków, które nastąpiły po niej; gdyż życie nie stoi ani na chwilę i wymaga ciągłego, nadwyzczaj czujnego uświadomienia wszystkich swoich czynników, jeżeli kto chce swoje rozumowanie pogodzić z jego biegiem.

Bądź co bądź w tej kategorii bywają ludzie z charakterem, którzy w sposób ograniczony ale prawy i bezinteresowny chcą społeczeństwu narzucać swoje pojęcia dla jego dobra. Jestto najmniej szkodliwa, niekiedy nawet pożyteczna kategoria ludzi trzeźwych. Ale jest inna, liczniejsza daleko rzesza ludzi zwących się trzeźwymi, a którzy są właściwie pijani miernością własnych dusz i strachem. Oni to opanowują opinię publiczną oni dla rządu, który zdusił rewolucję, są właśnie najpotrzebniejszymi działaczami i podczas kiedy masa społeczna pracuje nad materyalnemi zdobyczami życia, podczas kiedy nie trzeźw i giną na wygnaniu, na emigracyi lub po więzieniach — oni biorą na siebie reprezentację życia narodowego, oni stają się wyrazem ducha czasu i piętnują swoim charakterem wszystkie objawy publicznego życia, wszystkie jawne drgnięcia narodowego bytu.

Po roku 63 Polska została opanowaną przez takich właśnie ludzi trzeźwych. Pierwsza ich odmiana krytykowała i odbierała wiarę i ufność w siebie, kazała się biczować i pokutować, wyrzec się mrzonek o niezależności i w pracy około utrzymania bylejakiego bytu trwać i żyć, bez nadziei i chwały — ale trwać. Druga szła dalej i nie tylko obwiniała o szaleństwo i lekkomyślność, ale poniewierała pobudki tego szaleństwa i nie tylko żądała pokuty i wyrzeczenia się mrzonek, ale żądała również prześlągnięcia rządu, który miał jeszcze ręce zakrwawione przy zduszeniu powstania, prześlągnięcia i wmówienia mu, że jesteśmy z nim w zgodzie, że jesteśmy lojalnymi poddanymi i nadal tylko legalnie i jawnie chcemy żyć i pracować dla dobra i chwały państwa, z którem skuł nas los potworny. Ludzi jednak, którzy rozumują i choćby takie wyprowadzają wnioski i zasady postępowania, jest mało w tej kategorii; naogół są to ludzie bez charakteru, bez zmysłu społecznego, ludzie ciasnych i płaskich egoizmów, którzy doskonale odczuwają, że klęska narodowa nie zniszczyła wszystkich środków zaspokojenia jednostkowego egoizmu, że bogactwo, używanie, stanowisko są jak dawniej do zdobycia i że życie ma swój urok pomimo krwawych wczorajszych wypadków. Wogóle ludzie trzeźwi rekrutują się zawsze z pomiędzy tych, którzy mają maximum osobistych dóbr materyalnych i maximum przewagi społecznej, wskutek ustroju, który zapewnia bogactwu i urodzeniu najwyższą sumę przywilejów życia. Jestto ta kategoria ludzi,

która pierwsza z oblężonego miasta wychodzi naprzeciw zdobywczemu nieprzyjaciela, która pierwsza traci ducha i której każdy dowódca twierdzy oblężonej stara się pozbyć, jako rozkładającej męstwo i moc oblężonych. Polska jest oblężoną od stu lat twierdzą, która pod kulami musi nie tylko walczyć, ale pracować — siać, żąć i zbierać plon dla pokoleń. Niestety! ileż razy z tej twierdzy oblężonej wychodzą deputacje i delegacje starające się przebłagać szturmujących wrogów, przebłagać i wymodlić warunki poddania się, które są zawsze zdaniem się na łaskę i niełaskę, bez ocalenia czci i chwały. Taka delegacja sześćdziesięciu szlachty polskiej stała na placu katedralnym w Wilnie 24 września 1904 r. Czy ludzie ci przyszedli z jarzmem niewolniczym na plecach, ze skutkami rękoma, ze stryczkiem na szyi, jak niewolnicy — z musu jak rozbitki w krwawej walce, która była ponad ludzkie siły, czy przyszedli zgrzytając z wściekłości, z poczucia hańby upodlenia, czy gryźli z pianą na ustach ten arkan, na którym ich tam wiedziono? Nie! Oni przyszedli w mundurach kamerjunktów i kamerherów, we frakach, białych krawatach i rękawiczkach, z orderami na piersiach — przyszedli na u p r z e j m e wezwanie generał-gubernatora bez nakazu, bez groźby, bez przymusu. Upodlenie dobrowolne i świadome, skutek dalszy trzeźwej polityki, która się zrodziła w halucynacji strachu.

Doskonale odczuwam w tej chwili, jak dalece ja, który po tej stronie granicy używam zupełnej swobody jako Polak, ja, którego nie podpatrują szpiegdy, na którego nie czyhają żandarmi, którego myśl nie będzie poddawana rewizji cenzuralnej, którego bezpieczeństwo i godność ludzka jest pod ochroną praw państwa cywilizowanego, państwa, którego ustrój zapewnia życie i swobodny rozwój każdej, bodaj najmniejszej grupie etnicznej — jak dalece ja znajduję się w innych, lepszych warunkach, niż ci, którzy żyją pod uciskiem rosyjskiego systemu rządowego. Rozumiem to i rozumiem, że człowiek tam potrzebuje mieć sto razy tyle charakteru, woli, odwagi niż tutaj, tak jak pod gradem pękających bomb musi mieć więcej męstwa, niż w spokojnym życiu codziennym. Rozumiem to i wiem, jak dalece trzeba się poważnie ze swoim sumieniem porachować, ośmielając się ludziom po tamtej stronie granicy, lub ludziom stojącym w krzyżowym ogniu działa, zarzucić tchórzostwo. Rozumiem to doskonale. Ponieważ jednak mam absolutną pewność mego narodowego sumienia, mam więc prawo powiedzieć to, co czuję i to co myślę wobec faktu, który dotyka bezpośrednio najgłębiej każdego z nas i z którego należy koniecznie wydobyć nie tylko chwilę oburzenia, ale i naukę dla życia. My musimy dążyć do tego, żeby na całym obszarze Polski i wszędzie, gdzie są Polacy, obowiązywały te same zasady, ta sama etyka i ta sama mądrość życia. Jestto

konieczny bezwzględnie warunek naszego istnienia, w tem leży nasza moc i możność bytu. Polityka nasza musi być jasną dla każdego z nas, ponieważ walka o Polskę prowadzi się o każdego z nas pojedynczo, walka ta dotyka do najgłębszych, najtajniejszych zakątków istnienia, do rdzenia naszej duszy. Nie możemy w niej odpoczywać i nie wolno nam robić w niej błędów. Polityki naszej nie prowadzi nasz rząd odpowiedzialny i obdarzony zaufaniem powszechnem, polityką naszą prowadzi nasze sumienie, które w każdej chwili musi czuwać, więc musi być czyste i nietknięte ani przez strach, ani przez podłość, ani przez głupotę.

Polityka, taka jak ją prowadzą narody mające własną organizację państwową, jest, poza wszelkimi sztukami i wstydliwymi jej określeniami, prostą sprawą posiadania i używania pewnej własności. Jestto przetransponowany na miliony egoistyczny instynkt jednostki, która chce mieć, używać i zagarniać na swój własny użytek. „Zdobycy myślą ładami”, a prosty Jan lub Paweł myśli groszami. Jedni i drudzy dążą do zdobycia, tylko że Paweł i Jana pilnuje prawo, policja, żeby się hamował w tych dążeniach, a państwa hamuje tylko równie silna żądza innego państwa — zbiorowa pięść, najeżona milionami bagnetów. W tej sferze czynu nie obowiązują żadne subtelności etyczne — obowiązują przeciwnie najpodlejsze pojęcia i popełniają się najnikczemniejsze czyny. Im większy polityk — tem podlejszy człowiek.

Podbój nie kończy się na rozbiciu wojsk i ostawieniu granicznymi słupami zdobytych obszarów, na narzuceniu przez zwycięzców swoich praw, swojej woli ludziom, dąży on do istotnego przyswojenia sobie podbitych krajów, do ich chemicznego zlania z rdzenną własnością, do posięcia dusz ludzkich, do wypłnienia z ich dna pamięci niezależności, poczucia krzywdy, chęci zrządzenia niewoli i nadziei posięcia niezależności — dąży do owładnięcia sumieniami, do wydarcia z nich tych wszystkich sił moralnych, które stanowią świadomość odrębności narodowej, dumę i godność ludzką, poczucie sprawiedliwości i wiary w swoją żywotność — do wydarcia tego wszystkiego, co może krzepić w nieszczęściu i być źródłem odrodzenia. Strachem, podłością, głupotą przepełnia on życie zdobytego narodu, rozkłada jego siłę ducha podstępem, rozpustą, przekupstwem, ciemnotą. Wyzyskuje chciwość, próżność, dumę, łapczywość, zmysłowość i płaskość instynktów, żeby z pokonanych zrobić naprzód niewolników, a potem bezwzględną własność swoją, zatraconą w obszarach jego państw i milionach jego poddanych. Zniszczywszy wszystkie formy życia podbitego narodu, odebrawszy mu wszystkie prawa,

wszystkie urządzenia, wszystkie obyczaje społeczne, nadawszy całemu jawnemu życiu formy swoje, narzuciwszy swój język, czuje jednak zawsze, że jeszcze nie posiadał wszystkiego, nie posiadał dusz — i o nie (w końcu) walczy. Jak dla podbitego narodu dusza każdej jednostki staje się w końcu jedyną jego ostoją — tak dla zdobywcy ogarnienie tej duszy jest ostatnim, najwyższym, najtrudniejszym wysiłkiem do spełnienia.

Napoleon mówił, że zwycięstwo zależy od tego, żeby w pewnej chwili umieć być silniejszym — w bitwie na bagnety i w bitwie na ducha taka chwila jest rozstrzygająca. Są wielkie klęski, które są tylko słabością duszy ludzkiej, która w danej chwili nie zdobyła się na błysk męstwa i woli. Na szczęście — pokolenie, które swemu narodowi taką klęskę zadaje, mija, a nowe pokolenie może być inne.

Pomimo to jednak takie klęski są nieraz zgubniejsze od przegranych bitew. Lepiej stracić tysiące mężnych niż ocalić legion tchórzów. Dopóki ludzkość była stadem uganiającym się za żerem — ten żer był jej jedynym dobrem i bogactwem, z chwilą, w której ludzkość wytworzyła bogactwa moralne — są one bezwzględnie tej samej wartości, co wszelkie inne pierwiastki bytu. Owszem, są większego znaczenia, ponieważ one to stanowią o bycie narodów odrębnym, o utrzymaniu tej zbiorowej duszy, jaką jest naród. Można być bogatym, uczonym, pracowitym, oszczędnym będąc Niemcem, Francuzem czy Czechem — ale Polakiem można być tylko będąc Polakiem. Ażeby nim być, trzeba swojej duszy strzedz od wszelkich kompromisów z tą siłą, która nas niszczy, trzeba być mężnym, wzniosłym i rozumnym ponad nędzą niewoli i ponad pokusami zaprzędania się i upodlenia polskiego sumienia dla jakichkolwiek celów.

Strach, podłość i głupota są najstraszniejszymi wrogami naszego bytu. Ten, kto się boi ogromu rosyjskiego państwa, kto się boi potęgi Niemiec, kto porównywa ilość Polaków z milionami Rosyan lub Niemców i myśli ze strachem o ich sile i zwątpieniem o nas — ten już ma naruszoną całość sumienia polskiego. Kto się nuży walką, kogo własna skóra, własny dobrobyt, bogactwo, znaczenie, własny byt prowadzi do kompromisów z najeźdźcami — ten upadła sumienie polskie. Ten kto przez naiwność, przez brak odwagi myśli, przez niezdolność rozumnego oceniania wypadków i logicznego wnioskowania daje się oszukiwać, łudzić i wywabiać na czyny poniżające, jest również winien, acz nieświadomie, podrywania i marnowania siły ducha narodowego.

Naród w niewoli, który nie spodłał, żyje w ciągłej wojnie. Wojna pochłania ofiary, które są konieczne, są nieuniknionym

skutkiem tego, że się walczy, że się nie poddaje. W tej walce, którą prowadzi od wieku nasz naród, ofiar jest mnóstwo; po szubienicach, po więzieniach, po tundrach nad Leną, po brzegach Sachalinu, wszędzie giną bojownicy swobody. Szkoda ich, ale ich śmierć nie jest bezpłodna. Męczeństwo rodzi męczenników, walka rodzi żołnierzy, ale strach rodzi nikczemnych. Ci są najgorsi — to są trupy gnijące i zarażające dusze.

Trzeźwe opinie, które zawładnęły umysłami po roku 63, urodziły się z przerażenia wobec klęski, podstawą ich uczuciową był strach, a wnioski na tej podstawie wypowiedziane doprowadziły do wytworzenia się pewnych zasad politycznych i pewnych objawów czynu.

Powstanie było przejawieniem się spisku; spiski są robotą tajną, nielegalną. Powstanie skończyło się klęską, stąd wniosek, że spiski i wszelkie roboty tajne są zgubne, że żyć i działać należy legalnie i lojalnie. Oto pierwszy punkt tej polityki, pierwsza zasada nowego programu i wskazówka dla życia. Oczywiście rzecz, że zasada ta jest absolutnie nie do pogodzenia z chęcią życia polskiego narodu, ponieważ legalnie być Polakiem nie wolno. Lojalny i legalnie działający Polak jestto Polak, któryby przyjął prawosławie, wyrzekł się polskiej mowy, polskiej myśli, polskiej przeszłości, któryby przestał być Polakiem, zgodził się z rosyjską treścią i formą rządu — słowem jestto ostatni łajdak. O tem dwóch zdań być nie może. Dla rosyjskiego rządu Polakiem legalnym i lojalnym jest tylko ten, nad którym zabito gwoździe wieka trumny, albo ten, kto spodłał lub udaje się do niego, gdyż przy braku środków zbadania szczerości ludzkiej mowy — rząd zadawała się symulacją, byle miała wszelkie pozory istotnego serwilizmu.

A jednak istnieje legalna polityka polska i lojalny stosunek do rządu. Polega on na tem, że pewna grupa ludzi, przeważnie należąca do najwybitniejszej arystokracji, albo do najbogatszych ludzi wogóle w kraju, usiłuje rządowi wmówić, że kraj jest zadowolony i spokojny, że się wyrzekł mrzonek, że nikt nie myśli o powstaniach i spiskach, że dobro państwa obcego jest dobrem jego poddanych tak dobrze nad Wołgą, Irtyszem, jak i nad Wisłą, Niemnem i Wartą. Grupa ta ludzi żyje w bezpośrednim zetknięciu się z przedstawicielami władzy, otrzymuje dworskie urzędy i w pewnych chwilach w sposób uroczysty występuje jako reprezentantka polskiego lojalizmu, z konieczności wyrażając go w tej formie, jaką jej narzuca ceremoniał przepisany dla urzędników dworskich lub inowierców dopuszczonych do oglądania cesarza, tj. w formie jaknajbardziej serwilistycznej, najbardziej poniżającej godność ludzką, a w szczególności godność polską. Przez dziwne pomieszanie pojęć ta grupa ludzi swoją politykę identy-

fikuje z polityką Aleksandra Wielopolskiego i czci go jako swego patrona. Jestto straszny fałsz — gorzka ironia losu, która na tę dumną głowę Wielopolskiego wkłada błazeńską liberyę nadwornych Polaków.

Wielopolski był nieprzejednanym Polakiem, dumnym, hardym, dbałym o czystość swojej godności Polaka do fanatyzmu — do tragedii. Umysł ograniczony i ciasny, absolutnie pozbawiony tych przymiotów, które stanowią dobrego polityka, niezdolny do widzenia sił zewnętrznych w ich rzeczywistym stosunku, ponieważ własna jego osobistość i bezwzględna wiara w siebie przesłoniła mu wszystko, stanął na czele Polski w fatalnej chwili wzburzenia sił, nad którymi ani on, ani nikt zapanować nie był w stanie. Dobry polityk przychodzi zawsze w porę i wygrywa, zły polityk przegrywa zawsze. Wielopolski przegrał w sposób straszliwy. Z samowolą „stepowego generał-gubernatora”, z uporem kretyna szedł on z siłą wielkiego charakteru, niezłomnej woli przeciw fali, która wstała gdzieś w głębi oceanu historii i musiała fatalistycznie rozbić się, była nieuniknioną, nie do odwrócenia — była koniecznością. Wobec tej fali, wobec narodu pijanego do szafu pragnieniem męczeństwa i nadzieją, ten Wielopolski z radami powiatowemi, z całą swoją autonomią i Szkołą Główną robi wrażenie czelwieka, który, kiedy dom od piwnic do poddaszy w ogniu, zaprowadza elektryczne dzwonki, wodociągi i wentylacje. Żeby Wielopolski był tylko politykiem, byłby boleśnie śmiesznym, ale on był niezłomnym, nieprzejednanym Polakiem. On nie wycierał pałacowych przedpokojów w mundurze kamerjunkra, żeby świadczyć o lojalności Polaków. On przychodził dumny, niepokonany, nieugięty, z wolą granitową, uporem fatalistycznym, charakterem nieugiętym i narzucał tę swoją wolę Aleksandrowi II-mu. To zupełnie inna polityka, niż jego potomków — i tych, którzy się uważają za jego epigonów. Wielopolski nie stałby w Wilnie 24. IX. 1904 przed pomnikiem Katarzyny II-ej. Nigdy! Nie widział on rewolucji, która wrzała w Polsce, chciał ją zdusić, a dla zduszenia jej miał jako oręż tylko Rosyan, którymi pogardzał i których poniewierał! Tragiczny los wielkiego charakteru, sprzęgniętego z ciasnym umysłem. Mieszać go jednak z polityką „prześlągnięcia” jestto poniewierać jedną z najwybitniejszych postaci Polski porozbiorowej. Nie! ta polityka musi sobie szukać innych patronów — było ich niestety dosyć!

Położenie, w jakim się znajduje ta grupa ludzi, między rządem rosyjskim a narodem polskim, jest okropne. Nie mogą oni nigdy być uważani za ludzi prawych, mających poczucie godności ludzkiej i narodowej, za ludzi z charakterem, ponieważ nie mogą ujawnić pobudek swoich czynów. Rząd wymaga lojalności bez zastrzeżeń, bez warunków — nie dlatego przyjmuje wyrazy

i czyny lojalne, żeby za nie coś dać narodowi polskiemu, tylko dlatego, że wierzy w fikcję, że te wyrazy i czyny są bezinteresownym oddaniem się sprawie rosyjskiego państwa przeciwko sprawie polskiego narodu. Wyrzeczenie się „mrzonek” — cóż to jest? Jestto potępienie wszystkich, którzy w ten lub inny sposób wierzyli i wierzą w niezależny byt Polski — potępienie wszystkich bojowników narodowej sprawy od Kościuszki i Dąbrowskiego do studenta, który dziś lub wczoraj został złapany przy rozdawaniu ludowi książeczek zakazanych — więc najbardziej polskich. Społeczeństwo więc, o ile nie jest trupem, o ile jest żywym narodem, odwraca się od tych ludzi, potępia ich bezwzględnie i całe ich upokorzenie, poniżenie, które biorą na siebie rzekomo dla dobra tego społeczeństwa, staje się źródłem zamętu, wewnętrznej walki, rozdziału i takiej niechęci i nieufności, które wykluczają współudział tych ludzi w powszechnej walce o byt narodowy. I ludzie ci z konieczności, dla ustalenia wewnętrznego ładu swego sumienia uznają społeczeństwo za ograniczone, niedorośle do zagadnień wielkiej polityki, traktują je z góry, lekceważą i w tem jednym stają się podobni do Wielopolskiego — to jest w tem, co stanowi jego błąd największy, w tem, co jest najdotkliwszym wyrazem ograniczoności jego umysłu — w tem, że nie rozumieją, że dla polskości bez Polaków nic zrobić nie można. Propagować lojalność wobec rządu w masach, jestto wydawać je ze związanymi rękami na łup wynaradawiającej, zaborczej polityki rządowej. Lojalność może być tylko zachowaną wobec równej lojalności strony przeciwnej. O lojalności rządu świadczą Polska, Finlandya, Żydzi, ziemie nadbałtyckie i sama Rosya. Ten rząd rozбивa sam wszelkie mrzonki o lojalnym stosunku do siebie krajów podobnych — lub spokojnych sąsiadów...

Jesteśmy zmuszeni do lojalnego płacenia podatków i gwałtem lojalnie zabierają nam setki tysięcy obywateli do wojska. Jestto straszne, ale materyalnie w skutkach przemocy konieczne. Jestto faktyczny lojalizm, jedyny, który z przekleństwem musimy zachowywać, ale powinniśmy zawsze czuć, że to jest przemoc. Jesteśmy lojalnymi poddanymi króla pruskiego, płacimy podatki, dajemy rekruta — „jeżeli jednak Bóg zechce nam zwrócić Ojczyznę całą i wolną — ja się woli Boskiej sprzeciwić nie będę” — mówił ks. Jazdzewski w parlamencie niemieckim przed laty, formułując w tem parlamentarnem wyrażeniu istotę rzeczywistego stosunku narodu polskiego do rządów zaborczych, z tem jednak zastrzeżeniem, że Ojczyznę zdobywać trzeba samym z Bogiem lub mimo Boga.

Gra w lojalność jest niebezpieczną dla duszy. Z niej to rodzą się Podbielscy i von Leszczyńscy i von Posadowscy. Z niej rodzą się Adlerbergi, Bergi i Klingenburgi. Czy mamy dojść do tego,

żeby lojalnych Polaków o historycznych nazwiskach robiono generałgubernatorami w Krozach, zdobytych i potrzebujących u s p o k o j e n i a ?

Jedynie rzeczywiście, bo bezwzględnie prawym — lojalnym człowiekiem w Rosji jest Tołstoj, ta wielka postać i mężna dusza, która stoi samotna wobec całej potęgi despotyzmu i z niezachwianym spokojem bóstwa, nie przypuszczającego oporu, mówi temu despotyzmowi najkrwawszą prawdę — głośno i jawnie, bez pseudonimów.

Za dużo u nas piersi na miarę kamerjunkturów, a żadnej na miarę Tołstoja!

Czy mamy zacząć produkować kanalię, której za cenę absolutnego zaprzeczenia się dozwolonem będzie zachować nazwisko i wyznanie i używać w stosunkach domowych języka polskiego?

Im naród podbity ma bardziej skomplikowaną cywilizację, tem trudniej mu się bronić, gdyż trudniej skupić wszystkich w jednym jedynym celu walki o zrzucenie niewoli. Mnóstwo spraw, interesów moralnych i materyalnych, ogrom bogactwa jednostek lub grup społecznych, względy ekonomiczne i zagadnienia umysłowe, wszystko to zabiera myśli, pochłania siłę czynu — odrywa od myśli o niewoli i wypełnia życie skomplikowanym fermentem ogólnoludzkich trosk, pragnień, zwątpień i radości. Zaprzędać się jednemu jednemu uczuciu odczuwania niewoli i pragnieniu jej zrzucenia, jednej jedynej myśli o środkach i sposobach wydobywania się z przemocy, społeczeństwa na poziomie skomplikowanych ustrojów dzisiejszej cywilizacji nie mogą. Zawsze, podczas największego nawet napięcia patryotyzmu, część tylko jednostek tych społeczeństw będzie nim ogarnięta — część tylko będzie jego wymagania stawiać na pierwszym miejscu potrzeb życia. Reszta będzie siać, fabrykować cukier lub maszyny, kupczyć lub uczyć się, wogóle spełniać konieczne zresztą zadania wszechludzkiego bytu. Prowadzi to do mnóstwa kompromisów codziennych z rządem zaborczym, który wkracza na każde pole działalności społecznej i jednostkowej, wszędzie roztacza swoją interesowaną opiekę, wszędzie h a m u j e i przeszkadza, co uważa za jedną świadomą zasadę rosyjskiego urzędnika.

Spółeczeństwo też nasze, poza drogami wielkiej polityki, zawiera i zawierało tysiące kompromisów, które bądź co bądź niszczą i wypaczają prawość duszy. Uprzytomnijmy tylko sobie, że wszystkie kółka, koła tryby, osie i panewki społecznej maszyny pokryte są jak rdzą, jak śniedzią, rosyjskim systemem rządowym, że na każdy nasz czyn czyha ręka, która ma powstrzymać, że na każdą myśl czyha cenzor, żeby ją zgasić, że wszędzie, w każdej chwili czujemy ten straszny smród niewoli i ten obrzydliwy brud przemocy, który chwyta się jak jakaś obmierzła, wstrętna, cuch-

nąca ciecz kleista każdego drgnienia naszej energii życiowej. Żeby ludzie nie zawierali ciągłych kompromisów ze swoim sumieniem narodowym, żeby w każdej chwili nie okłamywali, nie udawali, że nie widzą i że nie słyszą — walka wrzałaby od świtu do nocy, lub cała ludność siedziałaby pod kluczem.

Nie wolno się uczyć tak, jak chce i potrzebuje naród polski, nawet głuchoniemi i ślepi są rusyfikowani. Nie wolno nic zdziałać bez pozwolenia władzy, bez państwowego języka, bez całego łańcucha trudności i szukan. Od generał-gubernatora do urzędnika policyjnego, wszyscy mają prawo i możność wkraczania w życie społeczeństwa, wszyscy mogą zdusić każdą pracę zbiorową lub trud jednostki, jeżeli tylko zechcą, gdyż system rządowy oddaje na łup bez zastrzeżeń społeczeństwo maszynie biurokratycznej.

I oto to społeczeństwo dla zdobycia spokojnej chwili do pracy nad najkonieczniejszymi potrzebami ludzkiego życia, dla wykreślenia się od codziennych, cogodzinnych prześladowań wchodzi w mnóstwo kompromisów, symuluje ciągle lojalność, lojalność w drobnej monecie, jak ludzie, którzy są w stosunku z władzą wyższą, symulują lojalność w milionach. W tem właśnie tkwi niebezpieczeństwo grożące zniszczeniem charakteru w ludziach podbitego społeczeństwa, co za tem idzie obniżeniem jego wartości i siły odpornej. Wróg nieprzejednany, stosujący z konsekwencją bezwzględną jeden i tensam sposób postępowania do wszystkich jednostek, wywołuje powszechną, równomierną odporność. Słabsze charaktery zginą wprawdzie narazie i zmarnieją, ale to, co zostanie, będzie nie do zwalczania, a nowe pokolenia wyrosłe w twardym ucisku będą miały hart niepokonany.

Natomiast tam, gdzie można się wykręcać, bądź udając lojalizm, bądź przekupstwem, tam odporność dusz ludzkich słabnie, charaktery się paczą, a ucisk rozkłada się nierównomiernie na wszystkie warstwy. Człowiek ubogi i człowiek prawy cierpi — człowiek bogaty i układny wykręca się i nie doświadcza ucisku, odrywa się od własnego społeczeństwa i zawiera kompromisy z a s a d n i c z e, demonstrując lojalność obrażając uczucia reszty społeczeństwa. Stróż, u którego policjant znajdzie obrazek z Kościuszką lub książeczkę niecenzuralną, zostaje skazany i ukarany, domy magnatów są niedostępne, tak jak ich życie codzienne ochronione od wtargnięcia niespodzianych rewizji. Podczas więc, kiedy dla biednych życie staje się nieznośnem i zmusza ich wprost do walki jawnej i natychmiastowej, dla bogatych jest ono znośne i wygodne, a ich patryotyczne uczucia nie prowadzą do bezpośredniego czynu, rzucając gdzieś w daleką przyszłość projekcje zamglonych obrazów Ojczyzny wolnej — pięknej mrzonki, bez której i tak życie ma swój urok.

Lojalność i uległość dla rządu nie przeszkadza takim ludziom brać na siebie dużego nawet ciężaru obowiązków społecznych, pracować tam, gdzie można, swoich wpływów, swego bogactwa, stanowiska rodowego lub udziału w urzędach dworskich używać dla obrony tych, którzy sami wykręcić się nie mogą, lub dla obrony społecznych interesów.

Wszystko to prawda, jak prawdą jest, że wpływ tych ludzi nieraz w tym kierunku był skuteczny i dla dobra społecznego pożyteczny, kosztem jednak stałego obniżania charakterów i rozpraszania się idei polskiej w mgłę drobnych interesów.

Upadek ducha po 63 roku był tak wielki, że nikt nie śmiał bronić prawnie tych resztek praw narodowych, jakie jeszcze obowiązywały w Królestwie. Ponieważ w Rosyi źródłem praw obowiązujących są ukazy carskie, opierając się więc na ich brzmieniu przez wiele lat można było bronić praw języka polskiego w szkole i sądownictwie wobec administracji miejscowej, która samowolnie przekształcała w celach rusyfikacyjnych instytucje polskie. Nikt tego nie uczynił. Najpotworniejsze narzędzie ucisku, szkoła rosyjska była obleżona przez rodziców, byleby tylko wpechnąć do tego domu tortur biedne polskie dzieci. Ile podłości, nikczemności popełniano, żeby się dziecko tam dostało, jak drezczono i pilnowano dzieci w domu, żeby miały dobry stopień z rosyjskiego. Byli rodzice, którzy wysyłali dzieci w głąb Rosyi — dla lepszego przystosowania się do narzuconego społeczeństwa systemu wykształcenia.

Nikt się nie bronił, nikt nie wierzył w prawo — co jest świadectwem, jakiemu rządowi kraj podlegał. Porwano wszystkie więzadła, łączące życie publiczne z prawem. Z jednej strony samowola samowładnego urzędnictwa, z drugiej społeczeństwo, z którego sumienia znikła wszelka myśl o obronie, o walce i zaplanowała jedynie chęć wykręcenia się od prześladowania przez możliwe przystosowanie się do narzuconych sobie form życia. Przebłagać, uspokoić i wyprosić jaką ulgę w Petersburgu stało się istotą polskiej polityki u ludzi trzeźwych i wogóle u ludzi stykających się z rządowymi sprawami.

Charakterystycznym dla tych czasów jest to, że na Litwie np. każdy szlachcic wydobywał jakąś starą czapkę wojskową lub czapkę obywatelską, lub jakąkolwiek orderzynę i kładł to na siebie, nazywając to: „Nie bij w mordę” (Nie biej w rożu). Było to cyniczne, dobrodusze upokorzenie i poniżenie, do jakiego doszła polskość — poniżenie, które z czasem z odruchowych czynów wyłkniętego tłumu zostało ujęte w program polityczny, w zasadę, na której miano oprzeć stosunek narodu polskiego do zaborczego rządu.

Jednym z wniosków wyprowadzanych z klęski 63 r. było

potępienie tak zwanej polityki uczuciowej, to jest powodowania się bezpośredniem uświadomieniem niewoli i reagowaniem na nią przez oburzenie, przez pragnienie zrzucenia tej niewoli i działanie pod wpływem tych uczuć. Ludzie, którzy szczególnie czuli się trzeźwi, z lekceważeniem i pogardą nieledwie mówili o wszelkiem objawianiu budzącego się poczucia krzywdy, reakcji przeciw przemocy, oburzeniu — wogóle wszelkiemu przejawieniu się żywej i czynnej świadomości narodowej. I ludzie ci trzeźwi myśląc tak, pisząc i mówiąc nie rozumieli, że ich polityka jest niemniej uczuciowa, lecz wynikająca z innych uczuć.

Polityka, która została zgnębiona w klęsce powstania, była polityką odwagi, posuniętej do szaleństwa, do lekkomyślności, polityka zainicjowana po powstaniu wynikała ze strachu — posuniętego do obojętności paniki. Była również uczuciowa. Pierwsza prowadziła do walki i do klęski bez upodlenia — druga prowadziła tylko do tego ostatniego, gdyż żadnych innych jej skutków w historii czterdziestu lat ostatnich nie można odnaleźć.

Jedną z bardzo cennych zdobyczy Polski po klęsce 63 roku jest zupełny upadek wiary w pomoc jakichś państw obcych, utrata wiary w istnienie jakiejś Europy, która rzekomo „nie pozwoli na to, żeby nas zduszono”. Wiara ta upadła, jestto ogromna korzyść. Niema przyjaciół, liczymy tylko na siebie, walczyć możemy więc pewniej, bez zawodów i biorąc całą odpowiedzialność na siebie, tem mężniej i dzielniej. Na miejsce Europy polityka powojeniowa wprowadziła rząd rosyjski, na który się ogląda, od którego czegoś się spodziewa i w oczekiwaniu tej jego interwencji na naszą korzyść propaguje niedrażnienie, nieskarżenie się, nieoburzanie się, niezdradzanie się z żadnymi programami, potrzebami, — ciche i tępe oczekiwanie na tę łaskę. Zawsze to samo koło zaczarowane: bądźmy lojalni, wyrzeczmy się siebie, a rząd sam nam da to, o czym marzymy! Rząd, któremu o to chodzi, żebyśmy siedzieli cicho, nie marzyli i nie zawadzali, osiągnąwszy cel swojej polityki ma w nagrodę dać nam sam to, co wydarł z trudem i ma przełamać obwód niewoli, którą kuł, hartował i zacieśniał na szyi polskiej do zduszenia. Słowem nonsens!

Ludzie, którzy spełniając wolę rządu przedstawiają się jako lojalni poddani, z którymi rząd rozmawia, uznając ich za rzeczywistych przedstawicieli Polski nie rozumieją, że żeby za nimi stało dziesięć milionów tak samo lojalnych Polaków, rząd by wcale z nimi nie mówił, nie rozumieją, że to, że ich uznają jako Polaków, jest prostem następstwem tego, że po za nimi są miliony nielojalnych Polaków i że jest pewna siła, którą złamać albo pozyskać podstępem potrzeba. Z wojskiem, które

złe się bije, tchórzy i ucieka, nie zawiera się umów — bierze się do niewoli jak stado bydła, lecz z załogą twierdzy, która do twierdzy nieprzyjaciół puszcza wolno, oddając jej honory wojennego ładunku biła się bez zachwiania, której sztandary w strzępach, ciała pokaleczone i broń zdruzgotana, załogę takiej skowe.

Któż będzie zawierać ugodę z kilkudziesięciu panami, którzy zdają się na łaskę i niełaskę? Nikt. Jeżeli jednak po za nimi stoją tysiące dusz męźnych i nieprzejednanych — rząd w pewnych chwilach będzie się starał pozyskać za pomocą tych kilkudziesięciu opinie i uczucia tłumu. Żeby być szanowanym, trzeba mieć za sobą albo milion bagnetów — albo milion dusz, co jest więcej warte. Ci więc, którzy dążąc do wytargowania u rządu znośniejszych warunków życia, mówią z takim strachem albo lekceważeniem lub pogardą o ruchu radykalnym, o całym tym tłumie, który pracuje z narażeniem życia nad podniesieniem do najwyższej siły uczucia narodu, ci nie rozumieją pierwszej litery każdej polityki, której pierwszym postulatem jest mieć siłę. Siłę narodu stanowią ci, którzy z całą bezwzględnością chcą niezależnego bytu i wierzą w jego zdobycie.

Dalszem a konsekwentnem rozwinięciem polityki legalnej jest strach przed młodzieżą, jest stałe o niej mówienie jako o sile ujemnej, jest zupełne negowanie jej dążeń i zapędzanie do książki, egzaminów i pracy.

Czytując niekiedy pisma zachowawcze nie można opanować oburzenia na sposób, w jaki one mówią o młodzieży. Ale to jest logiczne. Młodzież bowiem — nowe pokolenie, w którym odradza się naród, musi być radykalną, musi mieć odwagę i bezpośredniość uczuć, musi chcieć żyć, rozwijać się i zdobywać swobodę. Wieczna walka umysłów starych z młodymi, wynikająca z tego, że umysł starca działa siłą nałogów, a młody siłą świeżych wrażeń i wzruszeń — wieczna ta walka przeniesiona w sferę narodowych dążeń, wydaje ten sam skutek rozłamu dróg i zjadania się wzajemnego, zamiast wspólnego działania dla zdobycia jedynego celu życia — niezależności narodu.

To lekceważenie, z jakim myślą i mówią ludzie chcący prowadzić politykę lojalną o młodzieży, dowodzi również nierachowania się ani z historią lat dawnych ani z doświadczeniem dni bieżących. Przekreślać i nie uznawać udziału młodzieży w życiu narodowym może tylko ten, komu chodzi o zatrzymanie życia w narodzie, o bezruch i martwość, o trupią wegetację, kto nie rozumie, że młodzież ta, gdyby w młodości myślała jak starcy oszołomieni strachem — na starość byłaby spodlonem stadem. Nie rozumieją, że to: „Nie pozwalam!” którym młodzież odpowiada na wszystkie próby wytworzenia rozpaczliwej rezygnacji

i poddania się, że to „Nie pozwalam!” jest najcenniejszym głosem przyszłości!

Zresztą — po ile lat liczyli ci, którzy sprzedali Polskę — a co mówi metryka tych, którzy w przeddzień upadku dążyli do jej odrodzenia? Młodość — to sejm czteroletni, to konstytucja 3 maja, to Kościuszko, Dąbrowski, to Czartoryski w Wilnie, to romantyzm, to wszystko, co stanowi życie, siłę i przyszłość narodu. Młode wojska 31 roku biły się świetnie, ale starzy generałowie byli do niczego. To fakt. Młodzież zrobiła powstanie i przegrała. Ale kto przegrał bitwę pod Sedanem, pod Sadową i kogo młody geniusz Napoleona rozmiótł, jak huragan piaski, jeżeli nie starą Europę? Dzieło wielkiej rewolucji jest dziełem młodych pokoleń, dzieło starców — to Cesarstwo niemieckie. Jakaż wartość jest jednego i drugiego faktu dla ludzkości?

Trzeba raz już odrzucić te uprzedzenia. Młodzież popełnia błędy przez nadmiar energii nierozważnej, starość przez brak energii czynnej — ale błędy pierwszej nie są cięższe od błędów drugiej — a zorza nowych idei jest zawsze sztandarem młodzieży. Żeby naród polski po powstaniu nie wydał nowych pokoleń, które byłyby z ducha młodem, żeby się dalej rodziły tylko tacy ludzie, którzy żyli w nocy przerażenia — nie byłoby już z Polski śladu. I kto dziś patrzy rozumnie na przyszłość narodową, kogo nie paraliżuje niemoc przerażenia, powinien przysłuchiwać się pilnie tętnu życia młodzieży i wtedy tylko rozpaczować, jeśli w niej nic innego nie będzie prócz odbywania przepisanych ćwiczeń naukowych, zdawania egzaminów i cichej, posłusznej pracy nad dobrobytem. Wtedy możnaby rozpaczować — byłibyśmy na wymarcu.

Tylko z tej młodzieży, która żyje górną i chmurną, która żyje potrójnie, stają się z czasem silni i męźni ludzie. Dusza ludzka musi w wielkim wysiłku ku wielkim celom wyrabiać swoje siły, jak się w dźwiganiu ciężarów wyrabia mięśnie.

W nieopatrznie samotnieniu się nawet młodzieży tkwi logika życia, tkwi bezwiedne kształcenie się woli, energii, zdolności do czynu, rzutkości i przedsiębiorczości. Kto chce mieć bitne wojsko, już w czasie pokoju za pomocą ćwiczeń przysposabia żołnierzy do trudów i działania w warunkach wojny rzeczywistej. Japończycy swoją marynarkę ćwiczyli tak, że z rzeczywistym narażeniem życia i losu swoich pancerników prowadzili ćwiczenia — skutek wiadomy. Pedagogia, którą zalecał Matce Polce Mickiewicz, niewiele może być zmieniona i dziś jak dawniej w tej walce trzeba być „jak otchłań w myślach niedościgłym”, trzeba, żeby każdy Polak zasługiwał na najwyższe, najsrozsze kary, jakie rządy zaborcze mogą stosować. Zasługiwał — ale nie koniecznie im podlegał. To znaczy, żeby walczył nie tylko z zapałem, męstwem

i poświęceniem, ale i z rozumem, żeby przeciwstawił doskonałą broń organizacji i rozważnego działania brutalnemu działaniu rządu, lub subtelnym sieciom szpiegowskiej jego organizacji. Tego tylko można nauczyć się w życiu, w walce, w pracy nad zdobywaniem ostatecznego celu dążeń wszystkich pokoleń polskich od lat stu. Doświadczenia jednych pokoleń nie służą następnym.

Jeżeli jednak ta młodzież popełnia głupstwa, jeżeli nie zdaje (sobie) sprawy z tego, co i jak należy czynić, jeżeli jej pobudliwość uczuć i myśli błąka się w bezpłodnych porywach, to winną jest temu nie młodzież, tylko obowiązujący i z przekonania przez dojrzałych podtrzymywany system wychowawczy. Dopóki stary zabobon, że humanitarne wychowanie i wykształcenie jest zależne od bezpłodnego przeżuwania filologii klasycznej, będzie obowiązywał, dopóty człowiek młody w latach 18-20 nie będzie miał żadnych pojęć o stosunkach świata żywego, o warunkach w jakich żyje i działa ludzkość współczesna, nie będzie miał pojęcia o losach i przeznaczeniach swojej Ojczyzny, o obowiązkach i prawach, które posiada, i będzie się rzucał i targał w bezpłodnych drobnych walkach — nim go życie nauczy, gdzie się ma kierować.

Trzeba zacząć wychowywać Polaków, czas najwyższy, żeby się wziąć do tego. Ale gdzie są wychowawcy? Gdzie są ludzie wielkich umysłów i wielkich charakterów, nie urzędnicy, nie stronnicy rozmaitych partii, nie woły pedagogiczne, ciągnące jarzmo swoich trudnych obowiązków z cierpliwością i rezygnacją maszyny? Gdzie są wielcy Polacy? Gdzie jest wielka idea wychowawcza? Ci, co z taką nieraz pogardą mówią o młodzieży, niech się zastanowią nad tem pytaniem i niech surowo i w sposób całkiem prawy przyjrzą się sobie, swoim duszom...

Ta nieufność do młodzieży, która w tej lub innej formie jest siłą czynną — już sama wskazuje, że polityka lojalna jest polityką bierną, nie prowadzi nigdzie i nic nie jest w stanie dla sprawy narodowej zrobić, ponieważ jej punkt oporu nie jest w ręku jej wyznawców, lecz w ręku rządów zaborskich. Polityka ta nie może stawiać żadnych żądań, ani nie zdobywać, jest ona bezczynem, w pewnej lojalnej pozie wyczekiwaniem, czy i kiedy przejdzie zły humor i chęć prześladowania u zdobywców.

Jedno i drugie trwa jednak z pewnymi odmianami napięcia, ale bez przejścia w stan uczuć biegunowo przeciwnych. Ludzie, którzy tę politykę prowadzą i którzy chcieliby dla niej pozyskać społeczeństwo całe, są w położeniu, w jakim był Stanisław August w Petersburgu. Był królem polskim, miał dwór, order

i był „przyjacielem” Pawła I-go, który mu okazywał życzliwość, w czasie wielkich uroczystości sadzał przy sobie, pozwalał mu być królem polskim na wymarcu i w końcu uczcił pogrzebem i płytą nagrobną. To jest wymowny i straszny symbol, tego, jakaby była Polska lojalna, jakim jest każdy lojalny występ przedstawicieli Polski i jakim był też udział tych przedstawicieli przy odsłonięciu pomnika Katarzyny II-giej w Wilnie. Schodzimy do roli Chiwarców i Bucharców, którym dają złotem szyte kaftany i używają za figurantów przy rządowych uroczystościach. Polityka ta, która jej wyznawcom wydaje się rozważną i poważną, jest lekkomyślnem budowaniem na lotnym piasku rosyjskiej państwowości — raczej na topielisku bagiennym, które wchłania w sobie czasy, ludy i pokolenia, zalewając je stale temsamem błotem niewoli, ucisku i martwoty.

Co jest Rosya? Jestto rząd, rewolucja i Tołstoj. Niema tam prawie społeczeństwa, niema narodu, jak niema pojęcia Ojczyzny. Z rządem musimy walczyć, rewolucji współczuć i czcić Tołstoję i jemu pokrewne dusze. To jest formuła naszego stosunku do Rosyi. Być lojalnym, to znaczy zgodzić się z systemem rządowym, służyć mu i wspierać przeciwko tym wszystkim dodatnim porywom, które z taką wytrwałością i tak bezwzględną odwagą, męstwem i poświęceniem walczą z tym systemem, który jest potwornym despotyzmem bez despoty, despotyzmem, który wynika nie z potężnej i proporcjonalnej do ogromu państwa woli jednostki, tylko z niewolnictwa dusz tych milionów ludzi, którzy to państwo zaludniają. Jaki naród — taki rząd. Biada jednak ludowi o wyższym poziomie istotnej kultury, kultury dusz, który się pod taki rząd dostaje, jak biada jednostkom, które z niewolniczego mrowia wznoszą się i żądają ustroju odpowiadającego wyższemu potrzebom ludzkiego bytu — niezależności dusz i czci dla ludzkiej godności.

Samowładztwo jest fikcją, która się utrzymuje tylko dzięki bezwładowi, w jakim leżą ocieźnięte masy ludowe. Dość spojrzeć na mapę Rosyi, dość uprzytomnić ilość jej mieszkańców, różnorodność ras ludzkich, klimatów ziemi, różnorodność stopnia kultury ludów, które obejmują jej granice i różnorodność państw, które z temi granicami się stykają, żeby zrozumieć, że tylko najpotężniejszy geniusz mógłby się może zdobyć na jakieś prawdopodobieństwo rządzenia takim lądem. Geniusze jednak nie są przywilejem ras panujących i fatalną koniecznością życia jest, że miejsce ich zajmują zera — a państwo rozbija się na miazg drobnych satrapii, współdziałających wzajemnie dla utrzymania stosunków i warunków, które im zapewniają największe przywileje życiowe. Fikcja samowładztwa staje się rzeczywistością w postaci organizacji biurokratycznej.

„Car jest niewolnikiem historii” (car jest rab historii) mówi Tolstoj. Do jakiego stopnia jest to prawdą, możemy sprawdzić na czwartym już za pamięci mego pokolenia panującym rosyjskim.

Władając takimi obszarami i tylu milionami ludzi, można samemu robić historię, można mocą swojej myśli i woli stwarzać wewnątrz i zewnątrz państwa takie układy stosunków, których doniosłość sięga w niezmierzone dale przyszłości, „można zostawić odcisk swojej ręki na tysiącach lat jak na wosku” — ale na to trzeba być geniuszem. Trzeba mieć przepotężną wolę i pewną własną treść ducha i pewne szczególne przymioty psychiczne, które pozwalają działać w takim zakresie czynu. Najbliższy nam a jeden z największych, jacy kiedy byli, jest na tyle znany, że wiemy, jak funkcjonowała ta zadziwiająca istota ludzka, która rzeczywiście tworzy historię, jak działał Napoleon. Lecz czym jest państwo Napoleona w porównaniu z obszarem Rosji: Drogi jego największych pochodów są tylko ułamkami dróg ciągnących się od jednych do drugich granic tego potwornego cielska państwowego. Dajcie taki punkt oporu geniuszowi, który będzie miał wielką ideę do wcielenia, który będzie miał niezniszczoną pojemność pamięci szczegółów, nieukróconą lotność myśli, niezgłębioną zdolność pojmowania, wolę potężną i niewyczerpaną potęgę energii czynu, a wyważyłby on ludzkość z jej prawiecznych posad, stworzyłby nowe formy jej bytu i wyciągnął nowe drogi jej pochodzenia w wieczność.

Zamiast tego u szczytu stoi „rab historii” — a ponad ludami i milionami istnień cięża niewola, zaduch martwoty, topielisko nędzy, w którym się wije robactwo urzędnicze.

Stanisław WITKIEWICZ

Zakopane. Wrzesień - październik 1904.



... Walczę i umrę jedynie dlatego, że w wychodku, jakim jest nasze życie, żyć nie mogę, to ubliża — ubliża mi, jako człowiekowi z godnością nie niewolniczą...

... Chcę właśnie sobą ... podkreślić tę gorzką, bardzo gorzką prawdę, że w społeczeństwie, które walczyć o siebie nie umie, które cofa się przed każdym batem, spadającym na twarz, ludzie ginąć muszą nawet w tem, co nie jest szczytnem, pięknem i wielkiem...

Józef PIŁSUDSKI

(Z listu do Feliksa Perla w jesieni 1908 r., przed wyprawą bezdarńską).

Epilog*

Marksizm był największą fantazją naszego stulecia. Był marzeniem o społeczeństwie doskonałej jedności, w którym wszystkie aspiracje ludzkie zostaną spełnione i wszystkie wartości — pogodzone. Przejął wprawdzie Hegłowską teorię „sprzeczności postępu”, ale przejął też liberalno-ewolucjonistyczną wiarę, wedle której „w ostatecznym rachunku” musi się okazać, iż historia nieuchronnie posuwa się ku lepszemu i że wzrost ludzkiego panowania nad naturą oznacza także (po pewnej przerwie) wzrost wolności. Zawdzięczał znaczną część swojego sukcesu temu, iż połączył mesjaniczne fantazje z realną sprawą społeczną, jaką była walka europejskiej klasy robotniczej przeciw wyzyskowi i biedzie oraz ujął tę kombinację w koherentną całość opatrzoną absurdalnym, od Proudhona przejętym tytułem „naukowego socjalizmu”. Tytuł był absurdalny, ponieważ naukowe mogą być techniki osiągania celów, lecz nie — akty ustanawiania celów. W tytule tym kryło się jednak znacznie więcej, niż kult nauki, który Marks dzielił ze swoją epoką. Kryła się także wiara — wielokrotnie przy różnych okazjach w toku niniejszego wykładu rozważana — że wiedza ludzka i ludzka, wolą kierowana praktyka, zbiegną się w doskonałej jedności i staną się nieodróżnialne, że więc właśnie akty ustanawiania celów oraz zabiegi poznawcze i praktyczne zmierzające do ich osiągnięcia staną się tym samym. Naturalną konsekwencją tej konfuzji było przeświadczenie, iż sukces pewnego ruchu społecznego jest zarazem dowodem na to, że ruch ten jest posiadaczem „prawdy” w naukowym znaczeniu słowa, czyli, z grubsza mówiąc, że kto się okazuje silniejszy, ma tym samym w ręku „naukę”. Myśl ta jest w znacznym stopniu

* „Epilog” jest zakończeniem trzeciego i ostatniego tomu *Głównych nurtów marksizmu*. Tom II-gi ukazuje się na jesieni bież. roku a tom III-ci prawdopodobnie w końcu bież. roku.

odpowiedzialna za wszystkie antynaukowe i antyintelektualne funkcje marksizmu w jego szczególnej formie, jaką jest ideologia komunistyczna.

Powiedzenie, że marksizm był fantazją nie oznacza, że był tylko fantazją. Trzeba odróżnić marksizm jako interpretację historii minioniej od marksizmu jako ideologii politycznej. Nikt rozsądny nie zaprzecza temu, że tak zwany materializm historyczny był istotnym przyczynkiem do naszej historii intelektualnej i wzbogacił znacznie nasze myślenie o historii minioniej. Była mowa o tym, że teoria ta, ujęta w wersji rygorystycznej, jest nonsensem, ujęta zaś w wersji rozluźnionej — jest banałem, że jednak stała się banałem głównie dzięki Marksowi. Co więcej, jeśli marksizm przyczynił się do lepszego rozumienia zjawisk kultury i ekonomiki minionych epok, nie było to zapewne bez związku z faktem, że teoria materializmu historycznego wypowiediana była przez samego Marksa nieraz w formułach skrajnych, dogmatycznych i nie nadających się do przyjęcia; gdyby obwarowana była wszystkimi możliwymi zastrzeżeniami i restrykcjami, jakich normalnie oczekuje się w racjonalnym myśleniu, nie odegrałaby zapewne tej roli i mogłaby przejść niezauważona; to, co było w niej absurdalne, stało się skutecznym nośnikiem jej racjonalnych treści — jak to nieraz bywa z teoriami humanistycznymi. Pod tym względem rolę Marksizmu można by przyrównać do roli psychoanalizy lub behaviorizmu w naukach społecznych. Zarówno Freud, jak Watson wypowiadali swoje teorie w formie skrajnej i dzięki temu właśnie udało im się zwrócić powszechną uwagę na istotne problemy oraz zainicjować ważne i płodne punkty widzenia czy też kierunki eksploracji w naukach humanistycznych; nie osiągnęliby przypuszczalnie tych wyników, gdyby skrupulatnie wprowadzili do swoich teorii wszystkie możliwe ograniczenia, i przez to pozbawiali je wyrażnie zarysowanych, polemicznych sylwetek. Tak zwane socjologiczne ujęcie kultury powstało przed Marksem lub współcześnie z nim, lecz niezależnie od niego — w dziełach Vico, Herdera, Montesquieu, potem Micheleta, Renana, Taine'a. Żaden z nich jednakowoż nie ujął swoich spostrzeżeń w owej formie skrajnej, jednostronnej, dogmatycznej, która stała się siłą marksizmu.

Z dziedzictwem intelektualnym Marksa stało się, w rezultacie, coś podobnego, co miało się stać następnie z dziedzictwem Freuda. Ortodoksi-wyznawcy istnieją nadal, ale ich płodność kulturalna jest znikoma; to, z kolei, co marksizm wprowadził do wiedzy humanistycznej, zwłaszcza do nauk historycznych, rozplynęło się w kulturze jako rzeczy niemal powszechnie uznane i utraciło związek z jakimkolwiek „systemem” o wszechwyjaśniających pretensjach. Nie trzeba dziś ani uważać się za „marksistę”

ani za takiego uchodzić, aby, na przykład, badać historię literatury lub historię malarstwa z uwzględnieniem konfliktów społecznych badanej epoki; nie trzeba też wcale w tym celu zakładać, że cała historia ludzka jest historią walk klasowych, że różne dziedziny kultury nie mają własnej historii, bowiem „prawdziwa” historia jest historią techniki i „stosunków produkcyjnych”, że „nadbudowa” wyrasta z „bazy” itp.

Uznanie ograniczonej ważności materializmu historycznego nie jest tym samym, co uznanie marksizmu, m.in. dlatego, że fundamentalnym rysem doktryny od samego początku była wiara, iż sens historycznych procesów jest uchwytty tylko, gdy minioną historię interpretuje się w świetle historii przyszłej, to znaczy, że można zrozumieć to, co było i jest tylko wtedy, gdy się ma wiedzę o tym, czego nie ma jeszcze. Bez roszczeń do „naukowej znajomości” przyszłości marksizm nie jest sobą — w tej sprawie nie ma bodaj sprzeciwu. Pytanie polega na tym, czy wiedza taka jest w ogólności możliwa. Czynność przewidywania jest, oczywiście, nie tylko składnikiem wielu dziedzin nauki, ale jest nieusuwalną częścią wszystkich ludzkich praktycznych zabiegów, nawet najbłahszych, chociaż nie można mieć o przyszłości „wiedzy” w takim samym sensie, jak o faktach już zaszłych, gdyż nie istnieje przewidywanie bez współczynnika niepewności. Kwestia polega na granicach racjonalności przewidywania. „Przyszłość to zarówno to, co się zdarzy za minutę, jak to, co się zdarzy za milion lat: trudności przewidywania rosną, jak wiadomo, zarówno z rozległością czasu rozważanego, jak z komplikacją przedmiotu. Przewidywania, nawet krótkookresowe, odnoszące się do zjawisk społecznych, są, jak także wiadomo, nadzwyczaj zawodne, nawet jeśli chodzi nam o jedną tylko, ilościowo obliczalną jakość (jak w prognozach demograficznych). Na ogół przewidujemy po prostu ekstrapolując istniejące tendencje, wiedząc wszelako, że ekstrapolacje takie zawsze i wszędzie mają nader ograniczony walor i że wszystkie krzywe rozwojowe we wszystkich dziedzinach nie ciągną się nieograniczenie długo wedle jednego równania. Co do prognoz w skali globalnej i czasowo nieograniczonej, są one po prostu fantazjami (pozytywnymi czy negatywnymi). Nie istnieje żadna racjonalna metoda przewidywania „przyszłości ludzkości” w znacznej skali czasowej ani prorokowania przyszłych „formacji społecznych”. Myśl, że można nie tylko przewidywania takie „naukowo” czynić, ale że nadto od wyników tych przewidywań zależy cała nasza interpretacja minionych dziejów (a właśnie to się zakłada w całej marksistowskiej teorii „formacji społecznych”) jest jedną z racji, dla której ta doktryna jest urojeniem, a także nadaje jej polityczną skuteczność; rozległość wpływu, jaki marksizm zdobył, nie tylko nie jest wynikiem (ani dowodem) jego

naukowych walorów, ale przeciwnie, zależy niemal całkowicie od jego stron profetycznych, fantazyjnych, irracjonalnych. Marksizm jest dostarczycielem ślepej ufności co do wspaniałego świata wszechzaspokojenia, który oczekuje ludzkość tuż za rogiem. Prawie wszystkie proroctwa zarówno Marksa, jak późniejszych marksistów okazały się fałszywe; nie narusza to jednak stanu duchowej pewności, jaki przysługuje wyznawcom, nie inaczej, niż we wszystkich oczekiwaniach znanych z chiliastycznych ruchów religijnych; pewność ta nie wspiera się bowiem na żadnych empirycznych przesłankach, żadnych domniemanych „prawach historycznych”, ale wyłącznie na psychologicznej potrzebie pewności. W tym sensie marksizm pełni istotnie funkcje religijne i skuteczność jego ma religijny charakter; jest to jednakże religia karykaturalna i podsztyta złą wiarą, ponieważ swoją doczesną eschatologię usiłuje przedstawiać jako osiągnięcie naukowe, czego mitologie religijne nie czynią.

Była już mowa o tym, jaki rodzaj ciągłości zachodzi między doktryną marksistowską a jej praktycznym wcieleniem w ruchy komunistycznym, tj. w ideologii i praktyce leninizmu-stalinizmu. Byłoby absurdem twierdzenie, że marksizm jako przyczyna sprawcza wyprodukował, by tak rzec, dzisiejszy komunizm. Komunistyczna doktryna nie jest jednak, z drugiej strony, żadną „degeneracją” marksizmu, ale jedną z jego możliwych interpretacji, a nawet interpretacją dobrze podbudowaną, chociaż sprymitywizowaną i okrojona. Marksizm był zespołem wartości, które okazały się — z powodów empirycznych, nie logicznych — niewspółrzędne i jedno z nich mogły być urzeczywistniane tylko kosztem innych. Ale Marks był tym, który oznajmił, że cała idea komunizmu da się streścić w jednym wyrażeniu: zniesienie własności prywatnej; że państwo przyszłości ma przejąć scentralizowane zarządzanie środkami produkcji i że zniesienie kapitału oznacza zarazem zniesienie pracy najemnej. Nie było nic rażąco niesłusznego w takiej interpretacji tych zaleceń, wedle której wywłaszczenie burżuazji i upaństwowienie fabryk oraz gruntów jest tym samym, co powszechne wyzwolenie ludzkości. Wyszło na jaw, że można, upaństwowiwszy środki produkcji, zbudować monstrualny system ucisku, wyzysku i kłamstwa. System ten nie był skutkiem marksizmu; komunizm był jak gdyby bękartem idei socjalistycznej; wyrósł z kombinacji wielu historycznych okoliczności i wielu przypadków; marksistowska ideologia była jedną z okoliczności, które współdziałały w jego powstaniu. Nie ma jednak powodu twierdzić, że została w zasadniczy sposób „sfalszowana”. Dzisiejsze debaty mające na celu wykazanie, że „Marksowi nie o to chodziło”, są jałowe intelektualnie i praktycznie. Intencje Marksa nie są rozstrzygające w rozważaniu historycznych

losów jego doktryny, a wśród argumentów na rzecz wolności i wartości demokratycznych jednym z mniej ważnych jest argument, że Marks, gdy się bliżej przyjrzyć, nie zwalczał tych wartości tak stanowczo, jak się na pierwszy rzut oka wydaje.

Romantyczne swoje marzenie połączył Marks, co więcej, z socjalistyczną nadzieją na doskonałe zaspokojenie wszystkich potrzeb w oczekiwanym Państwie Słońca. U wczesnych socjalistów hasło „każdemu wedle potrzeb” miało, jak się zdaje, sens ograniczony: chodziło o to, by ludzie nie cierpieli głodu, chłodu i nie musieli zmagać się bez przerwy z niedostatkiem elementarnym. Marks jednak, a za nim wielu marksistów wyobrażało sobie, że w socjalizmie niedostatek w ogólności zniknie. Można było rozumieć te nadzieje w ten sposób, że wszystkie potrzeby będą zaspokojone, że każdy będzie nosił na ręku pierścień czarodziejski, który każde życzenie natychmiast spełni. Ponieważ jednak trudno było brać taką nadzieję na serio, tedy marksiści, którzy rozważali sprawę potrzeb, podkreślali (do czego zresztą łatwo było znaleźć asumpt u Marksa samego), że komunizm ma na tym polegać, iż zostaną zaspokojone „prawdziwe”, „autentyczne” potrzeby, zgodne z istotą człowieka, nie zaś wszystkie zachcianki i kaprysy. Wtedy jednak powstawał problem przez nikogo wyraźnie nie rozstrzygnięty: kto ma decydować o tym, które potrzeby zasługują na miano „prawdziwych” i wedle jakich reguł je wyróżniać. Jeśli w tych sprawach każdy dla siebie samego jest sędzią, wówczas wszystkie potrzeby są równie „prawdziwe”, jeśli tylko są faktycznie, subiektywnie doświadczane i odróżnienie nie ma sensu. Jeśli zaś o „prawdziwości” potrzeb decyduje państwo, oznacza to, że największe wyzwolenie w historii ludzkości ma polegać na wprowadzeniu powszechnego systemu kartkowego na wszystkie dobra.

W tej chwili widoczne jest dla wszystkich oprócz garstki młodzieży z „nowej lewicy”, że socjalizm nie może polegać na „zaspokojeniu wszystkich potrzeb” w dosłownym sensie, lecz tylko na sprawiedliwej organizacji niedostatku, przy czym problem polega zarówno na tym, skąd wziąć definicję tego, co jest „sprawiedliwe”, jak i na tym, za pomocą jakich mechanizmów społecznych pojęcie sprawiedliwości będzie się każdorazowo określać. Ideał równości doskonałej, tj. równego udziału wszystkich we wszystkich dobrach, niezależnie od pracy, jest nie tylko ekonomicznie niewykonalny, ale jest wewnętrznie sprzeczny, albowiem doskonała równość jest wyobrażalna tylko w warunkach skrajnego despotyzmu, a despotyzm zakłada nierówności co najmniej w tak podstawowych dobrach, jak udział we władzy i dostęp do informacji (na tym też polega beznadziejność współczesnego „gosyzmu”, który domaga się, by było coraz więcej rów-

ności i coraz mniej państwa; w rzeczywistości więcej równości oznacza więcej państwa, a równość absolutna — państwo absolutne).

Socjalizm, jeśli ma być czym innym, niż totalitarnym superwizjowaniem, może być tylko systemem kompromisów pomiędzy różnymi, ograniczającymi się wzajem wartościami. Wszecchobemu planowanie gospodarcze, nawet gdyby było możliwe (a jest prawie powszechna zgoda co do tego, że możliwe nie jest), nie daje się uzgodnić z autonomią małych jednostek wytwórczych i regionalnych, a taka autonomia należała do tradycji socjalistycznych wartości, chociaż nie w socjalizmie marksistowskim. Postęp techniczny nie może współistnieć z doskonałym bezpieczeństwem życiowym wszystkich ludzi. Między wolnością i równością, między planowaniem i autonomią małych grup, między demokracją ekonomiczną i kompetentnym zarządzaniem zachodzą nieuchronne konflikty, które mogą być łagodzone tylko w drodze kompromisów i rozwiązań cząstkowych.

Wszystkie instytucje społeczne, które w rozwiniętych krajach industrialnych doprowadziły do złagodzenia nierówności społecznych i zapewniły ludziom minimum bezpieczeństwa życiowego (podatki progresywne, społeczna służba zdrowia, zasiłki dla bezrobotnych, kontrola cen itd.) zbudowane zostały i rozszerzane są za cenę ogromnego rozrostu biurokracji państwowej i nikt nie umie powiedzieć, w jaki sposób można tej ceny nie płacić. Instytucje te należą w tej chwili do powszechnie uznanych zdobyczy cywilizacji i pytanie polega nie na tym, w jaki sposób biurokracja, niezbędna w ich funkcjonowaniu, mogłaby być usunięta, ale w jaki sposób społeczeństwo może sprawować nad nią demokratyczną kontrolę.

Wszystkie te kwestie mają niewiele wspólnego z marksizmem i doktryna Marksa jest niemal zupełnie bezużyteczna w ich rozważaniu. Idea demokratycznego socjalizmu nie ma nic wspólnego z apokaliptyczną nadzieją na koniec historii, z wiarą w nieuchronność historyczną socjalizmu i w naturalną sukcesję „formacji społecznych”, z doktryną „dyktatury proletariatu”, z gloryfikacją przemocy, z wiarą w samoczynną wartość upaństwowienia przemysłu, z fantazjami na temat społeczeństwa bezkonfliktowego i gospodarki bez pieniądza. Jest próbą budowania instytucji, które stopniowo mogłyby ograniczać podporządkowanie produkcji zyskowi, usuwać nędzę, zmniejszać nierówności, znosić społeczne bariery utrudniające dostęp do wykształcenia, minimalizować zagrożenie swobód demokratycznych ze strony zarówno biurokracji państwowej, jak pokus totalitarnych. Wszystkie te wysiłki i próby są beznadziejne i bezproduktywne, jeśli wartość wolności (wol-

ności „negatywnej” przez Marksa napiętnowanej, to znaczy wolności mierzonej zakresem decyzji, jakie organizacja społeczna pozostawia do uznania jednostki) nie stanowi ich nieusuwalnego jądra; nie tylko dlatego, że wolność jest wartością samocelową, nie wymagającą uzasadnienia w innych, ale również dlatego, że jest ona warunkiem, pod którym społeczeństwa zdolne są do samonaprawy (systemy despotyczne, pozbawione samoregulujących mechanizmów, zdolne są korygować swoje błędy tylko w wyniku katastrof).

Zamrożony i unieruchomiony przez dziesięciolecia jako ideologiczna nadbudowa totalitarnego ruchu politycznego, marksizm jak gdyby utracił kontakt zarówno z rozwojem intelektualnym, jaki się w tym czasie dokonywał, jak z realnościami społecznymi. Nadzieja, że może być przywrócony do życia i nabrać ponownie płodności, okazała się krótkotrwała i próżna. Jako „system” wyjaśnienia jest martwy; nie zawiera także żadnej „metody”, skutecznie dającej się użyć w interpretacji współczesnego życia, w przewidywaniach przyszłości czy w utopijnych projekcjach. Współczesna literatura marksistowska, ilościowo nader pokaźna, sprawia przynajmniej wrażenie jałowości i bejsy (pomijając przyczynki historyczne).

Skuteczność marksizmu jako narzędzia politycznej mobilizacji jest sprawą zgoła odmienną. Jak była o tym mowa, „marksizm” występuje jako frazeologiczne narzędzie w obronie najrozmaitszych interesów politycznych. W krajach komunistycznych w Europie marksizm jako oficjalna legitymizacja istniejącej władzy utracił niemal całkowicie siłę oddziaływania; w Chinach przybrał postać nie do poznania zdeformowaną. Gdziekolwiek jednak komunizm jest u władzy, klasa rządząca tworzy ze swego „marksizmu” ideologię, której właściwą treścią są hasła nacjonalistyczne, rasistowskie lub imperialne. Komunizm, który przyczynił się potężnie do rozbudzenia ideologii nacjonalistycznych, posługując się nimi dla zdobycia lub utrzymania władzy wyprodukował swoich własnych grabarzy. Nacjonalizm żywy jest tylko jako ideologia nienawiści, zawiści i żądzy władzy; jako taki jest czynnikiem rozkładu komunistycznego świata, którego spójność opiera się wyłącznie na przemocy. Świat opanowany przez komunizm bądź mógłby istnieć dzięki dominacji jednego imperializmu bądź byłby niekończącą się serią wojen między „marksistami” rządzącymi w poszczególnych krajach.

Jesteśmy świadkami i uczestnikami potężnych i zróżnicowanych procesów duchowych, których łączne wyniki nie dają się przewidzieć. Z jednej strony obserwujemy załamanie wielu optymistycznych i humanistycznych stereotypów, odziedziczonych po

XIX-tym stuleciu, upowszechnione poczucie impasu, w jakim znalazły się różne dziedziny kultury. Z drugiej strony, dzięki niewiarygodnej prędkości i rozrostowi informacji, aspiracje ludzkie na całym świecie rosną znacznie szybciej, niż możliwości ich zaspokojenia, co powoduje ogromniejącą masę frustracji, a co za tym idzie — gotowości do agresji. Komunizm okazał się bardzo sprawny w kanalizowaniu frustracyjnej agresji i sterowaniu nią w najrozmaitszych kierunkach, zależnie od okoliczności, posługując się przy tym ułamkami marksistowskiej frazeologii. Mesjanistyczne nadzieje są odwrotną stroną rozpacz i poczucia bezsilności, jakie ogarnia ludzi na widok przez siebie samych spowodowanych klęsk. Optymistyczna wiara, że wszystkie problemy i nieszczęścia ludzkie mają gotowe i natychmiastowe rozwiązanie i że tylko złośliwość tak lub inaczej identyfikowanych wrogów nie pozwala tych rozwiązań błyskawicznie zastosować, występuje często w ideologicznych twórcach znanych pod nazwą marksizmu (który z tej racji musi zmieniać treść zależnie od sytuacji i współtworzyć hybrydy z różnymi innymi tradycjami ideologicznymi). W tej chwili marksizm ani nie tłumaczy świata, ani go nie zmienia, jest tylko zasobnikiem haseł służących organizowaniu różnych interesów, nie mających najczęściej nic wspólnego z tymi, z jakimi marksizm w pierwotnej formie się identyfikował. Po stu latach, jakie minęły od upadku Pierwszej Międzynarodówki, widoki na powstanie nowej międzynarodówki, zdolnej bronić interesów ludzi uciskanych całego świata, są mniejsze, niż kiedykolwiek.

Samoubóstwienie człowieka, które mu marksizm dał filozoficzny wyraz, kończy się tak samo, jak wszystkie, indywidualne i zbiorowe, próby samoubóstwienia: ukazuje się jako farsowa strona ludzkiej niedoli.

Leszek KOŁAKOWSKI

PRZEMIANY

PISMO POLSKIEJ PARTII SOCJALISTYCZNEJ

Wydaje Komitet Główny PPS w Niemczech.

ARTYKUŁY, OPINIE, WIADOMOŚCI I OCENY Z KRAJU.

Ukazuje się od roku 1974 raz na dwa miesiące.

Cena numeru pojedynczego (16 str.): DM 1,00, podwójnego: DM 2,00

Zamówienia prosimy kierować:

T. PODGÓRSKI — 8 MÜNCHEN 40, UNGERERSTR. 47.
W. GERMANY

Co wypełni próżnię?

Istotę „Eurokomunizmu” stanowią dwa zjawiska. Z jednej strony neologizm ten oznacza „odrębną drogę”, „specjalną formę” komunizmu deklarowaną przez zachodnio-europejskie partie komunistyczne. Wiąże się ona z głoszoną niezależnością od Moskwy oraz z uznaniem zasady działania w ramach systemu demokracji parlamentarnej. Z drugiej strony słowo „Eurokomunizm” oddaje proces wzrastającego w szybkim tempie wpływu partii komunistycznych oraz komunistyczno-socjalistycznej koalicji lewicy wśród szerokich mas uprzemysłowionych, bogatych krajów Zachodu. I chociaż zjawisko „Eurokomunizmu” odnosi się w pierwszym rzędzie do trzech krajów (Włochy, Francja, Hiszpania), wzrost wpływów haseł lewicy ma o wiele szerszy zasięg. Nie wiąże się on bynajmniej z reguły z liczebną siłą partii komunistycznych w danych krajach. Wielka Brytania stanowi doskonałą ilustrację tego stwierdzenia.

Istnieje jakiś głęboki paradoks, jakaś tragiczna ironia w tym renesansie wpływów lewicy, w zjawisku ponownej fascynacji starymi, zbankrutowanymi programami i sloganami, jakiej ulegają miliony ludzi w krajach zachodnich. Hasła powstałe w ubiegłym stuleciu, postulaty sformułowane w odniesieniu do krańcowo odrębnych warunków historycznych, podejmowane są przez masy cieszące się nieznanym przedtem stopniem wolności, opieki społecznej, ogólnych możliwości życiowych, oraz korzystające z powszechnego dobrobytu. Jednocześnie ostatnie lata obnażyły bezlistość istoty mitu „budowy socjalizmu”, poprzez referat Chruszczowa na XX-tym Zjeździe, Mur Berliński, Poznań, Powstanie Węgierskie, Czechosłowację, rewelacje „Archipelagu Gułag” i wiele innych.

Dlaczego więc tak się dzieje? Na czym polega ogarniający miliony ludzi „obłęd”?

W połowie zeszłego roku świat zamarł na chwilę w oczekiwaniu na wyniki wyborów we Włoszech. Chociaż zawarty „rozejm” w postaci „małego kompromisu historycznego” (bez udziału komunistów w demokratycznym rządzie, ale przy ich współpracy w przeprowadzeniu drastycznych planów sanacji) oddalił na pewien czas moment zasadniczej zmiany, perspektywa jej nie tylko nadal istnieje, ale przybrała jeszcze na sile. Spróbujmy jednak pominąć sytuację Włoch, gdzie rozszerzające się wpływy partii komunistycznej wiążą się z pewnością w dużym stopniu z ogólnie odczuwanym archaizmem istniejącego układu społecznego. Podobnie, dla skryształowania interesującego nas problemu, możemy się wstrzymać od komentarza na temat Hiszpanii, ze względu na szczególny etap historyczny, na którym kraj ten się znajduje. Przypisywanie wzrastającej fali wpływów lewicy specyficznym układom w poszczególnych krajach zaciemnia tylko ogólny obraz i utrudnia głębsze spojrzenie na istotę tego zjawiska, próbę dojścia do jego podstaw. Nie ulega kwestii, że mechanizm ofensywy korzysta w każdym wypadku z problemów o charakterze lokalnym (jest to najlepszy sposób zapewnienia powodzenia), ale samo zjawisko ma o wiele szerszy zasięg i głębszy charakter. Widać to najlepiej na przykładzie Francji i Anglii, krajów których pod żadnym względem nie można zaliczyć do biednych, nierozwiniętych czy społecznie zacofanych.

We Francji w roku 1976, na dwa lata przed następnymi wyborami do parlamentu, gros uwagi opinii publicznej kraju skupiało się na pytaniu czy koalicja socjalistyczno-komunistyczna dojdzie do władzy już w roku 1978. Obserwując toczącą się w społeczeństwie dyskusję odnosi się wrażenie, że dla większości ludzi perspektywa ta w ogóle nie ulega wątpliwości. Przedmiotem spekulacji jest jedynie moment kiedy to nastąpi. Siły polityczne prawicy i centrum są wyraźnie w defensywie. Na próżno wyczekiwać wypowiedzianych z wiarą zapewnień o nadchodzącym zwycięstwie, co najwyżej poddaje się w wątpliwość sukces przeciwnika, przygotowując się do lepszej obrony. Tradycyjne wpływy lewicy w tym kraju mogą tylko pozornie tłumaczyć obserwowane zjawisko; widać to z kolei dobrze na przykładzie Anglii.

Dr Stephen Haseler, członek Partii Pracy, dwukrotny jej kandydat do Izby Gmin, wykładowca nauk politycznych na Politechnice Londyńskiej analizuje sytuację swego kraju w opublikowanej niedawno książce pt. „The Death of British Democracy”. Zagrożenie systemu parlamentarnego widzi on w obserwowanym ostatnio wzroście wpływu marksizmu i marksizmu-

leninizmu, zarówno w szeregach ruchu laborzystowskiego jak i poza nim. Wyraża się to w otwartym odrzucaniu samych zasad systemu parlamentarnego. Jest rzeczą charakterystyczną, iż ma to miejsce w kraju, w którym komuniści stanowią niewielką liczebnie siłę. Heseler analizuje, rzecz jasna, obserwowane zjawisko z punktu widzenia historyczno-społecznej specyfiki Wielkiej Brytanii. Przypisywanie jednak sukcesów lewicy ogólnej apatii społeczeństwa czy też nieprzydatności tradycyjnych instytucji demokracji parlamentarnej do rozwiązywania podstawowych problemów naszych czasów, znowu oddala nas od zrozumienia samej istoty szerzącej się „plagi”. Niewiele również pomaga stwierdzenie, że jest to wynik infiltracji agentów Moskwy, nawet jeśli skomplikowana sytuacja zawiera również taki element.

Dlaczego marksizm? Jaką atrakcję dla ludzi opływających w dostatek, wyposażonych w samochody, kolorowe telewizory i lodówki, korzystających z nieznanym przedtem świadczeń socjalnych i cieszących się wolnością, dochodzącą niemal do absurdu, stanowić może ideologia powstała przed 100 laty, zrodzona w warunkach nędzy i cynicznego wyzysku? Jak mogą miliony ludzi żyjących w niebywałym zbytku artykułów konsumpcyjnych fascynować się hasłami, programem, który na ich oczach tragicznie zbankrutował w tylu krajach? Czy na nic lekcje „Archipelagu”, Polski, Węgier i Czechosłowacji? Nie chodzi już o niebezpieczeństwo imperializmu sowieckiego, widoczne jak na dłoni dla każdego, kto nie jest ślepy. Wydawałoby się jednak, że sam mechanizm działania władzy komunistycznej, struktura partii obowiązująca, na wzór sowiecki, również we wszystkich partiach zachodnio-europejskich, stanowić powinny groźne ostrzeżenie. Dlaczego naiwne zapewnienia, że „my zrobimy to inaczej”, że „nasz socjalizm czy komunizm pójdzie inną drogą” trafiają na tak podatny grunt? Czyżby przeciętny człowiek istotnie był o tym przekonany?

Wielu z nas żyjących na Zachodzie, po doświadczeniu socjalizmu „tam”, na własnej skórze, obserwuje ze smutkiem rozwój wypadków. Dla nikogo jednak tragedia ujawniającego się z całą jaskrawością paradoksu nie jest tak oczywista, jak dla ludzi przybyłych „stamtąd” na krótko, nadal „tam” żyjących i przeniesionych na Zachód na okres kilkutygodniowej czy paromiesięcznej wizyty. Nie mogą wprost uwierzyć własnym oczom, nie są pewni czy dobrze słyszą: „Czy oni tu zupełnie poszaleli? Czegoż oni jeszcze chcą?”. W słowie „jeszcze” tkwi kulminacja wszystkich dążeń, pragnień ludzi „tam”, a tutaj na Zachodzie już spełnionych. Jednakże w reakcjach tych, tak dobrze rozumiałych i wynikających z „wyższego stopnia wtajemniczenia”, zawarte jest wielkie uproszczenie.

Podobne uproszczenie stanowi powoływanie się na zachodnią myśl lewicową jako na tradycyjnego nosiciela postępu. Zgadza się nawet z Adamem Michnikiem („Dwugłos o Eurokomunizmie” — *Kultura* Nr 4/355), który, *nota-bene*, wyraża pogląd nietypowy dla przybyszów „stamtąd”. Jest faktem, że u wielu ludzi reprezentujących tę lewicę można dojrzeć „jakąś autentyczną ideowość, że w powodzi głupstw, które mówią, piszą i robią” przewija się „rzeczywista pasja walki o lepszy świat”. Znacznie rzadziej da się powiedzieć to samo o przedstawicielach konserwatywnej części społeczeństwa; z definicji już muszą oni przeciwstawiać się wszelkiej zmianie. Nie jestem za to gotów — jak to czyni Michnik — uznać za zasługi zachodniej myśli lewicowej podnoszenie takich spraw, jak „czym ma być fabryka”, „jak ma funkcjonować samorząd”, jak „rozwiązywać problem jakości życia i zagrożenia ekologicznego”, „co robić z wolnym czasem” itp.

Problemy te narzuca rozwój technologii i proces dalszego podziału pracy, stopień skomplikowania całokształtu *problematique humaine*. Paradoks obserwowanych sukcesów lewicy polega również i na tym, że to właśnie nie ona, lub rzadko ona, jest inicjatorem wysuwania najbardziej istotnych dla naszej epoki zagadnień. Trzeba pamiętać, że powstałego przed 10 laty „Klubu Rzymskiego” oraz sformułowanej przez niego *problematique humaine* nie wyłoniła bynajmniej zachodnia lewica, choć szereg jej członków włączyło się następnie w prace Klubu. Wprost przeciwnie: używane przez lewicę hasła, czy formułowane programy operują często starymi pojęciami, skupiają się na trywialnych nieraz sprawach, unikając jak ognia zagadnień zasadniczych, mających kluczowe znaczenie dla niedalekiej nawet przyszłości. Na darmo wyczekiwać można apelów zachodniej lewicy o oszczędzanie energii, o umiar spożycia. Niezmiernie rzadko staje się ona inicjatorem współudziału robotników w zarządzaniu przedsiębiorstwem, czy innych postulatów z zakresu *industrial democracy*. Tak więc dużą symplifikacją byłoby tłumaczenie sukcesów lewicy jej tradycyjną rolą nosiciela postępu.

Istnieje jeszcze sprawa rozczarowania, rozgoryczenia wobec ujawniających się stale słabości demokracji, czy strukturalnych wad kapitalizmu. Trudno się dziwić, że dla ludzi wychowanych na Zachodzie i nie znających z własnego doświadczenia „dobrodzieństw socjalizmu”, afery typu „Watergate” czy „Lockheed” wzbudzają sprzeciw, uczucie buntu i potrzebę zmiany. To jest zupełnie zrozumiałe. Omawiany przez nas paradoks w całej pełni ujawnia się dopiero w gotowości przyjęcia przez masy zbutwiełej ideologii marksizmu jako alternatywy wobec istniejącej rzeczywistości. Ironię potęguje jeszcze fakt, że alternatywa ta oferowana jest często ustami tych samych ludzi, którzy odpowiedzialni

są za przestępstwa znacznie większej skali, aniżeli „Watergate” czy „Lockheed” oraz za milczącą aprobatę zbrodni przeciw ludzkości, dokonywanych w „Gulagu” rękami ich duchowych przywódców i towarzyszy. Tak więc wzrastającej fascynacji hasłami lewicy, jej rosnących wpływów nie można również tłumaczyć po prostu faktem niezadowolenia szerokich mas z aktualnej sytuacji.

Gdzie więc tkwią przyczyny tego paradoksu? Czy w czasach powszechnego nauczania, „natychmiastowej” informacji płynącej nieprzerwanie przez dostępne wszystkim środki masowego przekazu, wielkie rzesze ludzi na Zachodzie grzeszą podstawową ignorancją? Czyż nie dociera do nich prawda o degradacji człowieka, o deptaniu podstawowych jego praw w ustroju, na rzecz którego oni, wolni ludzie, zdają się optować?

Wydaje się, że przyczyny tej należy się doszukiwać u podłoża kryzysu naszych czasów. Jest nią kryzys filozoficzny, brak panującej, czy dominującej odpowiedzi na pytania *pourquoi vivre* i *comment vivre*. Jose Ortega y Gasset w „La Révolte des Masses” mówi o społeczeństwie, w którym odrzucone zostały już stare normy i zasady etyczne, lecz nie zastąpione jeszcze nowymi. Nie trudno się zgodzić, że sformułowanie to pasuje do współczesnego społeczeństwa na Zachodzie. „*Ce qui se produit, c'est que souvent l'opinion publique n'existe pas*”. Mówi on oczywiście o jakiejś dominującej opinii publicznej. I dalej: „*Et comme la nature a horreur du vide* (moje podkreślenie), *ce vide que laisse la force absente de l'opinion publique se remplit...*”. Tak więc powoli zbliżamy się do sedna sprawy: chodzi o wypełnienie próżni, cokolwiek, za wszelką cenę, religią, ideologią, doktryną, która w danym momencie jest na „podórzedziu”, która do tego najbardziej się nadaje. Dlaczego? „*La grande majorité des hommes n'a pas d'opinion, et il faut que celle-ci lui vienne du dehors... C'est pourquoi il est nécessaire que l'esprit — quel qu'il soit* (podkreślenie moje) — *ait le pouvoir et l'exerce, pour que les gents qui n'ont pas d'opinion — et c'est le plus grand nombre — en aient une*”.

W epoce zmian zachodzących na ogromną skalę, z szybkością błyskawicy, w czasach kiedy zburzone lub co najmniej poddane w wątpliwość zostały wszystkie niemal tradycyjne wartości, jak długo może człowiek wytrzymać psychicznie w świadomości próżni? Czy stan zagubienia, bezsilności, braku sensu i celu, oraz obserwowane przez nas na każdym kroku, wynikające z tego, przejawy powszechnej newrozy mogą trwać przez dłuższy czas? Musi to być z konieczności tylko okres przejściowy, nie może on utrzymać się na dłuższą metę. Konieczne jest przyjęcie jakiejś nowej doktryny, powstanie jakiejś nowej, dominującej wiary.

„Sans opinion — by przytoczyć znowu Ortega y Gasset — la communauté humaine serait le chaos, encore mieux, le néant historique... sans un pouvoir spirituel (podkreślenie moje), sans quelqu'un qui commande, et dans le mesure où ce pouvoir manque, le chaos règne dans l'humanité”.

A co się dzieje w międzyczasie? Jak zachowuje się człowiek żyjący w próżni? Żyje on „z szabru”, plądruje wśród resztek dawnego porządku ... *„les gens — hommes et peuples — profitent-ils de l'occasion pour vivre sans impératifs”.* To właśnie sformułowanie obejmuje nie tylko rozwiązłość obyczajów, lecz ogólnie dziś przyjmowaną zasadę posiadania pełnych praw i ... żadnych zobowiązań. Wystarczy przyjrzeć się bliżej sytuacji Wielkiej Brytanii, by stwierdzić w jakim stopniu kraj ten jest już beczelnie splądrowany. I tu dotykamy być może pierwszej przyczyny, dla której miliony ludzi identyfikują się coraz bardziej z platformą lewicy. To ona właśnie głosi hasła coraz większych korzyści, postulując jednocześnie zasadę coraz mniejszych obowiązków. Nie wykazuje w gruncie rzeczy żadnego zainteresowania problemami całości, nie ponosi żadnej odpowiedzialności za jutro. Całą uwagę wydaje się skupiać lewica na przekupieniu wyborcy, przez zaoferowanie mu doraźnych, wydartych, najczęściej wbrew oczywistym interesom społeczeństwa, korzyści. Najważniejszy jest cel: zdobycie władzy. Pod tym względem, oczywiście, taktyka lewicy nie różni się wcale od innych ugrupowań politycznych. Dysponuje ona jednak „gotową” i bardzo przydatną doktryną.

Hasła lewicy, wyciągnięta z lamusa ideologia marksizmu nie ograniczają się jednak tylko do pomocy w korzystaniu z okresu próżni. O wiele ważniejsze: pretendują one — i mają poważne szanse — do jej wypełnienia. W maju 1937 roku napisał Ortega y Gasset długą przedmowę do francuskiego wydania „La Révolte des Masses”, podkreślając tym samym aktualność swej tezy. *„L'Europeen veut avant tout se mettre au service de quelque chose, qui donne un sens à la vie; il veut fuir le vide de son existence; et il n'est pas impossible qu'il oublie ses objections contre le communisme (podkreślenie moje) et ne se sente attiré, sinon par sa substance, du moins par son allure morale...”.* Nie przewidywał on zapewne jak bardziej jeszcze słowa te staną się aktualne po 40 latach. Dlaczego właśnie komunizm, dlaczego marksizm? Czy nadaje się on szczególnie do wypełnienia próżni?

Byłoby naprawdę tragiczne gdyby na to pytanie historia miała dać odpowiedź twierdzącą. Jest to niestety bardzo prawdopodobne. Nie ze względów takich, jak „dywersja komunistyczna”, o której krzykną od razu zatwardziali wrogowie wszystkiego, co

pachnie lewicą — bynajmniej do nich się nie zaliczam. Nawet nie na skutek szybkiego i potwornego wzrostu potęgi militarnej sowieckiego imperializmu; z dwóch zupełnie innych powodów. Próżnia musi być wypełniona, nie może utrzymać się nadal przez dłuższy czas. Jesteśmy świadkami gorączkowych poszukiwań alternatywnej filozofii, czy wiary: spirytualizm, mnożące się nowe sekty religijne, ruch w obronie środowiska — wszystko to jest przejawem tego samego procesu. Która jednak z nowych „wiar”, ze słabo i fragmentarycznie kiełkujących doktryn, może konkurować z gotowym już, zwartym, konsekwentnym, wszechstronnym, a jednocześnie wygodnie symplastyicznym systemem marksizmu? W epoce powszechnego kryzysu tradycyjnych religii nie wydaje się, aby którakolwiek z nich mogła sprostać temu zadaniu. W tych warunkach, jaki system filozoficzny, jakie „artykuły wiary” jest w stanie zaoferować prawica?

Od przyjmowanej przez siebie idei człowiek nie wymaga, by „odpowiadała prawdzie”, czy obejmowała cały kompleks współczesnej mu rzeczywistości. Czy w ostatecznym rozrachunku jakaś forma ucieczki od rzeczywistości nie jest nam wszystkim niezbędna do przeżycia?

Niemniej znamieny jest i drugi powód. Jeśli w tych naszych skomplikowanych i trudnych do zrozumienia czasach istnieje jakieś jedno powszechne pragnienie, wspólne dążenie ludzkości — to jest nim egalitaryzm. Zarówno ludzie w społeczeństwie, jak i narody między sobą aspirują przede wszystkim do statusu równości. Podkreśla to mocno i trafnie Z. Brzeziński w artykule „Ameryka we wrogim świecie” (*Kultura* Nr 10/349). Jest to często dążenie „niesprawiedliwe”, zarówno z biologicznego jak i ze społecznego punktu widzenia. Nie postuluje ono bowiem na ogół tylko równości startu, lecz równość w ogóle. Niewątpliwie za taki stan ducha odpowiedzialny jest rozwój technologii i uzyskanie przez szerokie masy w bogatych krajach dużego stopnia stanu równości *de facto*, bez względu na istniejące różnice indywidualne czy klasowe. Korzystając z egalitarnych tendencji współczesnego *consumers society* trudno jest pogodzić się z utrzymaniem nierówności pod jakimkolwiek względem, wbrew wszelkiej logice i zdrowemu rozsądkowi. W ten sposób powstaje potrzeba jeszcze jednego hasła. Niestety wytarta z kurzu, ładnie wypolerowana, z zaklejonymi dziurami doktryna marksizmu spełnia również ten postulat.

Czy zdoła jej się coś przeciwstawić zanim będzie za późno?

Jerzy BONIECKI

NAJBLIŻSZE ZAMIERZENIA WYDAWNICZE BIBLIOTEKI «KULTURY»

- Czesław MIŁOSZ: *Ziemia Ulro*;
Leszek KOŁAKOWSKI: *Główne nurty marksizmu*, Tomy II-gi i III-ci;
Aleksander SOŁŻENICYN: *Archipelag GUŁag*, tom III-ci;
Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA: *Szkice o literaturze emigracyjnej*;
Witold GOMBROWICZ: 11 tom „*Dzieł Zebranych*”, zawierający nieznane teksty zmarłego pisarza, a przede wszystkim „*Wspomnienia Polskie*” i „*Wędrowki po Argentynie*”;
Wiktor WOROSZYLSKI: *Literatura*;
41-szy *Zeszyt Historyczny* z rewelacyjnym pamiętnikiem Kazimierza Pużaka.

NAGRODY «KULTURY»

- Stanisław BARAŃCZAK — za tom wierszy: *Ja wiem, że to niestusne*;
M. BRŃSKI — za *eseistykę literacką*;
Zbigniew BYRSKI — za *eseje o tematyce amerykańskiej*;
Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA za *działalność literacką i kulturalną*;
Adam KRUCZEK — za *artykuły o ZSSR publikowane w „Kulturze”*;
Bolesław SULIK — za *artykuły o Polsce drukowane w „Kulturze” i za książkę o rzeczywistości PRL, która ukaże się w „Bibliotece Kultury”*;
Marek TARNIEWSKI — za *książki „Ewolucja czy Rewolucja” i „Krótkie śpięcie”, wydane w „Bibliotece Kultury”*;
Leopold UNGER (pseudo: BRUKSELCZYK) — za *felietony polityczne publikowane w „Kulturze” i w prasie zagranicznej*.

Każda nagroda wynosi F. 2.000,00.

Rewolucja technologiczna i zmiany moralno-obyczajowe

Wydaje się, że rewolucja etyczno-obyczajowa wraz ze wszystkimi swymi burzliwymi następstwami zaczęła się w krajach Zachodu i Japonii z początkiem lat sześćdziesiątych. Tak jak wiele innych wydarzeń, które wpływały na losy świata, a z nim i Europy, poczęły się one w Ameryce. Ameryka bowiem w ciągu ostatniego ćwierćwiecza wzbudza w świecie uczucia podziwu i nienawiści. Antyamerykanizm, który w okresie wojny wietnamskiej symbolizował „imperializm ginącego świata” tzn. kapitalizmu, był ważnym elementem, a przynajmniej katalizatorem rodzących się przemian. Nie będzie też żadnym paradoksem twierdzenie, że kolebką zarówno antyamerykanizmu jak i rewolucji etyczno-obyczajowej była właśnie Ameryka. Choć z owoców tych przemian czerpały najobficiej dyskryminowane niegdyś grupy etniczno-rasowe, ci, którzy pierwsi byli siewcami fermentu, należeli do warstw etnicznie i społecznie uprzywilejowanych. Taki zresztą jest i bywał często mechanizm wielu socjalnych fermentów bez względu na to jakie rozmiary one osiągały. W przeszłości ich twórcy i teoretycy wywodzili się przeważnie nie z warstw uciemiężonych, ale z uciemiężających, zrywających z własną klasą w imię wymarzonej lub wyteoretyzowanej wizji przyszłości.

Czy przemiany etyczno-kulturowe, tak gwałtownie zmieniające sposób życia i światopogląd mieszkańców Zachodu, mają jakiś uchwytyny związek z nowym rozdziałem w dziejach cywilizacji — a mianowicie z rewolucją technologiczną¹? Ponieważ nowa

1. Termin ten zapożyczyłem od prof. Zbigniewa Brzezińskiego. Oznaczać ma przemiany, które przyniosła technologia zrodzona z cybernetyki, elektroniki wraz ze wszystkimi wynikającymi z nich technicznymi konsekwencjami. Technotronika zrewolucjonizowała nie tylko przemysł i usługi, ale szereg nauk stosowanych jak medycyna, architektura, nie mówiąc już o współczesnej sztuce wojennej. Zwrotu „epoka technologiczna” będę używał wymiennie z określeniem „epoka postindustrialna”, używanym przez Daniela Bella w książce: „The movement of knowledge and technology”.

technologia, która przeobraziła świat zbiegła się chronologicznie z przemianami etyczno-obyczajowymi, nasuwa się pytanie czy między tymi dwoma procesami, przebiegającymi współcześnie, ale w tak odmiennych dziedzinach, zachodzi paralelizm czy też ścisła współzależność. Sądzę, że należy podejrzewać tę drugą alternatywę. W przeciwnym bowiem razie owa uderzająca chronologia byłaby zjawiskiem nader dziwnym. Za powyższym przypuszczeniem przemawia również fakt, że właśnie narody Zachodu, które ową technologię stworzyły, stały się obiektem fermentu, który zrewolucjonizował ich etykę i obyczaje. Natomiast państwa obozu komunistycznego i niektóre kraje IV świata (bo trzeci w małym stopniu z owych technologicznych innowacji korzysta), które nową technologię tak skwapliwie przyjmują, bronią się, jak dotychczas skutecznie, przed współcześnie wdzierającymi się w ich granice nowymi prądami kulturowo-obyczajowymi. Najjaskrawiej może widać te rzeczy nie w państwach komunistycznych, ale wśród z nagłą wzbogaconych krajów zatoki Perskiej. Nie wiadomo wprawdzie czy komputery mogą mieć zastosowanie w haremach, ale prawdą jest, że niektóre metody inwigilacyjne władzy ścigającej przestępców, udoskonalone dzięki elektronice, współlistnieją z tradycyjnym sposobem karania złoczyńców obcięciem ręki.

Nie orientuję się czy w przedmiocie analizującym ewentualne związki pomiędzy rewolucją technologiczną a nową etyką i obyczajami, które rozkwitły w krajach Zachodu, istnieje jakaś poważna literatura badawcza, natomiast uderza mnie jeden ważny symptom: brak prób ukazania korelacji pomiędzy tymi dwoma niesłychanie doniosłymi zjawiskami ze strony marksistów, którzy są przecież wyposażeni w oręż „dialektyki”, nakazujący im dostrzegać procesy we wzajemnych związkach, a jeśli nie są one widoczne na powierzchni — ukazywać je profanom. Fakt, że marksiści nie podejmują żadnych godnych wzmianki prób analitycznych w tym kierunku, nie świadczy jedynie o uwiądnięciu oficjalnej doktryny, jako że świadectwo to przy naszym dotychczasowym doświadczeniu jest już po prostu zbędne. Chodzi natomiast o dale idące wnioski: o to, że marksizm — nawet wolny od kurateli administracyjno-policyjnej Moskwy, Pekinu, Warszawy czy Pragi — nie jest już w stanie nawet w najskromniejszym zakresie stać się instrumentem sięgającym w głąb procesów dziejowych.



Marksiści wszelkich odcieni — a przynajmniej ci, których głos dochodzi do wiadomości publicznej — skłonni są w rewolucji etyczno-obyczajowej, którą przeżywa Zachód, wyodrębnić dwa

prądy: Pierwszy — w dziedzinie ściśle etyczno-moralnej, związany z hasłami neo-egalitaryzmu². Ten prąd zyskuje uznanie oficjalnych rzeczników antykapitalizmu, ponieważ stanowi symptom buntu przeciwko systemowi. Drugi — dotyczy nowej, szokującej obyczajowości. Ta manifestuje się — cytując przykładowo — wzmożonym seksualizmem i rozluźnieniem obyczajów. Nie jest ona już żadnym buntem przeciwko kapitalizmowi, ale *symptomem gnilnym* jego rozkładu. Innymi słowy, w ocenie marksistów, niektóre zjawiska „rewolucji”, towarzyszącej zmianom, postindustrialnym, stanowią pozytywne przejawy antykapitalistycznej rebelii, inne — niosą w sobie fetor rozkładającego się kapitalistycznego trupa. W końcowej ocenie obydwie są wszelako symptomami postępującego upadku i bankructwa społeczeństwa burżuazyjnego wraz z jego wszystkimi instytucjami. Przemiany obyczajowe szokują również nową generację konserwatystów Zachodu. Oczywiście inaczej i z innych powodów niż te, którymi się kierują entuzjastyczni i czujni obserwatorzy „procesów rozkładowych” kapitalizmu. W przekonaniu tych pierwszych natura ludzka sama jest źródłem najbardziej zagadkowych i nieoczekiwanych przemian. Ci — niezarażeni analitycznymi nawykami XIX-stowiecznych marksistów — również nie próbują doszukiwać się korelacji pomiędzy przemianami w postawach ludzkich a rewolucją postindustrialną. Ponieważ „wyzwolenie człowieka” od wszelkich kłepujących go więzów odmieniane jest we wszystkich przypadkach przez szermierzy nowych prądów obyczajowych, nie jest szczególnie zaskakujące, że hedonizm stał się, jeśli nie głoszoną, to w każdym razie praktykowaną filozofią młodych i średnich pokoleń Ameryki i Zachodu. Zamanifestował się on przede wszystkim w sferze seksualnej.

W swobodzie erotycznej — która w niektórych centrach miejskich czyni wrażenie rozprzestrzeniającej się sekso-maniakalnej zarazy — konserwatyści nie chcą widzieć *choćby częściowej* reakcji przeciwko wielowiekowej pruderii i zakłamaniu, które obejmowały tę sferę stosunków międzyludzkich. Nie zamierzam bynajmniej usprawiedliwiać tego co się dzieje na *Time Square* w Nowym Jorku, przy którym paryski Pigalle z lat pięćdziesiątych może uchodzić za przedszkole seksu i pornografii. Chcę jedynie wskazać na progeniturę zjawisk w kraju tak purytańskim, jakim niegdyś była Ameryka, w której dwadzieścia lat temu na publicznej plaży policjant odprowadzał 4-letniego nagiego bobasa rodzicom, nakazując nałożenie mu majtek. Oczywiście w aktual-

2. Ostatnio, gdy mówi się w Ameryce o równej szansie dla wszystkich, wprowadza się bardzo istotną korektę w postaci „szansy zrekompensowanej” — a więc nie tak bardzo równej, ale raczej „wyrównującej” dawne niesprawiedliwości.

nym rozprężeniu seksualnym trudno na pierwszy rzut oka doszukać się źródeł buntu przeciw pruderii. Ale tak przecież bywało z każdą niemal rebelią, przeciwstawiającą się narzuconym więzom społecznym lub obyczajowym. Albo ulegały one zwyrodnieniu albo stawały się własną antytezą. Przykładów nie warto cytować. Nasuną się same każdemu. Wszelako dla pewnej kategorii konserwatystów, myślących dawnymi kategoriami abstrakcyjnej moralistyki, jest to najwyklesze „wyzwolenie się prymitywnych zwierzęcych instynktów i wyzbycie się wszelkich hamulców, których strażniczką była przez wieki religia”³. Nie odmawiając tak stereotypowemu pogładowi *pewnej dozy* słuszności, sądzę, że są to oceny wybitnie skrótowe, żeby nie rzec, prymitywne. Nie wyjaśniają niczego albo operują przyjętymi *a priori* założeniami, w których poczesną rolę odgrywa idea komunistycznej konspiracji, podsycającej owe rozpasanie obyczajowe, by tym łatwiej osłabić morale Zachodu. Korzenie obecnej swobody seksualnej tkwią również w przemianach wynikających z rewolucji technologicznej, o czym mowa będzie w dalszej części niniejszej pracy.

Jeśli chodzi o tę część przemian nadbudowy społecznej, która dotyczy problemów etyczno-moralnych, to naczelną sprawą wydaje się podniesienie do najwyższej wartości istoty ludzkiej, bezpieczeństwa jej życia i jej praw socjalnych, przy widocznym zlekceważeniu innych tradycyjnych walorów kultywowanych w społeczeństwach całego świata jako niekwestionowane cnoty. Wyliczę je za chwilę. Przedtem chciałbym jednak nadmienić, że choć neo-konserwatyści, potępiając — w moim przekonaniu słusznie — promowanie życia człowieka do najwyższej rangi, pozostają bezradni jeśli chodzi o wyjaśnienie genezy zjawiska, którego treścią jest rozbicie istniejącej od wieków hierarchii uznanych zasad.

Używam tu celowo zwrotu: rozbicie hierarchii, a nie likwidacja tych wartości, ponieważ epoka postindustrialna nie zniszczyła bynajmniej pryncypiów moralnych o wiele wieków starszych od chrześcijaństwa. To natomiast czego dokonała, to ich generalne przetasowanie. Najwyższą cenę — nadała życiu ludzkiemu. Godność, odwaga, wierność dla wyznawanych ideałów, poczucie lojalności wobec społeczeństwa wśród którego się żyje

3. Przypominam sobie przy tej okazji stanowisko niektórych ludzi — w tej liczbie duchownych katolickich z późnych lat dwudziestych a nawet trzydziestych, dla których wybuch Rewolucji Październikowej był niczym więcej jak „triumfem bestii nad człowieczeństwem”. Taką formułką kwitowało wówczas wielu polskich księży katolickich zjawisko, z którym ponad pół wieku później wielu duchownych następnej generacji musiało się nie tylko pogodzić, współżyć ale i zaakceptować.

— a nade wszystko jeden z najwyższych walorów — głoszenie prawdy — to wszystko nie zostało wyrzucone za burtę jak bezwartościowy balast. Przeciwnie — teoretycznie wyznaje się i kultywuje je nadal. Tyle tylko, że uczynienie z życia ludzkiego najważniejszej wartości⁴ — ideału zresztą wysoce humanitarnego — doprowadziło do degradacji innych wymienionych szanowanych zasad, które dawniejsze pokolenia otaczały takim kultem, że czasem należało w ofierze złożyć za nie własne życie. Te czasy na Zachodzie i w Japonii mamy za sobą. Czy bezpowrotnie — pokaże przyszłość. W każdym razie historia ostatniego kilkusetlatnia, reakcje opinii publicznej, a nade wszystko postawa sfer najbardziej wykształconych (przy procentowo nielicznych wyjątkach) potwierdza tę skądinąd dobrze znaną diagnozę. Diagnozę tę można zilustrować wieloma przykładami:

1. Najbardziej pospolite — to postępowanie rządów zachodnich z wszelkiego typu terrorystami (niekoniecznie tylko palestyńskimi), starającymi się wymuszać swe żądania groźbą zgładzenia zakładników. Jeszcze dwadzieścia lat temu tego rodzaju negocjacje pomiędzy przestępcami, kierującymi się politycznymi lub pospolitymi motywami, były nie do pomyślenia. Z drugiej strony, gdyby porywacze — działający na lądzie i w powietrzu — nie zdawali sobie sprawy jakie atuty mają w rękach — a mianowicie prymat życia ludzkiego wyznawany przez ich adwersarzy, tego rodzaju operacje skazane byłyby z góry na kompletne fiasco, zaś postać zwykłego bandyty czy terrorysty, który z pistoletem w dłoni paraliżuje akcję policjantów, zastraszając się ciałem nieraz przygodnie złapanego zakładnika czy zakładniczki, byłaby nie do pomyślenia. Podobna sytuacja jest nie do wyobrażenia ani w Czarnej ani w arabskiej Afryce czy w Azji⁵. Nikt przecież nie słyszał o próbach porywania miejscowych obywateli czy poddańców w Persji, w Czarnej Afryce, w północno-afrykańskich krajach arabskich lub w Emiratach Zatoki perskiej. Mimo niezmier-

4. Do tego dochodzą postulaty absolutnego zrównania ludzi, ale nie w tym sensie jak pojmował ową równość wiek XIX-ty, gdy szła ona w parze z postulatem swobody i wyzwolenia człowieka z feudalnego lub kapitalistycznego ucisku. Odwrotnie — swobody i uzdolnienia pewnych grup muszą być ograniczone nie tyle dla zagwarantowania równej szansy ile równego sukcesu życiowego, który jest funkcją wielu czynników i którego żadna umowa społeczna zagwarantować nie może. Ważną tę sprawę poruszał tu marginesowo — choć stanowi ona jedno z najważniejszych haseł rewolucji obyczajowo-etycznej na Zachodzie — ponieważ omówiłem ją bardzo obszernie w artykule: „O amerykańskim neoegalitaryzmie” w styczniowo-lutowym wydaniu *Kultury* z roku 1976, str. 42-45.

5. Chyba, że w krajach tych akeja podejmowana jest na placówkach dyplomatycznych krajów Zachodu, lub skierowana jest przeciwko przebywającym tam zachodnio-europejskim ekspertom, doradcom, finansistom itp.

nego bogactwa tamtejszych naftowych krezusów, nie znalazł się śmieć, który by próbował wymusić na nich okup lub koncesje polityczne metodą zagrożenia zwykłych poddanych, którzy tam się szczególnie nie liczą lub nawet członków panujących lub rządzących rodzin. Przyczyna jest prosta: gdyby wśród licznej opozycji w Libii czy w Sudanie lub Etiopii jakaś ekipa zamachowców próbowała zatrzymać kogokolwiek z miejscowych mieszkańców lub, co gorsza, przedstawicieli administracji, władze nie robiłyby sobie żadnych ceremonii, niszcząc terrorystów z miejsca, nie dbając w najmniejszym stopniu o los zakładników. W krajach tego typu są możliwe jedynie zamachy na osoby panujące lub rządzące (Maroko, Persja, Irak, Nigeria i inne), ale nie próby wymuszenia metodą zagrożenia życia ludzkiego. Podobne sytuacje, jeśli chodzi o zatrzymywanie zakładników, istnieją w krajach Demokracji Ludowych i w Sowietach. Jeśli zdarzały się tam nie liczne próby porwania samolotów wraz z pasażerami jako zakładnikami, były one podyktowane nie motywami szantażu politycznego, ale aktem rozpaczliwej *highjackerów*, dla których opanowanie samolotu było jedyną drogą ucieczki.

2. Niemal we wszystkich przodujących krajach Zachodu (z wyjątkiem Francji) kara śmierci została zniesiona. Ponieważ bestialski charakter popełnianych morderstw, szczególnie w Stanach Zjednoczonych, jest wręcz przerażający, wydaje się, że stosowanie kary głównej jako środka odstraszającego byłoby właściwie najskuteczniejszą troską o zabezpieczenie życia ludzkiego. Mimo tego sprawa ta nie jest bynajmniej taka prosta. Poza niewartymi dyskusji argumentami, że kara śmierci nie odstrasza zbrodniarzy, a nawet — jak twierdzą niektórzy — stanowi formę samobójstwa przestępców (tak jakby proces i oczekiwanie w celi śmierci na egzekucję miało być czymś znacznie atrakcyjniejszym od wpakowania sobie kuli w łeb) przeciwstawia się tu wciąż tezę o rehabilitacji, która ma u swych podstaw wiarę we wrodzoną dobroć i nieskalaną naturę człowieka. Naturę tę wypaczyło społeczeństwo, a w szczególności cywilizacja. U podstaw tej wiary tkwią stare ale nigdy niezapomniane tezy J. J. Rousseau. Przy tej okazji należy tu przypomnieć wstępne zdanie z jego dzieła „Emil”: „Natura uczyniła mnie dobrym i szczęśliwym. Jeśli się zmieniłem, jest to wina społeczeństwa”. Teorie Rousseau, którego wpływ trudno przecenić na późniejsze kierunki wychowawcze, w tej liczbie szkołę edukacyjną Johanna Pestalozziego, przyczyniły się przez długie lata do wytworzenia mitu o z natury dobrym charakterze człowieka, którego grzechy i podłości są zawsze następstwem wpływów środowiska lub ciężkich warunków bytowania. Można by rzec, że te sprawy różnią

u swych podstaw obecne lewicowo-liberalne prądy od neo-konserwatystów⁶.

To właśnie przekonanie w przyrodzoną dobroć istoty ludzkiej nakazywało przez wiele lat wierzyć ludziom dobrej woli — i

6. Na marginesie poglądów J. J. Rousseau warto zrelacjonować kilka uwag w tej materii z książki wybitnego amerykańskiego pisarza i antropologa Roberta Ardreya pt.: „The social contract” (A Delta Book r. 1971), str. 98:

„Biorąc pod uwagę epokę w której żył Rousseau” — pisze Ardrey — „nie można się zbyt daleko posunąć jego poglądom. Pisząc swe dzieło na długo przed Darwinem i esejem Raymonda Darta („The predatory transition from ape to man” — International anthropological and linguistic review v. 1, nr 4, 1953) Rousseau nie wiedział, że rodowód ewolucyjny *homo sapiens* wywodzi się z pewnego gatunku małp człekokształtnych, które na skutek zmiany warunków klimatycznych, przechodząc z diety wegetariańskiej na mięsną, musiały zabijać, by przetrwać”. Ten sam Ardrey na str. 14 swej książki krytykuje słynnego amerykańskiego behaviorystę z Harvardu, prof. Skinnera, za jego tezy określone mianem „kulturowej antropologii”, według której noworodek jest „niezapisaną kartą”, której charakter determinują wyłącznie warunki otoczenia. Durkheimowski socjologizm, niezmierznie popularny z początkiem XX-go wieku, jest wprawdzie kontynuacją teorii Comte'a i nie wspiera swych tez poglądami J. J. Rousseau, niemniej i on przypisuje niezmierznie wagę w kształtowaniu się osobowości warunkom środowiskowym. Krytyka dawnych idei Rousseau, podobnie jak i socjologizm, opiera się na przywróceniu wagi czynnikom biologicznym. Podziały polityczne nie przypadkowo więc zbiegają się z sympatiami dla tych różnych od siebie kierunków socjo-antropologicznych, w których wizerunek istoty ludzkiej jest zgoła odmienny. Jeśli chodzi o przywrócenie należytej rangi determinantom biologicznym i ustawienia we właściwych proporcjach wpływów środowiska lub ekonomicznych warunków bytowania, to poza wymienionym R. Ardreyem, dużą popularność zyskała we wczesnych latach siedemdziesiątych książka Desmond Morrisa: „The naked ape” jak również „On aggression”, austriackiego uczonego prof. Konrada Lorenza. „Modna” problematyka genów — temat ściśle przyrodniczy, a politycznie niesłychanie zapalny — została bardzo przystępnie wyłożona przez Jerzego Horzelskiego w artykule pt.: „O genach, memach i techach” w nr. majowym *Kultury*, (1977). Na szczególną uwagę zasługuje Ustęp artykułu, omawiający „profil genetyczny” pewnych zorganizowanych grup społecznych. Odnośny ustęp warto cytować: „... W ten sposób na poszczególnych terenach geograficznych, poddanych różnorodnym wpływom, klimatycznym, hydrologicznym, radiacyjnym itd., ogólnie mówiąc fizycznym i chemicznym, wytworzyły się zorganizowane społecznie grupy ludzkie o zbliżonym „profilu” genetycznym. Poszczególne jednostki takiej społeczności mają zespoły genów różniące się w wielu szczegółach, ale tylko w określonych granicach. Różnice genetyczne w takiej grupie społecznej nie wychodzą poza zakres wspólnej „puli genetycznej” (podkr. moje — Z.B.). Zdanie to, zrozumiane właściwie, powinno podzielać na lewicowych liberałów, trzymających się kurczowo idei neoeegalitarności i wierzących w nieograniczone możliwości rehabilitacyjne jednostek ludzkich jak czerwona płachta na byka. Albowiem wielu czytelników odnajdzie niekonsekwencje w twierdzeniu, że życie ludzkie na Zachodzie ceni się tak wysoko, skoro tylu mieszkańców Stanów ginie z rąk morderców na ulicach Nowego Jorku i innych miast Ameryki. Tu wypada nawiązać do owej „puli genetycznej” i przypomnieć jaką część mieszkańców wielkich miast amerykańskich zalicza się do trzeciego świata, choćby żyli w tym kraju od dawna.

upartym optymistom w skuteczność „rehabilitacji” nawet najbardziej okrutnych i nieludzkich zbrodniarzy, przypisując ich przestępstwa trudnym warunkom ekonomicznym, dyskryminacji rasowej, itd. Nie lekceważąc bynajmniej wagi tych czynników, na próżno zwracano uwagę na fakt, że w warunkach wielkiego kryzysu lat 1929-38 i rzeczywistego upośledzenia czarnych obywateli USA, przestępczość była w ówczesnym społeczeństwie amerykańskim procentowo znacznie niższa niż obecnie. Argumenty te puszczano mimo uszu. Wbrew gorzkim doświadczeniom i absurdalności samej idei że jakakolwiek „rehabilitacja” może odnieść sukces w warunkach więziennych, choćby nawet więzienie było najbardziej komfortowe, wiara ta trwa nadal. Dla przeciwników kary śmierci istnieje jeden prosty argument: ukaranie mordercy śmiercią oznacza zglądzenie jeszcze jednego człowieka bez przywrócenia życia jego ofierze.

3. Więzienia i obozy koncentracyjne krajów trzeciego świata wypełniają setki tysięcy, jeśli nie miliony tubylców jak również pewna nieokreślona liczba Europejczyków — Francuzów, Niemców i Anglików. W obozach tych — przy nader ostrożnym rachunku — giną rocznie setki tysięcy ludzi. Spośród tych krajów czołowe miejsce zajmuje Kambodża i Uganda — ta ostatnia rządzona przez psychopatę-mordercę. Rządy zachodnie i mające wpływ na nie najbardziej oświecone części społeczeństwa nie czynią nic, aby przez podjęcie kroków interwencyjnych dać w praktyce wyraz swej trosce o życie ludzkie, które w przeciwnieństwie do Zachodu nie ma tam absolutnie żadnej wartości. Przyczyny są takie same jak te, które kierują przeciwnikami kary śmierci. Gdy Idi Amin zagroził kilka lat temu egzekucją angielskiemu badaczowi, żądając, by przedstawiciel rządu Jej Królewskiej Mości zwrócił się do niego na klęczkach o łaskę dla skazanego, Anglicy dla ratowania życia swego rodaka upokorzyli się przed tą budzącą wstręt postacią. Nie zaryzykowali żadnej ekspedycji wojskowej, która mogłaby położyć kres rządowi Amina i uratować życie nie tylko kilku czy kilkunastu Anglikom, ale uchronić dziesiątki tysięcy tubylców przed śmiercią. Sądzę, że myśl o takiej ekspedycji była im obca nie tylko z uwagi na ich wewnętrzne trudności i fakt zmienionej konfiguracji świata oznaczającej ryzyko starcia z protektorami Amina⁷. Przyczyny były takie same jak

7. Izrael, który boryka się z niebotycznymi trudnościami wewnętrznymi, swą „operacją Entebbe” poruszył nie tylko sumienia „obrońców życia ludzkiego” ale i przemówił do zdrowego rozsądku tych, którzy nie są kandydatami do pójścia pod nóż bez żadnego oporu. „Operacja Entebbe” pokazała jak wstrzemięźliwy potrafi być „obrońca narodów uciśnionych” — ZSSR w sytuacji gdy ma do czynienia z małym ale zdeterminowanym na wszystko przeciwnikiem. Pozycja Izraela, który, mimo położenia geograficznego, należy do krajów Zachodu, jest wyjątkowa i odbiega od zachodniego wzorca. Sprawa

te, którymi kieruje się cała opinia liberalna Zachodu. Ochrona życia ludzkiego za wszelką cenę musi automatycznie wykluczać ryzyko śmierci innych ludzi. Ta zasada, która zdawała się obowiązywać w wojsku amerykańskim w okresie słynnej afery statku wywiadowczego „Pueblo” w roku 1968, gdy cała jego załoga poddała się Północnym Koreańczykom bez wystrzału, nie jest na szczęście, stosowana w straży ogniowej i policji, pilnującej porządku publicznego. Nie wykluczam jednak tego, że pewnego dnia ktoś może dokonać i takiego „odkrycia”, żądając rozwiązania tych organizacji.

Gdy w roku 1975, po klęsce wietnamskiej, Gerald Ford, dla ratowania resztek topniejącego prestiżu amerykańskiego, wysłał jednostki amerykańskie przeciwko kambodżańskim piratom dla ratowania 26 amerykańskich cywilnych marynarzy, porwanych ze statku „Mayaguez”, w czasie tej niesłychanie trudnej operacji ratowniczej zginęła prawie taka sama liczba amerykańskich *marines*. Po tym wydarzeniu znaczna część liberalnej opinii amerykańskiej zareagowała w taki sposób jakby cała sprawa dotyczyła wyłącznie statystyki pomiędzy liczbą uratowanych i straconych. Sprawa prestiżu i godności potężnego narodu, który ratował niegdyś świat przed tysiącletnią Rzeszą, nie miała znaczenia.

Kilka dni temu miejscowa prasa doniosła w jaki sposób corocznie Zachodnie Niemcy wykupują od NRD kilka tysięcy więźniów, płacąc za nich milionowe sumy. Tego rodzaju dziwne transakcje przypominają nieco inne — sprzed 35 lat! — gdy Żydowska Gmina w Warszawie płaciła co pewien czas haracz wysłannikom Gestapo za obietnicę oszczędzenia zamkniętej za murami getta ludności. Później — gdy już było za późno — okazało się, że nie był to haracz za obietnicę życia tylko za odroczenie śmierci.

O ile idealizowanie człowieka jako istoty z natury dobrej sięga drugiej połowy XVIII-go stulecia, o tyle eksplozja profilaktyki, chroniącej na Zachodzie życie ludzkie przed wszelkim możliwym ryzykiem jest sprawą najwyżej ostatniego dwudziestolecia, a więc chronologicznie zbiega się z początkiem i rozkwitem epoki technologicznej. W czasach poprzedzających ten nowy rozdział naszych dziejów życie ludzkie miało taką samą wartość jak we wszystkich zakątkach świata. Nie ma potrzeby przypominania niemal-że bezustannych wojen, prowadzonych przez monarchów feudalnych, które kończyły się prowizorycznymi podziałami wpływów po to, żeby za kilka lat dać początek nowym

tęgo kraju i narodu jest tak złożona, że nie może być włączona do rozważań objętych tematem niniejszego artykułu.

wojnom. Ilustracją bliższą aktualności są wojny prowadzone w czasach rozkwitu kapitalizmu, gdy dysponentem życia ludzkiego nie byli już monarchowie i wąskie elity możnych, ale gdy opinia publiczna miała doniosły głos i gdy związki zawodowe i prasa były potęgami. Pierwsza Wojna Światowa — przypominam tu dobrze znane cyfry — pochłonęła 10 milionów zabitych i 20 milionów rannych. Około 10 dalszych milionów zmarło z głodu lub w epidemii. W okresie międzywojennym, poza krajami opanowanymi przez faszyzm i Rosję Sowiecką, wpływ opinii publicznej wzmożył się niepomniernie. Mimo to liczba ofiar, jeśli nawet wyłączyć wymordowanych w sowieckich gułagach i hitlerowskich obozach śmierci, była blisko trzykrotnie wyższa niż w czasie Pierwszej Wojny Światowej.

Twierdzeniu mojemu, że właśnie początek epoki technotronicznej przyniósł przełom w bezmyślnym marnowaniu życia ludzkiego, czytelnik przeciwstawi zapewne około 7 lat trwającą wojnę wietnamską (liczę tu jej czas od momentu gdy na pola walki zaczęły wkraczać regularne oddziały amerykańskie). Otóż myślę, że, wbrew pozorom dzieje wojny wietnamskiej nie kolidują z moją tezą, ale ją potwierdzają. Nie wdając się w szczegóły konfliktu, który analizowano we wszystkich możliwych aspektach, należy tu wziąć pod uwagę dwa ważne elementy: 1) Nie liczbę ofiar która, nawiasem mówiąc, nie przekraczała zbyttno liczby ofiar wojny koreańskiej *przeciwko której nikt poza Partią Komunistyczną w Ameryce nie protestował*, ale potęgującą się opozycję opinii publicznej nie tylko w USA, ale i wśród ich europejskich sojuszników przeciw „amerykańskim agresorom”. 2) W roku 1964, w momencie słynnej uchwały tonkińskiej, ZSSR był militarnie daleko słabszy od USA niż obecnie. Obiektywnie rzecz biorąc Stany Zjednoczone mogły szybko zakończyć konflikt przez zmasowane uderzenie lądowo-morskie na Północy połączone z desantem. Subiektywnie — były jednak sparaliżowane postawą opinii publicznej, wśród której narastała coraz większa opozycja przeciw wojnie. W tej sytuacji dla kierowniczych czynników w Waszyngtonie powinno być zupełnie jasne, że bez względu na to jaką przewagę mają nad przeciwnikiem, nie mogą prowadzić wojny i uratować Południowego Wietnamu. Albowiem rząd w Hanoi i Partia dysponowały jedną bronią dającą im stale rosnącą przewagę nad Ameryką: tą bronią była *niehamowane żadnymi humanitarnymi względami szafowanie życiem własnych żołnierzy*. Hanoi prowadziło wojnę wedle wzorów z minionych lat, gdy straty w materiale ludzkim mierzyło się nie w liczbach bezwzględnych, ale tym jaki stanowią one procent w stosunku do niewprowadzonych do boju rezerw. To i tylko to było ważne dla Politbiura, trzymającego północny Wietnam w żelaznej dys-

cyplinie. Całkowicie odmienne kryteria obowiązywały w Stanach. Każdy utracony żołnierz oznaczał wzrost opozycji i nowe demonstracje antywojenne. W tych warunkach, każda zakrojona na większą skalę operacja wojskowa, oznaczająca możliwość nowych ofiar po stronie amerykańskiej i przeciwnika — nawet gdyby w jej wyniku można było skrócić wojnę — była torpedowana presją opinii publicznej.

W wywiadzie telewizyjnym, udzielonym Davidowi Frostowi 19 maja 1977 roku, b. prezydent Nixon oświadczył, że wojna wietnamska została przegrana nie w Południowo-Wschodniej Azji, ale w Waszyngtonie. Jest to błąd. Nixon byłby znacznie bliższy prawdy, gdyby uznał, że wojnę przegrano nie tyle w Waszyngtonie, ile w centrach uniwersyteckich Ameryki, które wraz z *mass media* były najzarliwzszymi nosicielami nowej moralności, mającymi kolosalny wpływ na skupiska ludzkie w wielkich metropoliach miejskich. Ponieważ ani rząd ani Kongres nie pojęły całokształtu sytuacji i przemian w Ameryce, poszły na najgłębszy w świecie kompromis. Zamiast wycofać się jak najszybciej z konfliktu i uniknąć klęski, wybrały metodę eskalacji czyli stopniowego angażowania sił. Metoda ta, z jednej strony uczyla słabszego militarnie przeciwnika tj. Hanoi, właściwej metody prowadzenia wojny przeciw interwentowi. Z drugiej strony — przeciągająca się agonía wietnamska, doprowadzała do białej gorączki liberalną opozycję i „Nową Lewicę”, których wpływ na opinię publiczną zwiększał się z każdym nowym niepowodzeniem wojennym Stanów. Góra waszyngtońska, składająca się z tępo-głowych polityków, nie była w stanie przez długie lata zrozumieć, że nie żyje w czasach, w których — przykładowo mówiąc — w 3-dniowej „Bitwie Narodów” pod Lipskiem w 1813 roku mogło zginąć kilkadziesiąt tysięcy ludzi, ale w nowej epoce, kiedy w opinii zachodniej liczy się każde życie ludzkie, podczas gdy dla Politbiura w Hanoi nie liczyło się ono wcale.



Z kolei przechodzę do głównego punktu moich rozważań: jaki jest związek między technotroniką, której rozkwit rozpoczął się na Zachodzie z początkiem lat sześćdziesiątych, a profilem psychicznym społeczeństw, tworzących nową technologię i korzystających z jej udogodnień? Wypada tu nadmienić, że sprawę priorytetu człowieka i praw, które mu przysługują w myśl wyznaczanych przez oświecone sfery Zachodu ideałów, zamierzam poddać rozważaniu w równoległym aspekcie dwóch, starych jak istnienie cywilizacji, fenomenów: *budowania i niszczenia*. Albowiem wydaje mi się, że na tle tych dwóch zjawisk mamy do

czynienia z analogiczną ewolucją degradującą jedne wartości i podnoszącą walory innych. Fryderyk Wielki nazywał kiedyś swych żołnierzy „mięsem armatnim”. Ale rola, jaką pełnił w owych czasach żołnierz, odpowiadała funkcji chłopu pańszczyźnianego, później zaś — w okresie wczesnego stadium kapitalizmu — robotnika. Jeden i drugi byli tylko biernym narzędziem, służącym bądź do zabijania i niszczenia, bądź do produkowania żywności czy wyrobów przemysłowych. Przy mało skutecznym (w porównaniu z obecnymi narzędziami śmierci) uzbrojeniu XVIII- i XIX-stowiecznych armii i pracochłonnej produkcji broni, zniszczenie jednego działu w okresie wojen napoleońskich było zapewne większą stratą dla generałów niż utrata 100 żołnierzy. Albowiem masa ludzka była mierzwą, która zaścielała pobojo-wiska wielkich bitew owych czasów, a zdobywanie rezerw poprzez konskrypcje albo po prostu branki nie napotykało na większe trudności. To, że w wyniku długotrwałych wojen i następujących po nich klęskach głodowych i epidemiach kraje Europy wyludniały się, oznaczało tylko przymus odczekania, póki nie wyrosną nowe generacje „armatniego mięsa”.

Podobna sytuacja, choć oczywiście nie nacechowana żniwem masowej śmierci, panowała w latach rozwijającego się kapitalizmu. Przechodził on wczesne stadia rozwoju w innych okresach w Anglii i Europie Zachodniej, a w innych — w Ameryce. Życie ludzkie dla właściciela manufaktury lub kopalni było wówczas tym czym życie żołnierza dla wielkich strategów wojny. Tyle tylko, że służyło odmiennym celom — nie zabijaniu i niszczeniu, lecz budowaniu i wytwarzaniu. Potrzeba szybkiej reprodukcji nowych pokoleń potrzebnych w wojnie i pokoju tkwiła *między innymi* u źródeł ówczesnej surowej moralności seksualnej. Jedynym celem stosunków erotycznych miało być podtrzymanie gatunku ludzkiego — czyli rodzenie dzieci pod ochroną instytucji małżeństwa. Z tego powodu na indeksie ówczesnej moralności znajdowały się przez długie wieki wszelkie rodzaje homoseksualizmu.

Równoległe z procesem doskonalenia się broni, posługiwanie się którą wymagało większych kwalifikacji, rozwijała się technologia produkcji towarowej i wydobywania surowców. Jak dalece powolny był jednak ów proces, dowodzi fakt siedmiodniowego tygodnia i 16-stogodzinowego dnia pracy w niektórych krajach kapitalistycznych jeszcze z końcem XIX-go i początkiem XX-go stulecia. Mechanizacja procesów produkcyjnych i gwałtowny skok od jednostrzałowej broni do broni automatycznej wciąż jeszcze nie podniosły wartości życia ludzkiego do tej rangi, która by nakazała inżynierom wojny oszczędzać ludzi. Natomiast Pierwsza Wojna Światowa przyniosła rzecz nową — wstrząs opinii publicz-

nej na skutek powtarzających się bezowocnych ofensyw, pochłaniających setki tysięcy ofiar na polach bitewnych Francji.

Dopiero konflikty i mikro-wojny epoki tetrotechnicznej *przemieniły się głównie w wojny materiałowe*, w których, w porównaniu z dawniejszymi, straty sprzętu wojennego i straty w ludziach nabrały już odwróconych proporcji. Widzimy to od strony amerykańskiej na przykładach wojny wietnamskiej i na przykładach dwóch krótkotrwałych wojen na Bliskim Wschodzie w roku 1967 i 1973. Straty ludzkie, jeśli się uwzględni uwielokrotnioną siłę ognia współczesnego żołnierza, są nieproporcjonalnie niskie w porównaniu ze żniwem śmierci Pierwszej i Drugiej Wojny Światowej, nie mówiąc już o wojnach dawniejszych. Współczesne batalie wymagają nie tyle mas żołnierskich, ile wysoko wykwalifikowanych specjalistów. Dlatego człowiek stał się czymś nieporównywalnie cenniejszym od sprzętu⁸. Rewolucja technologiczna jest czymś znacznie dalej idącym od mechanizacji, która przecież istnieje od dawna. Programowanie i wejście do procesów produkcyjnych i usług komputerów niweluje coraz bardziej potrzebę pracy fizycznej, wysiłku mięśni jak również niekonceptyjnej pracy umysłowej. Stąd postulat wprowadzenia kobiet do rozmaitych gałęzi produkcyjnych usług i służby wojskowej. Choć postulaty te podbudowane są nieraz wręcz absurdalnymi teoriami egalitarnymi, genealogia owego zrównania jest jasna na tle kompletnych zmian społecznych jakie przyniosła era postindustrialna.

Pełne skutki rewolucji technologicznej zrozumiemy łatwiej, jeśli spojrzymy na nie przez szkło powiększające. Innymi słowy, gdy wyobrazimy sobie jej następny etap — zastąpienie w ogóle wszelkiej fizycznej, a nawet i częściowo niefizycznej pracy, funkcją robotów. Nie wiem czy taka epoka kiedyś nastąpi i mam nawet w tej materii daleko idące wątpliwości biorąc pod uwagę choćby obecne trudności energetyczne świata. Niemniej obecna technologia jest jej mikro-modelem. Łatwo sobie wyobrazić czym byłby w warunkach absolutnej automatyzacji człowiek. Jego życie, bezpieczeństwo, wygody i komfort stałyby się jedyną wartością. Myślę, że może dlatego epoka ta nie powinna być przedmiotem naszych marzeń. Gdyby stała się rzeczywistością, ludzkość przemieniłaby się wyłącznie w wielką społeczność konsumentów, bez potrzeby podejmowania minimalnych wysiłków. Wizje takiej ludzkości musi budzić dreszcz przerażenia, ponieważ groziłaby absolutnym odkształceniem człowieczeństwa. Wspominam to tylko po to, żeby uzmysłowić kierunek ewolucji, którą zapoczątkowała era postindustrialna i jej aktualne konsekwencje,

8. W lotnictwie stwierdzono to i wyciągano odpowiednie wnioski już w czasie Drugiej Wojny Światowej kiedy uświadomiono sobie, że strata jednego członka załogi jest znacznie kosztowniejsza od straty samolotu.

jeśli chodzi o rolę i wagę jakiej nabrał człowiek. Droga ta była długa. Od budowania piramid kosztem dziesiątków tysięcy bezcelowo marnowanych istnień, aż do czasów, gdy na ich szczytach w pełnym blasku, niemal że uświęconego człowieczeństwa, znalazł się mieszkaniec krajów Zachodu.

W technotronice odnajduję zatem genealogię nowej rewolucji moralno-obyczajowej, niemniej doniosłej, a może donioślejszej niż ta, która wiązała się z powstaniem kapitalizmu, a która w Zachodniej Europie i Anglii miała miejsce znacznie wcześniej niż w Stanach Zjednoczonych. Wymagający wolnej siły najemnej kapitalizm, wytworzył nową moralność, która nakazała potępić kilka tysięcy lat trwającą instytucję niewolnictwa⁹.

Rewolucja technotroniczna jest matką nowej ideologii, deklarującej prymat człowieka, jego praw i przywilejów bez względu na jego wyznanie, kolor skóry i narodowość. Zachód — a w tej liczbie przede wszystkim Stany Zjednoczone — jest twórcą nowej technologii. Sowiety wprowadzić przyczyniły się również do jej rozwoju ale w bardzo skromnym stopniu. Między innymi dlatego, że zbyt późno doceniły znaczenie elektroniki, a przede wszystkim z tej przyczyny, że klimat badań naukowych, nawet w niehumanistycznych gałęziach nauki jest przytłoczony administracyjno-policyjną kontrolą państwa. Zasłużeni technologowie i fizycy ZSSR korzystają wprawdzie z wielu niedostępnych dla innych przywilejów materialnych, ale przywileje te okazują się niewysparczające, by w pełni zaangażować ich w pracy badawczej. Albowiem w obecnych czasach rośnie w tych środowiskach naukowych, podobnie jak i na Zachodzie, potrzeba nie tylko wolności ale i prawa do buntu. A tego Sowiety udzielić nikomu nie mogą. Warunkiem więc dostępu do strzeżonych ośrodków badawczych i laboratoriów jest legitymacja całkowitej lojalności i wierności dla władzy. Nie jest to sprzyjająca atmosfera dla znających swą wartość wybitnych sowieckich naukowców i z tego powodu Sowiety były i są skazane na kupowanie zachodniej — w tym głównie amerykańskiej — najnowocześniejszej technologii. Jak

9. Teza ta, będąca w mym przekonaniu jedną z trafnych spostrzeżeń anty-idealistycznych szkół historycznych XIX-go stulecia, może być wsparta dodatkowym argumentem. O tym jak dalece moralność polityczna kształtowana jest w wielu wypadkach (choć nie zawsze) przez interesy ekonomiczne, świadczy polityka Anglii w czasie wojny secesyjnej w Stanach Zjednoczonych w latach 1861-65. Wielka Brytania, która była kolebką kapitalizmu, zakazała na długo przed wybuchem wojny secesyjnej zatrudniania w obrębie swych posiadłości niewolników. Niemniej od samego początku krwawego konfliktu, który podzielił Amerykę, poparła zdecydowanie Konfederację Południa, dążącą do utrzymania niewolnictwa. Przyczyna była prosta. Tkalnie angielskie potrzebowały gwałtownie bawełny, której dostawcą były rolne stany południowe. Konflikt interesów był tak głęboki, że w pewnym momencie groził wybuchem wojny.

wszyscy wiemy, Ameryka i Zachód sprzedają ją chętnie. Jeszcze chętniej od czasu gwałtownej wyżki cen ropy naftowej, która zachwiała równowagą finansową wielu państw przemysłowych.

Nawet państwo, które by nie produkowało technotronicznych ulepszeń, a jedynie nabywało je od innych stwarzałoby jednak sytuację, w której życie jego mieszkańców stawałoby się łatwiejsze i wygodniejsze. Wraz z tym mogłyby kiełkować i rozwijać się idee zbliżone do tych, które wywarły piętno na życiu narodów Zachodu. W tej teoretycznie potencjalnej sytuacji jest Związek Sowiecki, bez względu na to jaką część elektroniki stworzył sam, a jaką uzyskał od Zachodu. Niemniej, o ile nowa technologia spowodowała na Zachodzie rewolucję moralno-obyczajową z wyszkotkami wyliczonymi przeze mnie konsekwencjami, sytuacja obywateli sowieckich nie uległa zmianie¹⁰. Choć położenie ludzi w ZSSR w dziedzinie swobód obywatelskich nie uległo zmianie od czasu odejścia Chruszczowa — a jeśli uległo — to jedynie na gorsze — nie można bynajmniej powiedzieć, żeby nie uległa zmianie sytuacja ZSSR. Przeciwnie, dzięki zdobywanej na Zachodzie i tworzonej przez nich samych nowej technologii, którą wykorzystuje się głównie celem zwiększenia potęgi militarnej, Sowiety stały się tym, czym są obecnie: „Wyzwolicielem uciemiężonych ludów” według własnej definicji a kandydatem na przyszłego władcę świata w przekonaniu — innych. To, że Związek Sowiecki uczynił taki właśnie użytek ze starej i nowej technologii, wynika z dwóch przyczyn: 1) Ambicji podporządkowania sobie świata — o ile możliwe bez rozlewu krwi — do czego, jak się wydaje, jest albo był do ostatnich czasów na najlepszej drodze. 2) Dążenia do zachowania nieuszczipionej władzy hierarchii partyjnej wewnątrz swego imperium. Nikt nie może zaprzeczyć — bo zakrawałoby to na nonsens — że łatwiej jest rządzić obywatelami lepiej odzianymi i nakarmionymi niż obszarzanymi i głodującymi. Dlatego obecnych dominujących braków w dziedzinie konsumpcyjnej nie można wyłącznie tłumaczyć priorytetem zbrojeń. Wiadomo że gdyby system sowiecki funkcjonował wydajniej, to przy obecnej technologii przemysłowo-rolnej, władze sowieckie nie byłyby zmuszone stanąć wobec alternatywy: dostatek żywności i mieszkań lub rakiety, przerastające jakościowo i liczebnie broń amerykańską. Jedno i drugie byłoby osiągalne. Niestety, systemu totalitarnego nie da się radykalnie ulepszyć bez zmiany struktury władzy co równałoby się politycznemu (jeśli

10. Piszę tu oczywiście nie o zmianach po-stalinowskich, których nikt nie neguje, ale o zmianach w wyniku rewolucji technotronicznej, która zaczęła się w ZSSR nieco później niż na Zachodzie i zbiegła się mniej więcej z przyjściem do władzy Breżniewa.

nie fizycznemu) samobójstwu Komitetu Centralnego z przyległościami.

W tych warunkach ZSSR starał się zdobywać nową technologię wszelkimi możliwymi środkami, tłumiąc ze wszystkich sił groźbę nadbudowy jaka z rewolucji technologicznej wyrasta. Jeśli ZSSR chciał zachować swój kształt ustrojowy, nie miał właściwie wyboru. Nie zamierzał nabywać czy tworzyć technotroniki z „masą upadłości” jaka przypadła Zachodowi, a zwłaszcza Japonii. Ta ostatnia rządzona niegdyś po dyktatorsku z nieograniczonymi apetytami imperialnymi, potrafiła w wyniku przemian ostatniego 20-lecia zmienić się radykalnie. Innymi słowy, z nowej postindustrialnej rewolucji Sowiety zapragnęły czerpać tylko to co umacnia ich potęgę wewnętrzną i światową. Towarzyszące rewolucji idee potraktowały jako uboczny i zgoła niepożądany produkt. *Tak postępując, sowieccy przywódcy jeszcze raz przekreślili wszelkie więzy z marksizmem, którego jedną z podstawowych twierdzeń jest teza, że nowym możliwościom i stosunkom produkcyjnym muszą towarzyszyć stosunki społeczne umożliwiające ich pełny rozwój.*



W ciągu wielu lat kadencji Kennedy'ego, Johnsona, Nixona i Forda Stany Zjednoczone, które w owym okresie przechodziły pełny rozkwit i powstanie rewolucji technologicznej — chętnie udostępniały ZSSR swe zdobycze. W każdym razie nie strzegły ich przed „potencjalnym adwersarzem”, stojąc na stanowisku, że sprzedaż nowej technologii, która przecież niekoniecznie musiała być użyta dla celów wojennych, należy do zwykłej wymiany handlowej. Nie mogły jednak sprzedawać technotroniki wraz z rodzącą się z nią nową ideologią. Po pierwsze, nie widziano pomiędzy tymi dwoma sprawami związku, po drugie — nie mieściło się to w dobrych obyczajach kupieckich. Byłoby to coś w rodzaju „handlu wiązanego”, gdy nabywca zmusza kupującego to, co jest mu potrzebne, aby przyjął również artykuł, którego wcale nie pragnie, choćby nawet — jak w wypadku sowieckiego klienta — miał go otrzymać gratis i bez kosztów przesyłki. Nie wiem czy rząd Cartera i jego doradcy dostrzegli owe związki pomiędzy erą technologiczną a podniesieniem do najwyższej rangi praw ludzkich, od dawna deptanych w Sowietach i w wielu innych krajach trzeciego świata. W każdym razie prezydent Carter zajął dobrze znane światu stanowisko: korzystanie przez kraje wrogie lub nawet nie-wrogie Stanom Zjednoczonym z zasobów technologicznych czy finansowych USA, bez przywrócenia praw wolnościowych (przewidzianych Kartą ONZ i Deklaracją w Helsinkach), nie może być dalej praktykowane. Wątpię, choć nie

wykluczam, czy zajęcie takiego stanowiska ma wynikać z powołań misjonarskich nowego prezydenta. Sądzę raczej, że jest to pogląd praktycznie i dalekowzrocznie patrzącego polityka. Nowy prezydent nie odkrywa przez to żadnej rewelacyjnej prawdy — że dostarczanie Sowietom na kredyt czy za gotówkę wszystkiego, czego im brak, bez jednoczesnego stworzenia zapory ich globalnym apetytom — jest podstawieniem głowy pod nóż kata. Ponieważ z drugiej strony prezydent Carter zdaje sobie sprawę z niedostatecznego potencjału militarnego Stanów i ich sojuszników w porównaniu z sowieckim i — co ważniejsze — z upadku ducha walki wśród własnego narodu, nie bez racji może uważać, że jedyną aktualną barierą, mogącą chronić świat zachodni przed ekspansją Sowietów, jest przywrócenie swobód i nadanie praw ich obywatelom, którzy wcale nie pragną podbojów, ale spokojnego i względnie dostatniego życia. Nie wydaje mi się jednak, żeby oceniając sytuację realnie, Carter i jego doradca do spraw bezpieczeństwa, liczyli, że skłonią jakimikolwiek środkami presji, Sowiety by zaoferowały swym obywatelom swobody przewidziane w tylu dokumentach i deklaracjach, że nudno jest już je wyliczać. Po pierwsze, Amerykanie ani Zachód już od dawna nie dysponują wobec Sowietów żadnymi środkami presji. Odwrotnie ten instrument przeszedł w ręce sowieckie. Po drugie — nawet gdyby środki presji istniały, nie można by Sowiety zmusić do przyjęcia postulatów Cartera, ponieważ wprowadzenie ich w życie równałoby się samolikwidacji sowieckiej władzy.

Znając nastroje w krajach Europy i we własnym kraju, nowa amerykańska administracja musi i powinna liczyć na co innego. Na to, że rosnący ferment w imperium sowieckim, przy coraz widoczniejszych objawach otrzeźwienia w Ameryce, działać będzie jak katalizatory o dodatnim sprzężeniu zwrotnym. Rosnący zwolna opór dysydentów na Wschodzie natchnie Zachód wolą oporu i odwrotnie. Przypuszczam, że sytuację tę odcyfrowują prawidłowo przywódcy sowieccy, co może wpłynąć na przyspieszenie pewnych decyzji w obawie, by nie przepuścić pomyślnej dla nich koniunktury dziejowej. W każdym razie Rosjanie nie umniejszają już swojej potęgi w oczach świata. Przeciwnie — ostatnie wystąpienia Gromyki w odpowiedzi na propozycje rozbrojeniowe Cartera zmierzały do tego, by opinii zachodniej ukazać w całej pełni militarną przewagę ZSSR, dając do zrozumienia, że na zejście z drogi kapitulacji jest już za późno¹¹.

11. Temu samemu celowi służyła, w moim przekonaniu, uzyskana z „wiadomości” źródeł informacja o absolutnej broni sowieckiej — nowym rodzaju lasera, zdolnym do zneutralizowania nuklearnego arsenału Ameryki. Wiadomość ta podana do wiadomości publicznej przez amerykański periodyk *The Aviation Week and Space Technology* — jest, w moim przekonaniu, spreparowana przez sowiecki departament dezinformacji.

To nie Carter jest fanatycznym misjonarzem, zapatrzonym w nieosiągalny cel ulepszenia świata. To jego poprzednicy byli krótkowzrocznymi głupcami. Jeśli Carter ma w sobie pewne cechy misjonarskie, nie jest to w każdym razie typ fanatyka, pragnącego osiągnąć wszystko i szybko — a w szczególności „zbawić świat” przy użyciu nacisków ekonomicznych swego kulejącego kraju. Jego „niekonsekwencja”, którą mu wytykają co głupszy politycy i dziennikarze — że skoro wymaga wolności w Sowietach, to dlaczego stosuje ulgową taryfę wobec Chin do wodzi, że Carter dokładnie rozeznał te słabe atuty, jakimi wciąż jeszcze dysponuje Ameryka, i nie zamierza ich tracić, żeby zadowolić podejrzanego gatunku krytyków albo kompletnie otumanionych konserwatystów, dla których walka z Sowietami oznacza walkę z wszelkimi odmianami komunizmu i odwrotnie. Misjonarz-fanatyk, który wybiera się na krucjatę z opaską na oczach, byłby katastrofą. Misjonarz-realista, jeśli zdoła pozyskać opinię publiczną — nawet wbrew Kongresowi i chwiejnej w tej chwili opinii liberalnej — okazać się może dla świata, a wraz z nim dla Polski, jedynym prawdziwym ratunkiem.

Nie wiem jak długo Carter wytrwa w swej polityce przeciwstawiania się Sowietom. Nie wiemy jakie nowe pokolenia zachodnich „monachijczyków” będą mu rzucać kłody pod nogi lub perswadować, albo że na zejście z drogi kapitulacji jest za późno albo że z Sowietami, które kierują się tę samą logiką co Zachód, można się porozumieć jak z każdym mocarstwem rządzone przez ambitnych władców. Nie wiemy kiedy podniesie się powrotna fala argumentów, że pomoc dla Sowietów jest najlepszą drogą do ich obłaskawienia i zhumanizowania. Jeśli Carter ugnie się pod tymi naciskami, Ameryka straci nie tylko przywódcę, w którym świat pokładał nadzieje, ale i ostatnią szansę przed potopem.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 22 maja 1977 r.

Rozmowa z Gombrowiczem

BUENOS AIRES 1953-54

Przed godziną Gombrowicz, na swoim kursie filozoficznym, tłumaczył nam na czym polega „redukcja fenomenologiczna” i jakie są konsekwencje tej metody w kulturze. Jedna z pań zauważyła: — Gdy się pana bliżej pozna, jest pan zupełnie inny niż w tej legendzie, która się o panu wytworzyła. Odezwałem się: — Nieraz mnie pióro świerzbi żeby tę legendę, szkodliwą dla pana i dla czytelników, zrewidować. Na co Gombrowicz: — A może byłoby dobrze, gdyby pan zrobił ze mną wywiad?

Ustaliliśmy następujący proceder. Najpierw w „Rexie” (sala szachowa naładowana potencjałami szachowego myślenia, zegary abstrakcyjnie wyznaczają czas posunięć a olbrzymie szyby grają kolorami neonów) przeprowadziliśmy rozmowę, potem na jej podstawie opracowałem w domu moje pytania na piśmie i naszkicowałem odpowiedzi Gombrowicza. Maszynopis tego dialogu został przez Gombrowicza szczegółowo rozpatrzony i uzupełniony.

Ja: — Dokoła pana pisarstwa tworzy się atmosfera jakiegoś niezbadanego Mare Tenebrarum. Pan ciągle wyjaśnia, komentuje pan siebie w „Dzienniku”, w przedmowach, a jednak w dalszym ciągu niewiele rozumie. Czemu to przypisać?

Gombrowicz: — Pomówmy naprzód o mojej pracy czysto artystycznej. Moje utwory są dla wielu niezrozumiałe po prostu dlatego, że nie są dla nich pisane. Ale skąd ta pretensja abym ja miał pisać dla wszystkich? Dlaczego komplikujecie takimi pretensjami niezmiernie prosty proces: 1) siadam przy biurku i piszę dla siebie, na moim poziomie, dla własnej przyjemności, może także dla garstki pokrewnej mi naturą i kulturą; 2) wydawca ogłasza to drukiem gdyż, jego zdaniem, to może zainte-

resować pewnych czytelników; 3) reszta nie jest obowiązana ani kupować tego, ani czytać.

Jestem człowiekiem prywatnym. Uprawiam literaturę prywatną, a nawet do pewnego stopnia, konfidencyjną. Nikt nie powołał mnie na urząd Dostarczyciela Strawy Duchowej dla Mas — i zresztą nie nadaję się na urzędnika.

To nie znaczy abym lekceważył społeczeństwo. Poprzedzam moje utwory przedmowami dlatego właśnie aby one nie stały się źródłem niepotrzebnych i szkodliwych nieporozumień. Nie wyjaśniam tego co w moim pisaniu jest sztuką, bo tego nie da się wyjaśnić. Ale mówię: — nie, uspokójcie się, nie jestem demon, wariat, anarchista, nie szukam skandalu, to a to napisałem dla takich a takich racji.

Ja: — Czy nie sądzi pan jednak, że gdyby pan wypowiadał się w sztuce w sposób mniej szalony, na samym pograniczu dnia i nocy — że gdyby to nie było takie krańcowe jako świadomość, intuicja, forma, byłoby bardziej dostępne?

Gombrowicz: — Wzywam, pana, panie Karolu, aby pan miał poważniejszy stosunek do pracy artysty.

Cóż to jest sztuka na serio? To próba wypowiedzenia tego co nie zostało powiedziane, dożeglowania do dziewiczych lądów, to właśnie najbardziej krańcowa sytuacja ducha, tam gdzie styka się on z Nieznanym i z Nienazwanym.

Cóż, u diabła, ma tu do czynienia czytelnik, ten w tuzinkowym wydaniu? Czy piarstwo polskie ma być zawsze „dla czytelników”? Czyż nie stać nas na parę książek sięgających w noc, która otacza ludzkość? Nie wiem czy to robię dobrze, czy źle — w każdym razie — miejsce moje jest tam, na samej granicy światła.

Powiecie, że w ciemnościach łatwo przemycić tandetę. Bardzo nad tym ubolewam, ale nie ma rady. „Pewność i Zaufanie” to dobre było dla P.K.O. Surowe życie nie zna takich udogodnień.

Ja: — Jakże pan wytłumaczy, że nawet to co pan pisze „dla czytelników”, na przykład „Dziennik” drukowany w *Kulturze* tak opornie wchodzi do głowy, budzi tyle sprzecznych interpretacji?

Gombrowicz: — To już inna para kaloszy. Tutaj rzeczywiście można zapytać: dlaczego jesteś niejasny, gdy chcesz być jasny? Co jest w tobie takiego, że prowokujesz i że twój sens się wymyka?

Odpowiedź: — Mój świat jest inny niż świat moich czytelników.

Ja: — Przyjrzyjmy się temu z bliska. Czy pański świat jest inny dlatego, że pańskie pojęcia są inne? To znaczy: czy nie uważa pan, że gdyby czytelnicy poznali współczesną dialektykę — mam na myśli przede wszystkim dialektykę heglowską i egzystencjalną, mieliby lepiej uitorowaną drogę do pana?

Gombrowicz: — Zapewne. Je jestem z innej szkoły, a oni z innej. Według mnie ta polska inteligencja jest, pomijając wyjątki, zupełnie nieorientowana we współczesnym świecie. Powód? Dlatego że my, niestety, mamy własną, narodową, sztukę, literaturę, filozofię — tyle tylko, że one nie są dostatecznie zasadnicze i nie dość uniwersalne. Argentynczyk, który nie jest zbyt obciążony balastem własnej historii, pożera, gdy chce, najważniejsze książki świata. Lecz my w szkole średniej musieliśmy wpychać w siebie romantyzmy lub mesjanizmy — wobec czego zabrakło nam czasu na zapoznanie się z człowiekiem, jego kulturą, historią, myślą, jego stwarzaniem się w świecie. Skazani zostaliśmy na drugorzędną i lokalną interpretację świata. Znamy Reja, ale nie znamy Montaigne'a. Znamy Skargę i dlatego nie znamy Pascala. Szekspira nie znamy, gdyż musimy znać dramaty Słowackiego. Nie przeczę, Francuz albo Niemiec także uczył się przede wszystkim na własnej literaturze — ale pomyślcie jaka to różnica: poznawać świat poprzez Molière'a a poprzez Fredę.

Literatura zachodnio-europejska rusza się, ona pragnie nadążyć czasowi. My wlecemy się w ogonie czasu. Inteligencji polskiej wymyka się sama istota współczesności. Większość z nas jest jeszcze intelektualnie w świecie Arystotelesa i Tomasza z Akwinu. Zamknęliśmy się na klucz przed człowiekiem takim, jaki zaczął się rodzić ze dwieście lat temu — ten człowiek dziś dojrzewa, on już zabiera się nie na żarty do urzeczywistnienia siebie i obecność jego staje się groźnie namacalna. Człowiek Hegla, Nietzsche'go dialektyki, historii, człowiek egzystencjalizmu, człowiek Freuda lub Heideggera, człowiek Dostojewskiego — oto człowiek, któremu się nie kłaniamy, ponieważ nie jest *comme il faut*. Nie nawiążemy z nim stosunków nawet wówczas gdy nas złapie za gardło! Jakżeż! Przecież my mamy Olenkę, Skrzetuskiego, obrazy Matejki i w ogóle jesteśmy niewinni! Cóż za idylla obsiadła nam mózgi! Nie wymagam od nikogo filozofii ale trzeba mieć oczy otwarte na świat. Świat współczesny tym się różni od dawniejszego, że coraz bardziej się rusza. Ludzkość to statek który na zawsze odbił od brzegu, nie ma już portów ani kotwic, tylko nieskończenie płynny ocean pod niebem pozbawionym nieruchomości prawdy. Musimy przyzwyczaić się do tej samotności. Musimy nauczyć się żegluga w tych mętach. Trzeba umieć płynąć — i jeśli nie posiadziemy tej sztuki, zawsze będziemy wzdychali do jakiejś

przystani. Ale nie nauczy nas pływania nasza poezja liryczna, ani nasza literatura, wspominkowa.

Mówię, rzecz jasna, o inteligencji. Osobom w ogóle w niczym niezorientowanym święty Boże nie pomoże.

Ja: — To „święty Boże” nasuwa mi pewne pytanie. Katolicyzm jest niewątpliwie taką właśnie przystanią, taką prawdą absolutną i nieruchomą której pan przeciwstawia zdegradowane niebo współczesności. Czy, wobec tego, jest pan wrogiem Katolicyzmu?

Gombrowicz: — Nie jestem wierzącym katolikiem. Proszę, aby pańska gorąca wiara, panie Karolu, nie miała do mnie o to pretensji: nikt tego sobie nie narzuci siłą. Ale mój ateizm jest stokroć bliższy wierze niż ateizm XIX-go wieku. Dlaczego? Bo uznaje wiarę jako pewne rozwiązanie duszy, jako pewien styl życia, dopuszczam możliwość tego „skoku egzystencjalnego” i mówię, już nie pamiętam za kim: „nie można walczyć z tym co dusza sobie wybierze”. A poza tym idee, doktryny, zasady niewiele mnie obchodzą. Patrzę na człowieka i mówię: ach, taki jesteś! Podobasz mi się, lub nie podobasz, jesteś szczerzy, uczciwy, rzetelny, ludzki lub — na odwrót — jesteś przerażającym bydlakiem i usztywnionym kretyńcem. Nie mogę być wrogiem katolicyzmu, gdyż katolik, pewien typ katolika, podoba mi się jako człowiek. Dlategoż miałbym zwalczać doktrynę, która stwarza takich ludzi i takie życia?

Ale tu trzeba rozróżnić. Działanie katolicyzmu na człowieka może być dwojakie. Katolicyzm bywa wspaniałym środkiem pogłębiania i uszlachetniania — wówczas człowiek nie traci nic ze swej ludzkości, przeciwnie, ona staje się giętsza, chłonna, potężniejsza, bardziej jeszcze trudna. Ale katolicyzm może też doprowadzić do ośpienia, zastoju, sklerozy i wówczas katolik staje się okropny: doktryna zaciska się na szyi jak obroża, rodzi błogostan zrobiony z zarożumiałej „pokory”, ten człowiek już wszystko wie więc niczego nie chce się dowiedzieć, jest sędzią w imię Najwyższego — i oto byle jejmość i byle jegomość wyrokują w pięć minut o najwyższych i zaiste krwawych osiągnięciach kultury, och, nie dlatego aby osobiście czuli się wyżsi, ale dlatego że są w posiadaniu prawdy objawionej. Tu katolicyzm podważa naturalną hierarchię kultury, wartości i ludzi, staje się ułatwieniem, dzięki niemu możemy sobie pożyczyć jako tako, bez większego wysiłku, w przeświadczeniu, że jesteśmy nader cnotliwi i że reszta trudu ludzkiego nie zasługuje na uwagę.

Ubolewam: nie zbywa nam na takich katolikach. Ten gatunek jednak, trudno i darmo, musi być poddany masażowi. Kato-

licyzmowi polskiemu na gwałt trzeba dostarczyć nowych i trudnych treści, wpompować w niego całą najostrejszą doktrynę naszego obecnego stawiania się aby on się na niej urobił, pogłębił, oczyścił i wzmocnił. Prawda objawiona jest nieruchoma ale katolicy muszą się ruszać. Niech katolicyzm nie będzie synekurą duchową, uchylaniem się od konfrontacji, dziecinny łęk przed „zgorszeniem”.

Więc, moim zdaniem, pisarze jak ja mogą być przydatni katolikom, bo my ich zmuszamy do konfrontacji ze światem.

Ja: — Być może jednak pańska działalność byłaby skuteczniejsza gdyby nie zawierała w sobie prowokacji. Ale pan z rozmysłem prowokuje...

Gombrowicz: — Dla mnie literatura z istoty swojej jest prowokacją. Literaturę określam jako walkę o byt duchowy — równie bezwzględna jak każda inna walka o byt. Słowo, które nie potrafi ranić, niewiele jest warte. Ale przecież jestem o wiele mniej dotkliwy niż wielu innych...

Ja: — Gdyby pan nie jątrzył systematycznie uczuć narodowych...

Gombrowicz: — Jątrzę? To rącej oni je sobie jątrzą mną. No, to zdanie jest nieco skomplikowane.

Ja: — Może by je wyjaśnić...

Gombrowicz: — Wyobraźnia ludów prymitywnych (większość czytelników to lud prymitywny) z lubością robi z igły widły. Nie mogą się obejść bez diabła. Kłują ich od czasu do czasu igielką a oni krzyczą że to diabeł z widłami!

Do tych prostaków nie mam pretensji. Są ciemni a demony lubią ciemności, więc nic dziwnego że ich oblażą.

Ja: — Chciałbym w tej rozmowie dotknąć także nieporozumień najbardziej elementarnych właśnie z tym czytelnikiem prymitywnym. Taki czytelnik nie obejmuje całości — wyłapuje tylko poszczególne zdania. Na przykład takie powiedzenie o Polsce w „Trans-Atlantyku”: „A że chuda była szkap, niechaj zdycha!”.

Gombrowicz: — Wie pan gdzie zdanie to byłoby groźne? Gdyby ono pojawiło się na końcu książki, jako ostateczny wniosek. Ale ono jest na początku a koniec jest wybuchem śmiechu!

Ja: — Pańskie przekleństwa rzucone na Polskę, gdy statek odbija od brzegu?

Gombrowicz: — „Trans-Atlantyck”, proszę nie zapominać, to

jednak powieść humorystyczna. Więc to utwór, który śmieje się z własnych przekleństw, załamania, rozpacz. Tylko skończony jołop, pozbawiony nie tylko poczucia humoru ale i jakiegokolwiek znajomości ludzi, może nie rozróżnić między przekleństwem na serio a przekleństwem za którym czai się uśmiech. I właśnie jest na odwrót: dla kogoś, kto umie czytać, takie i tym podobne zdania będą właśnie dowodem że „Trans-Atlantyk” jest wyrazem najbardziej niewątpliwej dumy narodowej, dumy napiętej rzeczywiście do ostateczności. Czyż tego nie rozumiecie? Idealizowanie ojczyzny to tchórzliwa forma patriotyzmu. Ale wyczerpać wszystkie nędze własne z uśmiechem, ze swobodą jaką tylko może dać doskonała pewność siebie, pewność swojego istnienia... stworzyć i zachować ten dystans kateryczny w odniesieniu do całego naszego dramatu narodowego, do tego co z nami może się dziać w teraźniejszości — w imię żywotności, rozwoju, starania się... być Polakiem, który siebie przezwycięża i w tym przezwyciężaniu upatruje najgłębszy sens polskości... Ja bym zalecał taką postawę, bo to nie polskość oparta na zamydłaniu oczu sobie i innym, na idealizowaniu i „propagandzie” (co świat przyjmuje z pobłażliwym uśmiechem), ale coś co naprawdę może utrzymać się na nogach i to w każdej okoliczności.

Ale, to rzecz jasna, za mądre dla tuzinkowego „czytelnika”, któremu nie wiadomo, że i Polska i życie są trudne, o wiele trudniejsze niż to on mógłby sobie wyobrazić. Natomiast — gdybym nie wiedział że życie jest takie niechlujne, niedbałe... byle jakie — miałbym pretensję do naszych emigracyjnych pisarzy i innych intelektualistów.

Ja: — Dlaczego?

Gombrowicz: — Proszę się zastanowić: panuje na emigracji zupełna posucha idei. Piach i pustynia. Od 1939 roku nie wymyśliłmy absolutnie niczego, choć wszystko dokoła nas przeistoczyło się z kretesem. W tych warunkach ukazuje się książka, będąca zaproszeniem do radykalnej zmiany całego sposobu bycia polskiego. Czyż nie należało oczekiwać, że to zostanie przynajmniej rozważone?

Dobrze, zgódźmy się, niełatwo wyłonić z „Trans-Atlantyku” jego myśli o Polsce. Ale przecież ja ją formułowałem niejednokrotnie w przedmowach, komentarzach, polemikach, w moim dzienniku i dziś już każdy z tych panów musi zdawać sobie sprawę, że coś w nasze życie wniosłem — coś może niedorzeczne ale radykalne. Otóż ci myśliciele i przewodnicy, którzy już nawet w heraldyce szukają ucieczki przed pustką, ani drgnęli na widok rażącej idei. Przyjrzaawszy się jej niemrawym okiem,

ziewnęli i zasnęli. Jak rozumieć tę senność? Anemia? Dąsy? Obrazy? Pedagogiczne trwogi, żeby nie gorszyć maluczkich? Jakaś głupkowata „takteria” (nie robić propagandy)? Strusie wsadzenie głowy w piasek własnej mielizny? Tak czy owak trudno o jaskrawsze świadectwo indolencji. I ten to intelekt, niezdolny na własnym terenie podjąć żadnego żywotnego problemu, aspiruje jednak do jakiegoś wpływu na Kraj.

Ja: — Obserwując pańskie zderzenie z opinią, miałem wrażenie że po tamtej stronie nastąpiła dezorientacja... Nie było dobrze wiadomo skąd Pan się wziął. Pierwsza pańska książka „Pamiętnik z okresu dojrzewania” — tom opowiadań, spotkał się tylko z odosobnionymi pochwałami. Drugi utwór „Ferdynand” narobił hałasu, ale nasza przedwojenna umysłowość była zupełnie nieprzygotowana do zasymilowania tej powieści. Zresztą wybuch wojny nie pozwolił jej przenikać i bodaj większość literatów nie przeczytała jej. W konsekwencji, gdy ukazały się kilka lat temu „Trans-Atlantyk” i „Ślub” niewielu tylko znało ich precedensy. Stał się pan drażniącym samozwańcem, dziwnym Filipem z kopci...

Gombrowicz: — Tak i do tej chwili pozostałem autorem nieznanym. W Polsce moja literatura jest zdławiona, na emigracji tylko „Trans-Atlantyk” i „Ślub” są dostępne.

Ja: — No i Pański Dziennik w Kulturze.

Gombrowicz: — Ten Dziennik jest z inspiracji Giedroycia. Kiedyś napisałem mu, dla urezmaicenia, felieton w formie dziennika. Otrzymałem list: niech pan pisze dalej w ten sposób, ta forma panu odpowiada.

Ja: — Moim zdaniem, które wypowiadałem dlatego że ono pokrywa się z opinią wielu cudzoziemskich koneserów — pańskie piarstwo, zwłaszcza „Ferdynand”, mogłoby mieć niezwykle silny oddźwięk za granicą. Nie dysponujemy chyba w całej literaturze polskiej książkami tak nadającymi się do lansowania we Francji lub w Anglii. „Ferdynand” to coś nowego, coś zaskakującego, coś nie tylko nasyconego energią i sztuką, ale wprowadzającego w pewną specyficzną rzeczywistość, to utwór odkrywczy i uniwersalny. Czy jest nadzieja, że ten przynajmniej utwór zostanie przetłumaczony na francuski?

Gombrowicz: — Jestem sam. Sam jak palec. Bez państwa, bez narodu, bez instytucji, grup czy czegokolwiek co by mnie popierało. Jestem w Argentynie. Luźne usiłowania wśród przyjaciół

w Paryżu rozbijają się o straszliwy rozpęd wydawców zawałonych rękopisami, roztargnionych i nieskłonnych ryzykować forszę na wydanie nieznanego i trudnego Polaka. Gdybym miał 1.000 dolarów... Ale nie dostanę ich od nikogo bo nikomu nie służę.

Ja: — Co pan myśli o Kraju?

Gombrowicz: — Tamtejsza rzeczywistość jest straszna i upokarzająca, ale ma jedną właściwość niezmiennie twórczą: jest dotarciem do dna. Dotychczasowa kultura polska była wytworem warstwy wyższej, żyjącej życiem złagodzone — więc ta kultura była nieskuteczna przez swoją sferę. Życie polskie mogło być zrewidowane tylko od podstaw — ale to zadanie przewyższało siły naszej „superstruktury”. Otóż czasy dzisiejsze w Polsce są pierwszym w naszej historii przeoraniem bytu polskiego do głębi, do najniższych jego pokładów.

Dlatego myślę, że nigdy nie działo się w Polsce tyle co teraz, ani tak fundamentalnie. Ale ten brutalny proces odbywa się w milczeniu: on nie jest głosem, on jest faktem. Skłamane słowo tamtejsze jest zupełnie nieważne. Tam rządzi wieczny fakt — i my, tutaj, powinniśmy przyjąć go do wiadomości, jako coś nieodwołalnego. Przeważa między nami opinia że komunizm w Polsce jest zjawiskiem sztucznym i że wobec tego, wszystko co się tam dzieje jest rodzajem maskarady. Tak nie jest. Gdyby nawet odszedł komunizm, zostawi ich czymś innym niż byli, zostaną sami ale odmienieni, wstrząśnięci w samej swojej istocie, wypełnieni rzeczywistością dla której nie znajdują wyrazu. A z tego wynika, że jeśli pisarze emigracyjni wyobrażają sobie, że nadal są „osadzeni” w narodzie polskim, mylą się — ten naród dawno usunął im się spod nóg — i stąd taki niezmiennie doniosły paradoks, że my już nie będziemy mogli dogadać się z nimi „jak Polak z Polakiem”, tylko „jak człowiek z człowiekiem”. To znaczy: musimy poczuć się ludźmi w świecie i do nich zwrócić się tylko jak do ludzi.

Ja: — Czy według pana literatura emigracyjna spełnia należycie swe zadania?

Gombrowicz: — Mam wiele szacunku dla jej trudu a nawet może poświęcenia, ale ośmieliłbym się powiedzieć, że pod pewnym względem jest literaturą z nieprawdziwego zdarzenia. Czyż cechą jej aspiracji nie jest zachowanie cennego duchowego stanu posiadania z roku 1939? Ten rezerwat ducha zalatuje naftaliną. Zachowawczość większości tych piór jest cmentarna. Wygląda jakby chciały roztopić naszą, i bez tego nijaką, świadomość, w tęsknocie i w anegdocie.

Właściwie nie powinienem się do tego wtrącać, gdyż jestem kotem który chodzi własnymi drogami. Uprawiam pisanie „pojedynczego człowieka”... ale, jeśli pan pyta...

Jedyne co naprawdę wiąże piśmiennictwo emigracji z aktualnością świata to niezmordowany atak komunizmu. Ale na ogół nie przekracza on ram propagandy prasowej — jako postawa, gatunek, styl myślenia, to także jest słabe; a najlepszym tego dowodem jest że antykomunistyczna diatryba polska nie wzbogaciła niczym wielkiej polemiki światowej na temat komunizmu, nie dostrzegła żadnego nowego przeżycia, żadnego własnego rozwiązania. I jakże by to mogło się stać? Porównajcie choćby starcie Camusa z Sartrem w *Temps Modernes* sprzed paru lat z tym co my piszemy. Ten intelektualizm Zachodu, aczkolwiek „zgniły”, ma jednak szersze horyzonty...

Ja: — A przecież nie zbywa nam na talentach.

Gombrowicz: — Te talenty, jak wojsko po przegranej bitwie, powinny były się zreorganizować i wycofać na silniejsze pozycje. Tego nie zrobiły.

W obliczu decydującej rozgrywki trzeba zmobilizować najgłębsze rezerwy, dojść w sobie do ostatecznej rzeczywistości — tylko tam, na gruncie tej absolutnej autentyczności, można naprawdę stawiać opór.

Ta teza określa zadania jakie stanęły przed naszą wygnaną literaturą — których ona, tak mi się zdaje, nie spełniła.

Przede wszystkim: jej obowiązkiem było przewyciężyć swą „klasowość”, swoją szlacheckość, burżuazyjność, to wszystko co ją określa jako produkt pewnej warstwy społecznej. Powinna była stać się surową literaturą ludzi nagich, ale pozostała literaturą pań i panów z pewnego środowiska, tworem życia złagodzonego. W jaki sposób życie miękkie może się oprzeć życiu twardemu? Jak pewien wycinek egzystencji może wytrzymać napór całości bytu?

Po wtóre: należało dojść do tej autentyczności i szczerości w której człowiek staje się naprawdę sobą. Gdy się nie jest bezwzględnie sobą, nie można się opierać, nie ma na czym się oprzeć. Ale to nie jest do osiągnięcia bez katarygicznego dążenia do wolności wewnętrznej — choćby kosztem zniszczenia w sobie najdroższych skarbów. Tej stanowczości im zabrakło. Mając do wyboru, z jednej strony wolność, a z drugiej to wszystko — mity, sentymenty, wiary, legendy — do czego byli „przywiązani”, wybrali to drugie. Czyli pozostali tym, czym byli. A zgadzam się z egzystencjalistami, gdy mówię, że przeszłość zamienia człowieka w rzecz.

Poza tym my skarżymy się, ponieważ nas boli... ale to skarga dziecka. Antykomunizm polski może być przekonywujący tylko gdy stanie się wniknięciem tyleż w nieszczęście własne co w tamten ból, który komunizm zrodził, w ból wydziedziczonych, w dynamikę tamtego, proletariackiego nieszczęścia. To znaczy: aby skutecznie przeciwstawić się komunizmowi muszę najpierw przeżyć świat od strony proletariatu, spojrzeć ich oczami, doznać ich racji, wyczerpać sens tej rewolucji. Aby powiedzieć „nie” trzeba sporządzić bilans, ale bilans musi być uczciwy. Otóż, moim zdaniem, literatura emigracji nie zdobyła się na to, aby spojrzeć w twarz komunizmowi. Ani dialektyce materialistycznej, ani życiu które ją stworzyło. Literatura nasza jest propagandą — nie jest przeżyciem historii...

To wszystko można by zreasumować mówiąc, że historia domaga się od nas w tej chwili surowej i pełnej świadomości — świadomości ostatecznej — oraz pełnej swobody wewnętrznej. To nakaz naszej dramatycznej samotności. Nie pozostało nam nic, oprócz nas samych... Ale my pozostaliśmy wysadzoną z siodła burżuazją.

Ja: — Kogo w tej literaturze pan najbardziej ceni?

Gombrowicz: — Miłosza, jak łatwo się domysleć — jego dotychczasowe utwory najbardziej ze wszystkich wprowadzają w rzeczywistość. W publicystyce — Mieroszewskiego, to czujna, trzeźwa i rozumna głowa. Podziwiam wielu innych, ale prawie żaden nie trafia mi do przekonania.

Ja: — Na zakończenie, panie Witoldzie, niech Pan posłucha co powiem. O tym myślałem niejednokrotnie czytając pana utwory.

Pański „Ślub” to pogłaskania po twarzy odartej ze skóry. Utwór ten napawa strachem, może podobnym do tego jaki nas ogarnia, gdy uświadamiamy sobie ostatnie chwile Maćka Bor-kowica.

Kto się uwikła w labirynt „ślubowych” rozważań i sytuacji ten, wyzwolewszy się z tej dusznej atmosfery, nie zechce do niej powrócić. Chętnie powraca się do tego co się w jakikolwiek sposób ukochało. Pańskiej twórczości brak piękna, dlatego nie można jej pokochać.

A także, patrząc na całokształt pańskich dokonań, nasuwa się podejrzenie że pan jest typem Polaka-rokoszanina, wyznawcą *liberum veto*, który każdemu z osobna i wszystkim razem rzuca swój niezupełnie jasno wyłożony sprzeciw. Po herostratesowsku pali pan przeróżne świątynie, stawiając na ich miejscu pizańskie wieże, każdą trochę inaczej i w inną stronę przekrzywioną.

Wszystko bowiem, co pan dotychczas napisał, jest jednoznacznie negatywne.

Pan sam z siebie sztydzi, brnąć pod górę swoją, ciężką i pustą. Zdawać by się mogło, że ukochał pan jedyną myśl: jak pisać by mnie nikt nie kochał. Jeśli pan tej negacji nie zrównoważy jakimś doniosłym pozytywem, cała budowla runie bez hałasu.

Jakże mamy pana kochać i cenić, jeśli pan nas nie kocha ani nie ceni. Gdybyśmy byli tak niesłuchanie mało wari, jak to często z pana słów wynika, już dawno nie pozostałoby z nas śladu. A jednak, oprócz błędów, posiadamy też coś innego... tę dziwną, pozaludzką siłę spojrzenia, która sprawia, że utrzymujemy się jako naród w historii. Nasza legenda, podobnie jak legendy innych narodów, jest poza rozumową, ponad indywidualną, tkwi korzeniami w bycie narodowym.

Gombrowicz: — Rozpatrzmy po kolei te zarzuty.

Że w mojej sztuce nie ma piękna (wobec czego nie możecie jej pokochać)? Ależ jak można powiedzieć coś podobnego! Twierdę, że trudno o sztukę bardziej namiętną w swoim pragnieniu piękności. Czyż „Ferdynand” nie jest poematem dążącym do piękności poprzez rozmaite „gęby”. Czyż całe to udreczenie formą nie wywodzi się z tej właśnie żądzy piękna? A „Ślub”? Przecież tam grze towarzyszy nieustanne upojenie pięknem gry. A „Trans-Atlantyk”? Przecież to także poemat prozą, którego liryzm aż dyszy oczarowaniem.

Wydaje się Panu, że to nie ma piękności tylko dlatego, że inaczej jest potraktowana. Nie opisuję piękności istniejącej w świecie tylko tę, którą ludzie sobie stwarzają: mój człowiek ugania się za pięknem, on ją wytwarza, nieomal „produkuje” w każdej chwili. Ale wskutek tego ta piękność nie jest absolutna, tylko ludzka — na rozmaitych szczeblach, w rozmaitych wcieleniach, piękność wyższa i niższa — raczej niższa.

Drugi zarzut: że uprawiam negację dla negacji, nie dając nic pozytywnego. Ja? Ja, który — jedyny bodaj ze wszystkich — ukazuję kulturze polskiej konkretne i ogromne zadania?

Atakuję polską sztukę, historię, nawet polskość jako taką? Rujuję pewne błogie zachwyty? Nie przeczę. Ale w imię czego? Mówię: Polak musi przezwyciężyć swoją teraźniejszą polskość. Dojść do nowej formy polskiej, opartej na większej świadomości, większej wolności duchowej, lepszym zrozumieniu świata. Musimy siebie stworzyć na nowo, zgodnie ze światem w którym jesteśmy. Będziemy musieli stwarzać siebie nieustannie, bo istnienie to ruch.

Jeżeli więc pragnę oderwać inteligentnego Polaka od tego, do czego dotąd był przykuty, to po to aby on mógł na nowo skon-

frontować się z rzeczywistością. Możecie powiedzieć, że ten program nic nie jest wart. Ale nie mówcie, że oddaję się bezmyślnemu przeczeniu dla sportu. Zbyt dobrze znam niebezpieczeństwo takiego przeczenia. W waszym rozwoju dialektycznym ja po prostu jestem antytezą.

Trzeci zarzut: że nie doceniam Polaków? Gdybym ich nie doceniał — jakże mógłbym domagać się od nich rozwoju?

Karol SWIECZEWSKI

Powyższa „rozmowa z Gombrowiczem”, znaleziona w papierach pośmiertnych pisarza, wejdzie w skład XI-go tomu „Dzieł Zebranych” wraz z innymi znalezionymi tekstami, tj. *Wspomnieniami polskimi* (dwa fragmenty były drukowane w *Kulturze* w nrach 1/352-2/353 i 3/354 z bież. roku) oraz *Wędrowkami po Argentynie*. Są to teksty pisane przez szereg lat dla Radia Wolna Europa i przez nie niewykorzystane. (Redakcja).

ALEKSANDER WAT

MÓJ WIEK

Pamiętnik Mówiony

z przedmową Czesława Miłosza

Tom I i II

Wspomnienia wybitnego pisarza i poety, kontrowersyjnej lecz barwnej postaci epoki międzywojennego środowiska literackiego Warszawy. Nagrany na taśmie w formie rozmowy z Czesławem Miłoszem w Berkeley, w 1963-1964 roku, trzy lata przed śmiercią autora, która nastąpiła w 1967 roku. Pamiętnik ten stanowi wyjątkowy dokument epoki.

Do druku przygotowała LIDIA CIOLKOSZOWA.

Cena: £ 12; Frs. 120; \$ 25.

Wydawnictwo: **Polonia Book Fund Ltd.**, Londyn.
Skład Główny: **Orbis Books Ltd.**, 66, Kenway Rd.,
London SW5.

Dziennik pisany nocą

Rzym, 27 marca 1977

Całe niedzielne przedpołudnie na *Piazza Navona*. Niedgdyś stadion Domicjana, później (kolejno) miejsce targów, obchodów historycznych, świąt narodowych, wyścigów, turniejów, rewii książąt i prałatów rzymskich w pysznych karetach, teatrzyków ludowych, kociej muzyki ulicznych kapeli, wreszcie kramików z łakociami i zabawkami w Trzech Króli (które dotrwały do dzisiaj). Od jakiegoś czasu rzymski *Hyde Park*, połączony z handlem wędrownych landszafcistów i portrecistów. Na obrzeżach kamienne ławki, starzy przeważnie ludzie czytają gazety i rozmawiają półgłosem. Podłużna przestrzeń ex-stadionu (o pojemności, notują przewodniki, trzydziestu tysięcy widzów) nabita ludźmi; dokoła fontann, między stoiskami „malarzy” i straganami hippisów, wielka i wrzaskliwa gadalnia. W powietrzu koloru herbaty z cytryną, w mdłym jeszcze słońcu, pęki różnobarwnych baloników i rozpylane co kilka minut z furkotem obłoczki gołębi.

Zmienili się Włosi w ciągu dwudziestu przeszło lat mojego pobytu w tym kraju? Kiedy się tu osiedliłem, polubiłem ich (a może i więcej) za dwie cechy, rzadkie raczej albo zbyt powierzchowne w innych krajach Zachodniej Europy: dość głęboko zakorzeniony sceptycyzm i podskórny wstręt do fanatyzmu. Nie, nie twierdzą że są to zawsze cechy chwalebne, że nie grożą nigdy przegięciem w stronę oportunizmu i kultu *combinazione* na ruchomych piaskach. Twierdzą tylko, że w włoskim wydaniu złożyły się na stop bardzo ludzki, budzący mimo wszystko zaufanie w sytuacjach krańcowych. Ukułem sobie nawet taką formułkę: w czasach względnego spokoju włoska „bezpryncypialność” bywa często nieznośna i irytująca, jest natomiast błogosławiona w okre-

sach „przełomów historycznych”. Ilustracją był choćby włoski faszyzm (naturalnie gdy go się zestawia z hitleryzmem i stalinizmem), w sumie operetka-buffo przy biciu w marsowe bębny i kotły. Krótko mówiąc, we Włoszech przypomina się (wbrew pozorom, które mogą mieć przelotnego obserwatora) słynne zdanie Samuela Johnsona: „Polityka wszakże nie zaprzatała go na tyle, by odciągać jego myśli od rzeczy znacznie ważniejszych”. Zasada nie do pogardzenia w naszej epoce „ideologicznej”.

Więc zmienili się Włosi? Niedzielny raban oratorski na *Piazza Navona* wolno chyba potraktować jako lekcję pogładową. Ci starzy ludzie, którzy siedząc na skraju placu czytają gazety i rozmawiają półgłosem, są resztkami „moich” dawnych Włoch, spychanych na margines i zastraszone. Sam plac drży od przemówień i debat ludzi młodych, którzy reprezentują Włochy nowe. Gwałtowność tego potoku wymowy, jego ładunek irracjonalny i wybuchowy z bezustannym odwoływaniem się do „jedyne go i suwerennego argumentu siły”, dają sporo do myślenia. Między socjologami nie ma różnic w oglądzie zjawiska gołym okiem: „eksplozja irracjonalnego gwałtu, w której orientacja polityczna (ekstremizm lewicowy czy prawicowy) odgrywa rolę drugorzędną”. Zjawisko zresztą nie jest ograniczone do Włoch ani do Anglii, powiedzmy, lub NRF i Francji, socjolog amerykański Daniel Bell rozkłada ręce po tamtej stronie Atlantyku: „Sytuacja współczesnego społeczeństwa post-industrialnego staje się z każdym dniem bardziej irracjonalna. Czemu młodzi mieliby na nią reagować racjonalnie?”. We Włoszech jednak za zgodnością w diagnozie wśród socjologów — a nie trzeba do tego socjologów, wystarczy właśnie niedzielne zanurzenie się w rzymskim *Hyde Parku* — idzie podział na dwie szkoły. Jedna wychyla się poza granice własnego kraju i patrzy posępnie w przyszłość, widząc w niej ogólnoeuropejską „rewolucję nihilizmu” i zmartwychwstanie hołubionych niegdyś przez Hitlera „dzieci chaosu”. Druga przestrzega przed nadmierną dramatyzacją, szukając pociechy w włoskiej „specyfice”: miałyby to być zwykła, przemijająca i niezbyt groźna wysypka „składnika gwałtu i przekornego irracjonalizmu ekshibicjonistycznego” w charakterze Włochów, podobna do podrygów jakie wywołał „manifest futurystyczny” Marinettiego z roku 1908 (zapomina się tu, że i owe podrygi doprowadziły do faszyzmu, w włoskiej co prawda wersji mocno rozcieńczonego, lecz przecież faszyzmu).

Nie wiem kto ma rację, wiem tylko że porównując Włochy wczorajsze i obecne, czuję się coraz częściej starym człowiekiem, zepchniętym na emerytalną ławeczkę i mamroczącym coś szeptem znad gazety do sąsiada.

28 marca

Wracałem do domu pieszo wzdłuż Tybru a potem mostem na Zatybrze, późne popołudnie spływało niechętnie i leniwie w zmierzch. Gdy z mostu widać już było plac, na którym stoi pomnik zatybrzańskiego poety, rozjaśniło się nagle. Są rzadkie takie chwile natężonej czystości, albo rzadko zwraca się na nie uwagę: Tybr delikatny, szaro-żółty, miejscami fioletowy, w nim odbicie jak w pejzażu Lorrain'a. Na placu Gioacchino Belli, którego sonety podziwiał i zamierzał bodaj tłumaczyć Gogol (Sainte Beuve: „Pan Gogol zapewnia mnie, że znalazł w Rzymie prawdziwego poetę ludowego nazwiskiem Belli, który pisze sonety w *romanesco*, narzeczu zatybrzańskim”). U stóp pomnika gromadka kobiet z małymi dziećmi, większe uganiają się za piłką, przez skwerek przeskakują długimi susami wylękniony kot. Naprzeciw, za żelazną kratą bramy *San Crisogono*, procesja z bazyliki okrąża dziedziniec i wraca parami do wnętrza. Strzępy śpiewu: *Sorgi, Signore, e salvaci*. Pierwsze podmuchy wiosny, spokój, pogodny zmierzch. W wąskiej uliczce obejrzałem się jeszcze za siebie, ale ciemna przedwieczorna gaza przesłoniła ten obrazek z życia prawie eńklawy.

Neapol, 15 kwietnia

Zdaje się, że we Francji odpływa fala maolatrii; wyszła seria rzeczowych, krytycznych książek o Wielkim Sterniku, w jakiejś pewnie mierze pod wpływem wykrycia „spisku” uknutego przez „kontrrewolucyjną bandę” pod przewodnictwem Wielkiej Sterniczki. Wierny małżeństwu Wielkich Sterników pozostał K. S. Karol, apologeta chińskiego „socjalizmu czystego i surowego”. Oraz, w „postępowych” paryskich salonikach intelektualnych, Roland Barthes, entuzjasta *Czerwonej Księżeczki* Mao, która (według niego) w tłumaczeniu na francuski może robić wrażenie tekstu głupiego i prymitywnego, lecz w oryginale chińskim jest skarbnicą genialnych i przepastnie głębokich myśli.

Jean Pasqualini czyli Bao Ruo-wang, syn Korsykanina i Chinki, spędził siedem lat w chińskich więzieniach i obozach i opisał swoje doświadczenia w niezmiernie pouczającym tomie *Prisoner of Mao*. Nawet gdyby w tym tomie nie był ani razu wzmiankowany *Rok 1984*, niemal na każdej jego stronie dostrzegłoby się cień Orwella. Jest jednak wzmiankowany wielokrotnie. Chińskie rekolacje ideologiczne, zwane Walką i Wyrażaniem Goryczy, są jota w jotę kopią orwellovskich Pięciu Minut Nienawiści.

Więźniowie mają obowiązek składania na piśmie periodycznych podziękowań Władzy Ludowej za to, że umożliwiła im wkroczenie na drogę Reformy Przez Pracę; Pasqualini wysmażał początkowo te podziękowania z mieszaniną zdumienia i pogardy, dla uratowania skóry, lecz pod koniec swej Reformy Przez Pracę zaczął już szczerze wierzyć we własną wdzięczność niewolnika; stał się bliski pokochania Wielkiego Brata. „Komuniści chińscy obawiają się najbardziej ludzkich uczuć między jednostkami, jedynej rzeczy której nie potrafią w pełni kontrolować”; pamiętamy to z historii Winstona i Julii. „Mieszkańców Zachodu może to bawić, ale Mao jest dosłownie zdolny odzwyczaić swych podwładnych od kopulacji; jeśli to nie wszechmoc ideologii w akcji, co nią jest?”. Na krótko przed zwolnieniem Pasqualini zatracił całkowicie „chłodną racjonalność wyniesioną ze szkół misyjnych”; *I had become, if you like, brainwashed.*

Miliony reedukowanych Chińczyków zatraciły także, w sposób nieodwracalny, mniej czy więcej chłodną „racjonalność”? Nie nam o tym sądzić, skoro paryski luminarz intelektualny przysięga, że ideologiczne prostactwa w przekładzie na jeden z naszych ułomnych i „nieadekwatnych” języków są po chińsku krynicą mądrości. Ale z nowej serii książek sinologów francuskich wynikałoby, że przedmiotem pośmiertnego kultu w Chinach jest raczej pragmatyczny i względnie umiarkowany Czu En-lai, niż posągowo ideologiczny Mao. Podejrzewa się wręcz że w styczniu 1976 roku rozsypano pośpiesznie popioły Czu, by jego grób nie przyciągał masowych pielgrzymek.

22 kwietnia

Na sowieckiej mapie dysydenckiej bracia Miedwiediew (historyk Roy w Moskwie, biolog Jaurès w Londynie) zajmują miejsce szczególne. Uważają się za marksistów, chcą być „głosem lojalnej opozycji socjalistycznej i demokratycznej” (lojalnej, ma się rozumieć, wobec reżymu któremu się przeciwstawia). Nic zatem dziwnego, że Roy uchodzi za jedyne dysydenta „poważnego” w oczach komunistów włoskich; i za jedyne dysydenta „realistę” w oczach dzienników typu *Corriere della Sera* i *Le Monde*, które przeprowadzają z nim wywiady ilekroć w ZSSR wydarza się coś znaczącego. „Opozycja lojalna wobec reżymu” pociąga za sobą, rzecz jasna, szczególne spojrzenie na ZSSR: państwo w którym *summa summarum* istnieje i rozwija się społeczeństwo socjalistyczne, mimo tej drobnej niewygody że rządzi nim „pseudosocjaliści” czy „pseudokomuniści”; gdy się tę niewygodę zlikwiduje lub sprowadzi do minimum, utrzymamy w „ojczyźnie

proletariatu światowego” triumf ostateczny „socjalizmu o ludzkiej twarzy”.

Zeby jednak nadać podobnemu stanowisku dostateczną „poważę” i znamiona szacownego „realizmu”, trzeba najpierw wyrzucić z szafy kłopotliwy szkielet: Stalina. No bo jak uporać się z samą personifikacją „dyktatury proletariatu”: organiczna część systemu, czy złośliwy nowotwór w trakcie wycinania (bez groźby przerzutów) ze zdrowego w zasadzie organizmu „społeczeństwa socjalistycznego”? Dopóki się na to pytanie jednoznacznie nie odpowie, cała gadanina o „lojalnej opozycji wobec reżymu” wisieć będzie w próżni; co więcej, będzie gadaniną w złej wierze.

W nowym numerze *Dwudziestego Wieku* Roy ogłasza długi szkic o Stalinie, napisany w roku 1975 na zaproszenie redaktorów amerykańskiego sympozjonu *Stalinism: Essays in Historical Interpretation*. Należy ten szkic czytać nie tylko jako suplement do tomiska Miedwiediewa o genezie i następstwach stalinizmu, ale również jako próbę właśnie usunięcia szkieletu tyrana z „socjalistycznej” szafy.

Próba nieudana, co było do przewidzenia. Lecz w osłupienie wprawia historyk w końcu inteligentny i w dodatku marksista, który z taką dzieciinną naiwnością usiłuje wyrwać Stalina z kontekstu systemu sowieckiego, przebrać go w kostium swego Arcydiabła, odpowiedzialnego za wszystkie potworności okresu po śmierci Lenina. Jest to „kult jednostki” *à rebours*, proceder nieustannego zwalania całej winy za zwyrodnienia „prawdziwego komunizmu” na niegodziwość jednostki „żądnej władzy i bezgranicznie chępliwej”. Jeżow, na przykład. W gruncie rzeczy zacny człowiek, pracowity i oddany klasie robotniczej. „Ale od pierwszego spotkania ze Stalinem biedny Jeżow wpadł pod jego pełny, niepodzielny i prawie hipnotyczny wpływ. Stalin, zauważywszy to, zaczął szybko windować Jeżowa w górę. Od jesieni 1936 roku obaj zabrali się do przygotowywania czystek, procesów przeciw byłym przywódcom opozycji i pogromu kierownictwa partii”. I kropka. Tak wyjaśnia się po marksistowsku Wielki Terror.

Kto upiera się przy przypisywaniu Stalinowi wyłączności zła, musi potknąć się o Lenina. Miedwiediew pokonuje przeszkodę w sposób bardzo prosty. Przyznaje, jako że w roli szanującego się historyka nie może nie przyznać, że Lenin kazał zamknąć szereg „nieprawomyślnych” pism i zdeponować pod kluczem w bibliotekach specjalnych masę „szkodliwych” książek. Opo-wiada jak Stalin przeobraził ten doraźny i „niewątpliwie antydemokratyczny” dekret Lenina w żelazne prawo. I prosi łaskawego czytelnika o uwierzenie mu na słowo honoru, że „Lenin nie posunąłby się nigdy tak daleko w tym samym kierunku”.

Omawiając politykę gospodarczą Stalina, wspomina o ostrym zwęskowaniu z linii wypracowanej przez Bucharina, Rykowa i Tomskiego na linię zalecaną przez Trockiego i Zinowiewa. Po czym dodaje: „Rezultat był taki, że pod koniec lat dwudziestych i na początku lat trzydziestych Stalin prowadził w kraju politykę gospodarczą dokładnie przeciwną polityce, jaką prowadziłby Lenin gdyby żył jeszcze dziesięć lat”. Tak pisze się po marksistowsku historię: za pomocą „gdybania”.

Szczytem, tym razem zatracającym o śmieszność, jest epilog. By zgęścić i grubiej położyć farby w portrecie Arcydiabła, Miedwiediew wyciąga z zanadru kartę atutową: okropny charakter Stalina uformował się w gimnazjum cerkiewnym i w seminarium duchownym. Na koronnego świadka powołuje Swietlanę Allilujewą, która to samo twierdzi w swoich *Dwudziestu listach do przyjaciela*. Prawda, jest takie głupstwo w książce Swietlany (nie jedyne). Ale w ostatnim liście do przyjaciela córka Stalina ma jakby odruch stuknięcia się w głowę: „Przy całej swojej wszechwładzy mój ojciec był bezsilny, bezradny wobec straszliwego systemu, który wyrósł dokoła niego jak gigantyczne woszczyny — nie mógł go ani złamać, ani bodaj kontrolować”. Co, ze wszystkimi oczywistymi zastrzeżeniami, jest w każdym razie bliższe rzeczywistości niż diaboliczna maska Stalina zaprezentowana przez Miedwiediewa.

KRÓTKA PODRÓŻ AMERYKAŃSKA, 6-20 MAJA

Zielony Waszyngton. Dwie rzeczy uderzyły mnie w Waszyngtonie: morze zieleni, dość nieoczekiwane w stolicy przemysłowego supermocarstwa; i atmosfera w Centrum Administracji, swobodna i pełna jakiejś swoistej dezynwoltury, niezbyt licująca z pojęciami Ministerstwo, Urząd, Biurokracja. Ale wiem naturalnie, że moje wrażenia są (i będą dalej, na kolejnych etapach krótkiej podróży) naskórkowe. Nie widziałem czarnego Waszyngtonu. I otarłem się zaledwie o Wielką Maszynę.

Kongresowa Komisja Kontroli Helsinek działa już od kilku tygodni, urządzając codziennie w godzinach popołudniowych „przesłuchania” świadków z ZSSR i Wschodniej Europy. Materiały zgromadzone w tych „przesłuchaniach” mają stanowić pękate *dossier* dla delegacji amerykańskiej na konferencję w Belgradzie. Polskę pomijano dotychczas w kongresowej komisji egzaminacyjnej, podobno jako prymusa w bloku wschodnim, czyli kraj dostatecznie bliski ideału proklamowanego w Helsinkach by mu zaoszczędzić dodatkowego męczenia i peszenia kłopotliwymi świadectwami z pierwszej ręki. Słowo „podobno” jest nadmierną

może ostrożnością, skoro naszą sesję popołudniową otworzył James Brown, dyrektor *research* w RFE, który w roli eksperta przestrzegł przed pokusą zamienienia Belgradu w „cyrkową arenę” wzajemnych „rekryminacji” i generalnej „konfrontacji”, wypowiedział się przeciwko rozpatrywaniu w Belgradzie poszczególnych przypadków pogwałcenia układów w Helsinkach, oraz wezwał do „pogratulowania” Polsce i Rumunii postępów w helsinkowskiej nauce. Senator Pell pokwitował bałamuctwa naczelnego badacza wolnoeuropejskiego z nieukrywanym zadowoleniem.

Mój udział w „przesłuchaniu” polskim był czysto pomocniczy. Poproszono mnie bym zilustrował i skomentował złożone na piśmie oświadczenie Michnika, zaopatrzył je w maksimum dobrze udokumentowanych załączników i odpowiadał na ewentualne pytania senatorów i kongresmenów z Komisji. Pytania były (republikańskiego senatora Dole’a, który kandydował na wiceprezidenta z Fordem, i demokratycznego kongresmana Fascell’a) i uprzytomniły mi, że carterowska linia obrony praw człowieka budzi wśród parlamentarzystów amerykańskich tzw. mieszane uczucia. Czy opozycji we Wschodniej Europie nie zaszkodzi nacisk obecnej administracji amerykańskiej na *the human-rights issue*? Czy polityka Cartera ma dla dysydentów na Wschodzie duże znaczenie? Na pierwsze mogłem odpowiedzieć słowami Sacharowa: „Stanowcza i stale rosnąca presja publicznych i oficjalnych czynników na Zachodzie — aż do najwyższych, — obrona zasad i określonych ludzi, przyniesie tylko pozytywne rezultaty; każdy wypadek pogwałcenia praw ludzkich musi się stać problemem politycznym dla przywódców krajów winnych”. Na drugie słowami Bukowskiego: „Gdyby pewnego dnia Carter postanowił wycofać się z walki o prawa ludzkie i obywatelskie w ZSSR i w Europie Wschodniej, byłaby to dla nas klęska o wiele dotkliwsza, niż gdyby nowa administracja nie angażowała się była nigdy w tę sprawę”. Lepiej jednak pamiętać, że pytania takie zostały w ogóle postawione i to na Kongresowej Komisji Kontroli Helsinek.

W zakończeniu mojego komentarza do oświadczenia Michnika powiedziałem, że w sześćdziesiąt lat po Rewolucji Październikowej prosta zasada ludzkich i obywatelskich praw i wolności nabiera na Wschodzie charakteru samowystarczającej ideologii o ogromnej sile oddziaływania. Nazajutrz przeczytałem w *Commentary* doskonały artykuł Waltera Laqueura, historyka z Harvard, *The Issue of Human Rights*. Jest w nim wszystko chyba, co na ten temat wiedzieć należy. Między innymi rozprawa z krytykami Cartera, „neo-izolacjonistami” bolejącymi co prawda nad pogwałceniem praw ludzkich w innych krajach, lecz przekonaniymi że nie powinno się interweniować w imię abstrakcyjnych

idej". Owym „abstrakcyjnym ideom” przeciwstawia się kanony *Realpolitik*. Twierdzi się że wciągnięcie praw człowieka na sztandar gwiazdzisty prowadzi do wzrostu napięć międzynarodowych, a nawet do „epoki lodowej”; że Carter zabrnął za daleko i za szybko, że spokojna dyplomacja zdolna jest przynieść konkretniejsze owoce, że mówiąc pełnym głosem powoduje się większe represje w sowieckiej strefie wpływów. Przywoływane są egzorcyzmy przeciw „upiorowi krucjaty antykomunistycznej”, czasem bardzo osobliwe, jak gdy Arthur Schlesinger Jr. cytuje opinię historyka Herberta Butterfielda, że oburzenie moralne znieprawia; czasem znane od dawna, jak gdy Marshall Shulman z Columbi zapewnia, że poprawa sytuacji w bloku wschodnim zależy raczej od „wewnętrznych sił ewolucyjnych”, niż od poszturchiwania z zewnątrz. Argumenty po prostu fałszywe, ucina Laqueur. Nie ma niebezpieczeństwa, że zbyt silny nacisk na prawa człowieka „sprowokuje międzynarodową wojnę ideologiczną na skalę globalną”; Związek Sowiecki nigdy nie zaprzestał wojny ideologicznej, uważa ją za coś w rodzaju imperatywu kategorycznego, z *détente* czy bez *détente*; a jeśli Breżniew przyjmuje w Moskwie Marchais, Berlinguera i Hall'a, czemu zachodni prezydenci mieliby odmawiać przyjęcia czołowych dysydentów ze Wschodu? I konkluzja Laqueura. „Uczyniwszy prawa człowieka kamieniem węgielnym odbudowy autorytetu moralnego amerykańskiej polityki zagranicznej, Carter upadnie lub ostoje się zależnie od swych osiągnięć na tym polu”.

W zielonym Waszyngtonie powiał nowy wiatr. Dmie z przerwami, jakby obawiając się frontalnego zderzenia z wzbierającymi przeciwwiatrami.

Nixon i Carter. W przeddzień wyjazdu z Paryża oglądałem w telewizji francuskiej pierwszy odcinek rozmów Davida Frosta z Nixonem. Był właściwie nudny, a w kluczowym punkcie wręcz śmieszny: Nixon, odwołując się do maksymy Gladstone'a „dobry premier musi być przede wszystkim dobrym rzeźnikiem”, melancholijnie przyznał że nie był „dobrym rzeźnikiem”; sparaliżowało go mianowicie „poczucie lojalności” wobec dwóch „Prusaków” w sztabie przybocznym, Haldemana i Ehrlichmana, padł ofiarą „błędów serca a nie głowy”. Najciekawsze były przelotne momenty, kiedy dziennikarzowi udawało się dotknąć floretem wyjątkowo czułych miejsc w siatce ochronnej ex-prezydenta. W oczach Nixona, przybliżonych przez teleobiektyw, słowo „trafiony” wyrażało się błyskiem, w którym bezsilna wściekłość sąsiadowała z głuchym, odnowionym bólem. I tyle pewnie zostanie dla potomności z telewizyjnego *supershow*, który obu uczestnikom przyniósł po milionie dolarów.

W Ameryce oglądało ten pierwszy odcinek pięćdziesiąt milionów ludzi. Nie wydaje się, by byli mniej znudzeni od milionów europejskich widzów. Pokazywano mi sondaż w *Newsweek*, z którego wynika, że nixonowska operacja częściowego choćby *come-back* skończyła się kląpą. Amerykański kryzys Watergate pogrzebano pośpiesznie za Forda, ale przyklepano i definitywnie przewyciężono dopiero za Cartera. Ford był gorszym czy lepszym syndykiem masy upadłości, Carter jest dużą ozdobną literą znaczącą początek następnego rozdziału. Zachodzi tu, co warto podkreślić, znamienne rozminięcie się preferencji. Przed miesiącem ukazał się w *Le Monde* artykuł André Fontaine'a *Le Baptiste et le Commissaire*. Tytuł, nawiązujący oczywiście do książki Koestlera *The Yogi and the Commissar*, mówi wszystko, mógłby się świetnie obejść bez słodkawo-gorzkiego tekstu: poczywiu ten baptysta Carter, godny nawet sympatii i szacunku, ale biada nam jeśli zamierza kaznodziejskim i moralistycznym językiem uprawiać Dialog (koniecznie duże D) z komisarzem Breżniewem. Artykuł naczelnego publicysty *Le Monde* odtwarza dokładnie stan umysłów elity politycznej i intelektualnej w całej Zachodniej Europie, jak również tzw. mieszane uczucia senatorów i kongresmenów amerykańskich oraz dość jednoznaczne uczucia licznych pogrobowców Nixona i Kissingera, bałwochwalców *Realpolitik*. Tymczasem zaś zacny baptysta na prezydenckiej ambonie podoba się bardzo Amerykanom, którym zwrócił nagle coś, czego im za panowania *Tricky Dicky* i *Dear Henry* brakowało; prawdopodobnie ową wyszydzaną przez „realistów” nutę moralistyczną w polityce. Stopień popularności Cartera rośnie. W Harvard opowiadał mi Alain Grenier, francuski konsul generalny w Bostonie i bystry obserwator sceny amerykańskiej (syn, nawiasem mówiąc, mentora Camusa), że Carter jest kwintesencją amerykańskości. I dodał: „Europejczycy nigdy chyba nie zrozumieją Ameryki”. Tak czy owak, cała budowla praw człowieka opiera się na fundamencie „baptysta naprzeciw komisarza”. Gdyby Carter nie wierzył w nie naprawdę, gdyby traktował je jak kartę w grze przeznaczoną z góry do wyrzucenia w dogodnej chwili licytacji, nowy wiatr w Waszyngtonie byłby od samych swoich narodzin jeszcze jednym sztucznym podmuchem wywołanym przez papierową retorykę na usługach „wyższej strategii”.

Nowy Jork. Do Nowego Jorku przyjechałem samochodem pod wieczór. Na rogatkach było jeszcze szarawo, potem wpadliśmy w ciemność. I naraz mój towarzysz podróży pokazał mi dwa widoczne z daleka, bliźniacze drapacze chmur *World Trade Center*. Obraz którego nie zapomnę, nocna wizja podziurkowanej światłami Katedry, potężnej i równocześnie kruchej, iluminowanego

architektonicznego kopca termitów. Skojarzyło mi się to z dwoma podobnie gwałtownymi przeżyciami: wielopiętrowy Kamienny Budda c. zmroku pod Rangoonem; Orvietońska Skała z koroną *Il Duomo*, zobaczona nocą z szosy do Sieny. Tylko w nocnym widoku Orvieto nie było domieszki ludzkiego pomniejszenia, co potrafiłby przypuszczalnie wytłumaczyć byle psycholog ze szkoły Junga.

Rano przemaszerowałem cierpliwie *Fifth Avenue*. Temu pierwszemu spacerowi towarzyszyła zupełna obojętność, słuchałem z roztargnieniem objaśnień mojej przewodniczki. Była to nie tyle reakcja zmęczenia i oszołomienia, co europejskiego zawodu wobec miasta, któremu brak wyraźnego i natychmiast uchwytnego stylu. Jak powierzchownego zawodu, miałem się przekonać później. Nowy Jork jest miastem fascynującym, może nawet bogatszym we własny hybrydalny styl niż historyczne miasta europejskie. Nie umiałbym w nim jednak, jak sądzę, pozbyć się uczucia obcości.

Moja nowojorska przyjaciółka uczy w szkole murzyńskiej w Harlem. Jej pogląd na Czarny Problem w Ameryce jest nasycony czarnym pesymizmem. Harlemska szkoła produkuje seryjnie, dzięki taryfie ulgowej praw promocyjno-integracyjnych, ignorantów i gwałtowników; postępy w nauce więcej niż mizerne, cenzurki w zamian za samą tylko frekwencję skoro połowa uczniów nie przychodzi do szkoły, czarna lista czarnego rozbewstwienia (palenie ławek i książek, nieustanne bijatyki, demolowanie klozetów obróconych w czarne kąciki stosowanej edukacji seksualnej, nękanie nauczycieli obelgami i wyzwiskami). Mój włoski przyjaciel, który sporo lat spędził w Ameryce jako emigrant polityczny za panowania faszyzmu i od końca wojny przyjeżdża co roku z rozkoszą do Nowego Jorku, patrzy na te sprawy inaczej, z różowym optymizmem. Nie neguje faktów, ale na pierwszy plan wysuwa nową *self-assurance* Murzynów, za którą warto zapłacić wysoką cenę praw wyjątkowych w okresie przejściowym. Wszystko sprowadza się do tego, by tytuł głośnie przed laty książeczki pisarza murzyńskiego *Next Time Fire* opatrzyć pytańnikiem. Nauczycielka ze szkoły w Harlem kiwa smętnie głową i mówi szeptem: „Nie ucywilizują się nigdy, skoczą nam któregoś dnia do gardeł”. Florentyńczyk zakochany w Ameryce wzrusza ramionami: „Zmieniają się z dnia na dzień, zdobywają w szybkim tempie godność ludzi wolnych i pełnoprawnych obywateli, opłacają się koszty przyspieszonej śmiało integracji”. Ja pamiętam uścisk dłoni czarnej urzędniczki konsulatu amerykańskiego w Neapolu: *Good luck in our country*.

Z nocnego wałęsania się na Broadwayu zachowałem trzy mi-gawki. Szyld nad burdelikiem *Female Consultations*, portier wrę-

czający klientom karteczki ankietowe; szyld powinien ze względu na ankietę brzmieć *Male Consultations*, a karteczki wypełniane przez chętnych samców posłużą być może do jednego z rozdziałów męskiego *companion* do obecnego *best-sellera* amerykańskiego *The Hite Report — A Nationwide Study of Female Sexuality*. Opodal starsza pani, przyzwicie ubrana i wcale nie pijana, obejmująca jednym ramieniem słup uliczny i pogrążona w rozmowie na dwa głosy z własną samotnością. W kawiarence obok kina *porno* młody chłopiec z czerwoną książeczką w ręce; byłem pewien że pije małymi łydkami ze studni mądrości Mao, toteż zaskoczył mnie wytłoczony na okładce napis *Metaphysical Meditations*.

Pożegnanie Wittlina. Halina Wittlinowa podarowała mi fotokopię ostatnich notatek Józefa. Wśród nich taka, wpisana drżąca ręką w lutym 1976 roku: „Te drapacze chmur, na które patrzę z mojego szpitalnego pokoju na 17-tym piętrze, w nocy ożywają je oświetlenie — przywidują się mnie jak olbrzymie niebotyczne nagrobki. Beznadziejność tego krajobrazu...”.

Przerywniki. Wiedziałem że galerie malarskie w Ameryce są bogate, ale co innego wiedzieć a co innego widzieć. W Waszyngtonie wykroilem sobie dwie godziny czasu na *National Gallery of Art*, przekonany że wystarczą mi całkowicie jako mieszkańcowi Włoch. Wyszedłem olśniony i zarazem upokorzony, należałoby ją odwiedzać codziennie miesiącami. *Frick Collection* w Nowym Jorku jest chyba najpiękniejszą na świecie małą galerią malarską, szkatułką klejnotów; ani jednego obrazu, obok którego wolno przejść musnąwszy go zaledwie wzrokiem.

W Yale, a potem w Harvard, żałowałem chwilami że los nie popchnął mnie na drogę tzw. kariery uniwersyteckiej. Irena i Janek zaprowadzili mnie w Yale na pogodny *Commencement*, Wiktor pokazał mi wspaniałości Harvard. W myślach obijało mi się słowo „oaza”: absurdalne w odniesieniu do większości uniwersytetów europejskich, nie tak dziś dalekie od prawdy w odniesieniu do amerykańskich. Fala kontestacji studenckiej odpływa, kto wie czy już nie odpłynęła. A profesorowie? Trzeba by zwerifikować formułkę zmarłego niedawno Dymitra Cziżewskiego, który z Harvard uciekł na uniwersytet w Heidelbergu: „Profesorowie amerykańscy dzielą się na cztery kategorie — prawdziwych uczonych, dyletantów, szarlatanów i idiotów; tu w Niemczech istnieją tylko dwie, pierwsza i czwarta”.

W teatrze miejskim w New Haven widziałem *Białe małżeństwo* Różewicza. Znałem z *Dialogu* tę głupią i płaską (jeśli nie wulgarną) sztukę, zdumiało mnie więc co potrafi zrobić teatr

z niczego. Przedstawienie (w inscenizacji Wajdy i Krystyny Zachwatowicz, z Elżbietą Czyżewską w jednej z ról głównych) było urocze. Ktoś podsunął mi kawałek Różewicza z *Odry* o jego pobycie w Ameryce. Pisarzom polskim odbija się Camusem. Iwaszkiewicz „odpowiedział” kiedyś *Wzlotem* na *Upadek*, różewiczowski *Sobowótór* napisany jest manierką *Renegata*, czyli bełkotem uciętego języka. Imitacja, nawet małpio zręczna, to trochę za mało, gdy stoi za nią zrogowaciały egotyzm z gatunku „a słonia nie zauważył, zajęty wciąż sobą”.

Doradca Sekretarza Stanu. Doradcą Vance’a do spraw sowieckich jest Marshall Shulman, profesor z Columbii. O jego mentalności można sobie wyrobić nie zanadto ostre pojęcie, czytając w *Foreign Affairs* rozprawkę *On Learning to Live with Authoritarian Regimes*. Roi się w niej od „problemów strukturalnych” i „efektów indukcyjnych”, z grubsza jednak nonsens pierwotny ukryty jest w tytule i w wyjaśnieniu wstępnym: „Dla naszych obecnych celów posługujemy się terminem *reżymy autorytarne* w jego najszerszym znaczeniu, które obejmuje państwa totalitarne, dyktatury i ustroje bez opozycji. Istnieją oczywiście znaczące różnice między reżymami w których władza państwa panuje nad wszystkimi aspektami społeczeństwa, oraz reżymami nie dopuszczającymi opozycji politycznej do działania; z różnicami tymi związane są rozmaite stopnie represyjności. Niektóre problemy są wspólne całej owej kategorii państw, niektóre zaś, jak dane nam jest się przekonać, oscylują w zależności od stosowanych represji”. Wspomniany przeze mnie Laqueur przyspila to głupstwo prostym stwierdzeniem: różnice nie są tylko znaczące, są absolutnie kluczowe. Kto wrzuca do jednego worka z etykietką „reżymy autorytarne” ZSSR i Hiszpanię rządzoną przez generała Franco, nie rozumie; nie rozumie ani dlaczego w rzeczywistości autorytarnej Hiszpanii możliwa jest po śmierci dyktatora stosunkowo łagodna i szybka demokratyzacja, podczas gdy nagła śmierć „kolektywnego kierownictwa” w totalitarnym ZSSR pociągnęłaby za sobą trudne do wyobrażenia wstrząsy; ani dlaczego głęboka przepaść dzieli *Przepastne wyżyny* Zinowiewa (nie mówiąc już o *Archipelagu* Sołżenicyna) od książek opozycjonistów i emigrantów hiszpańskich.

Ale ten „autorytarny” worek Shulmana ma do spełnienia określone zadanie. Wyłuskać je można z fragmentu zakrawającego na konkluzję: „W grę wchodzi tu względy zarówno moralne jak pragmatyczne. Na gruncie moralnym dowodzi się, że społeczeństwa demokratyczne akceptują wspólnictwo w praktykach represyjnych Związku Sowieckiego, jeśli utrzymują normalne stosunki dyplomatyczne z jego rządem, nie domagając się przestrze-

gania w ZSSR praw człowieka jako warunku wstępnego, szczególnie w czasie *détente*. Lecz dążenie Stanów Zjednoczonych i innych rządów demokratycznych do zredukowania niebezpieczeństwa wojny nuklearnej poprzez rokowania z przywódcami sowieckimi jest również obowiązkiem moralnym. W samej rzeczy, zważywszy skalę destrukcyjną wojny nuklearnej, winno ono posiadać priorytet dla wszystkich rządów”. Staje się zatem jasne, czemu ma służyć „uczenie się jak żyć z reżymami autorytarnymi”: odruchowi przymrużania oka wobec deptania praw człowieka, o które niechaj się troszczyć raczej szlachetne „jednostki czy grupy” niż moralno-pragmatyczne „rządy demokratyczne”. I znowu nieoceniony Laqueur ustawia rzeczy na właściwych miejscach, tym razem z pomocą George’a Marshalla (słynne przemówienie na Ogólnym Zgromadzeniu ONZ w roku 1948): walka o poszanowanie praw człowieka nie jest wzniosłym i niepraktycznym przedsięwzięciem, oderwanym od twardej rzeczywistości spraw światowych, ale swego rodzaju *Realpolitik* we własnym zakresie, o bezpośrednim wpływie na bezpieczeństwo międzynarodowe; rządy systematycznie gwałcące prawa człowieka nie dają żadnej gwarancji respektowania i wykonywania układów między państwami.

Shulman wydaje się pomostem, albo co najmniej kładką, do zepchniętych w cień i wyczekujących kissingerowców w Departamencie Stanu. Wyczekujących nie tyle spektakularnego odwrotu Cartera, co stopniowego *slump in idealism*, codziennego spadku notowań „misjonarskiego” programu baptysty pod naciskiem realistycznego walca komisarskiego.

Brzeziński. Jak na tym tle wygląda Brzeziński? Jest niewątpliwie solą w oku Moskwy i amerykańskich rzeczników *Realpolitik*; zdaniem dobrze poinformowanego i zasiedziałego w Waszyngtonie dziennikarza angielskiego atak na niego rozpocznie się za jakiś rok, chwilowo rodzimi przeciwnicy i sowieccy inspiratorzy ograniczają się do prób podgryzania i drobnych harców przygotowywanych. Czytałem kilka wywiadów z Brzezińskim. Pojawiają się w nich nieodmiennie dwa „podchwytliwe” pytania. Czy nie ostrzy sobie zębów na stanowisko Sekretarza Stanu? Czy w Moskwie nie wywołuje gniewu kampania Cartera w obronie praw człowieka? I Brzeziński odpowiada na nie nieodmiennie z ogromnym spokojem i taktem. „Uważam za punkt dumy wykazanie, że lojalna współpraca zespołowa, mimo takich czy innych rozbieżności w poglądach a niekiedy nawet sporów, może być w Waszyngtonie normą a nie odchyleniem od niej; czuję się dobrze gdzie jestem”. A co do Moskwy: „Rosjanie są realistami. Rzecz prosta, że swego punktu widzenia woleliby akomodację z nami w pewnych sprawach i swobodę uprawiania współzawodnictwa

ideologicznego, bez naszego w nim udziału, w innych sprawach. Chcemy akomodacji w specyficznych sprawach, nie zamierzamy udawać głupiego we współzawodnictwie ideologicznym". Jako carterowski *think tank*, zbiornik myśli, Brzeziński nie ma równych sobie w bezpośrednim otoczeniu prezydenta, jeśli idzie o znajomość problematyki sowieckiej od podszewki. Co oznacza, między innymi, że wie zapewne czym pachnie „autorytarny” worek Shulmana.

Jego riposty są błyskawiczne, przemyślane i oparte na ścisłej informacji; mówi po polsku z zupełną swobodą, ani razu nie podparł się w rozmowie wtrąceniem angielskim. Napomknąłem w pewnej chwili, że w rozmaity sposób komentuje się zauważalne ostatnio jakby przyciszenie zainteresowania Białego Domu działalnością opozycji na Wschodzie. „Nie ma żadnej zmiany w linii Cartera. Wybuchający i cichnący na przemian szum jest w dużym stopniu dziełem prasy i zależy często od czynników ubocznych. Niepodobna zaczynać każdego dnia od enuncjacji o prawach człowieka, ale dewizą nowej administracji jest wytrwałość i cierpliwość”. Dewiza wyborna, skoro główne obawy wróżących „słomiany ogień” krążą wokół przyrodzonej skłonności Amerykanów do oczekiwania natychmiastowych rezultatów, a na niecierpliwość amerykańską liczą Rosjanie dozując swoje przystępy gniewu imperialnego i „ludowego”.

Odlot. W samolocie z Bostonu do Paryża siedziała za mną para Włochów. Rozmawiali hałaśliwie, po kwadransie mimowolnego podsłuchiwania mogłem się zorientować z kim okoliczność. Z typowymi przedstawicielami *establishmentu* kulturalnego (ugniecionego niemal całkowicie przez PCI), którzy do Ameryki jeżdżą w jednym wyłącznym celu: żeby się utwierdzić w swym antyamerykanizmie. Nicola Chiaromonte, emigrant w Stanach od kłeski Francji do końca wojny, mawiał że dla inteligencji francuskiej niechęć do Ameryki jest czymś w rodzaju *devoir civique*.

Wybrałem się za ocean po raz pierwszy w życiu, moja dwutygodniowa podróż była przelotnym zajrzeniem przez szybę, wiem jednak teraz przynajmniej tyle, że większość współczesnych europejskich opisów Ameryki podszyta jest silniej lub słabiej tym francuskim „obowiązkiem obywatelskim”; i że prawdopodobnie sam ulegałem im w jakiejś mierze, czego (bez wahnięcia w przeciwną stronę admiracji) wypada się wstydić. Włosi mają określenie „wszystko i odwrotność wszystkiego”. Pasuje ono nieźle do Ameryki jaką ja widziałem, bo wyklucza wszelką jednokierunkowość reakcji, zalewa swoim nadmiarem i zachwyty i wstręty.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Kto to zrobił? (dok.)

III

Syrena pogotowia rozdarła ciszę jękliwym zawołaniem. Odruchowo wyrzeli na ulicę. Taki sygnał przechodzi dreszczem po grzbiecie.

— Kto późno zaczyna ten dłużej wytrzyma — powiedział Onio temu obdartusowi z którym wypił flaszkę w bramie.

Obdartus z uznaniem obserwował jego sprawnie pracującą grdykę.

— Nic cie nie rozbiera — zapytał — ona, kira?

Onio pokręcił przecząco głową i wygłosił sentencję o późnym początku i szansy na długie wytrzymanie. Brama była ciemna, cuchnąca moczem. Stali, oparci o mur, niewidoczni z ulicy i bezpieczni. W podwórzu też pili jacyś. Chrapliwe szepty, śmiech. Jarzyły się ogniki papierosów.

— Spokój, kurwa! — rozległ się głos z piętra.

Obdartus drżącymi palcami wyłuskał ze zmiętej paczki papierosa. Gaśla mu zapalka za zapalką. Złorzeczył. Czy miał zmętniać i już chciał życie swoje opowiadać.

— Ja też kiedyś byłem panisko... — zawiesił efektownie głos.

Wtedy Onio poszedł sobie. Nie znosił takich gawędziarzy. Nie znosił tych życiorysów, zmarnowanych szans i łez płynących obficie. Chwilami chwycił się na podobnym pragnieniu. Odkręcić kurek i popłynię ten ohydny, brudny strumień bez końca. Traktował tę chęć, jako ostrzegawczy sygnał. Przegryzał w połowie zaczęte zdanie, mobilizował zdrowy rozsądek, mocno już roztopiony alkoholem i milczał zawzięcie. Taką prowadził ze

* Część I-sza w *Kulturze* Nr 1/340-2/341 (1976); Część II-ga w *Kulturze* Nr 3/354 (1977).

sobą batalię. Wymknął się z bramy jak cień. Gonił go nieskładny, żałosny bełkot obdartusa.

— Milicja — postraszył go na odchodnym. W bramie zachłó. Onio ruszył przed siebie. Wódkę przyjmował perypatetycznie. Lepiej się piło. Rozmaitość wrażeń. Smrodliwy, zadymiony światek bram, sklepików z piwem, barów i melin. Coś z kalejdoskopu jednak. Znał różne przystanie gdzie zbierała się pijąca społeczność. Sam też był znany. Wczoraj babuleńka która handlowała wódką, zmrużyła na jego widok przebiegle oczy i powiedziała: „Pan profesor nie pierwszy raz u mnie, prawda?”. Zachodził czasem do tej piwiarni gdzie poznał niegdyś wyrostka o posiekanych zyłkach dłoniach. Ale nigdy więcej go nie zobaczył. Poznał natomiast wielu innych kompanów do kieliszka. Bawiła ta mnogość spotykanych na szlaku. Zdarzali się oryginałowie. Choćby znawca kultów magicznych Polinezji, autor niewydanej pracy liczącej kilkaset stron maszynopisu, który wyśpiewywał pękniętym falsetem — szkoda nocy, szkoda dnia, noc jest taka krótka, tam gdzie ja tam i wódka...

Godzina była późna. Pusta skąpo oświetlona ulica. Nie miał zamiaru wracać do domu. Z niechęcią pomyślał o swojej młodej żonie.

— Znowu piłeś — zaczęła tyradę. Nie odpowie jej ani słowa. Od razu położy się do łóżka. Męczące dogasanie wódki w organizmie. Papieros za papierosem. Dym nie smakuje. Drażni równy, spokojny oddech obok. Nic go nie ciągnęło do domu. Właściwie był nawet przygotowany, że to małżeństwo tak niedawno zawarte, rozleci się wnet. Zona. Jej jasne czyste oczy. Lubi muzykę. Bitlesów. Jeszcze innych. Onio nie lubi. Patrzy w jej oczy. Czyste, głębokie. Nie czuje w nich oparcia. Owoc innego czasu. Jego doświadczenia to ciemność i maligna dla niej. Jej świat jest prosty, pogodny, dosyć ubogi. Dziwak, być może tak go nazywa pobłażliwie. Kochany dziwak. Już może tylko dziwak. Pomyślał o tym chłodno i bez żalu. Chwilami po prostu czuł się jak popsuty mechanizm. Pocięsział się tym, że jest małym, popsutym mechanizmem w wielkim również popsutym mechanizmie. Zateśknił za spokojem i ładem. Mała lampa, stos zeszytów do poprawiania, herbata pod ręką. Zona spogląda na niego czule. Zaraz idylliczny obraz domowego ogniska uległ gwałtownej metaforfozie. Nie ma już spokoju i ładu. Wyczerpany lekcjami, osaczony płatnościami na domowe potrzeby i rozdrażniony niezyczliwym spojrzeniem żony, miota się po mieszkaniu, nie mogąc nigdzie znaleźć bezpiecznego oparcia. Patrzy na porysowane ściany, wysłużone meble. W słońcu widać kurz pokrywający książki, szafę, stół. Liszaj łuszczącego się sufitu. Patrzy na żonę. Jest w szlafroku. Szara, zaniedbana. Młoda, ładna, a nie

pociąga go wcale. Słyszy jej płaski głos. Ten głos rozsada mu uszy. Ucieknie do łóżka. Zakryje się kołdrą po uszy. Zapadnie w płytki, męczący sen. A rano ogląda się w lustrze. Ostрым, przenikliwym spojrzeniem. Tropi zmarszczki, szpetotę opuchniętej twarzy. Widzi szare, zagasłe oczy, obwiedzione sinymi podkowami, siwiznę, która prósz włosy coraz gęściej. Dotyka swojego ciała. Wiotczące, pełne fałd i rozluźnionych mięśni. Poranny ogląd kojarzy mu się z rozkładem, butwieniem, śmiercią.

Tak miota się w monotonii kleistych dni bez wydarzeń, uwieczniony przez gorzkie przygnębienie i zewnętrzność równie przygnębiające jak świat jego ducha.

— Upadającego ducha — powiedział półgłosem i roześmiał się bezdźwięcznie.

Więc jak powiadał zacny znawca kultów magicznych: — Szkoda nocy, szkoda dnia. Tam gdzie ja tam i wódka.

Kiedy o tym pomyślał, wstąpiła w niego zła, niszczycielska energia. Postawił kołnierz płaszcza i rozglądał się. Stał na rozstajnych drogach. Ta na wprost prowadziła do restauracji wykwińskiej, zbudowanej w stylu stalinowskiego monumentalizmu. Było to miejsce kosztowne i nieprzyjemne. Na lewo natomiast znajdował się lokal stary, o tradycyjnej wśród pijących renomie. Najlepszym tam przytuliskiem był bar z lustrem, cały w przyćmionych, ciepłych światłach. Ruszył na lewo energicznym, raźnym krokiem. Nie z próżności jedynie pochwalił się przed obdartusem swoją mocą do wypicia. Naprawdę tęgą odznaczał się głową. Chociaż występowały już pewne symptomy, świadczące o nadchodzących zmianach: pomyślał o tym bez wzruszenia jak pilny badacz analizujący pewien przypadek. Kurczyły się rezerwy. Zdarzało mu się nieraz doświadczać poczucia braku odporności, zgoła lęku. Lęku przed obowiązkami, działaniem. Konieczność załatwienia drobnej choćby sprawy wprawiała go w niewspółmierny do tego popłoch. To samo dotyczyło podjęcia jakiejś decyzji lub próby dokonania odmiany swojej sytuacji. Wtedy najchętniej uciekał do knajpy i w tym alkoholowym azylu po prostu przeczekiwał. Dopiero alkohol dodawał mu skrzydeł. Przeszkody malały, stawały się śmieszne, błahe, niepoważne. Czuł rozsadzającą go potrzebę czynu. Potem przychodziło wytrzeźwienie i życie wracało znowu do swoich uciążliwych, ponurych wymiarów. Znowu dłało. Były to jeszcze symptomy nieczęste. Jeszcze pozostało trochę czasu. Należy go spędzić w sposób najprzyjemniejszy. Taki wyciągał wniosek. Ostatnio wódka zdominowała inne przyjemności. Stała się najprzyjemniejsza.

Drzwi knajpy jak wrota na rygiel zawarte. W szybcie zamajaczyła cyniczna twarz portiera. Taksował badawczo. Z tego faceta, który wyprzedził Onia w szturmie do drzwi, żart sobie

wyreżyserował. Był to mały człowieczek w kurtce z kapturem, włosy spadały mu zwichrzonymi pasmami na czoło. Zająrzał w okienko, gestykulując błagalnie. Portier roześmiał się.

— O, mała! — zawołał. Tak już powtarzał.

Mały człowieczek w kapturze, odszedł zrezygnowany.

Onio wykonał manewr pięćdziesięciozłotowym banknotem. Portier uchylił drzwi, pozwalając mu wsunąć się do wnętrza. Po drodze delikatnie przejął banknot. Onio od razu skierował się do baru. Tam zasiadł w kącie, osłonięty gablotą. Ilu podobnych do niego bywało tutaj? Przegranych uciekinierów. Siedzieli w tym widmowym świetle, kontemplowali alkoholowe zacisze, niekiedy odwracali się spoglądając w dół na parkiet gdzie wirował tańczący tłum. Mijały lata. Znikali. Przybywali następni. Nikt nagłego odejścia tamtych nie zauważał, ani nie wspomniano ich wcale. Zmieniała się barowa warta. Onio znał już dosyć dokładnie historię tego miejsca w przyćmionym świetle, wśród rozbłyskujących różnymi kolorami szkieł, przypominającego akwarium, wprowadzony w jego tajniki przez rozmownego barmana w ciemnych okularach, który wyróżniał go bezinteresownie, nie mając przecież z jego obecności tutaj żadnych profitów. Była więc między nimi więź inteligentów i barman powiadał z niefałszowanym szacunkiem. — Witam pana doktora. Tytuł sprawiał Oniowi przyjemność. Przypominał niedawne życie, jego perspektywy i coraz bardziej mitologizowane wartości.

Tej nocy inny był barman, ten drugi o tępej, brutalnej twarzy i grubych jak serdelki paluchach z których ostatni ozdobiony był złotym sygnetem. Z nim Onio nie miał żadnej zażyłości. Zresztą ten barman dobierał sobie pupilów wśród bywalców, obdarzonych przede wszystkim znaczną zawartością portfela. Bywali to ordynarni, hałaśliwi prywaciarze, popisujący się plikami banknotów poupychanych niedbale w kieszeniach. Toteż oschłym tonem zamówił Onio wódkę i pogrążył się w bezmyślnej obserwacji butelek z kolorowymi etykietami na półkach. Wódkę powtórzył trzy razy, pragnąc osiągnąć ceniony najwyższy stan lekkości, pobałania i dystansu wobec realnego świata. Z tego przecież powodu rozpoczął alkoholowy termin i do tej pory idąc rankiem do pracy stwierdzał z zadowoleniem, że jeszcze nie dygocze i nie łaknie piwa jak ci co bardziej posunięci w głąb nałogu nieszczęśnicy. Pewien napotkany na szlaku wędrowiec, zwierzał mu się z udręką — Budzę się, właściwie jeszcze w półśnie i już jawi mi się przed zamkniętymi powiekami żółty płyn z białą czapą piany na wierzchu, ta ordynarna wizja w taki wprowadza mnie popłoch, już leżeć nie mogę i muszę udać się na poszukiwanie piwnego źródła.

Roześmiał się Onio. Przypominał sobie zafrasowaną twarz niewolnika porannej, piwnej rozkoszy.

— Słucham — zapytał barman.

Miał niewielu klientów i nudził się wyraźnie.

— Ja do siebie — odparł wyniosłe Onio, tym powiedzeniem znów rezygnując z próby podjęcia zażyłości z chamowatym barmanem.

Więc tymi kilkoma kolejkami wódki wprowadził się w najlepszy stan alkoholowego zamroczenia. Utrzymanie tego stanu bywa zazwyczaj trudne i często jeden jedyny kieliszek wprowadza w następne stadium, cechujące się agresją i zapalczywą wybuchowością, która poprzedza pijacką otepiałość, kiedy już tylko chłepcze się alkohol do utraty przytomności. Takiej dokonał analizy zjawiska i ucieszył się, że jeszcze posiada kontrolę nad sobą. Siedział wsparty łokciami o kontuar. Muzyka z tyłu i śmiech kobiet. Nie oglądał się. Kobiety nie wabiły go. Miał młodą, ładną żonę. Czeka. Ani myślał o powrocie do domu. Odsłona spadała za odsłoną. Zamierały uroki małżeńskiego życia. Różnica wieku występowała coraz silniej. Akcje Onia zniżkują gwałtownie w małżeńskim związku. Nie dba o dom. Obojętny i nieczuły. Przerywa żonie wściekłym bulgotem, kiedy o czyichś sukcesach i perspektywach zaczyna opowiadać. Ogarnia go pasja. Nienawidzi tych, którym udaje się wszystko. Nienawidzi też żony, która o tym mówi. Staje się nawet brutalny. Z satysfakcją używa plugawych przekleństw zasłyszanych w piwiarniach i melinach. Aż wreszcie powtarza z naciskiem: — Pamiętaj, wysłaś za mąż za gimnazjalnego nauczyciela bez widoków. Na nic nie możesz liczyć. Absolutnie! Czy zdajesz sobie z tego sprawę? — Patrzy na nią ciężkimi z gniewu oczyma. Obcy sobie ludzie. Jak szybko to małżeństwo zawarte przez niego w gorączkowym pośpiechu i euforii, traci swą podstawową wartość. Był wtedy zupełnie sam. Szukał oparcia. Entuzjastyczną teorią wyprzedził małżeńską praktykę.

Łapczywym haustem wychylił kolejny kieliszek. Równocześnie rozsądek potępił alkoholową skłonność. Czasem chwycił się na tym, że dwóch zagnieździło się w nim. Jeden śledzi drugiego. Obserwują się nawzajem. Czają się i wyczekują. Który pierwszy zostanie pożarty? Czy może wyroi się w nim jeszcze więcej sprzecznych osobowości. Chaos potracających się istot. Wszędzie tłok. Na zewnątrz. Wewnątrz. Wrażenie tak wyraziste. Widziany jak na ekranie świat własnego wnętrza. Męczyło to. Przerazało. Domagało się odpowiedzi: czyją jest ofiarą, gdzie jest kat? Dopiero alkohol czynił z niego monolit. Dużo alkoholu. Będzie coraz częściej przesiadywać w tym barze z kieliszkiem w dłoni, wsparty o blat i zapatrzony w mętne odbicie swojej

twarży w lustrze. Żółw mu się przypomniał. Stary, wysuszony mężczyzna o wytrawionej twarzy, który często tu siadywał. Milczący. Zajmował najchętniej miejsce w tym właśnie zacisznym kącie za gablotą. Zastygły niczym odlew z wulkanicznej lawy. Onio często o nim myślał i zerkał ukradkiem. Raz tylko ten człowiek odpowiedział mu martwym, szklistym spojrzeniem. Ile przegranych, złych doświadczeń kryło się za tą żółwią skorupą? A może zbyt puszczą wodze fantazji. Zapijaczony starzec. Oto banalne rozwiązanie zagadki. Pociągał go jednak poprzedni wariant, pełen subtelnych niedomówień, znamion kłeski, niepokoju, udręki. Tak jak ten inżynier, którego Onio spotyka często na szlaku. Stoi cierpliwie i czeka. Ludzki, wydrażony w środku kształt, już poruszany tylko za pomocą alkoholowego paliwa. Inżynier wybuchnął kiedyś odą wstrętu i sprzeciwu przeciw swojej niewoli. — Ty macioro nienasycona, wszędzie gdzie jestem twoje cycki wyrastają natychmiast i ssać muszę... — złorzeczył wymyślnie, kunsztownie, żyły spęczniały mu na skroniach i w chwili tego steku przekleństw jego oczy jarzyły się myślą niezależną i dumną. Aż zachłysnął się wielostowiem gorącym i wypił łączywie kieliszek wódki podstawiony przez czulego kompana. Ten kieliszek zakończył bunt jak szydercza pieczęć nieodwołalnego wyroku. Taką zobaczył Onio drogę. Do ostatniego kształtu żółwiej skorupy właśnie.

Ten obdartus w bramie wpięty przyglądał mu się tylko. Długo, sondującym okiem. Uśmiechnął się i wyciągnął brudną łapę.

— My się skądś znamy?

Onio bez zdziwienia uściśnął jego dłoń. Tyłu podobnych przesuwano się w ostatnich latach wokół niego. Szczególnie w więzieniu. Pracowali przy wyrobie prefabrykatów. Chodzili do łaźni. Spotykali się w budynku administracji. Czekali na widzenie lub szli wspólnie do kantyny. Tyle tych twarzy, złamane nosy, blizny na czołach, policzkach, rzadkie zęby, bezzębne dziąsła, uśmiechy, głosy, imiona, strzępy zwierzeń, życiorysów, zakłęb i pragnień. A jeszcze wcześniej ci z milicyjnego aresztu i to pytanie: — Za co wpadłeś — którym wita się przybyłych.

Społeczność tej ciemnej, zatłoczonej celi waży i smakuje odpowiedź Onia. Artykuł ten a ten. Chuliganka. I napad mogą ci dowalić. Niedobrze. Masz coś zapalić?

Więc mógł go równie dobrze znać z milicyjnego aresztu lub z więzienia. Tamten zlustrował go od stóp do głowy i stwierdził. — Powodzi ci się nieźle.

Sam był w podartym waciaku i gumowcach, twarz znaczył mu kilkudniowy zarost i smugi brudu.

Zamówił Onio następny kieliszek. Barman traktował go dzi-

siaj z wyszukaną uprzejmością. Alkohol działał prawidłowo. Już następowała ta skrzydlana lekkość. Wyrastały kolorowe pióra. Ponure, w stanie trzeźwości dotkliwie jak ból wspomnienia, nabierały barwy i uroku, zyskiwały nową bogatą treść.

— Siedzieliśmy razem — zapytał Onio obtartusa.

Tamten pokiwał głową. Może nawet ukryci za stosami prefabrykatów, pili razem denaturat, oczyszczony przez więziennego fryzjera, specjalistę od kombinowanych trunków.

— Zapraw się, uczony — namawiali go towarzysze niedoli, kiedy wzbraniał się ogarnięty smrodliwym fetorem napoju.

— Te, uczony — powtarzali bez złośliwości — spróbuj, dobrze ci robi. Były to fundamentalne doświadczenia dla sceptycznego ironisty jakim starał się być dotychczas Onio i znowu wtedy przybliżył mu się tamten bardzo odległy pobyt w piwnicach Urzędu. I tak dwoma więziennymi klamrami spinało się jego życie.

Z ciekawością rozejrzał się po twarzach barowych sąsiadów. Ludzi przybywało. Podniesione, lekko bełkotliwe i nieskładne głosy otaczały go ze wszystkich stron. Dźwięki te były jak wata dla uszu. Wysiadując tu dosyć często, nauczył się zawierać przygodne znajomości, uprzyjemniające samotne picie wódki. I rano bebesząc kieszenie, wśród pomiętych pieniędzy, wygrzebywał te pijackie znaleziska, dowody barowej więzi: karteczki, świstki, bibułki zapisane tańczącym, rozkołobanym maczkiem lub wyolbrzymionymi kulfonami. Z tych telefonów, adresów i nazwisk nigdy nie korzystał. Tylko kolekcjonował i często przeglądając następnego dnia nie mógł w żaden sposób przypomnieć sobie twarzy, gestu, głosu, nic. Więc te ślady były jak hieroglify niemożliwe do odczytania. Tej nocy nie było jednak interesujących twarzy. Dwaj sąsiedzi po lewej stronie spierali się energicznie. Z uporem obstawali przy sprzecznych opiniach.

— Tak było — powtarzał jeden.

— Skąd — upierał się drugi.

Naraz któryś z nich zasyczał przenikliwie: — Cicho!

Spojrzeni w popłochu na Onia. Rozmydlone oczy obślizgiwały go długo. Odwrócił głowę.

— A coś myślał, przychodzą tacy, wszędzie. — Znowu posłyszal szept któregoś z nich.

Ta obsesja podejrzliwości nawet mu bliska. Miał ochotę pogadać z czujnymi. Jednak obwarowali się szczelną nieufnością. Musiał zrezygnować. Z tyłu dobiegł wzmożony gwar. Popatrzył na parkiet. Występowała striptiserka. W fioletowych światłach ukazały się jej piersi. Barowi klienci wpatrzyli się w białe ciało oświetlone kręgiem z reflektora. Piersi kobiety ogromniały w żarłocznych oczach. Striptis osiągnął swoje apogeum i kilku

mężczyzn próbowało dostać się na parkiet i zobaczyć nagość z bliska. Wyciągali ręce i zbliżali się jak przyciągani magnesem przez białe, poruszające się w rytmie muzyki ciała kobiety. Wybuchła kłótnia i szarpanina. Perkusista odpierał atakujących. Fioletowe światło zagasło. Kobieta zniknęła w niszy za kotarą. Do baru wkroczyła kolejna grupa mężczyzn. Pierwszy szedł niski, otyły, który stawiał drobne kroki i unosił ostrożnie stopy. Za nim postępowali dwaj wysocy, barczyści. Onio poznał otyłego od razu. Uśmiechnął się radośnie. Tamten zareagował podobnie. Nie widzieli się przeszło dwadzieścia lat. Ich znajomość trwała tak krótko. Rok ledwie. Jednak poznali się. Obaj równocześnie zbliżyli się do siebie i ścisnęli sobie mocno dłonie, poklepując się po plecach. Tamten wcale się nie zmienił. Zapamiętał Onio z dawnych czasów jego oczy jasne o cwaniackim błysku, piegi na twarzy i niesforną, kogutem sterczącą czuprynę nad czołem. Wtedy też był grubawy. I oczy takie same i ten koguci kosmyk nad czołem ten sam.

— Nie zmieniłeś się — powiedział Onio.

Tamten odwzajemnił się identycznym komplementem. Onio uśmiechnął się sceptycznie. Jednak ucieszył się. Radośnie zabrzmiał głos z dalekiej przeszłości. Głos kolegi z maturalnej klasy. Z tych czasów prehistorycznych, kiedy po zdarzeniu w kinie „Tęcza” musiał opuścić gimnazjum i z trudem udało mu się dostać do innej szkoły. Tam nie miał żadnych przyjacieli. Wystrzegał się zwierzeń i wszelkiej zażyłości. Wystrzegał się kolegów. Był czujny i nieufny. Z tym jednak chłopcem nawiązała się autentyczna, na razie milcząca więź sympatii. Od pierwszego spojrzenia przypadli sobie do gustu. Już pierwszego dnia zajęli wspólnie jedną z ostatnich ławek w środkowym rzędzie.

— Chcesz — zapytał tamten.

Onio przytaknął skwapliwie. Tamten był szkolnym aktywistą ZMP. Często przychodził w stroju organizacyjnym, w zielonej koszuli i czerwonym krawacie. Pochodził z robotniczej rodziny o rewolucyjnych tradycjach. Jego ojciec był etatowym działaczem na dzielnicy. Tego wszystkiego dowiedział się Onio zaraz w pierwszych dniach. A jednak polubili się choć tyle ich dzieliło i tak różne mieli doświadczenia. Na dużej pauzie szli razem do kotłowni i tam palili papierosy. W pozornie doświadczony sposób wymieniali uwagi o dziewczynach. Kolega lubił śpiewać i nieraz nucił pieśni w rodzaju: „My ZMP reakcji nie boimy się...”. Onio słuchał z przyjemnością jego czystego dźwięcznego głosu.

Tak minął rok i tamten nigdy nie wspominał o zdarzeniu w kinie „Tęcza”. Matura i koniec. Odtąd nie spotkał go ani razu i teraz nawet jego imienia nie mógł sobie przypomnieć.

— Trzeba to oblać — powiedział tamten.

Barman przychylił się i z szacunkiem spojrzał na niego.

— Co panowie sobie życzą?

— Czyściechę — powiedział tamten. — Tylko czyściechę.

Onio chciał już ten błąd skorygować. Tu przecież nie podawano czystej wódki. Lecz barman skwapliwie skinął głową i gdzieś z sekretnych zakamarków swego sanktuarium wyciągnął butelkę czystej wódki. Fakt ten świadczył o szczególnych względach okazywanych koledze z maturalnej klasy.

— Słyszałem o tobie — powiedział tamten. — Uczony i tak dalej.

— A ty? — zapytał Onio.

— Ja — zdziwił się tamten — bez zmian. W aparacie.

— W aparacie — powtórzył Onio.

— No tak. Resort — roześmiał się. — Tak to się dawniej nazywało. Pamiętasz? Resort czyli bezpieka — klepnął Onia w plecy.

Dwaj jego towarzysze stali z tyłu. Baczni. Skupieni.

— Koledzy — zapytał Onio.

— Młodszy koledzy — odparł tamten. — Asysta. Mnie też czasem trochę luzu się należy. Popić i pobuszować znaczy. A oni pilnują. Uśmiechnął się do nich przyjaźnie.

Również odpowiedzieli uśmiechem. Barman czekał z butelką w pogotowiu. Wpatrzony pilnie w twarz kolegi z maturalnej klasy.

— Musisz być bardzo ważny — Onio poczuł dziecinną ciekawość. — Asysta — powtórzył, patrzeć na tych dwóch z tyłu.

— Wysługa lat — odpowiedział tamten. — Posunąłem się trochę po szczeblach hierarchii. Wiesz jak to wygląda. Tak samo u ciebie. Asystent, docent, adiunkt czy jak go tam, do góry człowiek się wspina.

— Albo w dół leci — zauważył Onio.

— Różnie bywa — przyznał tamten.

Znów skinął na barmana.

— Im też — wskazał tych z tyłu.

Onio z rosnącą fascynacją obserwował kolegę z maturalnej klasy. Jego spokój, harmonia gestów, spojrzeń i słów, przywoziona nieodparcie porównanie z własnym życiem, poszarpanym nagłymi wstrząsami i ciągle jęczącymi się ranami. Zazdrościł spokoju i pewności, które emanowały z zachowania kolegi.

— Czy asysta uzbrojona — zapytał niepewnie.

Tamten pokiwał głową.

— Mają ze sobą jakieś pukawki. Ja nie lubię tego nosić.

— A gdzie oni to noszą? — zadał następne pytanie Onio.

Kolega z maturalnej klasy przywołał starszego z asysty, łysa-

wego, w szarym garniturze, wyglądającego na urzędnika średniej rangi.

— Pokaż temu panu — polecił z dobrodusznym, pobłażliwym uśmiechem.

Mężczyzna w szarym garniturze rozpiął marynarkę i uchylił nieco lewą jej połą. Onio wysunął dłoń i dotknął kabury z wystającą rękojeścią pistoletu, umocowanej na skórzanych szelkach. Jego dłoń zanurzającą się pod połą marynarki śledziły pełne ciekawości oczy barmana. Barman z trudem oderwał wzrok i zajął się przygotowaniem sałatki z pomarańcz.

— Dziękuję — szepnął Onio.

W palcach ciągle jeszcze czuł śliski metal pistoletu. Zawstydzili się swojej pożądlivej ciekawości, która przywodziła mu wspomnienie z czasów tuż powojennych, kiedy to wraz z chłopakami z łobuzerskiej dzielnicy Piaski, obmacywali drząc z emocji broń polskich żołnierzy kwaterujących w budynku szkolnym.

Patrzył na kolegę z maturalnej klasy. Niesforne, koguci kosmyk nad czołem i ciągle chłopięce oczy.

— Asysta — smakował to słowo. — Gruba ryba z ciebie.

Alkohol przestał szumić i rozmywać kontury. Umysł miał ostry, chłodny i obudziła się w nim skłonność do analitycznej wiwisekcji. — Przecież... — formułował swoje pytanie niezwykle ostrożnie — tyle u was, w tym, powiedzmy, resorcie zmian nastąpiło, kadrowych przesunięć, nawet pewnego zamieszania...

Tamten nie pozwolił mu dokończyć. W lot chwycił jego myśl.

— Istotnie — przyznał, a uśmiech miał syty, z powodu ostrych, drobnych zębów może nieco drapieżny. — Ale ja jestem fachowiec, a nie polityk. Różnica zasadnicza, bądź łaskaw zauważyć. Fachowcy nie wypadają z gry, tylko spokojnie sobie awansują.

— Fouché — zawołał Onio — napoleoński tajniak nad tajniakami.

— Może być — przyznał kolega z maturalnej klasy. — W tamtych czasach był jeszcze taki drugi, generał Savary, też przeszedł do Restauracji.

— Ja bym tu wołał raczej porównania z historii sowieckiej policji — rzekł w zamyśleniu Onio.

— Rzecz gustu historycznego — skwitował tamten.

— Bezpieka — powiedział ciągle w tym samym zamyśleniu Onio — czyli pancerna maczuga władzy. Bez niej władza bezbronna jak dziecko.

Kolega z maturalnej klasy popatrzył na niego bez uśmiechu.

— Jak wiesz zapewne, ja już dawno dokonałem wyboru i tego się trzymam konsekwentnie — głos mu stwardniał i chłopięce, figlarne oczy też stwardniały, niebieskie szkło.

Lodem, czymś niebezpiecznym powiało nagle. Onio nie wytrzymał tego spojrzenia. Opuścił głowę.

— Przepraszam — wybąkał — nie chciałem cię urazić.

— Drobiazg — odparł tamten — ja tylko z potrzeby precyzji, żeby nie było nieudomówień.

Onio uniósł głowę. Twarz kolegi znów była chłopięco beztroska i życzliwa.

— Takie spotkania jak nasze — powiedział miękkiem głosem — tyle lat wstecz człowieka cofają.

Onio przytaknął skwapliwie. Ciemna klasa, okno wypełnia liściasta bujność topoli, podłoga wysmarowana cuchnącym pyłochłodem. Kłębi się tłum chłopców. Obmacują dziewczyny. One piszczą zalotnie.

— Idzie. — Ten co trzyma straż pod drzwiami obwieszcza o zbliżaniu się profesora.

Pierzchają na swoje miejsca w ławkach. Zastygają.

— Trzmiel — przypomniał Onio — ten belfer od matematyki.

— Taki pokurcz, niby garbus — wtrącił kolega z maturalnej klasy — ale bali go się wszyscy.

— Trzmiel, bo taki kąśliwy — dodał Onio.

— A Chodupska — roześmiał się kolega z maturalnej klasy.

— Pamiętasz Chodupską? Siedziała w pierwszej ławce. Wołałmy na nią Dupsko.

— Taka taka blondynka, bardzo rozrośnięta — z głębin przeszłości wynurzył się Oniowi dokładny wizerunek koleżanki.

— Piękne lata — westchnął kolega z maturalnej klasy. — Tak się wydawało, że Bóg wie co będzie można zrobić.

Onio rozrzedził się. Alkohol w mieszanecze wspomnieniami. Zawirował czas. Słodkie obrazy. Siebie dawnego zobaczył. Tamten Onio wydał mu się cudownym dzieckiem, które z latami zmarnowało swoje możliwości, talent, wszystko. Sposępniał. Z gorzką zawiścią spoglądał na kolegę łagodnie i czule uśmiechniętego do przeszłości. Nie mógł już być taki jak dawniej. Nigdy nie będzie. Zaciśnął palce na szkle pokrywającym kontuar baru. Dusił idylliczne obrazy baśni o dawnych latach. Szargał i opluwał. Wpychał brutalnie na sam spód pamięci. Uwolnić się. Był już skupiony, zwarty. Narodziła się w nim przebiegła, praktyczna inicjatywa. Westchnął ciężko. Raz, drugi. Teatralnie.

— Mam kłopoty — zaczął z nieźle udanym oporem. W przebiegłości, która nim zawładnęła wykoncypował sobie, że kolega z maturalnej klasy pomóc mu przecież może. Już widział siebie z powrotem w Instytucie. Już składał ponownie papiery i wyjeżdżał. Alkohol przyspieszył tę operację.

— Mam kłopoty — powtórzył — ten mój pamiętny wyjazd do Ameryki... Oczywiście nieudany, zakończył się pobytem...

Wyjazd do Ameryki. Tak nazywał tamten próg, który wyrócił jego dotychczasowe życie. Próbował ironizować starym swoim zwyczajem. Ale dopiero teraz. Wtedy był przerażony. Reakcja lawinowa. Koniec pracy w Instytucie. Wkrótce umarł stary Profesor. Koniec więc wszystkiego. I oto jest belfrem. Podobnie jak ten wygrzebany z przeszłości profesor Trzmieł. Tak samo. Stoi przy tablicy i wypisuje wzory. Z tyłu szepty, gwizdy, śmigają papierowe gołębie. W tamtej klasie sprzed kilkudziesięciu lat zabawiali się tak samo. Odwraca się gwałtownie od tablicy i krzyczy. — Kto to zrobił? Odpowiada mu zdziwione, obłudne milczenie.

Zaświtała nadzieja. Wpatrzył się w szeroką, pokropioną piegami twarz kolegi z maturalnej klasy. Chytrze, pokornie usiłował związać zerwaną nić. Tamten klepnął go rubacznie w plecy.

— Kłopoty — rzekł. — Kto nie ma kłopotów. Nie warto psuć przyjemnej nocy. Pogadamy jeszcze o tym.

Onio patrzył poddańczo w jego oczy.

— Mogłbym twoim dzieciom dawać korepetycje.

Jednak kolega osadził go w tej inicjatywie natychmiast.

— Dziękuję. Na razie dają sobie radę — powiedział i oczy miał pełne wesołości. — Zgrywus z ciebie — dodał.

Wtedy Onio przeszedł do niezgrabnych pochlebstw.

— Musisz być bardzo ważny. Tak cię pilnują. Żywy kruszec — ciągle wpatrywał się w jego oczy, jakby chcąc z całej siły swego pragnienia poruszyć w nim to ludzkie, najcenniejsze co tak kielkowało wzajemną sympatią w szkolnym czasie.

Kolega pochlebstwo przyjął pobłażliwym uśmiechem i powiedział. — Nie tędy droga do naszej protekcji.

— Więc którędy? — zaszeptał Onio z żarliwą gotowością.

— Ta droga zaczyna się od skrucy, posłuszeństwa i obojętnej gotowości na wszystko — zażartował tamten. — Czy nie tak? — Zwrócił się do swoich asystentów.

A oni choć nic z tego dialogu nie usłyszeli, przytaknęli głowami. Kolega z maturalnej klasy pstryknął palcami na barmana i zamówił dla asystentów po wódce.

— Na drugą nogę towarzyszu pułkowniku — ucieszył się starszy, łysawy w garniturze.

— Jednak w knajpie ciężko wytrzymać bez paliwa — dodał drugi, młodszy, elegant długowłosej w błękitnych spodniach i takiej samej marynarce.

Onio szeptem powtórzył sobie rangę kolegi z maturalnej klasy. Asystenci spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

Orkiestra grała szlagier sprzed wielu lat. Tandetny męski baryton zawodził do mikrofonu. Białe ciało striptiserki w fioletowym świetle. Jej kształty rozdymały się do rozmiarów monstualnych.

Piersi jak ryje żarłocznych świń kolebały się miękko, zakończone rozległymi sutkami. Mężczyźni wokół parkietu uderzali w dłonie do taktu muzyki. Zamazany tłum. Zamazane obrazy.

— Mięcho — ktoś powiedział i mlasnął wargami.

Starszy z asystentów, zapatrzonej w striptiserkę tak powiedział, otworzył jeszcze raz usta i już tylko mlasnął.

— To jest naprawdę życiowa sprawa — Onio nerwowym, drżącym z napięcia głosem ponowił swój watek. — Mówię ci, przez głupstwo wykończyło mi się całe życie.

Ogarnął go przejmujący smutek. Był pewien, że kolega z maturalnej klasy powinien odczuwać to samo. Wpatrzył się intensywnie w kpiarskie, ciągle chłapiące oczy kolegi, który był dygnitarzem wysokiej rangi. Oczekiwał zrozumienia i pomocy. Poczul jego ciężką dłoń na ramieniu.

— Na smutno upijasz się, staruszk — posłyszał przyjemny, lekko ochrypły głos.

Twarze dookoła rozmazały się zupełnie i tylko ta jedna twarz tuż przy nim jak portret w kosztownych ramach. Rozmowy dookoła wdierały się do uszu potokiem nieartykułowanego potoku i tylko ten jeden głos słyszał doskonale. Spróbował uśmiechnąć się. Uśmiech wypadł blado, njeudolnie. Poczul się zardzo upokorzony. I z tego naraz uświadomionego sobie poczucia upokorzenia łyż zebrały mu się w oczach. Przygryzł wargi. Z całej siły woli wstrzymywać zaczął tę haniebną mokrość w kąciakach oczu. I ciągle widział twarz kolegi z maturalnej klasy, ciepło uśmiechniętą, serdeczną, rozbawioną. Równocześnie też głos jego posłyszał — co, słabo ci? Wódka niedobrze poszła?

Więc z trudem, jakby podnosząc ogromny ciężar uniół głowę i wyprostował się; pewniejszym już, osuszonym wzrokiem popatrzył na czarny blat baru. Dostrzegł przed sobą do połowy napełniony kieliszek. Wypił. Jeden z asystentów spojrzął na zegarek. Zaszeptał coś do ucha koledze z maturalnej klasy. Tamten pokiwał głową. Wyciągnął portfel.

— Ja cię prosiłem — sprzeciwił się Onio.

Tamten odsunął go lekko.

— Raczej ja — włożył okulary i sprawdził rachunek. W okularach wyglądał zupełnie inaczej. Surowo, obco.

— Potrzebujesz pomocy — zapytał nagle — sam nie dasz sobie rady?

— Nie — potwierdził szybko Onio i na powrót znalazł się w zakętym kręgu nadziei. Tamten powiódł roztargnionym spojrzeniem po półmiskach w gablocie. Onio czekał i serce biło mu jak przed pierwszym egzaminem.

— Muszę się zmywać — odezwał się tamten i wyciągnął rękę.

Palce miał rozpląszczone na końcach z krótko przyciętymi paznokciami.

— Ja też — rzekł Onio.

Opuszczali lokal w następującym szyku: Onio z kolegą, za nimi asystenci.

Barman przechylił się nad kontuarem i odprowadził ich skupionym wzrokiem. Stary kelner szepnął coś do drugiego starego kelnera. Portier poderwał się z wawo ze swojego kąta i kłaniając się otworzył ciężkie jak wrota drzwi. Pieniądzy za fatygę nie chciał przyjąć.

— Gdzieżbym mógł — krygował się — od takiego gościa.

Na ulicy przystąpił Onio do ostatniego szturmu. Uparcie chciał zdobyć tę twierdzę.

— No to daj mi swój telefon — rzucił od niechcenia. — Musimy się jeszcze zobaczyć — wyciągnął notes. Czekał z ołówkiem w pogotowiu.

— Po co ci mój telefon — zaśmiał się wesoło kolega. — Ja sam do ciebie zadzwonię, niedługo, zobaczysz.

Asystenci stojący o pół kroku w tyle, zachrzakali dyskretnie. Wydało się Oniowi, że wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

— U nas centrala, wewnętrzne numery — dodał kolega z maturalnej klasy — dużo komplikacji, rozumiesz.

Zabrzmiało to niby zwyczajnie, ale dla Onia było jak smagnięcie biczem. Zgarbił się i po raz pierwszy chłodnym okiem na twarz kolegi z dawnych lat popatrzył. Obca twarz. Obcy głos. Zaciśnął szczęki. Nie chciał już prosić o nic.

— Słusznie — wycedził. — Po co mi twój telefon.

Patrzył w oczy kolegi. Tamten zmieszał się nieco.

— To możesz swój numer mi dasz i wyciągnął notes.

— Po co — powiedział Onio.

Stali obok samochodu. Wołga. Jeden z asystentów już siedział za kierownicą. Onio kopnął oponę. Noga odskoczyła jak piłka. Odszedł bez pożegnania. Szedł pustą ulicą. Światło. Świt brudny deszczowy. Paliły się jeszcze latarnie. Brudne wszystko, zamazane i nierealne. A może to zdarzenie też ze sfery nierealnej? Majaki pijanej wyobraźni. Ani śladu kolegi dygnitarza. Nie było go wcale. Imaginacja spowita w deszczową szarość ustępującej nocy. Otrząsnął się i wyprostował. W trzeźwiejącym umyśle narodziło się pragnienie zmiany, odnowy. Niespodziewane zasoby energii domagały się czynu. Gorąco tego zapragnął. I pomyślał tkliwie o swojej młodej, ładnej żonie. Jej ciało bujne, podniecające. Mieć syna. Pełen skruchy i nadziei wracać do domu. Czy był to podszept Boga czy Szatana? To pytanie wyskoczyło

z nienacka spod szlachetnej powierzchni jego pragnień i aż się zatrzymał.

IV

Stąpił po klepkach, omijając starannie strefę przykrytą dywanem. Klepki również obnażyły się, pełne śladów po mokrych i zabłoconych butach, niewidocznych dotychczas. W blasku słońca, które wypełniło cały pokój, tak samo inne, mało znane zazwyczaj szczegóły, stały się wyraziste i przykre. Omijał wzrokiem ściany, poznaczone brudnymi smugami po palcach, rysami i łuszczącą się farbą. W pewnym miejscu poniżej kinkietu wypełzła plama po jakimś napoju, kształtu tak odpychającego, że odwrócił się gwałtownie, zaskoczony tym odkryciem.

Nie mógł znaleźć spokojnego oparcia dla oczu. Sufit. Był popękany i wisiał tak nad głową, popstrzony czarnymi centkami zaschniętych much z ubiegłego roku. Popękanie na suficie przebiegało zygzakiem i ziało jak rana nagle otwarta. Wzrokiem omiatał coraz to inne obszary tego wnętrza. Zapyłona drobnymi kłaczkami narzuta na tapczanie. Białe kłaczki przeniknęły rdzawy materiał i roily się gęsto na całej jego powierzchni. Faktura obrazu, który wisiał nad tapczanem, gruzelkowata, nachalna w kolorach. Brzydka i drażniąca. W pewnej chwili kolory obrazu opuszczone przez światło (a może on sam odsunął się nieco) zszarzały i pozostała jedynie ta gruzelkowatość, przywodząca na myśl złośliwą, nieuleczalną chorobę. Książki na półkach, postrzępione, powyginane, wręcz nie do zniesienia w swojej zużytej szpetocie. Kiedy przyspieszał kroku, dokuczliwa ostrość otaczających przedmiotów zacierała się i było trochę lepiej. Ale musiał zwalniać. Niewielka przestrzeń pokoju nie dawała swobody krokom. Wtedy wzrok tańczył coraz szybciej i wspomagany przez przenikliwe światło popołudnia nie mógł nigdzie znaleźć bezpiecznego oparcia. Ponadto powieki, ilekroć próbował je przymknąć i poruszał się po omacku, odchylały się natychmiast i objawiały się kolejne warstwy brudu, rozkładu, obcości. Wzmagala się wibracja. Bo cała przestrzeń pokoju i on sam w niej, wibrowały jako jedno i nie mógł ani na sekundę odnaleźć się w tym zagubieniu. Cała ta przestrzeń bowiem od podłogi do sufitu, ta niewielka przestrzeń otoczona czterema ścianami, kłębiła się obfitością drobnych, bardzo drobnych pyłków. Pyłki wirowały niezmordowanie, ogarniając go ze wszystkich stron i stawały się niewidoczne, kiedy w swym spacerze bez wyjścia miały świetlne smugi. Wtedy zwielokrotniała się jego własna wibracja. Spróbował zatrzymać się przy oknie i popatrzeć na uliczny świat. W dole z ruchliwą mrówczą energią poruszały się ludzkie sylwetki. Pędziły

we wszystkie strony, potrącając się i mijając. Sprawiły wrażenie wprawionych w tę bieganinę przez jakąś nadrzędną siłę, kierującą nimi z ukrycia. A myśl o wyjściu, która narodziła się na chwilę, zamarła od razu, sparaliżowana wyobrażeniem poruszania się tam na ulicach i placach, pośród ludzi i pojazdów, w tej przestrzeni również bez wyjścia, wypełnionej jaskrawym, bezlitosnym światłem popołudnia. Ponadto nie czuł związku z nikim tam na dole i nie mógł też wybrać sobie celu dokąd mógłby się udać. Odwrócił głowę i powrócił do swego spaceru, rozdrażniony nieustającym hukiem dochodzącym z ulicy. Hukiem nasilającym się do łoskotu, kiedy na pobliskim skrzyżowaniu hamowały tramwaje i autobusy, to znów przeradzającym się w stałe, głuche dudnienie. Więc jeszcze bardziej rozdrażniony przez agresję, która wdzierала się stamtąd, zamknął okno i zaciągnął kotarę.

W pokoju uczyniło się ciemno i gorąco. Wirujący świat drobin skurczył się w mroku. Ściany i przedmioty przycisnęły się. Pamięć jednak zachowała obraz łuszczących się miejsc, strupów na suficie i pokracznych plam. W swoim uporczywym spacerze już nie omijał dywanu. Jego stopy w drewniakach klekotały donośnie, aby po chwili zanurzyć się miękko w grubej materii. Aż wreszcie położył się na tapczanie. Przymknął oczy. Schował się w siebie. I zaczął się najgorszy atak. Atak rozedrganego wnętrza. Wibracja jego komórek, nieskończoności tych komórek, z których był złożony. Natarczywe strzępy obrazów przypomnień i nieoczekiwanych skojarzeń zaczęły wirować w jego udrepczonej głowie. fotografia, którą niegdyś jego dziewczyna trzymała w torebce. Jego fotografia. Młodziutki ze sterczącą, rozwichrzoną czupryną jak płomienny apostoł wielkiej sprawy wyglądał. Naraz ta twarz zaczynała rozlać się; puchła, rozdymała się i rozpadała. Już ani śladu młodzieńca sprzed tylu lat. Pejzaż dzieciństwa. Gmatwanina uliczek, znajomych, bliskich, a jednocześnie przeraźliwie obcych, cmentarnych. I on w tym labiryncie kluczy krętymi drogami, miota się; nie może odnaleźć wyjścia. Buda fryzjera Zygmunta, nie wiadomo dlaczego usytuowana na wysokim wzgórzu, widoczna na całej okolicy. Rzędem na półce Przybyszewski, wyrazista oprawa, brązowa, półskórek: tłoczone, złote litery tytułów. Przybyszewski — święty prorok fryzjera Zygmunta. Wszystkie te obrazy przybliżały się i oddalały, żaden nie chciał się na dłużej zatrzymać. A w drugim planie lament rodziców, patrzą na niego i płaczą, niewidoczne ich twarze, tylko sylwetki i żałosne głosy rozsadzające mu czaszkę. Zamierzchnie, poszarpane obrazy nie pozwalały znaleźć jakiegokolwiek oparcia. A ta szara kleista substancja, którą był wypełniony, zaczęła go zatapiać i dławzić. Wtedy zaczął wykonywać nieskoordynowane ruchy rąk i nóg. Była to bezskuteczna próba obrony. Instynktowna, ślepa walka

z niewidzialnym przeciwnikiem. Czuł też jak pęcznieją mu żyłki na skroniach, przepełnione porywistym, dzikim szumem. Miał nadzieję, że pękną wreszcie i uwolni się od tego rozsadzającego ciężaru. Nie pękały jednak. Leżał przygwożdżony torturą pięknego popołudnia, zwanego sjeścią, niezdolny do jakiegokolwiek odmiany swojej sytuacji.

I to bzykanie jedynej muchy, która unosiła się pod sufitem, było jak muzyka nad żywym trupem.

Seweryn KWARC

ZAPRENUMERUJ **"AN EKS"** A N E K S
POLITYCZNY do ocenzonej prasy
KWARTALNIK w Polsce

W nr. 13/14 m.in. J. Kuroń: *Myśli o programie działania*; A. Michnik: *Nowy ewolucjonizm*; W OBRONIE ROBOTNIKÓW — dokumenty; O chrześcijaństwie, socjalizmie, kościele i polityce — c.d.: F. Niedolski: *Dlaczego nie całkiem jestem chrześcijaninem*; G. Gawiński: *Niebo w płomieniach*; A. Pospieszalski: *Myśli o opozycji*; PAŹDZIERNIK 1956: J. Gross: *„W 20 lat później”*; A. Ważyk: *Co to było?*; Z. Kubiak: *Natura i obłęd*; W. Woroszyński: *Dziennik węgierski*.

Uprzednio w nr. 12-tym m.in. Wywiad z A. Slonimskim; Ważny zbiór esejów ośmiu autorów krajowych *O chrześcijaństwie, socjalizmie, kościele i polityce*; L. Kołakowski: *O tak zwanym kryzysie chrześcijaństwa*; CZERWIEC 1976: Komentarze W. Brusa, S. Gomułki, A. Smolara — DOKUMENTY.

Rocznie — 4 numery — ok. 640 str.: \$10, £4, Skr.36.
Zamówienia wraz z wpłatą prosimy przysłać na adres:

A N E K S, 61, Dorset Road, LONDON W5 4HX,
ENGLAND.

Belgrad a Europa Wschodnia

Demokracje ludowe. - Ciągłość kontestacji

„Jakaż może być polityczna moralność w kraju, w którym każda odmienna opinia jest nie tylko uciszana, lecz także stanowi wystarczający powód do pozbawienia chleba ludzi, którzy ją wypowiadają? Jej rzecznicy zostają wykluczeni ze społeczeństwa wbrew — o hańbo — prawom człowieka i obywatela. Jakaż może być polityczna moralność kraju, w którym tym, którzy mają zastrzeżenia wobec oficjalnej polityki uniemożliwia się pracę w ich zawodzie? Dziennikarz zostaje odsunięty od prasy, pisarz — od wszelkiej działalności literackiej”¹.

Powyższe „stwierdzenie” nie zostało sformułowane — jak można by sądzić — w 1976 lub 1977 roku, lecz w 1955. Jego autorem jest b. premier komunistyczny Węgier, Imre Nagy i znajduje się ono w memoriale zaadresowanym do KC partii, która kilka miesięcy wcześniej potępiła go jako „prawicowego oportunistę” i pozbawiła członkostwa¹. Przytaczam je dla podkreślenia, że kontestacja — protest przeciwko temu co wydaje się chroniczną chorobą krajów w orbicie sowieckiej — nie jest zjawiskiem nowym, powstałym w następstwie konferencji w Helsinkach w 1975 roku. Początki jej sięgają okresu po śmierci Stalina, kiedy to z inicjatywy Chruszczowa ale znacznie przekraczając dopuszczalne granice krytyki „kultu jednostki” pewni teoretycy, publicyści a nawet działacze komunistyczni — jak np. Węgier

1. por. *Un communisme qui n'oublie pas l'homme*, précédé d'un Portrait d'Imre Nagy par F. Fejtő, Plon, 1957.

Nagy czy Polak Kołakowski — poddali po raz pierwszy krytyce różne strony systemu totalitarnego, wprowadzonego w 1948 roku. Kontestatorzy ci, nazywani przez przeciwników „rewizjonistami”, mieli nadzieję, że reforma komunizmu — przekształcenie państwa policyjnego w praworządne — zostanie dokonana przez samą partię komunistyczną. Wypadki roku 1956 a potem 1968 wykazały złudność tej nadziei. Chciałbym tu jednak podkreślić, że podstawowe problemy krajów wschodnioeuropejskich po Helsinkach są zasadniczo te same, co poruszone w pismach i wystąpieniach z lat 1955-56. Gdy Imre Nagy określał jako cel swej działalności „przywrócenie sensu prawom i obowiązkom obywateli, wymienionym w Konstytucji” — używał już tego samego „legalistycznego” języka, którym posługiwali się niekomunistyczny filozof Jan Patočka i inni sygnatariusze Karty 77 w Czechosłowacji, czy prof. Edward Lipiński i b. minister Bieńkowski w Polsce. Można więc mówić o nieprzerwanej ciągłości protestu elit intelektualnych narodów wschodnioeuropejskich wobec reżymu politycznego, systematycznie łamiącego swą własną konstytucję i własne prawa. Jest to nawet ciągłość fizyczna, ponieważ wśród obecnych kontestatorów czechosłowackich spotykamy wielu reprezentantów „dubczekowskiego” reformizmu z 1968, jak np. historyka Milana Hübl’a, który jako jeden z pierwszych po upadku Novotnego domagał się „prawnych i instytucjonalnych gwarancji” przeciw nadużyciom władzy. Naturalnie nie wszyscy dawni „rewizjoniści” pozostali wierni swym ideałom. Jeden z nich napisał w 1968: „Współczesny Europejczyk... pragnie by zasada konstytucyjna, na mocy której źródłem wszelkiej władzy jest naród stała się konkretną, codzienną rzeczywistością... Chce on mieć gwarancje, zapewniające mu swobodę korzystania z prawa wyboru... z uczestniczenia w decyzjach dotyczących jego losów” itd. Autor tych słów nazywa się Gustaw Husak. Dziś słynie on jako jeden z championów nietolerancji wobec podstawowych zasad wolności². Wypadek Husaka jest jednak odosobniony. „Normalizacja” została przez większość elity czechosłowackiej odrzucona; domaga się ona — podobnie jak 10 lat temu — „całkowitego zniesienia cenzury, prawa swobodnego poruszania się dla każdego, wolności wypowiedzi przy pomocy wszystkich dostępnych środków, a także prawa, ochraniającego idee i opinie mniejszości³. Domaganie się praw ludzkich stanowi stałą, charakteryzującą kraje wschodnioeuropejskie, nawet te, które dotychczas nie zaznały zbyt wiele

2. Artykuł G. Husaka w *Kulturny Život*, Bratislava, 2. 2. 68, cytowany w: P. Tigrid, *Le Printemps de Prague*, Seuil, 1968, p. 195.

3. por. komentarz R. Selucky’ego do „Programu działania partii komunistycznej”, *Prace*, Praga, 11. 4. 68. Karta 77 używa identycznych terminów.

liberalizmu politycznego lub nie zbuntowały się jeszcze przeciw dyktaturze⁴.

Polityka prewencyjna

Przywódcy demokracji ludowych wiedzą doskonale, że elity intelektualne i „milcząca większość” ich krajów odmawia uznania za *prawowitą* władzę, która nie jest reprezentatywna, która nie pochodzi z wyborów i która, dla uzasadnienia swego monopolu, powołuje się z jednej strony na „prawa historyczne”, a z drugiej — wobec oczywistej niewystarczalności tego uzasadnienia ideologicznego — na swą (wątpliwą) zdolność zapewnienia dobrobytu i obrony interesów narodowych. Większość przywódców na Wschodzie nie ma zresztą złudzeń co do klęski usiłowań, zmierzających do zapewnienia sobie minimum poparcia, które pozwoliłoby im utrzymać się przy władzy nie wyłącznie siłą. Toteż jedną z głównych cech rządów krajów wschodnich jest od wielu lat wzmacnianie *środków nacisku wewnętrznego* — policji, propagandy — celem *zapobieżenia* powtórzeniu się kryzysów z lat 1956 i 1968. Znaczenie tej strategii „prewencyjnej” zaznaczyło się szczególnie w okresie przygotowań do konferencji w Helsinkach. W oczach Sowietów, które były jej inicjatorem, konferencja ta miała przypieczętować *status quo* we Wschodniej Europie a zarazem umożliwić ZSSR i jego satelitom korzystanie z technologii zachodniej. Równocześnie należało zabezpieczyć się przed ewentualnymi reperkusjami w dziedzinie struktury władzy. Ten wzgląd był przyczyną, że wzmocnienie — od początku 1974 — kontroli nad środkami masowego przekazu i *koordynacja „agit-propu”* i cenzury stały się jednym z głównych zadań Paktu Warszawskiego, na równi ze środkami do zwalczania tendencji odśrodkowych i przyspieszenia integracji politycznej, militarnej i ekonomicznej państw członkowskich. Zaczęto wywierać silną presję na rządy — jak np. węgierski — uważane za zbyt liberalne w dziedzinie kulturalnej i ekonomicznej; ZSSR przyspieszył zacieśnienie więzów z państwami ościennymi za pomocą dwustronnych traktatów i nakazał wpisanie do konstytucji tych krajów (Czechosłowacji, NRD, Polski) klauzul, przeznaczonych do instytucjonalizacji „doktryny Breżniewa”.

4. Mam na myśli Rumunów. „Wy, Czesi i Słowacy — pisał powieściopisarz Paul Goma w swym liście do autorów Karty 77, w lutym 1977 — mieliście swój 1968, Węgrzy mieli 1956, Polacy 1956 i 1970. My, Rumuni, nie mamy podobnej daty. Ale cierpienia nie zawsze są proporcjonalne do siły rewolty”.

Przywódcy komunistyczni nie mogą więc wyrzucać sobie zaniedbania kroków zapobiegawczych, mających zneutralizować ewentualne reperkusje zobowiązań poszanowania praw człowieka, podjętych w Helsinkach w zamian za korzyści na Zachodzie. Czego jednak nie przewidzieli, czego nikt nie przewidział, to faktu, że podjęte środki nie wystarczą dla stłumienia niezadowolenia i tendencji wolnościowych.

Nowa fala kontestacji

Nieoczekiwane odnowienie rewindykacji w krajach wschodnioeuropejskich, powstanie nowego ruchu oporu dają się wytłumaczyć działaniem wielu czynników, z których najważniejszymi wydają mi się następujące⁵: — uczulenie opinii zachodniej na problemy represji w krajach wschodnich. Apele Sacharowa i Solżenicyna, mimo zaporowego ognia propagandy sowieckiej, wrogości *poputczików*, tak wpływowych w zachodnich *mass media*, oraz sceptycyzmu polityków na Zachodzie zdołały przebić ścianę obojętności. Obraz krajów „mimo wszystko postępowych”, rozpowszechniany przez propagandę Związku Sowieckiego i innych krajów socjalistycznych był już poważnie nadwerężony przez inwazję Czechosłowacji i nie przetrwał rewelacji na temat Gułagu. Jednym z następstw tego zwrotu, który nastąpił szczególnie w opinii niekomunistycznej lewicy, było zmuszenie zachodnich partii komunistycznych do ochłodzenia stosunków z sowiecką partią komunistyczną i danie posłuchu przynajmniej tym kontestatorom, którzy — jak Miedwiediew, Piuszcz, czescy „dubczekiści” itd. — głosili swe przywiązanie do „wartości socjalistycznych”. Jakiegokolwiek wątpliwości żywić można wobec szczerości protestów anty-represyjnych i deklaracji pluralistycznych komunistów włoskich, francuskich czy hiszpańskich, faktem jest że ich wystąpienia dodały otuchy bojownikom o prawa człowieka w krajach wschodnich. Już nawet przed konferencją partii komunistycznych w Berlinie w czerwcu 1976, a tym bardziej po niej kontestatorzy powoływali się nie tylko na „ducha Helsinek”, ale i na wypowiedzi Berlinguera, Marchais i Carillo. Wielu z nich — jak Polacy: Kuroń, Lipiński i Michnik, lub jedenastu dawnych członków czeskosłowackiego KC z 1968 roku, sygnatariuszy Karty 77 — zwróciło się osobiście bądź to do Berlinguera, bądź do wszystkich partii komunistycznych na Zachodzie, prosząc o interwencję na rzecz uwięzionych robotników czy prześlado-

5. Dokładniejsza analiza w moim studium *La contestation dans les démocraties populaires*, „Projet”, Paris, juin 1977.

wanych „dysydentów”⁶. Wysiłki rządzących na Wschodzie, zmierzające do działalności reakcjonistów, obcych agentów czy syjonistów (por. *Życie Warszawy* z 9. 1. 1977 czy *Rude Pravo* z 7. 5. 1977 jako typowe przykłady tego rodzaju propagandy), wzmogły tylko oburzenie i pogardę dla tego typu metod. Prasa ultralewicowa na Zachodzie, jak *Il Manifesto* we Włoszech, *Liberation*, *Rouge* i *Politique Hebdo* we Francji współzawodniczy obecnie z publikacjami tradycyjnie antykomunistycznymi w podawaniu szczegółowych informacji na temat opozycji i represji we Wschodniej Europie. Niewątpliwie lewica zachodnia w odwet za to, że dała się zwodzić zbyt długo, jest obecnie bardziej „zatraskana”, bardziej skłonna do wyrażania oburzenia i solidarności niż prawica, dla której stan istniejący jest po prostu potwierdzeniem jej dawnego przekonania. Tak czy inaczej *głosy kontestatorów nie rozbrzmiewają już w próżni*. I chociaż nie należy przeceniać stopnia ochrony, jaką manifestacje solidarności ze strony opinii zachodniej mogą zapewnić kontestatorom jest niewątpliwie, że dodają one otuchy „dysydentom” i utrudniają władzom stosowanie środków represji. Mimo bowiem pogardy jaką przywódcy komunistyczni żywią dla wartości humanistycznych, zależy im obecnie na pewnym minimum pozorów: względy prestiżu i wymogi dyplomacji odprężenia nie pozwalają im na danie pełnego zielonego światła policji, która domaga się błyskawicznej i brutalnej likwidacji wszystkich ośrodków opozycji. Jest jasne, że rządy krajów wschodnich nie chcą wystąpić w Belgradzie jako oskarżeni o łamanie układów, które podpisały. Stąd ich taktyka zmierzająca głównie do skrepowania najaktywniejszych uczestników kontestacji, przy równoczesnym unikaniu zaangażowania się w twardą politykę represji.

Taktyka minimalistyczna

W tej nowej, pełnej sprzeczności, sytuacji zarówno rządzący jak i dysydenci stosują taktykę minimalistyczną, stanowiącą dodatkowe źródło kłopotów dla władz. „Walczyliśmy o wolność, by móc walczyć o wolność” oświadczył popularny piosenkarz Rolf Biermann, wyrzucony z NRD a opowiadający się za eurokomunizmem⁷. Sformułowanie to ujmuje wyśmienicie postawę unikania frontalnego ataku na system i której główną broń stanowią rzające do ukrycia rozmiarów kontestacji i zaprezentowania jej

6. Michnik w towarzystwie L. Kołakowskiego złożył wizytę Pajetcie, członkowi KC włoskiej partii komunistycznej. Por. „L'appel à la gauche occidentale”, *Le Monde*, 11. 5. 77.

7. por. Gérard Sandoz, „RDA: un réveil en chansons”, *Nouvel Observateur*, 13. 10. 76 i wywiad z Biermannem w *Die Weltwoche*, 16. 3. 77.

petycje, memoranda i żądania skierowane do władz, a ograniczające się do wymogu stosowania obowiązujących praw⁸. Najdalej po tej drodze poszli Czesi i Słowacy, pozbawiając władzę legalnego pretekstu do prześladowań: sygnatariusze Karty 77 powstrzymują się od „politycznej działalności opozycyjnej”, od „wysuwania programu politycznego czy domagania się reform i zmian”. Odżegnują się od tworzenia organizacji: „Karta 77 — powiadają — jest swobodną, nieoficjalną wspólnotą, łączącą ludzi ... ożywionych chęcią działania indywidualnego i zbiorowego w kierunku zapewnienia respektu dla praw człowieka w naszym kraju”. Niewątpliwie, ta troska o legalizm nie zapobiegła aresztowaniu czterech spośród nich, nie przeszkodziła stosowaniu presji na prawie wszystkich sygnatariuszy, kafkowskim niekończącym się przesłuchaniom (których ofiarą padł 13 marca Jan Patočka), ani wszelkiego rodzaju szykanom, których imponującą listę zawierają dokumenty wydane po uchwaleniu Karty. Niemniej, stosując te wszystkie metody, nieproporcjonalne w stosunku do inkryminowanych „przestępstw”, władze ustawiają się w złym świetle w oczach opinii światowej, informowania której nie są już w stanie zapobiec. Jedyną nadzieją władz jest więc stopniowe łamanie kontestatorów, przez zwiększanie izolacji od świata zewnętrznego, za przykładem policji sowieckiej. Ale ta „partyzantka nerwów” stosowana przez policję napotyka na nieoczekiwany opór. „Model zachowania”, wypracowany przez Sacharowa i Sołżenicyna znalazł naśladowców wszędzie. Kontestatorzy wykazują odwagę cywilną, z którą coraz trudniej dać sobie radę.

Polacy przekroczyli linię „minimalistyczną”. Ponieważ władze obrały taktykę nieprzyjmowania petycji, stworzono Komitet Obrony Robotników, który z końcem 1976 roku przeprowadził skutecznie zbiórkę na rzecz uwięzionych, zwolnionych z pracy i ich rodzin, oraz wydał szereg „Biuletynów informacyjnych” kolportowanych szeroko, a zawierających wstrząsające świadectwa brutalności policji wobec robotników Ursusa i Radomia⁹. Komitet ten zwrócił się w listopadzie 1976 do Sejmu z petycją, żądającą przeprowadzenia śledztwa w sprawie represji. W marcu 1977 ogłoszono w Warszawie o powstaniu *Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela*. Bardziej polityczny charakter kontestacji w

8. Tak więc Karta 77 powołuje się na „ustawę Nr 10, uchwaloną 13. 10. 1976 i wprowadzającą w życie, od 16. 3. „konwencję międzynarodową na temat praw ekonomicznych, społecznych i kulturalnych, podpisaną w 1968 i 1975 w Helsinkach — i na tej podstawie występuje przeciw ograniczeniom wolności wypowiedzi, dyskryminacji w nauczaniu, arbitralnym zwolnieniom z pracy itd.

9. por. *Documents du Comité de défense des ouvriers de Pologne*, édités par le Comité international contre la répression et préfacé par K. Pomian, Paris, 1977.

Polsce tłumaczy się specjalnymi warunkami tego kraju, w którym rząd, jeszcze mniej zdolny do opanowania trudności ekonomicznych i rozładowania niezadowolenia robotników niż gdzie indziej, przygotował grunt dla porozumienia pomiędzy robotnikami, inteligencją i wierzącymi, walczącymi o swobody obywatelskie i religijne. Nowa fala kontestacji w Polsce datuje się od listopada 1975, kiedy to najwybitniejsi przedstawiciele inteligencji i Kościoła wystąpili — raczej równocześnie niż wspólnie — przeciwko poprawkom do konstytucji, zmierzającym do ograniczenia praw obywatelskich i instytucjonalizacji zależności od Związku Sowieckiego. Wspólnym motywem kontestacji polskiej i czeskosłowackiej jest żądanie „zagwarantowania podstawowych swobód i praw obywatelskich, wolności sumienia i praktyk religijnych, wolności pracy, słowa i informacji, wolności nauki”¹⁰.

E. Gierek zakwalifikował inicjatywę profesora Lipińskiego, który w 1976 roku obchodził 70-tą rocznicę swych związków z socjalizmem, oraz jego współsygnatariuszy, jako „pozałowania godną próbę wskrzeszenia idei polskiej burżuazji, skazanych przez historię”. Tymczasem w petycjach do rządu polskiego — podobnie jak w Karcie 77, czy w słowach solidarności skierowanych do jej sygnatariuszy przez Rumuna Paula Gomę i jego przyjaciół — nie można znaleźć niczego co odbiegałoby w intencji i sformułowaniach od deklaracji podpisanej w Helsinkach. Jeśli komuniści uważają „fundamentalne” zasady umieszczone w końcowym akcie z Helsinek za „burżuazyjne idee, potępione przez historię”, można ich zapytać — i jest nadzieja, że zostaną zapytani w Belgradzie — dlaczego zobowiązali się do ich przestrzegania? Czy formułowanie tego żądania i powiadamianie o nim zagranicą może być uznane za „konszachty z zagranicznymi organizacjami w celu zaszkodzenia polskiemu interesom politycznym”? Wydaje się to absurdem — a jednak na tej podstawie postawiono w stan oskarżenia członków KOR'u (w tym Jacka Kuronia i Adama Michnika) i aresztowano kilkudziesięciu sympatyków po pogrzebie studenta Stanisława Pyjasa, zmarłego w podejrzanym okolicznościach¹¹. Czyżby Gierek, który dotychczas wykazywał więcej umiarkowania, pod presją ultrasów partyjnych lub Moskwy zamierzał przykręcić śrubę i sięgnąć po pałkę, za przykładem swych kolegów sowieckich i czeskosłowackich? Czy jest to „zwrot” czy tylko epizod w wojnie nerwów? W każdym razie trudno pojąć jakich korzyści — u progu konferencji w Belgradzie —

10. por. wypowiedzi E. Lipińskiego w *Nouvel Observateur*, 10. 5. 76, które obok Karty 77 stanowią najważniejszy dokument kontestacji wschodnio-europejskiej.

11. por. M. Lucbert, „L'affaire Pyjas”, *Le Monde*, 19. 5. 77; *Liberation*, Paris, 16 i 20 maja 1977.

spodziewa się rząd polski po akcji, która — jak ostrzega jeden z komunikatów KOR'u — może doprowadzić do „nieprzewidywanych i nie dających się opisać wydarzeń” w kraju.

Krótką listą bolączek

Można by — i należałoby — zebrać w gruby tom różne dokumenty, sporządzone przez kontestatorów wschodnioeuropejskich, a dotyczące nieprzestrzegania postanowień z Helsinek. Ograniczymy się tutaj do krótkiego omówienia najważniejszych punktów:

— Wolność wypowiedzi

Najbardziej bijącym w oczy przykładem nierespektowania tej wolności jest sytuacja intelektualistów w Czechosłowacji gdzie, jak to określił Louis Aragon, władze stworzyły po 1969 roku, rodzaj „Biafry duchowej”. Największe nazwiska literatury objęte są tam od wielu lat zakazem druku; Milan Kundera i wielu innych zostało zmuszonych do emigracji¹². Sytuacja w Polsce jest mniej dramatyczna, ale i tu cenzura przejawia, według określenia prof. Lipińskiego, „absurdalność przewyższającą cenzurę okresu caratu”. Objęte są nią powieści J. Andrzejewskiego, prace historyczne Jasienicy i Marii Turlejskiej (która straciła katedrę uniwersytecką za swe „Notatki z ostatniego dziesięciolecia”), R. Przybylskiego i innych¹³. Wybitny pisarz Odojewski, filozof Kołakowski, prof. Brus i tylu innych musiało opuścić swój kraj, by móc kontynuować swe prace. Nawet w najbardziej „liberalnym kraju wschodnim”, na Węgrzech — gdzie rządowi udało się „odzyskać” takich niekonformistycznych pisarzy jak Tibor Déry czy Gyula Illyés — cenzura uniemożliwiła druk opowiadania Miklos'a Haraszi „Płacone od sztuki” i powieści György Konrad'a; taśma z testamentem filozoficznym György Lukacs'a została skonfiskowana przez policję, a większość jego uczniów — myślicieli, filozofów i socjologów marksistowskich — nie ma prawa publikowania, nie mówiąc już o zakazie publikacji wspomnianego dzieła pośmiertnego eseisty i powieściopisarza Béli Hamvasa, zmarłego przed kilku laty w całkowitej izolacji i opuszczeniu.

— Wolność przekonań

I tu sytuacja Czechosłowacji, opisana w Karcie 77 wydaje

12. por. sprawozdanie z przemówienia, wygłoszonego na zebraniu Związku Pisarzy Słowackich 2. 3. 1977 przez Hanę Ponicką, *Le Monde*, 4. 5. 1977.

13. por. „Les libertés en Pologne”, *Est-Ouest*, 16-28. 2. 1974.

się najbardziej niepokojąca: w 9 lat po „normalizacji” „dzieciatom tysięcy obywateli uniemożliwia się prace w ich specjalności, ponieważ mają inne od oficjalnych przekonania”. Pół miliona „dubczekistów” wykluczonych z partii — a co powiedzieć o niekonformistach, którzy nigdy nie byli lub nie są marksistami — jest „ofiara prawdziwego *apartheid*’u; ich dzieci „nie mają dostępu do szkolnictwa średniego i wyższego”. Los sygnatariuszy Karty 77 jest ilustracją stosunku władz do swobody przekonań: rewizje, inwigilacja, przesłuchania, groźby pozbawienia życia i kampanie oszczerstw mnożą się. Represja w Polsce jest bardziej „selektywna” i utajona, odznaczała się jednak niespotykaną brutalnością wobec robotników w 1970 i 1976 roku; należy tu też śmierć krakowskiego studenta Pyjasa, 7 maja 1977. Co do Rumunii, Paul Goma ujawnił, że inaczej myślący bywają często osadzani w zakładach psychiatrycznych, tak jak w Związku Sowieckim. Warunki więzienne zatrzymanych za odmienne przekonania zasługiwałyby na osobny rozdział: temat ten w odniesieniu do Czechosłowacji został omówiony w *Dossier du Jury International contre le nouveaux procès de Prague*, wydanym w Paryżu w czerwcu 1973. Fakt, że nie posiadamy podobnej dokumentacji na temat Bułgarii nie oznacza bynajmniej, jak się można domyślać, by w tym kraju, szczególnie przywiązany do tradycji stalinowskiej, respektowano bardziej prawo do wolności przekonań i wypowiedzi.

— Wolność prasy i informacji

Jest ona „po prostu zniesiona przez sam fakt centralizacji w rękach państwa wszystkich środków masowego przekazu, publikacji i ośrodków kulturalnych”, stwierdza Karta 77. Niewątpliwie monopol informacji, stanowiący charakterystyczną cechę komunistycznego systemu politycznego nie wszędzie przejawia się tak ostro jak w Czechosłowacji. Na Węgrzech, w Polsce a nawet w NRD cenzura *mass media* stosowana jest elastyczniej i przepuszcza — szczególnie w tygodnikach i miesięcznikach — więcej informacji i komentarzy krytycznych, pod warunkiem nietykania tabu Nr 1: stosunków ze Związkiem Sowieckim. Jednak mimo różnicy w stopniu restrykcji, istnieją one wszędzie.

Brak prawnej obrony przed oszczerstwem — na który uskarżają się kontestatorzy czechosłowaccy — występuje i w innych krajach. A także, wbrew postanowieniom Helsinek, utrzymują się ograniczenia dystrybucji prasy zagranicznej¹⁴. Nawet w Polsce,

14. por. *Entraves à la liberté de circulation des informations entre l'Est et l'Ouest*, broszura wydana przez Association du Traité Atlantique, Paris, 1973.

gdzie prasa zachodnia dociera łatwiej, systematycznie blokuje się jej kolportaż (z prasą komunistyczną włącznie), jeśli zawiera informacje lub komentarze sprzyjające sprawie kontestatorów.

— Wolność religii

Z racji swej wyjątkowej siły Kościół katolicki w Polsce jest uprzywilejowany w porównaniu z innymi krajami komunistycznymi. Tym niemniej episkopat uznał ustawę szkolną, zatwierdzoną przez Sejm w 1973 roku, za „poważne naruszenie naturalnych praw rodziców katolickich”, a stosunki między Państwem i Kościołem bywają często napięte. Tak jak i w innych dziedzinach, rząd czechosłowacki jest wyjątkowo nietolerancyjny¹⁵, podczas gdy węgierski przejawia pewną elastyczność.

— Wolność poruszania się

Wolność ta jest bardziej respektowana na Węgrzech i w Polsce, niż w pozostałych krajach komunistycznych. Najbardziej represywną postawę w tej dziedzinie ma NRD: w odpowiedzi na „negatywny plebiscyt”, jakim było ok. 100.000 podań o wyjazd na emigrację, złożonych od czasu układu w Helsinkach i z powołaniem się nań, rząd NRD wydał 7. 3. 1977 okólnik, nakazujący funkcjonariuszom traktować wszystkie takie podania jako nielegalne i karalne¹⁶.



Pomijamy tu prawa do opozycji, wolności związków zawodowych, swobody zrzeszania się konsumentów, reklamowane przez prof. Lipińskiego w imię „zasady wolności zrzeszeń i zgromadzeń, gwarantowanej przez konstytucję”. Wolności te, podobnie jak prawo do strajku, mogą być uważane za niezgodne zasadniczo z systemem jednopartyjnym, stanowiącym samą esencję reżymu komunistycznego, nawet jeśli jego konstytucja nie precyzuje tego otwarcie. Nie mówimy też o wolnościach narodowych, ponieważ wiemy, że według przywódców krajów wschodnich są one zarezerwowane dla ludów zamieszkujących Afrykę, Azję i Amerykę Południową, podczas gdy kraje socjalistyczne mogą się bez nich obejść. Wymieniliśmy tu jedynie rewindykację „minimalne”, zmierzającą nie do likwidacji dyktatury, lecz jedynie do ograniczenia samowoli tyranii, i nie zagrażającą zachowaniu i równowadze panującego systemu¹⁷. Chcemy na zakończenie podkreślić,

15. por. „La situation de l'Eglise catholique en Tchécoslovaquie. Documents, commentaires”. *Justicia Pax*, Fribourg, 1976.

16. *Le Figaro*, 9. 5. 1977.

17. Pozostawiam tu otwartą kwestię zgodności z systemem sowieckim choćby minimalnych rewindykacji bojowników o prawa człowieka. Kołakow-

że cele jakie pragną osiągnąć ludzie walczący o prawa człowieka w krajach wschodnioeuropejskich są znacznie skromniejsze od tych, jakie elementom liberalnym, demokratycznym i socjalistycznym udało się osiągnąć w Grecji, Portugalii i Hiszpanii. Zmiany, jakie zaszły w tych krajach nie zagroziły międzynarodowemu odprężeniu. Co jest sprzeczne z duchem odprężenia, zrozumienia i współpracy to właśnie utrzymywanie w krajach wschodnich sytuacji opisanej w Karcie 77, czyli kiedy elementarne prawa człowieka są „gwałcone przez użytek jaki Ministerstwo Spraw Wewnętrznych robi z podsłuchu telefonicznego, instalacji mikrofonów w prywatnych mieszkaniach, kontroli korespondencji, śledzenia osób i przeprowadzania rewizji, a także przez infiltrację społeczeństwa przez sieć donosicieli, rekrutowanych za pomocą gróźb, obietnic i innych niedozwolonych środków”. Mamy prawo i obowiązek stwierdzić, że sytuacja ta jest niegodna cywilizowanego kraju w XX-tym wieku. I nawet jeśli jest prawdą że, jak twierdzi amerykański mąż stanu, Paul C. Warnke, rządy zachodnie muszą brać pod uwagę „praktyczne granice możliwości pomocy Wschodniej Europie”, opinia publiczna ma pełne prawo domaganie się wykorzystanie możliwości, jakich dostarczają w tym względzie układy w Helsinkach. Ci, którzy zachęcali do zmian w Hiszpanii, Portugalii i Grecji niechaj nie postępują odmiennie względem państw wschodnich, o których przynależności do Europy nie mogą nie wiedzieć.

François FEJTŐ

(Przełożył z francuskiego M. Broński)

ski nie wierzy w nią (por. jego esej w *Der Spiegel*, Nr 19, 1977), podobnie jak Pavel Tigris (por. podsumowanie jego książki „*Amère Révolution*”, préface de V. Boukovski, Albin Michel 1977). Tym niemniej obecni kontestatorzy wschodnioeuropejscy, na wzór „rewizjonistów” z lat 1950-60, zdają się dopuszczać taką zgodność jako „hipotezę roboczą”. (Por. też odpowiedź w duchu „dubczekizmu” Santiago Carillo na tezy Kołakowskiego, *Der Spiegel* Nr 21, 1977).

Obrona Praw Człowieka w republikach sowieckich

W artykule niniejszym zamierzamy przedstawić ruch obrony praw człowieka w czternastu narodowych republikach Związku

Sowieckiego (bez RSFRS) aż do pierwszych miesięcy 1977 roku. Największa różnica pomiędzy tym ruchem a ruchem w rosyjskiej FSR, zwłaszcza w dużych ośrodkach kulturalnych jak Moskwa czy Leningrad polega na tym, że w republikach tych walka przeciw narodowej dyskryminacji i rusyfikacji odgrywa — obok innych, typowo lokalnych właściwości — szczególnie doniosłą rolę. Jeśli chodzi o inne zagadnienia walki o prawa człowieka, to wiele z nich jest wspólnych w całym Związku Sowieckim. Należy również stwierdzić, że stale wzrasta liczba tych Rosjan w ruchu obrony praw człowieka, którzy krytykują sowiecką politykę narodowościową i uznają prawo do samodzielnego istnienia narodów nierosyjskich. Historyczne znaczenie posiada fakt, że „Grupa społeczna popierająca realizację końcowego aktu w Helsinkach” (*Obszczestwennaja grupa po sodejstwiu wypolnienija Helsińskich sogłaszenij*) w Moskwie zgadza się całkowicie z tekstem oświadczenia podobnej grupy, istniejącej na Ukrainie, która — jak się o tym niebawem przekonamy — jasno i wyraźnie domaga się niezależności Ukrainy. Najpierw jednak, dla lepszego zrozumienia całokształtu tej problematyki, kilka informacji natury ogólnej.

Sowiecka Partia Komunistyczna twierdzi, że społeczeństwo sowieckie uważać należy za polityczny system zamknięty, składający się z rozmaitych części, jak urzędy, instytucje i organizacje, kierowane przez trzon owego systemu — KPZS. Owo *partijnoje rukowodstwo* ogarnia całokształt społeczeństwa. We wszelkich dziedzinach społecznych nie ma tam ani jednej części, ani jednego odcinka, które nie byłyby kierowane przez partię. Co więcej: ideolodzy partyjni twierdzą, że wszystkie części tego systemu są usilnie zainteresowane kierownictwem partii, ponieważ jedynie dzięki temu kierownictwu mogą istnieć i dynamicznie się rozwijać. Zgodnie z tą zasadniczą wykładnią ustroju sowieckiego — już z czysto teoretycznego punktu widzenia — nie ma w społeczeństwie sowieckim miejsca dla niezależnych ruchów, organizacji, bądź też działalności ludzi inaczej myślących.

Rzeczywistość jednak wygląda całkiem inaczej a to z dwóch zasadniczych powodów. Pierwszy z nich to fakt, iż roszczenia partii do całkowitego manipulowania społeczeństwem są absolutną utopią. W państwie posiadającym niemal 257 milionów ludności, z której połowa to Rosjanie, druga zaś połowa składa się z narodów i grup ludności, które w wielu wypadkach oglądać się mogą na własną, tysiącletnią a pełną chwały historię i kulturę, w państwie, w którym partia komunistyczna liczy dziś przeszło 15,6 milionów członków i kandydatów, kierowanych i kontrolowanych przez biurokrację partyjną, a traktowanych jedynie jako narzędzia, służące do wypełniania uchwał partyjnych, tego rodzaju całkowita manipulacja jest już prawie niemożliwa. A skoro już mowa o kierownictwie partii, należy również uwzględnić fakt, że 40 % wszystkich organizacji partyjnych liczy mniej niż piętnastu członków. Oznacza to, iż w rzeczywistości istnieją niezli-

zione dziedziny, którymi partia w ogóle nie jest w stanie kierować.

Fakty te pozwalają również lepiej zrozumieć dlaczego ów ustrój nie może istnieć bez organów ucisku. Służba bezpieczeństwa, licząca tysiące, jeśli nie setki tysięcy towarzyszy — szpiclów i informatorów — obejmuje w dziedzinach, których kierownictwo partii ogarnąć nie może, tę właśnie — „kierowniczą” funkcję. Pomoc tego rodzaju aparatu jest konieczna również i dlatego, ponieważ byłoby rzeczą na wskroś błędną zakładać, że w społeczeństwie tak zróżnicowanym — nie ma grup, które z rozmaitych powodów — z racji przekonań politycznych lub religijnych, ze względów narodowościowych lub społecznych — nie stałyby na stopie wojennej z panującym ustrojem, nie wspominając już o takich grupach, które istnieją we wszelkich społeczeństwach, a więc i w sowieckim, jak bandy kryminalne, szmuglerzy, handlarze na czarnym rynku, handlarze narkotyków itp. Owa dysfunkcyjność totalitarnego kierownictwa partyjnego, zmuszonego do częściowej rezygnacji z politycznych metod kierowania i do stosowania represyjnych, przeważnie niezgodnych z prawem, metod (największą obrazą przywódców sowieckich jest nazwanie Związku Sowieckiego państwem policyjnym), automatycznie pozostawia obywatelom sporo przestrzeni do walki o ich prawa.

Drugi aspekt traktowania Ruchu obrony praw człowieka w Związku Sowieckim — o czym trzeba pamiętać — łączy się z faktem, że konstytucja Związku Sowieckiego, jak również część prawodawstwa w ogóle, gwarantuje obywatelom sowieckim nader szerokie prawa demokratyczne. Dziś jeszcze obowiązuje w Związku Sowieckim tzw. „Konstytucja Stalinowska”, tj. konstytucja z 1936 roku. Opracowana została z inicjatywy Stalina i przyjęta na VIII Nadzwyczajnym Zjeździe Sowietów 5 grudnia 1936 roku. Już w owym czasie szalały w Związku Sowieckim terror i samowola, obozy koncentracyjne i więzienia były przepełnione. Ironia losu chciała, że w przeddzień wybuchu złowieszczej „jeżowszczyzny” (1937) przyjęto konstytucję, która zademonstrować miała całemu światu iż Związek Sowiecki jest państwem najbardziej demokratycznym na świecie. Spośród owych licznych, demokratycznych paragrafów tej konstytucji, zabraniających jakiegokolwiek dyskryminacji narodowościowej lub rasowej, gwarantujących pewną swobodę wiary, chcemy tu — w wyjątkach — zacytować dosłownie jedynie art. 125:

„Zgodnie z interesami mas pracujących i celem umacniania ładu socjalistycznego obywatelom ZSSR zagwarantowane zostają przez prawo: a) wolność słowa, b) wolność prasy, c) wolność zgromadzeń i manifestacji, d) wolność pochodów i demonstracji”.

Gdy system terroru jeszcze funkcjonował, konstytucja stanowiła pozbawioną znaczenia wywieszkę dla celów propagandowych. Dziś sytuacja jest absolutnie inna. Sprzeczność między konstytucyjnie zagwarantowanymi prawami obywateli a rzeczy-

wistością staje się dla współczesnego społeczeństwa sowieckiego zagadnieniem Nr 1. Wezwanie do walki o prawa człowieka stanowi w Związku Sowieckim hasło najbardziej rewolucyjne. Siła tych, którzy walczą o te prawa polega na tym, że powołują się oni na zagwarantowane im w konstytucji prawa, podczas gdy reżym trzyma się kurczowo tradycyjnych, lecz sprzecznych z konstytucją mechanizmów rządzenia.

Dla Ruchu obrony praw człowieka w poszczególnych republikach sowieckich — z uwagi na zagadnienie narodowości — szczególnie ważny jest 17 artykuł konstytucji, który brzmi następująco: „Każdej republice sowieckiej przysługuje prawo do swobodnego wystąpienia z ZSSR”.

Gdy w latach sześćdziesiątych, zwłaszcza w rosyjskich ośrodkach kulturalnych Moskwy i Leningradu, kształtowała się opozycja polityczna, przedstawiciele wszystkich ugrupowań i kierunków byli przekonani, że działalność ich nie jest sprzeczna z prawem, że to nie oni, lecz przedstawiciele ustroju naruszają zagwarantowane w konstytucji prawa obywateli. W okresie tym dokonywać się zaczęła w całym społeczeństwie interesująca przemiana. Wskutek lepszego poinformowania o własnym społeczeństwie, wzrostu świadomości i wyraźnej dysfunkcyjności terroru nawet prosi obywatele sowieccy zaczęli odważnie bronić swoich praw. Rozpoczął się, trwający do dzisiaj, istny potop listów, protestów, nawoływań o pomoc, lecz również i apeli do opinii publicznej lub kierownictwa partii, w których obywatele uskarżali się na konkretne wypadki niesprawiedliwości. Skala tych skarg jest niezmiernie szeroka: od protestów z racji powszedniej niesprawiedliwości np. w kwestiach mieszkaniowych, wypadków złego lub biurokratycznego traktowania przez urzędy, sytuacji społecznej — aż do prześladowania z rzekomo politycznych lub religijnych względów. Ludzie świadomie „inaczej” myślący nie byli ani inicjatorami tej na nowo przebudzonej świadomości obywateli, ani też później nią nie kierowali. Uzupełniają ową przemianę jedynie w tym sensie, że chcą ją skierować ku problemom zasadniczym.

W okresie tym (z początkiem lat sześćdziesiątych) opozycji politycznej w Związku Sowieckim — wspieranej przez tysiące nieaktywnych politycznie sympatyków — udało się uzyskać zwycięstwo o historycznym znaczeniu, mianowicie: urzeczywistnić na swój sposób prawo obywateli sowieckich do wolności prasy — był to moment powstania „Samizdatu”, czyli funkcjonującego na szeroką skalę systemu rozpowszechniania pocacenzuralnych, swobodnych informacji, oraz utworów literackich i politycznych. Nie jest przypadkiem, że słynna *Kronika bieżących wydarzeń* („*Chronika tiekuszczich sobytij*”) ukazuje się od swego pierwszego numeru z wydrukowanym na pierwszej stronie artykułem 19 Karty Praw Człowieka: „Każdy człowiek ma prawo do swobody swoich przekonań i swobodnego ich wypowiedzania; prawo to obejmuje też wolność nieskrępowanego trwania przy swych przekonaniach oraz wolność uzyskiwania i rozszerzania informa-

cji i idei przy pomocy dowolnych środków i niezależnie od granic państwowych".

System „Samizdatu” rozszerzał się na wszystkie republiki związkowe, najmniej informacji na ten temat mamy z Azji Środkowej, lecz i źródła sowieckie potwierdzają, że publikacje „Samizdatu” na tematy religijne ukazują się tam na skalę znacznie szerszą niż w innych republikach.

Nowy etap — po podpisaniu aktu końcowego w Helsinkach

Z materiałów, jakie mamy do dyspozycji, wynika wyraźnie że po podpisaniu aktu końcowego konferencji w Helsinkach dnia 31 lipca 1975, ludność Związku Sowieckiego zaczęła żywić nadzieję na ulgi w rozmaitych dziedzinach. Przede wszystkim spodziewano się amnestii dla tych więźniów politycznych, którzy od wielu już lat męczą się w poprawczych obozach pracy i więzieniach. Jednocześnie odezwały się grupy, domagające się utworzenia Organizacji Społecznej, która kontrolowałaby realizację w Związku Sowieckim dokumentów podpisanych w Helsinkach. Tak właśnie powstała dnia 12 maja 1976 w Moskwie wspomniana już Grupa Społeczna popierająca realizację aktu końcowego Helsinek, której przewodniczącym został członek-korespondent Akademii Nauk Ormiańskiej SSR, dr Jurij Fedorowicz Orłow (ur. w 1924 r.). Od chwili założenia tej grupy cały Ruch obrony praw człowieka w Związku Sowieckim nabrał nowej jakości. Poniżej podajemy stan owego Ruchu w poszczególnych republikach związkowych.

UKRAINA

9 listopada 1976 roku założona została w Kijowie „Ukraińska Grupa Społeczna popierająca realizację aktu końcowego Helsinek”. Z tej racji ogłosiła ona oświadczenie, które — wraz z pierwszym memoriałem tej grupy — uważać można z pewnością za jeden z najważniejszych współczesnych dokumentów politycznych. W oświadczeniu wymieniono cztery następujące zadania Grupy:

- Przyczynić się do tego, by szeroka opinia publiczna ukraińska zapoznała się z Deklaracją Praw Człowieka. Żądać, aby ów międzynarodowy dokument prawny stał się podstawą stosunków pomiędzy jednostką a państwem;
- Wychodząc z przeświadczenia, iż pokój pomiędzy narodami nie może zostać zabezpieczony bez swobodnych kontaktów pomiędzy ludźmi oraz swobodnej wymiany idei i informacji, należy aktywnie popierać wykonanie humanistycznych artykułów aktu końcowego konferencji na temat pokoju i bezpieczeństwa w Europie;

- Żądać, aby Ukraina jako suwerenne państwo europejskie oraz członek ONZ była reprezentowana przez własną delegację na wszystkich konferencjach międzynarodowych, na których omawiane będą rezultaty wypełnienia umów w Helsinkach;
- Celem popierania swobodnej wymiany idei i informacji Grupa żąda akredytowania przedstawicieli prasy zagranicznej oraz stworzenia na Ukrainie niezależnych agencji prasowych.

Za najważniejsze zadanie uważa Grupa informowanie rządów-sygnatariuszy aktu końcowego Helsinek oraz światowej opinii publicznej o naruszaniu na Ukrainie Karty Praw Człowieka i przyjętych na konferencji w Helsinkach artykułów humanitarnych. W związku z tym zadaniem:

- a) Grupa przyjmuje pisemne zażalenia dotyczące naruszenia praw człowieka i podejmuje wszelkie potrzebne kroki, by powiadomić o tych faktach rządy państw, które podpisały porozumienie w Helsinkach, oraz światową opinię publiczną;
- b) Grupa opracowuje zebrane informacje na temat prawnej sytuacji Ukrainy i rozpcwszcznia je zgodnie z art. 19 Ogólnej Deklaracji Praw Człowieka niezależnie od granic państwowych;
- c) Grupa bada wypadki naruszenia praw człowieka w stosunku do Ukraińców, zamieszkujących inne republiki, aby dopomóc w szerokim ujawnieniu tych faktów.

*Kierownikiem Grupy jest Mykoła Rudenko, zamieszkały w Kijowie, 84, Konca-Zaspa 1, m. 8. Urodził się w 1920 roku, w 1946 wstąpił do KPSU, jest pisarzem. podczas wojny był politrukiem w armii sowieckiej, ciężko ranny; w latach 1947-1950 był redaktorem odpowiedzialnym pisma literackiego *Dnipro*; wykluczony z partii i ze związku pisarzy Ukrainy pracuje jako dozorca (stróż); jest członkiem sowieckiej Amnesty International.*

Oleś Berdnyk, zamieszkały w Kijowie — 159, bulwar Lichaczowa 8-b, m. 16; pisarz, autor science-fiction, niektóre jego książki tłumaczone były na angielski, niemiecki, portugalski i inne języki. Z powodu odchylenia od socjalizmu wykluczony w 1972 roku ze związku pisarzy Ukrainy, pracuje jako robotnik niewykwalifikowany.

Iwan Kandyba, zamieszkały w Pustomytach, w okolicach Lwowa, ul. Szewczenki 176; prawnik; współautor „Programu Związku Robotników i Chłopów”, mimo iż związek ów nie został założony, skazany na 15 lat pozbawienia wolności, po odsiedzeniu wyroku zwolniony, nie wolno mu jednak wykonywać swego zawodu, pracuje jako robotnik niewykwalifikowany, znajduje się pod nadzorem organów bezpieczeństwa.

Lewko Łukjanenko, zamieszkały w Czernyhowie, ul. Rokossowskiego 41-b, m. 41; prawnik; b. członek partii i funkcjonariusz, polityczny przyjaciel Kandyby, współautor „Programu Związku

Robotników i Chłopów", mimo że ów związek nie został założony skazany na karę śmierci przez rozstrzelanie, później ułaskawiony na 15 lat pozbawienia wolności.

Oksana Meszko, zamieszkała w Kijowie, ul. Werbożna 16, b. więziarka obozu koncentracyjnego (1947-1956), na Zachodzie znana ze swej akcji w obronie swego syna, Aleksandra Serhienki, więźnia politycznego w więzieniu we Włodzimierzu.

Mykoła Matuszewycz, zamieszkały w Kijowie, ul. Lenina 43, m. 2. Ur. w r. 1946, historyk, po raz pierwszy zaarrestowany za... śpiewanie kolęd ukraińskich, chodząc tradycyjnym zwyczajem od domu do domu i skazany na 15 dni aresztu: robotnik sezonowy.

Myrosław Marynowycz, zamieszkały w Kalinowce, rejon Wasylkiw, okręg Kijów; ur. w 1949 r., inżynier-elektronik, jako sympatyk opozycji tracił wielokrotnie miejsce pracy, ostatnio pracował jako redaktor w wydawnictwie „Technika”.

Nina Strokata, obecnie w szpitalu, adres nieznan, żona znanego więźnia politycznego Swiatosława Karawanśkiego, mikrobiolog. Skazana z powodu akcji na rzecz obrony swego męża na 4 lata pozbawienia wolności, po zwolnieniu przebywa pod nadzorem władz bezpieczeństwa w jakiejś wiosce w okręgu Kaługi, nie wolno jej pracować w swym zawodzie.

Ołeksij Tychyj, zamieszkały w chutorze Łzewka, rejon Konstjantynowski, okręg Doniecki; nauczyciel; w latach 1957 do 1964 w więzieniach i obozach pracy poprawczej, pracuje jako strażak i robotnik niewykwalifikowany, nadal zajmuje się zagadnieniami pedagogiki. W czerwcu 1976 rewizja domowa bez nakazu rewizji, 3 dni aresztu, był torturowany.

Przedstawicielem Grupy Ukraińskiej w Moskwie jest legendarny już emerytowany generał *Petro Hryhorenko*, mieszkający w Moskwie g. 21, Komsomolskij Prospekt 14, m. 96.

W pierwszym memoriale Grupy Ukraińskiej zawarte są rozmaite informacje o naruszeniu praw człowieka na krótko przed podpisaniem aktu końcowego konferencji w Helsinkach, oraz sprawozdanie o sytuacji na Ukrainie po podpisaniu owego aktu. W szczególności pisze się tam o zagadnieniu narodowości, wskazując na sprzeczność pomiędzy konstytucją Związku Sowieckiego i praktyką. Konstytucja sowiecka dopuszcza możliwość wystąpienia Ukrainy ze Związku Sowieckiego, w kodeksie karnym Ukraińskiej SRF nigdzie nie jest powiedziane, że agitowanie za separacją Ukrainy od „Rosji” jest karalne:

„W kodeksie (art. 62) mowa o czynach innych: 'Agitacja lub propaganda celem zachwiania lub osłabienia ustroju sowieckiego podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do 7 lat'. Lecz wystąpienie republiki ze Związku Sowieckiego niekoniecznie musi oznaczać osłabienie władzy sowieckiej. Wręcz przeciwnie, władza ta mogłaby uzyskać wśród ludu jeszcze większe poparcie: republika pozostaje sowiecka, jest jednak całkowicie niezależną”.

W interesującym tym dokumencie wyliczono cały szereg surowych wyroków przeciwko przedstawicielom inteligencji na Ukrainie. Na temat sytuacji na Ukrainie po Helsinkach czytamy tam dosłownie:

„Gdy przygotowywano Konferencję Krajów Europejskich wśród ukraińskiej opinii publicznej krążyły pogłoski: niebawem nastąpi amnestia; dzieci, które oto chodzą już do szkoły, będą mogły uściśnąć swych wychudłych ojców, których na wolności nigdy jeszcze nie widziały. Lecz daremne to były nadzieje. Umowa w Helsinkach — podobnie jak Ogólna Deklaracja Praw Człowieka — wpadły tymczasem pomiędzy młyńskie kamienie propagandy, spośród których sypie się zawsze ta sama mąka: głośnie słowa, nie odpowiadające praktyce”.

„Nie chcemy mówić o swobodnym porozumiewaniu się ludzi z różnych krajów i kontynentów: jest to już tak wielki luksus, o którym Ukraińcowi nawet i marzyć nie wolno. Przede wszystkim chodzi o to, aby organa państwowe, które nazywają siebie sowieckimi, kierowały się swymi własnymi prawami. Grupa może wymienić wiele przykładów zmuszania przez administrację więzienną ukraińskich więźniów politycznych do rozmawiania ze swymi rodzinami podczas odwiedzin tylko po rosyjsku. Z pewnością da się to uzasadnić względami natury praktycznej: chodzi o możliwość kontrolowania tych rozmów. Lecz gdy zastanowić się dalej jeszcze, to owa sytuacja administracyjna nabiera treści symbolicznej: dla wygody strażnika masz zrezygnować z twojego największego duchowego skarbu, z mowy ojczystej”.

Ilość więźniów w obozach pracy poprawczej po Helsinkach nie zmniejszyła się. Grupa postanowiła zbierać informacje na ten temat. Wstrząsające są sprawozdania, stwierdzające przymusowe kierowania zdrowych ludzi — z uwagi na ich przekonania polityczne — do specjalnych klinik psychiatrycznych. Mieszkaniec Kijowa, Wasyl Ruban, został przymusowo przekazany do takiej kliniki w Dniepropetrowsku, jedynie dlatego że znaleziono przy nim rękopis pt. „Samodzielna, komunistyczna Ukraina”. Borys Kowhar przekazany został do tej samej kliniki, ponieważ — jako jeden z wielu — wzbraniał się pracować dla KGB. Jest to zaledwie parę nielicznych przykładów.

Młody poeta, Josyf Terelja, który z racji swych przekonań religijnych i narodowościowych spędził czternaście lat w więzieniach, obozach i specjalnych klinikach psychiatrycznych, został zwolniony w 1976 roku i wkrótce potem ponownie umieszczony w zakładzie dla umysłowo chorych. Wspomniany już był więzień Ołeksij Tychyj oskarżony został przez milicję o włamanie do sklepu i aresztowany na czas tak długi, aż z jego mieszkania zdołano „skraść” rozmaite rękopisy.

LITWA

Na konferencji prasowej w Moskwie w dniu 30 listopada 1976 dziennikarze zachodni dowiedzieli się o założeniu Litewskiej Grupy Społecznej popierającej realizację aktu końcowego Helsinek. Do-

kument założenia owej Grupy podpisany został przez osoby następujące:

Tomas Venclova, zamieszkały w Wilnie, Pożelos 38-40; litewski poeta, pisarz i tłumacz; ur. 11. 9. 1937, absolwent uniwersytetu wileńskiego; dnia 25 stycznia 1977 wyjechał na Zachód z sowieckim ważnym na 5 lat paszportem; z początkiem lutego 1977 przybył do USA, chwilowo pracuje na uniwersytecie w Kalifornii. Zgodnie z tym, co oświadczył, pozostaje nadal członkiem Grupy Litewskiej.

Karolis Garuckas, ksiądz, zamieszkały w rejonie Ignalinskim, osiedlu Ceikiniai.

Ona Lukauskaite-Poszkiene, zamieszkała w Szawlach (Szauliai), Kleinerio 32-37; b. więźniarka polityczna, lat 70; 11 stycznia 1977 otrzymała ostrzeżenie prokuratury miejskiej z racji swej społecznej działalności.

Victoras Piatkus, zamieszkały w Wilnie, Garialiu, 16-4; b. więzień polityczny, podpisał oświadczenie w obronie S. Kowalewa oraz list 28 osób wierzących do Prezydium Najwyższego Sowjetu FRS.

Eitan Finkelsztejn, zamieszkały w Wilnie, Lepos, 21, 10-10; fizyk.

Grupa Litewska opublikowała już szereg dokumentów. Dokument Nr 1 relacjonuje sytuację dwóch katolickich biskupów litewskich, którym władze sowieckie uniemożliwiały sprawowanie ich obowiązków. W Dokumentie Nr 2 zwraca się uwagę zachodniej opinii publicznej na wydane — po konferencji w Helsinkach — zarządzenie Prezydium Najwyższego Sowietu Litewskiej SRF „O stowarzyszeniach religijnych”, świadczące o uciskaniu normalnego życia religijnego. W następnym oświadczeniu jest mowa o licznych aresztowaniach na terenie Wilna z powodu rozpowszechniania religijnej i rzekomo oszczerczej prasy.

GRUZJA

17 stycznia 1977 roku dziennikarze zagraniczni w Moskwie powiadomieni zostali o założeniu Gruzjińskiej Grupy Społecznej, popierającej realizację aktu końcowego w Helsinkach. Grupa ta składa się z sześciu następujących członków:

Dr Zwiad Gamsachurdia, pisarz i tłumacz, lat 38, syn pisarza gruzińskiego Konstantina Gamsachurdia, do lipca 1975 docent przy katedrze filologii angielskiej uniwersytetu w Tbilisi; członek sowieckiej Amnesty International; aresztowany 7 kwietnia 1977.

Merab Kostava, muzykolog, wykładowca muzyki i muzykologii w III. Szkole Muzycznej w Tbilisi, aresztowany 7 kwietnia 1977.

Iraklij Kenczoszwili, literat.

Wiktor Rochiladze, historyk, pracował w ministerstwie kultury SRF Gruzji, aresztowany 7 kwietnia 1977, tego samego dnia zwolniony.

O. Cikolia.

Bego Beszuaszwili.

ARMENIA

Dnia 4 kwietnia 1977 roku Petro Hryhorenko w Moskwie poinformował o założeniu Ormiańskiej Grupy Społecznej popierającej realizację aktu końcowego Helsinek. Do chwili obecnej znani są trzej jej następujący członkowie:

Eduard Arutjunjan, lat 40 lub 48, ekonomista.

Samuel (lub Samwel) Ossijan, student Instytutu Politechnicznego, lat 25.

Robert Chaczikjan (lub Nazarjan), lat 29 inżynier.

Aresztowania obrońców praw człowieka

Od lutego 1977 nie ustają aresztowania najważniejszych członków Grup Społecznych. Już w lutym bieżącego roku aresztowani zostali w Moskwie: kierownik tamtejszej Grupy dr Jurij Orłow, pisarz Aleksander Ginsburg oraz fizyk Anatolij Szaranskij. Na Ukrainie aresztowano 5 lutego 1977 Mykołę Rudenko i Ołeksija Tychyja, 23 kwietnia 1977 dalszych dwóch członków Grupy Ukrainińskiej Mykołę Matuszewycza i Myrosława Marynowycza. U wszystkich członków grupy przeprowadzono rewizje domowe. Pisarz Ołes Berdnyk został 11 kwietnia 1977 aresztowany w Kijowie, a 14 kwietnia 1977 zwolniony w Doniecku.

7 kwietnia 1977 aresztowany został również kierownik Grupy Gruzjińskiej dr Zwiad Gamsachurdia. Zarzucono mu rozwijanie w Gruzji akcji na rzecz wystąpienia tej Republiki ze Związku Sowieckiego. Mieszkanie jego wielokrotnie rewidowano, zaś jego żonę Mananę i dzieci po prostu wygnano na ulicę. Pani Gamsachurdia poinformowała o tym dziennikarzy zachodnich, prosząc o pomoc.

Ograniczamy się jedynie do ogólnego stwierdzenia, że organy bezpieczeństwa próbowały we wszystkich tych wypadkach obciążyć aresztowanych, stosując prowokacje. Najulubieńsza metoda polegała na „znajdowaniu” u nich dolarów amerykańskich. Metodę tę zastosowano przy aresztowaniu Ginsburga w Moskwie i Rudenki w Kijowie. Rudenko i Tychyj czekają obecnie w więzieniu w Doniecku na proces. Według posiadanych wiadomości przejściowe aresztowanie Berdnika i przewiezienie go do Doniecka łączyło się z nadzieją organów bezpieczeństwa, że obciąży on

Rudenkę i Tychyja. Informacje z innych źródeł stwierdzają, że chodziło tylko o wywarcie nacisku psychicznego na samego Berdynka i jego rodzinę.

Propaganda sowiecka usiłuje przedstawiać obrońców praw człowieka w Związku Sowieckim jako popleczników imperializmu — jak to wyjaśnił sekretarz KC KPZS i kierownika Działu Międzynarodowego przy KC KPZS Borys Ponomarjow na międzynarodowej konferencji czasopisma „Za wolność i socjalizm” w Pradze. Oszczercstwa te idą ręką w rękę z atakami na Radio Liberty i Radio Wolna Europa, zamierzając ukazać Ruch obrony praw człowieka jako „sukces” propagandy zachodniej w Związku Sowieckim. Opozycja nie ma jednak z tym nic wspólnego, ponieważ od samego początku była ona *produktem sowieckiego społeczeństwa i integralną jego częścią składową*. Tu pragniemy jedynie przypomnieć, że Zachód nie tylko był zaskoczony powstaniem opozycji politycznej w Związku Sowieckim z początkiem lat sześćdziesiątych. Wielu tzw. „ekspertów” do spraw Związku Sowieckiego nawet wówczas twierdziło, że chodzi tu o prowokacyjną akcję ze strony sowieckich organów bezpieczeństwa. W tak renomowanych pismach jak np. *Der Spiegel* lub *Süddeutsche Zeitung* podejrzewano tak dzisiaj na Zachodzie popularnego Amalrika o to, że może jest on *agent-provocateur* KGB. Jeden z owych „ekspertów” uzasadnił owo podejrzenie następująco: „Sam tam mieszkaliśmy, znamy ten ustrój i wiemy dokładnie, że coś podobnego po prostu jest niemożliwe”. Okazało się jednak możliwe, ponieważ społeczeństwo sowieckie już wówczas zaczynało przechodzić doniosłą przemianę. Z dnia na dzień wzrasta ilość sowieckich obywateli, którzy nie tylko są coraz lepiej poinformowani, nie tylko mają własne zdanie o ustroju i jego polityce, lecz gotowi są także publicznie bronić tych swoich opinii i walczyć.

Ponadto raz jeszcze pragniemy przypomnieć, to, co powiedziane zostało już na początku. Zanim jeszcze Ruch obrony praw człowieka przybrał w Związku Sowieckim pewne formy organizacyjne, istniały już setki tysięcy obywateli sowieckich, którzy zasypywali redakcje, urzędy, kierownictwo partii i rządu swymi życzeniami i protestami. Nawet jeśli przy pomocy brutalnych metod policyjnych zdoła się zmusić do milczenia na czas dłuższy czy krótszy czołowych przywódców Ruchu obrony praw człowieka, nie ma już żadnej siły, która zdołałaby powstrzymać ów potok informacji o naruszaniu praw człowieka, protestów, apeli, prośb o pomoc albo poparcie zachodnich naukowców lub rozmaitych organizacji, zwłaszcza zaś Komisji do obrony praw człowieka. Nawet laik, mało w istocie zajmujący się tymi zagadnieniami, wie dokładnie iż udział opublikowanych na Zachodzie informacji ze strony zaangażowanych obrońców praw człowieka jest znacznie mniejszy, niż materiał informacyjny pochodzący z różnych innych źródeł.

W końcu uwaga natury ogólnej. Popieranie Ruchu obrony praw człowieka tak w Związku Sowieckim, jak i w innych

krajach socjalistycznych ma niewiele wspólnego z antysowiecką propagandą. Jesteśmy świadkami pewnego międzynarodowego rozwoju o historycznym znaczeniu, charakteryzującego się tym, że roszczenia do realizacji praw człowieka, które głoszone już i dawniej, uzyskały nową jakość i coraz bardziej urastają do rangi takich problemów międzynarodowych, które każde państwo, niezależnie od swego ustroju społecznego, bez względu na swoją wielkość — tj. bez względu na to, czy chodzi tu będzie o Związek Sowiecki, Stany Zjednoczone, Ugandę czy też Rodezję — musi brać pod uwagę w swej polityce narodowościowej. Odważnym obywatelom sowieckim zawdzięczamy, że sytuacja Obrońców Praw Człowieka w Związku Sowieckim znana jest dzisiaj całemu światu. Nie możemy przy tym być jednak jednostronni i zapominać, że dla tej nowej jakości walki o prawa człowieka poniesione zostały liczne ofiary także i w innych krajach, jak np. — by wymienić jedną tylko — zamordowany w Ugandzie arcybiskup Janani Luwum. Oświadczenia amerykańskiego prezydenta Cartera, jego list do profesora Sacharowa, oraz jego stwierdzenie, że sprawa praw człowieka to zagadnienie międzynarodowe, stanowiły najdonioślejsze wydarzenia w trakcie owego rozwoju. Widziane z tej perspektywy ostatnie usiłowania sowieckie ukazywania — przy pomocy terroru i prowokacji — obrońców praw człowieka jako wrogów państwa sowieckiego, których zdławić trzeba przemocą są niczym innym jak próbą odwrócenia koła historii. Nie chodzi tu o pytanie czy w Związku Sowieckim prawa człowieka naruszane są bardziej niż np. w Stanach Zjednoczonych lub innych krajach Zachodu, tylko o uznanie praw człowieka za ten właśnie problem międzynarodowy, który każde państwo musi w swej narodowościowej polityce uwzględnić. Ostatnio ukształtował się front, który stawia temu opór, powołując się na fakt, że każdy kraj sam powinien przejąć odpowiedzialność za respektowanie praw człowieka, a cała reszta to tylko mieszanie się w sprawy wewnętrzne innych państw, co stanowi sprzeczność względem końcowego aktu konferencji w Helsinkach. Front, na czele którego — chcąc go tu jedynie symbolicznie scharakteryzować — stoi Leonid Breżniew oraz Idi Amin.

Walka o prawa człowieka jako zadanie międzynarodowe może niezmiernie przyczynić się do owocniejszej współpracy we wszystkich dziedzinach i wspierać skutecznie postępowe przemiany na całym świecie. W memoriale Nr 1 Grupy Ukraińskiej zawarty jest następujący, godny uwagi, apel:

„Jeśli światowa opinia publiczna nie osłabi swego moralnego poparcia, a prasa i radio krajów Zachodu poświęcą więcej uwagi walce o prawa człowieka w Związku Sowieckim, następne dziesięciolecie stanie się okresem wielkich demokratycznych przemian w naszym kraju. Od chwili obalenia feudalizmu człowiek stał się aktywnym, całą politykę państwa definiującym podmiotem, tj. podmiotem prawa. Oznacza to, iż jeśli w kraju znajduje się choćby tylko jedna jedyna osoba, która myśli inaczej, niż całe społeczeństwo, prawo powinno chronić jej przekonania. Inaczej nie wolno byłoby nigdy przyjsię na

świat Arystotelesom, Kopernikom, Einsteinom czy Marksom, gdyż z reguły łądowałiby zawsze w obozach koncentracyjnych i specjalnych klinikach psychiatrycznych".

W związku z tym kanclerz austriacki Kreisky sformułował niedawno na pewnej konferencji prasowej kilka godnych uwag: musimy mówić o prawach człowieka; również i w Belgradzie będzie mowa o prawach człowieka, ponieważ problem praw człowieka jest problemem, obowiązującym wszystkie państwa: także i Słowenców w Karyntii, którzy są problemem dla Austrii — problemem zagranicznych robotników, itd.; dlatego należy też popierać ruch praw człowieka w Związku Sowieckim; nie powinniśmy wdawać się w pożądany przez strategów sowieckich spór, w jakim kraju prawa człowieka są bardziej ograniczone, a w jakim są szersze, gdyż w ten sposób pozwolimy na odwrócenie naszej uwagi od zasadniczego zagadnienia.

Walerian Sorin sformułował pozycję Związku Sowieckiego i jego „sprzymierzeńców” na ów temat w sposób następujący:

„Współpraca międzynarodowa we wszelkich dziedzinach, a tym bardziej w dziedzinie praw człowieka, która dotyczy wyłącznie wewnętrznych spraw każdego państwa, odniesie owocny rezultat jedynie pod warunkiem, że uszanowane zostaną suwerenne prawa państw, utrzymana zostanie zasada niemieszania się w ich sprawy wewnętrzne, uszanowane też zostaną prawa, obyczaje i tradycje każdego kraju. Znalazło to swój wyraz w końcowym akcie konferencji w Helsinkach, którego sygnatariusze zobowiązali się do szanowania praw każdego innego z uczestniczących państw, do wybierania swobodnie swego ustroju politycznego, społecznego, ekonomicznego i kulturalnego i do rozwijania go, jak również prawa do ustalania swych praw i ustaw”.

(*Nowoje Wremja*, 15. 4. 1977).

Autorzy sowieccy, jak np. w tym właśnie wypadku, uciekają się do ogólnikowych frazesów. Zagadnienie praw człowieka jest jednak na wskroś konkretne, chodzi tu o całkiem konkretne wypadki naruszenia praw człowieka, o ściganie i aresztowanie ludzi z racji ich przekonań, mimo iż ludzie ci — jak w wypadku obrońców praw człowieka w Związku Sowieckim — całkiem wyraźnie oświadczają: jesteśmy przeciwko przemocy, przeciw terrorowi, potępiamy wszelką propagandę stosowania siły. Ale chodzi tu jeszcze także o „niewyjaśnione” wypadki śmierci, prześladowania w miejscu pracy, dyskryminacje ze względów narodowościowych czy religijnych i wiele innych, o sprawy bardzo dobrze znane każdemu obywatelowi czy funkcjonariuszowi Związku Sowieckiego.

Borys LEWICKI

(Tłumaczył m.k.)

Kraj

O przesłuchaniach

Każda działalność, mimo iż zgodna z prawem, która wymyka się spod kontroli Partii i SB zwykle wcześniej czy później prowadzi do konfrontacji zaangażowanych w tę działalność osób z pracownikami służby śledczej lub Prokuratury. Możemy wówczas występować w charakterze świadka lub podejrzanego (art. 61 kpk mówi, że „Za podejrzanego uważa się osobę, co do której wydano postanowienie o przedstawieniu zarzutu, a za oskarżonego osobę, co do której wniesiono akt oskarżenia”).

Z prawnego punktu widzenia „świadek ma prawo uchylić się od odpowiedzi na pytania, jeżeli udzielenie odpowiedzi mogłoby narazić na odpowiedzialność karną samego świadka, lub osobę mu bliską” (art. 166 kpk). Świadek nie musi jednak podawać przyczyny odmowy zeznań, tzn. nie musi powoływać się na art. 166 kpk. Kodeks Wykroczeń art. 65 §2 mówi: „Kto wbrew obowiązкови nie udziela właściwemu organowi wiadomości... podlega karze grzywny”. Czyli można odmawiać zeznań nie podając przyczyny. Grozi co prawda kara, ale najprawdopodobniej obecny świadek będzie w przyszłości podejrzanym i wówczas nie będzie mowy o karze za odmowę zeznań. Znanych jest wiele przypadków odmowy zeznań typu „nie, bo nie”, ale nie jest znany ani jeden przypadek ukarania za to. Odmowa składania wyjaśnień przez podejrzanego i oskarżonego jest zagwarantowana w art. 63 kpk (mimo iż art. ten mówi tylko o oskarżonym, to art. 61 §2 kpk stwierdza, że odpowiednie przepisy dotyczące oskarżonego odnoszą się także do podejrzanego). Są to niezwykle ważne przepisy — pozwalają one bowiem nieco zmniejszyć dysproporcje pomiędzy tym co wolno przesłuchiwanemu, a tym co wolno przesłuchującemu. W zasadzie kpk nie ogranicza możliwości prowadzenia rozmowy ze strony przesłuchującego, a jeśli nawet ogranicza (zakaz stosowania gróźb), to i tak przesłuchujący łamie te ograniczenia nie obawiając się żadnych konsekwencji. Przesłuchujący zna zwykle kodeksy lepiej od przesłuchiwanego. Może

go jednak wprowadzić w błąd i oszukiwać. Przesłuchiwany często nie zna swoich uprawnień, a przesłuchujący go o nich nie informuje. Każę np. podawać przyczynę odmowy zeznań (czego podejrzanemu nie musi robić), grozi zastosowaniem sankcji karnych za odmowę zeznań, lub obiecuje szybkie zwolnienie po ich złożeniu (oczywiście wbrew swoim kompetencjom, albowiem jest on tylko malutkim pionkiem bez jakiegokolwiek wpływu na tego rodzaju decyzje). W prowadzeniu przesłuchań funkcjonariusz służby śledczej ma nad nami olbrzymią przewagę. On w takiej rozmowie niewiele ryzykuje, my ryzykujemy wolność. Dlatego dobrze jest być przygotowanym do prowadzenia rozmów z funkcjonariuszami służby śledczej i warto znać choćby część metod stosowanych przez przesłuchujących.

Celem nadrzędnym, który w obliczu art. 166 i 63 kpk musi sobie postawić każdy przesłuchujący jest to byśmy zaczęli mówić. Jedną z pierwszych stosowanych wówczas metod są groźby, a mogą one począwszy od prymitywnych — „do końca życia nie wyjdzie pan z więzienia”, poprzez „szkodzi pan nie tylko sobie, ale i swoim bliskim” — przybrać formy niezwykle wyszukane. Otóż podczas śledztwa prowadzonego w sprawie „taterników” kilku osobom wysunięto jako zarzut współpracę z obcym wywiadem i szpiegostwo. Zarzut był tak ciężki i tak absurdalny, że poza jedną bodaj osobą wszyscy się „posypali”. Zaczęli zeznawać. Zeznania w sprawie współpracy z obcym wywiadem zostały później wykorzystane w akcie oskarżenia o rozpowszechnianie wiadomości mogących przynieść szkodę interesom PRL. Gdyby od początku postawiono ten zarzut materiał dowodowy z pewnością nie przekraczałby kilku procent tego, co udało się ugotować przy zarzucie o szpiegostwo. Zabieg dokonany przez SB przyniósł rezultaty. Nie można mieć pretensji do tych, którzy próbowali wyjaśnić absurdalność i bronić się przed najcięższymi zarzutami. Przecież każdy człowiek ma instynkt samoobrony i trudno wymagać aby w imię najwyższych nawet ideałów pozbył się go. Należy jednak pamiętać o jednym niezwykle ważnym czynniku. Otóż odmawiając zeznań w czasie śledztwa nie pozabawiamy się możliwości obrony, a przesuwamy tylko ten moment, w którym zaczniemy się bronić. *Na obronę będzie zawsze czas na sali rozpraw.* Ponadto wówczas nie będziemy osamotnieni. Będzie nam w tym pomagał obrońca.

Często przesłuchujący wygłasza następujące zdanie: „Jeżeli uważa się pan za niewinnego, to milczenie może panu tylko zaszkodzić. Wprost przeciwnie — tylko uczciwe i szczere zeznania mogą nam pomóc w ustaleniu pańskiej niewinności”. I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że istnieje w prawie PRL tzw. domniemanie niewinności, tzn. założenie, że każdy obywatel jest niewinny. *Celem funkcjonariuszy służby śledczej (i racją ich istnienia) jest wykazanie winy, a nie przeprowadzenie dowodu niewinności.* Nie wolno dać się zwieść „dobremu wujaskowi”, który chciałby nam pomóc, a my się opieramy.

Pamiętać także trzeba, że każdy nasz dowód niewinności SB może (nie zawsze czystymi metodami) obalić, tylko że do tego potrzeba będzie — być może — trochę czasu, czasu tego SB nie będzie miała na sali rozpraw.

Zwykle funkcjonariusze służby śledczej, chcąc nakłonić do składania zeznań, mówią: „My i tak wszystko wiemy. Chodzi nam tylko o sprostowanie pewnych nieścisłości w materiałach sprawy, które może pan wytłumaczyć na swoją korzyść”. Często prowadzący śledztwo może rzeczywiście dużo wiedzieć o sprawie i być może niewiele przesadza mówiąc, że wie wszystko (podstuchy, inwigilacja). Jednak nigdy nie można być pewnym co śledczy wie, czego się domyśla, a o czym nie ma żadnego pojęcia. Tzw. dane operacyjne: taśmy z podsłuchów, raporty inwigilatorów, kapusiów itd. rzadko wchodzi do akt sprawy jako materiały dowodowe (w ciągu ostatnich kilkunastu lat był chyba tylko jeden taki wypadek). SB bardzo niechętnie ujawnia te dowody na rozprawie sądowej, bowiem niechętnie przyznaje się do metod jakie stosuje. Metod, które przecież zasadzie konstytucji PRL. Dowodem więc nie będzie taśma magnetofonowa z rozmowy przeprowadzonej na ulicy (której treść może być znana przesłuchującemu), ale zeznanie złożone na piśmie, które tę rozmowę opisze. Weźmy inny przykład: w czasie rewizji u A zakwestionowano maszynę do pisania. Zarówno funkcjonariusz SB, jak i przesłuchiwany wiedzą, że A na tej maszynie pisał teksty, które były rozpowszechniane. Ale przecież może się zdarzyć, że SB nie trafiło na żaden z „niedozwolonych” tekstów pisanych na tej maszynie, mimo iż wie do czego była używana. SB wie — ale nie ma dowodów. Przesłuchiwany wychodząc z założenia, że i tak wszyscy wiedzą czym się zajmował A — nie waha się zeznać tego do protokołu. Wówczas może się okazać, iż jest to jedyny dowód przeciwko A. Nie należy też nigdy wierzyć prowadzącemu przesłuchanie, że wszyscy koledzy zaczęli mówić, a tylko my się opieramy. Funkcjonariusz może nawet dawać przykłady tego co powiedzieli inni. Pamiętajmy, że mógł on równie dobrze te przykłady zaczerpnąć z danych operacyjnych, bo przecież przystępując do przesłuchania jest już jako tako zorientowany w sprawie. Podsumowując — to, że SB „coś” wie to jeszcze bardzo mało. *Aby stało się „to” dowodem musi być podpisane o „tym” zeznanie.* W procesach politycznych, gdy aresztowanych jest zwykle wiele osób, jednym z celów które stawiają sobie przesłuchujący jest *tamowanie solidarności i antagonyzowanie aresztowanych.* Bardzo często ma miejsce cytowanie współpodejrzanych, polegające na tym, że przesłuchujący podaje treść zeznania rzekomo złożonego przez kolegę i dla uprawdopodobnienia tego, że kolega to zeznał, przesłuchujący wpisuje cytat do protokołu. Oczywiście może się zdarzyć, że cytat będzie prawdziwy, ale faktycznym celem tego zabiegu jest złamanie przesłuchiwanego, wykazanie mu że inni zeznają. Wydawać się nam może, że jeśli cytat kolegi został wpisany do protokołu, to nie może tu być żadnego oszustwa i nie przypuszczamy wówczas,

że gdy zaczniemy sami mówić, to okazać się może że protokoły z cytatai gdzieś zniknęły i nie wejdą nigdy do akt sprawy.

Przystępując do rozmowy z funkcjonariuszami służby śledczej należy pamiętać, że nie muszą oni zadawać pytań wprost. Przesłuchujący dąży do tego, aby była to swobodna rozmowa, częstuje papierosami, koniakiem, nie zadaje w zasadzie pytań. Dąży do tego aby była to pogawędka starych znajomych (gdy śledztwo trwa kilka miesięcy i funkcjonariusz jest jednym z niewielu ludzi, z którymi mamy do czynienia, rzeczywiście można mówić o starej znajomości). Dać się złapać na tym, że czujemy się zobowiązani w jakiś sposób temu panu (bo z fajkami kruczo, a on częstuje, bo kropkę alkoholu można wypić itd.) tzn. że jest źle. Przecież nie jesteśmy na sali przesłuchań z własnej woli. Prowadzący śledztwo wykonuje polecenie mu zadane, którego jednym z elementów jest to, by „zaprzyjaźnić” się z podejrzanym po to, aby psychologicznie zmusić go do składania wyjaśnień („ja dla pana koniak, a pan...?”). Tylko, że koniak stawia nie on, a ministerstwo. Należy więc nie dopuścić do stworzenia jakiegokolwiek więzi, bo to znacznie utrudni nam w przyszłości przesłuchanie. Należy nie dopuszczać do rozmów poza protokołem. Papierosy można przyjmować, ale ze świadomością, że za każdą wypaloną przez nas paczkę temu panu płacą. Nie należy przejmować się jego uwagami, że źle się zachowujemy, że jesteśmy niekulturalni itp., bo reguły dobrego wychowania obowiązują, ale niekoniecznie w salonach MSW. *Wagę dowodu ma tylko to, co zostało podpisane.* Dlatego też protokół jest często sporządzany po ośmiogodzinnym przesłuchaniu, gdy przesłuchujący wie, że zmęczenie odbierze drugiej stronie chęć do walki o precyzję sformułowań. Może także zacząć wmawiać, że przesłuchiwany coś powiedział, czego w rzeczywistości nie zeznał itp. Należy więc od początku domagać się formułowania pytań i zapisywania ich do protokołu (a później odmawiać odpowiedzi). *Nie prowadzić żadnych rozmów poza protokołem.* Pytania zadawane przez funkcjonariuszy służby śledczej są często pytaniami nie wprost. Przykład: Czy dnia x rozmawiał pan z panem y? Zarówno odpowiedź „tak” i „nie” mogą być cennymi danymi dla śledczego, bo w pytaniu tym chciał otrzymać informację o tym czy znamy pana y, a zdawał sobie sprawę, że na bezpośrednie pytanie o znajomość mógłby nie uzyskać odpowiedzi.

Jedną z metod, która święciła triumfy w 1968 roku było odbieranie autentyczności tego co się robi. Funkcjonariusze śledczy przekonywali wszystkich, że byli manipulowani, że wykorzystywano ich do prywatnych celów ludzi z wybujałymi ambicjami, najczęściej pochodzenia żydowskiego. Zważywszy, że każdy z pracowników SB jest gorącym patriotą, co w ich przekonaniu równa się zacięktemu antysemityzmowi, trzeba być przygotowanym na to, że będą nam w podobny sposób odbierać autentyczność naszych własnych działań. Zdawać sobie trzeba sprawę, że nie ma możliwości przechytrzenia służby śledczej. Przyjmijmy, że przesłuchiwany zaczął (zapytany) opowiadać o rozmowie w

kawiarni, przeprowadzonej ze współpodejrzanym, ale dla zmylenia przesłuchującego postanowił opowiedzieć o nieistotnych szczegółach tej rozmowy, aby całkowicie odwrócić od niej uwagę i pokazać, że jest ona nieistotna dla całości sprawy. O tych szczegółach następnie opowiedziano partnerowi tamtej rozmowy, który na tej podstawie uznał, że kolega „puścił farbę” i może się po prostu po kilku takich przypadkach załamać.

Okłamywanie śledczych też nie ma żadnej przyszłości, bo wcześniej czy później mogą dojść na podstawie posiadanego materiału do tego, że ich oszukano i przekażą swoje wątpliwości przysłuchiwanemu, który może dojść do wniosku, że kolega sypie, albo że przed nimi nic się nie ukryje. Z drugiej strony przesłuchiującemu nie zależy na ustaleniu prawdy. Materiałem do aktu oskarżenia mogą być zeznania nie zawierające ani słowa prawdy. W sprawach dotyczących przekonań i poglądów chodzi przede wszystkim o słowa. *Słowa stanowią materiał dowodowy. Obojętnie jakie.*

Jednym z najpoważniejszych błędów są próby przekonywania funkcjonariuszy. Obojętnie czy będzie to przekonywanie o niewinności, czy do własnych przekonań, o prawdziwości tego, co się mówi (nawet samemu się obciążając), czy w celu uprawdopodobnienia kłamstw. Przecież celem dochodzenia nie jest ustalenie stanu faktycznego, a tylko zebranie takich zeznań, które umożliwią sformułowanie aktu oskarżenia.

Przesłuchanie nie kończy się na sali przesłuchań, która ma nasłuch i jeśli nawet coś umknie przesłuchiującemu to i tak sztab później to wychwyci z taśmy. Przesłuchanie nieformalne może trwać dalej w celi. Nie zdarza się, aby w sprawach politycznych nie siedział pod celą kapuś, zresztą cele też często mają nasłuch, tak że nawet z obrońcą trzeba rozmawiać na karcercze. Kapusia w celi rozpoznać można po tym, że ma inne śledztwo i często jest wzywany na długotrwałe przesłuchania (wyskoczy na miasto, obejrzy telewizję). Kapuś także dostaje paczki, ale nie z domu (np. kupne ciasto). Jest on bardzo zainteresowany naszą sprawą, jednocześnie opowiadając dużo o swojej. Trzeba się liczyć z tym, że możemy otrzymać grypsy i będą to fałszywe grypsy (w 1968 roku wiele osób dało się nabrać na grypsy — „zmieniamy taktykę, zaczynamy zeznawać”). Nagle nie wiadomo dlaczego możemy odnaleźć „przypadkowo” zeznania innych podejrzanych, które będą szczegółowo informowały o wielu sprawach — ale niestety będą fałszywe. SB zawsze liczy na to, że po kilku miesiącach wreszcie przesłuchiwany się załamie, dlatego często jest zmieniana taktyka przesłuchań (od awantur i wrzasków do przyjacielskiej rozmowy). Można być także wzywany na przesłuchanie, na którym przez osiem godzin nikt się nie odezwie. Funkcjonariusz będzie czytał książkę — nam pozostaną do liczenia klepki w podłodze.

Sytuacja człowieka zamkniętego w areszcie, osamotnionego jest w wysokim stopniu nienormalna i nie może pozostać bez

wpływu na psychikę. *Należy więc z najwyższą nieufnością odnosić się do własnych reakcji.* Najlepszym wyjściem jest zawierzenie tej taktyce zachowywania się w śledztwie, którą przyjęło się będąc na wolności w warunkach normalnych nie będąc jeszcze pod presją ludzi, którzy cokolwiek by robili czy mówili — będzie przeciwko nam. Znajdując się w areszcie wszelkie oceny tego co jest bezpieczne, a co nie, jaka taktyka jest lepsza a jaka gorsza są zawsze obciążone brzemieniem samotności, całą złożonością nienormalnej sytuacji. Wszelkie próby kombinowania, wymyślania taktyki nigdy nie wyjdą nam na dobre.

Zawsze należy pamiętać, że w sprawach politycznych jedyne prawie dowodami są zeznania i wyjaśnienia złożone w śledztwie, że wszystko może być dowodem, że wszystkie dowody są niepewne i ich uwzględnienie zależy tylko od woli ministerstwa. Ponadto to czy będzie proces, czy procesu nie będzie nie zależy zupełnie od tego, jaki materiał został zgromadzony, a od konkretnej sytuacji politycznej.

Będąc w śledztwie należy zawsze pamiętać, że kiedyś opuścimy te mury i będzie trzeba spojrzeć kolegom w oczy.

Równia pochyła represji

Sytuację w Polsce zdają się wyznaczać trzy główne czynniki:

1) bankructwo partyjnej polityki gospodarczej, która doprowadziła do trwałego napięcia na rynku, braku zainteresowania chłopów w intensyfikacji produkcji rolnej, spadku wydajności pracy w przemyśle oraz ogólnego chaosu w życiu ekonomicznym, grożącego nieobliczalnymi konsekwencjami, włącznie z możliwością przypadkowego wybuchu napięć społecznych i rozlewu krwi, gdy na jakimś terenie czy odcinku w wytwórczości trudności tak się spiętrzą, że społeczeństwo nie wytrzyma i zareaguje odruchem buntu;

2) nieprzerwana aktywność opozycji robotniczej, intelektualnej i studenckiej, a także nieustający protest moralny Kościoła katolickiego, które stanowią bezprzykładny w dziejach bloku wschodniego trwały i szeroki społecznie nurt życia publicznego poczynając od zakwestionowania zmian konstytucji w PRL, przez czerwcowy bunt robotników, powstanie i działalność Komitetu Obrony Robotników aż do głodówki w kościele św. Marcina w Warszawie. Jest zupełnie pewne, że dalsze akty wielkiego ruchu opozycyj-

nego będą jeszcze następowały, a całe to bezprecedensowe zjawisko społeczne wycisnie głębokie piętno na świadomości społecznej narodów Europy Wschodniej, nawet jeśli jego osiągnięcia praktyczne, w postaci ustępstw władz, były, są i będą tylko częściowe;

3) niezdolność partii do rzeczywistego kierowania państwem w wyniku braku posłuchu organów terenowych wobec kierownictwa centralnego a także sprzeczności w ramach tego kierownictwa, będących wyrazem rywalizacji personalnych i grupowych, konkurencji branżowych grup interesu, ciągłej walki o władzę, która choć zatraciła już charakter frakcji związanych ideowo, tym silniej wyraża się w konfrontacji koterii i klik bezwzględnie współzawodniczących o wpływy i przywileje.

Obraz ten prowadzi do wniosku, że Polska jest w dużej mierze beczką prochu, której wybuch może spowodować w gruncie rzeczy nawet przypadkowa iskra. Jeśli tak jest w istocie, to jakim cudem Edward Gierek utrzymuje się jeszcze przy władzy i czy ma szanse przetrwania kryzysu?

Jest zupełnie pewne że Gierek, choć przestał panować nad sytuacją, utrzymuje się przy władzy z woli Wielkiego Brata, choć kierownictwo sowieckie, nauczone złym doświadczeniem z Gomułką przygotowuje „na zapas” inną ekipę polityczną i nowego przywódcę, którym zdaje się być Stefan Olszowski. Zmiana warty nastąpi jednak tylko w ostateczności, jeśli Gierek całkiem przestanie panować nad sytuacją, ponieważ z sowieckiego punktu widzenia jest on przywódcą pożądanym, giętym wobec wymagań ZSSR, a zarazem dość umiarkowanym i przede wszystkim całkowicie od Rosjan zależnym, bo mającym większość aparatu partyjnego przeciwko sobie.

Dynamiczna działalność Komitetu Obrony Robotników, której nowym bodźcem stała się tajemnicza śmierć krakowskiego studenta Pyjasa, skłoniła Gierka do bezpośrednich represji w stosunku do członków i współpracowników KOR'u. Kierownictwo partii zorientowało się, że po sterroryzowaniu najaktywniejszej części klasy robotniczej, po wydarzeniach czerwcowych 1976 roku, najbardziej zapalny teren stanowi młodzież akademicka, a wpływy KOR'u w środowisku akademickim objęły wiele tysięcy osób i gwałtownie się rozszerzają. Sprawa Pyjasa mogła jeszcze przyspieszyć ten proces. Wtedy postanowiono uderzyć w sam trzon KOR'u, by odebrać mu zdolność działania. Głodówka w kościele św. Marcina w Warszawie miała w tej sytuacji niezwykle znaczenie moralne, ale nie mogła przynieść sukcesu w postaci zwolnienia więzionych robotników oraz aresztowanych członków i współpracowników KOR'u. Prokuratura uznała robotników za recydywistów kryminalnych a aktywistom KOR'u postawiła fantastyczne zarzuty o współdziałanie z ośrodkami wrogimi Polsce. Zarzut tego typu można postawić w Polsce niemal każdemu, włącznie z członkami partii, jeśli jakaś ich krytyczna wypowiedź

znalazła się za pośrednictwem zachodnich agencji prasowych w prasie zachodniej, emigracyjnej lub na falach Free Europe. W stosunku do aktywistów KOR'u nie chodziło nawet jednak o pozór rzeczowych zarzutów, mających uzasadnienie w świetle prawa karnego. Chodziło o rozbięcie jądra politycznego KOR'u, o zahamowanie jego rozwoju, który nabierał tempa i mógł przebrać się w siłę groźną dla partii. Partia zadała więc cios eliminując ludzi najbardziej zdolnych do czynu i zdaje się być w tej chwili bardzo zadowolona ze swego sukcesu.

Jednakże doświadczenia całych dziejów PRL'u pouczają, że represje i aresztowania w końcu zawsze obracały się przeciw partii. Tak będzie i tym razem, zważywszy na szczególnie krytyczną sytuację gospodarczą kraju i na rozproszkowanie i dezintegrację samej partii.

Oczywiście Gierek i jego ekipa liczą, że podporządkowawszy się gospodarczej a następnie propagandowej linii ZSSR a wreszcie stosując ostre represje wobec opozycji mogą spodziewać się poparcia Wielkiego Brata. I rzeczywiście poparcie to uzyskują. Nie zmienia to jednak faktu, że wszystkie istotne problemy gospodarcze i polityczne Polski pozostają nierozwiązane. Partia zaś, wchodząc na drogę represji i aresztowań, bezpowrotnie zraża sobie całe nowe pokolenie młodzieży, które zostało wstrząśnięte przedziwną śmiercią studenta Pyjasa w Krakowie i jest zafascynowane akcją Komitetu Obrony Robotników.

Łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Rosjanie z początkiem roku 1970 odznaczyli Władysława Gomułkę najwyższym orderem ZSSR. Po udziale w interwencji przeciw Czechosłowacji i rozprawieniu się ze swym rywalem — nacjonalistą Moczarem — Gomułka zdawał się być ulubieńcem Moskwy i człowiekiem nie mającym w kraju alternatywy politycznej. Ludzie Gierka lubią mawiać, że właśnie on jest teraz człowiekiem nie mającym politycznej alternatywy, mężem opatrnościowym Polski, człowiekiem umiaru, który tylko w ostateczności ucieka się do represji i twardej linii wobec opozycji.

Optymizm ten jest z pewnością godny pozazdroszczenia, ale jest kulawy. Gomułka był wybrańcem Moskwy i wyleciał z siodła w ciągu kilku dni, gdy tylko Rosjanie zorientowali się, że nie jest w stanie znaleźć wspólnego języka ze społeczeństwem, a jego najbliżsi ludzie dali lekkomyślnie polecenie strzelania do robotników Wybrzeża. Partia od tego czasu wiele się nauczyła, unika otwartej konfrontacji, rozbija przewencyjnie wszystkie możliwe centra i ogniska oporu i rozszerza do maksimum polityczną i policyjną kontrolę nad robotnikami i młodzieżą. Bezspornie Edward Gierek lub ludzie podejmujący obecnie najważniejsze decyzje w kraju są o niebo ostrożniejsi i zręczniejsi od Gomułki i jego ekipy w ostatnich latach ich rządów. Ale — powtórzmy — wszystkie kluczowe problemy polityczne i gospodarcze w kraju pozostają nierozwiązane, a obecne kierownictwo nie przejawia umiejętności uporania się z nimi.

Toteż, mimo całej „doskonałości” systemu nadzoru i kontroli policyjnej, ekipa kierownicza siedzi na beczce prochu. Wszyscy bez wyjątku w kraju zdają sobie z tego sprawę, a ludzie rywalizujący z Gierkiem, których nie brak w partii tak rozbitej, skłóconej i zdemoralizowanej, myślą jedynie o wykorzystaniu sytuacji dla swoich własnych aspiracji politycznych. Ekipa kierownicza żyje jeszcze nadzieją, że sytuacja gospodarcza jakoś się poprawi, że chłopci wreszcie uwierzą w dobrą wolę partii i zaczną intensywnie angażować się w produkcję hodowlaną, a nowozbudowane obiekty przemysłowe dadzą produkcję eksportową, pozwalającą obsługiwać i spłacać wynoszące ponad 10 miliardów dolarów zadłużenie zagraniczne. Niestety obie te nadzieje spełniają się tylko w bardzo małym stopniu. W Polsce rolnicy zostali tyle razy oszukani i zapłacili za to tak wysoką cenę, że trzeba by rzeczywiście oficjalnie ogłosić co najmniej program rolny proponowany przez Władysława Bieńkowskiego, żeby spowodować na wsi przełom. Obecna polityka jest w stanie wpływać tylko na bardzo powolne zmiany na lepsze i nie może zasadniczo poprawić zaopatrzenia kraju w żywność. Będziemy ją nadal przez całe lata importować. Pytanie tylko za co, skąd weźmiemy na to dewizy?

Perspektywy przemysłu polskiego, niestety, także nie są bardziej optymistyczne. Na Zachodzie panuje rozczarowanie wobec możliwości wymiany ze Wschodem. Wyroby polskie długo jeszcze nie będą odpowiadały standartom światowym, Zachód, wreszcie, ma swoje własne kłopoty gospodarcze, które zmniejszają jego gotowość ciągłego ratowania państw bankrutujących gospodarczo z powodu swego systemu politycznego.

Tak Rosjanie jak i Amerykanie, zarówno Wschód jak Zachód, pomogą Polsce tylko w sytuacji całkiem krytycznej ze względów strategicznych, by w środku Europy nie doszło do buntu, rozruchów i walk. Ale tego typu pomoc, z której Gierek przyzwyczał się już korzystać, coraz rzadziej będzie bezwarunkowa. Rosjanie nigdy nie udzielali jej bez równoczesnego zwiększania swego wpływu na kraj. Zachód zaś nieco otrzeźwiał w swej uległości wobec imperialnych dążeń sowieckich i też zdaje się przemyśliwać warunki dalszych swych wkładów w nierentowne „demokracje ludowe”.

Rachuby na pomoc Rosji lub Ameryki, Wschodu lub Zachodu, nie wróżą więc Gierkowi i jego ekipie niczego dobrego. Zresztą gdyby Gierek został obalony, następca jego znajdzie się wkrótce w analogicznej sytuacji. Zyska najwyższe znów prawo do kilku miesięcy gestów i kokieterii wobec społeczeństwa, które to prawo tradycyjnie już Wielki Brat przyznaje nowemu przywódcy partii, by mocniej usiadł w siodle.

I tu właśnie jest przysłowiowy pies pogrzebany. Czy partia ma iść co kilka lat od jednej do drugiej katastrofy, a po katastrofie taktycznie kokietować społeczeństwo, by potem znowu je oszukać, czy też w końcu zrodzi się w łonie aktywu partyjnego

niedostatek prawdziwego pragmatyzmu, który musi polegać nie na czym innym jak na częściowym choćby kompromisie ze społeczeństwem.

Społeczeństwo w kraju doskonale rozoznaje realia polityczne, a jego żądania wcale nie są wygórowane. W gruncie rzeczy byłyby one także zbawienne dla samej partii, miotającej się bezradnie wśród sprzeczności politycznych i gospodarczych. Elementarna racjonalizacja systemu gospodarczego, przekonanie chłopów, że mogą tworzyć większe, opłacalne gospodarstwa rolne, minimum swobód dla kultury polskiej, zaprzestanie zadrażniania społeczeństwa natrętną i drażniącą propagandą w prasie, radiu i telewizji, ograniczenie samowoli tajnej policji oraz zinstytucjonalizowanie kontroli społeczeństwa nad aparatem gospodarczym i politycznym — już te najskromniejsze z możliwych do pomyślenia postulaty mogłyby wpłynąć na pewną normalizację sytuacji w Polsce. Ale są to przecież żądania minimalne, aż przesadnie uwzględniające przesławną geopolitykę, ową świętą krowę PRL'u.

Chwilowo nic jednak nie wskazuje na to, żeby partia zamierzała w ogóle brać pod uwagę oczekiwania opinii. Przeciwnie zdaje się ona obrażać poczucie godności myślących ludzi w kraju, oddając bałwochwalczą cześć mocodawcom z Kremla. Przykładem jest pismak partyjny, Dominik Horodyński, dawniej działacz katolicki, który był niewierzącym, dzisiaj „marksista”, nie szanujący ani wartości moralnych ani ideologii socjalizmu, skoro mógł głodujących lewicowców i katolików nazwać ekshibicjonistami politycznymi, nie mówiąc już o innych epitetach. Przedstawiciel prokuratury PRL oświadczył zaś wyrozumiale, że głodówki nie są w Polsce karalne, co w odczuciu opinii musiało być przyjęte jako cynizm obrażający najlepszych ludzi w kraju. Prowokowanie opinii jest bardzo krótkowzroczne. Ludzie rządzący Polską, jak też ich najemnicy, powinni przypomnieć sobie, że społeczeństwo — robotnicy, studenci i intelektualiści — wysadzili z siodła już dwie ekipy kierownicze. Niestety naród musiał zapłacić za to za każdym razem ofiarą krwi. Nikt nie pragnie rozlewu krwi. Stąd wynika wielka ostrożność i wstrzemięźliwość miarodajnych kół opinii polskiej. Nie zawsze jednak i nie wszędzie udaje się zapobiec naturalnej reakcji protestu moralnego. Niech się nie wydaje rządzącym, że wszechwładzą policji trzymają cały naród w garści. W bardzo podobnych sytuacjach okazywało się, że to los rządzących jest w rękach społeczeństwa. Wykreślając wpływ opinii publicznej ze swych kalkulacji politycznych ekipa Gierka może stracić władzę, a na naród sprowadzić nieszczęście. Dalsze losy ludzi ostatnio aresztowanych mogą mieć dla nastawienia społeczeństwa znaczenie zasadnicze. KOR jest żywy w moralnych odczuciach Polaków. Nie należy się przedwcześnie cieszyć rozgromieniem jego najaktywniejszej części. Pozorny sukces może obrócić się w gorzką porażkę. Moment w którym to nastąpi może być zupełnie niespodziewany i częściowo wiązać się z innymi napięciami społecznymi. Ogólna sytuacja w kraju jest bowiem bardzo zapalna.

Do partii należy wybór między szansą normalizacji i rozumnego porozumienia z opinią a dalszymi represjami i pogardą dla uczuć narodu. Represje budzą zawsze emocje o nieobliczalnych konsekwencjach.

Zygmunt MERKA

Dziki rój

Będzie to opowieść prawdziwa. Zmieniłem tylko niektóre imiona i nazwy, poprzestawiałem te fakty, które i tak zupełnie się nie liczą. To co istotne, jest autentyczne. To co brzmi jak groteskowa fikcja, jest rzetelną prawdą.

Tosiek istnieje. Urodził się sporo przed wojną, ale swoje życie dorosłe pędzi w Polsce Ludowej. Ze złej, przewrotnej konieczności, nie z wyboru. Bo Tosiek walczył ze swym losem przez lat wiele.

Tosiek z zawodu jest kelnerem. Służy klientom znanej warszawskiej restauracji „Pod barcią”. Znaleźć go tam można każdego wieczoru. Uwija się, z zadyszczonym zapałem, w opiętym stroju kurpiowskim. Bo „Pod barcią” jest restauracją ludową. Na ścianach wiszą pasiaki, je się na drewnianych stołach, siedzi się na ławach, światło przyciemniają abażury z plecionego kosza. Kilka lat temu restaurację wziętą „w ajencję” pan Dobrosielski, były kierownik „Brystolu”, człowiek doświadczony i ustosunkowany. Mówią, że jego szerokie znajomości sięgają i do UB. „Pod barcią” idzie mu dobrze. Wiezorami od piątku do niedzieli pełno jest zawsze, ludzie stoją w szatni i czekają na zwalniane stoliki. Klientela przychodzi zamożna, z mieszanym środowiskiem. Jest trochę prywaciarzy, trochę partyjnych urzędników, prezesów spółdzielni, zdarza się artysta lub pisarz, w sezonie wakacyjnym sporo się pojawia odwiedzających Kraj emigrantów, bywają nawet prawdziwi obcokrajowcy bez kropli polskiej krwi. Lokal to intymny i ekskluzywny w swej atmosferze, a przecież wszystkim dostępny. Atrakcją silniejszą od rozproszonego, dyskretnego światła i cepełkowej ludowości jest życzliwa i sprawną obsługą. „Pod barcią” da się zjeść kolację bez rytualnego polskiego pojedynku z kelnerem, prawie nieodzownego w restauracjach od kategorii drugiej po „specjalną”. Bo w Polsce tym szybsza i życzliwsza obsługa, im bardziej popularny lokal, im biedniejsza klientela, im swobodniej płynie „czysta”. W „Magnolii”, „Wiśle” lub „Żbiku”

ledwie siądziesz za stołem, jawi się pani ze stromym biustem i tak jakoś optymistycznie patrzy tobie w oczy. Jak zamówisz pół litra lub setę na osobę, pani skinie raz głową, że słyszy i aprobuje, i w mig wraca z czym trzeba. I już cię zna i lubi, z bliska cię grzeje życzliwym ciepłem, z daleka szuka twego wzroku, gotowa służyć ci dalej do zamknięcia lokalu. W „Magnolii”, „Wiśle” lub „Żbiku” klient to człowiek który — kto wie — zatrzymał się na pół litra u wrót spraw ostatecznych, wpadł przepić ostatnią stówę.

„Pod barcią” klienci są zwykle lepiej nadziani, i przychodzą na dobrą kolację, nie na rozprawę z własnym losem. Wódki czyste tam wcale nie podają, pija się wina i winiaki. Ale obsługa jest sprawna i życzliwa jak w najciemniejszej pijackiej knajpie. Duża jest w tym załuga Tośka: wita nowych gości, prowadzi do stolików, dostawia krzesła, zapala świecę, z pamięci recytuje kartę, mówi co jest dobre, wyciąga korek z butelki Egri Bikaver z taką ostentacją, jak gdyby był to claret z najlepszych lat i najbardziej ekskluzywnych winnic. Zawód kelnera wykonuje Tosiek ze skwapliwym entuzjazmem, z nutą natarczywości. Tosiek chce by goście bawili się dobrze, ale też by świadomi byli jego w tym zasługi. Duży, zwalisty, czerwieniejący na twarzy w miarę jak wieczór się rozwija, z rysującym się pod czarną, niedopiętą sukmaną półkołem brzucha. Tosiek dwoi się i troi by każdemu dogodzić, przy każdym stoliku uciąć towarzyską rozmówkę, podtrzymać stare znajomości i zainicjować nowe.

Otóż nie polega to na czysto kelnerskich, zawodowych ambicjach Tośka. Po pierwsze, Tosiek jest cinkciarzem, czyli handlarzem walutami. Po drugie, ma on konkretne, starannie opracowane plany życiowe, i uparcie szuka kontaktów, które byłyby pomocne w realizacji tych zamiarów, pozwoliły mu zrzucić niedopiętą kurpiowską sukmanę i wyprysnąć „Spod barci”, raz na zawsze.

Jako cinkciarz Tosiek służy klientom z taką samą kelnerską skwapliwością. Wszystko obiecuje załatwić. Czy ktoś szuka dwóch dolarów, w jednym lub dwóch papierkach, czy potrzebuje kilkuset, czy paru tysięcy, Tosiek uśmiecha się dziarsko i szepce, że da się zrobić. To prawda że spełnienie transakcji nie zawsze idzie mu tak gładko jak podanie kaczki z jabłkami. Bywa, że klient wraca w tydzień później na umówione w szatni „Pod barcią” spotkanie z Tośkiem i słyszy że, niestety, na dwa dolary przyjdzie poczekać, bo akurat przyszły same „beczki” („beczka” oznacza banknot 50 dolarowy), lub że ludzie wtykają mu same „dzikusy” („dzikusy” to dewizy niedolarowe, jak marki, funty i franki). Kiedy chodzi o sumę poważną, Tośkowi nie zawsze udaje się pośrednictwo pomiędzy klientem i jakimś grubszym niż

on sam waluciarzem, więc mówi że są kłopoty, przyjdzie poczekać, bo kolega nagle wyjechał, albo miał wypadek i jest w szpitalu. Czasami Tosiek się wywiązuje. Znam takich, co robili z nim interesy i go chwala, bo znajomym Tosiek sprzedaje dolary o pięć złotych poniżej średniej ceny rynkowej.

Cinkciarstwo jest dla Tośka jedynie powołaniem zastępczym, w drodze do innych, ostatecznych celów. Bardzo dawno temu Tosiek powziął decyzję, że wyjedzie z Polski na zawsze. Czuje się Polakiem, który kryje w sobie duszę Amerykanina. W Polsce jest tymczasowo. Nie ma wprawdzie cioci w Stanach Zjednoczonych, ani w ogóle żadnej rodziny na Zachodzie, a prosić o przydział na wyjazd stu trzydziestu dolarów w jego wypadku byłoby niepoważnie; zresztą, czekałaby go niechybna odmowa. Więc Tosiek zrozumiał dawno temu, że z Polski Ludowej wywoli go jakaś wspaniała przygoda erotyczna. Zdarzy mu się kiedyś dziewczyna z Zachodu, szczerą miłość, zaproszenie z zagranicy, małżeństwo i już.

Tosiek nie wierzy w półśrodki w sprawach wagi największej. W oczekiwaniu na Amerykanke swoich marzeń postanowił się nie żenić, nie zakładać domu i rodziny, nie zapuszczać w Polsce żadnych korzeni. Jest zawsze w pełnej mobilizacji, zawsze gotów.

Parę lat temu Tosiek już prawie dopiął swego. Jednego wieczora „Pod barcią”, w trakcie normalnych swoich zajęć, spotkał Amerykanke. Miała długie, niezwiązane włosy spadające w jasnych strąkach na przód ramion, duże oczy i twarz białą jak kalafior. Liczyła sobie trzydzieści parę lat. Odwiedzała Polskę sama. W Nowym Jorku zostawiła męża — wykładowcę w jakim technikum — i dwoje dzieci. Tosiek wcale się nie zraził jej zamężnym stanem. W cywilizowanych krajach istnieją przecież rozwody. Zakochał się i rozkochał Amerykanke w sobie.

Nie będziemy tak ohydnie natrętni, by spekulować jak im było z sobą. Zapewne było im dobrze. Ale wakacje Amerykanki dobiegały końca, jej polska wiza się skończyła, i musiała wracać do Nowego Jorku. Żegnając Tośka przysięgała że wróci.

W rok później wróciła z mężem i dwojgiem dzieci. Mąż — profesor też miał długie, prosto spadające włosy, i nic mu nie przeszkadzało że żona sypia z kelnerem. Traktował Tośka jak kolegę, był cywilizowany. Po koleżeńsku zabierał dzieci na spacer po Starym Mieście i zostawiał Tośka z żoną. O rozwodzie nie było mowy. Tosiek w końcu powiedział jak bardzo pragnie ich odwiedzić w Nowym Jorku, zobaczyć Amerykę. Obiecali przysłać zaproszenie.

Odjechali. Mijały miesiące, a zaproszenie z Nowego Jorku nie przychodziło. Tosiek musiał się upominać raz i drugi. Wresz-

cie nadeszło. Tego samego dnia Tosiek złożył podanie o paszport. Cekał na odpowiedź w dreszczach niepokoju, bo przecież był notowany na milicji jako cinkciarz, operator czarno-rynkowy. I właśnie wtedy w domu, w którym Tosiek mieszka, o piętro niżej, tuż pod nim, znaleziono nieżywą dziewczynę. Okoliczności zdawały się podejrzane, nie wykluczały morderstwa. Milicja przesłuchiwała wszystkich, ale najbardziej brutalnie czepiali się Tośka, chociaż dziewczynę ledwie znał i nic z nią nie miał. Tylko dlatego, że cinkciarz. Dali mu w końcu spokój, ale podanie o paszport załatwili odmownie.

Tosiek jeszcze się nie poddał. Złożył odwołanie, i przez swoje szerokie stosunki szukał ukrytych sprężyn, które należało nacisnąć, czy raczej posmarować. Kosztowało go to moc szarpaniny i nerwów, wiele cennego czasu i dwadzieścia tysięcy złotych.

Trudno pojąć, bo jest to poza kresem zwykłej wyobraźni, z jakim spazmem wzruszenia Tosiek odbierał swój paszport w stołecznej Komendzie Milicji. Wydawało się, że główną przeszkodę ma już poza sobą; że jedną nogą jest już poza oceanem. Została tylko sprawa wizy amerykańskiej. Okazało się, że nim Tosiek wywalczył swój paszport, wygasła sześciomiesięczna ważność nowojorskiego zaproszenia, i w konsulacie Stanów Zjednoczonych nie widzieli podstawy do wydania wizy. Tosiek ekspresowym listem zwrócił się do amerykańskich przyjaciół z prośbą o ponowne zaproszenia. Nie dostał odpowiedzi. Zadepeszował, i znowu nic. Telefonu ich nie miał. Cekał. Płynęły tygodnie i miesiące, odejmovane z ważności leżącego w szufladzie paszportu.

Dalsze wiadomości o Tośku dotarły do mnie już na Zachodzie, w jakiś czas po moim ostatnim pobycie w Kraju. Pożalił się na swój okrutny los spotkanemu przybyszowi z Niemiec Zachodnich i tak go wzruszył, że ten, z własnej ochoty i na własny koszt, po powrocie do Niemiec dał na rzecz Tośka ogłoszenie matrymonialne w popularnej prasie. „Wysoki brunet” (fakt: Tosiek robił sobie kolor najlepszymi zagranicznymi farbami) „lat trzydzieści pięć” (Tośkowi zostało już chyba niewiele z piątego krzyżwka), „Magister ekonomii” (Tosiek wkroczył na własną drogę życia po siedmiu klasach szkoły podstawowej) „współwłaściciel kwitnącego zakładu gastronomicznego”... Nie wiem czy Tosiek otrzymał jakieśkolwiek oferty, ale ogólny wynik tej próby był zerowy. Paszport o wygasającej już ważności Tosiek zwrócił, nieużywany, w Stołecznej Komendzie Milicji Obywatelskiej. Podobno żeni się z owdowiałą manikirzystką z Ciechanowa i przenosi się na prowincję. Znaczący, poddał się.

Nie twierdząc, że los Tośka jest typowy. Losy typowe nie są warte tak obszernej relacji. Ale jest to na pewno los auten-

tycznie polski i sam Tosiek jest do rdzenia kości egzemplarzem nowego gatunku, który krzewi się, a w każdym razie czepia się życia i trwa, w konglomeracjach miejskich Polski Ludowej, w na pół jawnych, pół podziemnych obszarach prywatnej inicjatywy i czarnego rynku. Są tam większe od Tośka rekiny, ludzie w działaniu bardziej drapieżni i efektywni. Ale charakterystycznym, nieodzownym ich rysem jest przedziwna mieszkanka nachalnego sprytu z horendalnymi fantazjami, przez które całkowicie są opanowani. Nie spotkałem chyba w Kraju ludzi bardziej „nieżywciovych”. Właściwie czysty eskapizm jest najsilniejszym motorem ich poczynania. I w tym właśnie swoim wyeksponowanym rysie, prywaciarze są prawdziwymi obywatelami Polski Ludowej, kraju, w którego przyszłość bardzo niewielu jego mieszkańców wydaje się wierzyć. Polacy są wszyscy rozkombinowani, wszyscy, jak to się mówi, „główkują”, szukają sposobów żeby sobie życie urządzić, ale zwykłym celem tych zabiegów są wartości teraźniejsze, zdobycze które da się względnie szybko skonsumować. Przyszłość w Polsce jest otchłanią bez dna, więc jakże lokować w niej swoje nadzieje. Oczywiście, wielu poddaje się konwencjonalnym koniecznościom zakładania gniazda rodzinnego, gromadzenia zasobów, rodzenia i kształcenia dzieci — co w tym kraju zresztą wymaga całkiem niekonwencjonalnych zabiegów i starań. Ale tuż pod powierzchnią polskiej egzystencji biegnie wyczuwalny, silny strumień sumujących się, społecznych tęsknot do innego, odwrotnego świata, gdzie „warto jest żyć”, zarabia się łatwo dewizy, i łatwo się je wydaje, gdzie forma nie kłóci się z treścią, a indywidualne, ludzkie dążenia nie są zależne od nieprzeniknionych arbitralnych decyzji władzy.

Słusznie czy nieśłusznie, polska wyobraźnia zbiorowa umieszcza ten odwrotny świat na Zachodzie, a przede wszystkim w Ameryce. „Amerykański styl życia” jest projekcją marzeń współczesnych Polaków. Pod tym względem Tosiek jest Polakiem jak najbardziej typowym. Jego wyjątkowość polega na tym, że marzenia wpuszcza w dziedzinę życia praktycznego, nasycza je nimi, że — podobnie jak u genialnych ludzi sztuki i genialnych ludzi czynu — u Tośka marzenia powodują działanie. Tak samo jest z jego wielu kolegami po inklinacji i po fachu, a jest ich w Polsce grube tysiące. Niezależnie od swoich funkcji ekonomicznych w tym przedziwnie surrealistycznym organizmie gospodarczym, przedsiębiorczy prywaciarze i operatorzy czarnorynkowi pełnią istotną rolę kulturową, poniekąd wyręczając beletrystykę i film. Zbierają oni tęsknoty współczesnych Polaków i nadają im zewnętrzny wyraz swoim życiem, przedstawiają legendę dolara, wszechmocnego w świecie obfitości.

Czarny rynek w Polsce to w pierwszym rzędzie nielegalny

handel „dewizami”, czyli wolnymi walutami państw zachodnich. Nielegalny, bo sprzeczny z literą prawomocnych przepisów, ale w odczuciu społecznym nie naznaczony stygmatem przestępstwa i uwzględniany, a nawet wykorzystywany w polityce gospodarczej rządu. Znany jest fakt, że w późnym okresie gomułkowskim Państwo Ludowe było poważnym klientem czarnego rynku i zaspakajając z tych źródeł, a właściwie tylko oszukując swój chroniczny głód wolnej waluty, przyczyniało się do wyśrubowywania nieoficjalnej, czyli „prawdziwej” ceny dewiz. Po grudniu 1970 roku reżym Gierka zerwał z tymi praktykami, i czarnorynkowy kurs wolnych walut nieco spadł. W roku 1971 dolar prywatnie był warty sześćdziesiąt pięć lub siedemdziesiąt złotych. Dzisiaj, to znaczy wiosną 1977 roku, średni kurs dolara wynosi 150 złotych. W okresie najgłębszej od czterdziestu lat recesji ekonomicznej na Zachodzie i ostrego kryzysu monetarnego, w systemie szczytującym się swą stabilnością i odpornością na procesy inflacyjne, nieoficjalny kurs dolara wzrósł o ponad sto procent w ciągu lat sześciu.

Na szczęście nie jestem ekonomistą i nie mam obowiązku systematyzacji tych procesów i wyjaśniania ich dynamiki. Zresztą możliwość obserwacji w wycinkach praktyki życia gospodarczego w Polsce zaszczerpiła mi sceptycyzm do całkowitych, usystematyzowanych wyjaśnień systemu. Ograniczę się więc, zgodnie z moim doświadczeniem, do wycinkowych obserwacji.

Różne gospodarcze posunięcia rządu mają niewątpliwy wpływ na czarnorynkowe kursy walut. Nie wiem czy teraz państwo bezpośrednio skupuje dewizy od cinkciarzy, ale różnymi drogami ciągnie z tego źródła korzyści. W dewizowych sklepach PKO nabywa się towary za gotówkę, bez okazania dowodu osobistego. Do niedawna polskie wódki za dolary wykupione na czarnym rynku kalkulowały się sporo taniej niż w normalnych sklepach za złotówki. Polskie samochody na wpłaty dewizowe są nie tylko tańsze, ale wyłącznie wtedy są dostępne poza wielomiesięczną kolejką. Przypuszczam, że wciąż jeszcze uczęszczana jest trasa nabywców samochodowych do Nowego Targu, gdzie na skutek góralskich powiązań rodzinnych z Polonią z Kanady i Stanów Zjednoczonych dolary są nieco tańsze niż w Warszawie. Jadą tam ludzie z paruset tysiącami złotych z teczek, wracają ze znacznie cieńszym plikiem banknotów dolarowych, za który od ręki dostaje się Polskiego Fiata.

Przepisy na temat prywatnych kont dewizowych w Banku Polskim są charakterystycznie płynne, często zmieniane po kilku miesiącach praktyki. Kiedyś każdy cudzoziemiec mógł wpłacić obywatelowi polskiemu nieograniczoną sumę w dewizach. Dla zasobnych prywaciarzy obcokrajowiec stawał się cennym znajo-

mym, niekoniecznie dlatego, by kupić od niego dolary, ale by wetknąć mu waluty wykupione na czarnym rynku do wpłacenia na konto bankowe. Potem cofnięto ten przepis, i na konto prywatne można było wpłacać dewizy tylko najbliższej rodzinie. Obecnie jest za to w mocy przepis, że każdy ma prawo wpłacać na własne konto dewizowe waluty z niewiadomego źródła, nie legitymując się żadnym tytułem własności. W ten sposób dolary wyłaniają się z mrocznych czeluści czarnego rynku i od razu zaczynają oficjalny, praworządny, nieskazitelnie socjalistyczny żywot.

Niezależnie od mechanizmów zamieniania nielegalnych dolarów na legalne, ich wartość podkreślana jest stale przez nieprzenikną w swych kapryśnych nastrojach i motywach zmienność przepisów rządowych, nie tylko walutowych, ale przeróżnych innych sezonowych posunięć gospodarczych. Jest doprawdy zdumiewające jak często, czysto zdawałoby się praktyczne i mało istotne zarządzenia idą pod włos oczywistym społecznym nastrojom. Przy chronicznym w Polsce społecznym poczuciu niepewności, chronicznym braku stabilności, każdy nowy arbitralny przepis, wymazujący przepis poprzedni, odbierany jest jako potwierdzenie prawdy, że nie warto w tym kraju oszczędzać, nie warto układać dalekosieżnych planów, i że jedyną wartością stałą pozostaje złoto i dolary. Czarny rynek walutowy jest w co najmniej tej samej mierze miernikiem intensywności społecznej neurozy, co krzywym odbiciem sytuacji oficjalnego rynku i polityki gospodarczej. Hossa czarnego rynku oznacza wzrost niepokojów społecznych. Dolar wchodzi w swój zenit, kiedy kryzys społeczny w Polsce sięga dna.

Cena złota i czarnorynkowy kurs dolara nigdy nie znikają z orbity zainteresowań społecznych. Nawet lepiej zarabiający robotnicy (częściej ich żony) orientują się w bieżących wahaniach tego rynku. Nie oznacza to, oczywiście, by przeciętny Polak trzymał pod łóżkiem walizkę pełną złota i drugą z banknotami dolarowymi. Bardzo wielu ludzi przechowuje ciche, skromne zaskórniaki — kilka lub kilkadziesiąt dolarów i parę sztuk złotej biżuterii — jako nietykalną rezerwę na czarną godzinę. I znowu chodzi tu o magię złota i dolara, o trzymane pod kluczem symbole nieprzemijających wartości, raczej niż o rzeczywistą wagę tych niesłychanie wątych rezerw. Drobnie sumy dolarowe skupują ludzie na czarnym rynku dla załatwienia bieżących potrzeb: urządzając huczne imieniny kalkulują się kupić wódkę w PKO, nie mówiąc już o zagranicznych, reprezentacyjnych trunkach. W PKO kupuje się też polską szynkę konserwową, poledwicę, zagraniczny proszek do prania, drobne kosmetyki, niewidoczne biustonosze, pokrycia tapicerskie, telewizory, magnetofony, olej samochodowy, części do pojazdów mechanicznych, rowerów, etc.

Jest też grupa ludzi — jak na polskie warunki bardzo zasobnych — nieliczna ale społecznie całkiem ważna, dla których skupowanie złota i walut dewizowych jest praktycznie jedynym sposobem inwestowania swoich własnych dochodów. Trzon tej grupy stanowią prywaciarze najrozmaitszych gatunków. „Prywaciarze” nie są zresztą w Polsce wyraźnie określoną grupą zawodową. Poza owym statystycznie obliczalnym, kilkuprocentowym wycinkiem gospodarki pozostawionym w rękach prywatnej inicjatywy — w formie drobnych warsztatów wytwórczych i zakładów usługowych — istnieje znacznie większa ale niemożliwa do obliczenia ilość ludzi, przeważnie kobiet, zajmujących się nieoficjalnie handlem, lub sprzedających prywatnie swoje usługi, na marginesie oficjalnie wykonywanego zawodu. W Polsce prawie każdy chce mieć więcej pieniędzy niż ich na swej posadzie może zarobić i wielu się to jakoś udaje. Najmniej przedsiębiorczy lub drapieżni zadawalają się sprzedawaniem spod ludy, wymianą usług, drobnymi, koleżeńskimi łapówkami. Inni — różne panie ze sfer urzędniczych, księgowe, kasjerki, niepracujące lub czasowo zatrudnione żony oficerów Wojsk Polskich — handlują jak się okazja nadarzy, i z czasem same uczą się stwarzania korzystnych okazji, skupując od przyjezdnych zagraniczne towary, jak laminaty, peruki, kalkulatory, jeżdżąc przez „otwartą” granicę do NRD i na Węgry z polskimi ręcznikami, prześcieradłami i kosmetykami, i wymieniając je na towary chodliwe w Kraju. Są też np. dentystki pracujące w instytucjach państwowych, ale przyjmujące też prywatnie, w prymitywnej pracowni tylko kotarą oddzielonej od reszty mieszkania, lekarze z prywatną praktyką, różni rzemieślnicy zatrudnieni w instytucjach, ale pracujący poza tym na własną rękę, właściele prywatnych kwater w rejonach turystycznych poza Warszawą, oficjalnie wynajmujący pokoje, ale najchętniej omijający biura kwaterunkowe by nie wykazywać wszystkich dochodów z tego źródła. Dopiero ponad tym, solidnie wrośniętym w organizm społeczeństwa nieoficjalnym systemem prywatnej inicjatywy, wyrasta nadbudowa systemu oficjalnego i niby całkowicie jawnego, zaczynając od „badylarzy” (podmiejskich ogrodników i sadoowników), poprzez właścicieli zakładów stolarskich czy szewskich, właścicieli garaży, aż po drobnych fabrykantów produkujących na eksport.

Prywaciarze czystej krwi są oczywiście największymi klientami czarnego rynku, zresztą nie tylko walutowego. Znam właściciela prywatnego warsztatu trumien, który przez dwanaście lat produkcji ani razu nie wykupił najmniejszej nawet części przysługującego mu oficjalnie przydziału państwowych desek, bo, po pierwsze, był to przydział śmiesznie mały, po drugie, deski państwowe są zbyt lichy jakości. Cały potrzebny mu asortyment

drzewa otrzymuje z czarnego, nielegalnego rynku, i to, całkowicie konieczne dla swej komercyjnej egzystencji, przestępstwo tuszuje, gdzie trzeba, łapówkami. Sytuacja taka jest regułą raczej niż wyjątkiem. Przy dotkliwym braku na rynku różnych surowcowych materiałów, wytwórca prywatny nie miałby żadnej szansy przetrwania gdyby się zwał na drogi oficjalne, gdzie z założenia zająć musi ostatnie miejsce w kolejce.

Wszystkie trudności i absurdalności systemu nie przeszkadzają niektórym prywaciarzom w robieniu wprost kolosalnych w warunkach polskich pieniędzy. Właściciel niewielkiego podwarszawskiego garażu reperacyjnego zarabia przeciętnie ponad sto tysięcy złotych miesięcznie. Księguje, oczywiście, znacznie mniej. Wydaje też niewiele, bo i nie ma specjalnie luksusowych potrzeb, i dostępność luksusów w Polsce nie jest wielka, i nie chce zwracać na siebie uwagi rozrzutnością zbyt ostentacyjną, a inwestować w warsztat już mu się nie opłaca. Wykupuje więc na czarnym rynku dolary, chowa, i chociaż w Polsce należy do grupy najbogatszych, marzy by wywieźć swoje dewizowe oszczędności na Zachód i zacząć tam nowe życie. I tu wracamy do przypadku Tośka. Garażysta jest od niego agresywniejszy, bardziej zaradny i rzeczowy, ale też mu się zdaje że ma duszę Amerykanina i że tylko za morzem mógłby sobie urządzić życie prawdziwe.

Ameryka jest jak życie poza grobem dla wierzących. Nie każdy jest gotów w cnocie na nie czekać. Zdarzają się prywaciarze, których rozpiera doczesne polskie bogactwo. Potrzebują ostentacji, chęć pokazania się jest w nich silniejsza niż strach przed ewentualnymi konsekwencjami ujawnienia na co ich naprawdę stać. Spotkałem jednego takiego latem 1971 roku i stałem się jego przypadkowym gościem na dzień i noc. W Radomsku, gdzie akurat byłem, ktoś mi powiedział o możliwości powrotu do Warszawy samochodem prywatnym. Miałem zostać zabrany z chodnika, na rogu ulicy. Podjechał otwarty, szary Opel Admirala. Za kierownicą siedział pan w średnim wieku, ubrany na jasno, jak bogaty plantator z mórz południowych. Poza mną był jeszcze drugi pasażer, partyjny urzędnik z Ministerstwa Handlu Zagranicznego. Już w pierwszych minutach znajomości z kierowcą dowiedziałem się, że był właścicielem fabryczki plastyków, produkującej wyłącznie na eksport. Zademonstrował jeden ze swych wyrobów: luksusowe, lusterkowe okulary przeciwsłoneczne w pseudo-rogowej oprawie. Na rynku krajowym nie wolno mu ich sprzedawać, ale twierdził że nie ma żadnych kłopotów ze sprzedaniem wszystkiego co wyprodukuje za granicą. Działa legalnie, bo przecież zarabia dewizy dla Polski Ludowej, a złotówki dla siebie. Kłopotem jest, że nie ma już pomysłów jak je wyda-

wać, że stużłotówki uszami mu wychodzą. Jego dwa mieszkania zagracone są antykami, w garażu czeka Jaguar sportowy, E-type (drugi w Polsce — właścicielem pierwszego był Cyrankiewicz). Osiągnął szczyty dostępnego w Polsce luksusu.

Sukcesy życiowe są walutą nietrwałą, dewaluują się gwałtownie jeżeli nie są stale potwierdzane przez innych. Plastikowy prywaciarz znalazł w nas — aktywiście partyjnym i dziennikarzu z zagranicy — najlepsze w danej chwili lusterka do odbijania swojej wspaniałości. Wiózł nas brawurowo, tylko z rzadka, w sytuacjach przymusowych, schodząc poniżej stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Podziwiać kazał miękkość resorowania i ostrość przyspieszenia Admirala. Od Piotrkowa Trybunańskiego poczynając zatrzymywał się dla pokrzepienia, najpierw na kawę i pięćdziesiąt gram winiaku, a od Tomaszowa już na sto gram. Nie pozwalał płacić. Staliśmy się częścią jego prywatnej imprezy. W Warszawie zajeżdżał wprost pod Kameralną na Foksal — ulubioną knajpę prywaciarzy — i witany wylewnie przez kierownika, obskoczony przez kelnerów, obstałował na początek wieczoru po trzy porcje śledzia, trzy golonki, i dwie butelki jarzębiaku. Szliśmy z prywaciarzem „w Polskę”, jako jego dość pokorni goście. Roztaczał przed nami panoramę stołecznych rozkoszy — obżarstwo, tańce, hazard, rozpustę — i kazał wybierać. Aktywista Handlu Zagranicznego był cały w dreszczach emocji. Plastikowy prywaciarz wybiegł do telefonu i w pół godziny później usiadła przy naszym stoliku prześlizgnięta niebieskooka blondynka z miną naiwnej gimnazjalistki. Okazało się później, że miała lat dwadzieścia siedem, skończyła prawo i pracowała na stanowisku sędziego, specjalizując się w zagadnieniach arbitrażu przemysłowego. Mąż ją porzucił z dwojgiem małych dzieci, i z trudem wiązała koniec z końcem. Nie stać ją było na odmówienie przyjemności stowarzyszenia się z naszym prywaciarzem.

Nad ranem, w „Kamieniolomach” (klub nocny w piwnicach Hotelu Europejskiego), pod koniec tej niepomysłowej pijackiej i wulgarnej nocy, przez nasz zamroczony ale przez kelnerów zawsze faworyzowany stolik, przesunął się cały wieniec wspaniałych, a przystępnych dziewczyn i tajemniczych kumpli plastikowego prywaciarza. Mój pijany gospodarz wysyłał w miasto sygnały po czym przy stoliku pojawiali się wciąż nowi goście. Kosztowne dziewczyny są dla warszawskiego Króla Życia nicodzowną oprawą, widomym dowodem że go stać na wszystko. Miejscem do pokazania się i harców są niezbyt liczne i stosunkowo drogie kluby nocne. W „Adrii”, czy „Kongresowej”, przy jednym stoliku wydaje się w noc więcej niż wynosi miesięczny zarobek polskiego robotnika. Klientelą tych pretensjonalnych spelun jest mieszkanka bogatych prywaciarzy, Szwedów budujących warszawskie hotele,

przyprawdzanych tu zagranicznych *businessmen*ów i odbywających tu swe godziny pracy ubeków w cywilu, obserwujących i prywaciarzy i obcokrajowców. Jest też legion dziewczyn „dewizowych”, wysyłających fluidy zimnego seksu, zadowolonych tu całkowicie. Te którym się jeszcze nie udało dosiąść do stolików, otaczają ciasnym kręgiem bar i lustrują salę, szukając wzroku potencjalnych klientów. Takie są te szczyty polskiego luksusu.

W społeczeństwie ubogim, społeczeństwie ludzi niezadowolonych ze swego jednostkowego i grupowego losu, ostentacyjna rozrzutność niektórych prywaciarzy budzić musi uczucia zazdrości i niechęci. Kiedy w chwilach rosnących napięć społecznych i rosnącego politycznego zapotrzebowania na koszty ofiarne Edward Gierek i jego koledzy z biura politycznego ciskają gromy na „nierobów i pasożytów”, prywaciarze i macherzy czarnorynkowi stają się gotowym punktem odniesienia. A przecież są to także rodzone dzieci systemu, przez system poczęte i powite, mlekiem z jego piersi wciąż obficie karmione.

Bolesław SULIK

Dwa listy z Kraju

22 maja

1. Nie jest prawdą, że KOR działa w politycznej i społecznej próżni i że jest pozbawiony poparcia klasy robotniczej. Oczywiście wielu robotników w Polsce nie wie nic o działalności KOR'u ponieważ środki masowego przekazu w kraju przemilczają — a przynajmniej do niedawna przemilczały — istnienie i działalność Komitetu. Jednakże w Radomiu, Warszawie czy na Wybrzeżu — KOR jest dobrze znany w masach robotniczych. Jest też znany i popularny na wsi, bo wieś polska ma większą łatwość w słuchaniu radia zagranicznego po polsku niż wielkie miasta, gdzie audycje są konsekwentnie zagłuszane.

Działacze KOR'u otrzymują mnóstwo listów i telefonów od ludzi z całej Polski z wyrazami solidarności. Zdarzają się oczywiście także prowokacje policyjne, czego nigdy nie można wykluczyć w kraju gdzie nie ma opinii publicznej i jawności życia politycznego.

Jednakże ogólnie biorąc — KOR stał się w ostatnich czasach

organizacją o poważnym autorytecie i wpływie na nastroje mas, choć nie wszyscy i nie we wszystkich sprawach podzielają poglądy KOR'u. Są np. ludzie, którzy uważają że KOR powinien się rozwiązać z chwilą gdy Gierek ogłosił swoją częściową amnestię. Inni znów twierdzą, że KOR winien przekształcić się w organizację o szerszym zasięgu i szerszych celach politycznych, nie tylko ograniczać się do niesienia pomocy poszkodowanym uczestnikom zająć z czerwca ub. roku.

2. Msza za duszę śp. Pyjasa nie została odwołana, ale przeniesiona do innego kościoła. Kardynał Wyszyński wygłosił kazanie, bardzo stanowcze i ostre w tonie, w którym ostrzegał władze przed dalszą eskalacją napięcia.

Napięcie w Polsce jest przede wszystkim wynikiem sytuacji gospodarczej. Na te złe nastroje nakładają się ostatnie wydarzenia, a mianowicie sprawa Pyjasa, aresztowania wśród KOR'u, zaostrenie cenzury, a także niewiarygodne kłamstwa i prowokacje oficjalnej propagandy. Nie należy jednak sądzić, że sprawa Pyjasa lub sprawy KOR'u mogą spowodować wybuch i masowe demonstracje uliczne. Jedyną siłą w Polsce jest wieloprzemysłowa klasa robotnicza. Robotnik nie wystąpi aktywnie w obronie KOR'u. Ani w obronie studentów. Robotnik natomiast nie będzie tolerował dalszego pogarszania się sytuacji ekonomicznej ani nacisków administracji w zakładach pracy.

Istnieje obawa, że mogą się zacząć ruchawki wśród studentów, którzy są bardzo wzburzeni śmiercią Pyjasa, a także represjami wobec ich kolegów współpracujących z KOR'em. Trzeba pamiętać, że bardzo wielu studentów należy do aktywu KOR'u w wielu miastach i ci młodzi ludzie są represjonowani — np. powoływani do wojska, relegowani z uczelni itp.

Ruchawka studencka może się źle skończyć, bo robotnicy — niestety! — nie przyjdą tu młodzieży z pomocą. I władze nie obawiają się niepokojów na wyższych uczelniach. Największą troską władz są nastroje klasy robotniczej. Te nastroje są złe, ale z przyczyn gospodarczych. Jeśli władze nie spowodują poprawy zaopatrzenia na rynku — może dojść do poważnych niepokojów w całym kraju, bo nastroje są podminowane i wystarczy jakiś drobiazg, aby nastąpił wybuch.

3. Nie jest wcale prawdą, że rozładowały się represje przeciwko robotnikom. Nie wszyscy robotnicy wrócili do pracy, nie wszyscy odzyskali wolność. O tym klasa robotnicza wie dobrze. Oczywiście — postęp w tej mierze jest głównie zasługą aktywności społecznej, zasługą pracy KOR'u. Zaognienie wśród studentów idzie częściowo w parze z zaognieniem nastrojów w masach pracujących, jak o tym mowa wyżej.

Perspektywy rozszerzenia się ruchu obrony praw człowieka w masach studenckich są ogromne i to jest oczywiste z uwagi na aktywność polityczną młodzieży i jej tendencje intelektualne.

Jednakże ruch obrony praw człowieka może liczyć tylko na poparcie inteligencji, na wsi i w wielkich fabrykach o nastrojach decyduje rynek, a nie imponderabilia. Dopiero nałożenie się tych elementów na siebie — co można zaobserwować obecnie w Polsce — przynosi istotną zmianę jakości działań politycznych. Władze traktowały KOR i wszelkie przejawy opozycyjnej działalności w sposób na pozór niekonsekwentny i zastanawiający. Z jednej strony proklamowano tzw. walkę polityczną, z drugiej zaś mnożyły się represje policyjne i szykany na poziomie chuligańskim. Członkowie KOR'u dostawali przesyłki ze zdechłymi szczurami, kałem, obelżywe listy, pogróżki itp.

Śmierć Pyjasa nie była chyba zaplanowana. Był to rezultat policyjnych działań, które w sposób niezamierzony doprowadziły do tak strasznego rezultatu. Wypadek drogowy Łazarskiego wydaje się raczej przypadkowy, cały jego przebieg nie świadczy o prowokacji, choć nie można tego wykluczyć. Członkowie KOR'u otrzymywali rozmaite listy z pogróżkami, młodzi aktywiści, szczególnie w Krakowie, byli straszeni likwidacją. Równocześnie najwyższe czynniki w państwie (Gierek) zapewniały często o potrzebie jedności, dogadania się wszystkim Polakom itp. W tej kwestii zdania są podzielone. Jedni sądzą, że Gierek gra obrzydliwą, obłudną grę, że wie o wszystkim i wszystkim dyryguje, natomiast w wypowiedziach publicznych usiłuje się obłudnie przedstawiać jako rzecznik pojednania. Inni są zdania, że Gierek istotnie chce złagodzenia napięć, natomiast frakcja zamordystów (Łukasiewicz plus średni szczebel partyjny) prowadzi przeciw niemu walkę, sięgając do wypróbowanych sposobów organizowania napięć i gniewu mas. Nie ulega kwestii, że obecny stan rynku jest zatrważający. Rynek i tylko rynek może spowodować zająścia w kraju. Otóż sytuacja w tej mierze jest coraz gorsza — i to chyba działa jednoznacznie przeciwko Gierkowi i obecnej ekipie. Chyba Gierek nie chce takich napięć, bo one w pierwszym rzędzie obracają się przeciw niemu samemu.

Trudno ocenić, czy metody zmierzające do represji i zamordyzmu wychodzą z Rakowieckiej. Rakowiecka jest potężna, ale bądź co bądź podlega kontroli aparatu partyjnego. Może więc nie tylko na Rakowieckiej są ludzie, którym zależy na napięciu, aby w ten sposób przyspieszyć zmiany personalne na szczytach hierarchii partyjnej.

Gierek popełnił kardynalny błąd latem ub. roku. Wtedy miał szansę złagodzenia napięć i rozprawienia się z opozycją wewnątrz partii. Nie zrobił nic, stał się niewolnikiem aparatu — jak niegdyś Gomułka. Dziś jest już chyba za późno na zmiany, które byłyby jego osobistym dziełem. Gierek stoi na straconych pozycjach. Najgorsze jest to, że nikt w Polsce i poza Polską nie widzi lepszej alternatywy. Dyktator który przyjdzie po Gierka nie będzie lepszy. Zapewne — nastąpi złagodzenie kursu na jakiś czas, bo tak dzieje się zawsze. Może uda się nowej ekipie poprawić stan rynku na 3-4 miesiące. Ale co potem?

30 maja

Dramatyczna wiosna 1977 roku w Polsce — zapisała się już dzisiaj jako data historyczna. W każdym razie wydarzenia mające wagę olbrzymią dla dziejów najnowszych, dla dalszego rozwoju wypadków w PRL, podobnie jak czerwiec i październik 1956, jak marzec 1968, grudzień 1970, czerwiec 1976. Są to wszystko — bez względu na polityczną ocenę i samą istotę tych wypadków — daty węzłowe. Są to wszystkie dni, w których powstawała nowa jakość polityczna, społeczna i moralna polskiego życia narodowego.

Można w sposób lapidarny i — rzecz jasna — bardzo uproszczony scharakteryzować wszystkie te wydarzenia, w każdym bądź razie można nazwać po imieniu tę nową jakość życia zbiorowego, która się wtedy ujawniała, aby już zawsze towarzyszyć dalszym losom kraju. Październik 1956 był dobitnym wyrazem polskiej tęsknoty do suwerennego bytu, świadectwem tych zawsze żywych nastrojów narodowej niezależności, symbolem polskiej, niezależnej świadomości. Marzec roku 1968 stanowił dowód niezłomny, że polski patriotyzm uwolnił się raz na zawsze od jakichkolwiek fałszywych i hańbiących naleciałości rasowych, a wszelkie próby faszystowskiej demagogii, aczkolwiek wciąż oddziaływują przejęściowo na środowiska słabiej upolitycznione — nie znajdują już żadnego posłuchu wśród klasy robotniczej i inteligencji. Przeciwnie — nawet podstępnie narodowa barwa ochronna, pod jaką przebiegały wszystkie policyjne prowokacje marcowe — demaskowana była natychmiast przez społeczeństwo, które przecież na serio brało przez wiele poprzednich lat humanistyczne, demokratyczne, postępowe hasła, lansowane przez oficjalną propagandę komunistyczną. Grudzień roku 1970 dowiódł, że polska klasa robotnicza jest siłą ogromną, która potrafi nie szczędzić krwi w obronie żywotnych interesów ludu, nie tylko ekonomicznych. Grudzień — jak powszechnie wiadomo — nie ograniczał się tylko do gniewu mas z powodu nikczemnej, głupiej i prowadzącej do katastrofy polityki ekonomicznej Gomułki, ale wysuwał jednoznaczne hasła o charakterze politycznym.

Potwierdzeniem tego stanu rzeczy był czerwiec 1976 — ta wielka, bezprecedensowa klęska reżimu komunistycznego w Polsce. Czerwiec 1976 dowiódł z całą mocą, że komuniści są silni, brutalni i chętni tylko wówczas, gdy nie napotykają na opór. Z chwilą jednak kiedy opór ten nabiera realności, kiedy autentyczny głos mas ludowych zaczyna rozbrzmiewać na ulicach — komuniści kapitulują! Naiwni są ci wszyscy komentatorzy, którzy ustępstwa władzy w czerwcu 1976 roku uważają za akt dobrej woli ekipy Gierka. Ta ekipa niczym się nie różni od wszystkich ekip poprzednich. Gdyby mogła — utopiłaby protest robotniczy we krwi i przeforsowała swoją wolę. Jednakże Gierek, przy całej jego dwulicowości, intelektualnych brakach, zarozumiałstwie i ciasnocie — jest po prostu realistą. Gierek zdał sobie sprawę

z prostego faktu, że jest zbyt słaby, aby wypowiedzieć otwartą wojnę masom robotniczym. Dlatego ustąpił, cofnął się, skapiłował.

W tym sensie czerwiec 1976 był wielkim przełomem. Po raz pierwszy w dziejach demokracji ludowych władza komunistyczna musiała się wycofać, zresztą w sposób który ją ośmieszył, skompromitował, odebrał nawet te resztki autorytetu, jakimi dysponowała dzięki osobistej popularności czołowego przywódcy partyjnego.

Rzecz oczywista — dopiero po czerwcu okazało się, że partia postanowiła się odegrać, że się z klęską nie pogodziła i żadnych nauk z wydarzeń czerwcowych nie wyciągnęła. Wszystko, co się działo w Polsce po czerwcu — jest tego najwymowniejszym świadectwem. Brutalne, na szeroką skalę zakrojone represje wobec wszystkich którzy ośmielili się przeciwstawić zamiarom władz — ogarnęły cały niemal kraj. Ludzi bito, torturowano, więziono, poddawano najrozmaitszym represjom, a także naciskom moralnym. Trudno ocenić ile było w tym podszeptów Moskwy, ile własnej, ochotnej inicjatywy różnych chuliganów spod znaku PZPR. Jedno jest pewne — ekipa Gierka brała odwet na społeczeństwie za kompromitującą klęskę czerwcową. Ale jakież był tego rezultat?

Po pierwsze zacięty, ponury, po części milczący, po części zaś jawny ale bierny opór klasy robotniczej. Nahajka i pięść, ten niezawodny oręż towarzyszy z Rakowieckiej, a także z „Białego Domu” — tym razem zawiodły na całej linii. Ludzie milczeli, ale nie pracowali. Wydajność pracy spadała katastrofalnie, na nic się zdały zakłęcia partyjnych notabli, ośmieszonych i pogardzanych, a także próby cikliwych i kokieterijnych wystąpień samego szefa PZPR, który wciąż jeszcze liczył na swoją osobistą popularność. Tym razem on sam się zawiodł. W przeciwieństwie do swego poprzednika — Gomułki — którego wielu nienawidziło, którym wielu pogardzało, ale który nigdy nie był postacią śmieszną, Gierek z całym bagażem swej dwulicowej, pozornej bezradności, ze swoją parweniuszowską i nuworyszowską pychą „woda narodu”, ze swoją płacziwością przeplatana tu i tam orlim spojrzeniem męża stanu — jest uważany za mizernego kome-dianta, jest postacią z kiczu. Zbyt mały, aby go nienawidzono — stał się lekceważony, pogardzany i żalony.

Po czerwcu 1976 powstał KOR. Po raz pierwszy w dziejach komunistycznej dyktatury grupa ludzi odważnych, świątliwych, cieszących się wielkim moralnym autorytetem — wystąpiła jawnie przeciwko reżymowi. Nie było to wystąpienie przeciwko ustrojowi państwa, przeciwko soюзom jakimi Polska jest — *nołens volens* — związana, nawet przeciwko jawnej, beczelnej, wcale nie utajonej dominacji Moskwy w kraju. Było to wystąpienie niesłychanie praworządne, może nawet komicznie praworządne w świetle praktyki życia publicznego w PRL. Jakież to herezje głosił KOR, o jakież to rewolucyjne przemiany walczył, jakich

to przełamów politycznych domagał się na scenie życia polskiego? Szło o rzeczy banalnie proste, o pewne oczywistości. Szło tylko o to, aby władza szanowała prawa i przepisy, które sama proklamowała w państwie. Aby aparat państwowy nie łamał zasad legalizmu, które sam ustanowił w oparciu o demokratyczną, postępową frazeologię rządzącej partii. Mówiąc krótko — KOR podjął walkę w obronie Konstytucji PRL, w obronie przepisów prawnych Polski Ludowej, które zostały podeptane przez aparat, sprawujący władzę.

Reżym wpadł w matnię własnych koncepcji państwowo-prawnych. Dlatego właśnie w walce propagandowej z KOR'em zabrakło jakichkolwiek argumentów. Prasa reżymowa wylewała strumienie pomysł na ludzi, cieszących się powszechnym szacunkiem narodu, ale nie ujawniała o co toczy się gra, ponieważ to właśnie reżym zajmował pozycje nielegalne i sprzeczne z prawem.

Jakież były rezultaty tych szaleńczych przedsięwzięć? Kompletny kryzys władzy, kompletny kryzys zaufania, kompletne bezbołowie w życiu ekonomicznym, społecznym, politycznym. Stworzyło to pole do popisu dla rozmaitych grup nacisku spod ciemnej gwiazdy, dla małych karierowiczów policyjnego autoramentu, dla obcych agentów, przycupniętych w cieniu pana Piłotowicza, wreszcie także dla tej gromadki polityków w aparacie władzy, którzy marzą nie od wczoraj o wysadzeniu z siodła Gierka i jego sztabowców, aby zająć po nich ciepłe, wygodne fotele. Ale nie w tym rzecz, kto wreszcie dokona pałacowego przewrotu i proklamuje się kolejnym zbawcą narodu. Może nawet mają rację ci, którzy pesymistycznie głoszą że następca Gierka będzie jeszcze gorszy, jeszcze głupszy, jeszcze bardziej żalosny, a czas jego panowania będzie jeszcze krótszy. Nie to wszakże jest ważne. Ważna jest tylko postawa narodu, który myśli wprawdzie realistycznie, lecz stanowczo — i dobrze wie, czego chce. Naród nie chce rzeczy niemożliwych. Do rzeczy niemożliwych zalicza w najbliższych latach osiągnięcie rzeczywistej suwerenności państwa i niezależności bytu narodowego. Do rzeczy niemożliwych zalicza mrzonki o neutralności w podzielonej na bloki Europie, a także mrzonki o swobodzie gospodarczego manewru w ramach kierowanego przez Moskwę Komekonu. Zależność od Rosji, acz gorzka dla każdego Polaka — wydaje się ludziom smutną koniecznością. Przynależność Polski do Układu Warszawskiego i do RWPG — również jest niemożliwa do wyeliminowania. Co więcej — ludzie myślący realistycznie, a takich jest przysięgająca większość, zdają sobie sprawę, że trzeba się pogodzić z monopartyjnym systemem i jedynowładztwem PZPR w Polsce.

Ale w ramach tych wszystkich ograniczeń jest jeszcze rozległe pole manewru, tkwi wiele możliwości, dzięki którym życie polskie okaże się stokroć bardziej autentyczne, niż obecnie. Walka o taką praktykę wykonywania władzy, która nie będzie obrażała istniejących poczętych przeciw z ducha PZPR praw publicznych

i obywatelskich — nie jest wcale sprawą błahą. Polska, w której respektować się będzie istniejące przepisy — będzie Polską we władaniu PZPR, Polską zależną od Rosji, Polską na pewno eksploataowaną, ale przecież Polską, w której można jakoś po ludzku żyć i można w jakiś ograniczony sposób korzystać z wielu, nawet bardzo wielu swobód obywatelskich i ludzkich. Taka Polska będzie wprawdzie monopartyjna, ale przecież władza partii zostanie okiełznana i sprowadzona do znośnych wymiarów. Taka Polska będzie wprawdzie państwem dyktatorskim i totalitarnym, ale na pewno nie będzie już państwem bezkarnej tyranii policyjnej, gdzie obywatel zdany jest na łaskę i niełaskę gangów partyjno-policyjnych. Taka Polska będzie wprawdzie nadal państwem o wolnościach ograniczonych, ale przecież państwem olbrzymich swobód w porównaniu z tym, co dzieje się obecnie.

I taka Polska ma szansę powstać. Dowodem na to — maj 1977. Wydawało się władcom PRL, że ciosy represyjne przeciwko kilku działaczom KOR'u położą kres aktywności kół opozycyjnych. Wynajęto kilku najbardziej nikczemnych dziennikarzy, w rodzaju pp. Wysockiego, Rolińskiego, Horodyńskiego — aby znów zabełtali w głowach społeczeństwa. Już sam ten fakt jest wymowny. Dziennikarze w Polsce Ludowej są skorumpowani jak mało kto. Przez wiele lat gotowi byli na wszystko. Ale nawet ich doprowadzono do tej ostatniej granicy, poza którą rozciąga się już tylko bagno sprzedajnej nikczemności, bez żadnej nadziei usprawiedliwień moralnych. I nawet oni zawahali się, nawet oni doszli do wniosku, że gra przestała się opłacać. Władcy jakoś się wywiną od odpowiedzialności, lecz oni — wynajęci opluwacze narodu — będą musieli słono zapłacić za postawienie na tak kulawego konia. Nabrali więc wody w geby! Ruszyły do ataku małe kreatury, ci którzy już nic nie mieli do stracenia, groszorbry i beztalencia, fałszerze i autorzy brudnych anonimów. Tymczasem najlepsi ludzie w kraju podjęli bierny opór. Nie tylko strajk głodowy jest biernym oporem. Nie tylko uchylanie się od pracy zawodowej jest biernym oporem. Bierny opór — to także uchylanie się od udziału w kłamstwie. Nauki Sołżenicyna wydają owoce. Tym wspanialsze owoce, że Sołżenicyna czytały w Polsce może tysiące, a postępują zgodnie z jego moralnymi wskazówkami — miliony. Dyktuje im to po prostu moralny instynkt.

Z Polską komuniści wojny nie wygrają! Polski komuniści nie podbiją! Już ponad trzydzieści lat okupują ten kraj — i wciąż są żywiołem obcym. Z tym, że od maja 1977 wiadomo coś więcej na ten temat. Od maja 1977 skończyła się w Polsce wszelka kolaboracja z reżymem komunistycznym. Komuniści mogą stosować różną taktykę. Brać za mordę, albo przekupywać. Co prawda, żeby brać za mordę — są za słabi, żeby przekupywać — nie mają po prostu czym. Tak czy tak — sukcesu nie osiągną! Jedyne co im pozostaje — to wejść na drogę ustępstw, szukać jakiegoś *modus vivendi* ze społeczeństwem. Naród gotów jest w tej płaszczyźnie szukać dróg wyjścia z kryzysu. Powstaje

pytanie czy PZPR jest jeszcze na tyle rozsądna, aby wejść na drogę ustępstw. W gruncie rzeczy jest to jedyna szansa i miejmy nadzieję, że ci ludzie nie oszaleli do końca. Jeśli się nie opamiętają — może dojść do strasznej katastrofy. Będzie to w pierwszym rzędzie katastrofa nieodwracalna dla wszystkich ludzi z aparatu władzy. Niestety, nie tylko dla nich...

Bronisław KOTOWICZ

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

SERIA « BEZ CENZURY »

TOM 271 — BOGDAN MADEJ

MAŚĆ NA SZCZURY

Tom drapieżnych opowiadań Madeja, opisujących rzeczywistość polskiej prowincji, otwiera nową serię w „Bibliotece Kultury”.

Str. 208.

Cena F. 30,00.

TOM 273 — ANIELA STEINSBERGOWA

WIDZIANE Z ŁAWY OBROŃCZEJ

Relacje z procesów politycznych w PRL. Przez swą odwagę i bezkompromisowość A. Steinsbergowa kontynuuje świetne tradycje polskiej advokatury. Aniela Steinsbergowa jest członkiem-założycielem Komitetu Obrony Robotników.

Str. 96.

Cena F. 18,00.

TOM 275 — STANISŁAW BARAŃCZAK

JA WIEM, ŻE TO NIESŁUSZNE

(Wiersze z lat 1975-1976)

Str. 64.

Cena F. 15,00.

Archiwum polityczne

Widziane z Brukseli

BIAŁE, CZARNE I CZERWONE

20 sierpnia 1977 roku zostanie wyrzuty z Cap Canaveral na Florydzie amerykański pojazd kosmiczny „US Voyager 1”. W marcu 1978 roku pojazd przeleci koło planety Jowisz, w listopadzie 1979 roku obok Saturna, w kilka lat później opuści w ogóle system słoneczny. Ponieważ poza systemem słonecznym mogą żyć istoty myślące przeto mądrzy ludzie postanowili wyposażać *Voyagera* nie tylko w instrumenty techniczne, ale także w orędzia ludzkie. Jak butelka rzucona w morze, *Voyager* zabiera z sobą miedzianą płytę z wytłoczonym posłaniem od p. Waldheima i 14 przedstawicieli państw, członków Komisji do pokojowego wykorzystania przestrzeni kosmicznej. Z właściwym p. Waldheimowi i jego instytucji, brakiem poczucia miary i brakiem poczucia humoru, przekazał on pozasłonecznym adresatom wiadomość, że „Opuszczamy system słoneczny i wchodzimy w wszechświat w imię pokoju i przyjaźni”. Licząc na to, że wszechświatowi odbiorcy nie znają wyników akcji prowadzonej przez kierowaną przez niego instytucję pod tymi samymi hasłami tu na ziemi, p. Waldheim i 14 innych czcigodnych panów sądzi, że w tak ujętą ludzką mądrość ktoś rozumny poza systemem słonecznym mógłby uwierzyć.

Nie dysponuję niestety rakietą, która mogłaby storpedować tę akcję tu na ziemi czy w przestrzeni kosmicznej. A szkoda. Albo bowiem, albo. Jeżeli poza naszym systemem żyją naprawdę istoty myślące, to przecież rozumieją one natychmiast prawdziwy sens tej waldheimowskiej sonaty, odczytują prawdę o tym, że chodzi tu o propagandę, o marzenie nieczyszczalne tu, na ziemi, gdzie jest akurat odwrotnie, gdzie, jak dotąd, od wieków radośnie mordujemy się, do czego zresztą ONZ, wysyłająca ten mesaż, przez swój cynizm, hipokryzję i niemoc walczy się przyczynia. Istoty myślące spoza naszego systemu tracą więc zapewne osta-

tecznie ochotę na nawiązanie z nami kontaktu i wszystko będzie stracone. Jeżeli zaś poza systemem słonecznym mieszkają istoty nie myślące, albo w ogóle nikt nie mieszka, to wtedy nie warto nic wysyłać, ponosić koszty i nagrywać głupie mesaze.

Ale, jak rzekłem, na likwidację pozastłonecznej wyprawy sił mi nie starcza. Postanowiłem więc zająć stanowisko odwrotne. Wnoszę więc — póki czas — o uzupełnienie miedzianej płyty. Wnoszę o dodanie orędzia ambasadora Andrew Jacksona Young'a Jr. Propozycję swą uzasadniam formalnie i merytorycznie. Formalnie, albowiem p. Young jest obecnie, i — jak sam sądzi — będzie przez osiem następnych lat, ambasadorem Stanów Zjednoczonych przy ONZ. Merytorycznie, albowiem postanie świata byłoby niekompletne bez paru choćby refleksji politycznych Andy Young'a. Należy on do najbardziej gęsto cytowanych polityków amerykańskich roku 1977 (i następnych ośmiu), nie udaje mu się — choć twierdzi, że się o to stara i że mu na tym zależy — „zejść ze szpał pierwszych stron prasy światowej”. Żadne orędzie komulujące mądrość słonecznego świata nie powinno więc Young'a zignorować.

Kto to jest Andy Young? Syn zamożnego dentysty, Andy Young liczący dzisiaj lat 45, ma trzy córki, syna i kilka kolosalnych zalet.

Po pierwsze, jest Murzynem. Rodzice chcieli, aby ich syn został lekarzem lub dentystą i by kontynuował umacnianie klasowe średniej burżuazji murzyńskiej, skutecznie łamiącej bariery rasowe w USA. Ale Andy usłyszał głosy i wybrał karierę duchowną. Skończył teologię, praktykował nawet jako pastor w kilku parafiach, ale szybko przeszedł do polityki, do działania w ruchu na rzecz równouprawnienia Murzynów. Wybitnie zdolny, dowcipny, o łatwym kontakcie z ludźmi (przedstawia dziś gości lokajowi, a śniadania jada z szoferem), produkt dziwnych, a tak owocnych zazwyczaj skrzyżowań krwi, mający wśród swych przodków Indian, a także pradziadka o nazwisku... Czarnowski (kto mówił, że tylko Brzeziński ma polską krew w najbliższym otoczeniu Cartera?), Young szybko zrobił karierę i stał się najbliższym współpracownikiem Martin Luther King'a, przywódcy ruchu murzyńskiego.

Po drugie, Young jest osobistym przyjacielem prezydenta Cartera. Ich drogi skrzyżowały się przed wielu laty, kiedy obaj robili polityczną karierę na południu Stanów. W chwili kiedy Carter wystartował do Białego Domu, Young od razu stanął u jego boku przynosząc mu decydujące prawdopodobnie głosy murzyńskie.

Po trzecie Young jest czymś w rodzaju carterowskiej *katarsis*. Carter wyrzuca sobie mianowicie, że za późno włączył się do akcji na rzecz równouprawnienia Murzynów. Przyznając Youngowi wyjątkową pozycję Carter wydaje się sądzić, iż w jakiś sposób nadrabia to opóźnienie. Tylko to może wyjaśnić, że Young jest pierwszym ambasadorem amerykańskim, mającym pełne

uprawnienia członka rządu, że ma swój gabinet i swój *staff* nie tylko w Nowym Jorku, ale także na ekskluzywnym VII-yim piętrze Departamentu Stanu, obok min. Vance'a. Tylko to może też wyjaśnić, że Carter nie tylko toleruje u Younga gaffy i głupstwa, za które dawno by wyrzucił najpodlejszego urzędnika ambasady w Pernambuko, ale bierze wszystko na siebie i po każdym potknięciu podpisuje dla Younga nowy czek *in blanco*.

Uczucia i polityka

Otóż takie podpisywanie może się stać zajęciem żmudnym i nudnym. Young bowiem jest na pewno najbardziej gadatliwym dyplomatą amerykańskim. Biję stale swoiste rekordy popłatania prawidłowych spostrzeżeń z zaskakującymi bredniami. Niedawno jednym zdaniem poraził i obraził ZSSR, Szwecję i Anglię. „Rosjanie — powiedział Young — mają do zaproponowania Afryce wyłącznie marksizm, podczas kiedy Afryka potrzebuje przede wszystkim dóbr, których marksizm jej dać nie może. Rosjanie to zwyczajni rasiści i dlatego nigdy żadnych wpływów w Afryce nie zdobędą”. Potem przeszedł do Szwecji. Kraj, który przechwytuje tysiące, w tym czarnych, dezertów z wojny wietnamskiej, został przez Younga określony jako rasistowski, gdzie „Murzynów traktuje się jak w Queens'ie”, osławionej dzielnicy nowojorskiej. Jeżeli chodzi o Wielką Brytanię, to „nigdy nie przestała ona gardzić kolorowymi”. Na zakończenie przeszedł z państw do osobistości. Prezydent Ford i Nixon to też zwyczajni rasiści. Reakcje były mieszane. Moskwa się obraziła, Szwedzi i Anglicy też, ale w końcu pobłażliwie się uśmiechnęli. Ford milczał, ale inni wystąpili w obronie jego honoru. Nixon też milczał, ale w obronie jego honoru nikt nie wystąpił.

Dopóki sformułowania p. Younga dotyczyły zagadnień rasizmu, można mu było wiele przebaczyć. Rozumieć wszak to przebaczyć, a ja np. dobrze rozumiem stanowisko Younga wobec rasizmu. Każdy ma bowiem swoich rasistów, choć nie każdy jest prezydenckim „katarsis” i nie każdy może o tym na wysokim szczeblu głośno opowiadać. Gorzej jednak kiedy p. Young na identycznych zasadach podszedł do polityki. W tej dziedzinie i na tym poziomie kolor skóry i z tym wyłącznie związane doznania nie powinny już odgrywać zasadniczej roli, a w każdym razie nie mogą decydować o polityce. Polityka bowiem nie należy do sfery sentymentów. Niektórzy „specjalni wysłannicy” lub „stali przedstawiciele” oskarżają mnie (wobec innych, oczywiście, a przede wszystkim wobec moich kolegów), że w moich artykułach załatwiam swe porachunki osobiste z Polską, Rosją i z całym obozem socjalizmu i pokoju. To brednia, gdzieś mnie, dziennikarzowi, do porachunków z super-potęgą, a już przede wszystkim to nieprawda. Zajmuję się tylko faktami, oceną stosunku sił w świecie; dopuszczenie uczuć do wpływu na ocenę rzeczywistości zakładałoby naciąganie faktów do życzeń, prowadziłoby

do bełkotu albo do łatwo wykrywalnego kłamstwa, oznaczałoby koniec dziennikarstwa i przejście do propagandy. Mam inne aspiracje. W dyplomacji ta zasada jest jeszcze bardziej bezwzględna. Rezultatem dziennikarskiego sentymentalizmu może być zły artykuł. Rezultatem sentymentalizmu w dyplomacji może być wojna światowa.

P. Young, choć formalnie jest ambasadorem USA przy ONZ, większość swego czasu spędza w Afryce. To jego sprawa, choć niektórzy już uważają, że jest on ambasadorem Afryki w USA. Gorzej, że sam Young uważa, że ma zupełnie specjalną misję do spełnienia. Misję podwójną. Po pierwsze generalną: doprowadzić naród amerykański do otwartego mówienia o polityce zagranicznej. „Musi być sposób — mówi Young — na wyrowadzenie polityki międzynarodowej ze strefy zastrzeżonej wyłącznie dla pracujących w tajemnicy ekspertów. Jest to bowiem monopol, który doprowadził do wszystkich tragedii ostatnich 20-tu lat”. Po drugie: kiedy już skończymy z tym monopolem, to trzeba będzie skończyć z paranoicznym — według Younga — strachem przed komunizmem. „To śmieszne — woła Young — aby największa potęga świata wpadała w panikę, za każdym razem kiedy byle tysiąc Kubańczyków pojawi się w jakimś zakątku świata. Nigdy nie odczuwałem strachu przed komunizmem. Kubańczycy nie mogą wszak niczego takiego uczynić z czym amerykańska super-potęga nie mogłaby sobie poradzić”. Podsumowując to wszystko Young chce sprawić aby naród amerykański „myślał w sposób twórczy, tylko wtedy bowiem możemy przyczynić się do nadania światu nowego kształtu”.

Bardzo duża stabilizacja

Dla sprawienia aby naród myślał twórczo i dla nadania światu nowego kształtu Young wybrał się w maju w 17-dniową podróż do ośmiu krajów Afryki. Choć trudno było spodziewać się, aby jedna podróż nawet czarnego ambasadora mogła przynieść przełom, Young był z niej zadowolony. „Jestem skromny — powiedział — ale naprawdę uważam, że sprawy układają się znakomicie”.

Co takiego układa się znakomicie? Co takiego optymistycznego odkrył Young w Afryce, w maju 1977 roku? Poszukajmy w jego wypowiedziach klucza do tych tajemnic.

O Angoli: „Obecność Kubańczyków niekoniecznie jest zjawiskiem negatywnym. Kubańczycy w Angoli stanowią czynnik stabilizacyjny. Gdyby wojna domowa nadal trwała, to nie byłoby w ogóle z kim rozmawiać w tym kraju. Gdyby Kubańczycy się wycofali z Angoli, to prezydent Neto nie byłby już u władzy”. Ambasador Young się nie mylił. W kilka dni po tej wypowiedzi wybuchła w Luandzie próba zamachu stanu i gdyby nie Kubańczycy, to prez. Neto istotnie nie byłby już u władzy.

O Abisynii: „Etiopczycy wymordowują się wzajemnie. Wierzę, że obecność Kubańczyków może mieć wpływ racjonalny i wstrzymać przelew krwi w Abisynii”. Na razie, nie bardzo, już bowiem ok. 5.000 studentów i innych piśmiennych zostało wystrzelanych. Odzyskanie zwłok kosztuje 150 dolarów. „Tytułem zwrotu kosztów amunicji” — wyjaśniają prawdziwi rewolucjoniści.

Do najbardziej niezapomnianych przeżyć amb. Younga w Afryce należą dwa spotkania. Pierwsze, z jednym z najbardziej popularnych przywódców murzyńskich w Afryce Południowej, „szefem” Gatsha Butlesi. Obaj panowie odśpiewali razem hymn „Nkosi Sikelela i Afrika”, czyli „Boże, pobłogosław Afrykę”, po czym Young udał się na drugie *rendez-vous*. W Maputo, stolicy marsistowskiej republiki Mozambiku, spotkał się z p. Valdez Vivo, politykiem kubańskim. Obaj panowie „odbyli długą i przyjazną rozmowę”, a Valdez zaprosił Younga do odwiedzenia Kuby, aby spotkać się z szefem „czynnika stabilizującego” Afrykę...

Otóż, kiedy Young śpiewał „Boże, coś Afrykę...” i rozmawiał z „czynnikiem stabilizującym”, ów czynnik, nie śpiewając hymnów, nie przestawał stabilizować. Na krótko przed podróżą ambasadora Younga podobne safari, choć nie po tych samych krajach, odbyli naczelni stabilizatorzy, Podgorny i Castro. Był to zupełnie przedziwny kołowrotek, panowie deptali sobie po piętach, znikali w tajemniczych okolicznościach, po Afryce nie przestawało nieść się echo salw honorowych i stabilizacyjnych, aż w końcu, ku ogólnej radości i przy akompaniamencie radosnego oberka, obaj panowie padli sobie w ramiona na Kremlu. Podsumowanie działalności stabilizacyjnej można przedstawić w następującym skrócie.

Angola: 12.000 żołnierzy kubańskich i 3.000 doradców „cywilnych”. Kubańczycy walczą na wszystkich frontach wewnętrznych, utrzymują przy Angoli naftową enklawę w Kabindzie, prowadzą szkolenie partyzantów namibijskich i rodezyjskich, wyszkolili (złe) tzw. żandarmów katangijskich, którzy dokonali próby najeźdu na jedno z najbogatszych miejsc na świecie, prowincję Katanga na południu Zairu. Kubańczycy kontrolują obecnie wszystkie górne szczeble administracji, policji i bezpieczeństwa oraz chronią osobę prezydenta.

Republika Ludowa Konga: kilkuset wojskowych doradców uczy autochtonów posługiwania się sowieckim sprzętem wojskowym. Bardzo pojętni uczniowie: potrafili już zastrzelić prezydenta Ngouabi oraz ukarać śmiercią „zamachowców”.

Gwinea: kilkuset doradców kubańskich stabilizuje sytuację. Prezydent Seku Ture przy życiu.

Gwinea-Bissau: Kubańczycy doradzają na wszystkich szczeblach. Prezydent przy życiu, pod ochroną *barbudos*.

Mozambik, Tanzania itd., itd., *idem*. W Somalii doradcy kubańscy są niepotrzebni, bo tam od dawna już doradzają bezpośrednio Sowieci. Jeszcze tylko kilka słów o Abisynii. Pierwszych 100 doradców kubańskich już jest w Addis Abebie. W czerwcu spodziewano się następnych 500. Castro, który udzie-

lił wywiadu pani Barbarze Walter, najdroższej dziennikarce świata (milion dolarów rocznie, honoraria zupełnie jak w *Kulturze*) z sieci ABC, zapewnił jednak naród amerykański i ambasadora Younga, że chodzi tu wyłącznie o cywilów i że ich wpływ będzie wyłącznie stabilizujący. W czasie wizyty w Addis Abebie Castro wyrażał się jednak inaczej. „Rewolucja abisyńska podobna jest do francuskiej i bolszewickiej, wołał naczelny stabilizator. Mój pobyt, to nie oficjalna wizyta szefa państwa, a wizyta towarzysza broni, który przybył, aby wyrazić solidarność z rewolucją abisyńską”. Fidel zapomniał dodać, że kilka tygodni przed nim „bawił” w Abisynii gen. Arnaldo Ochoa, dowódca kubańskiego *Afrika-Korps'u* w Angoli, który omówił wszystkie właściwe elementy stabilizacji.

Oczywiście, trzeba zachować spokój. Nie wpadajmy w panikę, jak uczy amb. Young, ten spis z natury nie jest ostateczny. Na poważny inwentarz trzeba poczekać, Afryka nie jest jeszcze kubańską kolonią. Ale, nie chodzi o Kubę ani o ostateczną kolonizację Afryki. Za folklorystycznym mesjanizmem stoi cała, albo prawie cała, potęga ZSSR. Wielką grę w Afryce prowadzi nie Kuba, a Związek Socjalistycznych Republik Rad. Aby swój program „stabilizacyjny” w Afryce zrealizować, a stanowi on ważną część światowego *Kriegspiel'u*, Rosja stara się, o tyle o ile jest możliwe, nie występować pod własnym nazwiskiem. Stąd historyczna rola Kubańczyków.

Propozycja powierzenia Fidelowi sygnowania „stabilizacji” w Afryce nie była całkiem niedorzeczna. Che Guevara pojawił się w dżungli w Kongo już w roku 1965, kiedy Moskwa nie ufała jeszcze Castro, kiedy Castro nie ufał już Guevarze, i kiedy Moskwa i Castro nie mieli jeszcze niezbędnych środków dla podjęcia operacji. Teraz już Moskwa wszystko ma.

Co ma? Ma przede wszystkim jasny pogląd na sytuację światową, na układ sił w USA, na słabość Zachodu, ma własne aspiracje super-potężne, ma świadomość, iż musi sobie taki statut zapewnić, ma więc przekonanie, że należy brać wszystko co się da, a potem się zobaczy, wszystko a przede wszystkim to co Amerykanie porzucają w powietnamskim szoku i zgodnie z zasadą nie wpadania w panikę amb. Younga.

W takiej operacji Kubańczycy są dziś idealnymi wykonawcami. Po pierwsze z „obiektywnych” przyczyn musieli zaprzestać eksportu rewolucji na teren ich naturalnej ekspansji, to znaczy do Ameryki Łacińskiej. Afryka pogrążona w chaosie i nie „ulegająca panice” daje Fidelowi kolosalną szansę realizacji jego chorobliwych ambicji. Po drugie, co jest zasadnicze dla sukcesu wszystkich mesjanizmów, Fidel dysponuje dziś znakomitym wojskiem, wyszkolonym przez Sowietów i wyposażonym w sowiecki wyłącznie sprzęt, który Rosja wysyła do Afryki i który służy do stabilizacji. Po trzecie, Kubańczycy bywają nie Biali, mają 25 % Czarnych, nie licząc kolorowych, co bardzo ułatwia penetrację na zasadzie mimikry ludzkiej i ideologicznej. Hasło neo-

kolonizacyjne jest nie do sprzedania dziś przez białego człowieka w Afryce. No, ale Czarny, zwłaszcza uzbrojony, to co innego. To nie przez przypadek Castro nie przestaje wołać: „Kubańczycy są narodem nie tylko łaćnińsko-amerykańskim, ale afro-amerykańskim”.

To wszystko sprawia, że nowy biały kolonialista w czarnej Afryce jest w rzeczywistości czerwony, ale za to niewidoczny. Cudowna operacja, i tak przekonywująca, że Fidel, który najechał Angolę przerzucając na sowieckich okrętach i samolotach cały korpus ekspedycyjny z wyspy oddalonej o 10.000 km, może dziś, nie wywołując uśmiechu nawet u amb. Younga, wołać „Každy atak na Angolę będzie traktowany jako atak na Kubę”, czyli mówi zupełnie to samo co mówił Chruszczow po masakrze na Węgrzech i Breżniew po „ustabilizowaniu” Czechosłowacji. Świat na to patrzy i nie wpada w panikę, albowiem p. Young określił to nie jako inwazję a jako stabilizację. A co powiedziałyby p. Young gdyby to nie Kuba najechała Angolę, a np. wojska Luksemburgu zajęły spływającą krwią Ugandę, do której zostałyby wysłane na pokładzie np. francuskich *Mirajów* pod hasłem ustabilizowania tam sytuacji, krzycząc „Každy atak na Ugandę potraktowany zostanie jako atak na Luksemburg i na wielkiego księcia Jana z rodziną”. Gdyby Luksemburg zaatakował Ugandę, to amb. Young określiłby to jako niedopuszczalny akt agresji białego kolonialisty. Czarny lub smagły Kubańczyk w Angoli i gdzie indziej to natomiast „akt stabilizacyjny” lub po prostu jeszcze jedna „afrykańska perypetia”.

Nie będę obrażał Czytelników *Kultury* opisywaniem na czym cały ten interes polega, w imię jakich ideałów Moskwa zapewnia całą kolosalną logistykę niezbędną dla kubańskiego safari. Nie wiem jeszcze w jakim stopniu cała operacja się powiedzie, Rosja sama nie wierzy, aby mogła w historycznie określonej przyszłości ostatecznie „ustabilizować” Afrykę. Ale już w tej chwili z baz położonych po obu brzegach Afryki (głębokie porty w Luan-da, Beira, Nakala, Porto Amalia, lotniska w Angoli, Somali, Etiopii i Mozambiku, w tym na wyspie Barazuto, gdzie NRD zainstalowała właśnie nowoczesny system radarowo-lokacyjny), że więc już dziś w zasięgu wojskowej kontroli Moskwy znajduje się droga, którą płynie do Europy Zachodniej 70 % jej ropy, nie mówiąc już o innych surowcach. Bez wpadania — jak nam radzi amb. Young — w panikę, dodajmy, że Afryka Południowa, która jest ostatecznym celem najpierw destabilizacyjnym a potem stabilizacyjnym Kuby i Moskwy, dostarcza tzw. „na razie” wolnemu światu 95 % platyny, 90 % chromu, 75 % wanadium, 70 % złota, 70 % manganu, nie mówiąc o innych strategicznych surowcach, niezbędnych dla życia i obrony nieustabilizowanej jeszcze części globu.

Wynika z tego, że agencja TASS miała rację, kiedy bardzo ostro zaatakowała Younga. Oczywiście, nie za jego tezę o stabilizacyjnej misji Kubańczyków, a za jego twierdzenie, że „ZSSR

eksportuje do Afryki tylko ideologię i broń". Otóż jest to istotnie dla ZSSR krzywdzące, albowiem do Afryki Moskwa eksportuje przede wszystkim Kubańczyków.

W polityce też bywa za późno

W związku z tym co wyżej, pozwalam sobie z całym należytym szacunkiem zwrócić uwagę ambasadora Younga na niektóre niezupełnie przekonujące elementy jego rozumowania.

Kiedy mianowicie Young twierdzi, że „do niedawna północ myślała tylko na białą” to Young ma rację. Young jednak się myli, że właściwą odpowiedzią na to może być sytuacja odwrotna, kiedy to „południe będzie myślało wyłącznie na czarno”. Świat tak jak telewizory nie jest wyłącznie czarno-biały, świat jest kolorowy. Alternatywą jest myślenie wyłącznie na czerwono.

Kiedy Young sądzi, że „Afryce Południowej dobrze zrobiłyby krótkie i przejściowe rządy marksistowskie” to ma on rację z wychowawczego punktu widzenia. Reżym *apartheidu* istotnie bowiem zasłużył na lekcję. Ale Young się myli, jeżeli sądzi, że rząd marksistowski kiedykolwiek kogolwiek nauczył demokracji i antyrasizmu. I że można mieć rząd marksistowski „na 15 minut”. Pan Young nie powinien zapominać, że jedyne zmiany w kierunku demokracji zaszły w krajach faszystowskich i że żaden kraj komunistyczny się nie zdemokratyzował. P. Young nie powinien ignorować faktu, że to Grecja, Portugalia i Hiszpania, a nie Polska, czy Czechosłowacja mają dziś ustrój bliski sercu p. Younga i prez. Cartera. I że rasizm panuje w ZSSR, a nie ma go w Hiszpanii.

Kiedy więc Young twierdzi, że obecność Kubańczyków w Angoli i gdzie indziej może działać jako czynnik stabilizacyjny, to Young ma rację. Ale Young powinien wiedzieć, że jest to stabilizacja kolonialna, której on tak nie lubi. To w imię takiej stabilizacji Hitler najechał Sudety i Austrię, Rosjanie utopili w krwi Węgry w 1956 roku i zajęli Czechosłowację w 1968 roku. A co powie amb. Young, kiedy w dniu śmierci marszałka Tito (właśnie skończył 85 lat) Serbowie i Kroaci wezmą się, jak za dawnych czasów za rby, i wojska Armii Czerwonej zajmą Jugosławię, dojdą do portów nad Morzem Śródziemnym, zagrożą Włochom i całej Afryce północnej, nie mówiąc już o Bliskim Wschodzie, wszystko właśnie w imię stabilizacji. A cóż innego zrobiła Syria w Libanie? Każda okupacja działa jako czynnik stabilizacyjny, przynajmniej na krótką metę. W końcu Ku Klux Klan, organizacja znana Youngowi, a zwłaszcza jego niepolskim przodkom, działała na południu Stanów po wojnie cywilnej także w imię stabilizacji.

Ambasadorami USA w ONZ przed Youngiem byli Irlandczyk Moynihan i Żyd Goldberg. Ale ani jeden ani drugi nie korzy-

stali z tej trybuny w interesie wyłącznie Irlandii czy Izraela (choć w tej drugiej sprawie TASS i PAP bywali innego zdania).

Redakcja *Kultury* odpowiedziała niedawno na pytanie pisma amerykańskiego *The National Review* na temat nadziei, jakie demokratyczne uchodźstwo polskie wiąże z faktem, że polityk polskiego pochodzenia zasiada najbliżej prawicy Cartera. *Kultura* bardzo mądrze odpowiedziała, że wiąże wielkie nadzieje z przekonaniem, iż prof. Brzeziński działać będzie zgodnie z interesem nie polskiego wychodźstwa, a zgodnie z interesem USA, w czym jego znajomość spraw Europy Wschodniej może się okazać bardzo przydatna. Otóż, należy wyrazić nadzieję, że znajomość problemów rasowych pozwoli ambasadorowi Youngowi działać zgodnie z interesem Stanów Zjednoczonych, a nie tylko wąsko pojętych interesów grupowych, wszystko jedno klasowych, kolorowych czy regionalnych.

P. Young ma rację, kiedy twierdzi, że nie należy wpadać w panikę jak tylko gdzieś na świecie pokaże się grupka 1.000 Kubańczyków. Ale niewpadanie w panikę powinno wynikać nie z ignorancji a z prawidłowej analizy sytuacji, nie z naiwności a z poczucia rzeczywistości. Brak własnego doświadczenia nie powinien upoważniać Younga do wysnuwania wniosków politycznych. P. Young twierdzi, że nigdy w życiu nie czuł się zagrożony przez komunizm. To chyba prawda (choć inni czuli się zagrożeni, i to jak jeszcze), ale p. Young przecież nigdy nie czuł się zagrożony przez dżumę czy cholera, a jednak zaszczepiłby się gdyby mu przyszło uczestniczyć w stabilizacji *slumsów* Kalkuty czy Old Delhi. Odmowa szczepienia politycznego też grozi zakażeniem i chorobą. I jak w medycynie, w polityce też bywa czasem za późno.

P. Young powinien jeszcze postudiować. Teologia pozwala poznać świat przyszły. Historia natomiast uczy naszego świata. Truman przez 5 lat wierzył, że „Joe” Stalin to człowiek honoru, zanim dojrzał i proklamował swą „doktrynę”, która pozwoliła uniknąć stabilizacji Grecji, Turcji itd. Kennedy jechał na wieńskie spotkanie z Chruszczowem pełen naiwnej wiary w swą pokojową i cywilizacyjną misję i w dobrą wolę Nikity. Dojrzał naprawdę do prezydenckiej funkcji dopiero po tym jak musiał zagrozić „światówką” aby wyrzucić z Kuby (na jak długo?) sowieckie rakiety atomowe o „amerykańskim” zasięgu.

Oczywiście, gdyby chodziło tylko o Andy Young'a, to byłoby nawet zabawne. Folklor polityczny wzbogaciłby się, a świat by na tym nie ucierpiał. Ale tu chodzi o prez. Cartera i o Stany Zjednoczone. Prezydenckie „katarsis” i niespokojne sumienie, jego przyjaźń dla Younga i poczucie winy z powodu spóźnionego zapłonu antyrasowego, nie powinny skłaniać go do tolerowania i rozgrzeszania wypowiedzi, które przynoszą szkodę Ameryce, i wywołują żal i rozgoryczenie np. w Europie Wschodniej, gdzie odkrycia amb. Younga, pomagają — zapewne wbrew jego intencjom — w umacnianiu tego, co się nazywa doktryną Breżniewa, a co polega na uzasadnianiu kryteriami stabilizacji

— okupacji połowy Europy przez wojska sowieckie. Pewnie, to prawda, że nie chodzi tu o Murzynów, a o zwyczajnych białych Polaków, Czechów czy Niemców... Jest tam ich tylko głupie 100 milionów ludzi, którzy mogliby pewnego dnia Ameryce się nawet przydać... Chodzi przecież o ostatnich naprawdę szczerych i bezinteresownych przyjaciół Stanów Zjednoczonych w całym świecie.

Gdzieś niedawno przeczytałem mądrą i ładną próbę zdefiniowania co to jest doświadczenie: „Jest to wiedza zdobyta nie poprzez lekturę, a przez dotyk, wzrok, słuch, przez sukcesy i porażki, przez bezsenność, oddanie, miłość, przez wszystkie ludzkie doznania i emocje, jakie są na tej ziemi udziałem całej ludzkości i każdego człowieka oddzielnie, i może jeszcze także poprzez wiarę i szacunek dla niektórych rzeczy, których gołym okiem dojrzeć nie możemy”.

Definicja ta należy do Adlai'a Stevensona, najwspanialszego z poprzedników Younga na stanowisku ambasadora USA w ONZ. Życzę Young'owi, aby w jego doświadczeniu było więcej sukcesów niż porażek, więcej szacunku dla rzeczy, których nie potrafił, albo nie miał jeszcze okazji własnym okiem dojrzeć.

Życzę mu tego w interesie USA, i w jego własnym interesie. W moim zresztą także.

BRUKSELCHYK

Pisane 12 czerwca 1977 r.

Korespondencja z Rzymu

Kadar w Watykanie — „historyczny zwrot”?

Paweł VI przyjął 9 czerwca (w święto Bożego Ciała) Janosa Kadar, pierwszego sekretarza węgierskiej kompartii (podobnie jak gdzie indziej, zowie się ona socjalistyczną partią robotników, mającego na sumieniu około 2.000 ofiar represji po powstaniu 1956 roku (rozstrzelanych lub wywiezionych do ZSSR i przypadłych bez śladu). Stworzono tym samym precedens. Przyjmowani dotąd przez Papieża przywódcy komunistyczni (np. Podgorny, Gromyko) mieli funkcje rządowe. Co za różnica? — można zapytać. Bardzo istotna. Nie chodzi oczywiście o aspekt czysto formalny. Oficjalne przyjęcie *leader'a* partii w charakterze faktycznej głowy państwa nie tylko nobilituje go w oczach katolików, lecz stwarza pewien wzór stosunków z reżymami komunistycznymi, które Paweł VI uważa za przynoszące korzyść Kościołowi. W przemówieniu powitalnym Papież podkreślił znaczenie

„przebytej drogi (14 lat rokowań) dialogu... rokującej dalsze postępy”. W tekście tego przemówienia pełno jest takich terminów jak „obrona pokoju”, „wzajemne zrozumienie”, „konieczność współpracy”. Nie brak również fragmentu poświęconego konferencji w Helsinkach i realizacji postanowień jej Aktu Końcowego. Papież przyznał jednak, w zawołowanej co prawda formie, że „normalizacja” stosunków watykańsko-węgierskich wywołując liczne zastrzeżenia tych którzy na nią „patrzą nieraz krytycznie lub z niepokojem”. Pozostawia ostateczny osąd historii, która „przez dwa tysiące lat istnienia Kościoła pozwoliła mu przejść przez zmienne koleje losu”. Model stosunków Kościół-Państwo na Węgrzech, uformowany w ostatnich trzech latach (od dymisji kard. Mindszenty'ego), odpowiada pewnej przeciętnej, którą — jak się wydaje — Papież uważa za osiągalne optimum. Gorzej jest w ZSSR i Czechosłowacji — lepiej w Polsce, i w obydwu przypadkach Watykan napotyka na przeszkody bądź ze strony reżymu bądź ze strony hierarchii kościelnej (tak jak w Polsce), przeciwstawiającej się watykańskiej „licytacji w dół”. Na skadaryzowanych Węgrzech udało się uniknąć tarć mimo że, jak przyznał Paweł VI, „nie ucichło jeszcze całkowicie echo okresu napięć”. Wszystko jest tam upozorowane, pokryte szarą powłoką tak jak szarą postacią jest sam Kadar, budowniczy „gulasz-komunizmu”, obdarzony darem realizowania kompromisów i zdolnością manipulowania i korumpowania (także biskupów i kleru).

Prasa tutejsza komentowała wizytę Kadar za Śpiżową Bramą jako „historyczny zwrot” i „tryumf *Ostpolitik* mons. Casaroli”, cytując niedawną wypowiedź Prymasa Węgier, kard. László Lekai'a: „nasz Kościół znalazł nowe miejsce w społeczeństwie socjalistycznym”. Nie brak bardziej wyważonych spostrzeżeń. Socjalistyczny dziennik *La Repubblica* stwierdza np., że milczenie Papieża na temat niemal równoczesnej, prowokacyjnej konferencji biskupa-rebelianta Lefebvre'a (w pałacu książęcej Pallavicini na *vis-à-vis* Kwirynału) tłumaczy się „niemożnością replikowania na oskarżanie go o filokomunizm kiedy zgadza się na tak kompromitującą wizytę” (Kadar). W kołach watykańskich „historyczną” wizytę interpretuje się niemal wyłącznie w kategoriach dyplomatycznych i międzynarodowych (jako aport Stolicy Apostolskiej do konferencji w Belgradzie). Nikt sobie nie zawraca głowy realiami życia religijnego na Węgrzech. Po „normalizacji”, przynoszącej korzyść obydwu stronom (Kadar pochwalił swych kościelnych podopiecznych: „przedstawiciele Kościoła oświadczyli uroczystie, że chcą wnieść wkład w budownictwo socjalistyczne”) przebąkuje się już o następnej fazie, tzn. „kolaboracji”. A ponieważ Kadar na konferencji prasowej po wizycie u Papieża oświadczył, iż respektuje „eurokomunizm”, niektórzy włoscy watykanolodzy wyciągają wniosek że Watykan pragnął zabezpieczyć się na wypadek dojścia do władzy włoskiej partii komunistycznej, licząc na to że model kadarowski, oparty na swoistym „kompromisie historycznym”, będzie promieniował z czasem na

Moskwę i inne stolice wschodnioeuropejskie. Powierzchnia to — oczywiście — ocena i przecenianie możliwości Kadara, jak również niebezpieczne złudzenia na temat eurokomunizmu. Zgodnie jednak z wiekową tradycją dyplomacji watykańskiej u schyłku pontyfikatu stara się utrzymać pozycję centrową, nie ulegając biernie nowym sytuacjom, lecz dążąc do ich kontrolowania.

Model kadarowski od podszewki

Mianowani w 1975 roku nowi biskupi zobowiązali się do wystąpienia, po konsekracji, z „ruchu księży pokoju” (organizacja kontrolowana przez reżym „księży-patriotów”). Słowa nie dotrzymali. Trudno, „wszystkie rokowania, zwłaszcza z reżymami komunistycznymi, mają swą cenę” — brzmiała nieoficjalna wykładnia watykańska. Dzięki temu (przymknięcie oka na niewykonanie pewnych zobowiązań) stworzono na Węgrzech *modus vivendi*. Szef Urzędu d/s Wyznań, Imre Niklos, przechwala się dziś: „ugłaskaliśmy episkopat”. Biskupi mają ręce związane, wyświęcają tylko tych księży, którzy uzyskują aprobatę Urzędu. Czy można się dziwić, że w tej sytuacji biskupi stronią, ba — obawiają się — działalności katolickich „grup spontanicznych, charyzmatycznych” (określenie wybitnego działacza węgierskiej Akcji Katolickiej na emigracji), które nie mają zaufania do swych pasterzy. Sytuacja jest paradoksalna: z jednej strony mamy manipulowanych przez reżym biskupów, z drugiej środowiska świeckie niezależne i nonkonformistyczne.

Kiedy pewien przedstawiciel węgierskiej Konferencji Episkopalnej podał triumfalnie do wiadomości podczas obrad Synodu w 1974 roku treść pisma urzędowego zawiadamiającego, że reżym budapeszteński wyraża zgodę na wprowadzenie nauki religii (na terenie kościelnym) dla uczniów szkół podstawowych — zapanała ogólna konsternacja. Biskupi zachodni nie ukrywali zaskoczenia: „to niesłychane, dopiero teraz dowiadujemy się że na Węgrzech panują tego rodzaju restrykcje wolności sumienia i religii”.

Nauczanie religii podlega ścisłej kontroli. Nauczyciel nie ma prawa zmienić ustalonych godzin lekcji. Władze ingerują w program nauczania i nominację wykładowców. Autonomia Kościoła w tej dziedzinie jest więc czystą fikcją. Telewizja nadaje tylko w niedzielę, w godzinach rannych, filmy rysunkowe Walt Disney’a, by odwieść dzieci od uczęszczania na mszę św. Wszelkie wydawnictwa, włącznie z podręcznikami do nauki religii, podlegają cenzurze, drukowane zaś za granicą są niedopuszczane. Dochodzi do tego że Prymas Węgier, kard. László Lekai wysługuje się reżymowi, interweniując w odpowiedniej dykasterii watykańskiej przeciw kościelnym publikacjom węgierskim, ukazującym się w krajach zachodnich (konkretnie przeciw pismu emigracyjnej Akcji Katolickiej, drukowanemu w Monachium). Na naukę religii uczęszcza niewielki procent dzieci w obawie niedostania

się na studia wyższe, gdzie obowiązuje niepisany *numerus clausus* dla praktykujących katolików. O tym wszystkim milczą jak zakłęte oficjalne źródła watykańskie.

Milczenie nie jest złotem

Finezje i sprzeczności polityki watykańskiej nie są zrozumiałe dla zwykłego śmiertelnika naszych czasów. Z Ukrainy, Litwy i Czechosłowacji napływają bez przerwy udokumentowane świadectwa o prześladowaniach, a *Osservatore Romano* pisze, że należy uniknąć, by na konferencji belgradzkiej doszło do „postawienia jednej strony na ławie oskarżonych”. Papież przyjmuje Kadara, nadając temu rozgłos, równocześnie zaś wydaje polecenia by nikt w Kurii Rzymskiej nie ważył się przyjmować rosyjskich dysydentów tej miary co Maksimow czy Siniawskij. Papież na audiencji zbiorowej 5 czerwca potwierdza, że „wiara chrześcijańska jest nie do pogodzenia z przynależnością do partii, której zasady programowe wynikają z ideologii ateistycznej” — równocześnie watykański organ *Osservatore Romano* wychwala włoskich komunistów za ich „uporczywą cierpliwość w rokowaniach z rządem” (chadeckim, który pragnie przewrócić, aby doprowadzić do stworzenia wielkiej koalicji). Meandry dyplomatyczne?

W ostatnich miesiącach odwiedziło Rzym szereg wybitnych emigrantów rosyjskich. Anatolij Lewitin Krasnow przywiózł tu apel w sprawie kampanii oszczerczej i represji, których ofiarą padli dwaj duchowni prawosławni: Dudko i Jakunin oraz dwaj świeccy: Regelson i Ogorodnikow. Ludmiła Aliksiejewa, z grupy Orłowa dla kontroli wykonywania uchwał konferencji w Helsinkach, gardłowała tu, przy poparciu *Amnesty International* i ośrodka jezuitów *Russia Ecumenica*, również głównie w sprawie losu prześladowanych grup wyznaniowych. Leonid Pljuszcz wezwał Kościół katolicki do poparcia dysydentów rosyjskich i innych narodowości, walczących o swobody religijne niezależnie od tego czy są wierzący czy nie. Żaden z tych dysydentów, mimo wstawiennictwa włoskich czynników kościelnych, nie mógł rozmawiać z nikim w Watykanie. Aleksiejewa z jej raportem o sytuacji Kościoła i katolików na Litwie (uznanego przez tutejsze litewskie koła kościelne za nader cenny) odesłano do Komisji *Justitia et Pax*, która jest organem biurokratycznym, magazynującym materiały z całego świata, rzadko je ujawniając. Sądząc po precedensach trudno spodziewać się by tym razem wynikł z tego jakiś pożytek. Pljuszcz wreszcie, deklarujący się jako marksista (ale już nie komunista), był tu gościem ukraińskiej kolonii katolickiej. Na konferencji prasowej oświadczył: „Zamierzam udać się również do Watykanu ponieważ Stolica Apostolska podpisała układy w Helsinkach i chyba jest zainteresowana w walce jaką prowadzą dysydenci religijni w ZSSR. Czy w Watykanie zdają sobie sprawę z tego, że o tym jaka wiara jest prawdziwa lub

nie decydują ateści, zamykając „nieprawomyślnych” wierzących w zakładach psychiatrycznych”. W Watykanie nie chciano o tym słyszeć. Pljuszcz wygłosił odczyt dla studentów Uniwersytetu Katolickiego ponadto podejmował go obiadem kardynał J. Slipyj. Podczas obiadu wygłosili przemówienia: prof. Ennio De Giorgi z Pizy, wybitny działacz *Amnesty International* i członek Międzynarodowego Komitetu Matematyków (który głównie przyczynił się do uwolnienia Pljuszcz), prof. Wasyl Markuś (znany historyk z Uniwersytetu Chicagowskiego) oraz wasz korespondent. Pljuszcz i inni uczestnicy tego spotkania podkreślili historyczną wagę deklaracji w sprawie Ukrainy, powstałej z inicjatywy *Kultury*. Obecny w czasie tego spotkania jezuita z ośrodka *Russia Christiana* powiedział: „Przyjęcie marksisty Pljuszcz przez kardynała, Patriarchę ukraińskiego, ma niewątpliwie walor ekumeniczny — dla Kościoła Powszechnego ten skromny epizod ma większe znaczenie niż przyjęcie Kadara przez Papieża. W tym ostatnim przypadku przekroczono granicę tego co możliwe” (w tłumaczeniu z włoskiego należy rozumieć: co dopuszczalne).

Nieporozumienie

W *Tygodniku Powszechnym* (29 maja br.) Andrzej Micewski polemizuje z niektórymi moimi uwagami na temat kryzysu i rozłamu w łonie grupy „Znak” (w korespondencji w nr. 1-2 *Kultury* z 1977). Oczywiście nie wymienia *Kultury* — cenzura pozwala w pewnych określonych wypadkach na cytowanie emigracyjnych pisarzy, ale pismo takie jak *Kultura* może być wymieniane jedynie jako obiekt ataków w instruktażowych broszurach propagandowych KC. Polemika sprawiła wrażenie, że artykuł Micewskiego przeleżał się dość długo w cenzurze — wiele spraw bowiem od stycznia wyjaśniło się i nie byłoby powodu do „walki z wiatrakami”, co mi autor imputuje. Sam Micewski odnosi się krytycznie do orientacji neopozytywistycznej („przeżył się”), identyfikującej się z działalnością publiczną St. Stommy. Nieporozumienie polega na tym, że oceniając negatywnie to zjawisko (neopozytywizmu i minimalizmu programowego grupy poselskiej „Znak”) i stwierdzając, że podobnie jak marksistowski rewizjonizm również i neopozytywizm katolicki wyczerpał wówczas swą funkcję, miałem na myśli okres zamykający się wydarzeniami z marca 1968 roku. Nie miałem, oczywiście, zamiaru osądzać *en bloc* negatywnie bilansu działalności „Znaku”. Zaslugi *Tygodnika Powszechnego*, miesięczników *Znak* i *Więź* są bezsporne i ogromne, zwłaszcza na polu wychowawczym i kulturalnym. Episkopat *nota bene* dobrze to rozumie i docenia i dlatego aż dwukrotnie wystąpił w obronie zagrożonych pozycji grupy „Znak” na swych konferencjach plenarnych. Wydaje mi się, że w dużej mierze prawdziwym obiektem polemiki i rozżalenia Micewskiego jest raczej Międzynarodówka Chrześcijańsko-Demokratyczna, której przypisuje przemożny na mnie „wpływ”. Pra-

gnę wyprowadzić go z błędu: nie byłem i nie jestem ani funkcjonariuszem ani działaczem tej organizacji, w przeciwieństwie do innych polskich uczestników „Zespołu Stronnictwa Pracy działającego za granicą”. Zachodzi sytuacja raczej odwrotna: to ja, jako ekspert i dziennikarz mogę czasem mieć wpływ — zwłaszcza przez włoską *Democrazia Christiana* — na jej oceny sytuacji we Wschodniej Europie. Współpraca tego typu oczywiście w niczym nie krępuje ani mojej niezależności myślenia ani swobody ruchów. Działamy przecież w układzie stosunków radykalnie odmiennych od panujących w kraju. „Pomówienia” natomiast — o jakich pisze Micewski w związku z serią artykułów, jakie ukazały się w piśmie niemieckim *Rheinische Merkur*, przypisując je bliżej nie określonym (ale zapewne dobrze mu wiadomym) „działaczom tej Międzynarodówki” — świadczą o prowokacji, którą — o ile mi wiadomo — właściwe czynniki kościelne zdemaskowały.

Dominik MORAWSKI

FRAGMENTS

Redaguje CHARLES JOEL

Rozpoczęto 4-ty rok działalności, dotyczącej przekładów artykułów *Kultury* na język angielski. Prenumerata na rok 1977 — 10 numerów — wynosi dol. 8.50 włącznie z kosztami przesyłki. Indeksy wysyłane są bezpłatnie na indywidualne zamówienia.

Każdy nowy prenumerator, który wpłaci dol. 23.50 będzie miał pokryty abonament na dwa lata 1977 i 1978 a ponadto otrzyma dwa tomy *Fragments* za lata 1974 i 1975 (20 numerów). Ze względu jednak na ograniczoną ilość dawnych numerów Redakcja zastrzega sobie prawo odmowy powyższej oferty i zwrot nadesłanych pieniędzy, gdyby zamówienie przyszło już po wyczerpaniu nakładów.

Zamówienia i czeki należy przysyłać do:

FRAGMENTS

Correspondance Home Study of Languages
P.O. Box 744, Sutter Creek, Cal. 95685. U.S.A.

Sąsiedzi

Idea wspólnoty środkowo-europejskiej

Zespoły Studiów

W okresie 10-13 marca odbyło się w Lindefels w górach Odenwaldu kolejne niemiecko-polskie sympozjum. Ogólnym tematem sympozjum było „PRL a podzielone Niemcy”, lecz pytaniem podstawowym, które wisiało nad zebranymi, była sprawa polsko-niemieckiego pojednania nie w sensie jakiejś doraźnej akcji politycznej, lecz zasadniczej wzajemnej postawy.

Było tam 14 osób ze strony polskiej przebywających obecnie w różnych ośrodkach naszej emigracji, w tym pewna ilość osób którzy przez pewien czas pracowali w PRL. Ze strony niemieckiej była mniej więcej ta sama liczba uczestników, przeważnie profesorów uniwersytetu lub osób tak czy inaczej związanych ze studiami nad Europą Wschodnią. Zjazdy w Lindefels mają już blisko piętnastoletnią tradycję; odbywają się periodycznie mniej więcej co półtora roku. Zjazdy te są organizowane przez fundację, która nazywa się *Studiengesellschaft für Fragen Mittel- und Osteuropäische Partnerschaft*, która jest w dużym stopniu związana z inną organizacją działającą pod nazwą *Conference on European Problems*. Obydwie te fundacje korzystają dla publikacji zebranych przez nich materiałów z wielkiego wydawnictwa naukowo-historycznego *Dokumente und Kommentare zu Ost-Europa Fragen*, które zawiera już około dwudziestu tomów, i którego naczelnym redaktorem jest prof. Alfred Domes, wykładający nauki polityczne na *Freie Universität* w Berlinie. Wiele wiadomości o ruchu niemiecko-polskiego zbliżenia podaje również periodyk *Kultur-Politische Korrespondenz* wydawany przez *Ost-deutscher Kulturtrat* pod redakcją Peter Nassarskiego, Niemca pochodzącego ze Śląska Cieszyńskiego.

Osobiście zdarzyło mi się brać udział w dwóch zjazdach zorganizowanych przez te fundacje: na jesieni 1971 roku byłem na międzynarodowej konferencji na temat problemów europejskich

w Rockville, Maryland, niedaleko Waszyngtonu, a potem w marcu 1977 roku w spotkaniu w Lindefels. Swoje rozważania, które podaję poniżej, opieram na wrażeniach i materiałach, które zbierałem podczas tych dwóch zjazdów.

Jeżeli chodzi o personalia, to miałem wrażenie na obydwóch zjazdach, że centralną rolę odgrywały te same osoby: dr Gotthold Rhode, profesor historii na uniwersytecie w Moguncji oraz dr Jerzy Hauptmann profesor nauk politycznych w Park College, Parkville, Missouri, w Stanach Zjednoczonych. Nazwisko prof. Rhodego jest znane polskim czytelnikom. Jest on wybitnym badaczem dziejów reformacji w Polsce, autorem podręcznika historii Polski, który miał już kilka wydań, oraz honorowym członkiem Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie. Za swoje specjalne zadanie jako historyka uważa on odkłamywanie historii polsko-niemieckich stosunków. W tym celu utrzymuje żywy kontakt z historykami w PRL i usiłuje wpływać na to co w szkolnych podręcznikach jest podawane o tych stosunkach. Urodzony w 1916 roku w Poznańskim; podczas wojny stracił brata, który służył w wojsku polskim. Prof. Hauptmann jest Polakiem urodzonym w 1920 roku; podczas wojny był żołnierzem Armii Krajowej; skończył podchorążówkę A.K.; w Powstaniu Warszawskim zdobył Krzyż Walecznych i został awansowany na porucznika. Jest on współautorem, razem z prof. Rhode, książki *Lindenfelser Gespräche*, stanowiącej sprawozdanie z szeregu dyskusji prowadzonych na poprzednich zjazdach w Lindenfels.

Prawie wszyscy Niemcy, którzy byli uczestnikami spotkania w Lindenfels, mówili po polsku. O ile mogłem się zorientować, większość była urodzona w granicach przedwojennej Polski. Kilka osób pochodziło z Łodzi. Mówiono o nich żartobliwie „mafia łódzka”. Jedyna kobieta, która ze strony niemieckiej brała udział w spotkaniu prof. dr Gerda Leber-Hagenau z Wiednia jest również łódzianką.

Przysłuchując się dyskusji myślałem, że właśnie owi wysiedleńcy (tzw. *Vertriebenen*) są najważniejszym środowiskiem dla wszelkiej akcji zbliżenia polsko-niemieckiego. Wielu z nich ma niekłamany sentyment dla kraju swego urodzenia oraz miejsc swego dzieciństwa. Tłumaczenia z obecnej literatury polskiej, które dziś zalewają rynek niemiecki, są zwykle dokonywane przez wysiedleńców. Sławny już obecnie tłumacz literatury polskiej Karl Dedecius jest urodzony w Łodzi. Niewątpliwie istnieją jeszcze, szczególnie pomiędzy wysiedleńcami z Prus Wschodnich i Śląska, ludzie, którzy marzą o nowych masowych przesiedleńcach oraz o wznowieniu w ten sposób pasma zbrodni związanych z ostatnią wojną. Jednak, według tego co mi mówili wszyscy znawcy terenu, liczba ich gwałtownie spada. Gdyby emigracja polska miała jakiś zorganizowany aparat propagandy tym środowiskiem musiałaby się specjalnie zainteresować. Propaganda musi iść nie do tych, którzy mają zbliżone poglądy, lecz przede wszystkim do tych, którzy myślą inaczej. Każdy dialog, oczy-

wiecie, wymaga dobrej woli, aby zrozumieć postawę przeciwnika. Możliwie, że najwłaściwszą drogą do przełamania różnego rodzaju uprzedzeń byłby bezpośredni dialog pomiędzy tymi, którzy obecnie na tych ziemiach mieszkają, a tymi którzy tam mieszkali przed wojną.

Niedawno pismo *Warmia i Mazury* wydawane w Olsztynie zwróciło się do prof. Rhodego z prośbą o wywiad. W trakcie tego wywiadu redaktor (T. Willan) postawił — pomiędzy innymi — pytanie, czy prof. Rhode nie uważa, że *die Vertriebenen* mogą spełnić pożyteczną rolę w dziele normalizacji stosunków pomiędzy naszymi narodami. Odpowiedź prof. Rhodego była jak najbardziej pozytywna. Zdaniem jego *die Vertriebenen* mogą być najlepszymi orędownikami porozumienia, bowiem oni są najbardziej zainteresowani w sprawach ich polskiego sąsiada. „My, którzyśmy niegdyś w Polsce mieszkali — dodał prof. Rhode — po prostu nie możemy siebie od tego kraju oderwać... Słowo Polska nie jest dla nas pustym dźwiękiem i cieszy mnie bardzo, że mogę z Panem tę rozmowę w polskim odbywać języku¹”.

Problem Europy

Ten ruch naukowo-badawczy, który jest tutaj omawiany, rozwija się, jak to już powyżej było powiedziane, dwoma kanalami: *Conference on European Problems* oraz dyskusje Lindenfeldskie. Z natury rzeczy tematy dyskutowane w pierwszym kanale mają bardziej ogólne i bardziej ramowe znaczenie, niż dyskusje w Lindenfelds. Kwestia stosunku pomiędzy Niemcami a słowiańskimi narodami Centralnej Europy (tzn. Polakami i Czechami) jest tylko jednym z aspektów ogólnego problemu Europy. Omawiane sympozja uwydatniają wagę i całe skomplikowanie tego aspektu. Dotychczas wydano osiem książek ze streszczeniami referatów na zjazdach *Conference on European Problems*². Przeanalizowane zostało znaczenie zachodnio-europejskiej integracji dla sytuacji w Europie Wschodniej, jak również znaczenie sprawy Berlina, *détente*, kwestii rewizjonizmu i dogmatyzmu w krajach satelickich itd. Poddano analizie same pojęcie Europy. Czy Europa to tylko przedgórze kontynentu azjatyckiego jak twierdził po pierwszej wojnie Paul Valéry? Czy też to tylko przyczółek mostowy Stanów Zjednoczonych w narastającym konflikcie z Rosją Sowiecką, jak wielu twierdziło po drugiej wojnie? Czy też Europa ma stanowić niezależne centrum dyspozycyjne w pentagonistycznym (Stany Zjednoczone, Rosja, Chiny, Japonia i Europa) układzie równowagi światowej co stanowiło podobnie doktrynę Nixona, według tego co na VIII sympozjum twierdził amerykański historyk Ryszard N. Current? A jeżeli to ostatnie ma być słuszne —

1. Kulturpolitische Korrespondenz, marzec 1977, Nr 99.

2. Bibliograficzne dane patrz: *Europa. Bilanz und Auftrag*, Edition Atlantic Forum, 1974, str. 319.

to jaka w tym ma być rola krajów Centralnej Europy, którym logika geografii i historii narzuca konieczność szukania jakichś dróg integracji?

Z natury rzeczy musiał zarysować się problem konfrontacji Wschodu i Zachodu (*Ost-West — Polarität*). Oczywiście militarne aspekty tego problemu nie mogą być pominięte. W konferencji w Rockville w 1971 roku brało udział kilku wyższych wojskowych francuskich i holenderskich. Nie jest jednak wcale rzeczą pewną, że zbrojne starcie jest nieuniknione. Kolosalne zbrojenie i kolosalne nagromadzenie sprzętu przez Sowiety stanowi środek psychologiczny, który ma zdemoralizować przeciwnika przedtem niż padną pierwsze strzały.

W tej konfrontacji Środkowa Europa jest terenem szczególnie newralgicznym. Podtrzymanie na tym terenie wzajemnie wrogiej postawy pomiędzy Niemcami i Polakami jest jednym z warunków sowieckiego sukcesu. Sowiety, jak się wydaje, mają w obecnej grze dwa bezpośrednie cele: 1) zdobycie kontroli nad niemieckim przemysłem, co niekoniecznie musi wiązać się z jego nacjonalizacją; 2) „finlandyzacja” reszty Europy. Ten drugi cel, jak się wydaje, jest już częściowo osiągnięty. Możliwe, że NRF jest również na drodze do „finlandyzacji”.

„Conference on European Problems” stanowi wysiłek zrozumienia w drodze chłodnej analizy tego, co się dookoła nas dzieje. Sądzę, że to zrozumienie potrzebne jest szczególnie samemu społeczeństwu niemieckiemu. Wydaje mi się, że powodem troski dla Europy i świata muszą być nie tyle owi niemieccy rewizjoniści, należący do odchodzącej generacji, ile fakt, że przeciętny Niemiec z drugiej połowy lat siedemdziesiątych staje się coraz bardziej podobny do przeciętnego Francuza z drugiej połowy lat trzydziestych — i wcale nie wykazuje zapału do broniienia swego dobrobytu i swego bogactwa przed groźną potęgą, która wisi nad Europą ze Wschodu. Zdemilitaryzowane psychicznie Niemcy, które wyłoniły się z drugiej wojny światowej, mogą okazać się zbyt miękkie, aby pełnić rolę przedmurza Europy.

Tematy Lindenfeldskie

Dyskusje w Lindenfelds zostały omówione w książce wspólnie napisanej przez prof. Rhodego i prof. Hauptmanna³. Dotyczy ona pięciu zjazdów pomiędzy 1964 a 1971 r. Tematyką jest zarówno sytuacja w latach przedwojennych jak i rozwój pod panowaniem komunistycznym w Polsce.

Stosunkowo dużo miejsca poświęcono omawianiu historii polskiego komunizmu i chociaż ludzie, którzy dziś rządzą w Warszawie są przede wszystkim wykonawcami instrukcji Moskwy, dzieje ich własnej partii muszą w jakimś stopniu ważyć na ich zachowanie.

3. Hauptmann — Rhode, *Lindenfelder Gespräche*, Edition Atlantic Forum — 1972.

waniu się. Przed pierwszą wojną światową Socjal-Demokracja Królestwa Polskiego i Litwy (SDKPiL) była przeciwna idei niepodległości Polski. Róża Luksemburg, niewątpliwie wybitny umysł teoretyczny wyrosły w łonie polskiego socjalizmu, była przeciwna idei niepodległości Polski, za co została skrytykowana przez Lenina, który uważał, że proletariatu Polski dopiero we własnym państwie może stać się prawdziwym budowniczym socjalizmu. Z łona SDKPiL wyszedł również Feliks Dzierżyński, który doktrynę dyktatury proletariatu przeistoczył w system masowych egzekucji i obozów koncentracyjnych. Stalin w tym zakresie był jego kontynuatorem. Komuniści wykazywali wrogi stosunek do niepodległości Polski nawet w czasie, kiedy niepodległe państwo Polskie było już uznane przez cały świat. W 1923 roku na zjeździe Niemieckiej Partii Komunistycznej uchwalono rezolucję popartą przez wszystkie partie komunistyczne sąsiednich krajów, oprócz Danii, że jedynie słuszną wschodnią granicą Niemiec jest granica 1914 roku⁴. Po tej linii poszedł potem układ Ribbentrop-Mołotow.

Mniej więcej od połowy lat dwudziestych zaczęły się w Polskiej Partii Komunistycznej zarysowywać poglądy głoszące, że własne niepodległe państwo należy do ideałów klasy robotniczej. Pogląd ten odrzucał myśl o możliwości przyniesienia rewolucji socjalistycznej do Polski na bagnietach Armii Czerwonej i głosił, że rewolucja ta musi być dziełem samych Polaków. Wśród polskich komunistów wysuwają się takie nazwiska jak Warski, Kostrzewa, Jerzy Czeszejko-Sochacki. To obudzenie się tendencji patriotycznych w łonie polskiego komunizmu nie odpowiadało jednak planom Moskwy, szczególnie w czasie gdy Stalin przygotowywał sojusz z Hitlerem. Niedługo przed wybuchem drugiej wojny światowej wezwano więc do Moskwy szereg przywódców Polskiej Partii Komunistycznej, prawie cały Komitet Centralny, — tam ich wymordowano.

Historia polskiego komunizmu dostarcza bardzo wiele interesującego materiału dla socjologa i psychologa i wymaga nowego Koestlera, aby ją opisać. Niedawno (w 1976 roku) angielski autor Paul Read, który poznał historię polskiego komunizmu — wydał powieść, gdzie opisuje ów proces budzenia się nastrojów patriotycznych wśród polskich komunistów w okresie niepodległości a potem likwidacji przywódców, którzy dobrowolnie jechali do Moskwy na śmierć jakby urzeczonymi hipnotyzującym wzrokiem boadusiela⁵. Te fragmenty w dziejach polskiego komunizmu były dyskutowane podczas spotkania w Lindenfels jesienią 1969 r.

Po wojnie, gdy PPR zastąpiła rozwiązana w 1938 roku przez Komintern Polską Partię Komunistyczną, hasła narodowe były wśród komunistów zalecane i popierane: komunizm zaczął łączyć się z nacjonalizmem. Potem przyszły czystki stalinowskie oraz uwięzienie Gomułki, co stworzyło jego legendę, która zresztą niedługo po 1956 roku pękła jak bańka mydlana.

4. *Lindenfelser Gespräche*, str. 98-100.

5. Piers Paul Read, *Polonaise*. The Allison Press, London, 1976.

Po wypadkach węgierskich i czeskich została sformułowana doktryna Breżniewa, która zawiązała nad Polską jako przypomnienie o ciągłej groźbie nowego najazdu. Obecnie wojska sowieckie skoncentrowane w NRD są zwrócone frontem nie tylko na Zachód, lecz są również gotowe ruszyć na Wschód, gdyby PRL zaczęła wykazywać jakieś tendencje do niezależności od Związku Sowieckiego. Doktryna Breżniewa była dyskutowana podczas spotkania w 1971 roku (referat Aleksandra Uszakowa).

Ostatnio, o ile można się zorientować, rozpoczął się nowy okres w polityce Moskwy wobec Polski. Dotychczas PRL była państwem formalnie niepodległym. Ostatnio przeprowadzone zostały zmiany Konstytucji, do której wprowadzono paragraf nakazujący „przyjazną” politykę zagraniczną w stosunku do Związku Sowieckiego, co oznacza likwidację formalnej suwerenności PRL. Daje to możliwość Związkowi Sowieckiemu różnych interwencji „w obronie polskiej konstytucji”, tak jak było za czasów Katarzyny II-giej. Powstaje pytanie jaki może być cel tego nowego upokarzania Polaków. Widocznie istnieją jakieś obawy, że PRL, zachowując ortodoksyjną komunistyczną, może zacząć wyłamywać się w sprawach polityki zagranicznej, tak jak to czasami czyni Rumunia, — i dlatego, obok doktryny Breżniewa, trzeba było stworzyć jeszcze jedną groźbę, która by trzymała Polaków pod terrorem. Sprawa nie jest jednak jasna.

Jedno spotkanie (wiosną 1966 roku) poświęcone było pozycji Kościoła oraz aktywności organizacji katolickich, które są tolerowane przez władze, jak i tych, które są w pewnym stopniu inspirowane jako narzędzie propagandy reżymowej. List biskupów polskich do niemieckich, wysłany w okresie Synodu Biskupów w Rzymie w 1965 roku, nie wywołał, sądząc ze sprawozdań, większych dyskusji w Lindenfels. W 1967 roku jednak to samo wydawnictwo, które wydało *Lindenfelser Gespräche* (*Atlantic Forum*), wydało ten list oraz odpowiedź niemieckich biskupów katolickich a także głosy prasy w różnych krajach na ten temat⁶. Należy żałować, że pominięto w tym wydawnictwie oświadczenie Synodu wyznania ewangelickiego oraz oświadczenie intelektualistów katolickich, zgrupowanych w *Bensberger Kreis*. Oba te akty były ważnymi krokami na drodze pojednania polsko-niemieckiego.

Spotkanie w 1967 roku było poświęcone przemianom demograficznym i socjalnym oraz polityce gospodarczej. Na ostatnim spotkaniu (tzn. w marcu 1977) wypłynęła sprawa metod i dróg eksploatacji Polski przez Związek Sowiecki. Jeden z uczestników ze strony polskiej, stosunkowo „świeży” emigrant z PRL, który bardzo dobrze zna się na sprawach wojska, wysunął tezę, że jednym z głównych sposobów eksploatacji Polski jest nakazywane przez Dowództwo Paktu Warszawskiego nabywanie w Związku Sowieckim różnego rodzaju kosztownych nowoczesnych broni, np. — rakiet, za które trzeba płacić kolosalne sumy w towarach i różnych wytworach polskiego przemysłu. Konieczność płacenia

6. *Deutsch-Polnische Dialog*, Edition Atlantic Forum, 1967.

haracz na sowiecki przemysł zbrojeniowy pochłania znaczną część sił produkcyjnych Polski, oraz wywiera presję na stopę życiową szerokich mas zarówno, w Polsce jak i w innych krajach satelickich, a także w samym Związku Sowieckim. Za czasów Stalina Gułag eksploatował miliony ludzi; za naszych dni sowiecki przemysł zbrojeniowy stał się Lewiatanem, który wypompowuje soki żywotne z ludności sowieckiej i krajów satelickich.

Sąsiedzi

Wyrazem ruchu w kierunku niemiecko-polskiego zbliżenia jest wydanie przez *Ostdeutscher Kulturrat* w Bonn wspaniale ilustrowanej książki *Nachbarn Seit Tausend Jahren*⁷. Książka, poprzedzona wstępem przez prof. Rhode, została napisana przez trzech autorów: dr. Richarda Breyera, dyrektora Herder-Institut w Marburgu, Piotra Nassarskiego, obecnego redaktora *Kultur-Politische Korrespondenz*, oraz p. Janusza Piekalkiewicza. Księga jest poświęcona różnym aspektom — religijnym, politycznym, artystycznym, naukowym — stosunków polsko-niemieckich w perspektywie historycznej. Główny nacisk jest położony na wzajemne, przeważnie pokojowe, przenikanie się w ciągu tysiąclecia. Szereg zachodnio-słowiańskich terenów uległ asymilacji, przeważnie w rezultacie niemieczenia się książąt dzielnicowych oraz wyższych warstw społecznych, w drodze analogicznej do pokojowego polonizowania się ludności Wielkiego Xięstwa Litewskiego.

Polska ze swej strony wchłonęła bardzo wielu Niemców, którzy z biegiem czasu zupełnie spolonizowali się i zapomnieli o swoim niemieckim pochodzeniu. Gen. Dąbrowski, którego imię weszło do naszego hymnu narodowego, był urodzony z matki Niemki, wychowany w Niemczech i przez pewien czas myślał o oddaniu tronu polskiego w ręce dynastii Hohenzolernów. Naczelnik Rządu Narodowego w powstaniu styczniowym Romuald Traugutt, powieszony przez Moskali, był z pochodzenia Niemcem. Pochodzenia niemieckiego był także szereg innych przywódców tego powstania: Giller, Schwarze, Ruprecht, Lempke, Hauke-Bosak, Aweyda. Do tego możemy dodać, że w kampanii wrześniowej szereg wyższych dowódców, którzy specjalnie odznaczyli się, miało z niemiecka brzmiące nazwiska. Warszawa i Drezno były zaprzyjaźnionymi miastami. Rzeczpospolita dwukrotnie powoływała elektorów saskich na tron Polski. Konstytucja 3 maja ustanowiła dynastię saską jako dziedziczną dynastię po śmierci Stanisława Augusta.

Księga omawia również różne perypetie stosunków pomiędzy Rzeczpospolitą a Prusami. W 1525 roku Albrecht Hohenzolern składał na rynku krakowskim hołd Zygmunutowi Staremu, jako lennik Rzeczypospolitej. W 1657 roku w wyniku wojen szwedzkich

7. Richard Breyer — Peter E. Nassarski — Janusz Piekalkiewicz, *Nachbarn Seit Tausend Jahren*, Hase und Kochler Verlag.

Rzeczpospolita uznała pełną suwerenność swego pruskiego sąsiada; a w następnym stuleciu Fryderyk Wielki brał udział w intrygach przeciwko samemu istnieniu Rzeczypospolitej. Lecz pomiędzy Prusami a narodem niemieckim nie można postawić znaku równania. Faktyczne ziemie krzyżackie nie należały nawet do tego, co stanowiło Pierwszą Rzeszę Niemiecką. W zeszłym stuleciu, aby ustalić hegemonię Prus w świecie niemieckim, Bismarck musiał stoczyć wojnę z Austrią i Danią, oraz pociągnąć południowo-niemieckie państwa widokami oderwania od Francji Alzacji i Lotaryngii. Stworzone przez Bismarcka cesarstwo nie było pod względem strukturalnym monolitem. Przed pierwszą wojną światową jako sztabak w szkole rosyjskiej, musiałem do egzaminów z geografii, wkuwać nazwy sześciu królestw, dwudziestu pięciu księstw i trzech wolnych miast, które stanowiły pobismarckowską Rzeszę. Dopiero Traktat Wersalski — z jego nonsensownymi reparacjami i zamknięciem drogi do odbudowania monarchii Habsburskiej która stanowiła czynnik równowagi w Europie, oraz połowicznym załatwieniem sprawy Gdańska — stworzył psychologiczne warunki do przekształcenia narodu niemieckiego w nacjonalistyczny monolit prześlągnięty nienawiścią do otaczającego świata.

Omawiana książka, oczywiście, nie pomija antypolskiej polityki Bismarcka. Lecz jednocześnie podaje ciekawe szczegóły o wahaniach Bismarcka pod tym względem. Bismarck widział dwie alternatywy: albo wzmocnić przyjaźń z Rosją przez eksterminowanie polskości, albo dążyć do zbudowania silnej Polski, opartej o Dniepr i Dźwinę, aby stworzyć zaporę przeciwko możliwej inwazji rosyjskiej. Wybrał pierwszą alternatywę, bo — jak sam mówił — nie wierzył aby silna Polska, nawet Polska pod berłem Hohenzolernów, mogła się uspokoić dopóki nie będzie posiadała w swoich rękach ujścia Wisły, lub dopóki na Śląsku, Pomorzu czy Mazurach pozostanie kilka wiosek mówiących po polsku. W późniejszych jednak latach zaczął znowu wahać — i w 1883 roku sugerował następcy tronu pruskiego, żeby swoich synów uczył języka polskiego, bo wszyscy władcy Prus do Fryderyka Wielkiego mówili po polsku. Widocznie przewidywał, że wkrótce może wytworzyć się sytuacja, kiedy wskazane będzie zagrać kartę polską. Lecz, gdy w 1914 roku taka sytuacja się wyworzyła, następcy Bismarcka nie potrafili tej karty wygrać: zaczęli zbyt późno i zbyt połowicznie.

Partnerschaft

Dyskusje w Lindenfels zmuszają do przemyślenia i przeanalizowania naszej własnej sytuacji w tym zmieniającym się świecie. Na jednym z sympozjów organizowanych przez *Conference on European Problems* szwajcarski profesor Jean R. von Salis wysunął tezę, że było cechą wszystkich narodów europejskich iż kolejno ulegały wpływom Kościoła Rzymskiego, Reformacji i Hu-

manizmu. Wschód zaczynał się tam, gdzie przeważały wpływy Bizancjum. Dawna Rzeczpospolita należała do obu tych zon historycznych. Przemianą wielkiej wagi w stosunku do ostatnich sześciuset lat naszej historii jest, że przestaliśmy być narodem wschodnio-europejskim, a staliśmy się wyłącznie częścią Środkowej Europy, tak jak Polska była za czasów Mieszków i Chrobrego.

Jest rzeczą nieprawdopodobną, aby dawne wschodnie tereny Rzeczypospolitej mogły kiedyś z powrotem wejść w skład Państwa Polskiego, bowiem straciliśmy tam naszą bazę społeczną, która polegała przede wszystkim na ziemiaństwie oraz warstwie inteligencji zawodowej. W tej sytuacji naszym naczelnym postulatem w stosunku do narodów, z którymi kiedyś stanowiliśmy wspólną Rzeczpospolitą, tzn. Ukraińców, Białorusinów i Litwinów, jest aby naprawdę zechcieli być w pełni niepodległymi, i aby ta wola wolności, którą wyrobili w sobie jako rezultat naszej wspólnej historii, nigdy ich nie opuszczała. Jest bardzo prawdopodobne jednak, że może przyjść chwila, kiedy poszczególne republiki sowieckie oddzielią się od Związku Sowieckiego, co otworzyłoby im drogę do swobodnego kształtowania swoich stosunków z innymi narodami naszego rejonu geograficznego, w tej liczbie z Polską.

W obecnych warunkach trudno formułować jakieś projekty co do konkretnych form środkowo-europejskiej wspólnoty. Lecz można mówić o wskrzeszeniu duchowej więzi wszystkich narodów tego regionu, które na różne sposoby — w starciach, sporach i współpracy — łączyła tysiącletnia historia. Wspólnie wypracowana postawa może z biegiem czasu stać się źródłem faktów politycznych. O ile ich dobrze rozumiem — organizatorom Lindenfeldskich dyskusji idzie przede wszystkim o utrzymanie takiej postawy.

S. SWIANIEWICZ

W sowieckiej prasie

W Moskwie lubią mówić: „Z władzą sowiecką nie będziesz się nudził”. Kolejne przedstawienie pod tytułem „Nowa Konstytucja Sowiecka” zostało wystawione z wykorzystaniem wszystkich efektów, które nie przestają bawić ludzi sowieckich i zadziwiać Zachodu.

26 maja br. wszystkie pisma zachodnie na pierwszych stronach zamieściły sensacyjną wiadomość: Przewodniczący Prezydium Rady Najwyższej ZSSR — formalnie głowa państwa sowiec-

kiego — został zwolniony z pracy. W prasie sowieckiej wiadomość o zakończeniu kariery Mikołaja Podgornego zajęła jedynie dwie linijki: w komunikacie o decyzjach Plenum KC, które miało miejsce 25 maja br., powiedziano m.in., że Mikołaj Podgorny przestał być członkiem Politbiura. Oznaczało to, że stracił również swoje państwowe stanowisko. Zajmował je od 1965 roku. I z miejsca — w myśl najlepszych tradycji Orwella — znikły wszystkie portrety byłej głowy państwa, jego nazwisko przestało być wymieniane w prasie, radio i telewizji.

Komentatorzy zachodni, szukający nieustannie wyjaśnienia „kremlofskich tajemnic”, wysuwali mnóstwo przypuszczeń. Nawet członek francuskiego Politbiura, Jean Kanapa, zauważył że „byłoby normalne gdyby wyjaśniono dlaczego powzięto tak ważną decyzję”. Komentatorzy zachodni szukali wyjaśnienia tajemnicy, której nie było. Szukali i nie mogli znaleźć, gdyż nawet dzisiaj — po 60-ci lat istnienia państwa sowieckiego — nie przestają go analizować, tak jakby to było państwo normalne — państwo typu zachodniego. William Bullitt, dyplomata amerykański, pisze w swoich wspomnieniach o rozmowie z prezydentem Rooseveltem w przededniu konferencji jałtańskiej: Roosevelt sformułował swoją linię postępowania wobec Stalina następująco: „Jeśli dam mu wszystko co mogę, nie żądając niczego w zamian, to *noblesse oblige* — i on nie będzie mógł niczego okupować i nie będzie mógł odmawiać współpracy ze mną w świecie demokracji i pokoju”. William Bullitt, który był pierwszym posłem amerykańskim w Moskwie i który znał Stalina, sprzeciwił się prezydentowi: niech pan nie zapomina, mówiąc o *noblesse oblige*, że nie ma pan do czynienia z księciem Norfolku...”. Do dnia dzisiejszego zachodni mężowie stanu i zachodni komentatorzy zakładają, że w Politbiurze siedzą wyłącznie książęta Norfolku.

Powody usunięcia Podgornego z grupy wodzów sowieckich nie były tajemnicą. O powodach tych powiedziano otwarcie w komunikacie z Plenum KC z 24 maja br. Powiedziano mianowicie, że Plenum „jednomyślnie zatwierdziło projekt konstytucji”, który został zreferowany osobiście przez Leonida Iljicza Breżniewa. Podgorny został wyrzucony, gdyż zajmował miejsce przeznaczone dla Breżniewa. A to, że wyrzucenie Podgornego odbyło się w chamski sposób, to przecież i sam był Przewodniczącym Prezydium Rady Najwyższej też nie był księciem Norfolku...

4 czerwca br. wszystkie pisma sowieckie ogłosiły projekt konstytucji, przyjętej przez KC 10 dni przedtem. Nowa konstytucja breżniewowska rodziła się bardzo długo. W początku lat 60-tych Nikita Chruszczow (kto to taki? — pytają się dzisiaj dzieci, które ukończyły 15 lat) mówił o konieczności opracowania nowej konstytucji. Ale nie zdążył. Jego najbliższy współpracownik i spadkobierca, Leonid Breżniew, usunąwszy Chruszczowa powrócił do koncepcji nowej konstytucji w 1966 roku i oświadczył, że będzie ona gotowa w 1967 roku, tj. na 50-lecie władzy sowieckiej. Ciążyła długotrwała i noworodek pojawił się dopiero w dziesięć lat później — na 60-lecie Października.

Konstytucja breżniewowska jest czwartą konstytucją sowiecką. Pierwsza została uchwalona w lipcu 1918 roku i nazywała się konstytucją Rosyjskiej Sowieckiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki. W 1924 roku przyjęto konstytucję ZSSR. W 1936 roku, w okresie nasilenia terroru, Stalin podarował narodowi sowieckiemu „najbardziej demokratyczną” konstytucję w świecie. „Pod słowem stalinowskiej konstytucji” naród sowiecki żyje i obecnie, gdyż nowa — breżniewowska — wejdzie w życie dopiero w listopadzie bieżącego roku.

Co reprezentuje nowa konstytucja? Można ogólnie powiedzieć, że różni się ona od poprzedniej jedynie nielicznymi odmiennymi sformułowaniami.

W 1936 roku konstytucja stalinowska była już „konstytucją zwycięskiego socjalizmu”. Nikita Chruszczow, car Nikita, wprowadzając bezpłatne przejazdy tramwajami marzył o ogłoszeniu konstytucji zwycięskiego komunizmu. Bardziej umiarkowany Breżniew ogłasza państwo „rozwiniętego socjalizmu”. Breżniewowski socjalizm nie różni się niczym od stalinowskiego, gdyż konstytucja zachowuje zasadę: „każdemu wedle jego uzdolnień, każdemu wedle jego pracy”. W odróżnieniu od konstytucji z 1936 roku stanowiącej, że „ZSSR jest państwem socjalistycznym robotników i chłopów” — konstytucja z 1977 roku określa ZSSR jako „Ogólnonarodowe państwo socjalistyczne reprezentujące wolę i interesy klasy robotniczej, chłopów i inteligencji...”. A więc w 60 lat po rewolucji inteligencję „wpuszczono” do konstytucji i oficjalnie uznano jej istnienie. O rzeczywistej sytuacji inteligencji sowieckiej można wiele powiedzieć. W związku z jej nową sytuacją wystarcza, wydaje mi się, odnotować dwie wzmiarki w prasie sowieckiej. W pierwszej, ogłoszonej w piśmie *Moskowskij Kom-somolec* z kwietnia br., mówi się — z uzasadnioną dumą — że w dzień dorocznego wszechzwiązkowego „subotnika” ofiarowali ojczyźnie bezpłatnie swoją pracę i pisarze: 80 prozaików, poetów i krytyków czyściło w tym dniu moskiewski Ogród Zoologiczny. 29 maja br., tj. w dniu kiedy wszyscy sowieccy ludzie cieszyli się z nowej konstytucji (nie znając jeszcze jej treści pisali już do *Prawdy* entuzjastyczne listy), *Prawda* opublikowała drugoczący artykuł poświęcony wystawieniu „Mistrza i Margerity” w moskiewskim teatrze „Na Tagance”. *Prawda* występuje stanowczo przeciwko próbom przedstawiania na scenie „nieuzasadnionych, subiektywnych analogii prowadzących do zafałszowania perspektywy historycznej...”*. Inteligencja powinna znać swoje miejsce!

Nie można uważać za novum art. 6 pierwszego rozdziału konstytucji określającego miejsce i rolę partii w państwie sowieckim. Już w konstytucji z 1936 roku stwierdzono, że partia komunistyczna jest „awangardą mas pracujących w ich walce o umocnie-

* Wspominając w poprzednim przeglądzie (*Kultura* nr 6/357) o kłopotach Jurija Lubimowa z cenzurą przypuszczałem, że te kłopoty się skończyły. Okazuje się, że dopiero się zaczynają...

nie i rozwój ustroju socjalistycznego i reprezentuje ośrodek kierowniczy wszystkich społecznych i państwowych organizacji”. W nowej konstytucji formuła ta powtarza się, ale znacznie bardziej rozszerzona i szczegółowa: „Kompartia ZSSR jest kierowniczą i wiodącą siłą społeczeństwa sowieckiego; centralnym elementem jego ustroju politycznego i wszystkich społecznych i państwowych organizacji... określa ogólne perspektywy rozwoju społeczeństwa, orientację polityki zewnętrznej i wewnętrznej, kieruje wielkimi twórczymi pracami narodu sowieckiego; nadaje planowy i naukowy charakter walce narodu sowieckiego o komunizm”.

Wszechpotęgą partii — istniejąca faktycznie od 60-ciu lat — została teraz zapisana w konstytucji i administracyjnie określona wprowadzeniem do składu Prezydium Rady Najwyższej stanowiska pierwszego zastępcy Przewodniczącego. Oznacza to, że generalny sekretarz KC będzie wybierany Przewodniczącym i w ten sposób zostanie jednocześnie głową partii i państwa, a pierwszy zastępca będzie wykonywać funkcje podrzędne: wręczenie orderów, spotkanie na lotnisku gości drugiej kategorii itp.

2 czerwca bież. roku sowieccy telewidzowie mogli oglądać ojca konstytucji, wodza i kierownika. Leonid Breżniew występując z okazji zakończenia tygodnia francuskiego w sowieckiej telewizji pokazał się jednocześnie i Zachodowi, gdyż telewizja francuska transmitowała jego wystąpienie. Ojciec konstytucji wyglądał jak swój własny pomnik: złote medale zdobiły jego marynarkę — od jednej kłapy do drugiej, w tle widoczna była niewielka półeczka, na której leżało 5 tomów dzieł zebranych Leonida Breżniewa.

Konstytucja Breżniewa zachowała wszystkie demokratyczne prawa, które nadała już sowieckim obywatelom konstytucja stalinowska: najróżniejsze swobody i prawa — od wolności słowa, zgromadzeń i demonstracji do zagwarantowania nietykalności mieszkań, tajemnicy korespondencji i rozmów telefonicznych. Co prawda niewielkie uzupełnienie wyjaśnia, że wszystkie te wolności i prawa są gwarantowane jedynie pod warunkiem ich zsynchronizowania „z interesami mas pracujących” i jeśli kierowane są „ku utrwaleniu socjalizmu”. Wyjaśnienie to było również i w konstytucji stalinowskiej ogłoszonej w Moskwie w chwili gdy tylko co zakończył się pierwszy wielki proces i były przygotowywane następne. Dziwnym zbiegiem okoliczności konstytucja breżniewowska została ogłoszona w Moskwie jednocześnie z wiadomością o mającym mieć miejsce procesie żydowskiego aktywisty Anatola Szczarańskiego, oskarżonego o szpiegostwo, związki z wrogimi wywiadami, itd. Najcięższym zadaniem twórców konstytucji breżniewowskiej, była sprawa narodowościowa — to jest problem w państwie sowieckim najtrudniejszy. Wiadomo już dziś, że wśród gigantycznych planów projektowanych przez Chruszczowa, praojca nowej konstytucji, był plan administracyjnej przebudowy państwa sowieckiego, pozbawiający republiki federacyjne władzy, nawet formalnie. Należy przypuszczać, że

dziesięcioletnie opóźnienie konstytucji breżniewowskiej było związane z rozpaczliwymi poszukiwaniami środków ograniczenia władzy republik. W rezultacie wszystko zostało po staremu — jak przy Stalinie. W takich wypadkach mówi się, że „Góra urodziła mysz”. W danym wypadku można rzeczywiście mówić o maleńkiej „myszce”, która jest w konstytucji jako ślad zmudnych poszukiwań. Republiki zachowały swoje prawa — m.in. *prawo wychoda*. Zostały one jedynie pozbawione prawa tworzenia terytorialnych jednostek wojskowych. Niewątpliwie to prawo, jak i wszystkie inne, było tylko teoretyczne i istniało wyłącznie na papierze. Problem powstał stąd, że wśród projektów Chruszczowa był również plan znacznego zredukowania armii przy jednoczesnym utworzeniu terytorialnych milicji — lokalnych formacji wojskowych w poszczególnych republikach.

Po 15 latach od chwili wysunięcia tej koncepcji przez Chruszczowa tendencje demograficzne w Związku Sowieckim stały się bardziej wyraźne, niebezpieczeństwo „ożółcenia” sowieckiej armii najbardziej realne. Zmarły minister Obrony ZSSR, marszałek Greczko, w książce pt. „Siły zbrojne państwa sowieckiego” (Moskwa, 1975) ostro krytykuje koncepcję utworzenia narodowych formacji wojskowych, jako wrogą „wielonarodowej armii sowieckiej”. Można więc przypuszczać, że koncepcja Chruszczowa miała wielu zwolenników, jeśli rezultat tych sporów trzeba było włączyć do konstytucji.

Nowym rozdziałem konstytucji jest polityka zagraniczna. Zasadnicze linie sowieckiej polityki zagranicznej wytyczone są w konstytucji — można powiedzieć — na wiek wieków. Zwraca uwagę, że w tekście nie ma słowa, którego dźwięk powoduje bicie serca zachodnich mężów stanu — słowa *détente*. Cele sowieckiej polityki zagranicznej określone są jasno i niedwuznacznie: „... polityka zagraniczna ZSSR winna zapewnić międzynarodowe warunki sprzyjające budowie komunizmu w ZSSR”. W tym celu powinna „utwierdzać pozycje światowego socjalizmu, popierać narody walczące o swoją niepodległość i postęp społeczny...”.

W ten sposób sprawa pomocy „walczącym narodom” staje się sprawą wewnętrzną sowieckiego państwa i każda krytyka, np. interwencji sowieckiej w Angoli czy w Etiopii traktowana będzie jako niedopuszczalne mieszanie się do wewnętrznych spraw sowieckich. Sowiecka polityka zagraniczna będzie odtąd — zgodnie z konstytucją — zobowiązana do rozszerzania wpływów sowieckich w świecie, aby „pomóc budowie komunizmu w ZSSR”. W swoim pierwszym wystąpieniu telewizyjnym Leonid Breżniew wygłaszał niezwykle uroczyste, pewny siebie i w nieco groźnym tonie przestrzegał Zachód — przede wszystkim Stany Zjednoczone — przed mieszaniami się do „wewnętrznych spraw Moskwy, nawet w wypadku gdy wychodzą one poza granice obozu pokoju i socjalizmu”.

Trzeba jednak zaznaczyć, że uroczystość i pewność siebie

ojca konstytucji została nieco osłabiona tym, że około 30 % słów, które musiał przeczytać, czytał z wielkim trudem. Aleksander Zinowiew, autor książki „Przepastne wyżyny” — tej encyklopedii sowieckiego społeczeństwa — wspomina o tym, że „Zarządzała” wywichnął sobie szczękę „przy próbie wymówienia słowa *międzokontynentalny*”. Skutki wywichnięcia były widoczne przy czytaniu przez Breżniewa orędzia do Zachodu.

Nowa sowiecka konstytucja niewiele się różni od starej. W końcowym podsumowaniu jej główny cel sprowadził się do wprowadzenia generalnego sekretarza na szczyt sowieckiej piramidy władzy. Teraz niczego więcej mu już nie trzeba. Pomnik w Moskwie ma zapewnić. By zakończyć ostatecznie zmianę munduru stalinowskiego na breżniewowski powzięto decyzję zatwierdzenia nowego hymnu sowieckiego. Jak wiadomo, od przeszło już 20-tu lat sowiecki hymn jest pieśnią bez słów, gdyż w jego tekście było stwierdzenie: „Wychował nas Stalin...”. Stwierdzenie całkowicie słuszne, jeśli idzie o obecnych przywódców, ale Breżniew nie chce mieć żadnych krewnych — prócz Lenina. Dlatego też 1 września br. obywatele sowieccy będą śpiewali nowe słowa — muzyka — jak się to mówi — pozostaje ta sama. Jest to tym bardziej słuszne, ponieważ „muzyka” generala Aleksandrowa, która stała się hymnem państwa sowieckiego, była hymnem partii bolszewickiej.

Zresztą dla scharakteryzowania nowego hymnu — którego nikt jeszcze, z wyjątkiem członków komisji pod przewodnictwem sekretarza KC Susłowa, nie słyszał — wystarczy powołać się znów na Zinowiewa: „Hymn państwowy — pisał autor „Przepastnych wyżyn” o hymnie stalinowskim — nie ma muzyki, jest wykonywany milcząco, na baczność, dopóki nie będzie polecenia posadzenia wszystkich”. Breżniewowska konstytucja zmieniła w stalinowskim hymnie parę słów, co absolutnie niczego nie zmieniło.

Adam KRUCZEK

Z poufnych źródeł w Moskwie udało nam się zdobyć dwie niedyskrecje na temat nowego hymnu sowieckiego, który ma być ogłoszony 1 września. Pierwsza dotyczy melodii — osobliwego połączenia *Międzynarodówki* i *Jesli zaiwra wojna*. Drugą jest tekst refrenu:

*Niet Russkich, Ukraincew ni Kazachow,
Jest' moguczyj sowietskij czełowiek.*

*Niet Polakow, Czechow ni Germancew,
Jest' neobodnyj socjalistyczeskij czełowiek.*

*Niet Francuzow, Italiancew ni Ispancew,
Jest' pobieditielnyj internacjonalnyj czełowiek.*

Odwiedziny historii

W ub. roku odbyła się w New Yorku konferencja studiów bałtyckich, na której litewsko-amerykański profesor, dr R. Misiunas, wygłosił pogadankę o swym sześciomiesięcznym pobycie w Polsce.

Czuł się tam jak syn rozwiedzonego małżeństwa, wychowany przez matkę i nie znający ojca, a który trafił do domu dziadka z linii ojcowskiej, gdzie pomimo burzliwych sporów rodzicielskich, zrozumiał, że dom ten nie jest mu zupełnie obcy.

Łatwiej jest bowiem dzisiaj w Polsce, niż na Litwie zobaczyć znak Pogoni, nie tylko na Wawelu. Często w miejscach zupełnie niespodziewanych, jak np. na reklamach piwa Grunwaldzkiego. W Polsce są poważne ośrodki badania historii Litwy. Okolice Puńska w PRL są obecnie jedynym rezerwatem dawnej wsi litewskiej, gdyż jedynie tam nie wprowadzono kołchozów. W Polsce, zwłaszcza w jej północnej części, ogromnie popularne są obrazy Matki Boskiej Ostrobramskiej itp. Wszędzie spotyka się ślady wspólnej z Litwą historii.

Autor stwierdza, że chociaż temat konferencji obejmuje trzy kraje bałtyckie i ich sąsiadów, to jednak Litwa, zwłaszcza pod względem kulturalnym, bardziej jest zbliżona do krajów środkowej Europy niż do swych północnych pobratymców. Wspólne dzieje obu narodów Rzeczypospolitej autor porównuje do stosunków angielsko-szkockich. Szkoci przejęli język angielski i złączyli się z Anglikami we wspólny naród. Podobnie Litwini byli na drodze do tego procesu — jako organizm bardziej prymitywny; jego górne warstwy które przejęły język polski i głosiły po polsku ustami Mickiewicza, „Litwo ojczyzna moja”, uważały że skoro się jest Litwinem, jest się również Polakiem.

Tak jak obecnie powstaje szkocki ruch narodowy, tak i na Litwie powstał on w końcu XIX-go wieku i wskutek zaistniałych okoliczności stosunki między obu narodami upodobniły się raczej do angielsko-irlandzkich. Przy czym w obu wypadkach największe zaognienie powstało na terenach ludnościowo mieszanych (językowo, względnie religijnie).

Autor zainteresował się Polską w czasie odwiedzin, w już sowieckim Wilnie. Niespodzianką było, że w mieście o dwóch społeczeństwach, będącym kością niezgody, w odróżnieniu od przedwojennego pokolenia, karmionego antypolską strawą, nowe pokolenie bardzo interesowało się swym południowo-wschodnim sąsiadem. Niektórzy nawet uczyli się języka polskiego, aby móc czytać gazety z Polski, które były ożywczym antidotum, przeciw strawie dostarczanej przez wydawnictwa sowieckie. W części południowej kraju można też było oglądać polskie programy tele-

wizyjne. Dawną nieufność i nienawiść zastępowała ciekawość a nawet chęć naśladowania.

„Uświadomiłem sobie, że aby zrozumieć dawną i dzisiejszą Litwę, trzeba chociaż powierzchownie poznać Polskę”. Autor stwierdził, że wśród rdzennych Polaków nie ma niechęci do Litwinów. Od polskich kolegów usłyszał też Jasienicy, że przyłączenie do Polski ziem litewsko-ruskich było na dłuższą metę szkodliwe dla Polski, i spowodowało jej upadek. Ten sam temat rozwijał publicysta Mieroszewski na łamach paryskiej *Kultury*, która jest zadziwiająco szeroko czytana w kołach inteligencji w Warszawie. Mieroszewski twierdził, że rzeczywista niepodległość Polski jest uwarunkowana istnieniem przegrody od Rosji, stworzonej przez niepodległe: Litwę, Białoruś i Ukrainę.

Potwierdzeniem różniczkowania polskiego nastawienia do Litwinów, były antylitewskie demonstracje, towarzyszące ultimatum w roku 1938. W Warszawie były one zorganizowane, tak jak to się obecnie robi w tych krajach, a w Wilnie były autentyczne. Polacy nie rozumieli, że wskutek bolesnego rozstania, zadrażnienie zaszło w ciągu jednego pokolenia za daleko i nie było już drogi powrotu. Była to na wielką skalę tragedia. Młody i nie ufający własnym siłom litewski nacjonalizm nie mógł pozwolić sobie na kompromisy. A Polacy litewscy, Polacy pod względem kulturalnym, lecz z pochodzenia przeważnie Litwini, nie potrafili dostosować się do zmieniających się — zwłaszcza pod względem socjalnym — warunków, dających podstawy do rozwoju litewskiego nacjonalizmu. Postanowili nie być Litwinami, chociaż nimi byli. Nie chcieli, zwłaszcza wyższe warstwy, brać przykładu ze Szwedów w Finlandii, i nie chcieli, czy nie mogli, pójść na kompromis. Mogli oni przecie na długo pozostać wyższą warstwą, mówiącą po polsku, tak jak szwedzka grupa w Finlandii. Lecz okoliczności popchnęły ich do wyrzeczenia się litewskiej „identyczności” na rzecz zachowania polskiej kulturalnej identyczności. Ponieważ nieproporcjonalnie wielka ich ilość zajęła kierownicze stanowiska w społeczeństwie polskim ich poglądy wpłynęły na uformowanie poglądów ogólnopolskich. Następstwem tego było 20 lat politycznego napięcia, przy minimum kontaktów poprzez granicę, która już przed wojną przypominała żelazną kurtynę. Taka sytuacja wywoływała gorycz, wzajemny brak zaufania i niechęć, co nie pomagało do osiągnięcia wzajemnego zrozumienia i respektu, niezbędnych do przezwyciężenia tarć. Ta atmosfera miłości-nienawiści z okresu napiętych stosunków, w sytuacji, która uległa radykalnej zmianie, w odmiennych i nawet nienaturalnych warunkach, teraz została zastąpiona coraz częstszymi kontaktami.

Po krótko autor wspomina o stosunkach międzypaństwowych i partyjnych PRL i LRSR, zwłaszcza o udziale polskich konserwatorów w restaurowaniu zabytków wileńskich, obszerniej o litewskiej enklawie w Puńsku, która znalazła się w obrębie Polski, bo tak kiedyś została ustalona granica, o grupach Litwinów w Warszawie, Wrocławiu itd. Przypomina on, że Polska

jest również krajem bałtyckim. Kościół franciszkański w Gdańsku jest jednym z łańcucha stylu, który odnajdujemy w kościele św. Anny w Wilnie, a katedra gdańska przypomina katedry w Rydze i Tallinie.

Toteż w polskich uniwersytetach kładzie się nacisk na studia bałtyckie, najwięcej uwagi poświęcając Gdańskowi i Litwie. Dużo jest prac poważnych, naukowych. Na pewne odchylenia od tej normy, wpływają niekiedy akcenty polemiczne odnośnie Gdańska, i względ na Sowiety — odnośnie Litwy. Nigdzie poza Litwą nie ukazało się tyle prac historycznych o Litwie, co w Polsce, ani też w żadnym języku, tyle co w polskim.

Zdaniem autora najlepsza historia Litwy spośród wydawanych w jakimkolwiek bądź języku, ukazała się w Polsce przed około 10 laty. Stała się ona głośna na Litwie, gdyż w odróżnieniu od wydań sowieckich, zawierała fotografie nawet burżuazyjnego aktu niepodległości i prezydenta-dyktatora, jak też bibliografię wydawnictw uchodźczych. Książka ta jest na Litwie zakazana, ale różnymi drogami przemycana.

Głównym ośrodkiem studiów litewskich jest Poznań, gdzie pracują profesorowie Ochmański, Kosman, Aleksandrowicz i in. Wśród prac o okresie międzywojnia krajów bałtyckich, najlepszą jest: „Państwa Bałtyckie — od parlamentaryzmu do totalizmu” — pióra prof. Piotra Łossowskiego, najlepszego w Polsce znawcy tych zagadnień. Trafił on na Litwę jako uchodźca i tam nauczył się języka. Na uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, w dziale lingwistyki indo-europejskiej, specjalizują się w języku litewskim profesorowie Bednarczyk i Smoczyński, zaś w Warszawie, badacz i tłumacz współczesnej literatury litewskiej Zygmunt Stabierski. W Warszawie też, w domu weteranów, mieszka litewski poeta J. Keksztas, weteran ruchu rewolucyjnego w Wilnie i korpusu gen. Andersa.

Autor kończy pogadankę słowami, że Polska ma wieloletnią, nieprzerwaną tradycję bałtycką, i z czasem zostanie integrowana do wspólnoty bałtyckiej.

Akizaciai Nr. 2/86, Chicago.

E. ZAGIELL

Polemiki

Fałszywa diagnoza

W czasopiśmie *Kontinent*, wydawanym i redagowanym przez nowych rosyjskich emigrantów (Maksimow, Niekrasow, Natalia Gorbaniewskaja itd.), ukazał się (nr 11 — 1977) obszerny artykuł Siergieja Rafalskiego pt. „Choroba stulecia”. Redakcja poprzedziła go następującymi uwagami: „Poniższy artykuł znanego publicysty rosyjskiej emigracji poświęcony jest najbardziej aktualnemu zagadnieniu współczesnych czasów, mianowicie zagadnieniu narodowościowemu. Redakcja nie podziela niektórych jego opinii, zwłaszcza dotyczących sprawy żydowskiej i polskiej, niemniej, trzymając się demokratycznych zasad, obowiązujących w naszym czasopiśmie, ofiarowujemy jego łamy wyłożeniu punktu widzenia Rafalskiego, w nadziei że stanie się początkiem zapładniającej, konstruktywnej dyskusji”.

Właściwie sprawa żydowska i polska poruszone zostały mimochodem na marginesie zagadnienia ukraińskiego. Autor ostro wystąpił przeciw wolnościowym dążeniom narodów wchodzących w skład Związku Sowieckiego. Jedność imperium powinna być utrzymana, od granic Polski aż po Pacyfik. Dążenia nacjonalistyczne są szkodliwe, wszelki nacjonalizm zasługuje na potępienie, stąd tytuł artykułu — „Choroba stulecia”. Zaraz przekonamy się, na jak kruchych podstawach opiera się diagnoza niezbyt fortunnego kandydata na lekarza.

„Trudno — píše — stwierdzić z całą odpowiedzialnością, co wyrządziło najwięcej szkód i najobficiej okrwawiło nasz tragiczny XX-ty wiek: komunizm, czy nacjonalizm? Beznamiętna historia opowie potomstwu o licznych barbarzyńskich paskudztwach, popełnionych przez tego i tamtego, ale szale utrzymują się w równowadze...”.

Najpierw kilka słów o autorze, gdyż sam Rafalskij uważał za wskazane przedstawić się na wstępie. „Autor — powiada

o sobie nie bez pewnej emfazy — musi uroczyście oświadczyć że w jego żyłach nie ma ani jednej kropli wielkoruskiej (tzn. „imperialistycznej”) krwi”. Następnie dowiadujemy się, że jego przodkami byli Tatarzy, którzy pod koniec XV-go wieku przenieśli się ze Złotej Ordy na Litwę. „Następnie — to dalsza informacja — ród biednieje, ukrainizuje się, jego członkowie stają się prawosławnymi kapłanami. Matka niżej podpisanego wnosi do tej tatarsko-ukraińskiej mieszkanki również krew polsko-litewską...”. Dalszy wniosek: Rafalskij, nie ma nic wspólnego z rosyjskością, więc go nie wolno posądzać o rosyjski nacjonalizm.

Pochodzenie pochodzeniem, a na każdym kroku autor zdradza się z tym że jest rosyjskim imperialistą i wszystkie zagadnienia rozważa i osądza z czysto imperialnego punktu widzenia. Uodowodnić nie trudno. Rafalskij jest Wołyńakiem, synem prawosławnego popa; urodzony w 1896, ukończył w 1914 roku rosyjskie gimnazjum w Ostrogu, następnie studiował w Petersburgu, na wydziale prawnym. Przez parę lat mieszkał na Wołyniu, w 1922 przeniósł się do Pragi Czeskiej, gdzie skończył studia uniwersyteckie. Działal w szeregach rosyjskich partii politycznych, między innymi był współpracownikiem słynnego Sawinkowa, był i pozostał publicystą i pisarzem rosyjskim, drukuje od wielu lat w politycznych i literackich czasopismach rosyjskiej emigracji. A tymczasem... Rafalskij w bardzo dziwny sposób ujmuje tę sprawę. „Za nim zjawiał się — pisze — tego typu nacjonalizm (mowa o ukraińskim separatyzmie — J.Ł.), niżej podpisany uważał siebie za rosyjskiego człowieka. Obecnie woli, bynajmniej nie będąc zwolennikiem niepodległości, uważać siebie za Ukraińca...”.

Klucz do tego, jako się rzekło, co najmniej dziwnego oświadczenia tkwi w starym twierdzeniu że Ukraińcy to po prostu jedno z trzech plemion, składających się na jeden, ogólny (*wsieobszczyj*) naród (Wielkorusi, Małorusi, Białorusi). Chyba najbliższe będzie mi prawdy, jeżeli określimy Rafalskiego, jako zrusyfikowanego Wołyniaka. Pochodzenie z rodziny od iluś tam pokoleń tkwiącej w stanie kapłańskim także miało swoje znaczenie. Moja matka dobrze знаła w swojej wczesnej młodości, spędzonej w Chełmie Lubelskim osławionego później Krylenkę, wtedy studenta, podobnie, jak Rafalskij, popowicza. Analogiczny wypadek, jeśli chodzi o świadomość narodową, bo, oczywiście, nie polityczną. Rafalskij jest przecież przekonany antykomunistą.

Rafalskij powraca do zgrzybiałej już a nonsensownej tezy, że separatyzm ukraiński urodził się na Ziemi Czerwieńskiej (Halickej) dzięki „pomocy dwóch akuserek — polskiej i austriackiej”. Gdyby nawet tak było, to jednak akuszerstwa nie należy mylić z macierzyństwem. Odrodzenie świadomości narodowej w Galicji

zaczęło się po roku 1848; na Wielkiej Ukrainie — znacznie wcześniej. Ostatecznie, Taras Szewczenko i Pantelejmon Kulisz nie byli tymi okropnymi „Hałyczaninami” — prawda? Czy Rafalskij, Wołyniak, jak sam informuje, słyszał o Wołyniance z krwi i kości, pisującej pod pseudonimem Łesi Ukrainki? Grupa kijowskich neoklasyków, z Mykołą Zerowym na czele (hasło *ad fontes!*), Chwyłowyj ze swoim „Dalej od Moskwy!” — gdzie mieli swoje kołyski? Przepraszam, ale przy ich porodzie nie było ani polskich, ani austriackich akuserek. Siergiej Rafalskij powinienby o tym wiedzieć.

Autor odróżnia dwie grupy, według niego, antagonistycznie do siebie ustosunkowane: zwolenników niepodległości, których określa nazwą „mazepińców”, oraz obojętnych narodowo, zwanych pogardliwie „chochłami”. Tu Rafalskij poszukał sobie sprzymierzeńca w osobie księdza Władysława Bukowińskiego, którego „Wspomnienia dla przyjaciół” ukazały się w *Kulturze* (nr 11/350, 1976). „Ponieważ to nie Rosjanin i kapłan katolicki”, Rafalskij uznał jego opinie za „jawnie obiektywne”. Nie zamierzam kwestionować dobrej woli księdza Bukowińskiego, ale jest dla mnie rzeczą oczywistą, że często swoje wrażenia brał za pewniki, więc raczej nie należało powoływać się na niego jako na ostateczny autorytet, co Rafalskij uczynił z nieco podejrzaną skwapliwością.

Ze na Ukrainie prowadzona jest intensywna rusyfikacja? Ależ tak, o tym doskonale wiadomo, ale opór jest nie mniej energiczny, na co dowodów nie brakuje. Walka toczy się bez przerwy. Za carskich czasów nie wolno było (po tzw. Emskim dekreście Aleksandra II-go — 1876) wydawać książek i w ogóle jakichkolwiek druków w języku ukraińskim, określanym oficjalnie jako gwara, narzecze, a już w trzydzieści lat później, w bardziej sprzyjających okolicznościach, nastąpiła prawdziwa eksplozja literacka i publicystyczna. Z tego wniosek że żadne dekrety nie mogą być, gdy chodzi o walczące narody, uznane za równoznaczne ze świadectwem ich zgonu.

Nie twierdzą, że Rafalskij w niczym nie ma racji, ale gdy mu się to zdarza, jest tak jak gdyby zanurzył przysłowiową łyżkę miodu w beczce dziegciu. Niektóre jego twierdzenia i oceny są wręcz zdumiewające. Tak na przykład pisze z widocznym zdziwieniem o Mikołaju I-szym, że „nie wiadomo po co zdławił węgierskie powstanie”. No, proszę — również nie wiadomo, dlaczego nosił się z zamiarem zduszenia rewolucji lipcowej we Francji i rewolucji belgijskiej, a tylko polski zryw listopadowy mu w tym przeszkodził. Także nie wiadomo, po co powstało Święte Przymierze i jaką rolę odegrało. Może jednak zaczniemy traktować historię z nieco większą powagą!

Jeszcze bardziej zaskakuje parę zdań, które, jako swego rodzaju *curiosum*, godzi się przytoczyć w całości:

„Wracając do Hałyczan, — czytamy — wypada oświadczyć — że wprawdzie mają prawo czynić ze swoim krajem i jego ludem, co im się żywnie podoba, ale ogromny błąd 'ojca narodów' polegał na ich przyłączeniu do Ukrainy Sowieckiej... W naszym stuleciu krew i pochodzenie mają znaczenie tylko dla 'narodów wybranych', które pozostawiły po sobie na długo krwawy ślad. A wszystkie pozostałe łączą, kształtują, 'nadają im oblicze' historia i kultura. Obydwie u sowieckich 'chochłów' i Hałyczan są odmienne i im szybciej halicki naród uzyska możliwość samostanowienia — tym lepiej dla narodu ukraińskiego. A ostatecznie: dlaczego mają mieć prawo do samostanowienia mazepińcy, a mają go być pozbawieni chochły?!”.

Doprawdy, tu już wkraczamy na teren czystego surrealizmu. Rafalskij używa jednocześnie kilka nazw: „Mazepińcy”, „chochły”, „Hałyczanie”, „Ukraińcy”, może jeszcze Wołyniacy, Poleśzacy, Bukowińcy, Huculi — i kto jeszcze? Sam autor tej rewelacyjnej terminologii nie bardzo może się zdecydować. Kiedyś był Rosjaninem, teraz deklaruje się jako Ukrainiec, a jeszcze gdzie indziej mówi o sobie że jest „patriotą”; ale nie „nacionalistą”. Jakim patriotą? — rosyjskim, ukraińskim, czy po prostu „chochłackim”? Logicznie biorąc, jest patriotą imperialnym, skoro stawia sobie za główny cel utrzymanie całości imperium, „od Karpat do Pacyfiku”. Jak widzimy, mętlik w tych wywodach zaiste niesamowity!

Kulturę rosyjską Rafalskij uważa za „ponadnarodową”, zarzucając nacionalistom (separatystom), że zapominają o tych, co ją zaakceptowali: o „Wielkorusie Tołstoj, Białorusie Dostojewskim, Ukraińcu (Małorusie) Gogolu...”. Można by tę listę z powodzeniem uzupełnić co najmniej tuzinem nazwisk. Ukraińskiego pochodzenia był Korolenko, Anna Achmatowa (Gorienko); kozackiego — Maksymilian Wołoszyn; Żukowski urodził się z matki Turczynki, Fiet-Szenszyn — z Niemki, Niekrasow — z Polki; czystej krwi Polakiem był Władysław Chodasiewicz; wreszcie nie brakowało wybitnych Rosjan żydowskiego pochodzenia. I co z tego? A czy nie było i nie ma identycznych zjawisk w innych krajach i narodach?

Nie znam ani jednej kultury narodowej większego formatu, które nie przyciągałyby cudzoziemców. Choćby kultura polska... Oto garść nazwisk, Wincenty Pol (jeszcze jego ojciec pisał się Pohl), Linde, Aleksander Brueckner, Ferdynand Goetel, nie mówiąc już o Litwinach (w historycznym znaczeniu tego słowa) i Ukraińcach. Tak działo się na ziemiach dawnej, wielonarodowej Rzeczypospolitej, więc nie inaczej musiało się dziać w jeszcze bardziej międzynarodowym imperium rosyjskim. To nie powód

by upierać się przy imperialistycznej, rusyfikatorskiej teorii o jednym, ponadnarodowym języku i ponadnarodowej kulturze.

Przy okazji tych historyczno-politycznych rozważań dostało się także Polakom. Posłuchajmy:

„Najdziwniejsze w tym sporze o nieistniejącym (jako powszechna świadomość) ukraińskim narodzie to — że tak powiem — namiętna troska o jego losy, o jego samostanowienie, wykazywana przez najbliższych sąsiadów z Zachodu... Zainteresowanie Polaków Ukrainą jest zrozumiałe i uzasadnione ich bohaterską, romantyczną, lecz bezwarunkowo imperialistyczną przeszłością i jej wciąż nie uwiedzionymi szowinistycznymi relikami...”.

Początek bardzo ładny, a nieco dalej Rafalskij uderzył w poetycki, liryczny ton:

„Polski naród jest wciąż jeszcze dynamiczny, utalentowany, zadufany we własne siły, a jego ulani stosunkowo niedawno wybierali się poić swoje konie, zmęczone pogonią za 'czerwonymi', w Dnieprze (a może nawet w Czarnym morzu). A ponadto — olbrzymia Eurazja rzeczywiście wisi nad Polską i ponuro jej zagraża. I jeżeli jednym śni się wichry stepów, towarzyszący miarowemu galopowi koni pełnej krwi i świszczący w husarskich skrzydłach, to inni słyszą tętent kopyt pędzących niepowstrzymane ku zachodowi koczowniczych watah... Wszystko to można zrozumieć, a zrozumiałwszy wybaczyć. A jednak i tym niemniej: natarczywe, aż nudne, przechodzące w nawiedzoną obsesję dążenie do utworzenia na zachodnich granicach Związku Sowieckiego nowej 'Małej Ententy', z obowiązkowym udziałem niepodległej Ukrainy — chwilami, drażni, chwilami śmieszy...”.

Wobec tego nie wiadomo, czy w naszych koncepcjach wschodnich jesteśmy bardziej drażniący, czy śmieszni. Gdybyż tylko to! „Jeżeli marszałek Piłsudski — ironizuje Rafalskij — i pewne koła współczesnej polskiej emigracji swego czasu (podczas ich *Drang nach Osten*) tak ofiarnie rozmyślali o wolności Ukrainy i nawet zawarli sojusz z już rozbitym na głowę Petlurą — to co im przeszkodziło już po pokoju Ryskim przekazać „sojuszownikowi” zdobyte przez nich ukraińskie i białoruskie ziemie, jeżeli już nie dla pełnej samodzielności, to chociażby dla szerokiej autonomii?”. Uwaga może i słuszna, ale dlaczego owego pokonanego sojusznika Rafalskij wziął w równie ironiczny cudzysłów? Z nadmiaru imperialno-„chochłackiego” patriotyzmu?

„Zamiast tego, — kontynuuje autor — zwalili się (Polacy — J.L.) na 'Kresy Wschodnie' z takim naciskiem policyjnym i z niemal komputerowo skalkulowaną polonizacją, że w zestawieniu z nimi dawni rusyfikatorzy (w Polsce) wydają się ubogimi chałupnikami”.

Wielce pouczające! Gdyby Rafalskij ograniczył się do krytyki postępowania polskiej administracji na owych „Kresach Wschodnich”, miałby rację; utracił ją w sposób kompromitujący, przeciwstawiając polskie metody dawnym rusyfikatorom. Jedno

z dwojga: albo nie zna historii, albo ją interpretuje według kapryśnego widzimisię „imperialnego patrioty”.

Jak było, tak było (niedobrze), ale w tej słusznie krytykowanej Drugiej Rzeczypospolitej dzieci za rozmowy w języku ukraińskim wilczych biletów nie otrzymywały. I czy można sobie wyobrazić rosyjskiego gubernatora, który by gdzieś na wsi lubelskiej, czy kaliskiej rozmawiał z chłopami po polsku? A np. wojewoda wołyński, Henryk Józewski, demonstracyjnie mówił po ukraińsku. To nie żadne wybielanie polskiej polityki w stosunku do Ukraińców, ale *est modus in rebus* i muszę sobie wyprosić gloryfikowanie Hurków i Apuchtynych kosztem Polski. Odpowiednika Emskiego dekretu, o którym wspominałem przed chwilą, polski rząd nigdy nie ogłosił i literatura ukraińska w latach 1920-1939 rozwijała się pod polską władzą bez większych przeszkód, choć podlegała, niestety, cenzuralnym ograniczeniom, niekiedy nonsensownym.

Ciekaw jestem, czy Rafalskij, rodowity Wołyniak — jak sam siebie przedstawia — czytał „Wołyń”, epicką powieść Ułasa Samczuka, utwór o akcentach wyraźnie antypolskich. Wyszła w Warszawie jeszcze przed wojną, w przekładzie na polski Tadeusza Hollendera. Zdarzało się, że ten czy ów pisarz ukraiński przeszedł przez polskie więzienie (np. Bohdan Krawciw), ale czy zginął z polskich rąk choćby jeden? Gdy Ukraińcy skarżą się na Polaków, przytaczając konkretne fakty, mają ku temu prawo. Natomiast tacy Rosjanie, jak Rafalskij, którzy nie uznają nawet istnienia narodu ukraińskiego (jak to wynika z podanych cytów), powinni zachowywać się z większym umiarem. Powiedzmy — bardziej taktownie.

Czemuż to w tak obszernym artykule nie ma ani słowa o tym, jak doszło do zainicjowania „wspólnych dziejów” rosyjsko-ukraińskich? Więc może będzie nie od rzeczy przypomnieć Rafalskiemu, jak to wyglądało na przestrzeni kilku stuleci. Średniowiecze można zostawić w spokoju, choć zdobycie i zniszczenie Kijowa przez księcia suzdalsko-włodzimierskiego, Andrzeja Bogolubskiego (jaki piękny i celny przydomek) najznakomitszy rosyjski historyk, Kluczewskij, uznał za „wizytówkę”, wystawioną historii przez protoplastów przyszłego imperium.

Uгода Perejaśławska miała być w zamysle sojuszem, a nie wcieleniem. Zresztą po śmierci Chmielnickiego została przekreślona przez Unię Hadziacką, zaś pokój Andruszowski zawarto poza plecami narodu ukraińskiego. Dalsze etapy to nieudana próba Mazepy i Orłyka wybicia się ku niepodległości państwowej, barbarzyńska rozprawa Piotra I-go z Siczą Zaporoską, jej ostatecznie zniesienie przez Katarzynę II-gą, więzienne zgony hetma-

nów Połubotka i Kalnyszewskiego, narzucenie chłopom ukraińskim niewolniczej pańszczyzny. Jaka szkoda, że Rafalskij nie zechciał przyjrzeć się tym wydarzeniom. Czy wydały mu się aż na tyle odległe, że nie godne najmniejszej uwagi?

Dążąc do uzasadnienia twierdzenia, że jedynie nikła mniejszość narodu ukraińskiego (głównie ci ohydni Hałyczanie, czyli „mazepińcy”) pragnęła i pragnie państwowej suwerenności, Rafalskij w wielce swoisty, a na pewno jednostronny sposób przedstawia lata 1917-1921. Z jego relacji wynika, że w ogóle nie istniała wola niepodległości, anarchiści atamani bili się ze wszystkimi i każdy z każdym, zaś Petlura był „latającym Holendrem”. Autor posunął się do powtórzenia, nie bez lubości, bolszewickich kpin („w wagonie siedzi Dyrektor, pod wagonem całe terytorium”), o ogłoszeniu kolejnych Uniwersałów tak jakby nie słyszał, więc w ostatecznym rozrachunku znowu powraca do wytartego sloganu o „dwóch akuszerkach”: polskiej i austriackiej. To one wymyśliły naród ukraiński: gdyby nie ta podwójna intryga, byłby grzeczny, „chochłacki” lud, wiernie rozkochany w braterskich „kacapach”.

Imperializmu rosyjskiego nigdy nie było. A dziś? „Nie ma ani narodu-zdobywcy, ani jego wodza z uniwersalnym marzeniem”. Ostatnim kandydatem na takiego wodza był Hitler. Lenin, Stalin, Chruszczow żadnych zdobywczych zamiarów w skali uniwersalnej nie mieli? Breżniew także? A jeżeli, co to ma wspólnego z rosyjskim narodem?

To już chyba jakieś siedemdziesiąt lat temu, a więc jeszcze przed bolszewicką rewolucją, kiedy Maksym Gorkij napisał o imperializmie rosyjskim mniej więcej następująco (nie mam pod ręką tekstu, więc powtarzam własnymi słowami, ale na pewno wiernie oddając sens): — Jaki tam instynkt państwowy; po prostu Iwan zwał się ciężkim kałdunem (*briuchom*) na obce ziemie i nie chce oddać! Podobnie drastyczne charakterystyki znajdziemy u wielu co światlejszych pisarzy rosyjskich. Dokładna znajomość rosyjskiej literatury w jednych wypadkach bardzo pomaga, w innych — przeszkadza. Obawiam się, że Rafalskiemu bardziej przeszkadza niż pomaga, więc woli o tych niewygodnych autorach i tekstach nie pamiętać.

Są przecież w artykule Rafalskiego poruszone sprawy poważniejsze od zagadnień bądź co bądź partykularnych, dotyczących jednego tylko regionu, choćby tak znaczącego jak Europa Środkowo-Wschodnia. Otóż zakłada on, że prędzej, czy później, w najdalszej nawet przyszłości, dojdzie do nieuniknionego zjednoczenia całej ludzkości, na skalę ogólnoplanetarną. Co więcej, autor przewiduje, że nieuniknione jest powstanie ogólnoswiatowego języka, który kiedyś będzie wykładany w każdej szkole, w każdym kraju.

A skoro tak, to podsycanie partykularyzmów i rozbijanie już istniejących jedności jest zasadniczym błędem i rzeczą zdrożną. Oto główny argument Rafalskiego, skierowany przeciw dążeniom separatystyczno-wolnościowym narodów, wchodzących w skład imperium niegdyś rosyjskiego, a od prawie sześćdziesięciu lat — sowieckiego.

„Świat — powiada w najważniejszej części swego artykułu — jeszcze nie dojrzał do ogólnoplanetarnej jedności i na razie mnóstwo narodów i ludków uporczywie przeciwstawia się dziejowym wiatrom. Tym większa racja, by szanować jedności już istniejące, oraz 'inne, dopiero szykujące się do zjednoczonego istnienia'”.

Następnie — i tu jest właśnie ta wspomniana powyżej łyżka miodu. Rafalskij wyszczególnia wypadki, kiedy wyłamywanie się ze zjednoczonego zespołu różnych narodów jest usprawiedliwione. A więc wtedy, gdy najmocniejszy, przewodzący w zespole naród zaczyna nadużywać swoich przywilejów, uciskać inne, słabsze narody, odmawiać im równych praw politycznych, społecznych i kulturalnych, oraz stosować eksploatację pod względem gospodarczym.

Rafalskij przyznaje — i to jest pozytywna strona jego wystąpienia — „że postępową w zasadzie koncepcja Związku Swobodnych Republik została (w Sowietach) okaleczona, poddana karykaturalnym wypaczeniom przez Partię Komunistyczną, a ściślej — przez leninowski, rewolucyjny marksizm”. Bardzo ładnie, ale chyba wolno pamiętać, jak powodziło się poszczególnym narodom w składzie imperium przed rewolucją bolszewicką. Rafalskij stawia sprawę w sposób równie jednoznaczny, jak kategoryczny. Cytuję:

„W każdym razie — za sowieckie niepowodzenie stworzenia współczesnej, postępowej formy współżycia różnych narodów odpowiedzialny jest nie 'rosyjski', to jest wielkorusko-moskiewski imperializm-kolonializm, lecz jedynie i wyłącznie prymitywne, brutalne podejście do człowieka, narodu i jego kultury wojującego marksizmu-leninizmu, który, w miarę wygasania rewolucyjnego entuzjazmu, chwilami stara się zastąpić tradycyjną 'klasową nienawiść' szowinistyczną wrogością...”.

Jeszcze krok po tej samej linii, a dojdziemy do wniosku, wielce miłego wielu Rosjanom, że naród rosyjski nie tylko nie zawinił rewolucji, ale ponadto nie ma nic wspólnego z sowieckim bolszewizmem.

Gdzie więc szukać odpowiedzialnych? „Niekiedy w ogóle nie wiadomo — strzela Rafalskij — co z czego wynika: centralistyczny nacjonalizm z nacjonalizmów regionalnych, czy też odwrotnie?”. Tu łyżka miodu roztopiła się w dziegciu bez śladu. Bo jak mamy powyższą, zaprawdę rewelacyjną opinię zinterpretować?

Chyba tylko tak, że prawdopodobnie nie byłoby rosyjskiego nacjonalizmu, gdyby nie nacjonalizm ukraiński, litewski, gruziński, zapewne także polski... Biedni Rosjanie, słusznie broniąc swego stanu posiadania, stali się nacjonalistami! Dla bezstronnych dziejopisów otwierają się natychmiast wspaniałe perspektywy. Puśćmy wodze wyobraźni; Taki Taras Szewczenko słusznie poszedł w żołdacy: po co uparł się pisać w ukraińskim (przepraszam — małoruskim) „narzeczcu”? Mógł, jak Gogol-Janowski, przenieść się na rosyjszczyznę! Mykoła Zerow ośmielił się przekładać Wirgiliusza i Horacego na chłopską gwara — on także słusznie został rozstrzelany.

Jakim prawem kaukasky Czerkiesi (Adyge) zbrojnie przeciwstawili się carskim wojskom, zamiast witać je chlebem i solą? A w tymże XIX-tym wieku czyż wzrost rosyjskiego nacjonalizmu nie zawinił beczelni Polacy, raz po raz zrywając się do rebelii (bo nie było żadnych powstań, były bunty przeciw prawowitej carskiej władzy)? Należy lojalnie stwierdzić: Rafalskij przyznaje, że wśród „Wielkorusów” także zdarzają się „prawdziwi imperialiści i szowiniści”. Ale jest ich mniej niż wśród wszelkiego rodzaju separatystów. Więc nie ulega najmniejszej wątpliwości, kto najbardziej zawinił i ponosi największą odpowiedzialność!

Rafalskij pisze (i ma w tym całkowitą rację), że na przykładzie Europy coraz bardziej zarysowuje się konieczność tworzenia wielkich federacji, w skład których powinny wejść kraje „zbliżone pod względem geograficznym, etnicznym, historycznym i kulturalnym”. Ale tenże europejski przykład wykazuje, „jak trudne jest federowanie, gdy narodowe egoizmy już dawno określiły się i skostniały...”.

„Tym bardziej — dodaje i tu od razu przyznana mu racja traci — nie ma sensu, gwooli abstrakcyjnej zasadzie i fałszującemu rzeczywistość separatyzmowi, dążyć do zniszczenia już istniejącej Jedności, mającej wszelkie historyczne, etniczne i gospodarcze podstawy”. Z kontekstu wynika jasno, że Rafalskiemu chodzi o rosyjsko-sowieckie imperium. Tylko obalić komunizm i wszystko będzie cacy.

Mowa była cały czas o Ukrainie, ale na niej sprawa się nie kończy. Pozostają kraje bałtyckie, Kaukaz, Turkiestan. Nie ma tu żadnych powiązań etnicznych i kulturalnych z Rosją, a co do historii, to przecież w wielu wypadkach od przyłączenia tych narodów na drodze zbrojnego podboju ledwie minęło sto lat, a w innych wypadkach (Litwa, Łotwa, Estonia) były dłuższe przerwy, po których następowała ponowna zbrojna agresja. Ale i co do Ukrainy owe związki etniczno-historyczno-kulturalne z Rosją wcale nie są takie silne, jak się to Rafalskiemu wydaje.

W pewnej chwili rzuca on ironiczną uwagę pod adresem „halickich poetów”, uprawiających „separatystyczną” działalność w Stanach Zjednoczonych. Czy Rafalski naprawdę nie wie jak wielką rolę we współczesnej literaturze ukraińskiej i na emigracji odegrali pisarze pochodzący z Wielkiej Ukrainy i nawet z jej dalekich, wschodnich i południowych rubieży (tych „chochłackich”): Jewhen Małaniuk, Jurij Klen, Iwan Bahrianyj, a z młodszego od nich pokolenia Leonid Łyman, Jar Sławutycz, Leonid Połtawa i tylu innych?! Byłoby ich znacznie więcej, gdyby nie „federalistyczne” poczynania sławetnej Jedności.

Rafalski powstaje przeciw „afrykanizacji” świata (dawniej mawiało się: „bałkanizacja”) i tym razem znowu ma rację i ponownie ją traci w konfrontacji z konkretnymi zagadnieniami Wschodniej Europy. Odkąd zaczęło się (jeszcze przed tatarskim jarzmem) wspaniałe „zbieranie ziem ruskich”, najpierw przez Wielkie Księstwo Moskiewskie i carat, następnie przez petersburskie imperium, a wreszcie przez RSFSR i Związek Sowiecki — zawsze działo się identycznie: najpierw zbrojny podbój, na drugim etapie narodowe i kulturalne glajchszaltowanie. Zasady federalistyczne, jeżeli kiedykolwiek istniały, to tylko na bezbronnym papierze.

Rafalski powiada, że dla wspólnego dobra wszyscy powinni zrezygnować z egoizmów narodowych i pójść na rozsądny, a niezbędny kompromis. Święta racja! Ale niech zaczną dawać dobry przykład potężni krzywdziciele, a nie słabi i pokrzywdzeni. To byłby wstępny warunek. Rafalski chce namówić Ukraińców na federację z Rosją? Ma do tego pełne prawo. Ale zastosował metodę raczej nieszcześliwą, odmawiając im prawa nawet do nazwy osobnego narodu, co każdy — rzecz prosta — przyjmie, jako obelgę. Tym samym diagnoza „choroby stulecia” wypadła raczej niedobrze.

I jeszcze, żeby skończyć z zagadnieniem ukraińskim, kilka słów co do „braku świadomości” narodowej na Ukrainie, na skutek czego naród ukraiński, według Rafalskiego, rzekomo „nie istnieje” jako całość (nie licząc, naturalnie, halickich „separatystów”). W tym samym, 11-tym numerze *Kontinentu*, w którym ukazała się „Choroba stulecia”, przeczytałem z najwyższym zainteresowaniem tekst rosyjsko-ukraińskiego (dwujęzycznego) pisarza, Gelijsa Iwanowicza Sniegiriowa, „Mamo, moja mamo...”; podtytuł — „Studium liryczno-publicystyczne”. Wymowna, a raczej wstrząsająca rzecz o sowieckich sądach, procesach, wyrokach, więzieniach i obozach koncentracyjnych.

Sporo miejsca i uwagi Sniegiriow poświęcił słynnemu procesowi „SWU” (Związku Wyzwolenia Ukrainy), zmontowanemu

przez GPU (Związek ten w rzeczywistości nigdy nie istniał), a stanowiącemu konieczny wstęp do wielkiej akcji terrorystycznej, w wyniku której zniszczono większą część ukraińskiej inteligencji i kilka milionów chłopów. Powołuję się na interesujący mnie fragment.

Autor podaje, że gdy aresztowanych chłopów prowadzono do transportu, matki, albo żony wsuwały im ukradkiem do worków „kawał słoniny i kromkę chleba”, a każdy z nich w ostatniej chwili chwycił ze stołu ukochanego „Kobzarza” („świadkowie twierdzą, że wszyscy ci chłopci, bez wyjątku, mieli w torbach, obok chleba i słoniny, szewczenkowskiego „Kobzarza”). Po cóż im było potrzebne, tym ciemnym kmiotkom, pozbawionym wszelkiej świadomości narodowej? Po cóż im była potrzebna, tym „chochłom”, w drodze do więzień i łagrów „białej śmierci”, lektura poety, który budził wrogość do Moskali i nie przyznawał się do żadnego z nimi pobratymstwa? Usilnie polecam Rafalskiemu pilną lekturę „liryczno-publicystycznego studium” Gelijsa Sniegiriowa!

Znalazło się w artykule kilka nieprzyjemnych uwag na temat Żydów, głównie tych, którzy w konsekwencji wiadomej akcji antysyjonistycznej wyemigrowali do Izraela i dość często zabierają głos w sprawach narodowościowych na terenie Związku Sowieckiego. W zasadzie to nie moja branża, niech sobie sami Żydzi i Rosjanie załatwiają wzajemne pretensje i porachunki. Jedna tylko uwaga, dotycząca historii powstania bolszewizmu. Nie po raz pierwszy oświadczono, że naród rosyjski nie ponosi odpowiedzialności za rewolucję bolszewicką i cały dalszy ciąg. Pod tym względem Rafalski także Ameryki nie odkrył. Jakże, ileż to razy czytaliśmy, że twórcami „października” byli w przeważającej ilości nie Rosjanie! Poniektórzy polscy pisarze emigracyjni także przyłożyli rączki do tego typu propagandy.

Stalin i Ordżonikidze to Gruzini, Dzierżyński i Mienżyński — Polacy, w pogromie Denikina poważną rolę odegrała słynna „łotewska dywizja”, no, i mnóstwo Żydów: Trockij, Kamieniew, Zinowiew, Swierdłow, Radek itd. Stąd znane kontrrewolucyjne hasło: *Biej Żydów, spasaј Rassiju!* Rafalski skoncentrował się właśnie na Żydach. „To ich ojcowie i dziadowie — pisze — przeprowadzili, całą siłą podtrzymali i umocnili październikową rewolucję i nową władzę, i stali się jej elitą, jej warstwą kierowniczą. Dlaczego nie podtrzymali Trockiego przeciw Stalinowi, dlaczego nie stworzyli, zamiast obecnego „więzienia narodów”, autentycznie demokratycznego, federacyjnego, wolnego, prawem rządzonego kraju? Jakże dopuścili do tego, że zamiast braterskiego współżycia, bez różnicy religii i narodowości, doszło w tym kraju do zoologicznego antysemityzmu? Kto ponosi winę — barbarzyński naród, czy ta nowa elita, która postanowiła, że,

skoro „granica osiedlenia” została zniesiona, pozostaje jej tylko odcinanie kuponów od powstałych możliwości?”.

Ten akt oskarżenia wypadł niezwykle namiętnie i w równym stopniu niesłusznie. Nikt trzeźwy nie zaprzeczy, że udział Żydów w rewolucji i bolszewizmie był bardzo wydatny. Ale rewolucja rosyjska tkwiła swymi korzeniami w czasach dość odległych, kiedy Żydzi nie odgrywali w Rosji żadnej roli — ani politycznej, ani intelektualnej. Przede wszystkim w Rosji etnograficznej w ogóle ich nie było, a przed upływem wieku XIX-go osiedlały się tam tylko nieliczne jednostki. Idee rewolucyjne szerzyły się początkowo bez udziału Żydów. W organizacjach terrorystycznych także ich nie było. W ostatnim i udanym zamachu na Aleksandra II-go, o konsekwencjach fatalnych, a przez jego sprawców absolutnie nieprzewidywanych, Żydzi rąk nie maczali. Owszem, była w ową sprawę wkomplikowana młoda Żydówka, kochanka jednego z czterech skazanych i powieszonych, Michajłowa; o spisku, być może, wiedziała, ale do niego nie należała. Natomiast Sofija Pierowska, również stracona wraz z towarzyszami, była rodowitą Rosjanką. Obiektywny historyk stwierdzić musi bez bicia, że do rewolucji doszłoby i bez udziału Żydów.

A poza tym nie wystarczyło rewolucji wywołać, trzeba było jeszcze wygrać przewlekłą wojnę domową. O wyniku zadecydowały z jednej strony masy chłopskie i robotnicze, ani domyślające się, co je czeka (gdy zaczęły się domyślać, było już za późno), z drugiej — bezgraniczna tępota dowódców „białej” Armii Ochotniczej: Denikina, Wrangla, Aleksiejewa... Nieszczęściem antybolszewickiego ruchu było, że generał Kornilow, jedyny który orientował się w zawitych zagadnieniach narodowościowych, zginął na samym początku.

Nie orientuję się, czy Rafalskij wie, że o bolszewickiej wygranej pod Carycynem zadecydował nie geniusz militarny Stalina (legenda o tym powstała znacznie później), lecz mord popełniony na przywódcach Kozaków Kubańskich, Riabowole i Kułubuchowie. To wtedy Kubańcy zaczęli masowo opuszczać front. Czy wie, że ofensywa na Moskwę załamała się po zajęciu Orła, ponieważ uprzednio znaczna część kawalerii została rzucona na Ukrainę, przeciw Petlurze? Że w najgorętszym czasie, gdy należało wyteńczyć wszystkie siły w jednym, decydującym kierunku, generał Denikin skierował doborową dońską brygadę wraz z górką artylerią przeciw Czechencom? Dopuszcili się niesłychanej zbrodni: nie tylko zajęli żyzne ziemie nad rzeką Terekiem, odebrane im przez rząd carski po kapitulacji Imama Szamila w aule Gunib, ale ponadto w spółce z Inguszami, Lezginami, Kabardyńcami, Czerkiesami ogłosili jakąś idiotyczną niepodległość. Pomyśleć — taki beczelny zamach na „jedyną i niepodzielną”! Jeszcze jeden

przykład szowinistycznego prowokowania narodowych uczuć rosyjskich przez niepoprawnych „separatystów”!

Nie Żydzi wygrali wojnę domową. Trockij położył wielkie zasługi w organizowaniu Armii Czerwonej, to prawda, ale nie on nią dowodził. Kamieniew był nominalnym wodzem naczelnym w kampanii polskiej; bezpośrednio dowodzili Tuchaczewskij, Budionnyj, Woroszyłow... I tak samo na wszystkich prawie frontach: Rosjanie, a nie Żydzi.

Ważna dla mnie uwaga! Rzadko kto przyznaje się do antysemityzmu. Gdy tylko na tapetę wchodzi sprawa żydowska, często słyszy się, albo czyta: — Nie jestem antysemitą, ale... Odwracam to powiedzenie, już sakramentalne, i oświadczam: — Nie jestem filosemitą, ale... A właśnie! Nie przypisujemy Żydom absolutnie wszystkich win i nie róbmy z nich wszechwładnych demonów. Co nie znaczy, by się w nich bezkrytycznie kochać, jak to się zdarza nie jednemu durniowi (także na naszej bezgrzesznej emigracji). Iż to razy (aż do znudzenia!) cytowałem celne powiedzenie świętego rosyjskiego parlamentarzysty, Struwego, który określił bolszewizm, jako „mieszaniec niemieckiego piwa z rosyjską siwuchą”! Że żydowscy karczmarze brali udział w tej operacji? Zgadza się, brali. Ale piwo niemieckie, ale siwucha rosyjska! Sama pejsachówka rady by nie dała.

W ostatnich latach, odkąd zaczęli napływać na Zachód nowi emigranci rosyjscy, usłyszeliśmy odmienny ton, uprzednio prawie niespotykany w wypowiedziach na tematy narodowościowe. Od pewnego czasu przyzwyczajamy się do tonu, pozbawionego nacjonalistycznej pychy, wielkomocarstwowej wyższości i lekceważenia, albo potępienia wszystkiego, co godzi w imperialny stan posiadania. Niejednokrotnie dyskutowałem ze starymi rosyjskimi emigrantami. Prawie zawsze bezskutecznie.

Rozmawiali ze mną często przyjaźnie, bo ich mile łechtała dokładna znajomość rosyjskiej historii i literatury, ale do porozumienia nie dochodziło. Dlaczego? Powód nieodmiennie ten sam. Rosjanie o określonej, tradycyjnej mentalności utożsamiają swój naród z imperium. Każdy zamach na imperium jest uważany za zamach na sam naród, stanowi wystąpienie antyrosyjskie. Zawsze ta sama gadka. „Wy, Josif Władisławowicz, walcie po sowieckim dyszlu, ale nie ruszajcie rosyjskiego konia!”. I nadaremnie udawać, że to stary imperialny dyszel, tyle, że pomalowany na czerwono, że trzeba rosyjskiego konia wyprząć i puścić wolno, a przy okazji uwolnić wszystkie inne konie: ukraińskiego, litewskiego, gruzińskiego, turkmeńskiego, uzbeckiego — wszystkie bez wyjątku! A jeżeli później zechcą zejść się w jeden tabun — to ich sprawa. Ale niech się to stanie dobrowolnie, nie pod przymusem!

Omawiany artykuł Siergieja Rafalskiego nie pasuje do wypowiedzi, ogłaszanych dotychczas na łamach *Kontinentu*. Jak podałem na wstępie, redakcja zastrzegła się, że nie podziela niektórych opinii autora, a jednocześnie wyraziła nadzieję, że artykuł wywoła „konstruktywną i zapładniającą dyskusję”. Oby się ta nadzieja spełniła, oby niniejsze wystąpienie nie pozostało jedyną reakcją!

Na razie to tylko reakcja z polskiej strony. Przypuszczam, jestem prawie pewny, że odezwie się emigracyjna prasa ukraińska. Ale byłoby najważniejsze, żeby wystąpili publicyści rosyjscy, ci mianowicie, którzy nie stoją na stanowisku wielkomocarstwowym. To głównie do nich należy podpisać się pod opiniami Rafalskiego, albo je zdezautować, względnie skorygować. Co do mnie, stwierdzam raz jeszcze, że uważam je za archaiczne, utrzymane w stylu tradycyjnego rosyjskiego nacjonalizmu, choć sam Rafalski energicznie się od niego na każdym kroku odżegnuje.

Te antynacjonalistyczne deklaracje nie mają żadnego pokrycia, nie wytrzymują konfrontacji z konkretnymi opiniami i ocenami. Diagnoza „choroby stulecia” jest, niestety, nie do przyjęcia. Tym mniej proponowane metody kuracyjne.

Czego między innymi Rafalski nie zauważył? Tego, że walka o prawa narodowe, które lekceważąco określa, jako drożny, niegodny „separatyzm”, jest ważnym sprzymierzeńcem w ogólnej walce o godność człowieka, o jego wolność osobistą i społeczną. Komunizm niszczy jednostkę, próbując odebrać mu kolejno: indywidualną osobowość, zdolność do krytycznej oceny zjawisk, wrażliwość na różnice ideowe; usiłuje zrobić z każdego indywiduum robotę, myślącego i działającego mechanicznie. Otóż poczucie odrębności narodowej i, co za tym idzie, kulturalnej stanowi skuteczną odtrutkę na totalitarny jad komunizmu. I nie ma w tym żadnego drożnego nacjonalizmu, choć może w określonych wypadkach w nacjonalizm się wyrodzić. Ale to już zupełnie inna melodia.

Gdy się jest zwolennikiem indywidualizacji każdej jednostki ludzkiej, nie ma się prawa do potępiania i odrzucania indywidualizacji narodowej. Jedno z drugim idzie w parze i nie musi doprowadzić do antagonizmu. To, że wyjątkowo pocucie narodowe może niekiedy doprowadzić do takich kryminalnych wynaturzeń, jak rasistowski hitlerizm, niczego nie dowodzi i nie przesądza. Na innym biegunie przewrażliwione pocucie społeczne doprowadziło do innego wynaturzenia — do sowieckiej totalitarnej tyranii komunistycznej. A przecież jeszcze nie tracimy nadziei, wciąż wierzymy w ludzi zdrowych, nie zagrożonych schizofrenią, ani paranoją, których stać będzie na utworzenie społeczeństw, bez chorobliwych przegięć w żadnym kierunku. *Gleich-*

schaltung (rosyjska *urawniłowka*) narodowościowa ułatwia totalistom niwelację duchową i moralną człowieka. Działa tu prawo naczyń połączonych.

Polemika z Rafalskim — już doprowadzam ją do końca — wypadła krytycznie, miejscami nawet ostro krytycznie. To przywilej każdego polemisty: zwracamy uwagę przede wszystkim na to, z czym się nie zgadzamy. Jednakże elementarna lojalność każe przyznać, że Rafalski dostrzega w Sowietach powstanie nowego, rosyjskiego nacjonalizmu, tego — jak pisze — „demagogicznego nacjonalizmu, który Kompartia od pewnego czasu chytrze popiera, z wiadomych sobie względów”. Ale to nie żadne odkrycie — o tym od dawna wiadomo. To zaczęło się jeszcze przed Drugą Wojną Światową, a wraz z nią doszło aż do imperialistyczno-szowinistycznego paroksyzmu. I jednocześnie to tylko nowa, dostosowana do zmienionych warunków, wersja dobrze znanego zjawiska.

Rafalski jest zwolennikiem zgodnego współżycia wszystkich narodów, zamieszkałych na „wielkiej Euroazyskiej równinie”. To pięknie. Ale używa przy tym zdumiewającej i — co tu dużo gadać! — wysoce denerwującej terminologii. Cytuję zdanie, zamykające artykuł: „Należałoby zrozumieć, że droga, prowadząca ku lepszej przyszłości wszystkich sowieckich narodowości (wśród nich wielkoruskiego i ukraińskiego) polega nie na rozpadnięciu się Sowietckiego imperium (choćby tylko psychologicznym), lecz na wspólnej walce wszystkich ludzi dobrej woli o świadome, swobodne, demokratyczne współżycie różnych narodów w Swobodnym Związku Sowieckim”. Nie, nie przepisałem się — Związek Sowiecki ma być zachowany, tylko z „Socjalistycznego” ma przekształcić się w „Swobodny”. I by tak się stało, ma wystarczyć „wspólna walka ludzi dobrej woli”.

„Swoboda” i „sowieckość” — jakże można te dwa słowa wymawiać jednym tchem?! Przecież to piramidalne *contradictio in adiecto*! A wreszcie ta walka toczy się nie tylko o wolność i demokrację, lecz o samo zachowanie osobowości poszczególnych narodów, śmiertelnie zagrożonych w swoim istnieniu.

Józef ŁOBODOWSKI

Notatka-Oferta

Andrzej Grzegorzczak
ul. Balonowa 23
02-635 Warszawa.

Napisałem książkę pt: FILOZOFIA CZASU PRÓBY — składa się z 7 rozdziałów:

1. Podstawy syntetycznego obrazu ludzkiego losu (dyskusja kilku aktualnych poglądów historyzoficznych).
2. Kilka rysów sytuacji konfliktowych (podstawowe wiadomości o konfliktach, jako ważny element ludzkiego losu).
3. Rola nauki (jej analiza we współczesnym świecie).
4. Przyjęcie świata — punktem wyjścia w kształtowaniu swojej postawy. (Akceptacja istnienia w nawiązaniu do filozofii L. Kołakowskiego, jako punkt wyjścia przy szukaniu zadań dla swojego życia).
5. Akceptacja drugiego człowieka (jako analogiczny punkt wyjścia w kształtowaniu swojego stosunku do innych ludzi).
6. Humanistyczna utopia przyszłości i strategia dążenia (najbardziej niezbędne wytyczne przyszłości).
7. Ostateczne wyzwanie. (Dyskusja spraw, które wydają się wskazywać na wyjątkowość obecnej sytuacji ludzkości).

Charakter książki popularno-naukowy, z bardzo ogólnym nastawieniem filozoficznym harmonizującym z etyką chrześcijańską, jednakże bez żadnych sformułowań zawężających platformę światopoglądową.

Objętość około 220 stron maszynopisu.

Ponieważ 4 wydawnictwa krajowe (PWN, Wydawnictwo Literackie, WIEŻ i PAX) odmówiły mi wydania ze względów światopoglądowych, konfesyjnych lub politycznych (każde namyślając się około roku), przeto obecnie

POSZUKUJĘ SPOSOBU WYDANIA ZARÓWNO W KRAJU JAK I ZA GRANICĄ.

Prosiłem też odpowiednie władze o możliwość wydania na własny koszt w małej ilości do 1000 egzemplarzy. Uważam, że taka możliwość powinna istnieć w każdym kraju uznającym tzw. Prawa Człowieka. Jak dotąd władze PRL nie udzieliły mi tego pozwolenia.

Polscy wydawcy obdarzają większą tolerancją autorów obcych, aniżeli krajowych. Dotyczy to zarówno wydawców państwowych jak i katolickich. Tłumaczy się różnych autorów zachodnich, ażeby pokazać, że w Polsce wszystko jest dostępne, natomiast od swoich autorów żąda się światopoglądowego lub konfesyjnego konformizmu.

W książce mojej są same rozważania ogólne. Nie ma nic na temat aktualnych spraw politycznych Polski lub bloku. Nie obawiałbym się nawet poważnych ingerencji cenzury krajowej.

Notatkę tę rozsyłam różnym osobom, które mogą być zainteresowane lub mogą chcieć mi pomóc, ponieważ jestem przekonany, i dotychczasowe opinie mnie w tym utwierdzają, że książka moja może być wychowawczo pożyteczna.

Andrzej GRZEGORCZYK

Kronika kulturalna

Na trzydziestolecie «Kultury»

Po raz pierwszy usłyszałem o miesięczniku *Kultura* w okolicznościach zgoła niezwykłych. Pewnego dnia — mniej więcej w połowie 58-ego roku — do mieszkania mego w Sokolnikach zgłosiło się dwóch nader małomównych towarzyszy w cywilu. Przyszli, jak się okazało, tylko po to, by mnie ostrzec przed kontaktami z wysłannikiem tego pisma, który ponoć szuka mnie i chce się ze mną spotkać. Goście dodali, że jeśli nie skorzystam z ich rady, spotkać mnie mogą „pewne przykrości”.

Długa szkoła życiowa nauczyła mnie, by rady takie zawsze traktować *à rebours*, więc, rzecz jasna, do niczego się nie zobowiązałem; jednakże — jakoś nie doszło do obiecanego spotkania. Od tej chwili coraz częściej docierały do mnie wieści o *Kulturze*, jak najbardziej przy tym pochlebne, wkrótce zaś, jeden z numerów tego pisma — specjalny numer rosyjski — trafił do moich rąk bezpośrednio.

Numer ten cechowało tak gorące zaangażowanie, taka troskliwość, wręcz serdeczność w stosunku do każdego z rosyjskich pisarzy, taka wrażliwość na losy współczesnej literatury rosyjskiej w ogóle — że natychmiast i bez żadnych zahamowań uznałem *Kulturę* za pismo głęboko mi bliskie, za — niechże mi to polscy czytelnicy darują — moje własne pismo. Dlatego też, gdy znalazłem się na Zachodzie i zacząłem projektować publikację *Kontynentu* — przede wszystkim zwróciłem się (również Aleksander Sołżenicyn domagał się tego) do redaktora *Kultury*, Jerzego Giedroycia oraz do najbliższych jego współpracowników — Józefa Czapskiego i Gustawa Herling-Grudzińskiego. Nigdy też nie musiałem później żałować tego kroku, znalazłem w nich bowiem wiernych i konsekwentnych sojuszników. Aktywny ich udział w redagowaniu *Kontynentu* przyczynił się ogromnie, może

w sposób decydujący, do podniesienia poziomu pisma i do zdobycia przez nie określonej międzynarodowej pozycji.

Wiemy — a świadczą o tym nader liczne dowody — z jak ogromnym i niesłabnącym zainteresowaniem czytana jest *Kultura* w Polsce, ale podkreślić pragnę, że nie mniejsze zainteresowanie budzi ona (i mówi nam to nasze własne doświadczenie) tutaj, na Zachodzie. I wcale nie tylko wśród Polaków. Można rzecz bez przesady, że współczesna kultura polska temu właśnie piśmu zawdzięcza wiele ze swojej żywotności, jemu to zawdzięcza może najpiękniejsze swoje rysy. Czytając je wciąż sobie tę prawdę powtarzam: nie, jeszcze Polska nie zginęła!

Drodzy przyjaciele, niech się święci Wasze trzydziestolecie!

W. MAKSIMOW

Kontinent, nr 12.

Wyznania i zeznania ukraińskiego polonofila

Podobno dziennikarzom, politykom i zakonnikom nie wolno mówić publicznie o swoich intymnych sprawach. Jakżeż więc — pozostając w ramach mojego zawodu — mam wyrazić przyczyny polonofilstwa, jak opowiedzieć dlaczego lubię Polaków i skąd powstała koncepcja czynnego zaangażowania na rzecz porozumienia polsko-ukraińskiego? Prawdą jest chyba, że publicyście rzadko trafiają się okazje do wynurzeń natury osobistej. Zajmując się sprawami publicznymi musi pozostawać w świecie poglądów i argumentów w imię takiej czy innej idei przewodniej. Jako wyraziciel mniej czy więcej trafnie i zrozumiale wykładanych sformułowań dla szerokiej rzeszy czytelników jest postacią anonimową. Zazwyczaj wyręczają go w tym względzie koledzy po piórze — w nekrologach. Jednak ten tradycyjny system pomocy zawodowej nie jest, jak wszystko na tym świecie, doskonały. Okazja ta sama w sobie niezbyt wesoła nakłania często ludzi o pogodnym usposobieniu do niemiłosiernie usztywnionych ocen. Innym daje jednorazową szansę do załatwienia porachunków, na które za życia nieszczęśnika brakło im odwagi. Ale główny sęk w tym, że zgodnie z dotychczasowymi regułami życia doczesnego

i pozagrobowego zainteresowany nie jest już w stanie niczego sprostować.

Otóż jedynym zabezpieczeniem przed tego rodzaju komplikacjami są jubileusze, oczywiście nie własne, lecz tych pism lub czasopism, w których się coś niecoś napisało. Korzystając z takiej daty w życiu *Kultury* — mimo tego, że jeszcze się nie żegnam z kolegami i czytelnikami — zdecydowałem się sam zabrać głos. Ale zabrawszy się do dzieła stwierdziłem z miejsca, że rzecz to jest piekielnie trudna. Nie w sensie jakiegoś asekurancтва czy groźby wychylenia się z ram „racji stanu”, czy też linii partyjnej. Tego rodzaju względy są mi obce. Wiedzą o tym Polacy na Wschodzie i na Zachodzie, którzy mnie z dawna nazywają „atamanem”, kierującym się jedynie i wyłącznie własną myślą i własnym piórem. Zna tę sprawę chyba też i większość moich ziomków czytających *Kulturę*. Trudność polega na czymś innym: na niemożliwości przedstawienia wszystkiego co na drodze pełnej niefrasobliwej zawadiackości, wielu satysfakcji, ale też i potknięć a nawet rozczarowań, było istotne i nieistotne, uszeregowania wszystkiego i przeprowadzenia obrachunku pomiędzy czynnikami emocjonalnymi i czysto racjonalnymi dla sporządzenia bilansu tego wszystkiego, co właściwie wpłynęło decydująco na to, że polubiłem Polaków jak braci, że się za nimi od ćwierćwiecza ujmuję na arenie publicystyki międzynarodowej jak za swoimi, że celem mojego dojrzałego życia stało się porozumienie polsko-ukraińskie. Nie da się tego wszystkiego ująć w suche daty, przemieszać i z całej tej masy, jak w komputerze, wyjąć krótką definicję.

Odszukiwanie śladów

Poszukując rodowodu miłości do Polski i Polaków sięgam myślą w lata dzieciństwa spędzonego na ziemi pinczowsko-proszowskiej — nie z woli rodziców lecz władz polskich, które mojego ojca — nauczyciela i lewiczowca — tak jak wielu innych tzw. „zatoczeńców” pół wieku temu zatoczyły aż w tamte rejony. Sam, pomiędzy Skalbierzem, Kazimierzą Wielką, Chrobrzem, Wiślicą i Kościelcem uczyłem się Polski. Biedy i uporu u chłopów, buty u szlachty, strachu u komunistów, idealizmu u ludowców, głupoty u policjantów. Pierwsze lekcje brałem na błoniach u pastuchów, w bitwach i śpiewach na pijanych graniach weselnych, na jarmarkach i odpustach, w biednych żydowskich miasteczkach Kielecczyny, ale i w cichości białego dworku dziwaczki-dziedziczki Śląskiej w Boszczynku, uczącej małego brudasa bez butów — francuskiego. I dalej na tropach przeszłości do

Wiślicy i Kościelca, do mrocznych kościołów i bóżnic, do ławki gimnazjalnej w pałacu Wielopolskich w Pińczowie i do pierwszych konfliktów o zachowanie własnej tożsamości narodowej z rzecznikami endeckiej asymilacji, do związków z powieścią i publicystyką ludowców Burka, Skuzy, Mortona.

Nawet wojna, która zatopiała w krwi i nienawiści wiele związków polsko-ukraińskich, nie zdołała rozerwać starych przyjaźni. Przeciwnie w kręgu młodych ludzi, w przeważnej większości z lewicy zadzierzgnęły się nowe więzi, które wbrew późniejszemu podziałom wytrzymały próbę czasu. Również te z okresu powojennego w Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie, która na kilka lat stała się azylem a jednocześnie swoistym obserwatorium, pozwalającym śledzić na obiekcie przedziwnej mieszaniny żydowsko-międzynarodowej i neonacjonalistycznej pierwsze sygnały nadchodzących przemian i przybliżającej się w przyspieszonym tempie tragedii polskich Żydów.

Rola „Kultury”

Po szkole o sprawach polskich z lat dziecięcych, po uniwersytetach wojennych i powojennych — nastały lata żmudnych poszukiwań kręgu ludzi o podobnych przekonaniach i przeświadczeniu, że w obecnych warunkach zdruzgotanej Ukrainy i zniewolonej Polski, możliwość podjęcia dyskusji na temat najnowszego okresu naszych wspólnych dziejów — jako podstawy do późniejszej współpracy — nie istnieje ani w Warszawie ani w Kijowie. Następne dwudziestolecie w pełni to potwierdziło. Dotychczas nie wydano w Warszawie ani jednej solidnej pracy o stosunkach polsko-ukraińskich od czasu pierwszej wojny światowej. Nie ma też podręcznika historii Ukrainy w XX-tym wieku ani ukraińskiego odpowiednika o najnowszych dziejach Polski. A sposób traktowania centralnych zagadnień dnia współczesnego — jak tego dowiodły przemówienia Łukaszewicza, Motyki, Syczewskiego czy Tronka lub Małanczuka z okazji dni polskich na Ukrainie na wiosnę 1977 — jest zawstydzająco tchórzowski. Ale wróćmy po tej dygresji do wątku zasadniczego. Drogi poszukiwań były trudne i zawile. W okresie zimnej wojny znalazło się na terenie zachodniego Berlina kilku przedstawicieli polskiego życia politycznego na emigracji. Prawie wszyscy rozumieli konieczność uzdrowienia boleśnie nabrzmiałych problemów sąsiedztwa. Ale niebawem okazało się, że na tej drodze nie będzie można niczego nowego osiągnąć. Po jakimś czasie nadarzyła się okazja do uczestnictwa w rozmowach monachijskich, gdzie powstała polska sekcja Radia Wolnej Europy. Były to rozmowy

pożyteczne, przyjemne, zwłaszcza, że brał w nich udział człowiek tak kompetentny jak nieżyjący już Stanisław Paprocki. A jednak, po każdorazowej dyskusji pozostawało uczucie niedosytu. Potem połąpałem się na czym to polegało. Brakowało temu dialogowi odwagi do podejmowania śmiałych decyzji, a przede wszystkim do rozwinięcia twórczych wizji. Przyczyniło się do tego wiele czynników: epigonizm starszej generacji ludzi z Polski sanacyjnej, strach przed poszukiwaniem nowego modelu stosunków, niezrozumienie w stosunku do tego, co się w międzyczasie wydarzyło w sensie przemian historycznych na nizinie między Odrą, Wisłą, Bugiem i Dnieprem. Wreszcie było jasne, że pracownicy RFE, to jednak urzędnicy na służbie amerykańskiej, pozbawieni ostatecznej, ale decydującej cząsteczki w życiu publicznym — pełnej suwerenności. I oni — choć w niewspółmiernie większym zakresie, niż ich koledzy w Warszawie czy w Kijowie — korzystali tylko z ograniczonej suwerenności. Wyłamywał się z tego gorsetu jednak kierownik zespołu — zagończyk ze wszystkimi dobrymi i mniej dobrymi cechami podobnych charakterów — Jan Nowak-Jeziorański. I w tym układzie sił uczynił wiele dla wspólnego dzieła. Doceniał wagę sprawy porozumienia polsko-ukraińskiego i nie bał się — a to jest najważniejsze — konsekwencji statusu ograniczonej suwerenności, tzw. „polskiej deski”. Chociaż później — z zupełnie innych względów — skrzyżowaliśmy jego szpadę z moją krzywą kozacką szablą — w kwestii stosunków polsko-ukraińskich zdejmuję mój kółpak przed jego zapalczywą pałą. Ale i Jan Nowak nie był w stanie przełamać wszystkich krępujących grupę monachijską szlabanów zmiennej racji amerykańskiej. I tego nie zdoła zrobić nikt kto jest na służbie takiego czy innego mocarstwa. Przykład „suwerennej” Warszawy, czy „równoprawnego” Kijowa — z czego sobie ogół obywateli nad Wisłą i nad Dnieprem kpi nie od dziś — jest oczywiście najbardziej złowieszczym przykładem niewolnictwa. Ale i monachijskie partnerstwo ma, niestety, bardzo wyraźne elementy poddaństwa. Wina to nie tylko polska lecz i amerykańska.

I oto, raczej przez przypadek, nastąpiło gdzie na początku lat pięćdziesiątych moje spotkanie z *Kulturą*. Konkretnie z redaktorem Jerzym Giedroyciem i jego ówczesnym towarzyszem pancernym Józefem Czapskim. Giedroyc do owej chwili był dla mnie postacią anonimowo-mityczną. Czytałem jako szczeniak wypożyczony od sprzedawcy gazet w Pińczowie, garbusa-filozofa żydowskiego, *Bunt Młodych* a potem *Politykę*. Zналиśmy się więc tak jak mnie, w o wiele mniejszym zakresie, zna rzesza czytelników *Kultury*. Pierwsza rozmowa była niepozabawiona elementami dystansu i nieufności. Ale jeśli chodzi o piszącego

była wydarzeniem przełomowym w stosunku do poprzednich poszukiwań. Stało się jasne, że nareszcie mam do czynienia ze środowiskiem świadomym swych celów, niezależnym w myśleniu i tworzeniu nowych treści, suwerennym wobec zadań współczesności i przyszłych okresów. I tak zaczęła się nasza współpraca, najpierw sporadyczna, potem intensywna, ostatnio znowu, przejściowo, nieco kulejąca. Nie była i nie jest wzajemnym potakiwaniem. Wadziłyśmy się i kłócimy się nadal, ale jest to stale permanentny konflikt twórczy. W ten sposób sprawdzamy się wzajemnie, ale z tą różnicą wobec wszelkich innych układów, że działamy suwerennie, bez żadnego nad nami bata.

Tu, w *Kulturze*, znalazłem to, o co walczyłem w rozmowach z moimi polskimi rówieśnikami w czasie wojny i po wojnie. O śmiałość nowych propozycji, o przezwyciężenie wiekowych i niedawnych uprzedzeń, o zrozumienie naszych wspólnych interesów i konieczności w imię wspólnej wolności.

Giedroyc, ten dziwny człowiek, który połączył twardy upór swych litewskich przodków z polską fantazją jest — przynajmniej dla mnie — podobnym fenomenem jak Piłsudski, Cat-Mackiewicz czy nawet Feliks Dzierżyński. Może byli i są jeszcze inni, ale tych wszystkich żubrów, mimo ich wyjątkowości, widocznie nie znamy.

Ten małowówny i krótkie listy piszący Polak-Litwin, czuwający nad całym podparyskim folwarkiem wolności, działał nie sam. Naturalnie to on był i jest organizatorem, architektem i nadzorcą wszystkiego. Ale bez filaru niezależnej publicystyki polskiej — Mieroszewskiego, bez wiernego druha sprawy ukraińskiej — Łobodowskiego, bez mędrca w kwestiach wschodnich — Hostowca-Stempowskiego, bez wiecznie młodzieńczego optymisty i romantyka — Czapskiego, bez raczej racjonalistycznie, ale w gruncie rzeczy po tej samej linii idącego — Herling-Grudzińskiego i prawdopodobnie bez aktywności zaangażowanych pisarzy, naukowców i publicystów ukraińskich jak Koszeliweć, Ławrynenko, Łewyckij, Szerech — przejście od dialogu do sformułowania wspólnych celów nie dałoby tych konkretnych skutków jakie zostały osiągnięte. A są to sprawy poważne, liczące się już na miarę nowych horyzontów. Dwa aspekty górują nad wszelkimi innymi: po pierwsze — posianie ziarna na glebie dzisiejszej Polski satelickiej, rozbudzenie wśród młodego, myślącego kategoriami politycznymi pokolenia zainteresowania, a obecnie już nawet czynnego zaangażowania na rzecz ideałów i programów głoszonych przez *Kulturę*; po drugie — rola *Kultury* w kardynalnej sprawie znalezienia platformy do podjęcia rozmów pomiędzy demokratami rosyjskimi i ukraińskimi. Ostatnia dekla-

racja Polaków, Rosjan, Czechów i Węgrów w sprawie wolności Ukrainy i jej obrony przed imperializmem rosyjskim w wydaniu „nowych carów” byłaby nie do zrealizowania bez uporczywego i stale drażącego zaangażowania zespołu *Kultury* i jej redaktora.

Bohdan OSADCZUK

ULB o Mieroszewskim

REFLEKSJE O ŚMIERCI MIEROSZEWSKIEGO

Niecały tydzień przed wybuchem polskiego czerwca, 21 czerwca, zmarł w Londynie Juliusz Mieroszewski, o czym paryska *Kultura* napisała we wspomnieniu pośmiertnym: „Śmierć Mieroszewskiego sprawiła w naszym piśmie wyrwę, której nikt nie zapełni. Razem z nim umarła część *Kultury*”. Redaktor tego głównego organu Polaków na obczyźnie, Jerzy Giedroyc, wie czemu tak mocno uderzył w stronę tragiczną. Mieroszewski był najwybitniejszym polskim publicystą okresu powojennego. Był nie tylko filarem i mózgiem polskiej publicystyki na emigracji, ale też na skalę ogólnopolską. Jego artykuły były zawsze produktem twórczego indywidualizmu, wolnego od jakichkolwiek nalotów taniego koniunkturalizmu, bezwzględne wobec Zachodu i Wschodu, swoich i obcych, surowe w ocenie emigracji i kraju ojczystego. Ale krytyczny duch Mieroszewskiego nie ograniczał się do biczowania oczywistych pomyłek współczesnych. To cecha każdego niezależnego dziennikarstwa i sama w sobie nie daje jeszcze podstaw do wystawienia świadectwa najwyższej klasy. Natomiast podstawy do takich superlatywów daje inna cecha twórczości zmarłego. Cechą tą była odwaga mówienia rodakom w oczy bolesnej prawdy, zrywania z tradycyjnymi poglądami, które leżą głęboko w mentalności Polaków i w ich podejściu do przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, odwaga walczenia z zaborcami, przyzwyczajeniami i psychozami, albo — jak mówił Mieroszewski — „neurozami politycznymi”.

Większość polskiej emigracji nie akceptowała tej terapii politycznej. Jej polityczny organizm i światopogląd był zbyt immunizowany siłą typowo emigracyjnej sklerozy, ażeby tezy publicysty-reformatora mogły ożywić tkankę, nieczułą na całkiem nową terapię. Lecz niemały odłam wspólnoty emigracyjnej reagował na tezy samotnego mistrza pióra dziennikarskiego z Londynu, który z podziwu godną wytrwałością ponad dwa dziesiątki lat co miesiąc na stronach *Kultury* poruszał najbardziej drażliwe

sprawy naszej epoki. Chyląc głowę nad mogiłą Mieroszewskiego nie sposób wyliczać jego wszystkich zasług. Zresztą to raczej zadanie dla pracy dyplomowej z dziedziny politologii. Naszym zadaniem jest oddać hołd Mieroszewskiemu za jego historyczną rolę na cierniowych szlakach stosunków polsko-ukraińskich. Był on jedynym polskim publicystą na obczyźnie, który na ruinach dawnych nieudanych prób porozumienia i nad świeżymi jeszcze mogiłami bratobójczej walki w drugiej wojnie światowej wznosił się do pionierskiej roli siewcy idei wspólnoty interesów Polski i Ukrainy. Podczas gdy większość jego rodaków oraz wszelkich instytucji politycznych, regionalnych, kombatanckich i innych stała na gruncie terytorialnych pretensji do Lwowa i Galicji Wschodniej, on rzucił hasło uznania *status quo* jako jedynej realnej bazy najpierw dla dialogu, a potem dla porozumienia. Z jego licznych artykułów na ten temat zacytuję tylko jeden fragment, który pokazuje wysoką klasę polityczną argumentacji zmarłego:

„Istotą stosunków polsko-rosyjskich była zawsze rywalizacja i tę rywalizację przegraliśmy nie bezpośrednio z Moskwą — tylko na Ukrainie. Ówczesnym narodom wschodnioeuropejskim nie mieliśmy niczego do zaoferowania poza wyzyskiem i kolonizacją i z tej przyczyny o idei jagiellońskiej Polacy mówią z namaszczeniem a Ukraińcy czy Litwini mówią z odrazą.

Nie proponujemy federacji polsko-ukraińskiej tym mniej nowej wyprawy na Kijów. Lecz, mówiąc obrazowo, wygrać z Rosją możemy tylko na Ukrainie. Przy odpowiedniej koniunkturze odbudować nasz status w stosunku do Rosji — będziemy mogli wówczas gdy narody oddzielające Polskę od rdzennej Rosji będą pewne naszej przyjaźni i poparcia. To nie jest ani imperializm ani idea jagiellońska, lecz zwyczajna, rozsądna polityka. Rozsądna i dalekowzroczna polityka jest rzeczą daleko trudniejszą niż imperializm...

Jedną z tez niniejszego wariantu sytuacyjnego jest pogląd, że o tym czy będziemy czy nie będziemy równorzędnym partnerem Rosji — zdecydować nie Rosjanie tylko Ukraińcy, Litwini, Białorusini, Bałtowie. Jeżeli w korzystnej koniunkturze zdołamy przekonać te narody, że Polska ma im coś więcej do zaoferowania niż Moskwa, że nasza polityka nie ma nic wspólnego z imperializmem... Rozpatrywana w tej płaszczyźnie rezygnacja ze Lwowa jest fragmentem naszej polityki nie w stosunku do Ukraińców, lecz w stosunku do Rosji. Nie możemy ułatwiać Rosji poróżnienia nas z Ukraińcami a nasze żądanie zwrotu Lwowa czy Wilna są wodą na młyn imperialistycznej polityki rosyjskiej.

Powinniśmy również pamiętać, że utrata Lwowa oznaczałaby zupełnie co innego dla Ukraińców niż dla Polaków. Ukraińcy mają piękny historyczny Kijów. Lecz nie mają miast porównywalnych w dziejowym splendorze z Krakowem, Warszawą, Gnieznem, Gdańskiem, Poznaniem — nie mówiąc o Wrocławiu, Katowicach i dziesiątkach innych miast polskich. Dlatego Ukraińcy, gdyby im odebrano Lwów, byłiby znacznie bardziej skrzywdzeni niż my, którzy utraciliśmy Lwów”.

(Kultura, kwiecień 1970 (Nr 4/271)).

Przede wszystkim największą zasługą Mieroszewskiego jest to, że jego artykuły trafiły na urodzajny grunt w Polsce. Tam przeczytała je i przemyślała polska młodzież i z nich uczyła się nowego politycznego elementarza jeśli idzie o istotne interesy Polski na wschodzie Europy. To nie polscy komuniści ze swoją nacjonalistyczną, rusofilską politstrategią pobudzili młodych Polaków do szukania nowych dróg do przyszłości. Zrobił to Juliusz Mieroszewski. I za to należy mu się nasza wdzięczność i szacunek.

Bohdan OSADCZUK

Szczastniak' Nr 12 (grudzień 1976).

LITWINI O MIEROSZEWSKIM

Litewski półrocznik *Seja*, Nr 2 (1976), Chicago, zamieszcza artykuł pt. „Wilno Litwie... Ku uczczeniu pamięci J. Mieroszewskiego”. Po paru-stronicowym zreferowaniu ostatniego listu Mieroszewskiego i wypowiedzi redakcji i publicystów *Kultury* w sprawach litewskich dodaje: „Czym się J. Mieroszewski wyróżnił i dlaczego ze wciąż jest wspominany w naszej prasie? On jeden z pierwszych wielokrotnie analizował ustosunkowanie się Polski do jej wschodnich sąsiadów i przyznał, że Wilno należy do Litwy a Lwów do Ukrainy. Ten jego pogląd nie był do przyjęcia, ani też popularny, wśród polskiego uchodźstwa, ale w Polsce te jego sugestie były szeroko roztrząsane i znalazły znaczne poparcie. Pod wpływem jego artykułów i poglądów, polski program polityczny, który w samej Polsce opracowali działacze różnych ugrupowań, zawiera ważny punkt 14-ty, o wyrażeniu się jakichkolwiek pretensji do Wilna i Lwowa. (Patrz artykuł A. Baćunasa „Co robić” w tymże numerze *Seja*). Dalej J. Mieroszewski pisząc o Polakach w Związku Sowieckim, trafnie określa rolę polskiej mniejszości w okupowanej Litwie, a mianowicie, że popieranie przez Rosjan polskiej działalności w dzisiejszej Litwie, nie jest szczere, a za cel ma stworzenie przeciwwagi litewskiego ruchu narodowego. Pragnąłby on widzieć, by ludzie obu narodów — Litwini i Polacy — prześladowani przez sowiecką okupację więcej i szczerzej ze sobą współpracowali. My, Litwini, wyrażamy współczucie sąsiadom Polakom i współpracownikom *Kultury* z racji utraty wybitnego publicysty i autora książek Juliusza Mieroszewskiego, i sami ubolewamy z racji utraty działacza życzliwie oceniającego aspiracje narodu litewskiego i odważnie te poglądy wypowiadającego na łamach swojej prasy”.

W bardziej Litwinom znanym polskim czasopiśmie *Kultura*, wydawanym od 29 lat w Paryżu — zwłaszcza w ostatnich kilku

latach — ukazuje się regularnie „Kronika Litewska”, zawierająca sporo informacji o Litwie, działalności Litwinów (np. stale podawane są informacje o *Kronice Kościoła Katolickiego* w Litwie, o życiu na Litwie itd.), czasem obiektywnych i w przychylnym dla Litwinów ujęciu.

Tutaj wypada wyrazić redakcji *Kultury* współczucie, gdyż dnia 21 czerwca 1976 roku zmarł w Londynie, po ciężkiej chorobie, najwybitniejszy publicysta tego czasopisma, wspaniały dziennikarz Juliusz Mieroszewski, urodzony w roku 1906 w Krakowie. W swych pismach był on przychylny Litwinom i dążył do utrzymania dobrych stosunków z Litwinami. W listopadzie 1975 roku, już ciężko chory, pisał w liście do Czytelników, że ciężko mu żyć bez pisania do *Kultury*, której poświęcił swe najlepsze lata. W tegorocznym numerze za lipiec-sierpień redakcja pisze, że śmierć Mieroszewskiego wytworzyła lukę, której nikt nie potrafi zapełnić. Za przychylność do Litwinów należy się zmarłemu nasza głęboka wdzięczność.

Dziennik *Draugas* (USA).

MIEROSZEWSKI I ULB

W *The Ukrainian Quarterly* (wiosna 1977) ukazała się nota o śmierci Juliusza Mieroszewskiego pióra Johna Switalskiego. „Wnikliwe spojrzenie Mieroszewskiego i jego pobudzające komentarze na temat wydarzeń politycznych w kraju i na świecie przyciągały szeroką rzeszę czytelników i nadały *Kulturze* funkcję polskiego samizdatu, krążącego potajemnie wśród intelektualistów, studentów i nawet urzędników reżymu warszawskiego. Pewien dziennikarz powiedział o nim: Dawał nam dwie nieodzowne rzeczy, obfitą informację i zdrowy sąd”. Nota odsyła do artykułu tegoż autora *Mieroszewski Makes Up for Poles' Lack of Solzhenitsyn* (zimowy numer *The Ukrainian Quarterly* z roku 1975). Artykuł był dokładnym streszczeniem *Rosyjskiego „kompleksu polskiego” i obszaru ULB* Mieroszewskiego. Kończył się słowami: „To prawda że Polacy nie mają Solżenicyna, ale Juliusz Mieroszewski w dużym stopniu nadrabiał ten brak”.

Sprawy i troski

Fundacja Enigma

Leżą przede mną trzy dokumenty użyteczne tematowi: dwie broszury-sprawozdania, bodaj jedyne wydane przez „Fundację Rzymską im. Margrabiny Umiastowskiej” i mały wycinek z wydawanych w NRF *Ostatnich Wiadomości* z bieżącego roku.

Obie broszury-sprawozdania, które jednak sprawozdaniem właściwie nie są, choć do tego pretendują, obejmują okres od roku 1946 do 1962. Pierwsza, za okres 1946-1950 jest w języku polskim, druga za okres 1961-1962 — we włoskim. Treść obu wydawnictw jest właściwie prawie jednakowa.

O ile mi wiadomo, nic innego, omawiającego działalność Fundacji, nie wydano.

Fundację powołała do życia swym testamentem w 1941 roku margrabina Janina Umiastowska, pochodząca z Moszczenicy koło Piotrkowa, ale całym swym życiem związana z Wileńszczyzną, zwłaszcza z powiatem oszmiańskim. Może warto by było choćby wspomnieć o margrabinie, że Fundacja Rzymska nie była jej pierwszym dziełem tego rodzaju. Wiadomo mi o założeniu przez Janinę Umiastowską fundacji w Żemłostawiu, w Kazimierzowie, Konwaliszkach i Klewicy — wszystko w powiecie oszmiańskim. Żemłostaw służył celom oświatowym Uniwersytetu Stefana Batorego swymi 2.200 hektarami, Kazimierzowo — celom wypoczynkowym młodzieży, Konwaliszki były osadą wypoczynkową dla artystów, uczonych i literatów, a Klewica stała się letniskiem wypoczynkowym dla niezamożnej młodzieży akademickiej. Ale o tym wszystkim nie ma ani słowa w rzymskich publikacjach „Fundacji Rzymskiej” właśnie „Margrabiny Janiny Umiastowskiej”.

Losy wojenne rzuciły margrabinę Janinę Umiastowską do Rzymu, gdzie zmarła w październiku 1941 roku. W ostatniej swej woli, pozostawionej na piśmie dwa miesiące przed zgonem, margrabina pisała:

„Niniejszym moim testamentem, przeze mnie osobiście w pogodzie ducha i myśli spisany, pragnę rozporządzić moją wolą co do dóbr przeze mnie posiadanych we Włoszech, a także, o ile to możliwe, co do majątku mego tak ruchomego, jak nieruchomości, znajdującego się w Polsce, w Wilnie, w Warszawie, których to dóbr spadkobiercą czynię Fundację... która, jeżeli nie będzie jeszcze ustanowiona przed moją śmiercią, ma być ustanowiona za staraniem mojego wykonawcy spadkowego, skoro tylko będzie możliwe, po mojej śmierci. Fundacja ma mieć nazwę: Fundacja Rzymska Margrabiny Janiny Umiastowskiej. Ma być o charakterze międzynarodowym i ma mieć za cel wspomaganie nauki...”.

Margrabina ułożyła także sama statut Fundacji. Czytamy w nim m.in.:

„Fundacja ma na celu popieranie rozwoju nauki i sztuki za pomocą nauczania, wydawnictw, zapomóg, organizowania konkursów, przyznawania premii i propagandy naukowej. Fundacja posiada charakter międzynarodowy; wszelka działalność polityczna jest wyłączona. Z pomocy Fundacji mogą korzystać naukowcy wszystkich narodowości, pierwszeństwo przysługuje Polakom, a następnie Włochom”.

Przewidziane zostały: Rada Administracyjna celem zarządzania majątkiem Fundacji, układania planów gospodarczych, uchwalania budżetu; winna ona składać coroczne sprawozdania z działalności i wydatkowania funduszy, następnie Komitet Naukowy z 3-letnią kadencją, wreszcie Komisję Rewizyjną.

Fundacja została zatwierdzona przez władze włoskie w 1944 r. Została nabyta nieruchomość w Rzymie, przy Via Morgagni 29. Inauguracja siedziby Fundacji miała miejsce 17 maja 1947 roku.

Zapewne nikt nigdy nie dojdzie do tego, jakie środki materialne pozostawiła po sobie margrabina Umiastowska. O dobrach w Wilnie czy Warszawie nie można było marzyć, bo władze PRL zlikwidowały wszystkie fundacje, i późniejsze pertraktacje na temat odzyskania dawnej własności margrabiny z władzami PRL pokrywały tylko wyjazdy do Polski niektórych kierowników fundacji.

Pierwszym kierownikiem Fundacji — użyjmy tu określenia ogólnikowego — został Edmund Lelesz, dawny profesor fizjologii zwierząt na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. Jego prawą ręką była Aniela Przeździecka.

W tym czasie Fundacja prowadziła pewną działalność, przede wszystkim w dziedzinie kontaktów naukowych, prac na polu artystycznym, tu głównie dzięki pracy i inicjatywie artysty-malarza Józefa Jaremy (o którym w sprawozdaniu cicho). W okresie czterech lat ogłoszono w Fundacji 11 odczytów. Biblioteka liczyła około 2.800 tomów. W 1950 roku ilość ich wzrosła do 3.500. Według sprawozdania do końca 1950 roku zwróciło się do Fundacji po informacje naukowe 38 Polaków. Z gościny mieszkaniowej, bez utrzymania, korzystało w latach 1946-1950 czterdzieści siedem osób.

Omawiane broszury mówią także o katalogowaniu polskiej dokumentacji we Włoszech, o zbieraniu materiałów obrazujących

polską działalność naukową i artystyczną w tym kraju, o gromadzeniu „poloników”, o tworzeniu zbiorów polskich pamiątek itd. Od razu pytanie pod adresem dzisiejszego zarządu Fundacji: gdzie to wszystko jest? Zbierano też „materiały informacyjne dotyczące byłych i istniejących organizacji polskich na terenie Włoch”.

Poza tym pozostał w Fundacji po założycielce bogaty dział pamiątek i dokumentów osobistych.

Sam widziałem w tym czasie w siedzibie Fundacji kilka aktów królewskich, listy Marii Konopnickiej, Lenartowicza i inne polonika.

W czasie druku włoskiej broszury-sprawozdania zmarł prof. Lelesz.

Ale jeszcze za jego życia rozpoczęły się w Fundacji zasadnicze zmiany: oto sprzedano dom przy Via Morgagni i Fundację przeniesiono do Frascati. Zakupiono we Frascati willę przy Via Ceconi 10 i nazwano ją „Quo vadis”, oraz willę „Select” przy Via Enrico Fermi. Kierownictwo Fundacji objęła Aniela Przeździecka.

Tu Fundacja przekształciła się w prywatny folwark i jest nim do dziś, po nowych zmianach personalnych.

Gościny udzielano coraz rzadziej, kontakty naukowe zanikły. Byłem kiedyś przypadkowo świadkiem takiej sceny: telefon, ktoś chciałby zatrzymać się w Fundacji. Do kiedy — pyta p. Przeździecka. Została wymieniona jakaś data. „Ach, jaka szkoda, właśnie dopiero w tym czasie u nas się zwolni pokój”. A pokoje były wszystkie wolne. W obu willach. Zwłaszcza „Select” miała być przeznaczona dla gości, a „Quo vadis” dla administracji. W imię prawdy trzeba dodać, że w niektórych wypadkach przyjmowano pewne osoby na krótszy czy dłuższy pobyt.

Po śmierci Anieli Przeździeckiej „nastał” ks. prałat Edmund Uliński. Był to zaiste okres *dolce vita* w Fundacji. Protegowani księdza prałata mieszkali nieraz dosłownie nie przez tygodnie i miesiące, ale przez lata całe, jeździli na koszt Fundacji za granicę, np. do Hiszpanii. Nikt nie myślał o jakichś sprawozdaniach, rozliczeniach z pieniędzy bądź co bądź społecznych. Fundacja utrzymywała „na etacie” kierowcy niejakiego Skowronka wraz z jego siedmioosobową rodziną. Skowronek gospodarzył, jak chciał. Ale i wykonywał też zlecenia kierownictwa Fundacji: spalił np., po obłaniu benzyną, pewną ilość książek. Jakich — nikt się nigdy nie dowie.

Po wyjeździe, nie z własnej woli, prałata Ulińskiego do Kanady wokół Fundacji zapadła dłuższa cisza. Willa „Quo vadis” stała długi czas zamknięta, na podłodze gnity materace, walały się książki biblioteczne, jakieś papiery. Tyle można było dojrzeć przez okna o gnijących ramach. Nie wiem, co się działo z willą „Select”, bo w tym czasie nic nie wiedziałem o jej istnieniu. I nikt nie wiedział, oprócz oczywiście osób wtajemniczonych.

Przyszedł nowy zarząd Fundacji i znów polska opinia nie

absolutnie nie wie. Żadnych sprawozdań do wiadomości publicznej nie podaje się. Nielicznym tylko osobom, interesującym się polskim życiem publicznym we Włoszech, znane są trzy nazwiska z zarządu Fundacji. Poza tym jest dwóch Włochów. Dowiadujemy się o tym także ze wzmiankowanego już wyżej wycinka z *Ostatnich Wiadomości*.

Tytuł notatki, która ma zastąpić sprawozdanie: „Fundacja Rzymska margrabiny J. Umiastowskiej”. Dosłowna treść jej jest taka:

„W marcu 1977 roku odbyło się kolejne posiedzenie Rady Fundacji składającej się z trzech Polaków i dwóch Włochów. Fundacja ta od kilku lat stanowi pomost kulturalny między Polską a Włochami. Stwierdzono, iż zawdzięczając obecnej administracji Fundacji dane było od 1969 roku ponad 200 stypendiów umożliwiających pobyt we Włoszech naukowcom i studentom z Polski. Największą grupę stanowili historycy sztuki, czemu nie można się dziwić, dalej ilościowo szli filolodzy, historycy, artyści, prawnicy, architekci, byli też lekarze, botanicy, inżynierowie.

Obecnie środki komunikacji pomiędzy Polską a Włochami znacznie ułatwiają przyjazdy, bo poza koleją istnieje linia lotnicza i w sezonie letnim dogodna linia autobusowa łącząca Warszawę z Rzymem. W Rzymie niemałą usługę oddaje przyjezdnym Hospicjum Związku Polskich Kawalerów Maltańskich, gdzie stypendyści mogą znaleźć tanie locum. Przychylny stosunek władz włoskich ułatwia działalność Fundacji, czego dowodem są włoscy członkowie Rady: ambasador P. E. Massimo Lecellotti i ksiądz Forese Salvati.

W roku bieżącym ilość stypendystów jest ograniczona ze względu na zwiększone państwowe świadczenia”.

Czy to ma być sprawozdanie *Fundacji Naukowej*? Przecież to raczej mogłaby być ulotka reklamowa „Lotu” czy „Orbisu”. Dlaczego notatka nie wymienia trzech nazwisk polskich, kryjąc je za nazwiskami włoskimi? Gdzie jest strona finansowa działalności? „Pomost kulturalny między Polską a Włochami?” W jaki sposób ten „pomost” został nawiązany? Przez kogo z Fundacji?

Dodaje publicznie i inne pytania:

— Co się dzieje z willami w Frascati?

— Czy jest prawdą, że w Frascati Fundacja posiada także kamienicę czynszową?

— Co się dzieje z apartamentem Fundacji w Rzymie przy Via Piemonte?

— Czy prawdą jest, że obecny prezes Fundacji jeździł do Polski celem budowania „pomostu” z władzami PRL? Z kim się kontaktował na ten temat?

— Gdzie znajdują się zbiory biblioteczne Fundacji?

— Gdzie są inne zbiory?

— Co się stało z urządzeniem obu willi w Frascati?

— Czy jest, a jeżeli jest to w jakim składzie, komisja rewizyjna Fundacji?

— Jak przedstawia się obecnie majątek Fundacji?

— Dlaczego opinia publiczna nie zna sprawozdań z działalności Fundacji? Nie żądam tu nazwisk stypendystów, choć dla

władz PRL nie są one tajemnicą, gdyż wydają paszporty na stwierdzenie Fundacji, że udzieli im stypendium.

Jeżeli w tej mojej korespondencji znajdą się nieścisłości to tylko dlatego, że jakaś niezrozumiała tajemnica otacza działalność Fundacji, zwłaszcza jej sprawy materialne. Będę wdzięczny każdemu, kto może coś do tego tekstu dorzucić, lub coś sprostować.

Ale przede wszystkim kieruję powyższe pytania pod adresem polskich członków Rady Fundacji. Czekam na ich wyjaśnienia, podpisane trzema nazwiskami. Notatka w *Ostatnich Wiadomościach* nic nie mówi i nikogo nie zadawała. Natomiast otwiera ona publicznie sprawę fundacji naukowej, która, powiedzmy ostrożnie, nie ma szczęścia do swego kierownictwa od samego założenia. Wola fundatorki została zapomniana.

Dewizą jej rodu było *Frangas non flectas*.

Witold ZAHORSKI

Polonijne publikacje w Kanadzie

Proces kurczenia się prasy polonijnej w Stanach Zjednoczonych nie został zahamowany, jakkolwiek wydawało się, iż nastały lepsze czasy. Na szczęście proces ten nie rozpoczął się jeszcze w Kanadzie, to znaczy, że nie zmniejszyła się ilość pism. Natomiast występuje niewątpliwie spadek nakładów. Poniżej podajemy zestawienie tylko tak zwanej „wielkiej prasy”, nie uwzględniając publikacji okolicznościowych ani też, bardzo licznych, parafialnych. Niemal wszystkie parafie wydają biuletyny tygodniowe. Ukażują się też, ale rzadziej, biuletyny Kościołów innych wyznań: ewangelickiego, baptystów itp.

Głos Polski — *Gazeta Polska*, organ Związku Narodowego Polskiego w Kanadzie, tygodnik, ukazuje się od lipca 1950 roku — dotąd pod redakcją Zygmunta Rusinka — w nakładzie plus minus 5.000 egzemplarzy; w sprawach polonijnych wierny każdorazowym władzom KPK i rządowi w Londynie. Adres: 1089 Queen Street W., Toronto, Ontario.

Czas, tygodnik, ukazuje się od kwietnia 1915 roku w Winnipegu, Manitoba. Adres: 1150 Main Street, Winnipeg, Man. Rozchodzi się w prowincjach zachodnich. Pismo o charakterze organizacyjnym, a nawet biuletynu, plus wszelkiego rodzaju przedruki. Ostatnim jego redaktorem na pełnym etacie był ks. Mieczysław Szwej, T.Ch., który po roku, latem 1975 roku, został zwolniony. Po nim zjawił się Jan Ptakowski, z Nowego Jorku, który po kilku miesiącach opuścił Winnipeg, ale nadsyła do pisma artykuły wstępne. Nakład trudny do ustalenia z powodu coraz to innych danych podawanych organom publicznym — przypuszczalnie jednak poniżej 4.000 egzemplarzy.

Kronika Tygodniowa — organ Polskiego Stowarzyszenia Demokratycz-

nego — ukazuje się od lutego 1941 roku w miejsce zawieszonego w Winnipeg tygodnika *Głos Pracy*, organu polskich komunistów. Władysław Dutkiewicz — do końca 1976 roku redaktor *Kroniki* — był członkiem redakcji poprzedniego pisma. Od stycznia bież. roku redaktorem jest Stefan Włodarski, ksiądz Polskiego Katolickiego Kościoła Narodowego, a W. Dutkiewicz figuruje jako „honorowy redaktor”. Nakład formalnie 2.000 egzemplarzy, ale sprzedaż jest znacznie niższa. Adres: 2094 Dundas Street W., Toronto, Ontario.

Związkowiec — od marca 1972 ukazuje się dwa razy tygodniowo (poprzednio był tygodnikiem). Wychodzi od stycznia 1933 roku — organ Związku Polaków w Kanadzie, nakład numeru do 10 tys. egzemplarzy, w tym 9.000 abonentów i sprzedaż lokalna. Redaktorem był do niedawna B. Heydenkorn. Adres: 1638 Bloor Street W., Toronto, Ontario.

Znaczną pomocą dla pism etnicznych, w tym polonijnych, o najsłabszych podstawach finansowych i o niskich nakładach, są ogłoszenia rządowe: prowincjonalne i federalne. Bez tego pewna ilość pism uległaby likwidacji.

Odnotujemy jeszcze publikacje miesięczne oraz kilka innych, ukazujących się nieregularnie.

Krzyk — miesięcznik ilustrowany. Wydawca i redaktor J. Uiberall (nakład nieustalony; według Orchard Lake Center for Polish Studies and Culture — 500 egzemplarzy). Część materiału w języku angielskim, przewaga zdjęć — magazyn, akcent na sprawy kulturalne. Wpierw pismo służyło się w stronę oficjalnej linii PRL, a później wystąpiły odczyny w kierunku kanadyjskim. Pismo jest własnością prywatną wydawcy, imigranta przybyłego pod koniec lat 60-tych.

Nasza Crédit Union — miesięcznik Kasy Kredytowo-Pożyczkowej parafii św.św. Stanisława i Kazimierza w Toronto. Tylko dla członków Kasy — redaktor Jerzy Rozwadowski.

S.P.K. w Kanadzie — kwartalnik, oficjalny biuletyn, organ władz S.P.K., redaktor — Teresa Kott.

Biuletyn Związku Nauczycielstwa Polskiego w Kanadzie — kwartalnik, pismo powielane, tylko dla członków; redaktor — Janina Gładuń.

Biuletyn Informacyjny Kongresu Polonii Kanadyjskiej — kwartalnik, powielany, dla organizacji; redaktor — Anna Ujejska.

Biuletyn Stowarzyszenia Techników Polskich. Wychodzi nieregularnie, dawniej kwartalnik, tylko dla członków; redaktor — S. Morawski.

Ukazują się także biuletyny okręgów KPK w Quebec i Alberta, Koła A.K., niektórych Kół S.P.K. Najbardziej regularnie — *Placówka nad Pacyfikiem* Koła w Vancouver. Tam też Zenon Buczewski z uporem wydaje *Biuletyn Archiwum Prasy skautowsko-harcerskiej*.

Z publikacji religijnych należy wyróżnić starannie wydawany przez ks. Romana Hoppego miesięcznik *Przewodnik Miłosierdzia*.

Benedykt HEYDENKORN

Wołanie na puszczy

Na dwóch stołkach

„Wolę polskie gówno w polu,
Niż fijołki w Neapolu”.

W roku 1934, zaprotegowany przez Witolda Małcużyńskiego i Pawła Zdziechowskiego, zacząłem pisywać do warszawskiego dwutygodnika *Bunt Młodych*, którego redaktorem był niejaki Jerzy Giedroyc. Minęło od tego czasu sporo lat i wydarzeń, Giedroyc w Paryżu redaguje *Kulturę*, ja tkwię w Warszawie a piórem w Krakowie (*Tygodnik Powszechny*), *Kultura* obchodzi już 30 lat istnienia i oto właśnie ja, na warszawskim bruku piszę ten felieton. „On revient toujours à ses premiers amours”.

Nasuwa się oczywiście pytanie, czy można siedzieć na dwóch stołkach — wszak niektórzy siedzą za to zupełnie gdzie indziej. I czy w ogóle trzeba? Moim zdaniem tak, sytuacja jest bowiem paradoksalna. W kraju pisać jest bardzo trudno, za to przebywa tutaj niejeden milion chętnych i dużo rozumiejących, wrażliwych na aluzje czytelników. Za granicą natomiast można pisać wszystko, ale o czułych, dociekliwych i pojmujących czytelników trudno, a do kraju tamtejsze słowo raczej nie dociera. Wyobrażacie sobie z jakim podnieceniem i przejęciem czytano by w Rosji Sołżenicynowskiego „Lenina w Zurichu”, podczas gdy na Zachodzie czyta się go normalnie, ot, jedna z wielu lektur, paradoks podwójności psychicznej i zewnętrznej, „każdemu to, na czym mu mniej zależy” — jakby powiedział Adolf Rudnicki. Emigracja, zwłaszcza polityczna, nie jest stanem normalnym, to choroba naszej epoki. Powoduje zerwanie kontaktu, wytwarza niedowład wyobraźni, dwa światy podzielone ustrojową kurtyną stały się bowiem po latach całkowicie odmienne w stylu życia i myślenia, zrozumieć się bez reszty nie sposób. Rezultatem tego bywają rzewne bzdury wypisywane o kraju przez archaicznego pana Giertycha i jemu podobnych oddaleńców. Poświęcić życie krajowi, z którego się nic nie rozumie, bo stał się czymś innym — to tragedia.

Dla uniknięcia tej tragedii postanowiłem zostać w kraju LEGALNYM opozycjonistą. Powiecie, że to utopia, ale mnie się poniekąd udało, bo: a) niósł mnie na swoich barkach arcybiskupi *Tygodnik Powszechny*, który nieraz odradzał się i w końcu przetrwał; b) w roku 1956, poszukując dla dekoracji nieco odmiennych ludzi, zwerbowano mnie do Sejmu; c) bo nie pisywałem patetycznie, nawet w chwilach patetycznych — patos nie leży w mojej naturze; d) bo przyzwyczajono się do mnie, jak do odcisku na nodze czy do pluskwy, a wszakże odcisk jest częścią ciała zaś pluskwa częścią umeblowania; e) bo robiono mi reklamę w państwowych środkach masowego przekazu, w zamyśle negatywną, ale zawsze reklamę. „Złe czy dobrze, aby z nazwiskiem” — mawia mój przyjaciel Kazimierz Koźniewski.

Tu z kolei nasuwa się pytanie, które mi często stawiano: czy należy udawać legalną opozycję, gdy jej nie ma, czy należy upiększać sytuację? Zastanawiałem się nad tym długo, ale przeważył wzgląd wychowawczy: trzeba pokazywać młodym, jakby się mogło pisać, bo w ogóle zapomną, a raczej sobie nie przypomną. Na zewnątrz może tego działania nie widać, ale wewnątrz widać.

Opozycja Jego Królewskiej Mości oraz siedzenie na dwóch stołkach są przy tym zgodne z dialektyką marksistowskiego materializmu. O dialektyce u nas zapomniano, a przecież profesor Tatarkiewicz powiedział, że materializm dialektyczny to jedyna rozsądna postać materializmu. Przypomnijmy cztery zasady dialektyki: 1) wszystko jest materią pozostającą w nieustannym ruchu; 2) wszystko jest ze sobą powiązane, od siebie uzależnione, wzajemnie z siebie wynikające; 3) ilość i jakość to nie są pojęcia przeciwstawne, w odpowiednich warunkach ilość przechodzi w jakość; 4) wszelki ruch i postęp realizują się poprzez wewnętrzny konflikt przeciwieństw, każde stawanie się jest konfliktem. W swoim czasie dialektykę postanowił ochrzcić i zaadoptować do katolicyzmu ksiądz profesor Kazimierz Kłósak. Uczynił to w cyklu artykułów, zamieszczanych m.in. w *Tygodniku Powszechnym* a potem wydanych w formie broszury. Niestety obie Wysokie Strony, to znaczy Kościół Katolicki i Kościół Marksistowski, zapewne w myśl zasady *politique d'abord*, patrzyły na ten eksperyment złym okiem, w rezultacie Autor zrejetrował zaś próba jego poszła w zapomnienie. A szkoda: dialektyka jest dla wszystkich, skoro więc nawet marksści o niej zapomnieli, muszę uprawiać ją również za nich. Dostarczam brakującego do historycznej prawidłowości obrazu wewnętrznego konfliktu przeciwieństw, ale w tym celu muszę być konfliktowy w ŚRODKU, to znaczy moja konfliktowość musi być w kraju dostrzegana, musi być elementem naszego codziennego życia, w tym zaś celu musi być ZALEGALIZOWANA. Oczywiście pojawia się tu nowa trudność: przeciwnik zalegalizowany to w naszych krajowych warunkach przeciwnik nieszkodliwy, przeciwnik dopuszczany, kontrolowany, cenzurowany — innego by nie zalegalizowano. Konflikty więc uprawiane przeze mnie na piśmie to tak zwana w szer-

mierce „walka z cieniem”, walka pozorowana, treningowo pokazowa, symboliczna. Żukrowski napisał kiedyś, że niżej podpisany całe życie trzyma się wrzucaniem do beczki z benzyną zapalniczki *niezapalanej*: dużo z tego krzyku i strachu, ale mało istotnego niebezpieczeństwa. Niestety to prawda — taki los wypadł nam, muszę być niepoważny, bo poważnego by nie dopuścili („skazany na drugorzędność” — rzekłby Gombrowicz). Ale niepoważność ma też swoje zalety, zamiast kapłanem można zostać błaznem, nadworne błazny mają u nas swą tradycję, zwłaszcza cenny może być błazen, który sam się mianował, sam wpadł na pomysł, aby w PRL powstała i trwała taka instytucja. Pełnię zatem od lat 32 swe dialektyczno wychowawcze, pedagogiczne dla wszystkich stron rzemiosło nie skarżąc się. „Jak się nie ma co się lubi, to się lubi, co się ma” — powiedział niegdyś w „Qui pro quo” mędrzec Kazimierz Krukowski. „W samoograniczeniu widać mistrza” — powiedział Goethe (wybaczcie nieskromność). Abyśmy tylko zdrowi byli...

Tak więc z jednego stołka pozdrawiam mój drugi stołek, a także z Warszawy roku 77-go pozdrawiam Warszawę roku 34-go i mojego pierwszego w życiu Redaktora („on revient toujours...”). W tak zwanym międzyczasie świat wywinął parę kozłów i stanął na głowie, wszystko się zmieniło, nawet sama Warszawa — kamień na kamieniu nie został z redakcji *Buntu Młodych*, później *Polityki*, tam, w paśniku koło teatru Bogusławskiego (też zniknął, jak zdmuchnięty), kamień na kamieniu nie został z naszego dawnego miasta — a my trwamy. Ja na dwóch stołkach, Redaktor na jednym. W razie czego zresztą wyprę się go absolutnie, to wszakże nic nie szkodzi: św. Piotr wyparł się Chrystusa trzy razy, a potem został głową Chrystusowego kościoła — to też jest dialektyka. A ja mam przecież jej wiernym choć ostatnim adeptem.

Dziwnie swoją drogą nasze losy, dziwny jest ten podzielony świat. Osobliwie pomyśleć, że mieszkam w innym wymiarze materialnym i duchowym niż moi dawni przyjaciele lub przeciwnicy, niż Miłosz, Kott, Mrożek, Kołakowski, Tyrmand, Wirpsza, Unger, Skalmowski. I dla kogo („przeciw komu”?) oni właściwie żyją? Gdzie ma swych czytelników Wacław Solski, którego pasjonujące wspomnienia czytałem niedawno i który ocalał od zapomnienia cały szmat starego polskiego życia? Ocalił od zapomnienia, otóż to, to wszakże ważny trud pisarski. Powojenną Warszawę najlepiej, najplastyczniej, ze znanstwem i miłością opisał mój drogi Lolo Tyrmand w „Złym” i w „Życiu towarzyskim...” — dziś obywał dalekiej Ameryki. Okazuje się, że najbliższy bywa ten, kto jest najdalszy — to też paradoks, czyli dialektyczność. Wielkie nieporozumienie, wielkie podzielenie i wielkie nieporozumienie rządzi dziś światem: w tej sytuacji tylko pomyleni ideałści, dyktanci bez miejsca na ziemi, nie zaabsorbowani żadną jednostronną „fachowością” kusić się mogą o uchwycenie konturu całości, o zrozumienie w czym rzecz. A zrozumieć na przykład dzisiejszą Polskę, obrotową, ruchomą, przesuniętą, podwójną,

umieszczoną na przecięciu światów i czasów, na bardzo osobliwym skrzyżowaniu psychicznym i geograficznym — specjalnie trudno. „Ani tu Zachód, ani Wschód. Zupełnie jakbyś stanął w drzwiach...”. Dlaczego problematyka polska jest dla „świata” nieczytelna, lub też odczytywana mylnie? Bo, uważając się za „ludzi Zachodu”, żyjemy w istocie poza zachodnim uniwersalizmem cywilizacyjnym i pozostajemy dla Zachodu egzotyczni, choć tego nie wiemy. Stąd konieczność siedzenia na dwóch stołkach, pozycja zresztą wdzięczna dla dialektyka, lubiącego patrzeć a nie pozbawionego pamięci, który po obu stronach barykady jadał owoce z Drzewa Wiadomości Złego i Dobrego.

No chyba wszystko wytłumaczyłem. Chyba też ten felieton zdąży na czas: wysyłam go od razu, a „pocztą do nigdy nigdy” działa szybko. „Pocztą do nigdy nigdy” to dziwny tytuł książki Wolanowskiego o Australii, lecz przecież Polska niemniej jest dziwna niż Australia. Albo też nie mniej zwyczajna. „Dziwna chłopu wątroba” — jako rzekł Witos. „Wszystko co istnieje, jest rozumne” — jako rzekł Hegel.

Ale czas nagli. Zdaje się, że jubileuszowo rozgadałem się, choć więcej o sobie niż o Redaktorze. Jednakże grunt, że gadałem dwuznacznie. „Nie takim ja szalony, aby w dzisiejszych czasach cokolwiek mniemać, albo nie mniemać”. „Nie sądźcie, bo będziecie sądeni”.

Czego wszystkim życzę,

KISIEL

Warszawa, czerwiec 1977

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 269 — JULIUSZ MIEROSZEWSKI

MATERIAŁY DO REFLEKSJI I ZADUMY

Wybór ważniejszych i nadal aktualnych artykułów
światnego publicysty z okresu 1971-1976.

Str. 256.

Cena F. 40,00.

Książki

Materiał do refleksji

Raymond Aron należy do tych nielicznych francuskich autorów politycznych, którzy nie myślą schematami i nie należą do szkół ideologicznych. Jego ostatnia książka, której tytuł przełożyć można jako *Mowa obrończa na rzecz dekadentkiej Europy** jest typowa dla jego sposobu pisania: istotą jej jest nie tyle ekspozycja jednej olśniewającej syntezy, co cierpliwa analiza wielu danych rzeczywistości. Tematem jej jest refleksja na temat teraźniejszości i najbliższej przyszłości Zachodniej Europy; refleksja ta skupia się wokół trzech zagadnień: 1° — opętania zachodnich intelektualistów marksizmem, 2° — obecnego kryzysu ekonomicznego, 3° — ewentualności dojścia do władzy komunistów, szczególnie we Włoszech i Francji. Te trzy elementy razem wytwarzają u wielu obserwatorów nastrój, który Aron nazywa ironicznie „sinistryzm”: przekonanie, że Zachód „się skończył” i jakaś forma komunizmu jest może przykrym, lecz nieuniknionym rozwiązaniem. Przewodnią myślą książki jest twierdzenie — i próba dowodu — że defetyzm ten jest nieuzasadniony, ale że jak każdy defetyzm może on istotnie doprowadzić do klęski:

„Ani recesja, ani stagflacja*, ani zachwianie się Kościoła i Uniwersytetu nie pociągają za sobą ani nie zapowiadają moralnego czy ekonomicznego upadku Zachodniej Europy. Okres 1947-73, najwspanialszy w ekonomicznej historii Zachodu, nie mógł przy tak wysokich wskaźnikach wzrostu trwać wiecznie, bez jednej przerwy czy chwilowej regresji. W perspektywie długoterminowej nawet wielki kryzys [przedwojenny] stanowił dla Stanów Zjednoczonych jedynie epizod, ledwie dostrzegalny na krzywej wzrostu dochodu narodowego na głowę. Lecz epizod ten spowodował bezrobocie milionów, Hitlera i wojnę 1939-45.

* Raymond Aron, *Plaidoyer pour l'Europe décadente*, Editions Robert Lefont (collection *Libertés 2000*), Paris, 1977, 511. str.

* Nowotwór językowy R. Arona oznaczający stagnację plus inflację.

Pejzaż polityczny i ekonomiczny, naszkicowany przez Arona w omawianej książce (ukończona jesienią 1976) nie jest różowy, ale autor przekonująco wykazuje, że sytuacja nie jest apokaliptyczna. Powojenna *prosperity* była rodzajem cudownego zbiegu okoliczności (potrzeb odbudowy, postępu technicznego, zwiększonego popytu na trwałe dobra konsumpcyjne), który spowodował, że przez długi czas utrzymywało się pełne zatrudnienie i wysokie wskaźniki rozwoju — a towarzysząca im lekka inflacja pozostawała na poziomie nieszkodliwym. Inflacja przyspieszyła — wraz z rozwojem wojny wietnamskiej co przyszło tym łatwiej — że dolar od dawna już stał się walutą światową i Ameryka nie potrzebowała zaciągać pożyczek — wystarczało, że płaciła dolarami, których pokrycie realne (suma dóbr i usług do nabycia) stale się zmniejszało. Przyszło do formalnego uznania tego stanu rzeczy — *via* likwidacja parytetu złota, dewaluacja i *floating* — i w efekcie gospodarka zachodnia straciła jednolity punkt odniesienia dla swych różnorodnych walut, z których każda reprezentowała w momencie krytycznym — raptownym wzrost cen paliwa w 1973 — różną stopę inflacji. Rynek światowy stracił swą jednolitość, a równocześnie zadziały hamulce antyinflacyjne: zmniejszenie produkcji i zatrudnienia. Ich skuteczność okazała się jednak mniejsza, niż wynikałoby to z klasycznej teorii Keynes'a, gdyż w międzyczasie uległa zmianom struktura rynku pracy: przestał on być właściwie rynkiem, regulującym automatycznie poziom płac, ponieważ związki zawodowe stały się osobnym — bardziej politycznym niż gospodarczym — czynnikiem dominującym. *Casus* Anglii stanowi tu pouczający, choć niekoniecznie budujący przykład: mimo dużego bezrobocia związki zawodowe są tu w stanie doprowadzać do podwyżek płac przewyższających wzrost wydajności, a więc w efekcie do dalszego zwiększania inflacji. Tego rodzaju woluntaryzm ekonomiczny utrudnia kalkulację na przyszłość, co przejawia się w praktyce niechęcią do inwestycji — czyli dalszym wzrostem bezrobocia. Jest to niemal karykaturalny model stagflacji, czyli głównej choroby gospodarczej Zachodu obecnie. Aron rozważa to zjawisko nie dla czystej satysfakcji intelektualnej, ale zwraca uwagę, że sytuacja angielska jest właśnie socjalizmem, o jakim należy do dobrego tonu marzyć dla całej Zachodniej Europy. Oczywiście w deklaracjach socjalistycznych nie mówi się o zmniejszaniu inwestycji, tylko o pełnym zatrudnieniu i wysokich płacach; w praktyce jednak przeprowadzenie np. „wspólnego programu” lewicy we Francji doprowadziłoby do sytuacji podobnej — lub gorszej. Oczywiście zawsze jeszcze pozostaje przymus: intensywna „akumulacja” typu sowieckiego z wiadomą stopą życiową, oraz „pełne zatrudnienie”, polegające na zastąpieniu zasiłku dla bezrobotnych pracą fikcyjną. Ale tu już lądujemy w modelu czysto sowieckim, o którego nieatrakcyjności wiedzą dobrze nawet zachodnie kompartie, unikające w swej propagandzie jak ognia słowa „komunizm”.

W razie zwycięstwa wyborczego lewicy jeden z wspomnianych

wyżej „socjalizmów” — angielski lub sowiecki — wydaje się prawdopodobny. Czy jest to rozwój nieunikniony? Zdaniem Arona nie — i jego *plaidoyer* skierowane jest w pierwszym rzędzie do historycznego jury, tzn. wyborców zachodnio-europejskich, a szczególnie jego rodaków — Francuzów z apelem, by zastanowili się zanim ostateczny werdykt zapadnie. Jego argumentacja zmierza do wykazania, że „dekadencja” Europy jest zjawiskiem nieodłącznym od liberalnej demokracji — systemu otwartego, a więc stale ewoluującego — i że wystarczy nieco siły charakteru, by obecny kryzys przeczeć. Analogie z kryzysem lat 30-tych są zdaniem Arona mało uzasadnione, a rozmiary obecnej „klęski” mocno przesadzone; kryzys lat 70-tych zbiegł się z falą krytyki „antycywilizacyjnej”, bardziej emocjonalnej niż konstruktywnej — i popularność marksizmu tłumaczy się tu jego ładunkiem demagogiczno-malkontenckim — zaś na tle tej krytyki wydaje się on bardziej przerażający i dotkliwy, niż jest w istocie. Historią kierują jednak nie tylko obiektywne stany rzeczy, lecz także — a może nawet przede wszystkim — subiektywne nastroje; o ile nastroj paniki i defetyzmu doprowadzi do oddania władzy w kluczowych krajach europejskich lewicy, przewidywana sekwencja wypadków może być następująca: rozpad, lub przynajmniej znaczne osłabienie wspólnoty atlantyckiej — zmniejszenie inwestycji i wzrost inflacji w krajach zaczynających „budować socjalizm” (ilustracją może być Portugalia w okresie przed-soaresowym) — izolacja Europy od Stanów Zjednoczonych — wzrost zagrożenia ze strony Sowietów (choćby w formie wzmożonej finlandyzacji). Podsumowaniem przekazu książki jest trawestacja marksowskiego porzekadła: widmo krąży nad Europą... „Dwa widma krążą obecnie nad Europą — pisze Aron w końcowym rozdziale — Wolności i Armii Czerwonej”; i nie trzeba wielkiej przenikliwości ani znajomości historii, aby się zorientować, że nie są to widma, które mogą straszyć pod jednym dachem.

M. BRONSKI

Poeta okolicznościowy

„Ich schreibe nur Gelegenheitsgedichte”

Goethe

1. Czytelnik, otwierający nowy tomik wierszy Stanisława Barańczaka*, będzie musiał, jeśli przynależy do statystycznej większości czytelników, zapomnieć na czas lektury o swoich nawykach

* Ja wiem, że to niesłuszne, Biblioteka „Kultury”, tom 229, Paryż, 1977, str. 64.

i upodobaniach; zapomnieć musi o rozkołysanych rytmach i umiających rymach romantyzmu, Młodej Polski i Skamandra; o tzw. świeżości uczuć i świeżej uczuciowości; a także o jednoznaczności, do jakiej współcześnie dążą Miłosz i Herbert. Jeśli jej nie pamięta, niechże przypomni sobie kamienistą mowę „Trenów”, spekulatywną Sępa-Szarzyńskiego, semantycznie niedookreślone lub nadokreślone słowo Norwida, skrótowość Przybosa, metodę zaprzeczeń Karłowicza. W historii poezji polskiej istnieją bowiem dwa nurty, oba wypływające z uniwersalnego wywierzyśka czarnońskiego. Barańczak należy do tego nurtu, gdzie względna pewność sytuacji osobistej wywodzi się z niepewności co do sytuacji ogólnej. Kochanowski: „Gdziekolwiek jest, jeśliś jest, lituj mej żałości” (podkreślenie moje — W.W.).

2.

Zwracam uwagę na ten zakorzeniony w tradycji poezji polskiej rodowód Barańczaka dlatego, że pozwolił mu on na wypracowanie własnego, „trudnego” co prawda, ale przez swoje zagęszczenia zwartego i nośnego kodu. Jednym z najbardziej widocznych elementów tego kodu to kompromitacja; kompromitacja kolokwializmów, idiomatów, przysłów, porzekadeł i sztamper językowej wszelkiego rodzaju, aby pokazać możliwość innego użycia i rozumienia tego samego zwrotu lub jego części. I tak w wierszu „Gdzie drwa rąbią (II)” poeta nie dodaje przysłowiowego „tam wióry lecą”, lecz powiada „tam/wichry wieją, tam śniegi/nie topnieją (...)”, co oczywiście oznacza wyrąb lasów na Syberii. W wierszu „Żeby ci czasem nie zaszkodziło” skompromitowane zostaje pozytywne znaczenie „prostowania grzbietu”: „grzbietu też nie prostuj — to zły sposób, łatwo może ci trzasnąć kręgosłup, (...)”. Czasem na takim konceptie zbudowany jest cały wiersz, jak np. „Przysłowiowa bawełna”, gdzie ową bawełną — „bez owijania w nią” — „miała służyć (...) głównie/do tego, aby w nią/niczego/nie owijać” i która „kurczy się w praniu/mózgów”, zaś kłamstwo, owinięte bawełną, choć ma krótkie nogi, to nogi te „i tak/wystają/spod przysłowiowej bawełny na dobry kilometr”. Utwór ten, w obrębie zaledwie 19-tu wersów, kompromituje zarówno kłamstwo i odkłamywanie, zarówno język i krytykę języka, zarówno technologię władzy i bezwładność władzy. Stara się wywołać u czytelnika niepewność (uznanej powszechnie za pewną) władzy sądenia po to, aby namówić go do samodzielności i odpowiedzialności. Bohater liryczny: „Daję ci słowo (...) że nie ma/mowy o takich słowach, że dać słowo znaczy/dać gardło za coś/co i tak nie przejdzie/przez nie (...)” w „Daję ci słowo, że nie ma mowy”.

Innym elementem Barańczakowego kodu jest to, co niektórzy krytycy nazywają pogardliwie „słowiactwem”, podejrzewając, iż jest to swawolna igraszka i że należy się w tym jedynie doszukiwać dowcipu. Tymczasem jest to antropologiczna gra (gra językowa jest bowiem częścią większego obszaru gier antropologicznych) wiedzona bardzo poważnie. Jak np. w wierszu „To mnie

nie dotyczy”: „To mnie nie dotyczy, ten dotkliwy/chłód lufy przytkniętej do czyjeś ptylicy/nie mnie dotyczy”, (podkreślenia moje — W.W.). Barańczak „zagrał” tu czasownikiem „dotknąć” w kilku jego wariantach, ukazując ich nagłą, a nawet przerażającą rozbieżność znaczeniową. Podobny przykład z tego samego utworu: „(...) nie mam nic wspólnego/z tym zbitym człowiekiem poza niezbitym faktem,/że też jestem człowiekiem”. Tu już nie chodzi o wywołanie niepewności w czytelniku; raczej o wykazanie mu, że słowo posiada moc rozprysku, że wprawdzie w tym rozprysku nie jest jednoznaczne, ale zarazem posiada swoje centrum, swój ośrodek, swój korzeń, po łacinie *radix*, a więc radykalizm, z którego poeta w dialogu z odbiorcą rezygnować nie chce i nie może.

I trzeci wreszcie (z tych ważnych) element kodu: ironia. Pełni ona u Barańczaka rolę dość szczególną, mianowicie oprócz swych wielorakich i powszechnie już znanych funkcji dodatkowo jeszcze funkcję scalania poszczególnych elementów kodu, a więc kompozycyjną. Widać to być może najwyraźniej w najlepszym chyba utworze zbioru „Łono przyrody”. Cytat: „(...) łono natury./Ono nie kłamie./Wie, że nie dla mnie/sosny i chmury,/azyle wiatru,/rosy i trawy,/trafny i trwały/sens tego świata”. Łono natury „poroniło” bohatera lirycznego: „Zwraca mnie w sztuczność,/w ludzką niesłuszność/tym poronieniem”. Rzecz sama w sobie (natura) nie godzi się z rzeczą dla mnie (z moją sytuacją egzystencjalną); ale z tej niezgody rodzi się zgodność wewnętrzna wiersza z wszystkimi toposami jego kodu.

3.

Głos wolny wolność ubezpieczający jest dla Barańczaka głosem pojedynczego człowieka, głosem jego sumienia. Nie rozszczepiając włosa na czworo powiedzmy: żarliwie wypracowany kod poetycki istnieje po to, aby wypowiadać pewne treści rzeczywistości pozaliterackiej. Filozoficznej, społecznej, etycznej. Indywidualizm, głoszony przez Barańczaka w jego twórczości eseistycznej (cenzura zmusiła go w tej dziedzinie do zamilknięcia już kilka lat temu), jest zasadniczym sprzeciwem przeciwko swoistemu kolektywizmowi systemów totalitarnych, który, narzucany przemocą, znieprawia na wszystkich płaszczyznach świadomości: językowej, kontaktu międzyludzkiego, społecznej, politycznej; ten kolektywizm (a słowo to też jest zakłamanie) jest przeciwieństwem więzi zbiorowej. Żeby więc ta była żywa, musi przejść przez czyściec świadomości jednostki jako podstawy cywilizacji.

Barańczak wyznaje tę okoliczność; zeznaje na tę okoliczność; jest poetą okolicznościowym.

Witold WIRPSZA

Śmierć nadziei

Książki o których mam tu zamiar napisać łączy nie tylko fakt, że czytałem je kolejno jedną po drugiej i nie tylko to, że pierwszą z nich wydał Instytut Literacki¹ zaś współautorem drugiej jest znany dobrze czytelnikom *Kultury Brukselczyk*². Łączy je — moim przynajmniej zdaniem — uczucie rozczarowania rewolucją rosyjską, wspólna im jest emocjonalnie zabarwiona konstatacja: rewolucyjne nadzieje obróciły się w niwecz — własnym dzieciom rewolucja ukazała swe zwierzęce oblicze.

Podobne rozczarowanie i podobny wniosek odnajdujemy zarówno u Wacława Solskiego jak i u Christiana Jelena i Leopolda Ungera. Pierwszy, w książce skromnie zatytułowanej „Moje wspomnienia”, opowiada dzieje życia polskiego komunisty — od akceptacji Idei i wstąpienia do partii, aż do zerwania. Jelen i Unger relacjonują dzieje pojawienia się świadomości narodowej wśród Żydów w ZSSR, dzieje ich walki o prawo do wyjścia z kraju, który zawiódł ich nadzieje.

„Wielki powrót” nazwać można encyklopedią, lub skromniej słownikiem encyklopedycznym żydowskiego exodusu z ZSSR. Po krótkiej części pierwszej, poświęconej „historii zagadnienia”, której treść oddaje sam tytuł „Żydzi i rewolucja” następują rozdziały w żywy, często barwny sposób opisujące budzenie się żydowskiej świadomości narodowej w czasie wojny i po niej, w ostatnich latach życia Stalina — w latach naznaczonych przez walkę z „kosmopolityzmem”; potem chruszczowska odwilż i wreszcie początki walki o prawo do emigracji. Temu ostatniemu tematowi autorzy poświęcają szczególnie wiele uwagi: mamy tu życiorysy działaczy — bohaterów i ofiar — opisy sposobów walki o prawo do emigracji a także opisy metod do jakich uciekają się władze: od aresztów i wyroków sądowych poprzez powoływanie do wojska, kończąc na szykanach urzędniczych przez urzędy państwowe i zwykłym pobiciu. Książka podzielona jest na krótkie rozdziały, których tytuły jakby nawiązywały do słownikowych haseł: „Artykuł 64”, „Pierwszy proces leningradzki”, „Zaproszenie”, „Opinia” itd.

Krótko mówiąc jest to książka ciekawa i pożyteczna: pokazuje w jaki sposób można osiągnąć zamierzony cel nawet w walce z władzą sowiecką. W „Archipelagu” Sołżenicyn pisze, iż w ostatecznym rachunku osiągnięcie wolności nie jest trudne,

1. Solski Wacław, *Moje wspomnienia*. Biblioteka „Kultury”, Tom 270, Paryż, 1977.

2. Jelen Christian, Unger Leopold: *Le grand retour*. Wyd. Albin Michel, Paris, 1977.

trzeba jedynie powziąć decyzję, że wolność jest cenniejsza niż życie. Człowiek staje się wolny i niezwykły gdy przestaje cenić dobytek i życie. Walka sowieckich Żydów o prawo do emigracji to wspaniała lekcja samopoświęcenia.

Niemniej, mimo oczywistych zalet książki, coś w niej budzi sprzeciw. I to coś dotyczy sprawy zasadniczej — stosunku do rewolucji, do władzy sowieckiej i do narodu rosyjskiego.

Wspomniałem, że książka przesiąknięta jest uczuciem rozczarowania. Jej pierwszy rozdział nosi tytuł: „Żyd-rewolucjonista zrobił swoje — może więc odejść”. Tak też było: Żydzi rosyjscy poparli rewolucję, uwierzywszy iż przyniesie im ona wyzwolenie, równouprawnienie, poczucie ludzkiej godności. Potem rewolucja i władza przez nią zrodzona odwróciły się od nich. I Żydzi rosyjscy rozczarowali się do niej. Autorom „Wielkiego powrotu” można zadać pytanie: a jeśli władza sowiecka nie przestała lubić Żydów? jeśli, pozostając sobą, odnosiła się dobrze właśnie do Żydów? Czy niechęć do Żydów jest główną wadą władzy sowieckiej?

Książka Jelena i Ungera nie zadaje sobie tego pytania, ale w jakiś sposób na nie odpowiada, włączając się — być może jest to skutek przez autorów nie zamierzony — do sporu o przyczyny rewolucji, o to kto jej właściwie dokonał. Trudno zgodzić się ze zwolennikami poglądu, według którego rewolucja była dziełem obcoplemienców, inorodców którzy zgwałcili naród rosyjski. Naród ten ponosi odpowiedzialność za rewolucję chociażby dlatego, że nie potrafił się przeciwstawić zagarnięciu władzy przez bolszewików. A jeśli tak — to czy ci, którzy uczestniczyli w rewolucji mają prawo obrażać się na nią? Wolno im rewolucję krytykować, demaskować ją, nienawidzić. Nie wolno im się dąsać. I gdy autorzy „Wielkiego powrotu” mówią o żydowskim rewolucjonizmie jako o schillerowskim Murzynie, który „zrobił swoje” i którego odepchnięto od owoców zwycięstwa, to zdają się zapominać, że jakkolwiek rzeczy by się miały, Murzyn jednak „zrobił swoje”. I wszystko co nastąpiło potem jest swoistą formą zapłaty za wykonaną pracę.

Książka Jelena i Ungera ukazuje sugestywny obraz Żydów w dzisiejszych Sowietach. Obraz to prawdziwy, lecz niepełny. W „Wielkim powrocie” istnieje jedynie zło ucieleśnione przez władzę i dobro zmateriałizowane w Żydach. Tak, jak gdyby całe zło sprowadzało się do prześladowania Żydów. Zdaje sobie sprawę, że tematem książki Jelena i Ungera nie są dzieje sowieckiego społeczeństwa. Niemniej perspektywa, z jakiej książka została napisana, jest zniekształcająca; autorzy nie dostrzegają innych uciskanych narodów ani tego, że naród rosyjski jest zarazem ciemną i ciemionym.

W książce trafiają się pomyłki, w większości przypadków drobne i łatwe do usunięcia. Na przykład tytuł opowiadania Ławreniewa brzmi „Czterdziesty pierwszy” (a nie „Czterdziesty drugi”), zaś film o Żydach w Birobidżanie nosił tytuł „Poszu-

kiwacze szczęścia". Nierzadko jednak te drobne potknięcia jakby uwypuklały sens koncepcji autorów. Piszą oni na przykład, że po zawarciu traktatu Ribbentrop-Mołotow zniknęły filmy mówiące o antysemityzmie w Niemczech („Rodzina Oppenheim”, „Profesor Mamlock”). To prawda; warto by jednak dodać, że zdjęto również z ekranów „Aleksandra Newskiego”, którego bohater Żydem raczej nie był. Autorzy cytują opowieść starej komunistki, która poczuła się Żydówką dlatego, że w referacie Chruszczowa „rehabilitowano wszystkich z wyjątkiem Żydów”. Mogliby jednak dodać od siebie, że Chruszczow zrehabilitował jedynie garstkę stalinowskich przywódców, zamordowanych przez Józefa Wissarionowicza, jak gdyby przez nieporozumienie i że po dziś dzień w Związku Sowieckim bynajmniej nie wszyscy zostali zrehabilitowani.

Freud mówił o pomyłkach pozwalających dotrzeć do nieświadomości. Taką pomyłką jest dla mnie w „Wielkim powrocie” wzmianka o procesie Bejlisa, który *nota bene* — wystarczy zajrzeć do pierwszej lepszej encyklopedii — toczył się nie w 1911 a w 1913 roku. Jest to dla mnie błąd „freudowski”: autorzy nie przywiązują wagi do tego procesu, uważają, że było to jedno z ogniw w dziejach rosyjskiego antysemityzmu, które sięgają niepamiętnych czasów i trwają po dziś dzień.

W rzeczywistości proces Bejlisa ukazuje zasadniczą różnicę między carską Rosją a Związkiem Sowieckim. Wystarczy uświadomić sobie, że Bejlis, nie bacząc na nacisk całego aparatu państwowego został przez sąd przysięgłych uniewinniony. Amerykański dziennikarz, M. Samuel, pisze w swej historii procesu, że po ogłoszeniu uniewinniającego wyroku „przez kraj przeszła fala radości i tryumfu, jak gdyby na wieść o zwycięskiej bitwie. Obcy sobie ludzie, promieniejąc, ze łzami w oczach, obejmowali się na ulicach”. Niczego podobnego nie można sobie nawet wyobrazić w ZSSR. Nie tylko dlatego, że nie ma tam sądów przysięgłych, ale dlatego, że „ludzie sowieccy” jakościowo różnią się od mieszkańców cesarstwa rosyjskiego.

Dopiero w Sowietach antysemityzm stał cnotą postępowej ludzkości, niezbędną zaletą Nowego Człowieka! a co najważniejsze stał się cnotą upaństwowioną. Ukazanie tego faktu wzbogaciłoby, jak sądzę, „Wielki powrót” — ważne źródło wiedzy o sowieckim społeczeństwie.



Wacław Solwski rozpoczyna swą książkę od samego początku, tj. od swego przyścia na świat w Łodzi, w 1897 roku, i kończy wyjazdem z Moskwy pod koniec lat 20-tych. Wspomnienia byłych komunistów, tych, którzy ulegli najgroźniejszej pokusie XX-go wieku a potem, dla różnych przyczyn, wyzwolili się spod jej złego czaru, składają się dziś na sporą bibliotekę. Podobno istnieje takie chińskie przekleństwo: bodajżeś żył w ciekawych czasach! Nie wiadomo kto przeklął Wacława Solskiego, ale

faktem jest, że czasy w których żył były ciekawe: pierwsza wojna światowa, rewolucja 1917 roku w Rosji, niepodległa Polska, Rosja sowiecka lat 20-tych. Przez „Wspomnienia” przewija się szereg postaci, w tym takie, które zwykle się nazywać historycznymi; wachlarz to szeroki, bo od Dowbora-Muśnickiego do Stalina.

Pamiętnikarstwo jest gatunkiem okrutnym. Nawet dysponując znakomitą pamięcią trudno odtworzyć dosłownie rozmowy prowadzone pół wieku temu. Gdy zaś pamiętnikarz przekazuje je w postaci dialogu — jego wspomnienia tracą na wiarygodności. Idealnym rozwiązaniem jest prowadzenie dziennika. Solwski tego nie robił, a w każdym razie o tym nie wspomina. Jednak pisać zaczął już w latach 20-tych i jego powieści pełne są materiału biograficznego. Pracując nad wspomnieniami, pisarz sięgnął do własnej twórczości i przywróciwszy bohaterom prawdziwe nazwiska korzystał z powieści niczym z dzienników. Może dlatego właśnie wspomnienia Solskiego mają w sobie tyle autentyczności. Czuje się w nich ducha tamtych czasów, czytelnik wierzy, że wszystko działo się tak, jak to opisuje autor, że jego współrozmówcy mówili to właśnie, co po latach zapamiętał Solwski. Ważne jest również i to, że „Wspomnienia” napisane są w sposób interesujący, ich atmosfera udziela się czytelnikowi.

Sądzę, że wielu czytelnikom przypadną do gustu różne fragmenty książki. Mnie najbardziej spodobały się rozdziały relacjonujące pobyt Solskiego w Moskwie, jego spotkania ze Stalinem i Mołotowem, mówiące o jego pracy w Stowarzyszeniu Pisarzy Proletariackich. Autor słusznie zauważa, że na ten temat napisano już tysiące stron. Jednak każde świadectwo naocznego świadka jest cenne przede wszystkim dlatego, że czystki pozostawiły tak niewielu naocznych świadków.

Obyczaj wymaga by recenzent wymienił wszystkie potknięcia pamiętnikarza i tym samym dowiódł własnej „uczoności”. Można oczywiście znaleźć takie pomyłki we „Wspomnieniach” Solskiego. Na przykład, mianowany w 1934 roku sekretarzem Związku Pisarzy Aleksander Szczerbakow nie był generałem, lecz funkcjonariuszem partyjnym, pracującym w kancelarii Stalina; komisarzem politycznym w randze generała został w czasie wojny; Surkow ma na imię nie Aleksander, lecz Aleksy. Wszystko to są drobiazgi. Jedną pomyłkę pragnąłbym jednak sprostować. Solwski wspomina, że w czasie spotkania ze Stalinem w 1926 roku ten ostatni mówił z silnym gruzińskim akcentem. I dodaje, że kiedy w wiele lat potem usłyszał w Nowym Jorku nagrane na płycie przemówienie Stalina, wódz narodów mówił po rosyjsku bez obcego akcentu (str. 323). Pamięć zawiodła tu Solskiego. Stalin do samej śmierci mówił z bardzo wyraźnym gruzińskim akcentem. Pozbawić się go mógł w jeden tylko sposób: w ostatnich filmach o Stalinie (kręconych w latach 40-tych) w jego roli występował aktor-Rosjanin.

Michał HELLER

Poważna książka z niefortunną mapą

Ukazało się poważne wydawnictwo w języku angielskim pt. *The Violations of Human Rights in Soviet Occupied Lithuania. A Report for 1976*. opracowane i wydane przez „The Lithuanian-American Community”, Feb. 16, str. 160.

Książka zawiera dużo informacji o prześladowaniach na Litwie i rozważań o uchwałach w Helsinkach. We wstępie czytamy, że w latach 70-tych istniały na Litwie trzy ośrodki wydające „samizdaty”, docierające na zachód: *Kronika Kościoła Katolickiego na Litwie* (KKKL), walcząca o prawa dla kościoła, lecz mająca też zabarwienie narodowe. *Aušra* (Zorza) jest wyrazem demokratycznych dążeń narodowych do niepodległości, i współpracuje z ruchem religijnym. Głosi opór w dziedzinie duchowej i moralnej. Trzecie ugrupowanie Narodowego Frontu Ludowego powołuje się, że istnieje od roku 1955, lecz inne ośrodki dysydenckie nie o nim nie wiedzą. Ma charakter narodowy i socjalistyczny, a światopogląd na sytuację międzynarodową zbliżony do chińskiego. Dąży do niepodległej Litwy Ludowej we wspólnocie narodów socjalistycznych.

Zacytujmy punkt szósty ich deklaracji:

„Domagamy się przywrócenia Litwie tych etnicznie litewskich ziem, które zostały włączone do Sowieckiej Republiki Białoruskiej. Tam Litwini nie mają możliwości rozwijania swej kultury narodowej. Jest już czas, aby zlikwidować tzw. okręg kaliningradzki, rosyjską kolonię rosyjskiej republiki, nie mający nic wspólnego z etniczną Rosją. Prusy Wschodnie zaludnione przez litewskie plemię Prusów i podbite przez zachodni zakon krzyżaków — należą do Prusów. Dawni mieszkańcy (Prusowie i Niemcy) byli niesłusznie ze swej ojczyzny wysiedleni przez obce mocarstwa — zwycięzców nad Rzeszą Niemiecką — Związek Sowiecki, USA i Anglię. Domagamy się reatautowania 'Małej Litwy' (Prus) z pełną polityczną, ekonomiczną i kulturalną autonomią w granicach przyszłego państwa litewskiego”.

Czwartą grupę stanowi liberalno-demokratyczna inteligencja współpracująca z dysydantami w Moskwie.

W końcu roku 1976 doszło do porozumienia między luźnymi grupami i powołano komitet litewski dla śledzenia wykonywania przez rząd sowiecki uchwał w Helsinkach dotyczących praw człowieka. Z analizy postępowania rządu Sowieckiego wynika, że nie zamierza on dotrzymywać zobowiązań powziętych w Helsinkach. Ale pozytywną stroną tych uchwał jest dodanie odwagi dysydantom domagającym się swych praw.

W ciągu roku 1976 opór religijny ulegał pewnym wahaniom. Można wnosić, że władze sowieckie czyniły próby osiągnięcia kompromisu, czyniąc pewne ustępstwa w zamian za zaprzestanie wydawania KKKL. Na przykład udzielono zezwolenia na wyjazd dwóch biskupów i kilku księży na kongres eucharystyczny w Filadelfii. Jednak ukazanie się w październiku 1976 Nr. 24 KKKL zdaje się wskazywać, że nie doszło do załagodzenia konfliktu.

Książka w swej treści mało zawiera poloników. Pismo księży archidiecezji wileńskiej, z września 1975, do litewskiej rady ministrów w sprawie

biskupa Stepanowičiusa jest podpisane przez 66 księży, spośród których 11 jest wymienionych bez litewskich końcówek nazwisk, z czego można wnosić, że są to Polacy lub Białorusini. Oto ich nazwiska: dr S. Małachowski, A. Lachowicz, dr K. Kułak, W. Nawicki, L. Welimański, L. Iwańczyk, J. Obremski, S. Toporek, A. Dziekan, A. Trusewicz i L. Ławcewicz.

Członek litewskiego komitetu dysydentów z „atomowej” parafii w Ignalini, ks. K. Garuckas pisze swe nazwisko w litewskim brzmieniu.

Po omówieniu treści tej poważnie udokumentowanej książki, przejdźmy do omówienia, w sposób mniej poważny, zamieszczonej tamże mapy. Mniejsza z tym, że Grodno i Lida, należące obecnie do republiki białoruskiej, są włączone do Litwy (gdzie trzech się klóci tam czwarty korzysta), mniejsza, że i Suwałki są włączone do Litwy, a więc i obecna granica z PRL nie zadawała Litwinów, że okręg kaliningradzki jak też i wschodnia część dawnych Prus Wschodnich, przydzielona Polsce — figuruje pod nazwą „Mała Litwa”, rozdzielona „linią poczdamską”, ale ciekawe, że od Szczecina aż po okręg kaliningradzki, figuruje nadpis *Under Polish Administration*.

Nawet w Niemczech, w wydawnictwach oficjalnych zaprzestano podawania takich rewizjonistycznych map, jaki więc był cel i powód zamieszczania takiej mapy?

Widzę trzy możliwości. Przed bez mała 600 laty z Litwy Witoldowej jedyna droga na zachód prowadziła przez Polskę, i Polacy skorzystali z tego, by przechwycić koronę królewską wysyłaną Witoldowi przez cesarza. (Kto Litwinów zahaczy, temu on i po 600 latach nie przebaczy). Litwini kwestionują prawo Polski do „korytarza”, aby mieć wspólną granicę z Niemcami, i w epoce dżetów nie być przez Polskę oddzieleni od zachodu.

Może być druga wersja. Litwini przygotowują się do konferencji w Belgradzie, toteż zabiegają o poparcie Niemiec (wzorem Zagłoby ofiarującego Niderlandy) i wyręczają ich w głoszeniu dążeń rewizjonistycznych. Ale jest jeszcze inny aspekt tej sprawy. W polskiej historii ostatniego stulecia przewija się nurt tłumaczący antypolskie nastawienie Litwinów — ręką niemiecką — nie zawsze pustą. Ta niefortanna mapa daje szerokie pole do popisu tej interpretacji. A szkoda.

Gdy w okresie nieoficjalnych rozmów o nawiązanie stosunków, Polacy zastosowali represję do Litwinów na Wileńszczyźnie, ówczesny litewski minister St. Łozoraitis powiedział: „*Die ganze Porcellane ist zerbrochen*”. Obecnie o perspektywach wzajemnego porozumienia mogłoby to powiedzieć Polacy, zwłaszcza w Kraju tak czułym na niemieckie roszczenia terytorialne, i zadać sobie pytanie: wyrzec się Wilna na rzecz Litwy, ale jakiej? dążącej do oddania Gdyni Niemcom? Lecz może być i trzecia wersja. Niedopatrznie. Mapy z *Under Polish Administration* były często używane w pierwszych latach po wojnie, zwłaszcza w Niemczech, gdzie wówczas mieściło się litewskie kierownictwo polityczne. W braku nowej, zamieszczono starą mapę.

E. ŻAGIELL

Kto zna Janusza Piekałkiewicza?

Straciłmy się z oczu kilkanaście lat temu. Chyba w 1964 roku, kiedy na międzynarodowych festiwalach filmowych w Berlinie, Corku i Vancou-

verze pokazywał swój pierwszy nakręcony na Zachodzie film „Umrzeć za Warszawę”*. Ten film pozwolił mi zresztą „odkryć” Janusza Piekałkiewicza. W czasie niedawnej kampanii wyborczej „Wspólnota Polsko-Francuska” wyświetliła go w kilku miastach Francji. Prasa regionalna nie szczędziła pochwał temu filmowi, który był rewelacją dla wielu Francuzów.

Chcę mu osobiście podziękować za przysługę, którą oddał sprawie polskiej skorzystalem z najbliższego pobytu w Niemczech i odwiedziłem autora filmu. Spotkaliśmy się na dworcu w Kolonii, po czym odwiózł mnie do swojej willi w Heiligenhaus.

O książkach Piekałkiewicza przyznam się, że nigdy nie słyszałem. Nie było o nich — o ile się nie mylę — żadnej recenzji czy nawet wzmianki w prasie polskiej. Piekałkiewicz nie dostał żadnej polskiej nagrody literackiej, nie zasiadał w żadnym jury.

Ale zanim przejdziemy do jego książek, kilka słów — telegraficznie — o Januszu Piekałkiewiczu. Urodził się w Warszawie w 1925 roku. Maturę złożył w Szczecinie mając 21 lat. W międzyczasie przechodził przez inne szkoły: Armia Krajowa (mając lat 17), potem Powstanie Warszawskie, a wreszcie obóz w Oranienburgu. Dla pana Janusza „mała stabilizacja” trwała 10 lat. Po maturze szkoła filmowa w Łodzi, potem pisanie scenariuszy i kręcenie filmów, a w przerwach tatarnictwo i narty, jako przewodnik i instruktor. Nadchodzi rok 1956, a z nim nowa awantura: ucieka do zrewoltowanych Węgier, przyłącza się do powstańców, walczy wraz z nimi o Misko'e. I wraz z nimi przechodzi do Austrii. W Wiedniu pracuje najpierw jako *Strassenarbeiter*, a potem jako reporter radiowy. Następny etap to Francja: maj 1958 roku. Okres „chudych krów” u Piekałkiewicza to właśnie Paryż. Ale ten przedsiębiorczy człowiek daje sobie radę, mało zajmując czasu rodakom.

Osiada się wreszcie najpierw w Kolonii, „bo stąd wszędzie blisko”, a potem kupuje domek na wsi i pisze książki. Przede wszystkim o drugiej wojnie światowej, o ludziach, zwierzętach, sprzętach. „Dla mnie — mówi — ta wojna jeszcze się nie skończyła. Mam jeszcze wiele zamówień od wydawców!”. Oryginał jest pisany po niemiecku, bo pierwszym wydawcą jest firma niemiecka. Potem przechodzą tłumaczenia, nieraz bardzo szybko po wydaniu oryginału.

„Spione, Agenten, Soldaten” (Szpiegi, agenci, żołnierze) osiągnęło do końca 1976 roku 14 tłumaczeń. Z tego telewizja niemiecka nakręciła serial z 26 części, wyświetlany na całym świecie, nawet w krajach komunistycznych. (Pierwsza nagroda „Złota Nimfa” na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Monte Carlo, 1969).

O tej samej tematyce druga książka, tym razem o wywiadzie brytyjskim: „Spione ihrer Majestät”.

Kawaleria doczekała się opracowania „Pferd und Reiter im II. Weltkrieg”; są tam dane o wojskach konnych kilkunastu krajów, od Sowieców do kawalerii USA poprzez kilkanaście innych, w tym — obszerne — o konnicy polskiej. W książce tej znaleźć można nawet oznaki jednostek kawalerii. Oczywiście największym skarbem jest 333 fotografii (z 10 różnych źródeł) przedstawiających chwałę i porażki wojsk konnych w tej... największej wojnie kawalerskiej w dziejach świata!

Książka o bitwie pod Arnhem „Arnhem 1944, Deutschlands letzter Sieg” zyskała pochwały w prasie holenderskiej.

Dwie książki, gdzie poza fotografiami jest dużo danych technicznych o motocyklu BMW i samolocie JU 52 spowodowały listy pochwalne ze strony firm, które ten sprzęt fabrykowały.

* Film ten znany jest także pod innymi tytułami: „It began on the Vistula”, „Passion of Poland”, „Mourir pour Varsovie”.

Literatura dokumentarna o wojnie na tym się nie kończy. Jesienią tego roku ma się ukazać książka o bitwie pod Stalingradem. Będzie to ok. 600 stron, zawierających m.in. 550 zdjęć, tak od strony sowieckiej jak i niemieckiej, dotychczas nigdzie nie opublikowanych.

Zbliżamy się do czasów powojennych. Książka o wywiadzie Izraela, „Israels langer Arm”, która wyszła na początku 1975 roku, poprzedzona była audycją telewizyjną.

Nie samą wojną człowiek żyje, powiedział sobie Piekałkiewicz i zaczął wydawać książki o skarbach. Nie wiem czy najpierw jeździł po całym świecie, a potem wpadł na pomysł, że ze starych legend o niewykrytych skarbach można zrobić interesującą książkę, czy też pomysł się zrodził na miejscu, a podróże były zbieraniem dokumentacji i nieodzownego w tego typu książkach materiału fotograficznego. Widząc jej powodzenie Piekałkiewicz, dla pocieszenia tych którzy dotychczas legendarnych skarbów nie odkryli, napisał inną książkę: „Schatzsucher haben noch Chancen”.

O podobnej tematyce wyszła z warsztatu Piekałkiewicza książka o *boucaniers* na morzu karaibskim „Freibeuter in der Karibischen See”, która się doczekała już 5 tłumaczeń.

Wreszcie coś dla młodzieży: podróż Tomka samolotem dookoła świata, oczywiście pełna niesłychanych i nieoczekiwanych przygód: „Tom geht in die Luft”; zmieniając rodzaj swojego pisarstwa — od dokumentacji do fantazji — autor zmienił nazwisko, podpisując Oliver Vidor.

Gdy nieopatrznie zapytałem mego gospodarza o recenzję z jego książek, przysunął mi pudło objętości chyba metra sześciennego i poprosił, żebym sobie wybrał to co mnie interesuje.

Ale to jeszcze nie wszystko. Echa książek Piekałkiewicza to także listy pochwalne nadsyłane do jego wydawców przez różne osoby i instytucje (np. Związek Weteranów o książce „Pferd und Reiter”), zalecenia dla bibliotek szkolnych, co oczywiście rozszerza zakres czytelników, a wreszcie listy tych, którzy rozpoznali siebie samych lub swoich bliskich na fotografiach, co świadczy najlepiej o autentyczności zdjęć.

Piekałkiewicz jest na pewno — i nie tylko w skali polskiej — jednym z najpłodniejszych pisarzy z dziedziny historii współczesnej. Jest to literatura dokumentarna, złożona z tekstów bohaterów danej książki, z wielkiej ilości fotografii oraz z tekstów wiążących, pozwalających na usytuowanie zebranych dokumentów. Jakże jest zapotrzebowanie na tego rodzaju literaturę świadczą nakłady książek Piekałkiewicza, które bynajmniej nie są tanie oraz liczne tłumaczenia. Tylko 4 czy 5 jego książek (przeważnie tłumaczenia) ukazało się w małych formatach (*éditions de poche*) i bez fotografii.

A teraz plany na przyszłość. Seria „Bildreport Weltkrieg 2” będzie kontynuowana; w ciągu bieżącego roku ukaza się dwa tytuły, m.in. o Szwajcarii 1939-45. — W serii wielkich bitew drugiej wojny światowej (10 tomów) ukaze się książka o Powstaniu Warszawskim, według schematu bitwy pod Arnhem. — Zapowiedziana jest 3-tomowa „Standart Werk” o wojnie: „Na lądzie”, „na morzu”, „W powietrzu” i in.

Praca autora tego typu książek nie jest łatwa. Piekałkiewicz nie tylko przegląda literaturę danego tematu, nie tylko wynajduje niepublikowane fotografie, ale rozmawia z bohaterami wydarzeń, o ile jeszcze żyją, a także wyszukuje świadków, o których dotychczas zapomniano. Opisując śmierć gen. Sikorskiego w Gibraltarze odwiedził on w Szkocji marynarza angielskiego, który w momencie wypadku samolotowego stał na posterunku na skale, z której mógł na własne oczy obserwować przebieg wydarzeń. Stąd wnioski autora, odbiegające od tego co zostało uznane za „prawdę historyczną”.

Każdy temat wojenny w książkach Piekałkiewicza ma swój — większy czy mniejszy — polski margines. Poza książkami o charakterze czysto technicznym Polska nigdy nie jest zapomniana. Autor książek przedstawia się

czytelnikom jako uczestnik Powstania Warszawskiego, a obecnie uchodźca polityczny. Nawet na jednym z festiwali filmowych, gdzie występują państwa, stworzono dla Piekalkiewicza osobne państwo „Stateless”.

W tej notatce bio- i bibliograficznej jest na pewno wiele luk; nawet spis książek jest niepełny. Ale chyba tego co napisałem wystarczy żeby poznać tego niecodziennego autora, czy raczej redaktora tyłu książek.

Jerzy JANKOWSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

- VINCENZ (Stanisław). *Tematy żydowskie*. Wstęp Jeanne Hersch. Str. 219 i 1 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1977).
- KISIELEWSKI (Stefan). *Przygoda w Warszawie*. Powieść. Str. 136. (Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1976).
- KOSTECKI (Igor). *Surowie sonety*. Przełożył z ukraińskiego i szkic o poecie napisał Jerzy Niemcewicz. Str. 94 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1976).
- KISIELEWSKI (Stefan). *Czy istnieje walka o świat?* Str. 24. (Wyd. Odnova, seria „Polska w świecie współczesnym”, zeszyt drugi, Londyn, 1976).
- ŚWIĘTOCHOWSKI (Aleksander). *Liberum veto*. Tom 1 i 2. Wyboru dokonał i wstępem opatrzył Samuel Sandler. Komentarze opracowała Maria Brykalska. T. I — str. 734 + 2 nlb. T. II — str. 787 i 1 nlb. (Wyd. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1976; cena: t. 1/2 — zł 180).
- CZANERLE (Maria). *Panie i Pano wie teatru*. Str. 311 i 1 nlb. (Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1977; cena zł 45).
- CZANERLE (Maria). *Szajna*. Str. 211, 5 nlb. i 84 ilustracji. Wydawnictwo Morskie, Gdańsk, 1974; cena zł 40).
- CZANERLE (Maria). *Gustaw Holoubek — notatki o aktorze myślącym*. Str. 82 i 2 nlb. (Wydaw-
- nictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa, 1972; cena zł 16).
- KRYSTA-KARSKI (T.), ŻURAWSKI (S.). *Generałowie Polscy Niepodległej*. Uzupełnienia, poprawki, dodatkowe zdjęcia. Str. 11 (powielacz). (Wyd. w Londynie, 1977, c/o Polish Institute; cena £ 0.50, lub \$ 1.00).
- Szerszeń. *Biuletyn Informacyjny* nr 1, rok 1977 — kwiecień. Str. 42 (powielacz). (Redaktor: Edmund Bałuka, Paryż).
- GOMBROWICZ (Witold). *L'Histoire (Opérette)*. Tłumaczenie Constantin Jelenki i Geneviève Serreau. Ilustracje Jana Lebensteina. Str. 156 i 8 nlb. (Wyd. Editions de la Différence, Collection Le Milieu, Paryż, 1977).
- WINCZAKIEWICZ (Anna). *J'ai survécu*. Tłumaczył z polskiego Kazimierz Piekarec. Str. 123 i 5 nlb. (Wyd. La Pensée Universelle, Paryż, 1977; cena F. 23,60).
- HOLDERT (Janusz). *En toi, France mes racines meurtrières*. Str. 218 i 6 nlb. (Wyd. La Pensée Universelle, Paryż, 1977; cena F. 32,10).
- TIGRID (Pavel). *Amère révolution*. Préface Vladimir Boukovski. Str. 285 i 1 nlb. (Wyd. Albin Michel, Paryż, 1977).
- WYRWA (Tadeusz). *La genèse du parlementarisme polonais*. Contexte socio-économique et interférence des idées européennes. Str. 131-164. (Nadbitka z *Revue d'Etudes Comparatives Est-Ouest*, Janvier 1977, volume 8, nr 1).

- MOND (Georges H.). *Analyse de la constitution de la République Populaire Socialiste d'Albanie*. Str. 21-35. (Nadbitka z *Annuaire de Législation Française et Etrangère*, nouvelle série — Tome XXIV, année 1975, wyd. CNRS, Paryż).
- MOND (Georges H.). *Hélène Carrière d'Encausse — Bolchevisme et nation: des débats théoriques à la consolidation d'un Etat multinational 1917-1929 (thèse de doctorat)*. Recenzja. (Nadbitka z *Revue d'Etudes Comparatives Est-Ouest*, Janvier 1977, Volume 8, nr 1, str. 196-206).
- MIŁOZ (Czesław). *Emperor of the Earth. Modes of Eccentric Vision*. Str. 253 i 3 nlb. (Wyd. University of California Press, Berkeley-Los Angeles-London, 1977).
- WAT (Aleksander). *Mediterranean Poems*. Redakcja i tłumaczenie Czesław Miłosz. Str. 57 i 5 nlb. (Wyd. Ardis, Ann Arbor, seria: Ardis World Poets in Translation Series, nr 1; cena \$ 2,95).
- MORF (Gustav). *The Polish Shades and Ghosts of Joseph Conrad*. Str. 334 i 2 nlb. (Wyd. Astra Books, New York, N.Y., 1976; cena \$ 12,95).
- FITZGIBON (Louis). *Katyn Memorial*. Przedmowa ks. Eugene Lubomirski. Str. 48. (Wyd. SPK-Gryf Publications, Ltd., Londyn, 1977).
- ANTONYCH (Bohdan). *Square of Angels*. Selected Poems. Tłumaczenie Mark Rudman, Paul Nemser wraz z Bohdanem Boychukiem. Wprowadzenie Bohdan Rubchak. Str. 69 i 7 nlb. (Wyd. Ardis, Ann Arbor, seria: Ardis World Poets in Translation Series, No 3, 1977; cena \$ 2,95).
- DUSZA (Edward L.). *Poets of Warsaw Aflame*. Wprowadzenie Stefan Korboński. (Str. 119 — varytiper). (Wyd. University of Wisconsin-Stevens Point Foundation, Inc., 1977).
- KOZŁOWSKI (Henryk Paweł). *Union List of Polish Serials in Canadian Libraries*. Str. 406 — varytiper). (Wyd. National Library of Canada, Public Services Branch, Union Catalogue Serial Division, Ottawa, 1977).
- ROZENBAUM (Włodzimierz). *The Jewish Question in Poland Since 1964*. Str. 335-342. (Nadbitka z *Nationalism in the USSR and Eastern Europe in the Era of Brezhnev and Kosygin*, ed. George W. Simmonds, The University of Detroit Press, Detroit, 1977).
- MOND (Georges). *La participation des femmes à la vie politique et à l'exercice de la profession de journaliste dans les pays socialistes sur l'exemple de la Pologne, de la Tchécoslovaquie et de la R.D.A.* Str. 173-182. (Nadbitka z *Revista del Instituto de Ciencias Sociales, Barcelona*, 1977).
- Polsk Samizdat nr 1 — *Terror i Radom* — Utgivet af Øesk. Str. 11 (powielacz). (Wyd. „Jedność”, Sztokholm, 1977).
- FIEDOSIEJEW (A.). *Zapadnia — człowiek i socjalizm*. Str. 372 i 4 nlb. (Wyd. Possev-Verlag, Frankfurt/M., 1976).
- Sostaw rukowodiaszczich organow KPSS (1952-1976 gg.). Dane według zestawienia na 1. 9. 1976 r. zebrał H. Kraus. Str. 221 (powielacz). — Supplement to the Radio Liberty Research Bulletin.
- LOTMAN (Jurij M.). *Ogledi iz tipologije kulture*. Przetłumaczył na język słoweński Petar Vujčić. Str. 439-586. Emitowano w trzecim programie od 8. 7. do 30. 10. 1974 r.
- VUKOVIC (Dordije). *Komparativno-tipoloske studije književnosti*. Przetłumaczył na język słoweński Petar Vujčić. Str. 260-503. Emitowano w trzecim programie latem 1975 r.
- MORAVSKI (Stefan). *O funkcijama najnovije umetnosti*. Przetłumaczył z polskiego Petar Vujčić. Str. 129-147. Emitowano w trzecim programie 28. 1. 1975 r.

KRAJ — BLOK WSCHODNI

30-4-77

Papież mianował biskupem pomocniczym we Wrocławiu ks. dr. Tadeusza Rybaka, wicedyrektora Wrocławskiego Wyższego Seminarium Duchownego.

1-5-77

Oślawiony rektor Uniwersytetu Warszawskiego, Zygmunt Rybicki, został odznaczony Orderem Sztandaru Pracy I-szej klasy.

2-5-77

Dużym wydarzeniem w Warszawie był wieczór poezji w kościele św. Anny. Deklamowali wiersze m.in. Mrozowska, Mikołajska, Herdegen, Szczepkowski, Olbrychski oraz pisarze m.in. Jastrun i Woroszyński. Przemawiał Kardynał Wyszyński („Słowo nie może zginąć, Kościół będzie azyłem i obroną patriotycznej literatury”). ■ W Polsce stale, choć po cichu, rosną ceny artykułów żywnościowych i przemysłowych. Tak np. kaszę perłową nazwano „mazurską” i podwyższono jej cenę ze zł. 4,80 za kg do 8 zł. za kg, dużych bułek z 1,60 zł do 3,00 zł., fasoli luzem z 21,00 zł. do 40,00 zł.

6-5-77

P. Janusz Wilhelmi, b. redaktor warszawskiej *Kultury*, został mianowany podsekretarzem stanu i pierwszym zastępcą ministra w resorcie kultury i sztuki.

10-5-77

Koło Olsztyńska odbyła się polsko-sowiecka konferencja językowa, poświęcona problemom wychowania światopoglądowego w rozwiniętym społeczeństwie socjalistycznym.

15-5-77

Życie Gospodarcze podaje, że „dostawy wyrobów spirytusowych do sprzedaży detalicznej wzrosły w 1976 roku o dalsze 16 %”. Na jednego statystycznego mieszkańca PRL przypada rocznie 13,3 litrów wódki 40-procentowej, 8,5 litrów wina oraz 35,9 litrów piwa.

26-5-77

Zmarł, w wieku 78 lat, Czesław Wycech, b. Marszałek Sejmu PRL, zastępca Przewodniczącego Rady Państwa.

6-6-77

W Warszawie ukazał się pierwszy numer czasopisma *Opinia* wydawanego przez Polski Ruch Praw Ludzkich i Obywatelskich. Redaktorami są: Kazimierz Janusz, Wojciech Ziemiński i Leszek Moczulski.

ZACHÓD — EMIGRACJA

27-3-77

Na dziedzińcu kościoła polskiego w Roubaix w obecności bp. Szczepana Wesolego odsłonięto tablicę ku czci ofiar pomordowanych w Katyniu i we wszystkich miejscach zagłady.

14-5-77

W rzymskim kościele „Quo vadis” odsłonięto popiersie Henryka Sienkiewicza

Władysława Langmana. ■ W kwietniu odbyła się w Stockholmie, w sali zebrań kościoła Immanuela, wystawa Teresy Lewandowskiej zatytułowana „Rop ur tysnaden” („Wołanie wśród milczenia”). Była ona poświęcona ofiarom prześladowań politycznych w Związku Sowieckim ongiś i obecnie. Artystka otrzymała propozycje wystawienia i w innych miastach szwedzkich. ■ Szwedzka firma płyt gramofonowych „Caprice” wydała utwory Chopina w wykonaniu polskiej pianistki Elżbiety Glabówny, zamieszkałej w Szwecji. ■ *The Sakharov Hearing Committee* w Kopenhadze zasugerował, powołując się na procedens wymiany Corvalan - Bukowski, nową wymianę więzionych w Chile komunistów na więzionych w ZSSR dysydentów. Rząd chilijski przyjął tę sugestię i nadesłał listę 13 komunistycznych więźniów. Komitet kopenhaski przygotował listę 13 osób więzionych w ZSSR: Oksana Popowycz, Iryna Senyk, Iryna Stasiw-Katynec, Waczesław Czornowil, Siemion Gluzman, Swiatosław Karawanskij, Siergiej Kowalew, Edward Kuzniecowa, Walentin Moroz, Igor Ogurcow, Władimir Osipow, Jurij Szuchewycz, Georgij Wins.

16-5-77

Władze norweskie deportowały do Polski 26-letniego Polaka, który przebywał w Norwegii i prosił o zezwolenie na stały pobyt. Polak ten jakiś czas przedtem złożył podanie o emigrację do USA, gdzie ma matkę w Kalifornii. Policja norweska wydalila go nie czekając na decyzję władz amerykańskich. Sprawa ta wywołała poruszenie w prasie norweskiej i szwedzkiej. ■ Szwedzki Urząd Imigracyjny zastrzył przepisy dotyczące studentów, obywateli obcych. Student cudzoziemiec zapisany na wyższe studia w Szwecji nie miał prawa do otrzymywania pożyczek. Wielu zatem studentów, korzystając z dotychczasowego prawa prac wakacyjnych, zbierało pieniądze na opłacenie pobytu i na studia. Obecnie nie udziela się już zezwoleń na prace wakacyjne. Studenci-cudzoziemcy muszą wykazać, że otrzymują przynajmniej 1.500 koron miesięcznie. Muszą także wykazać się dostatecznym opanowaniem języka szwedzkiego i materiału naukowego lub przerwali studia — zostaną ze Szwecji wydalen. Nakaz taki otrzymało już 60 studentów z Iranu. Rozporządzenie to nie dotyczy osób, które uzyskały prawo azylu politycznego. Zostanie ono jednak zastosowane wobec studentów posiadających paszport PRL.

18-5-77

W Rzymie został podpisany akt konstytucyjny Związku Polskich Organizacji Niepodległościowych we Włoszech. ■ W Bonn odbyła się konferencja zorganizowana przez koło partii chrześcijańsko-demokratycznej CDU poświęcona Prawom Człowieka w Polsce, ZSSR i NRD. W konferencji wzięło udział około 100 osób, głównie ze sfer politycznych i gospodarczych.

19-5-77

W Monachium powstało polsko-ukraińskie stowarzyszenie. Ze strony polskiej weszli do niego J. Iranek Osmecki, Z. Kołodziejski, M. Litwiniak; ze strony ukraińskiej: A. Melnyk, M. Styrancka, R. Debrzyckij.

20-5-77

W Londynie odbył się zjazd powojennych wychowanków polskich szkół okrętowych, żyjących poza Krajem. Powołano do życia klub pod nazwą „Korab International”. ■ Książka Juliana Strykowski „Sen Azrila” ukaże się w najbliższym czasie w Izraelu, w języku hebrajskim, w przekładzie Rywki Gurfein.

22-5-77

Zmarł w Farnborough (Anglia), w wieku 88 lat, gen. bryg. Józef Wiatr, oficer I-szej Brygady Legionów, generalny kwatermistrz Sztabu Nacz. Wodza w kampanii wrześniowej, dowódca jednostek Wojska Polskiego na Środkowym Wschodzie. ■ Zmarł w Londynie, w wieku 82 lat, Henryk Malhomme de la Roche, b. pierwszy sekretarz Ambasady Polskiej w Berlinie i b. *chargé d'affaires* polski w Bagdadzie.

23-5-77

Nowym prezesem Towarzystwa Opieki nad Polskimi Zabytkami i Grobami Historycznymi we Francji, na miejsce zmarłego deputowanego Jean-Paul Palewskiego, został wybrany znany pisarz francuski Paul Vialar, pochodzący w prostej linii po matce od Ludwika Nabelaka, Belwederczyka, powstańca 1930 roku, a potem emigranta osiadłego we Francji. Do zarządu, którego członkowie zostali wybrani ponownie, wszedł ponadto inż. arch. Henryk Wysocki.

24-5-77

Jury Związku Pisarzy w Londynie przyznało dwie nagrody roczne za całokształt twórczości i za najlepszą książkę roku. Nagrody wynoszą po £. 200 każda. Nagrodę za całokształt twórczości przyznano Janinie Surynowej-Wyczółkowskiej w Argentynie, nagrodę za najlepszą książkę roku 1976 — prof. Stanisławowi Swianiewiczowi za książkę „W cieniu Katynia”.

27-5-77

W *Centre du Dialogue* w Paryżu odbył się odczyt Andrzeja Micewskiego „Między liberalizmem a nacjonalizmem”.

28-5-77

Rada Fundacji im. Kościelskich przyznała na rok 1977 cztery nagrody literackie (w wysokości 3.000 franków szwajcarskich każda): M. Brońskiemu za eseje literackie, Małgorzacie Szpakowskiej za pracę pt. „Światopogląd Stanisława Ignacego Witkiewicza”, Ewie Bienkowskiej za pracę „Dwie twarze losu” i Bolesławowi Taborskiemu za całokształt twórczości poetyckiej.

29-5-77

Członkowie i sympatycy duńskiego Komitetu Obrony Praw Człowieka zorganizowali 24-godzinny strajk głodowy na Placu Ratuszowym w Kopenhadze w ramach solidarności ze strajkiem głodowym, który miał miejsce od 25 maja bież. roku w kościele św. Marcina w Warszawie.

4-6-77

Z okazji 10-lecia działalności Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego odbyło się w Londynie zebranie publiczne, na którym przemawiali: A. Hermaszewski, H. Trębiński i K. Zelenko.

5-6-77

W Paryżu odbyła się uroczystość złotego jubileuszu kapłaństwa ks. prałata Antoniego Banaszaka, rektora Polskiego Seminarium Duchownego w Paryżu. Ks. Banaszak od 1940 do 1945 roku znajdował się w hitlerowskich obozach koncentracyjnych, w końcu 1945 roku przybył do Francji. ■ W Londynie odbyło się doroczne walne zebranie Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Nowy zarząd ukonstytuował się następująco: prezes — J. Garliński, wiceprezes — I. Wieniewski, sekretarz — Z. Grabowska, skarbnik — F. Wysłouch, członkowie: J. Krok-Paszkowski, P. Moskwa, B. Przyłuski,

M. Reszczyńska-Stypińska i K. Rowiński. Ponadto uchwalono ufundowanie nagrody im. Juliusza Sakowskiego, która będzie przyznawana polskim wydawcom za osiągnięcia na tym polu. Nagroda ma być przyznawana osobie, a nie firmie.

6-6-77

W Rzymie zmarł, w wieku 90 lat, Karol Popiel, prezes Stronnictwa Pracy i b. Minister rządów gen. Sikorskiego. ■ W Instytucie Katolickim w Paryżu zakończyła się seria odczytów, zorganizowanych wspólnie z Wolnym Uniwersytetem Ukraińskim w Monachium. Dr Mytrowycz mówił o idei ekumenicznej w historii Ukrainy, W. Kosyk o stosunkach Ukrainy z Europą katolicką, pastor M. Carrez o aktualności ekumenizmu, ks. Narożniak z Lille o Unii Brzeskiej, dr A. Jukowsky o projekcie Piotra Mohyły (XVII wiek) zawarcia unii z Rzymem i wreszcie abp. J. Rupp o perspektywach ekumenizmu ukraińskiego.

7-6-77

Walne zebranie Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu przyjęło do wiadomości sprawozdanie, złożone przez prezesa, A. Poniatowskiego o hojnych darach otrzymywanych od wielu miesięcy od p. Barbary Johnson ze Stanów Zjednoczonych i o postępującej restauracji gmachu Biblioteki Polskiej w Paryżu (o sprawach tych *Kultura* pisała w nr. 355 w kwietniu br.). Członkom ustępującej Rady poruczono zachowanie mandatów do czasu zatwierdzenia przez władze francuskie uchwalonej ostatnio zmiany statutu. W skład Rady nie wchodzi jedynie p. Stanisław Łucki, od 10 lat skarbnik Towarzystwa, który zgłosił ustąpienie z tego stanowiska.

17-6-77

W Bibliotece Polskiej w Paryżu Towarzystwo Polsko-Ukraińskie w Paryżu zorganizowało odczyt p. Truchana pt.: „La question Ukrainienne dans les publications polonaises recentes”.

1-7-77

30 lat temu ukazał się w Rzymie pierwszy numer *Kultury*.

W *Centre du Dialogue* w Paryżu Ksiądz Kardynał Karol Wojtyła, Metropolita Krakowski, wygłosił odczyt pt. „Kościoł w Polsce w 900-lecie śmierci Biskupa Stanisława”.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

8. 5. br. Zrzeszenie Polskich Lekarzy w Stanach Zjednoczonych „Medicus” przyznało Złote Medale 1000-lecia Polski: prof. Ludwikowi Krzyżanowskiemu, Janowi Józefowi Lipskiemu, i prof. Stefanowi Niewiarowskiemu. Za Lekarza Roku-Kobietę uznano prof. dr Irenę Koprowską. ■ Z inicjatywy Północno-amerykańskiego Studium Spraw Polskich prof. Jerzy Krzyżanowski wygłosił w International Institute w Detroit odczyt „Zapomniany bohater — gen. Okulicki”. ■ Ukazało się drugie, rozszerzone wydanie książki prof. M. K. Dziewanowskiego z Boston University pt. „The Communist Party of Poland”. Prof. Dziewanowski wydał również ostatnio książkę „Poland in the Twentieth Century”, oraz opracowuje „A History of Soviet Russia”. ■ 30. 5. br. w Bethlehem (USA) zmarł, w wieku 74 lat, Stanisław Gierat, wybitny działacz społeczny przed wojną, brał udział w kampanii francuskiej oraz walkach Drugiego Korpusu we Włoszech,

był honorowym prezesem Stowarzyszenia Polskich Kombatantów na Stany Zjednoczone. ■ Komitet Główny A.C.N. w związku z konferencją w Belgradzie złożył wizytę w Departamencie Stanu oraz w Kongresie USA apelując, by delegacja amerykańska w Belgradzie zajęła wyraźne stanowisko w sprawie praw obywatelskich. Jednocześnie Komitet zaapelował o to, by odpowiednie władze amerykańskie interweniowały w sprawie ostatnich bezprawnych aresztowań członków KOR'u oraz sygnatariuszy Karty 77.

KRONIKA AUSTRALIJSKA

Od 1973 roku działa w Australii *Australian Committee for Human Rights in the Soviet Union*. Z inicjatywy Komitetu wysyłane są do władz sowieckich listy protestacyjne przeciwko gwałceniu praw człowieka, z podpisami posłów do parlamentu i ministrów. Komitet zorganizował turę odczytową wybitnego znawcy spraw sowieckich, prof. Reddaway z London School of Economics oraz dr. dr. Fainberga i Blocha (zagadnienie nadużyć „psychiatrycznych” w ZSSR) — w przygotowaniu są objazdy Amalrika i Bukowskiego. ■ 24. 4. br. w Melbourne grupa Polaków wzięła udział w wiecu zorganizowanym przez organizacje ukraińskie w stanie Victoria na znak protestu przeciwko prześladowaniu dysydentów ukraińskich w ZSSR. Jednym z mówców na wiecu był prezes Federacji Polskich Organizacji w Victorii, inż. Krzysztof Łańcucki. ■ Z okazji 25 rocznicy istnienia wytwórni płyty „Carinia”, jej właściciele pp. M. Kułakowscy ufundowali brązowe popiersie Fryderyka Chopina dłuta Alfonsa Karnego. Rzeźba ta przeznaczona jest dla National Art Gallery w Canberra. ■ Polacy z Melbourne ofiarowali blisko 3.000 \$ A na budowę kościoła w Nowej Hucie. Zbiórkę na ten cel zorganizowali księża R. Koperski i M. Laban. ■ Prezydium Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii uchwaliło, że wychodzący w Sydney tygodnik *Wiadomości Polskie* przestał być organem Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii. ■ Na Hindmarsh Island w stanie South Australia, 55 mil od Adelaide, odsłonięto 17. 4. br. Pomnik Orląt Lwowskich i Pomordowanych w Katyniu. Prezesem Komitetu Budowy pomnika jest Władysław Dembski. ■ 16. 4. br. w Sydney miała miejsce manifestacja zorganizowana przez State Multicultural Education Committee, podczas której imigranci różnych narodowości domagali się wprowadzenia w szkołach nauki języków, którymi posługują się różne grupy etniczne. ■ Zamieszkały w Melbourne Henryk Zelicki jest twórcą jedynej w swoim rodzaju w świecie dorocznej manifestacji — okolicznościowej akademii, której punktem szczytowym jest zapalenie świecy — siódmej świecy, która obok sześciu świec symbolizujących wymordowanych przez hitlerowców Żydów płonie na pamiątkę tych wielu Polaków, którzy oddali swe życie ratując Żydów w okupowanej Polsce. Henryk Zelicki jest jednym z uratowanych przez Polaków Żydów, który za punkt honoru obrał sobie czczenie pamięci tych bohaterskich, a nierzadko pomijanych milczeniem ludzi. Tegoroczna Akademia Siódmej Świecy miała miejsce 17. 4. br. przy udziale wielu artystów polskich i żydowskich. Ambicją twórcy tego obchodu jest, aby uroczystość była obchodzona wszędzie, gdzie znajdują się Żydzi, którzy doznali pomocy od swych polskich współobywateli w czasie drugiej wojny światowej. W tym roku Siódma Świeca zapłonęła w Melbourne po raz szósty. ■ Prezesem Związku Polaków w Zachodniej Australii został wybrany inż. Romuald Mizgalski, wiceprezesami pp. Ryszard Mackiewicz i Halina Szunejko, sekretarzem — p. Mieczysława Gruszka. ■ W Modern Print Gallery w Melbourne odbyła się wystawa prac polskiego artysty Tadeusza Łapińskiego — pod nazwą „Cosmos Suite”.

Jerzy DOBROSTAŃSKI

KRONIKA KANADYJSKA

Prezesem Zarządu Głównego Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Kanadzie został wybrany na XVII walnym zjeździe, który miał miejsce w dniach 21-23 maja br. w Thunder Bay, Ontario, p. Mieczysław Szczeciński z Toronto, jeden z czołowych działaczy. ■ Według danych Zarządu Głównego KPK do dnia 9 maja br. na fundusz Pomocy Robotnikom w Polsce zebrano w Kanadzie \$ 8.680 — w tym na ostatnią, czwartą z kolei listę wpłynęło \$ 2.331. ■ 18. 5. br. w Toronto zmarł, w wieku 93 lat, dr Michaił Choroszyj, metropolita ukraińskiego greko-prawosławnego Kościoła w Kanadzie, wybitny teolog, autor szeregu prac, kompozytor muzyki religijnej. ■ Dnia 4 czerwca zmarł w Toronto, przeżywszy 88 lat, jeden z najstarszych wiekiem legionistów Alfred Józef Birkenmayer. W stopniu majora przeszedł do pracy cywilnej. Był posłem na Sejm z ramienia BBWR, sekretarzem klubu parlamentarnego BBWR, należał do bliskich współpracowników płk. Walerego Ślawka. Nie kandydował z listy OZON'u i powrócił do służby państwowej na stanowisko wojewódzkiego naczelnika wydziału bezpieczeństwa.

B. H.

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

SERIA « DOKUMENTY »

TOM 274 — MAREK TARŃEWSKI

KRÓTKIE SPIĘCIE

(Marzec 1968)

Str. 96.

Cena F. 18.



TOM 276

RUCH OPORU

Polska: Czerwiec 1976
Czechosłowacja: Karta 77

Str. 288.

Cena F. 50,00.

Listy do Redakcji

SZKOŁA MYŚLENIA MARII WINOWSKIEJ

Talenty literackie nie zawsze chadzą w parze ze zdolnością do pojmowania i oceniania spraw politycznych, czego mamy wciąż smutne dowody. Pod tym względem najgorzej jest z umysłowością poetów, ale i z prozaikami nie bywa najlepiej. Maria Winowska, znakomita powieściopisarka katolicka, podjęła ostatnio, w majowym numerze paryskiej *Kultury*, nieprawdopodobnie ostry i surowy, w tonie daleko odbiegającym od chrześcijańskiej miłości bliźniego, w treści nieprawdopodobnie naiwny i nie przekonywujący atak na emigracyjne ośrodki katolickie i narodowe, wśród nich na *Narodowca* i na piszącego te słowa osobiście pod tytułem „Nieproszone rady i dywersja”. *Kultura* zaszczyliła ten elaborat umieszczeniem go na czołowym miejscu numeru.

Nie zajmowalibyśmy się tą sprawą, gdyby nie to, że właśnie nazwisko Winowskiej — oraz cały autorytet Prymasa Polski — zostały przez *Kulturę* wykorzystane dla tego niesłychanego ataku służącego kołom „nowej lewicy”. To mało powiedzieć, wykorzystane. Winowska zaczyna od stwierdzenia, że „od wielu lat zmobilizował mnie Kościół w Polsce do służby”, ale można sądzić, że działała w tym wypadku nie tyle jako „zmobilizowana przez Kościół w Polsce do służby”, co zmobilizowana przez *Kulturę*.

Może nawet Jerzy Giedroyc nie podyktował jej dosłownie całego tego artykułu, ale jego inspiracja i tezy pochodzą na pewno z Maisons-Laffitte wyłącznie z opieraniem się na sfałszowanym materiale, jakim jest „List Klubu Polskiego” (ma być zapewne „Klubu Myśli Polskiej”). Fałszerstwu temu jak wiadomo, zaprzeczyły zarówno drukarnia „Veritasu” w Londynie, której nazwę oszuści zamieścili pod listem, jak redakcja *Myśli Polskiej* i sprostowanie to ogłosiła prasa wyłącznie z *Kulturą* (numer grudniowy), czego widocznie w tej samej *Kulturze* nie zauważono.

Ogólnie biorąc dowiadujemy się od autorki o sobie różnych rzeczy, między innymi, że: „nie zerwaliśmy ze snami”, „zegar dziejów stanął dla nas w 1939 roku”, „szkodzimy Kościołowi w Polsce dzisiejszej 1977 roku”, nie rozumiemy „na fotelikach przy kominku emigracyjnym, że stawką walki toczącej się dziś nie tylko za rubieżą jest Człowiek”, chodzi „o czytelników, o tych prostych ludzi na obczyźnie, którzy biorą w spracowane ręce *Narodowca*... a nie mają dość zmysłu krytycznego, żeby w tej sieczce i plewach odnaleźć jakieś ukryte ziarna prawdy”.

Oczywiście dowiadujemy się także, że jesteśmy nieukami, ponieważ „tylko nieuk może podać w wątpliwość wpływ opinii międzynarodowej na dół prześladowanych w Związku Sowieckim” — jak gdybyśmy to kiedykolwiek w wątpliwości podawali. Wreszcie reprezentowana przez nas „szkoła myślenia” według pani Winowskiej „dostarcza wody na młyn propagandy oficjalnej w PRL”, a ponadto reprezentujemy „pewien poziom intelektualny, który wyłącza dyskusję”.

Ufam, że demokracja, wolność słowa i obyczaje dziennikarskie* tego pisma oraz kultura polemiczna redakcji pozwolą na zamieszczenie tych uwag mimo, że często dyskusję „zamyka się” zawsze w tym momencie, gdy staje się ona dla poglądów redakcji niebezpieczna. Tak było niedawno ze sprawą dwóch obrazów Matki Boskiej Zwycięskiej z Kozielska, którą *Kultura* rozjątrzyła, po czym „zamknęła dyskusję”, nie pozwalając na pełne wyjaśnienie prawdy.

Byłoby rzeczą poniżej naszej godności tłumaczenie się, czy też legitymowanie z naszych poglądów wobec *Kultury* czy nawet wobec pani Winowskiej, a jednak trzeba nieco faktów z historii *Narodowca* przypomnieć.

Tradycje narodowe i katolickie — tak, właśnie katolickie — tego pisma sięgają 67 lat i to właśnie obrona tych tradycji przyswiecała przez cały czas pracy tego pisma Michałowi Kwiatkowskiemu seniorowi i kierującemu obecnie wydawnictwem Michałowi Kwiatkowskiemu juniorowi.

Narodowiec powstał w Niemczech dla obrony tych polskich tradycji oraz uciskanej mniejszości polskiej. W czasie drugiej wojny światowej musiał przerwać na 4 lata wydawanie pisma. Szedł zawsze za masą emigrantów polskich, których pani Winowska powinna się bezpośrednio — przed swymi atakami na nas — zapytać co o tym piśmie myślą i jak je kochają, „gdy je biorą w swej spracowane ręce”, zamiast pytać o opinię redaktorów *Kultury*.

Historia orzeknie, a nie *Kultura* i pani Winowska, jaką rolę *Narodowiec* odegrał w utrzymaniu i polskości i wiary — znowu: tak, i wiary — naszych rodaków emigrantów w Niemczech przed wojną i we Francji po wojnie w zakresie utrzymania polskich kościołów i parafii, organizacji religijnych katolickich i społecznych, sokolstwa, szkolnictwa, kultury, czytelnictwa i zachowania języka i obyczajów polskich w masach emigracji już w drugim i trzecim pokoleniu. Nikt nie ma żadnego tytułu ani prawa do strojenia się w togi i birety sędziowskie i do ferowania o nas w tych sprawach wyroków, zwłaszcza na łamach takiego trybunału, jakim jest paryska *Kultura*. To raczej autorom tych wyroków trzeba powiedzieć, że to my wypraszamy sobie „nieproszone rady i dywersje”.

O pani Winowskiej mówiono w londyńskim „Veritasie” oraz w ośrodku biskupim w Rzymie, że rządzi ona Prymasem Polski. Wydaje się jednak obecnie, że sama czerpie natchnienie tylko z kraju, może nie tylko i nie tyle od Prymasa, a jeśli za granicą to tylko w *Kulturze* oraz w kołach „nowej lewicy”, która chce przemienić złych komunistów na dobrych. Trudno przypuścić, by *Kultura* rządziła w Warszawie a Winowska Prymasem, bo wynikałoby z tego że Prymas jest rządził *Kulturą*, co na pewno nie jest prawdą.

Nas nikt nie „mobilizował do służby Kościoła”, ale i bez tej mobilizacji służymy mu w miarę naszych sił i możliwości i zgodnie z naszym sumieniem nie tylko katolickim, ale i polskim najlepiej jak potrafimy. To nie my, lecz nasza dostojna oponentka w ramach akcji *Kultury* usiłuje nas oddzielić od kraju i obwieścić, że jesteśmy uschniętą gałęzią, odpadłą od pnia narodu, to ona twierdzi, że nie znamy spraw krajowych, nie rozumiemy ich,

* Obyczaje dziennikarskie — ale jakie? P. T. Borowicz nadesłał polemikę z p. Marią Winowską, w formie obszernego artykułu w końcu maja br. kiedy czerwcowy *Kultura* była już wydrukowana i szła do oprawy. Poinformowaliśmy go zatem, że polemikę tę możemy zamieścić w nrze lipcowym jeżeli ją skróci. P. Borowicz zgodził się i nadesłał nam powyższy tekst skrócony. Ale jednocześnie, nie czekając na ukazanie się swej wypowiedzi w *Kulturze*, zamieścił pełny tekst w *Narodowcu* w nrze z 12-13 czerwca br.

Redaktor

szkodzimy narodowi, a pomagamy partii w Warszawie. Dlatego tylko, że nie podzielamy poglądów *Kultury* i nie chcemy marksistowskiego „przeciw-rządu” w Warszawie z „finlandyzację” kraju, natomiast chcemy pełnej niepodległości i rządów narodu, wrogiemu wszelkim odmianom marksizmu, nawet tego „dobrego”, od „katolików społecznie postępowych”.

Zarzut braku znajomości spraw krajowych muszę stanowczo odrzucić. Na te tematy napisałem taką ilość wypowiedzi w różnych pismach, z których zebrały się spory tom, a wszystkie opierałem na gruntownych, uczciwych i sumiennych studiach osiągalnych materiałów. W Polsce po wojnie byłem trzykrotnie, stykałem się osobiście z masą ludzi, zawiozłem do Polski na sześć tygodni córkę zakonnie urodzoną w Jerozolimie i pokazywałem jej Polskę od Tatr do Bałtyku. Po pierwszej podróży, w roku 1958, ogłosiłem książeczkę „Spotkanie z Polską”, która oburzyła komunistów jako „tendencyjna i jednostronna”, a równocześnie oburzyła „niezłomnych” w Londynie jako zdrada narodowa i kumanie się z komunistami — co najlepiej świadczy, że była obiektywna. Mój syn z rodziną od 9 lat pracuje w Warszawie w przedstawicielstwie firmy handlowej brytyjskiej i wprawdzie polityką się nie zajmuje, ale także zna stosunki w Polsce.

Z *Narodowcem* mam zaszczyt współpracować redakcyjnie od prawie 8 lat a publicystycznie od lat 12, bo poprzednio także z Londynu i z Rzymu, zaś przedtem przez 15 lat byłem redaktorem londyńskiej *Gazety Niedzielnej* oraz przez rok rzymskich *Przemian* — wydawnictwa Delegata Prymasa Polski dla Duszpasterstwa Emigracji. Przy wszystkich tych pracach musiałem stale studiować zagadnienia krajowe.

Przed 12 laty, gdy byłem jeszcze w londyńskim „Veritasie”, wydrukowaliśmy tam w roku 1965 jako XIX tom serii religijnej („niebieskiej”) Biblioteki Polskiej pracę Marii Winowskiej „Prawdziwe oblicze Ojca Pio”. Wierzę, że obecna obrona „nowej lewicy” marksistowskiej przez tę katolicką pisarkę przeciw siłom katolickim i narodowym nie jest jej prawdziwym obliczem, a tylko przykrym nieporozumieniem.

Tadeusz BOROWICZ

Croydon, Surrey, czerwiec 1977.

Szanowny Panie Redaktorze,

Artykułem p. Winowskiej byłem zawiązany bo myślałem, że dowiem się czegoś więcej o Drugim Soborze Watykańskim. Pisała natomiast obszernie o polityce na której — jak wynika z treści — niewiele się zna i śmiało by można o niej powiedzieć, że słyszała iż gdzieś dzwonią lecz nie wiedziała gdzie. Wprawdzie winna może nie jej lecz usłużnego informatora, który artykuły z *Myśli Narodowej* i *Narodowca* nie tylko odpowiednio dobrał ale jednocześnie również objaśnił. Nie miał czasu wytłumaczyć jednak, że list Klubu Myśli Polskiej został spreparowany przez wrogi Stronnictwu Narodowemu ośrodek, nie w kraju ale za granicą, jak na to różne poszlaki wskazują. Były przecież oficjalne oświadczenia w tej sprawie i pani Winowska, jeżeli bierze się do polityki, o takich rzeczach wiedzieć powinna. Powinna też wiedzieć, że *Myśl Polska* o sprawach Kościoła w Polsce stale pisze o czym łatwo się mogła przekonać, gdyby przejrzała chociażby te egzemplarze na które się powołuje. Powinna również wiedzieć, że *Myśl Polska* stale wspiera linię zakreśloną przez Kardynała Wyszyńskiego ze szczególnym uwzględnieniem jego wigilijnych założeń, nie zbawiania świata ani komunistycznego ani kapitalistycznego kosztu Polski.

Wydaje mi się, że p. Winowska nie byłaby w swych poglądach tak jednostronna gdyby mniej przywiązywała wagi do propagandy płynącej ze środków przekazu związanych z Radiem Wolnej Europy.

Nie zastygłem myślami w roku 1939, czym bardzo narażam się moim starszym współemigrantom, a Polskę dzisiejszą odwiedzam co kilka lat, co też nie jest mile widziane przez wielu. Nie twierdząc, że w mojej znajomości kraju nie ma luk ale z drugiej strony nie muszę polegać na interpretacji innych, przyjaciół czy wrogów, by Polską rzeczywistość rozumieć.

Ostatni raz byłem tam tuż po wypadkach czerwcowych, w lipcu ubiegłego roku i na miejscu, na gorąco szukałem wiadomości zarówno wśród kolejarzy, robotników, księży i przygodnych znajomych. Z oceną powstrzymałem się celowo przez 6 miesięcy, by mieć możliwość porównania własnych obserwacji z ogłoszonymi prasą polską i zagraniczną.

Pisarzy katolickich zwykle cechuje ład ducha, ład myśli i miłość bliźniego, u p. Winowskiej tych zalet nie widzę. W argumentach swoich ma jednak jedną przewagę nademną bo „zmobilizował ją do służby Kościoła” więc domyślam się, że wspomina o tym by w wypowiedziach swoich powołać się na autorytet Kościoła, ale obawiam się, że czyni to samowolnie.

Mnie nikt do służby dla Polski nie mobilizował. Na wojnę ruszyłem mając lat 18, jako ochotnik, samowolnie dotarłem do wojska polskiego we Francji a później w Anglii. Życie dość wcześnie nauczyło mnie, że pojęcia dobra i zła są dość względne i na długo przed Drugim Soborem zasady umiaru i rozważli stosowałem. Takich jak ja było wtedy nas wielu i w imię zasad głoszonych dziś przez p. Winowską, że nie ma bezwzględnych pojęć dobra i zła, nie ulegając ówczesnej propagandzie, na ścianie żołnierskiego baraku wywiesiliśmy obok siebie cztery portrety: Churchilla, Hitlera, Stalina, i Roosevelta. Jak później historia wykazała nie byliśmy w błędzie.

Dziś świat nie posiada przywódców tego kalibru, same miernoty. Gdybym więc obecnie miał wywiesić takie cztery portrety to portret p. Winowskiej, w myśl wyszczególnionych przez nią zasad, powiesiłbym obok Machajki, Michnika i powiedzmy Lucjana Czubickiego.

Co do słów „Polska sumieniem narodów” mam do nich wielkie uprzedzenie, bo były kiedyś użyte przez łotrą, który później podpisał swój pod umowę jaltańską. Wolalbym, żeby p. Winowska przez szacunek dla tych, którzy słowom tym się dali uwieść i życiem swoim zapłacili, słów tych nie nadużywała.

Czytając resztę wywodów autorki zastanawiałem się kto naprawdę winien szukać porad u psychiatry.

Jeżeli bowiem nie ma dobra i zła to nie ma nienawiści i miłości a jeżeli nie ma tych pojęć to nie ma też określenia na pojęcie Boga. Jeżeli zaś nie ma Boga to nie ma Kościoła i wtedy pani Winowska musiałaby utracić autorytet na który się powołuje.

Z Jędrzejem Giertychem można się zgadzać lub nie. Ma własne poglądy i niestety nie należy do grona „powołanych”. Kto się sam szanuje nie może mu zarzucać nieuctwa czy ignorancji.

Ostatnia fala nienawiści przeciw niemu wybuchła bo dopuścił się rzeczy niesłychanej. Odważył się przeciwstawić monopolowi Radia Wolnej Europy i innych środków przekazu z nim stowarzyszonych i na własną rękę, nie pytając nikogo o zgodę, czyli o grono „samozwańców”, list otwarty do Polaków w kraju wysłał ostrzegając przed niebezpieczeństwem nieprzemyślanych zrywów w obecnej chwili. Naraził się więc nie tylko C.I.A. ale również wszystkim ekspozytorem i przedstawicielom tej bogatej ale bardzo niefortunnej organizacji, której misternie ułożone plany niechcący na szwank naraził.

Z prawdziwym poważaniem,

T. J. HOBLER

Bruksela, 12 maja 1977.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pragnąłbym podzielić się z Panem i czytelnikami *Kultury* kilku moimi uwagami w wyniku lektury artykułu p. Winowskiej M. „Nieproszone rady i dywersja” zamieszczonym w *Kulturze* nr 5/356.

Opozycjoniści w Kraju utrzymują, iż działają w ramach obowiązującego tam porządku prawnego, którego źródła szukać przecież trzeba w Teheranie i Jalcie, i, że domagają się od rządu przestrzegania zobowiązań o jakich również w Jalcie mówiono, a które obecnie umieszczono w „trzecim koszu” deklaracji konferencji w Helsinkach, stanowiącej w pewnej mierze dalszy ciąg z Teheranu i Jałty.

Warto więc zauważyć i przypomnieć także, że tego samego rodzaju walkę, co dzisiejsi opozycjoniści krajowi, prowadziło PSL z St. Mikołajczykiem na czele w latach 1945/47, uzyskując wtedy poparcie całego prawie narodu.

I że to właśnie też wtedy wielu z tych na wychodźstwie, którzy popierają dziś słuszne dążenia krajowych opozycjonistów, wówczas nazywało Mikołajczyka „zdrajcą narodowej sprawy”, a u wejścia do siedzib niektórych „niepodległościowych” instytucji w Londynie umieszczono napis „jałtańczykom wstęp wzbroniony”.

Rzuca się w oczy również, że tej zaciętej walki narodu w latach 1945/47 prawie się nie wspomina, a to głównie dlatego, by o PSL i Mikołajczyku nie zapomnieć.

Podobnie jak to się kiedyś miało z Witosem.

Mimo woli każdy spytać może o powód tej różnej oceny takiej samej sprawy.

I dalej — iż budzi wątpliwości szczerłość intencji, to nagle poparcie krajowych opozycjonistów przez pewne grupy emigracyjne.

Jedno jeszcze.

P. Winowska we wspomnianym artykule mówi również o *Narodowcu*. Ów *Narodowiec* poparł politykę PSL i Mikołajczyka w latach 1945/47. To właśnie było powodem pielgrzymek różnego rodzaju przywódców polskiego Londynu do północnej Francji celem „ubicia” na miejscu *Narodowca*.

Wiadomo jaki pielgrzymek owych był skutek.

A i dotąd w 'ondyńskich wykazach polskiej prasy emigracyjnej trudno znaleźć wzmiankę o *Narodowcu*, co jest następstwem zajętego przez pismo to stanowiska w latach 1945/47.

Bojkot nadal trwa.

Oczywiste jest więc, iż p. Winowska nie może się dziwić, iż pewne wypowiedzi nie docierają do *Narodowca* skoro źródło ich jest jej znane. Uzasadnione natomiast będzie zdziwienie, iż p. Winowska się dziwi, iż znajdują się na emigracji „ci prości ludzie, którzy biorą *Narodowca* w swe spracowane ręce”, że wierzą „iż o wszystkim informowani są prawdziwie, obszerne, wyczerpująco”.

Narodowiec nie sprawuje tu przecież dyktatorskiego rządu dusz. Jego czytelnicy przyjmują ludzi z Kraju, jeżdżą tam sami, są więc w stanie ocenić prawdziwość informacji *Narodowca*. Jeśli okazują mu swe zaufanie to czynią to świadomie, przekonani iż na nie zasługują.

Tertium non datur.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy prawdziwego szacunku,

J. RZEMIENIEWSKI

Paryż, 15 czerwca 1977.

Szanowny Panie Redaktorze,

Dziękuję za przekazanie mi listów *et contra* w sprawie mojego majowego artykułu w *Kulturze*. Echa pozytywne były liczne i nie domagają się odpowiedzi.

Muszę przede wszystkim oczyścić Pana Redaktora z krzywdzących podejrzeń. Za artykuł opublikowany w majowej *Kulturze* biorę całkowitą i pełną odpowiedzialność. Pan Redaktor był tak uprzejmy, że użyczyl mi gościny. Artykuł ukazał się w całości, bez żadnych uwag czy zastrzeżeń, do których Redaktor ma prawo. Może nie we wszystkim zespół *Kultury* ze mną się zgadza. Co nas łączy to troska o Polskę na dziś, w kontekście dzisiejszej rzeczywistości i w poczuciu odpowiedzialności za tych, którzy tam walczą i giną. Racją bytu całej emigracyjnej prasy jest stać się ich głosem, brać ich w obronę na planie opinii międzynarodowej która, jak doświadczenie potwierdza, jest dziś jedyną szansą obrony uciśnionych we wszystkich krajach, którymi rządzi dyktatura.

Przyznam się że czytałam owe listy *et contra* z pewnym zażenowaniem. Spodziewałam się jednak mocniejszej odprawy, bardziej rzeczowych argumentów!

Na ataki personalne z reguły nie odpowiadam. Nie chodzi tu o mnie, ale o sprawę, która jest nam wszystkim droga, której wszyscy winniśmy służyć. Zaskoczyły mnie komentarze mojego wstępnego oświadczenia, że „Kościół zmobilizował mnie do służby”. Jest to jeden dowód więcej, że moi szanowni oponenci nie znają konstytucji Drugiego Soboru Watykańskiego, zwłaszcza „rewolucyjnej” *gaudium et spes*, która nas wszystkich katolików, a nawet *chrześcijan* w ogóle, obarcza odpowiedzialnością za dzisiejszy świat, powołuje do służby. A więc również panów Hoblera, Borowicza, Rzemieniewskiego, Giertycha etc. Nie samowolniczo, ale zgodnie z dyrektywami Kościoła na dziś. Mogę więc tylko powtórzyć radę z końca mojego artykułu, żeby nasza prasa katolicka na uchodźstwie nie tylko przestudiowała rzeczony dokumenty, ale udostępniała je czytelnikom, tym zwłaszcza których nie stać na samodzielne zgłębienie tych nazbyt nieraz zwartych tekstów. Jakież byłoby to wspaniałe zadanie dla *Narodowca*, który ma niewątpliwie ważną misję do spełnienia.

To prawda że nie czytam *Narodowca* od deski do deski. Będąc w ciągłych rozjazdach po prostu nie mam do tego okazji. Z największym szacunkiem odnoszę się do założyciela tego dziennika. Może właśnie dlatego stawię dziś *Narodowcowi* tak wysokie wymagania. Artykuł z 26. V. 1977 r. pana Michała Kwiatkowskiego mija się z sednem rzeczy. Powtarzam do znudzenia słowo dziś. Jakież śmiesznie przestarzałe są polemiki przedwojenne między sanacją i endecją! Jakież wyobcowane z dzisiejszej rzeczywistości w kraju! To prawda że *Narodowiec* zamieszcza od czasu do czasu artykuły oparte na rzetelnych informacjach. Są natomiast inne, które w imię wiadomej „szkoły myślenia”, przemilczają fakty niewygodne albo wręcz im przeczące. Choćby w sprawie antysemityzmu. Brak wyraźnej linii ideowej wywołuje wrażenie, że redaktor naczelny boryka się z brakiem materiałów i publikuje co mu się nawinie, bez krytycznej perspektywy. Nie raz i nie dwa nosiłam się z myślą opublikowania jakiegoś artykułu w *Narodowcu*, ale odstręczała mnie ta linia zygawkowa. Nie wiedziałam w jakim towarzystwie znajduję się na łamach dziennika. Zyczę całym sercem Panu Michałowi Kwiatkowskiemu tego trudnego, może niekiedy bolesnego *aggiornamento*, czyli przystosowania do dzisiejszej sytuacji Kościoła w Kraju, do dzisiejszych, coraz groźniejszych problemów. Poczytność pisma nie straciłaby na tym bynajmniej, wręcz przeciwnie: nakład by wzrósł. Nie dość zamieszczać

rzeczowe artykuły w pewnych odstępach czasu. Ankieta wśród młodzieży w Polsce i za granicą aż nadto potwierdza moje spostrzeżenia. Przyszłość jest w rękach młodych. Czy nie powinien uderzać nas fakt że właśnie młodzi rozczytują się w Polsce w powielanych przemówieniach Prymasa, gdy *Narodowiec* poświęca im skąpe szpalty, powierzchowne streszczenia?

Zbyt ważkie to sprawy żebyśmy na złośliwości i urywki mojego artykułu wyrwane z kontekstu odpowiadała tym samym tonem. Tu nie chodzi o jałową polemikę ale o zmobilizowanie wszystkich sił poza krajem w służbie ojczyzny — dziś. Tam tkwią nasze korzenie, tam rodzi się w męce nasza przyszłość. Że zaś Kościół jest dziś bardziej niż kiedykolwiek wykładnikiem i schronem wolności wewnętrznej, bez której człowiek przestaje być „sobą-osobą”, hasło łączności wszystkich ludzi dobrej woli w obronie człowieka, rzucone przez Prymasa i polski Episkopat, dotyczy również nas, niezależnie od poglądów politycznych. Podejmuję rękawicę wszystkich moich oponentów do szczerego dialogu, we wspólnej nam wszystkim sprawie i ufam, że pod szumowiną zjadliwych agresji istnieje głębia, która nas wszystkich łączy. Ale głębie tę rozoznać można tylko za cenę wyrzeczenia się wszelkiej prywaty dla wspólnego nam wszystkim dobra — Ojczyzny. Jesteśmy potrzebni tam, właśnie dziś.

Maria WINOWSKA

P.S. Jak słusznie zauważył pan Rozwadowski, „List klubu polskiego” przekazany mi z New Yorku o tyle tylko wydaje mi się znamienity, że wykazuje ciekawe zbicie myśli z Listem do kraju „pana Giertycha”, jest więc wodą na jego młyn, co by potwierdzało uwagi zawarte w moim artykule. Że był zaś to tylko artykuł, najchętniej przyjmuję zarzut sprowadzania do jednego mianownika różnych odcieni Emigracji. Chodziło mi i chodzi właśnie o ten wspólny mianownik, niezależnie od odcieni, o służbę na dziś.

M. W.

Austria, 15 czerwca 1977.

Szanowny Panie Redaktorze.

P. Z. Michałowski, mój następca na stanowisku dyrektora Rozgłośni Polskiej RWE sprzecza (list do Red. Kultury nr 6/357) jakoby nowe wytyczne polityczne dla RWE (z grudnia 1976 r.) wprowadzały ograniczenia idące dużo dalej niż poprzednie (z 1972 r.). Zmusza mnie to do dosłownego przytoczenia restrykcji, które miałem na myśli, czego właśnie pragnęłam uniknąć w moim artykule (*Kultura* nr 4/355).

Wydanie nowych wytycznych w ostatnim miesiącu rządów Ford-Kissinger-Sonnenfeld byłoby oczywiście bez sensu, gdyby jak utrzymuje p. Michałowski „nie różniły się niczym istotnym od poprzednich”. Wprowadzone zostały m.in. następujące ograniczenia:

„Unikanie... nieuzasadnionej krytyki (*unsupported criticism*) systemu komunistycznego i jego przedstawicieli jak również używania przestarzałej i nie-dokładnej terminologii takiej jak „blok komunistyczny”, „satelickie kraje komunistyczne” i „kapitalizm versus komunizm” (*The Board For Int. Broadcasting. Annual Report 1977*, str. 56). Zakazowi temu nie towarzyszy żadne zalecenie, jakie zastępcze terminy wolno stosować redaktorom RWE/RL.

W następującym zdaniu wprowadzona została cenzura przewencyjna nie-legalnej literatury, nie dopuszczonej przez cenzurę do publikacji w krajach komunistycznych: „treść samizdatu i innych dokumentów pochodzących

z Europy Wschodniej i Związku Sowieckiego winna być poddana dokładnemu zbadaniu przed nadaniem; to samo odnosi się do treści materiałów prasowych i wypowiedzi emigracyjnych”. (*The content of samizdat or other documents originating in Eastern Europe or the U.S.S.R. should be carefully scrutinized prior to broadcast use; the same applies to the content of exile press material and organizational statements. Tamże*, str. 54). Dla uniknięcia nieporozumień dodaję, że stopniowe wprowadzanie selektywnej cenzury prewencyjnej miało już miejsce za moich czasów. Nie zostało jednak usankcjonowane w formie podanej do publicznej wiadomości reguły.

Obejane wytyczne są wspólne dla Radia Wolna Europa i Radia Swoboda. Powołują się we wstępie na Kartę Narodów Zjednoczonych i uchwały konferencji w Helsinkach, które definiują samostanowienie jako prawo do pełnej wolności i niepodległości.

Ograniczenia w nowych wytycznych pozostają w jaskrawej sprzeczności z tą definicją. Nakazuje się „unikanie jakiegokolwiek programów, których treść można by z uzasadnieniem interpretować jako... prowadzącą do irredentyzmu (*„Avoidance of any programming, the content of which could be legitimately construed... as conducive to irredentism”*). *Tamże*, str. 56).

W innym miejscu dyrektywy pouczają, że „RL ani nie popiera ani nie zachęca do jakiegokolwiek separatystycznych albo secesjonistycznych ruchów i nie porusza spraw terytorialnych”. Wiadomo, że szowinistycznym elementem wielkoruskim takie terminy jak „dążenia separatystyczne, secesjonistyczne czy irredentyzm” służą do określenia dążeń do samostanowienia i niepodległości Ukraińców, Białorusinów i innych narodów w ZSSR. To ludzkie prawo zredukowane zostało w wytycznych do „prawa wszystkich grup narodowych... do okazywania dumy ze swoich historycznych i kulturalnych osiągnięć oraz posługiwania się swym własnym językiem”. Wytyczne zezwalają, by Radio Swoboda popierała prawo jednostek do „swobodnego podtrzymywania swego pochodzenia narodowego, jak również swych przekonań religijnych i politycznych oraz do zabezpieczenia przed dyskryminacją z tego tytułu”. Ani słowa o prawie do niepodległego bytu.

Byłem jak najdalej od tego, by z tytułu cytowanych ograniczeń wysuwać jakiegokolwiek zarzuty pod adresem p. Z. Michałowskiego i zespołu moich dawnych współpracowników. Z własnego wieloletniego doświadczenia wiem, że nie wytyczne decydują, lecz sposób w jaki są interpretowane przez polskie i amerykańskie kierownictwo Rozgłośni. Jest zasługą p. Z. Michałowskiego i jego amerykańskich partnerów w RWE, że pomimo ograniczeń Rozgłosnia nadal poddaje system komunistyczny codziennej krytyce i służy za pas transmisyjny dla samizdatu i głosów stamtąd — broniących praw człowieka i narodu. Przewodnią myślą mego artykułu pisanego w ostatnich dniach polityki Kissingera i Sonnenfeldta było podniesienie rangi, zwiększenie środków, mocy i swobody środków przekazu przenikających w głąb sowieckiej orbity. Prezydent Carter poczynił już poważne kroki w tym kierunku. P. Michałowski ani jego poprzednik nie byli odpowiedzialni za politykę Kissingera i doktrynę Sonnenfeldta, która znalazła swój ślad w przytoczonych wyżej ograniczeniach. Błąd p. Michałowskiego polega na tym, że utożsamia siebie z autorami dyrektyw, usiłuje bronić ich ukrywając prawdę przed polską opinią i podważa głos, który domaga się zniesienia restrykcji sprzecznych z pojęciem wolnej prasy i praw człowieka.

Łączę wyrazy poważania,

Jan NOWAK

W związku z odpowiedzią p. Jana Nowaka na list p. Zygmunta Michałowskiego (*Kultura* Nr 6/357) nie drukujemy listu p. J. Mierzanowskiego, który nadesłał go nam w imieniu własnym i ośmiu współpracowników Pol-

skiej Sekcji Radia Wolna Europa. List ten polemizujący również z artykułem p. Nowaka w *Kulturze* (nr 3/354 i 4/355) poza tonem, w jakim został napisany, pokrywa się z listem dyrektora Polskiej Sekcji Radia W.E. Drukowanie go uważamy zatem za niecelowe. Ponieważ sytuacja w Wolnej Europie i Sekcji Polski wydaje nam się niepokojąca do tej sprawy zamierzamy powrócić w dalszej przyszłości. (*Redakcja*).

Szanowny Panie Redaktorze,

Z dużym zdumieniem przeczytaliśmy w *Kulturze* Nr 5/356 notatkę „Rada Naczelna Koła A.K.". Anonimowy informator wprowadził w błąd Redakcję i licznych czytelników rozsianych po całym świecie.

Pragniemy stwierdzić, że od wielu lat wszystkie uchwały ideowe i organizacyjne zapadały większością demokratyczną i żaden z Kierunków Politycznych nie wywierał wpływu na ich treść.

Należy również podkreślić, że działacze A.K. nie wykorzystywali swego stanowiska organizacyjnego w Kole w swych wystąpieniach publicznych w życiu politycznym emigracji.

Z ubolewaniem musimy stwierdzić, że obecnie pewne czynniki polityczne na emigracji podjęły próbę wykorzystania A.K. dla swych celów i pragną to osiągnąć przez rozbięcie wewnętrzne Koła. Odgórnie kierowana akcja jest głównie wymierzona przeciw tym Kolegom, którzy weszli do walk podziemnych w Kraju z szeregów N.O.W. Dotychczas nie było prób robienia takiego sztucznego podziału. W Kraju wszystkich AK'owców łączy jedna więź i poczucie solidarności.

Od wielu lat działacze Koła A.K., tacy jak, gen. Pełczyński, Koledzy: Iranek-Osmecki, Miszczak, Mandziara i Szternal byli wybierani głosami tych samych Kolegów, którym dziś pewni członkowie Koła odmawiają równouprawnienia organizacyjnego i potępiają ich jako „endeków”.

Celem naszego listu jest podkreślenie zasad jakie obowiązywały w Kole A.K., a które były zgodne z duchem i założeniami uchwał Rady Jedności Narodowej i Państwa Podziemnego.

Nie sposób jest polemizować z zamieszczoną notatką, gdyż niemal w każdym zdaniu zawiera ona nieścisłości faktyczne. Tylko tytułem przykładu pragniemy stwierdzić, że wymienieni działacze Koła, S. Rzetelski, A. Pomian, S. Przebój-Stawicki, T. Żenczykowski, są czynnymi członkami Koła od lat przeszło 30-tu.

Naczelna Rada Koła A.K. na posiedzeniu odbytym 9. 10. 1976 unieważniła Walne Zgromadzenie Okręgu U.S.A. w Chicago z 4 września 1976 na

(w nadesłanej fotokopii brak jednej linii)

(a nie jak podaje notatka na wniosek T. Żenczykowskiego) — 24 głosami za — 10 przeciw, oraz rozwiązała Okręg U.S.A. Koła A.K., jako szczebel organizacyjny, na wniosek T. Klimowskiego 27 głosami za — 6 przeciw.

Kadencja Zarządu Głównego skończyła się dnia 9. 10. 1976. Wobec nieprzyjęcia Kandydatury przez ustępującego Prezesa M. Mandziarę na zebraniu Rady, dnia tego wybrano jednogłośnie Zarząd Główny według listy zgłoszonej przez nowego Prezesa S. Przebój-Stawickiego.

Rewelacyjne, a obliczone na psychologiczny efekt uczestników zebrania oświadczenie wiceprzewodniczącego Rady p. Hęciaka (zarazem członka K.W. Stronnictwa Narodowego) jakoby władze tego Stronnictwa zmuszały go do głosowania wbrew własnemu przekonaniu, nie zostało przez niego poparte żadnymi dowodami.

Z istniejących 8 oddziałów na terenie U.S.A. — 5 zdecydowanie opowiedziało się za rozwiązaniem Okręgu na terenie Stanów Zjednoczonych i nawiązało bezpośredni kontakt z Zarządkiem Głównym.

Nie jest prawdą twierdzenie zawarte w notatce, że jakoby od 25 lat Okręg A.K. w U.S.A. był w rękach Stronnictwa Narodowego, natomiast pragniemy stwierdzić, że w tym okresie we władzach zasiadali Koledzy o różnych poglądach politycznych. Nie interesowała nikogo ich legitymacja partyjna, lecz wyniki ich działalności zgodne z ideologią i zasadami Koła. Wiele z tych kolegów sprawowało swe funkcje nie tylko w Kole, a również w życiu Polonii Amerykańskiej.

Pozostajemy z poważaniem,

T. AFFELTOWICZ — z Łączności Operacji K.G.; L. KINDLEIN — Oddz. Dywers. Kedyw „Filip”; dr Z. SUTÓROWSKI — Szef Sanit. Zgrup. „Syndykalistów”; inż. K. MATEJEWSKI — ppor. Batalionu „IVO”; T. KLIMOWSKI — Szef Sztabu 27 Dywizji „Wołyń”; inż. A. WINOGRÓDZKI — pchor. Zgrup. „Baszta”; inż. K. KOWALCZYK — pchor. Zgrup. „Chrobry II”; S. PRZEBÓJ-STAWICKI — z-ca d-cy Plut. „Kogut”, Komp. Kpt. „Zmudzina”.

Zamieszczając powyższy list chcemy stwierdzić: informację otrzymaliśmy ze źródeł, które zasługują na wiarygodność. Poza tym na pewno by się uniknęło nieścisłości i sprostowań gdyby organizacje emigracyjne trzymały się dobrych starych obyczajów i informowały opinię publiczną o swej działalności, nie tylko przy okazji sprostowań, które często nie są rzeczowym wyjaśnieniem. Na tym liście sprawę zamykamy. — *Redakcja*.

Paryż, 15 czerwca 1977.

Drogi Panie Redaktorze!

W wyniku ogłoszonego w *Kulturze* Apelu SPK we Włoszech w ubiegłym roku miałem szereg spotkań w krajach Europy Zachodniej, na jakich dzieliłem się ze słuchaczami wynikami moich prac badawczych oraz doświadczeń z życia społeczno-politycznego. Reakcje były tak żywe i dla mnie miłe, że gotów jestem kontynuować takie spotkania i w tym roku.

Od połowy sierpnia do połowy listopada zamierzam stopniowo posuwać się od Skandynawii ku południowi i na warunkach podobnych jak w roku zeszłym mieć spotkania i gawędy zarówno w większych jak i mniejszych skupiskach Polaków.

Zainteresowanych proszę o komunikowanie się pod adresem:

Wiktor Sukienicki, 11 Hartwood Rd., London W12 9NQ, England.
dla ustalenia ewentualnych terminów i tematów spotkań.

Wiktor SUKIENICKI

Warren, 22 maja 1977.

Szanowny Panie Redaktorze,

Chciałbym wypowiedzieć swoją opinię o „Wspomnieniach dla przyjaciół” ks. Władysława Bukowińskiego (*Kultura*, listopad 1976).

Moim zdaniem wspomnienia te, a z osobna zawarte w nich dość obszerne obserwacje na tematy narodowościowe, nie odznaczają się należyłą wnikliwością i obiektywizmem. Zwłaszcza w stosunku do narodu ukraińskiego jest w nich dużo przesady, nieścisłości i — niechęci. Wielokrotne użycie słowa „chochoł” w różnych jego odmianach jest jednym z przykładów.

Przyznaję się, że faktem umieszczenia tych wspomnień na łamach *Kultury* byłem zaskoczony. Nie sądzę jednak, by fakt ten mógł wpłynąć decydująco

na stosunek — w moim przekonaniu przyjacielski — między redakcją oraz środowiskiem *Kultury* i jej ukraińskimi czytelnikami.

Z wyrazami prawdziwego szacunku,

Wasył WYTWYČKYJ

Paryż, 30 maja 1977.

Drogi Panie Redaktorze,

Okoliczności sprawiły, że z „Deklaracją w sprawie ukraińskiej”, ogłoszoną w majowej *Kulturze* zapoznałem się z opóźnieniem. Spieszę wyrazić solidarność z wyrażonymi w niej postulatami. Mam tylko zastrzeżenia co do wstępnych sformułowań. Gdy mowa o historycznym imperializmie rosyjskim, wytknięty jest jedynie „imperializm ubiegłego stulecia”. Tym samym pominięte są wcześniejsze, rosyjskie podboje i rozbiory, i to właśnie ziem ukraińskich Rzeczypospolitej! W zestawieniu z tym jeszcze bardziej pokutniczo brzmi zwrot o krzywdach wyrządzonych Ukrainie „ze strony wielowiekowego imperializmu polskiego”. Czyżby Deklaracja zapomniiała o wiekach polskiej polityki ugody i Unii, które były chlubnym zaprzeczeniem imperializmu i w historii naszej liczą się również? Rozumiem jednak, że autorowi Deklaracji chodziło przede wszystkim o odcięcie się od ciężkich grzechów, które niezaprzeczalnie mamy na sumieniu i w tej intencji łączę się z nim całkowicie.

Najistotniejszy w Deklaracji jest jednak postulat niepodległości dla Ukrainy (i dla innych narodów ujarzmionych w Związku Sowieckim). Fakt, że pod tym solidarnym żądaniem redaktor *Kultury* zjednoczył podpisy pisarzy, publicystów i historyków, reprezentujących cztery narody — Rosję, Polskę, Czechy i Węgry — z których trzy sąsiadują z Ukrainą i obciążone są, choć w bardzo nierównym stopniu, względem niej winą, jest wymowny i dobitny. Nie waham się wyrazić nadziei, że Deklaracja ta liczyć się będzie jako data w historii stosunków między tymi narodami. Winszuję *Kulturze* tego osiągnięcia. I wierzę, że Deklaracja znajdzie żywe poparcie u wszystkich tych, którzy rozumieją, że historia wciąż idzie naprzód i że nie wystarczy za nią podążać: trzeba wytyczać jej drogę.

Łączę wyrazy szacunku i uścisk dłoni,

Władysław ŻELEŃSKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

B.H., Warszawa. Wierszy nie zamieścimy — są bardzo słabe.

P. H. Dorowska, Londyn. Nie każdy niepodpisany artykuł czy nota jest anonimem. Redakcja zna nazwiska autorów.

Z ostatniej chwili

Do Redaktora *Kultury* paryskiej
Pana Jerzego Giedroycia

Wielce Szanowny Panie,

Upoważniłem przyjaciół, którzy opiekują się rękopisami moich niewydanych książek, żeby doręczyli je Panu.

Będę rad i wdzięczny, jeżeli uzna Pan za możliwe ogłoszenie ich w swoim Wydawnictwie.

Proszę też o opublikowanie tego listu — żeby nikt nie miał wątpliwości, że dzieje się to za moją wiedzą i wolą — jak również załączonego listu otwartego do Heinricha Bölla, z którego czytelnicy dowiedzą się trochę więcej o motywach mojej decyzji oraz okolicznościach, w których ją podjąłem.

Z prawdziwym poważaniem,

Wiktor WOROSZYLSKI

Warszawa, 8 czerwca 1977.

LIST OTWARTY DO HEINRICHA BÖLLA

Wielce Szanowny Panie!

Dwadzieścia lat temu miałem zaszczyt i przyjemność poznać Pana; w pewnej kawiarni w Kolonii toczyliśmy długą rozmowę, z której dowiedziałem się niejednej ważnej rzeczy o powojennych Niemczech i literaturze niemieckiej; miałem wówczas trzydzieści lat i byłem redaktorem naczelnym warszawskiego tygodnika *Nowa Kultura* — stanowisko to powierzyli mi koledzy redakcyjni po przemianach, jakie zaszły w Polsce jesienią 1956 roku; jesienią zaś 1957 roku odbywałem pierwszą swoją podróż do Europy Zachodniej i wtedy właśnie udało mi się spotkać Pana; życzliwy mojemu krajowi i temu, co się w nim działo (żyliśmy

w Polsce nadzieję, że uda nam się urzeczywistnić „socjalizm, który da się lubić” — tak to nazywaliśmy), obiecał Pan współpracę z naszym tygodnikiem i dotrzymał obietnicy, przysyłając rękopis opowiadania pt. „Niszczyciel”; wydrukowaliśmy je w numerze *Nowej Kultury* z 23 marca 1958; z tej okazji otrzymałem też list od Pana i sam do Niego pisałem.

Po tym przypomnieniu chciałbym opowiedzieć Panu po krótko, co działo się ze mną dalej; ośmiela mnie zaś do tego nie tylko nasza znajomość sprzed dwudziestu lat, której — czego bardzo żałuję — nie mieliśmy okazji kontynuować (mogłem jedynie obserwować z radością Pańskie zasłużone sukcesy, czytać kolejne książki, pełne znaczenia nie tylko dla Niemców, podziwiać działalność publiczną, budzącą sympatię i solidarność; ośmiela mnie do tego również poczucie, że to, co działo się ze mną — działo się i dzieje nie tylko ze mną; skoro zaś wiem (są na to liczne dowody), że Pańska życzliwość dla Polski i ciekawość Polski jest dziś nie mniejsza niż wtedy, kiedyśmy się spotkali, sądzę, że wolno mi opowiedzieć o kimś, o kim wiem najdokładniej — o sobie.

Nadzieja na „socjalizm, który da się lubić” trwała niedługo; właściwie już w 1957 roku widać było, że partię rządzącą — PZPR — irytuje „nadmiar swobód”, które przyznać musiała obywatelom w wyniku kryzysu politycznego roku poprzedniego; w szczególności wolność słowa, po którą sięgnęły środowiska literatów i dziennikarzy, próbując m.in. analizować istotę systemu stalinowskiego i kreślić bardziej demokratyczną i ludzką alternatywę wewnątrz socjalizmu, ta wolność słowa (choć i wtedy ograniczona) wydawała się partii zgoła niedopuszczalna; przystąpiono do likwidowania jej krnąbrnych i heretyckich ośrodków; pierwsze padło ofiarą studenckie czasopismo *Po prostu* (którego zamknięciu towarzyszyły kilkudniowe rozruchy w Warszawie — było to w pierwszych dniach października 1957 roku); wiosną zaś 1958 roku przyszła kolej na *Nową Kulturę*, której — po oficjalnym skrytykowaniu jej „błędów ideologicznych” — narzucano ostrzejszą kuratelę partyjną i „zmianę linii”; w tej sytuacji byłem zmuszony, wraz z moimi przyjaciółmi — Marianem Brandysem, Leszkiem Kołakowskim, Tadeuszem Konwickim, Witoldem Wirpszą i innymi — opuścić redakcję, by już nigdy nie wrócić ani do tej, ani do żadnej innej; *Nowa Kultura* — dodam — istniała jeszcze parę lat, w składzie zmieniającym się co jakiś czas i w kształcie coraz bliższym wymaganym przez partię schematom, ale wymagania też rosły, więc kierownictwo ciągle nie było zadowolone i w roku 1963 również to czasopismo zlikwidowano definitywnie. W następnych latach los taki spotkał jeszcze wiele pism.

Odchodząc z redakcji, miałem już za sobą kilka wydanych książek, przeważnie tomików wierszy; teraz postanowiłem zająć się wyłącznie pisaniem — jako „wolny literat”; oprócz wierszy próbowałem sił w prozie, literaturze dla dzieci, biografiiach, antologiach, przekładach; tak zarabiałem na chleb i z biegiem lat

dorabiałem się też pewnej pozycji — niektóre książki miały powodzenie u czytelników, niektóre cenili krytycy, otrzymałem kilka nagród w kraju i za granicą, to i owo tłumaczono też na języki obce; w RFN na przykład wyszła moja powieść „Sny pod śniegiem” *Träume unter Schnee*, drobniejsze teksty w antologiach poezji i prozy polskiej Karola Dedeciusa, jak również jedna z książek dla dzieci; ale w Polsce nie wszystko, co napisałem, rzeczywiście udawało się wydać — działająca w naszych wydawnictwach cenzura polityczna nie dopuściła m.in. do wydania zbioru artykułów i reportaży pt. „Powrót do kraju”, tomiku krótkich opowiadań pt. „Historie”, powieści współczesnej pt. „Literatura”, konfiskacie ulegały też poszczególne wiersze, opowiadania, felietony, recenzje, słuchowiska radiowe, nawet przekłady poetyckie; ta stała obecność zaglądnącego mi przez ramię cenzora czyniła, oczywiście, dość uciążliwą moją codzienną pracę; trudno się z tym było pogodzić ale jakoś pracowałem i dalej żyłem; przed gwałtowniejszym gestem sprzeciwu, np. w postaci wydania za granicą książek niewydanych w kraju, powstrzymała mnie świadomość, że wówczas zostanie mi kompletnie uniemożliwione publikowanie tutaj; płaciłem tedy — nie ja jeden — tak wygórowaną cenę za okrojone i okaleczone, ale przecież jakieś istnienie we własnym kraju, jakieś współzycie z polskimi czytelnikami, do których porzucenia nie udzielałem sobie prawa; nie cały, nie do końca wyrażony w tym, co na witrynie księgarskiej, byłem tu jednak i obecności tej nie potrafiłem się wyrzec.

Jednakże i ta sytuacja okazała się nietrwała, w systemie naszym znany jest bowiem nie tylko proceder eliminowania przez cenzurę słów, zdań, całych utworów; eliminowani są ludzie, ich dzieła i nazwiska, z dnia na dzień w krajobrazie literackim powstają luki, ostracyzm ten działa również wstecz, w głąb historii literatury, bliższej i dalszej; po jakimś czasie nikt (szczególnie młody) nie powinien wiedzieć, że żyje czy żył taki pisarz i odgrywał pewną rolę w procesie literackim swojego czasu; on sam może zadać sobie pytanie: czy naprawdę jestem? jak jestem, skoro milczę, mam zakneblowane usta i wszelki ślad po mnie wymazano z leksykonów i kart bibliotecznych? Jeśli chodzi o mnie, takie „unicestwienie” spotkało mnie było już kiedyś, w 1968 roku, za udział w proteście pisarzy polskich przeciw zakazowi grania „Dziadów” Mickiewicza w warszawskim Teatrze Narodowym — ale wtedy czarna lista funkcjonowała stosunkowo niedługo i niezbyt konsekwentnie, nie zabroniono mi na przykład tłumaczyć; jakoś to przetrwałem. Tym razem „nie ma mnie” już drugi rok z rzędu (1976-1977); i nie tylko rozsypano w wydawnictwach skład moich gotowych książek, nie tylko nie wchodzi w grę podpisanie ze mną umowy na nową książkę, nie tylko nie mogę wydrukować wiersza lirycznego w tygodniku literackim, a recenzent czy krytyk nie może napisać o mnie; zablokowano również moje utwory dla dzieci (w tej liczbie adaptację „Don Kichota”), moje tłumaczenia z Puszkina i innych poetów rosyjskich; mało tego! nie wolno mi pisać i tłumaczyć

nawet pod pseudonimem; i za granicą także mam przestać istnieć, zakaz bowiem publikowania jakichkolwiek moich utworów rozciąga się na Związek Radziecki, NRD i Czechosłowację, a dopiero co dowiedziałem się, że doprowadzono do usunięcia moich wierszy z antologii, która ukaże się... po hiszpańsku, w Madrycie. Wszystkie te kary spotkały mnie początkowo (z biegiem czasu znaleziono nowe powody) za to, że w styczniu 1976 roku podpisałem list zbiorowy do Sejmu PRL, protestujący przeciw zapowiedzianemu wprowadzeniu do konstytucji polskiej paragrafu, wedle którego korzystanie z praw obywatelskich byłoby uzależnione od „wypełniania obowiązków” wobec państwa. Z tego absurdałnego paragrafu w końcu zrezygnowano, ale na osoby, które ostrzegały przed jego wprowadzeniem, posypały się represje, głównie w postaci tego, co w Pańskim kraju (i w naszej prasie, kiedy pisze o RFN) nazywają *Berufsverbot*. Taki *Berufsverbot* jest dotkliwy wszędzie, gdzie się go stosuje, ale o ileż dotkliwszy tam, gdzie jest jeden monopolistyczny pracodawca — państwo, gdzie nie ma niezależnych sądów, które mogłyby arbitralną decyzję uchylić, nie ma nawet prasy, która mogłaby wydobyc rzecz na jaw, napiętnować, zaprotestować!... To, co mnie, spotkało też moich kolegów-pisarzy polskich — Jacka Bocheńskiego, Kazimierza Brandysa, Andrzeja Drawicza, Marka Nowakowskiego i wielu innych. Spotkało wybitnego reżysera teatralnego i radiowego Jerzego Markuszewskiego, któremu już drugi sezon nie wolno podjąć pracy zawodowej; kiedy kilka miesięcy temu pewien teatr na prowincji zaryzykował powierzenie mu reżyserii jakiejś sztuki, miejscowe władze partyjne brutalnie przerwały próby. Spotkało to wielu pracowników nauki, zwłaszcza młodszych, na przykład — spośród znanych mi osób — chemika Mirosława Chojckiego, socjologów Andrzeja Celińskiego i Pawła Śpiwaka. Represjami, o których mowa, szafuje się za podpisywanie listów i petycji do władz, zawierających niezależne opinie na taki lub inny temat, za wyrażenie solidarności z prześladowanymi robotnikami Radomia i Ursusa (z których nie wszyscy zostali dotąd zwolnieni z więzień, a wielu pozostaje nadal bez pracy), czasem po prostu za utrzymywanie stosunków towarzyskich z osobami zaliczanymi do „opozycji”. Przytoczę jeszcze jeden przykład, świadczący o bezwzględności tego postępowania: dwudziestokilkuletnia Joanna Szczesna, po usunięciu „za politykę” z Uniwersytetu Łódzkiego, ukończyła z najwyższą oceną wydział filologii polskiej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i ubiegała się o pracę nauczycielki w szkole. W pierwszej chwili przyjmowana z otwartymi ramionami (brak jest nauczycieli o wysokich jak jej kwalifikacjach), po rozpatrzeniu podania (tzn. po skonsultowaniu przez dyrekcję szkoły z tajną policją) spotykała się z bardziej lub mniej grzeczną odmową. Wreszcie udało jej się dostać pracę poza szkolnictwem — w Radiostacji Harcerskiej, nadającej przez parę godzin dziennie rozrywkowo-dydaktyczny program dla młodzieży. Zabłysnęła tam jako autorka znakomitych audycji; ale niestety! w tym roku podpisała (wraz

ze 175 osobami, do których też należałem) list do posłów na Sejm, postulujący zbadanie skarg na przemoc fizyczną i tortury, jakim poddano aresztowanych robotników; została natychmiast wyrzucona z pracy; wszczęto też wobec niej postępowanie karno-administracyjne z powodu przebywania bez zameldowania w Warszawie (nie wiem, czy Panu wiadomo, że w krajach socjalistycznych obywatel nie może mieszkać, gdzie mu się podoba, jeżeli nie uzyska tzw. „zameldowania”, którego władze mogą mu też odmówić — jak odmówiły właśnie Joannie Szczesnej); ciężko patrzeć na tę wymizerowaną, zaszczerpą przez policję i urzędy dziewczynę; a to jeden z wielu przypadków, jakie znam.

Czas jednak po tej dygresji — nie bez znaczenia, jak sądzę, dla całego obrazu naszego życia — powrócić do własnych spraw, o których miałem Panu opowiedzieć; u mnie też się nie kończy na *Berufsverbot*; od dwudziestu lat — tak jest, od czasu, gdy redagowałem *Nową Kulturę* — jestem notorycznie inwigilowany przez policję, moje rozmowy telefoniczne, a często nie tylko telefoniczne, są podsłuchiwane, sporządza się z nich raporty, bardziej lub mniej tendencyjne, które lądują później na biurkach różnych dygnitarzy w Komitecie centralnym partii i gdzie indziej; moja korespondencja jest kontrolowana i często ginie; moim znajomym w trakcie policyjnych przesłuchań opowiada się na mój temat złośliwe i oszczercze brednie, ostatnio kolportuje się je także w drukowanych broszurach do użytku wewnątrzpartyjnego (stanowiących rodzaj instrukcji, jak urzędnicy w całym kraju mają traktować wskazane osoby) oraz w pismach anonimowych rozsyłanych przez pocztę; lecz i w tej dziedzinie policyjnych szykan i prześladowań w obecnym okresie posunięto się dalej; tak, w styczniu bieżącego roku przeprowadzcie moją rodzinę w sposób manifestacyjny asystowały trzy samochody, których załoga nie wzdragała się też przed wchodzeniem do klatki schodowej i zaglądaniem do otwartych drzwi mieszkania; również w styczniu sześciu cywilnych funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa wtargnęło do mieszkania maszynistki, przepisującej akurat moją książkę (o czym wiadomo z podsłuchu telefonicznego, bo skądby jeszcze?), przeprowadziło rewizję i kilkugodzinne przesłuchanie, w trakcie którego przestudiowano moje papiery; nie będę, oczywiście, wyliczał konstytucyjnych gwarancji, którym uchybiają takie poczynania policji.

Osobną dziedzinę szykan i zniewolenia obywateli stanowi kwestia wyjazdów za granicę. W ciągu tych dwudziestu lat, składając podanie o paszport (podanie takie musi się u nas składać za każdym razem, gdy chce się wyjechać za granicę), nigdy nie wiedziałem, co mnie spotka — zgoda czy odmowa, decyzje bywały różne, czasami pierwotną odmowę uchylano po paru miesiącach, czasami utrzymywano w mocy, ale nigdy nie mogłem planować podróży, zawsze byłem uzależniony od widzimisię wszechmocnego urzędu. Przed rokiem zostałem zaproszony przez berlińską Akademię Sztuk (*Akademie der Künste*) na sześciomiesięczny pobyt w Berlinie w tym roku. Mimo że odpowiednio

wcześniej wszcząłem starania, do dzisiaj nie otrzymałem odpowiedzi naszych władz (Ministerstwa Kultury i Sztuki), czy zgadzają się na mój wyjazd (a bez tej oficjalnej zgody policja nie przyjmuje nawet podania o paszport). W tej sprawie pisał też osobiście do naszego ministra prof. Düttman, prezes berlińskiej Akademii — i również, o ile wiem, nie otrzymał odpowiedzi. Z kolei próbowałem turystycznie wyjechać do Austrii — i w kwintu otrzymałem odmowę paszportu, ponowioną — po moim odwołaniu — w maju.

Tak więc żyję — bez prawa pracy, bez prawa wyjazdu, bez prawa publicznej obrony przed szykanami i oszczerstwami — w moim kraju, od lat uważanym (o paradoksie! mimo wszystko, nie bez słuszności) za najmożliwszy do życia spośród wszystkich krajów socjalistycznego obozu; tak żyję, tak żyjemy! i pozostanę tu, i będę nadal pisał, i robił, co uważam za właściwe, i przyjaźnił się z tymi, z którymi mam ochotę; w tych dniach kończę pięćdziesiąt lat, coraz trudniej więc naprawdę liczyć, że doczekam chwili, kiedy coś się wokół mnie radykalnie zmieni; straciłem ostatecznie iluzję, iż w tym systemie (mniejsza o to, jak go nazwiemy), nie pozbawionym nigdy również pierwiastków twórczych, coś z nich zostało albo mogłoby się odrodzić; ci, którzy ten system uosabiają, zdolni są jedynie do tepej niwelacji, do mściwej destrukcji wszystkiego — żywej tkanki kultury, autentycznych więzi społecznych i każdego z osobna losu ludzkiego; z tą siłą (choćby była ona jedynie formą słabości), z tym miażdżącym walcem nie podobna się układać co do warunków współistnienia, można jedynie z pokorą przystać na nieistnienie albo istnieć wbrew niemu, w wymiarach swojego sprzeciwu i woli trwania; ale skoro tak, cóż jeszcze — że powrócę do własnej sytuacji — miałoby mnie powstrzymać przed mówieniem na głos o tym, czego doświadczyłem, w szczególności przed opowiedzeniem o tym Panu, który z pewnością pojmie, iż nie chodzi mi o współzucie lub interwencję, tylko o to, żeby było wiadomo? i cóż miałoby mnie powstrzymać przed oddaniem moich zakazanych w Polsce książek polskiemu wydawcy na emigracji, z nadzieją przecież, że tą okrężną drogą wrócą one kiedyś i tutaj? nowe represje i obelgi — zapewne, tego się można spodziewać; ale w momencie, gdy to i tak już przebrało miarę, jeszcze trochę więcej — naprawdę nie ma znaczenia.

Podczas kiedy pisałem ten list do Pana, zaszły nowe wydarzenia, które każały mi się zawahać, czy go wysłać. W Krakowie w tajemniczych okolicznościach zginął student filologii polskiej, współpracownik Komitetu Obrony Robotników (niezalegalizowanej przez władze instytucji społecznej, która po zeszłorocznych wystąpieniach robotniczych w Radomiu i Ursusie objęła opieką

aresztowanych, wyrzuconych z pracy i ich rodziny). Policja, która dotąd nękała członków i sympatyków Komitetu przesłuchaniami, rewizjami, krótkotrwałymi zatrzymaniami, szykanami w zakresie pracy i mieszkania, a także różnego rodzaju kocią muzyką, pogrozkami i fałszerstwami, zaaresztowała i trzyma w więzieniu rosnącą z dnia na dzień grupę osób, w tej liczbie wymienionego w moim liście (z okazji praktykowanego u nas *Berufsverbot*) chemika Mirosława Chojckiego, pisarza i członka Pen-clubu Jana Józefa Lipskiego oraz znanego Panu osobiście mojego młodego przyjaciela, historyka Adama Michnika. Inna grupa osób — między nimi żona i siostra skazanego na 9 lat więzienia robotnika z Radomia, Chomickiego, sędziwy ojciec Michnika, Joanna Szczęśna, o której też już tu wspominałem, redaktor pisma intelektualistów katolickich oraz ojciec dominikanin — podjęła siedmiodniową głodówkę w warszawskim kościele św. Marcina, solidaryzując się z więźniami i pragnąc, jak oświadczają, zwrócić uwagę „na niebezpieczeństwo i głęboko niemoralny charakter gwałtu i nieposzanowania ludzkiej godności, praw i wolności”. To są wydarzenia dramatyczne — i w ich obliczu raptem mniej ważne wydaje się to, co spotkało mnie i innych literatów polskich — i naturalne są wątpliwości, czy jeszcze warto o tym wspominać. A jednak! A jednak tak — nie tylko dlatego, że to jest wszystko to samo, to są ci sami — którzy aresztują książki i aresztują ludzi, niszczą kulturę i niszczą elementarny porządek ludzkiego istnienia, kneblują usta i zmuszają do gestu, który jest krzykiem. Również dlatego, że to są ci sami, którzy kłamią — i ulubionym terenem ich kłamstwa są między innymi sprawy, o których Panu opowiadałem. W jednym z elaboratów prasowych, opluwających więźniów i tych, którzy im współczują (nasze gazety obfitują w ostatnich okresie w takie teksty, nie gardzące żadną zatrutą bronią, nawet apelem do uczuć ksenofobii i antysemityzmu, które mają nadzieję rozbudzić w części społeczeństwa, gdy np. sugerują, iż wśród uczestników głodówki „są tacy, którzy po raz pierwszy weszli do kościoła”), otóż w jednym z tych elaboratów (*Trybuna Ludu* z dn. 27 maja br.) czytamy: „Czego chcemy przed nimi (tzn. obecnymi więźniami politycznymi — przyp. W.W.) bronić? Mamy pewne utrwalone już zdobycze w sferze niegospodarczej, niematerialnej, które uważamy za rzecz tak naturalną, iż nie wyobrażamy sobie, by mogło być inaczej. Do nich należy np. miejsce środowisk kulturotwórczych, naukowych, intelektualnych i artystycznych w społeczeństwie: właściwa naszemu krajowi atmosfera wokół twórczości i twórców”. Książkowy cynizm czy nieostrożność autora? Szarżując w swoim kłamstwie, mimowoli stwierdził zgodnie z prawdą, iż partia i policja polityczna w PRL „broni” przy pomocy krat i kajdanek m.in. „właściwej naszemu krajowi atmosfery wokół twórczości i twórców”. A więc trzeba tylko dopowiedzieć, jaka to atmosfera — a to właśnie próbowałem zrobić w liście, z którego wystąpienia wobec tego nie mam powodu rezygnować. Pisałem trochę wyżej, jak bardzo zależy mi na takim jak Pan odbiorcy; nie weźmie

mi Pan chyba za złe, że — czyniąc list otwartym — pozwolę moje świadectwo usłyszeć i innym ludziom.

Proszę przyjąć wyrazy serdecznego szacunku.

Pański,

Wiktor WOROSZYLSKI

Warszawa, w maju 1977.

OŚWIADCZENIE

Stwierdzam niniejszym że występuję z tzw. Zespołu Stronnictwa Pracy, działającego za granicą. Decyzję tę podjąłem po rozważeniu kilku istotnych okoliczności, nie mogąc dłużej pogodzić wymogów pracy zawodowej z ponoszeniem współodpowiedzialności, wynikającej z pozostawania w tym Zespole.

1. Jako publicysta i ekspert, współpracuję z prasą oraz instytucjami włoskimi i międzynarodowymi, jestem zobowiązany do informowania zachodniej opinii publicznej i analizowania wydarzeń w kategoriach bezstronnych, co oczywiście wyklucza kierowanie się partykularnymi interesami Zespołu.

2. W kierownictwie tego Zespołu wyłoniły się w ostatnim czasie tendencje tłumienia zarówno informacji ogólnospołecznej i politycznej, jak i poglądów indywidualnych. Nie mogę tego akceptować.

3. Mam poważne zastrzeżenia wobec stanowiska zajmowanego przez niektórych członków tego Zespołu i wątpliwości czy zasady filozofii politycznej Str. Pracy, wypracowane w czasie okupacji przez katolicką organizację „Unia”, będą przestrzegane. Zasady te są dziś zagrożone. Zachodzi bowiem realne niebezpieczeństwo przekształcenia „Zespołu Str. Pracy działającego za granicą” w pseudo-endecką przybudówkę do krajowych i emigracyjnych machinacji typu kolaboracyjnego czy oportunistycznego.

4. Czuję się nadal zaangażowany na rzecz niezmiennych i autentycznych założeń myśli chrześcijańsko-społecznej (również jako działacz włoskiej *Democrazia Cristiana*), znajdujących wyraz w postawie Episkopatu Polski i krajowego ruchu oporu przeciw totalitaryzmowi. Nie mogę tym samym tolerować deformujących prawdę i ultra-nacjonalistycznych wystąpień.

5. Powoływanie się na „tolerancję chrześcijańską”, jako konieczność osłony dla błędnych, stanowi groźne nieporozumienie. Tolerancja w pewnych przypadkach nie jest ani cnotą obywatelską, ani tym bardziej chrześcijańską, lecz stanowi zachętę do kontynuowania w praktyce szkodliwych działań i błędnej linii politycznej.

Dominik MORAWSKI

Rzym, 20 czerwca 1977.

Dokumenty

MODLITWA ZA STANISŁAWA PYJASA

*Wiecznego odpoczynku
nie dawaj mu, Panie!*

*On jeszcze nie chce spocząć,
ze wzgardą odrzuca
śmiertelny kamień milczenia.*

*Niech nasz ciężar ojczysty
nielekkim będzie.*

*Daj mu prócz Twej wieczności
łaskę czasu, Panie,
źdźbła jutra, ziarno obecności.*

*By mu rany opatrzyć
które nam zadano.*

*Na stromych schodach nocy
jego światłość czysta
niechaj nam świeci.*

Amen.

Wiersz znanego poety kursujący w Kraju.

APEL PRZYJACIOŁ ROSJAN

Po Moskwie, Ukrainie, Gruzji i Czechosłowacji fala represji 77 dopłynęła do Polski. Rząd jeszcze nie spełnił w całości — a może i nie zamierzał spełnić — obietnicy zwolnienia z więzień wszystkich uczestników zeszłorocznych protestów robotniczych, a już represje zwały się na tych, którzy ich bronili, pomagali ich rodzinom, informowali świat o tym, co się dzieje: na członków Komitetu Obrony Robotników i jego dobrowolnych współpracowników. Gangsterskie zabójstwo studenta Stanisława Pyjasa pokazało, że służba bezpieczeństwa nie cofa się przed żadnymi środkami, ażeby zmusić do milczenia i zastraszyć. Od dnia pogrzebu Pyjasa dziesiątki przedstawicieli kręgów opozycyjnych padają ofiarami rewizji, aresztowań, policyjnych zasadzek i obław. Dziesięć osób — liczba ich każdego dnia może wzrosnąć — znajduje się w więzieniu z trzymiesięcznymi sankcjami prokuratorskimi.

Pierwszego aresztowali Adama Michnika, którego poznaliśmy i pokochaliśmy spotkawszy go na Zachodzie. Spędził tu — bezpiecznie — około ośmiu miesięcy. Mógł nie wracać: polskie władze pewnie na to liczyły, dając mu paszport.

— Kiedy myślisz wracać? — pytaliśmy.

— Paszport mam do drugiego maja, ale jeśli przyjaciele z Warszawy zadzwonią i powiedzą „potrzebny nam jesteś”, wrócę natychmiast.

Będąc na Zachodzie, mógł milczeć i przechadzać się po pięknych ulicach europejskich miast. On jednak występował: na zebraniach, na kolokwium, na konferencjach prasowych, w prasie i telewizji. Kołatał do drzwi związków zawodowych, partii politycznych, organizacji społecznych. Spotykał się tam z odzewem, ze zrozumieniem ale i z obojętnością.

Pierwszego maja Adam Michnik wylądował na lotnisku w Warszawie.

— Boję się, że mnie wezmą wprost z lotniska — mówił nam.

Bał się Adam nie więzienia — bał się, że nie uda mu się spotkać z przyjaciółmi, że nie uda mu się zdać im sprawy ze wszystkiego, co zdołał zrobić dla sprawy polskiej w Europie, że nie uda mu się włączyć w działalność w kraju. Bezczyność była dla niego gorsza od więzienia. Rozmawiając z nim wciąż mieliśmy wrażenie, że zerwie się wpół zdania i pospieszy dalej — na drugi koniec miasta, albo do innego kraju, coś komuś objaśniać, o czymś przekonywać. Trzy kroki wszcz, cztery wzdłuż — dokąd mu się teraz zrywać?

Nie wzięli go z lotniska. Los podarował mu jeszcze dwa tygodnie wolności. O więzieniu rozmawialiśmy z nim ze śmiechem, jakby chcąc śmiechem zakłócić groźbę, rozetrzeć ją na miazgę. Zakłęcie nie podziałało.

Dla nas, Rosjan, Adam stanowił coś więcej — żywe zaprzeczenie odwiecznej wrogości między naszymi narodami.

— Jestem najbardziej prorosyjskim Polakiem — powiedział ze smutnym wyznaniem. — Rosyjskiego uczyłem się w szkole jedenaście lat i niczego się nie nauczyłem, za to potem się nauczyłem na „dysydentach”. Było dla mnie sprawą honoru przeczytać „Archipelag” po rosyjsku.

Tylko w przewyżczeniu wiekowych krzywd między Polakami i Rosjanami, między Polakami i Ukraińcami, między Ukraińcami i Rosjanami widział on przyszłe nasze wyzwolenie.

Trzydziestoletni Adam Michnik po raz trzeci idzie do więzień ludowej Polski. Po raz drugi lub trzeci idą do więzienia Jacek Kuroń, Seweryn Blumsztajn, Jan Lityński. Do więzienia idzie Jan Józef Lipski, uczestnik ruchu oporu od 1939 roku. Idą Naimski, Chojewski, Ostrowski, Macierewicz, Piłka... Kto pójdzie jutro? Albo może ktoś zniemacka wyjdzie?

Ustrój totalitarny nikogo nie wypuszcza z niemacka, cudem, przypadkiem albo po dobroci. Jeśli dziś niewielka tylko część zeszłorocznych strajkujących pozostaje w więzieniach, to nie dzięki miłosierdziu władz polskich, lecz dzięki Komitetowi Obrony Robotników i wszystkim, którzy mu w Polsce i za granicą pomagali. Jeśli wypuszczono Vaclava Havela, to dzięki rozpaczliwej walce sygnatariuszy Karty 77 i wszystkich, którzy ich podtrzymywali. Jeśli zwolniono z więzienia Pawła Gome, to dzięki szerokiej kampanii społecznej — bez niej nie dotyczyłby go żaden jubileusz ani żadna amnestia.

Solidaryzujemy się z żądaniami Komitetu Obrony Robotników domagającymi się zaprzestania politycznych prześladowań w Polsce. Odpowiadamy na apel pisarzy polskich, którzy zwracają się do inteligencji, związków zawodowych, do wszystkich ludzi dobrej woli. Żądamy zaprzestania represji, uwolnienia robotników, intelektualistów i studentów. Domagamy się, aby nie pozbawiano ludzi wolności słowa, wolności niezawisłej myśli. Solidaryzujemy się z wolnymi polskimi zjednoczeniami — z Komitetem Obrony Robotników, ze świeżo powstałym Studenckim Komitetem Solidarności i z Komitetem Obrony Praw Człowieka.

Mamy nadzieję, że powiew wolności stanie się normalną atmosferą nie tylko w Polsce, ale i w całej Wschodniej Europie — i w naszej nieszczęsnej ojczyźnie.

Włodimir BUKOWSKI
Aleksandr GALICZ
Natalia GORBANIEWSKA
Włodimir MAKSYMOW

APEL INTELEKTUALISTÓW AMERYKANSKICH

31 maja 1977 r.

Adresaci:

Przewodniczący Rady Państwa, Henryk Jabłoński, Rada Państwa, Warszawa.
Marszałek Sejmu, Stanisław Gucwa, Sejm Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, Warszawa.

Prezes Rady Ministrów, Piotr Jaroszewicz, Urząd Rady Ministrów, Warszawa.
Pierwszy Sekretarz Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, Edward Gierek, Komitet Centralny PZPR, Warszawa.

23 września 1976 roku grupa obywateli polaków utworzyła w Warszawie Komitet Obrony Robotników, aby otoczyć pomocą prawną, lekarską i finansową robotników, którzy uciarli podlegli podczas zaburzeń z czerwca 1976 roku i po nich. Członkowie Komitetu stali się przedmiotem nękania i zastraszania ze strony policji, nie wyłączając anonimowych groźb zabójstwa. Ostatnio, po otrzymaniu kilku takich groźb, Stanisław Pyjas, student czynnie zaangażowany w pracach Komitetu, został zabity w niewyjaśnionych okolicznościach. W związku z pogrzebem Pyjasa aresztowano sześciu członków Komitetu: Chojckiego, Kuronia, Lipskiego, Macierewicza, Michnika i Naimskiego; znajdują się oni w więzieniu, w ich sprawach prowadzone jest dochodzenie.

Potępimy eskalację represji w Polsce przeciwko ludziom, których jedyną zbrodnią jest obrona podstawowych praw człowieka innych. Wzywamy rząd polski do poszanowania Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka i układów w Helsinkach, które podpisał, oraz odnośnych artykułów Konstytucji Polskiej. Zwracamy się do przywódców PRL, aby postawili pierwszy krok w kierunku stosowania zasad prawa zwalniając natychmiast uwięzionych członków Komitetu Obrony Robotników.

Patronują: Kenneth J. Arrow, laureat Nagrody Nobla, Wydział Ekonomii Harvard University; William Lipscomb, laureat Nagrody Nobla, Wydział Chemii, Harvard University; George Wald, laureat Nagrody Nobla, wydział biologii Harvard University.

Otrzymują:

Kurt Waldheim, Generalny Sekretarz Organizacji Narodów Zjednoczonych, Komitet Obrony Robotników, Warszawa.
Prymas Polski Kardynał Stefan Wyszyński, Warszawa.
Komitet Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, Kongres U.S.A.
Amnesty International, Sekretariat Międzynarodowy.
Międzynarodowa Liga Praw Człowieka.
Ambasador PRL, Washington, D.C.

LISTA SYGNATARIUSZY APELU

Lionel Abel — pisarz, Edward Albee — pisarz, prof. David E. Apter — Yale University, prof. Roland H. Bainton — Yale University, Clive Barnes — krytyk sztuki, Mikhail Baryshnikov — tancerz, prof. William J. Baumol — Princeton University i New York University, prof. Peter Beckman — University of Colorado, prof. Robert L. Belknap — dziekan Columbia College, Robert Bernstein — kierownik domu wydawniczego Random House, Joseph Brodski — poeta, prof. Andrzej Brzeski — University of California (Davis), James Burnham — pisarz, prof. Jeff Camhi — Cornell University, Henry Carlisle — pisarz, prezes Amerykańskiego PEN Clubu, Miriam

Chiaromonte — tłumaczka, prof. Noam Chomski — Massachusetts Institute of Technology, Ramsay Clark — adwokat, prof. Robert S. Cohen — Boston University, prof. Robert A. Dahl — Yale University, Guy Daniels — pisarz, poeta, prof. Istvan Deak — Columbia University, prof. Peter Demets — Yale University, prof. Bogdan D. Denitch — CUNY, prof. Sigmund Diamond — Columbia University, prof. Andrzej Ehrenfeucht — University of Colorado, prof. Andrzej Ehrenkreutz — University of Michigan (Ann Arbor), prof. Alexander Erlich — Columbia University, prof. Victor Erlich — Yale University, prof. Gerald Feldman — University of California (Berkeley), prof. Joseph Frank — Princeton University, Douglas A. Fraser — przewodniczący Związku Zawodowego Robotników Samochodowych, prof. John A. Garraty — Columbia University, prof. Peter Gay — Yale University, prof. Nathan Glazer — Harvard University, prof. Frank Grace — University of Michigan (Ann Arbor), prof. Feliks Gross — dyrektor Instytutu Polskiego (New York), prof. Gregory Grossman — University of California (Berkeley), prof. Joan Grossman — University of California (Berkeley), prof. Samuel Haber — University of California (Berkeley), prof. Leopold H. Haimson — Columbia University, David Halberstam — pisarz, Michael Harrington — pisarz, prof. Albert G. Hart — Columbia University, prof. Albert O. Hirschman — Institute for Advanced Studies, Princeton University, Irving Howe — pisarz, redaktor Dissent'u, prof. Graham W. Irwin — Columbia University, prof. Bruce Jackson — SUNY, Buffalo, prof. Roman Jakobson — Harvard University, prof. Mark Kac — Rockefeller University, prof. H. Peter Kahn — Cornell University, prof. Bud Kanaworthy — Cornell University, prof. Mary Katzenstein — Cornell University, prof. David Keightley — University of California (Berkeley), prof. Jack Kiefer — Cornell University, Winthrop Knoultson — kierownik domu wydawniczego Harper and Row, prof. Leszek Kolakowski — Oxford University, Jerzy Kosinski — pisarz, b. prezes Amerykańskiego PEN Club'u, prof. Robert Lane — Yale University, prof. Jerzy J. Lerski — University of San Francisco, prof. Simon Levine — Cornell University, prof. Charles E. Lindblom — Yale University, prof. Leon Lipson — Yale Law School, prof. Seymour Martin Lipset — Stanford University, prof. Alison Lurie — Cornell University, prof. Hollis R. Lynch — Columbia University, Harry Magdoff — współredaktor Monthly Review, Bernard Malamud — pisarz, prof. Martin E. Malia — University of California (Berkeley), prof. Rufus Mathewson Jr. — Columbia University, Mary McCarthy — pisarka, prof. Herbert McClosky — University of California (Berkeley), Ved Mehta — pisarz, prof. Seymour Melman — Columbia University, prof. Arthur P. Mendel — University of Michigan (Ann Arbor), prof. Robert K. Merton — Columbia University, Arthur Miller — pisarz, Czesław Miłosz — poeta, prof. Leonard Miron — Cornell University, prof. John M. Montias — Yale University, prof. Sidney Morgenbesser — Columbia University, prof. Danuta Mostwin — Catholic University of America, prof. John H. Mundy — Columbia University, prof. Jan Mycielski — University of Colorado, prof. Ernest Nagel — Columbia University, prof. Richard Palenberg — Cornell University, prof. Reeve Parker — Cornell University, prof. Robert O. Paxton — Columbia University, prof. Edmund S. Phelps — Columbia University, prof. Derek J. de Solla Price — Yale University, prof. Omeljan Pritsak — Harvard University, prof. Marc Raess — Columbia University, prof. Nicholas V. Riasanovsky — University of California (Berkeley), prof. Robert D. Richtmeyer — University of Colorado, prof. Eugene F. Rice, Jr. — Columbia University, prof. William R. Roff — Columbia University, prof. Joseph Rothschild — Columbia University, prof. Malvin A. Ruderman — Columbia University, prof. Edward W. Said — Columbia University, prof. Meyer Schapiro — Columbia University, Richard Schechner — dyrektor Performance Group

Theatre, prof. Irwin Scheiner — University of California (Berkeley), prof. Arthur M. Schlesinger, Jr. — CUNY Graduate School, prof. Richard Schramm — Cornell University, Allan Schwartz — adwokat, prof. Paul Seabury — University of California (Berkeley), prof. Harold B. Segal — Columbia University, prof. Ihor Sevcenko — Harvard University, prof. Jacob W. Smit — Columbia University, Theodore Solotaroff — redaktor *American Review*, Susan Sontag — pisarka, prof. Wacław Soroka — University of Wisconsin, Saul Steinberg — malarz i rysownik, prof. Fritz Stern — Columbia University, Roger Straus — kierownik domu wydawniczego Farrar, Straus, Giroux, prof. Richard Strohman — University of California (Berkeley), prof. Gleb Struve — University of California (Berkeley), Paul M. Sweezy — redaktor *Monthly Review*, prof. Alfred Tarski — University of California (Berkeley), prof. Stephen J. Tonsor — University of Michigan (Ann Arbor), prof. Robert Triffin — Yale University, Diana Trilling — pisarka, Niccolò Tucci — pisarz, prof. Adam Ulam — Harvard University, prof. Stanisław Ulam — Los Alamos Scientific Laboratory, Liv Ullmann — aktorka, prof. Norman P. Uphoff — Cornell University, Thomas Venclova — poeta, prof. William S. Vickrey — Columbia University, Kurt Vonnegut Jr. — pisarz, Robert Penn Warren — pisarz, prof. Stanisław Wellisz — Columbia University, prof. Francis J. Whitefield — University of California (Berkeley), prof. C. Vann Woodward — Yale University, prof. Robert Zand — University of Michigan (Ann Arbor), prof. Reginald E. Zelnik — University of California (Berkeley).

A P E L DO OPINII PUBLICZNEJ ZACHODU

W Europie Wschodniej i w ZSSR mają miejsce ważne wydarzenia. Po raz pierwszy równocześnie we wszystkich tych krajach na arenie politycznej pojawiło się uświadomienie sobie praw obywatelskich. Siła tego ruchu zaskoczyła władze, które nie przywykły do tego, aby ich poddani zachowywali się jak obywatele.

My, niżej podpisani, głęboko solidaryzując się z tym ruchem, dajemy wyraz naszego niepokoju wobec stosowanych represji. Obywatele tych krajów domagają się jedynie poszanowania praw człowieka, stosowania układów w Helsinkach i innych umów międzynarodowych.

W wielu wypadkach zachodnia opinia publiczna solidaryzowała się z tymi bojownikami. Opinia ta jest siłą, z którą rządy ZSSR i krajów Europy Wschodniej muszą się liczyć. Uważamy, że w tej sytuacji tylko konsekwentna i skuteczna akcja opinii publicznej może zmusić sowieckich i wschodnioeuropejskich przywódców do uszanowania własnych podpisów i zaprzestania represji.

Świadomi tego, że poszanowanie praw człowieka w ZSSR i w krajach Europy Wschodniej jest jedyną gwarancją aby odprężenie przekształciło się w rzeczywiste zbliżenie narodów i zapewniło współpracę i bezpieczeństwo w Europie — wzywamy wszystkich ludzi dobrej woli do głoszenia solidarności z tymi, którzy bronią wolności w ZSSR i w Europie Wschodniej. Namawiamy aby domagali się od swoich rządów poruszenia wszystkich sprężyn, by konferencja w Belgradzie obstawała przy ścisłym stosowaniu humanitarnych zasad układów w Helsinkach.

Ludmiła Aleksiejewa, Andriej Amalrik, Tsenko Baw, Komen Besicovic, Ernst Bloch, Władimir Bukowski, Christo Christich, Michel Corne,

Józef Czapski, Vadim Delaunay, Akos Dittroi, Ivo Duchacek, Mircea Eliade, Abas Ermenji, François Fejtő, Ota Filip, Jerzy Giedroyc, Natalia Gorbaniowska, George Heltai, Gustaw Herling-Grudziński, Eugène Ionesco, Frantisek Janouch, Konstanty A. Jeleński, Pierre Kende, D. Keseljevic, Bela Kirali, Leszek Kolakowski, Arnost Kolman, Arthur Koestler, Iwan Koszelewski, Jan Kott, Marko M. Kristic, Roman Kupchinski, Lew Kwaczewski, Antonin J. Liehm, Paweł Litwinow, J. M. Luybenka, Władimir Maksimow, Tibor Meray, Bata Michajlovitch, W. Michalczyk, Czesław Miłosz, Mikolaj Molnar, Wiktor Niekrasow, Aleksander Nekricz, Jifi Pelikan, Ferdinand Peroutka, Leonid Pljuszcz, Ljubomir Popowicz, D. Radovanowicz, Ota Sik, Ljubo Sirc, Josef Skvorecky, Aleksander Smolar, Arkadi Stolytin, Dmitrij Stolytin, Sanda Stolojan, Ivan Svitak, Laszlo Szabo, Zoltan Szabo, Bela Szaz, Eduard Taborsky, Alfred Tarski, Pavel Tigrid, Dmitrii Tsepenev, K. Yanatchkov, Iljas Yanakakis.

Liberation z 26 maja 1977.

DO WSZYSTKICH CENTRAL ZWIĄZKOWYCH DO PARTII SYGNATARIUSZY „WSPÓLNEGO PROGRAMU”

Zwracamy się do was, ponieważ to od was polscy intelektualiści w swoim apelu domagają się występowania przeciwko akcji policji i żądania uwolnienia więźniów politycznych.

Zwracamy się do was, ponieważ właśnie na organizacjach związkowych i partiach politycznych lewicy ciąży obowiązek wzięcia w obronę wszystkich tych, którzy w Polsce służą z oddaniem klasie robotniczej i dziś z kolei są ofiarami okrutnych represji.

Zwracamy się do was, gdyż walka przeciwko gwałceniu praw człowieka i praw klasy robotniczej, stanowiących ich istotną część, powinna być przedmiotem codziennej troski nas wszystkich. Otóż w Polsce od 25 czerwca 1976 roku prawa te są otwarcie gwałcone.

Tysiące robotników, którzy wystąpili przeciwko szczególnie brutalnej i niesprawiedliwej podwyżce cen, zostało wyrzuconych z pracy; setki uwięziono; wielu z nich poddawano torturom. Oficjalne organizacje związkowe poparły te represje i dopiero jawne wystąpienie studentów i intelektualistów utrwaliło ruch solidarności z robotnikami. Znani intelektualiści utworzyli Komitet Obrony Robotników aby zapewnić robotnikom — ofiarom represji — pomoc materialną, prawną i lekarską. Bardzo wiele osób, szczególnie studentów, zaangażowało się w akcję prowadzoną przez K.O.R., przyjętą przychylnie również i przez klasę robotniczą: wystarczy wspomnieć list ponad tysiąca stu robotników Ursusa, którzy cele K.O.R. przyjęli za własne.

Nawet władze polskie milcząco uznały je za uzasadnione. Większość zatrzymanych robotników zwolniono, jak również przyjęto z powrotem do pracy większość zwolnionych. Jednocześnie jednak członkowie K.O.R. i sygnatariusze wielu petycji domagających się zaprzestania antyrobotniczych represji stali się przedmiotem nieustannych szykan i przykrości administracyjnych: rewizje, usunięcia z pracy, a nawet groźby zabójstwa.

7 maja znaleziono zwłoki Stanisława Pyjasa, jednego ze studentów uniwersytetu w Krakowie. Okoliczności jego śmierci nie zostały wyjaśnione i wszystko wskazuje na to, że został zamordowany za to, że brał udział w działalności K.O.R. Dziesięciu członków i współpracowników K.O.R. zostało uwięzionych i grozi im kary do pięciu lat więzienia. Chodzi tu o:

W. Arkuszewskiego, S. Blumsztajna, M. Chojeckiego, J. Kuroń, J. Lipińskiego, J. Lityńskiego, A. Macierewicza, A. Michnika, P. Naimskiego i W. Ostrowskiego. Oskarża się ich o kontakty z obcymi organizacjami na szkodę Polski. Jakież są te „obce organizacje”? Belgijskie, francuskie i włoskie związki zawodowe, partie socjalistyczne Francji i Włoch, Włoska Partia Komunistyczna, dzienniki i czasopisma lewicowe oraz intelektualistów lewicy... wszystkie siły, które udzieliły poparcia walce polskich robotników i tym, którzy stanęli po ich stronie.

To nasz proces przygotowuje się w Polsce. To jest nasz proces. Byłoby nie do przyjęcia gdyby francuska lewica zachowała milczenie wówczas, gdy nie cofając się przed zbrodnią prześladowuje się tych, którzy są jej sprzymierzeńcami, którzy jej zawierzyli, którzy jej potrzebują.

Jean Daniel — dyrektor *Nouvel Observateur*; Claude Lefort — członek komitetu redakcyjnego *Libre*; Georges Montaron — dyrektor *Témoignage Chrétien*; Jean-Paul Sartre — dyrektor *Temps Modernes*; Laurent Schwartz — profesor *L'Ecole polytechnique*; Paul Thibaud — dyrektor *Esprit*; Patrick Viveret — redaktor naczelny *Faire*.

Nouvel Observateur z 13-19 czerwca 1977 r.

REZOLUCJA WŁOSKIEJ KONFEDERACJI CHRZEŚCIJAŃSKICH ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH (CISL)

„Protestujemy energicznie przeciwko uwięzieniu w Polsce kilku przedstawicieli KOR'u. Uważamy bowiem, że oskarżenie ich o to, że poinformowali zachodnie stronnictwa polityczne i związki zawodowe o sytuacji polskiej i o działalności Komitetu jest nie do przyjęcia i dlatego domagamy się natychmiastowego ich uwolnienia. Wyrażamy ponadto głęboki niepokój że pewna liczba robotników, którzy uczestniczyli w manifestacjach czerwcowych w ub. roku, jest nadal poddawana represjom i domagamy się by, niezależnie od zawieszenia kary częściowo już dokonanej przez władze polskie, zastosowano wobec nich powszechną amnestię”.

Rzym, 24 maja 1977.

KOMUNIKAT FEDERACJI ROBOTNIKÓW METALURGII (FLM) NAJWIĘKSZEJ ORGANIZACJI ZWIĄZKOWEJ WE WŁOSZECH, ZRZĘSZAJĄCEJ ROBOTNIKÓW PRZEMYSŁU METALOWEGO, NALEŻĄCYCH DO TRZECH GŁÓWNYCH KONFEDERACJI: KOMUNISTYCZNEJ (CGIL), CHRZEŚCIJAŃSKIEJ (CISL) I SOCJALISTYCZNEJ (UIL)

„Poważna sytuacja, jaka powstała w Polsce po ostatnich aresztowaniach przedstawicieli KOR'u, niepokoi i oburza robotników włoskich. Te areszty i towarzyszące im okoliczności wykazują bowiem że zasadnicze przyczyny i warunki, jakie doprowadziły do wydarzeń czerwcowych w ubiegłym roku,

pozostają bez zmian. Świadczy to również o tym że represje policyjne wzmagają się na skutek ciężkich oskarżeń przeciw członkom Komitetu, odpowiedzialnym jedynie za poinformowanie europejskiej opinii demokratycznej i za apel o jej solidarność. Wobec oskarżenia przedstawicieli KOR'u o zdradę stanu za nawiązanie stosunków ze środowiskami reakcyjnymi, Federacja Robotników Metalurgii potwierdza, że utrzymywała z tymi środowiskami kontakty i że wyraziła im swą solidarność i poparcie, prawowite i otwarte, a nie konspiracyjne. Federacja uczyniła to jako organizacja związków zawodowych, opierając się na tych samych zasadach klasowych, jakie stoją u podstaw walki robotników włoskich w obronie demokracji we własnej ojczyźnie i gdzie indziej. Jesteśmy głęboko przekonani na podstawie długoletnich doświadczeń walki społecznej i politycznej, że właśnie wtedy kiedy wielkie trudności gospodarze wymagają ofiar, jest rzeczą nieodzowną uzyskanie poparcia robotników poprzez otwartą dyskusję polityczną i jak najszersze możliwości bezpośredniego udziału obywateli w formułowaniu celów politycznych i ekonomicznych. Stanowi to, naszym zdaniem, zasadniczą kwestię związaną ze strajkami w czerwcu 1976 roku, jak również z wydarzeniami w latach poprzednich. Sądzymy więc że nie można potępiać i tłumić metodami policyjnymi tych, którzy bronią z odwagą robotników prześladowanych za rewindykację podstawowych praw człowieka i obywatela. Federacja włoskich robotników metalurgii miała już sposobność określenia swego stanowiska wobec przywódców polskich związków zawodowych i zamierza nadal podtrzymywać z nimi stosunki. Jest więc rzeczą logiczną, że również i w obecnej sytuacji Federacja ta zwraca się szczególnie do polskich związków zawodowych, wyrażając protest i domagając się aby CRZZ zajęła się sprawą uwolnienia zaarrestowanych i przyjęcia do pracy robotników dotąd karnie zwolnionych. Klimat zaufania będzie można wytworzyć jedynie dzięki tym nieodzownym decyzjom i zagwarantowaniu robotnikom jak najszerszej wolności słowa. Tym samym będzie wówczas możliwe dyskutowanie nie na temat represji i łamania praw, lecz o stanowisku politycznym tych, którzy słusznie domagają się wolności słowa i o obiektywnych trudnościach, jakie Polska napotyka w budownictwie nowej rzeczywistości społecznej”.

Rzym, 20 maja 1977.

TELEGRAM PRZEDSTAWICIELI KOR'u

Marianello AGOSTINO
CONFEDERAZIONE GENERALE DEL LAVORO
Corso Italia, 25
ROMA.

(Warszawa), 15 czerwca 1977 r.

25 czerwca 1976 roku robotnicy polscy protestowali w wielu miejscowościach i fabrykach przeciw zapowiedzianej podwyżce cen. Tysiące uczestników strajków i demonstracji było represjonowanych. Do dziś więzi się pięciu uczestników tych demonstracji, skazanych na wieloletnie więzienie od trzech do dziewięciu lat. Ponadto od maja 1977 r. przebywa w aresztach śledczych pięciu członków i czterech współpracowników Komitetu Obrony Robotników. Komitet Obrony Robotników dziękuje włoskim Związkom Zawodowym, a przede wszystkim Związkowi Zawodowemu Metalowców za dotychczasowe poparcie walki o prawa ludzi pracy w Polsce i prosi w imię

międzynarodowej solidarności pracujących o interwencję na rzecz uwolnienia wymienionych wyżej czterech osób.

Z upoważnienia Komitetu Obrony Robotników

Edward LIPiŃSKI
Antoni PAJDAK

OŚWIADCZENIE GŁODUJĄCYCH CZŁONKÓW KOR'u I JEGO SYMPATYKÓW

Warszawa, Kościół św. Marcina, 31 maja 1977 r.

Dzisiejszego wieczora — zgodnie z zapowiedzią zawartą w naszym wcześniejszym oświadczeniu — kończymy głodówkę podjętą jako akt solidarności z uwięzionymi ofiarami represji poczerwcowych oraz ich aresztowanymi obrońcami.

Dziękujemy licznym osobom, które w różny sposób okazały nam moralne poparcie i zrozumienie przyswiecających nam celów. Wysunięty przez nas — i dotąd niespełniony — postulat uwolnienia wszystkich ofiar represji uważamy za nadal aktualny. Sens i wartość podjętej przez nas głodówki będą tym większe i trwalsze, im powszechniej społeczeństwo uświadomi sobie, że sprawa ludzi niewinnie prześladowanych jest i musi pozostać sprawą nas wszystkich.

Stanisław BARANCZAK — poeta, krytyk literacki; Bogusław BLAJFER-SEWERYN — historyk; Danuta CHOMICKA — robotnica, żona Czesława; Lucyna CHOMICKA — robotnica, siostra Czesława; Bohdan CYWINSKI — redaktor naczelny miesięcznika *Znak*; Jerzy GERESZ — student; Aleksander HAUKE-LIGOWSKI OP — dominikanin; Eugeniusz KŁOC — polonista; Zenon PAŁKA — technik; Joanna SZCZĘSNA — polonista; Ojzsz SZECHTER — emeryt, ojciec A. Michnika; Kazimierz ŚWITOŃ — radiomechanik; Barbara TORUŃCZYK — socjolog; Henryk WUJEC — fizyk.

LIST DO OSÓB ODBYWAJĄCYCH SIEDMIODNIOWĄ GŁODÓWKĘ PROTESTACYJNĄ W DNIACH 24-31 MAJA GŁODÓWKĘ PROTESTACYJNĄ

Wobec publikacji podających w wątpliwość godność motywów Waszego aktu, daję świadectwo przekonaniu, że akt ten wynika z pobudek, które budzić winny ludzki szacunek, a nie ludzkie sztyderstwo. Szacunek ten żywię i Wam wyrażam.

Czyńcie to ponadto dlatego, że wedle moich przekonań szkodę moralną sprawiłby stan rzeczy, w którym sztyderstwo byłoby jedynym publicznie znanym echem Waszego aktu.

(—) Jan STRZELECKI

OŚWIADCZENIE NR 4 MŁODZIEŻOWEGO KOMITETU DO SPRAW K.B.W.E. W HELSINKACH

Warszawa, 1 czerwca 1977 r.

Ostatnie aresztowania niektórych członków Komitetu Obrony Robotników nie uciszyły głosów w obronie praw człowieka w Polsce. Do władz napływają wciąż nowe zbiorowe petycje, w sprawie uwięzionych interweniujących organizacje pisarzy. Stynna się stała głodówka protestacyjna 14 osób w warszawskim kościele św. Marcina.

Zmonopolizowane środki masowego przekazu z pianą na ustach przystąpiły do obłąkanego ataku. Uczestników pokojowej głodówki nazywa się terrorystami i ekshibicjonistami politycznymi. Sugeruje się, że przemocą okupowali kościół. Przyczyna się zmyśloną wypowiedź rektora kościoła, jakoby był przeciwny tej akcji. I znowu, jak przed dziewięćmi laty, usiłuje się stworzyć wrażenie, że inspiratorami także tego protestu są Żydzi. Na próżno jednak szukać w prasie nazwisk czołowych działaczy katolickich, Bogdana Cywińskiego i Tadeusza Mazowieckiego, zaangażowanych w akcję głodówki. Nie znajdzie tam też najmniejszej wzmianki o mocnych słowach w obronie praw jednostki, wypowiedzianych przez Prymasa Polski w dniu Święta Wniebowstąpienia.

Katolicy polscy zaangażowani w walkę o obronę praw człowieka, traktują ją jako nakaz moralny. Nie zmieni tego żadne najbardziej finezyjne kłamstwo oficjalnej propagandy. Ow nakaz sumienia połączył we wspólnej, płynącej z pobudek czysto etycznych, akcji głodówkowej — wierzących i niewierzących ludzi dobrej woli w kościele Świętego Marcina.

Z wdzięcznością przyjmujemy wszelkie głosy solidarności wolnej opinii zachodniej z prześladowanymi i oczernianymi w Polsce. Są one dla nas wielką pomocą. Dlatego głosy te wciąż powinny się rozlegać. Solidarność z prześladowanymi, gdziekolwiek są, jest obowiązkiem moralnym. Dlatego też zwracamy się szczególnie do środowisk i organizacji religijnych na Zachodzie o słowa przeciw terrorowi i kłamstwu.

Wbrew najprzemysłniejszym akcjom zastraszania i oszczerstw będziemy trwać. Przemoc dyktatury nie zmusi nas do milczenia. Nie starczy jej na to policji i jej agentów.

MŁODZIEŻOWY KOMITET DO SPRAW KONFERENCJI
BEZPIECZEŃSTWA I WSPÓŁPRACY EUROPEJSKIEJ
W HELSINKACH

C.D. SPISU RZECZY

T. Borowicz, T. J. Hobler, J. Rzemieniewski, M. Wi- nowska, Jan Nowak, W. Wytwyckij, W. Żeleński, List 8-miu Akowców, W. Sukiennicki:	Listy do Redakcji	242
—	Odpowiedzi Redakcji	252

Z OSTATNIEJ CHWILI

Wiktor Woroszyński:	List do Redaktora „Kultury”	253
Wiktor Woroszyński:	List Otwarty do Heinricha Bölla	253
Dominik Morawski:	Oświadczenie	260

DOKUMENTY

—	Modlitwa za Stanisława Pyjasa	261
Wł. Bukowski, A. Galicz, N. Gorbaniowska, Wł. Mak- simow:	Apel przyjaciół Rosjan	262
—	Apel intelektualistów amerykańskich ..	264
—	Apel do opinii publicznej Zachodu ..	266
—	Do wszystkich central związkowych, do partii sygnatariuszy „Wspólnego pro- gramu”	267
—	Rezolucja włoskich Związków Zawodo- wych	268
—	Komunikat Federacji Robotników Me- talurgii	268
Edward Lipiński — Antoni Pajdak:	Telegram KOR'u do włoskiej Konfe- deracji Pracy	269
—	Oświadczenie głodujących członków KOR'u i jego sympatyków	270
Jan Strzelecki:	List do głodujących	270
—	Oświadczenie Nr 4 Młodzieżowego komi- tetu do spraw KBWE w Helsinkach ..	271

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 21 267.
Dépôt Légal: 3^e Trimestre 1977.

Imprimé en France

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczną	roczną
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002		R. 14,00	R. 26,00
ARGENTYNA: Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00
AUSTRALIA: Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 3,00	\$ A 15,00	\$ A 28,00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönla- ternegasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 215-69-23	F.B. 130,00	F.B. 750,00	F.B. 1300,00
BRAZYLIA: prosimy o przesyłanie czeków do adm. „Kultury”	\$ US 3,00	\$ US. 15,00	\$ 28,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księ- garniach polskich w Paryżu	F. 13,00	F. 70,00	F. 130,00
HOLANDIA: Mrs J. Minkiewicz, Wieringenlaan 6, Vlietin- gen, Tel. (01134) 14073, Postgiro 1379176	Fl. h. 8,00	Fl. h. 45,00	Fl. h. 80,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisson- neuve O., Montreal, Que. H4A 1Z1, Tel. 496-2339; B. Kra- uski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin- Lopuszański, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Związkowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 3,00 DM. 7,00 F. 13,00 F.S. 9,50 K.S. 13,00	\$ Can. 15,00 D.M. 40,00 F. 75,00 F.S. 50,00 K.S. 75,00	\$ Can. 28,00 DM. 75,00 F. 140,00 F.S. 85,00 K.S. 140,00
NIEMCY: St Mikiciuk, 5 München 45, Gablonzerstr 7/1. NORWEGIA: Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss			
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..			
SZWECJA: Norbert Zaba, Kaliskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonton Nr 48 82 34-6. U.S.A.: S. Dobczyński, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossietynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868; Ada Dzie- wanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, tel. 886-2128. M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; F. Orzechowski, Book, 2036 Chest- nut str., Philadelphia, Pa 19103; The Polish Book Importing Co, 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczyński, Post Office Box 883, Bellflower Cal. 90706. Tel. 920-2017; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Bri- tain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211	\$ US 3,00 F. 13,00 F. 13,00	\$ US. 15,00 F. 75,00 F. 75,00	\$ US 28,00 F. 140,00 F. 140,00
W. BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 36 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210			
WŁOCHY: Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241			

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.140; półroczna — F.75.
Przesyłka pojedynczego numeru — F.2,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

TOM 277 — BIBLIOTEKI « KULTURY »

SERIA « BEZ CENZURY »

ADAM MICHNIK

KOŚCIOŁ, LEWICA, DIALOG

Przedmowa Stefana Kisielewskiego

„Pierwszą wersję niniejszej książki pokazałem kilku przyjaciołom: katolikom i niewierzącym. Wszyscy mieli zasadnicze zastrzeżenia. Nie myślę, aby to było złe. Pojmuję bowiem tę książkę jako początek rozmowy, która jest dla nas wszystkich ważna”.

Z *Postowia* Autora do tej książki napisanej w kraju w 1976 roku.

Str. 176.

Cena F. 40.



TOM 278 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT CZTERDZIESTY

zawiera I-szy tom *Pism* gen. Wacława Stachiewicza,
ostatniego Szefa Sztabu Głównego R.P. pt.:

PRZYGOTOWANIA WOJENNE W POLSCE 1935-1939.

Str. 240.

Cena F. 30.